



ROBERT
LUDLUM

PROTOKÓŁ SIGMY

ROBERT LUDLUM
Protokol Sigmy

Rozdział 1

Zurych

–Czy podać panu coś do picia? *Hotel page*, niski, przysadzisty mężczyzna, mówił po angielsku prawie bez cienia obcego akcentu. Na piersi jego oliwkowego uniformu lśnił brązowy identyfikator z nazwiskiem.

–Nie, dziękuję – odrzekł z lekkim uśmiechem Ben.

–Na pewno? Może napije się pan herbaty? Kawy? Wody mineralnej? – Z jasnych oczu gońca biła służalcza gorliwość człowieka, któremu zostało zaledwie kilką minut na zdobycie napiwku. – Strasznie mi przykro, że samochód się spóźnia.

–Nie szkodzi, zaczekam.

Ben stał w holu St. Gottharda, eleganckiego, dziewiętnastowiecznego hotelu specjalizującego się w obsłudze bogatych, międzynarodowych biznesmenów. Cóż, spójrzmy prawdzie w oczy: to właśnie ja, pomyślał z cierpką ironią. Już się wymeldował i z braku lepszego zajęcia zastanawiał się właśnie, czy nie dać gońcowi napiwku za to, żeby nie nosił jego bagażu, nie chodził za nim krok w krok niczym bengalska panna młoda i nie przepraszał go nieustannie za to, że samochód, który miał zawieźć Bena na lotnisko, jeszcze nie przyjechał. Luksusowe hotele na całym świecie szczyły się *rozpieszczaniem* swoich gości, lecz dla Bena, który sporo podróżował, te nachalne praktyki zawsze były czymś natrętnym i bardzo irytującym. Za długo wyłaził z kokonu? Ten kokon – skostniałe rytuały świata uprzywilejowanych – w końcu z nim wygrał. *Hotel page* przejrzał go na wylot: ot, jeszcze jeden bogaty, zepsuty Amerykanin.

Ben miał trzydzieści sześć lat, lecz tego dnia czuł się o wiele starzej. Uczucie to doskwierało mu nie tylko z powodu różnicy czasu między Europą i Stanami. Fakt, przyleciał z Nowego Jorku poprzedniego dnia i wciąż nie mógł się pozbierać, ale chodziło o coś innego: o to, że znowu przyjechał do Szwajcarii. W szczęśliwszych czasach bywał tu bardzo często: jeździł jak wariat na nartach, szalał za kierownicą samochodu i pośród tych kamiennolicych przestrzegających prawa obywateli czuł się jak dziki, wolny duch. Bardzo pragnął odzyskać dawny animusz, lecz nie mógł. Ostatni raz był tu przed czterema laty, kiedy Peter – jego brat bliźniak i najlepszy przyjaciel -zginął w katastrofie lotniczej. Wiedział, że podróż poruszy stare wspomnienia, ale nie spodziewał się, że tak bardzo to przeżyje. Dopiero tu, na miejscu, zdał sobie sprawę, że popełnił wielki błąd. Odkąd wylądował na lotnisku Kloten, nie mógł wziąć się w garść i poradzić sobie z uczuciami, które w nim wzbierały: z gniewem, smutkiem i samotnością.

Był jednak na tyle mądry, żeby je w sobie stłumić. Poprzedniego dnia po południu zaliczył naradę z klientem, dziś rano odbył serdeczne spotkanie z drugim, z doktorem Rolfem Grendelmeierem ze Stowarzyszenia Banków Szwajcarskich. Oczywiście było to spotkanie zupełnie bezsensowne, ale cóż, nie ma to jak zadowoleni klienci: ich nieustanne dopieszczanie należało do jego obowiązków. Otóż to, dopieszczanie. Gdyby miał być wobec siebie szczery, powiedziałby, że właśnie na tym polega jego praca. Czasami ogarniało go swoiste poczucie winy, że tak łatwo

wszedł w rolę jedyne go żyjącego syna legendarnego Maksa Hartmana, w rolę przyszłego dziedzica rodzinnej fortuny i prezesa Funduszu Kapitałowego Hartmana, wielomiliardowej firmy założonej przez jego ojca.

Z czasem poznał wszystkie sztuczki, które powinien znać każdy finansista: miał szafę pełną garniturów od Brioniego i Kitona, potrafił się miło uśmiechać i mocno ścisnąć klientowi rękę, ale przede wszystkim wyćwiczył stosowne spojrzenie, spojrzenie człowieka poważnego, uczciwego i zatroskanego. To właśnie spojrzenie było dowodem odpowiedzialności, wiarygodności, życiowej mądrości i -jakże często - rozpaczliwej, choć dobrze maskowanej nudy.

Mimo to nie przyjechał do Szwajcarii w interesach. Na lotnisku Kloten czekał mały samolot, który miał zabrać go do St. Moritz na narty, na urlop ze starszym, piekielnie bogatym klientem, jego żoną i - podobno piękną - wnuczką. Stary człowiek niezwykle jowialny i przekonujący, bardzo nalegał - Ben zdawał sobie sprawę, że chce go podejść i zrobić. Było to jedno z niebezpieczeństw czyhających na przystojnego, bogatego kawalera z Manhattanu: klienci zawsze próbowali umawiać go ze swymi córkami, siostrzenicami i kuzynkami; o lepszej partii nie mogli nawet marzyć. Grzeczne odmawianie jest sztuką bardzo nudną, dlatego od czasu do czasu umawiał się z kobietami, których towarzystwo sprawiało mu przyjemność. Nigdy nic nie wiadomo. Poza tym Max chciał mieć wnuka.

Max Hartman, filantrop, postrach międzynarodowych finansistów, założyciel Funduszu Kapitałowego Hartmana. Przedsiębiorczy imigrant, uciekinier z hitlerowskich Niemiec, który przyjechał do Ameryki z przysłowiowymi dziesięcioma dolarami w kieszeni, założył po wojnie towarzystwo inwestycyjne i wytrwale je rozbudowywał, aż z małej spółki powstał wielomiliardowy kolos. Stary Max. Miał teraz ponad osiemdziesiąt lat, mieszkał w luksusowej samotni w Bedford w stanie Nowy Jork, wciąż kierował firmą i skutecznie dbał o to, żeby nikt o nim nie zapomniał.

Nie jest łatwo pracować u ojca, a jeszcze trudniej pracuje się wtedy, gdy ma się gdzieś „obrót walorami”, „asygnowanie kapitału”, „ryzyko inwestycyjne” i wszystkie te głupie, otępiające umysł terminy.

Albo gdy ma się gdzieś pieniądze. Ben doskonale rozumiał, że na taki luksus pozwolić sobie mogą jedynie ci, którzy mają ich za dużo. Jak choćby oni, Hartmanowie, właściciele licznych funduszy powierniczych, prywatnych szkół, olbrzymiej posiadłości w hrabstwie Westchester, nie wspominając już o prawie osiemdziesięciu kilometrach ziemi pod Greenbrier i o całej reszcie.

Dopóki samolot Petera nie roztrzaskał się o ziemię, Ben mógł robić to, co naprawdę kochał: uczyć, zwłaszcza dzieci, na których większość postawiła kreskę. Był nauczycielem piątej klasy jednej z najgorszych nowojorskich szkół, mieszczącej się w części Brooklynu zwanej Wschodnim Nowym Jorkiem. Chodziło do niej mnóstwo „trudnych” dzieci, i owszem, grasowały tam również gangi posępnych dziesięciolatków, uzbrojonych jak handlarze narkotyków z Kolumbii. Jednak dzieci te potrzebowały nauczyciela, któremu naprawdę na nich zależało. Jemu zależało, dlatego kilkorgu z nich zdołał odmienić życie.

Ale po śmierci brata zmuszono go do objęcia posady w rodzinnej firmie. Przyjaciółom powiedział, że wymusiła to na nim matka na łożu śmierci, i pewnie tak było. Rak czy nie rak, matce nie umiałby odmówić. Doskonale pamiętał jej ściągniętą twarz, jej poszarzałą od chemioterapii skórę, sino czerwone worki pod oczami. Była niemal dwadzieścia lat młodsza od ojca i nigdy nie przypuszczała, że mogłaby odejść pierwsza. „Pracuj, bo noc nadchodzi” – mówiła, uśmiechając się dzielnie. Reszty nie dopowiedziała. Max przeżył Dachau tylko po to, żeby stracić syna, a wkrótce miał stracić i żonę. Był silny, lecz czy mógł to wytrzymać człowiek choćby najsilniejszy?

–Ciebie też stracił? – szepnęła. W owym czasie Ben mieszkał kilka ulic od szkoły, na piątym piętrze ponurej rudery o śmierdzących kocim moczeni korytarzach i zwijającym się linoleum na podłodze. Nie przyjmował pieniędzy od rodziców – postawił to sobie za punkt honoru.

–Ben, słyszałeś, o co pytam?

–Ale te dzieciaki... – zaprotestował, choć w jego głosie pobrzmiwała już nutka rezygnacji. – One mnie potrzebują.

–On też – odrzekła cichutko i na tym rozmowa się skończyła.

Tak więc teraz, jako syn założyciela i władcy finansowego imperium, zabierał bogatych klientów na lunch, schlebiał im i nadskakiwał. Potajemnie pracował też jako wolontariusz w ośrodku dla „trudnych dzieci”, przy których jego dawni piątoklasiści wyglądali jak ministranci, i wykorzystywał każdą sposobność, żeby podróżować, jeździć na nartach, śmigać na snowboardzie, latać na paralotni, uprawiać wspinaczkę i umawiać się z kobietami, skrzętnie unikając stałych związków z nimi.

Stary Max musiał jeszcze poczekać.

Wnętrze holu St. Gottharda - różowy adamaszek, ciężkie, ciemne wiedeńskie meble – zaczęło go nagle drażnić i przygniatać.

–Chyba jednak zaczekam na zewnątrz – powiedział.

–Naturalnie, proszę pana, jak pan sobie życzy – odparł *hotel page*.

Mrużąc oczy i mrugając, Ben wyszedł na jaskrawe słońce i rozejrzał się po ulicy. Bahnhofstrasse, majestatyczna, wysadzana drzewami aleja: tłumy przechodniów, luksusowe sklepy, kawiarnie, dziesiątki instytucji finansowych w małych pałacykach z jasnego piaskowca. Z hotelu wypadł goniec z walizkami i łąził za nim, dopóki Ben nie dał mu pięćdziesięciu franków i nie odprawił.

–Och, bardzo szanownemu panu dziękuję! – wykrzyknął *hotel page* z udawanym zaskoczeniem.

Po lewej stronie hotelu był brukowany podjazd i odźwierny miał zawiadomić go, gdy tylko nadjedzie samochód, ale Benowi się nie spieszyło. Po wielu godzinach spędzonych w dusznych, przegrzanych pokojach, w których zawsze unosił się zapach kawy i nieco słabszy, lecz nieomylny zapach dymu z cygara, bryza znad Jeziora Zuryskiego była dla niego ożywcza i kojąca.

Wziął narty – nowiuteńkie volanty ti supers – oparł je o kolumnę koryncką przed wejściem, gdzie czekały pozostałe bagaże, i zaczął obserwować ulicę, ten wystawiany przez anonimowych przechodniów spektakl. Obrzydliwie młody biznesmen krzyczący coś do komórki. Otyła kobieta w czerwonej kurtce z kapturem,

pchająca wózek. Tłum podekscytowanych japońskich turystów. Wysoki, elegancko ubrany i siwiejący już mężczyzna o ściągniętych w kucyk włosach. Goniec z liliami, w charakterystycznym, pomarańczowo-czarnym uniformie Blumchengallerie, zuryskiej sieci luksusowych kwaciarni. Piękna, elegancka blondynka z torbą Festinera, która najpierw zerknęła tylko w jego stronę, a potem prosto na niego: zrobiła, to szybko, lecz z wyraźnym zainteresowaniem, i natychmiast odwróciła oczy. Gdyby tylko świata nam stało i czasu, pomyślał Ben i powędrował wzrokiem dalej. Z oddalonej o sto metrów Lowenstrasse dochodził nieustanny, lecz przytłumiony odgłos ruchu ulicznego. Gdzieś w pobliżu jazgotliwie zaszczekał pies. Ulicę przeciął jakiś mężczyzna: miał na sobie kurtkę w dziwnym odcieniu szkarłatu, nieco za wytworną jak na Zurych. I nagle Ben zobaczył mężczyznę mniej więcej w swoim wieku, który zdecydowanym krokiem mijał właśnie Koss Konditerei. Wyglądał znajomo...

Bardzo znajomo.

Zaskoczony Ben zmrużył oczy. Czyżby to był – czyż mógł to być – Jimmy Cavanaugh, jego stary kumpel z college'u? Na jego ustach zagościł szelmowski uśmiech.

Jimmy Cavanaugh, którego poznał na drugim roku studiów w Princeton. Jimmy jak wielkie panisko mieszkał poza kampusem, palił papierosy bez filtra – zabójcze dla zwykłego śmiertelnika – i potrafił spać dosłownie każdego, nawet jego, Bena, który miał reputację faceta o mocnej głowie. Pochodził z Homer, małego miasteczka w północno-zachodniej części stanu Nowy Jork, skąd przywiózł tysiące ciekawych dykteryjek; pewnego wieczoru, wprowadziwszy Bena w niuanse picia tequili z piwem, przez kilka godzin snuł zapierające dech w piersi opowieści o popularnym w Homer sporcie zwanym „obalaniem krowy”. Był niepoprawnym szelmą i niezwykle ruchliwym światowcem o niewyczerpanym repertuarze dowcipów, a wszystko, co robił, robił inteligentnie i ze swadą. Ale przede wszystkim miał w sobie więcej życia niż większość tych, których Ben w owym czasie znał: tych wszystkich zawodowców o spoconych dłoniach, handlujących testami występnyymi na wydział prawa czy biznesu, tych pretensjonalnych studentów ostatnich lat romanistyki, którzy palili papierosy z goździkami i nosili czarne szaliki, tych posępnych ćpunów, dla których buntem przeciwko światu było farbowanie włosów na zielono. Jimmy bardzo się spośród nich wyróżniał, dlatego Ben, zazdroszcząc mu spokoju i luzactwa, cieszył się z ich przyjaźni, a nawet był nią mile polechtany. Jak to często bywa, po college'u stracili ze sobą kontakt: Jimmy wyjechał do Georgetown, do Szkoły Służby Zagranicznej, a on został w Nowym Jorku. Nie należeli do tych, którzy z nostalgią wspominają okres studiów, a odległość i czas zrobiły swoje. Mimo to Jimmy był najprawdopodobniej jednym z niewielu ludzi, z którymi Ben miałby ochotę teraz pogadać.

Jimmy – nie było już najmniejszej wątpliwości, że to on – znalazł się na tyle blisko, że Ben widział jego brązowy płaszcz, kosztowny garnitur pod nim i cygaro w ustach. Zmieniła mu się sylwetka – miał teraz o wiele szersze bary – jednak był to na pewno Jimmy.

–Jezu Chryste... – powiedział na głos. Zrobił krok w jego stronę, lecz raptem

przypomniał sobie o nowiutkich volantach, których nie chciał zostawiać nawet pod opieką odźwiernego. Wziął narty, zarzucił je sobie na ramię i ruszył w stronę Jimmy'ego. Jego rude włosy trochę wypłowały i przerzedziły się, na niegdyś gładkiej twarzy pojawiło się kilka zmarszczek; miał na sobie garnitur od Armaniego za dwa tysiące dolarów, ale na pewno był to Jimmy. Góra z górą się nie zejdzie: co on, do diabła, tu robi? I nagie ich spojrzenia się spotkały.

Jimmy rozciągnął usta w szerokim uśmiechu i skręcił ku niemu z wyciągniętą ręką.

–Hartman, stary byku! – zawołał. – Kupę lat!

–Boże, to naprawdę ty! – wykrzyknął Ben, ze zdumieniem dostrzegając metalową rurkę, wystającą Jimmy'emu spod poły płaszcza. Momentalnie zdał sobie sprawę, że to tłumik: tłumik pistoletu wycelowanego prosto w jego brzuch.

To jakiś zwariowany żart, pomyślał, Jimmy słynął z nich. Jednak podnosząc ręce do góry i robiąc unik przed wyimaginowaną kulą, zobaczył, jak Cavanaugh leciutko przesuwając prawą dłoń, co było nieomylnym znakiem, że właśnie naciska spust.

Wszystko, co zdarzyło się później, trwało najwyżej ułamek sekundy, jednak zdawało się, że czas zwolnił bieg, niemal się zatrzymał. W gwałtownym odruchu Ben zamachnął się nartami i ostrym łukiem ściągnął je w dół, chcąc wytrącić kumplowi broń z ręki, zamiast w rękę, uderzając go mocno w kark.

Chwilę później – a może dokładnie w tym samym momencie – usłyszał stłumiony odgłos wystrzału i poczuł ukłucia odłamków szkła na szyi, gdy aż nadto prawdziwy pocisk strzaskał szybę wystawową oddaloną zaledwie metr od nich.

To niemożliwe, ja chyba śnię!

Zaskoczony Jimmy stracił równowagę i ryknął z bólu. Potykając się i padając, wyciągnął rękę, żeby przytrzymać się nart. Ale wyciągnął tylko jedną rękę: lewą. Ben poczuł się tak, jakby połknął bryłę lodu. Kiedy człowiek pada, kierują nim niezwykle silne odruchy samozachowawcze: wyciąga wówczas obie ręce, upuszczając walizkę, pióro, gazetę, słowem wszystko to, co wtedy trzyma. Jest niewiele przedmiotów, których nie upuści – niewiele przedmiotów, na których tracąc równowagę; będzie kurczowo zaciskał palce.

Ten pistolet był prawdziwy.

Ben usłyszał trzask padających na chodnik nart, zobaczył cienką strużkę krwi spływającą po twarzy Jimmy'ego, zobaczył, jak Jimmy wstaje i potrząsa głową, żeby oprzytomnieć. Wtedy skoczył w bok i popędził przed siebie ulicą.

Pistolet był prawdziwy. I Jimmy z tego pistoletu wystrzelił. Wystrzelił do niego.

Drogę ucieczki blokowały mu tłumy robiących sprawunki ludzi i biznesmenów spieszących na lunch z klientami, dlatego przedzierając się między nimi, kilka razy na kogoś wpadł. Potrąceni krzyczeli, wymachiwali rękami, lecz on biegł dalej tak szybko jak nigdy dotąd, klucząc w tłumie z nadzieją, że dzięki temu trudniej będzie go trafić.

Co się, do diabła, dzieje? To obłąd, to czysty obłąd!

W pewnej chwili popełnił błąd. Oglądając się przez ramię, musiał nieuchronnie zwolnić: obejrzał się i pokazał tamtemu twarz – pokazał twarz przyjacielowi z dawnych lat, który z jakichś niezgłębionych powodów chciał go teraz zabić. Nagle,

ledwie krok od niego, głowa młodej kobiety eksplodowała w chmurze szkarłatnej mgły.

Przerażony Ben rozdziawił usta.

Jezu Chryste!

Nie, to niemożliwe, to tylko sen, koszmarne sen...

Z wykładanej marmurem ściany budynku, obok którego przebiegał, bryzgnął mały gejzer kamiennych odłamków. Cavanaugh już wstał, już pędził piętnaście, dwadzieścia metrów za nim i chociaż musiał strzelać w biegu, oko miał przerażająco celne.

Próbuje mnie zabić. Nie, on mnie zabije...

Ben zrobił zwód w prawo, potem w lewo, skoczył przed siebie i popędził najszybciej, jak tylko potrafił. W Princeton biegał na osiemset metrów i teraz, piętnaście lat później, zrozumiał, że jego jedyną szansą jest prędkość, że musi odnaleźć w sobie i wykorzystać cały zapas sił. Adidasy, które miał na nogach, nie nadawały się do biegania, lecz nic nie mógł na to poradzić. Cel: musiał wyznaczyć sobie konkretny punkt docelowy, metę, miejsce, do którego ma dobiec – to zawsze pomagało. Myśl, do cholery, myśl! I raptem go olśniło: ledwie ulicę dalej, tuż przy Hauptbahnhof, przy dworcu głównym, znajdowało się największe podziemne centrum handlowe w Europie, hałaśliwa świątynia konsumpcji znana jako Shopville. Oczyma wyobraźni ujrzał wejście, ruchome schody przy Bahnhofplatz – zamiast przebijać się przez tłumy zalewające ulice i chodniki, o wiele szybciej byłoby zjechać na dół i przeciąć skwer pod ziemią. Poza tym Shopville mogło zapewnić mu bezpieczne schronienie. Tylko szalenie śmiałyby go tam ścigać. Świadomy jedynie wiatru, który owiewał mu twarz, narzucił sobie stałe tempo i jak za dawnych lat, kiedy regularnie trenował na stadionie, popędził sprintem, wysoko podnosząc kolana i stawiając długie, kocie kroki. Zgubił go? Nie słyszał odgłosów pościgu, lecz nie mógł sobie pozwolić na luksus nadziei. Po prostu biegł, zdecydowanie i desperacko.

Blondynka z torbą Festinera zamknęła klapkę maleńkiego telefonu, schowała go do kieszeni błękitnego żakietu od Chanel i w grymasie rozdrażnienia lekko odęła błyszczące, bladoróżowe usta.

Początkowo wszystko szło dobrze, jak w zegarku. Ustalenie, że mężczyzna stojący przed hotelem St. Gotthard jest właściwym celem, zajęło jej zaledwie kilka sekund. Trzydzieści parę lat, kanciasta twarz, mocno zarysowana dolna szczęka, kędzierzawe, lekko przyprószone siwizną włosy, brązowo zielone oczy. Facet o całkiem miłej powierzchowności, nawet przystojny, lecz nie na tyle rzucający się w oczy, żeby rozpoznać go na sto procent z tak dużej odległości. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Rozpozna go wybrany przez nich strzelec, skutecznie o to zadbali.

Jednak kilkanaście sekund później okazało się, że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Cel był amatorem – istniała nikła szansa, że wyjdzie cało ze spotkania z profesjonalistą. Mimo to amatorzy zawsze wzbudzali w niej nieufność. Popelniali błędy, błędy nie do przewidzenia, a ich zaprzeczająca zdrowemu rozsądkowi naiwność często umożliwiała im ucieczkę i doprowadzała do sytuacji takiej jak ta.

Wiedziała, że cel im nie umknie, że nie można umknąć przed nieuchronnym. Ale liczył się też czas, jedyny element, którego nie mieli w nadmiarze. Sigma Jeden nie będzie zadowolony. Zerknęła na mały, wysadzany drogimi kamieniami zegarek, wyjęła komórkę i wykonała jeszcze jeden telefon.

Brakowało mu tchu, bolące mięśnie domagały się tlenu. Przystanął przed ruchomymi schodami, wiedząc, że musi podjąć błyskawiczną decyzję. Tuż obok wisiała niebieska tablica: 1.Untergeschoss Shopville. Schody jadące w dół były zatłoczone, zapchane ludźmi z torbami i wózkami. Nie, zbiegnie tymi, które jechały do góry, bo na tych ludzi było znacznie mniej. Wpadł na nie, odpychając na bok młodego chłopaka i dziewczynę, którzy trzymali się za ręce. Dostrzegł jeszcze ich skonsternowane, niepewnie uśmiechnięte twarze i popędził w dół.

Biegł teraz wyłożonym czarną gumą chodnikiem, główną aleją podziemnego atrium, i już zatliła się w nim iskierka nadziei, gdy wtem zrozumiał, jak straszny popełnił błąd. Zewsząd buchnęły rozpaczliwe, przerażone krzyki, doszedł go upiorny wrzask. Cavanaugh nie zrezygnował i ścigał go nawet tutaj, w tej ciasnej, zamkniętej przestrzeni. W lustrzanej ścianie sklepu jubilerskiego błysnął żółtawobiały ogień z lufy. W tej samej sekundzie pocisk rozharatał mahoniowy panel na ścianie sklepu z książkami podróżniczymi, odsłaniając tani podkład z włókna szklanego. Stojący krok dalej starzec w obszernym garniturze chwycił się za szyję i przewrócił jak kręgiel – krew spłynęła po jego koszuli.

Ben skoczył za punkt informacyjny, podłużną budkę z betonu i szkła. Miała najwyżej półtora metra szerokości, a na jej ścianie wisiał przewodnik po sklepach, trójjęzyczna lista, spisana eleganckimi, białymi literami na czarnym tle. Stłumiony brzęk szkła – kuła strzaskała szybę. Ułamek sekundy później usłyszał ostry trzask i u jego stóp wylądował kawał betonu.

O włos! Cavanaugh chybił o włos!

Minął go jakiś mężczyzna, wysoki i dobrze zbudowany, w płaszczu z wielbłądziej wełny i zawadiackiej czapce na głowie – minął go i upadł. Miał przestreloną pierś.

Odgłos kroków Cavanaugha ginął pośród chaosu, który rozpętał się w podziemiach, lecz sądząc po rozbłysku z lufy, Ben wiedział, że zostało mu nie więcej jak trzydzieści sekund, a potem ten bydlak go dopadnie. Wyprostował się i nie wychodząc zza budki, rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu nowego ukrycia.

Pandemonium sięgało szczytów. Podziemny pasaż wypełniał zbity tłum ludzi rozpaczliwie krzyczących, wrzeszczących, histerycznie płaczących, kulących się i zakrywających głowę rękami.

Sześć metrów dalej były ruchome schody z napisem: 2.Untergeschoss. Gdyby zdołał do nich dobiec, mógłby zejść piętro niżej. Może tam dopisałoby mu szczęście. Gorzej już chyba być nie może, pomyślał. Spojrzał na powiększającą się kałużę krwi wypływającej spod martwego mężczyzny w płaszczu z wielbłądziej wełny i zmienił zdanie. Myśl, do cholery, myśl! Nie było mowy, żeby zdążył tam dobiec. Chyba że...

Chwycił trupa za rękę i przyciągnął go do siebie. Pozostało mu zaledwie kilka sekund. Czując na sobie zrozpaczony wzrok przechodniów kulących się przed siedzibą Western Union, dwoma szarpnięciami zdjął tamtemu obszerny płaszcz i

szarą czapkę. Nie miał czasu na delikatność. Włożył płaszcz, naciągnął czapkę na oczy. Zdawał sobie sprawę, że jeśli chce przeżyć, będzie musiał poskromić instynkt, który nakazywał mu pędzić do schodów jak zając: polował wystarczająco często, by wiedzieć, że myśliwych świerzbią palce, że potrafią bez namysłu strzelać do wszystkiego, co porusza się zbyt szybko. Dlatego zamiast biec, powoli wstał, pochylił się i ruszył przed siebie, chwiejąc się jak człowiek, który stracił dużo krwi. Był teraz na otwartej przestrzeni i tamten mógł go bez trudu trafić: przebranie musiało pomóc mu dojść do schodów, tylko do schodów, nie dalej. Dawał sobie na to najwyżej dziesięć sekund. Dopóki Cavanaugh uważa go za rannego przechodnia, nie będzie marnował kolejnej kuli.

Serce waliło mu jak młotem, instynkt nakazywał biec. Nie, jeszcze nie, jeszcze nie teraz. Skulony, z mocno pochylonymi ramionami, parł chwiejnie i naprzód krokami na tyle długimi, żeby nie wzbudziły żadnych podejrzeń. Pięć sekund. Cztery. Trzy...

Przy ruchomych schodach, opustoszałych teraz i wymarłych, mężczyzna w zakrwawionym płaszczu z wielbłądziej wełny upadł i zniknął z pola widzenia.

Teraz!

Pozorna bierność kosztowała go tyle samo wysiłku co najszybszy bieg i czuł, że drży mu każdy nerw ciała. Schylił się i najciszej, jak tylko umiał, popędził schodami w dół.

Z góry dobiegł go zduszony ryk: rozwścieczony Cavanaugh już go zauważył. Teraz liczyła się każda sekunda.

Przyspieszył kroku, lecz kolejne podziemne piętro, na które trafił, okazało się jednym wielkim labiryntem. Zamiast prostej alei, na drugą stronę Bahnhofplatz prowadziły dziesiątki bocznych uliczek, odgałęzień upstrzonych drewnianymi, przeszklonymi kioskami, które sprzedawały telefony komórkowe, papierosy, zegarki i plakaty. Dla leniwych, opieszłych klientów był to prawdziwy raj – dla niego tor przeszkód.

Mimo to budki i kioski ograniczały perspektywę, zmniejszały szansę trafienia z dużej odległości. Zyskiwał dzięki nim czas. Czas, który mógłby wykorzystać na zdobycie tego, o czym nieustannie myślał: osłony, tarczy.

Ciąg sklepików i butików rozmazywał mu się przed oczami: Foto Video Ganz, Restseller Buchhandlung, Presensende Stickler, Microspot. Kinder-boutique z setkami pluszowych zwierzaków w oknach wystawowych, obramowanych zielono-złotym drewnem w rzeźbione listki. Lśniący chromem i plastikiem sklep firmowy Swisscomu... Sklepy, dziesiątki sklepów. Wszystkie oferowały towary i usługi, które były dla niego zupełnie bezużyteczne. Po prawej stronie, tuż obok przedstawicielstwa Credit Suisse-Volksbank, mignął mu wielki sklep z walizkami i torbami. Zajrzał przez okno zawałone neseserami z mięciutkiej skóry – do niczego. Przedmiot, którego szukał, był w środku: duża, wykańczana nierdzewną stalą dyplomatka. Lśniąca stal spełniała bez wątplenia funkcję ozdobną, jednak wiedział, że się nada. Musiała się nadać. Wpadł do sklepu, chwycił dyplomatkę i wybiegł, podczas gdy blady, zlany potem właściciel wrzeszczał histerycznie do słuchawki telefonu. Nikt nie śmiał go zatrzymać: wieść o podziemnej masakrze rozniosła się

lotem błyskawicy.

Zdobył tarczę, lecz stracił bezcenny czas. Wybiegając ze sklepu, zobaczył, że na oknie wystawowym wykwita dziwnie piękna pajęczyna, że ułamek sekundy później szyba zamienia się w opadającą kurtynę z kawałków szkła. Cavanaugh był blisko, tak blisko, że Ben nie śmiał się odwrócić, żeby go namierzyć. Zamiast tego, wpadł w tłum ludzi wychodzących z Franscati, dużego sklepu towarowego na końcu krzyżujących się ze sobą uliczek. Podniósłszy wysoko dyplomatkę, parł naprzód, następując komuś na nogę, potykając się, z trudem odzyskując równowagę i ponownie tracąc bezcenne sekundy.

Ogłuszający huk kilka centymetrów od jego głowy: trzask ołowianej kuli wbijającej się w stalowe poszycie dyplomatki. Drgnęły mu ręce -trochę od uderzenia pocisku, a trochę odruchowo – i wówczas zobaczył małe wybrzuszenie na jej ścianie. Kula przebiła pierwszą osłonę i omal nie przebiła drugiej. Tarcza uratowała mu życie, choć niewiele brakowało.

Wszystko rozmywało mu się przed oczyma, mimo to wiedział, że wbiega do tętniącej życiem Halle Landersmuseum. Wiedział również, że tuż za nim trwa rzeź.

Ludzie wciąż przeraźliwie krzyczeli – kucając, kuląc się, biegnąc – a odgłosy koszarnej masakry wciąż się przybliżały.

Tłum pochłonął go i ukrył, wystrzały na chwilę umilkły. Ben cisnął dyplomatkę na podłogę – już spełniła swoją rolę – błysk stali mógł go teraz zdradzić.

Cisza. Czyżby to był koniec? Zabrakło mu amunicji? Zmieniał magazynek?

Potrącany i popychany przez ogarniętych paniką przechodniów, lustrował wzrokiem labirynt korytarzy w poszukiwaniu wyjścia, Ausgangu, którym mógłby uciec niezauważony. Może jednak go zgubiłem? Nie śmiał obejrzeć się za siebie. Nie, tylko nie to. Naprzód, ciągle naprzód.

Biegnąc chodnikiem prowadzącym do domu towarowego Franscati, zobaczył masywną tablicę z ciemnego drewna, a na niej złocony napis: Katzkeller-Bierhalle. Tablica wisiała nad głęboką wnęką, wejściem do opustoszałej restauracji. Tuż pod nią widniał napis sporządzony mniejszymi literami: Geschlossen. Zamknięte.

Popędził w tamtą stronę wraz z tłumem rozhisteryzowanych ludzi. Tablica, pod tablicą łukowata brama i pusta, przestronna sala jadalna. Z sufitu zwisały łańcuchy z kutego żelaza, podtrzymujące olbrzymie drewniane żyrandole, a ściany ozdobiono halabardami i sztychami przedstawiającymi średniowiecznych notabli. Kontynuacją tego średniowiecznego motywu były masywne, okrągłe stoły – fantazja projektanta, który uznał, że pasują do wnętrza piętnastowiecznego arsenału, nie miała granic.

Po prawej stronie ciągnęła się długa barowa lada i Ben dał za nią nura, ciężko dysząc i rozpaczliwie próbując zachować ciszę. Ubranie miał przesiąknięte potem. Nie mógł uwierzyć, że tak szybko bije mu serce. Zakłuło go w piersi i boleśnie wykrzywił twarz.

Zastukał w ściankę lady: głucho zadudniła. Fornir i gips nie powstrzymają kuli. Na czworakach wyszedł z lady i dotarł do kamiennej niszy, gdzie mógł się nareszcie wyprostować i złapać oddech. Prostując się, wyrznął głową w latarnię z kutego żelaza, która sterczała z grubego filaru. Głośno jęknął, podniósł wzrok i stwierdził, że

na końcu ciężkiego żelaznego pałaka, który przed chwilą zranił mu tył głowy, osadzono żarówkę w ozdobnej obudowie, i że pałak ten można wyjąć z tkwiących w filarze zawiasów.

Rdzawy zgrzyt, chrzęst i pałak ustąpił. Ben chwycił go mocno i przycisnął do piersi.

Czekał, próbując spowolnić bicie serca. Dobrze wiedział, co znaczy czekać. Doskonale pamiętał te wszystkie Dni Dziękczynienia, które spędził w Greenbriar. Max Hartman chciał, żeby jego syn nauczył się polować, a rolę nauczyciela wyznaczył Hankowi McGee, siwowłosemu myśliwemu z White Sulfur Springs. Drobiazg, pomyślał wtedy Ben: świetnie strzelał do rzutków i mógł być naprawdę dumny ze swojej koordynacji wzrokowo-ruchowej. Od niechcienia wspominał o tym Hankowi. Staremu pociemniały oczy. „Myślisz, że polowanie polega na strzelaniu? – spytał. – Nie, polega na czekaniu”. I przeszył go wzrokiem. Oczywiście miał rację: czekanie było najtrudniejsze i zupełnie Benowi nie odpowiadało.

Polując z Hankiem McGee, czekał na zwierzynę.

Teraz zwierzyną był on.

Chyba że... zdołałby jakoś odwrócić role.

Kilka chwil później usłyszał kroki i do restauracji wszedł chyłkiem Jimmy Cavanaugh, rozglądając się czujnie na boki. Kołnierzyk koszuli miał brudny i porwany, płaszcz poplamiony, z głębokiej rany na szyi spływała mu krew.

Ta okrutna, zaczerwieniona, nieludzko wykrzywiona twarz, te dzikie oczy – czy to naprawdę jego stary przyjaciel? Co się z nim stało w ciągu tych dziesięciu lat? Co zrobiło z niego mordercę?

I dlaczego dzieje się to, co się dzieje?

W prawej ręce Cavanaugh trzymał oksydowany pistolet z długim na dwadzieścia pięć centymetrów tłumikiem, nakręconym na lufę, W przeblysku wspomnień ze strzelnicy sprzed prawie dwudziestu lat Ben stwierdził, że jest to walther PPK kaliber 7,65.

Wstrzymał oddech, przerażony, że głośnie sapanie go zdradzi. Ostrożnie cofnął się o krok i zniknął w niszy, kurczowo zaciskając palce na wyjętym z zawiasów pałaku i całym ciałem przywierając do ściany. Cavanaugh był coraz bliżej, był tuż tuż. Gwałtownym, lecz pewnym ruchem ręki Ben wziął zamach i zdzielił go w głowę. Rozległ się głuchy stukot.

Cavanaugh wrzasnął z bólu głosem piskliwym i nieludzkim. Ugięły się pod nim nogi, nacisnął spust.

Ben poczuł gorący podmuch pocisku przelatującego ułamek centymetra od jego ucha. Lecz tym razem, zamiast się cofnąć czy rzucić do ucieczki, runął na przeciwnika, przygniatając go i słysząc trzask, z jakim ten wyrznął głowę w kamienną posadzkę.

Ale nawet ciężko ranny, Jimmy Cavanaugh był zaskakująco silny. Zlany cuchnącym potem zdołał się jakimś cudem podźwignąć i chwycić Bena za szyję. Ben rozpaczliwie wyciągnął rękę, próbując wyszarpnąć mu pistolet, lecz zdołał jedynie skierować tłumik w jego stronę. W tym samym momencie rozległ się ogłuszający

huk: broń wypaliła. Benowi dzwoniło w uszach, twarz paliła go od ognistego podmuchu.

Ucisk na szyi nagle zelżał. Ben szarpnął się do tyłu, odwrócił i drgnął. Cavanaugh leżał bezwładnie na podłodze. Dokładnie pośrodku jego czoła, niczym potworne trzecie oko, ziała czerwona dziura. Bena zalała fala ulgi pomieszanej z odrazą i przeczuciem, że od tej chwili już nic nie będzie jak kiedyś.

Rozdział 2

Halifax, Nowa Szkocja, Kanada

Był jeszcze wczesny ranek, mimo to na dworze panowała ciemność, a w wąskiej uliczce, biegnącej stromym zboczem wzgórza ku wzburzonemu Atlantykowi, hulał lodowaty wiatr. Nad szarymi zaułkami portowego miasta stała mgła, otulając je jak pledem i odcinając od reszty świata. Zaczęła padać nieprzyjemna mżawka. Powietrze miało słonawy smak.

Żółtozielone światło lampy padało na rozchwierutany ganek i mocno wytarte, drewniane schody dużego, szalowanego deskami domu. Pod lampą stała ciemna postać mężczyzny w żółtej ceratowej kurtce z kapturem: nieznajomy wciskał guzik dzwonka u drzwi, uporczywie, niecierpliwie, raz po raz. W końcu trzasnęła zasuwka i wypłowiałe drzwi powoli się otworzyły.

W szparze zamajaczyła twarz wiekowego, wyraźnie rozsierzonego starca. Był w poplamionym niebieskim szlafroku i wygniecionej białej piżamie. Miał zapadnięte wargi, bladą, obwisłą skórę i szare, załamane oczy.

–Tak? – rzucił wysokim, chrapliwym głosem. – Czego pan chce? – Mówił z bretońskim akcentem, który odziedziczył po przodkach z francuskiej Akadii, rybakach łowiących w morzach za Nową Szkocją.

–Musi mi pan pomóc!– krzyknął chłopak w żółtej kurtce, nerwowo przestępując z nogi na nogę. – Błagam! Chryste, niech mi pan pomoże!

Skonsternowany starzec zmarszczył czoło. Nieznajomy, choć wysoki, wyglądał na osiemnastolatka.

–O czym pan gada? Kim pan jest?

–Zdarzył się potworny wypadek. Boże, Jezu święty! Mój ojciec! Mój tata! On chyba nie żyje!

Starzec zacisnął wąskie usta. – I czego pan ode mnie chce?

Chłopak podniósł rękę, machnął nią w stronę klamki zewnętrznych drzwi i bezwładnie ją opuścił.

–Proszę, niech pan pozwoli mi zadzwonić. Muszę wezwać karetkę. Mieliśmy wypadek, straszny wypadek. Rozbiliśmy samochód. Siostra jest ciężko ranna, tata prowadził... Boże, moi rodzice! – Załamał mu się głos. Mówił teraz i wyglądał jak małe dziecko. – Chryste, on chyba nie żyje.

Wzrok starca złagodniał, ręka pchnęła zewnętrzne drzwi.

–No dobrze, proszę.

–Dziękuję – wykrzyknął nieznajomy, wchodząc do środka. – Ja tylko na chwilę. Bardzo panu dziękuję.

Starzec odwrócił się i ruszył w stronę ciemnego saloniku, zapalając po drodze światło. Chciał coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili chłopak w żółtym kapturze podszedł bliżej i, w niezdnym geście wdzięczności, obiema rękami ucisnął jego dłoń. Na szlafrok spłynęła woda z rękawa ceratowej kurtki. Nieznajomy zrobił szybki, gwałtowny ruch.

–Hej, co pan! – zaprotestował skonsternowany starzec. Wyszarpnął rękę i osunął się na podłogę.

Chłopak popatrzył na jego skurczone, nienaturalnie wygięte ciało. Zdjął z nadgarstka niewielkie urządzenie z mikroskopijną igłą do zastrzyków podskórnych i schował je do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Szybko ogarnął wzrokiem pokój, zobaczył stary telewizor i wcisnął guzik włącznika. Szedł stary, czarno-biały film. Chłopak przystąpił do pracy z wprawą i pewnością siebie kogoś znacznie starszego.

Wniósł do salonu ciało starego, umieścił je ostrożnie w sfatygowanym, pomarańczowym fotelu, następnie starannie ułożył mu ręce i głowę: wyglądało to tak, jakby starzec zasnął przed telewizorem.

Wyjąwszy z kieszeni papierowy ręcznik, chłopak sprawnie wytarł kałużę wody, która zebrała się na sosnowych deskach w korytarzu. Potem stanął przed wciąż otwartymi frontowymi drzwiami, ostrożnie wyjrzał na ulicę, zadowolony wyszedł na ganek i zamknął za sobą drzwi.

Alpy Austriackie

Srebrzysty mercedes S430 piął się stromą, górską drogą, wreszcie przystanął przed bramą kliniki. Czuwający w budce strażnik natychmiast rozpoznał siedzącego na tylnym siedzeniu pasażera.

–Dzień dobry, panie dyrektorze – powiedział z szacunkiem. Oczywiście nie poprosił go o przepustkę: dyrektora kliniki mieli wpuszczać od razu, z pominięciem rutynowych formalności.

Samochód wjechał na drogę wijącą się po łagodnym zboczcu wzgórza, gdzie jasna zieleń starannie wypielęgnowanych trawników i równiutko przyciętych sosen kontrastowała z bielą puszystego śniegu. W oddali piętrzyły się majestatyczne turnie i białe gładzie góry Schneeberg. Mercedes ominął gęstą kępę wysokich cisów i przystanął przed dobrze zamaskowaną budką drugiego punktu kontrolnego. Strażnik, uprzedzony już o przyjeździe dyrektora, wcisnął guzik urządzenia podnoszącego stalowy szlaban, jednocześnie muskając palcem przełącznik silniczka opuszczającego stalowe kolce, które zniszczyłyby opony każdego pojazdu wjeżdżającego do kliniki bez pozwolenia.

Mercedes ruszył pod górę długą, wąską drogą, prowadzącą tylko do jednego miejsca: do starych zakładów zegarmistrzowskich, mieszczących się w zbudowanym przed dwustu laty zamku. Zakodowany sygnał uruchomił elektronicznie otwieraną bramę i samochód wjechał na zarezerwowane miejsce parkingowe. Kierowca otworzył drzwiczki, jego pasażer wysiadł i szybkim krokiem ruszył do głównego wejścia. Czuwający za kuloodporną szybą strażnik powitał go skinieniem głowy i uśmiechem.

Dyrektor wszedł do windy – była już przeżytkiem w tej zabytkowej alpejskiej budowli – wetknął do czytnika cyfrową kartę identyfikacyjną i pojechał na trzecie, najwyższe piętro. Tam przeszedł przez troje elektronicznie otwieranych drzwi, by wreszcie dotrzeć do sali konferencyjnej, gdzie wokół długiego mahoniowego stołu czekali na niego pozostali. Zajął miejsce u szczytu stołu i powiódł wzrokiem po ich twarzach.

–Panowie – zaczął – od spełnienia naszych wieloletnich marzeń dzielą nas już

tylko dni. Długi okres planowania powoli dobiega końca. Wasza cierpliwość zostanie nagrodzona, a wielkość tej nagrody przekroczy najśmielsze oczekiwania naszych założycieli.

Przez salę przetoczył się głośny szmer uznania i aprobaty. Dyrektor odczekał, aż się uciszy i kontynuował:

–Jeśli chodzi o bezpieczeństwo, zapewniono mnie, że pozostało jedynie kilkoro *angeli rebelii*. Wkrótce nie pozostanie żaden. Jednak jest pewien mały problem...

Zurych

Ben spróbował wstać, lecz nogi odmówiły posłuszeństwa i osunął się na podłogę, czując, że zaraz zwymiotuje. Było mu raz zimno, raz gorąco, w uszach z hukiem pulsowała krew, w żołądku zalegała lodowatą kulą strachu.

Co się, u diabła, stało? Dlaczego Jimmy Cavanaugh próbował go zabić? Co to za obłąd? Odbiło mu? Postradał zmysły? Czy niespodziewane spotkanie po piętnastu latach uruchomiło w jego wypaczonym mózgu jakiś patologiczny proces? Zaburzyło mu pamięć, wywołując wspomnienia, które pchnęły go do morderstwa?

Do ust napływało mu coś słonawego i metalicznego. Dotknął warg. Z nosa sączyła się krew. Pewnie oberwał podczas szamotaniny. On miał rozbity nos, Cavanaugh kulę w mózgu.

Wrzawa w podziemnym centrum handlowym jakby przycichła. Wciąż dochodziły go pojedyncze wrzaski i rozpaczliwe krzyki, lecz chaos powoli zamierał. Usiadł, podparł się rękami i z trudem wstał. Był oszołomiony, kręciło mu się w głowie. Wiedział, że nie jest to skutek upływu krwi, tylko szoku, silnego wstrząsu.

Zmusił się do spojrzenia na zwłoki Cavanaugha. Zdołał już wziąć się w garść na tyle, żeby pomyśleć.

Ktoś, kogo nie widziałem od piętnastu lat, przyjeżdża do Zurychu, wariuje, ściga mnie i próbuje zabić. A teraz leży martwy w tej pretensjonalnej restauracji. Dlaczego? Brak jakiegokolwiek wytłumaczenia. I może nigdy go nie będzie.

Ostrożnie ominąwszy kałużę krwi wokół głowy Cavanaugha, przeszukał mu kieszenie marynarki, spodni i na końcu płaszcza. Nie znalazł nic, absolutnie nic. Ani dokumentów, ani kart kredytowych. Dziwne. Cavanaugh starannie opróżnił wszystkie kieszenie, jakby przygotowywał się do tego, co miało nastąpić.

Tak, zrobił to z premedytacją. On to zaplanował.

W ręce wciąż ścisnął pistolet i w pierwszym odruchu Ben chciał sprawdzić, ile zostało mu nabojów. Zastanawiał się nawet, czy mu go nie zabrać, nie schować pistoletu do kieszeni. Bo jeśli Cavanaugh nie był sam?

Jeśli ma współników?

Zawahał się. Nie. Miejsce zbrodni to miejsce zbrodni. Lepiej niczego nie ruszać – mogłyby wyniknąć z tego kłopoty.

Wciąż oszołomiony, powoli wyszedł z restauracji. Podziemny pasaż opustoszał, nie licząc kilku grup sanitariuszy, którzy opatrywali rannych. Dwóch z nich dźwigało kogoś na noszach.

Ben ruszył na poszukiwanie policjanta.

Dwóch policjantów, jeden młodzik, najpewniej rekrut, drugi w średnim wieku,

obrzuciło go podejrzliwym spojrzeniem. Znalazł ich przy kiosku Bijoux Suisse, tuż koło Marktplatz. Byli w granatowych swetrach z czerwonymi naszywkami na ramieniu. Na naszywkach widniał napis: Zurichpolizei. Obaj mieli walkie-talkie i kabury u pasa.

–Można prosić o paszport? – spytał ten młody, kiedy Ben skończył mówić; jego starszy kolega albo nie znał, albo tylko udawał, że nie zna angielskiego.

–Na litość boską – warknął zdenerwowany Ben. – Tam zginęli ludzie! A w restauracji leży trup! Trup faceta, który próbował...

–*Ihren Pass, bitte* - powtórzył surowo ten młodszy. – Nie ma pan paszportu?

–Oczywiście, że mam – odparł Ben, sięgając po portfel. Wyjął paszport i podał go policjantowi.

Ten obejrzał go podejrzliwie i podał koledze, który zerknął na dokument bez większego zainteresowania i zwrócił Benowi.

–Gdzie pan wtedy był? – spytał ten młodszy.

–Kiedy to się zaczęło? Czekałem przed hotelem na samochód, którym miałem pojechać na lotnisko.

Policjant zrobił krok do przodu i stanął tak blisko, że Ben poczuł się nieswojo.

–Na lotnisko? – powtórzył, a jego obojętne dotąd spojrzenie ustąpiło miejsca wyraźnie nieufnemu.

–Tak, miałem lecieć do St. Moritz.

–I nagle ten mężczyzna zaczął do pana strzelać?

–Tak. To mój stary przyjaciel. To znaczy, kiedyś był moim przyjacielem...

Policjant uniósł brew.

–Nie widziałem go od piętnastu lat – kontynuował Ben. – Poznał mnie, podszedł bliżej, jakby ucieszył się ze spotkania, i raptem wyciągnął pistolet.

–Pokłóciliście się?

–Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa!

Policjant zmrużył oczy.

–Był pan z nim umówiony?

–Nie, to był czysty przypadek.

–Mimo to on miał pistolet, nabity pistolet. – Policjant zerknął na swego starszego kolegę i przeniósł wzrok na Bena. – W dodatku pistolet z tłumikiem. Musiał wiedzieć, że pan tam będzie.

Zirytowany Ben potrząsnął głową.

–Nie rozmawiałem z nim od lat! Skąd mógł wiedzieć, gdzie mnie szukać?

–Z pewnością zgodzi się pan, że pistolet z tłumikiem nosi tylko ktoś, kto zamierza go użyć.

–Chyba tak – odrzekł z wahaniem Ben.

Starszy policjant cicho odchrząknął,

–A pan? – spytał zaskakująco płynną angielszczyzną. – Jaki miał pan pistolet?

–O czym pan mówi? – spytał rozdrażniony Ben, podnosząc głos. – Nie miałem żadnego pistoletu.

–Wybaczy pan, ale czegoś tu nie rozumiem. Twierdzi pan, że ten przyjaciel miał

pistolet, a pan był nieuzbrojony, tak? W takim razie dlaczego pan żyje, a on nie?

Dobre pytanie. Ben pokręcił głową, wspominając chwilę, kiedy Jimmy Cavanaugh wycelował w niego z walthera. Część jego umysłu – racjonalna – uznała, że to tylko zwykły żart. Ale inna część najwyraźniej założyła, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo i zmusiła go do błyskawicznej reakcji. Dlaczego? Jimmy. Jego swobodny krok, powitalny uśmiech... i zimne oczy. Oczy czujne, które zupełnie nie pasowały do szerokiego uśmiechu. Drobnny, nieprzystający do całości element, który zarejestrowała podświadomość.

–Chodźmy obejrzyć ciało tego mordercy – powiedział starszy policjant, kładąc mu rękę na ramieniu. Zrobił to bynajmniej nie po to, żeby go pocieszyć, chciał mu raczej dać do zrozumienia, że właśnie stracił wolność.

Przeszli podziemnym pasażem, w którym roilo się teraz od policjantów i reporterów z fleszami, i zjechali schodami na niższe piętro. Ben szedł przodem, tamci dwaj tuż za nim. Tablica z napisem Katzkeller, drzwi, sala jadalna, kamienna nisza. Ben wyciągnął rękę.

–No i? – warknął gniewnie młodszy policjant.

Zdumiony Ben wytrzeszczył oczy. Ponownie zakręciło mu się w głowie, doznał szoku. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno leżał trup Cavanaugha, nie było teraz nic. Dosłownie nic.

Ani krwi, ani ciała, ani pistoletu. Żelazny pałak latarni tkwił w zawiasach, jakby nigdy go z nich nie wyjmowano. Podłoga była czysta i pusta.

Wszystko wyglądało tak, jakby nic się tu nie zdarzyło.

–Boże... – szepnął Ben. Czyżby mu odbiło? Czyżby stracił kontakt z rzeczywistością? Nie, bo przecież czuł, że stoi na twardej podłodze, widział ladę, widział masywne stoły. Jeśli to jakiś paskudny, starannie dopracowany kawał... Nie, to nie był kawał. Wykluczone. Przypadkowo wdepnął w coś wyrafinowanego i przerażającego.

Policjanci patrzyli na niego z nieskrywaną podejrzliwością.

–Panowie – wykrztusił chrapliwym szeptem. – Nie potrafię tego wyjaśnić. Ja tu byłem. On też tu był...

Ten starszy powiedział coś szybko do mikrofonu walkie-talkie i wkrótce dołączył do nich kolejny policjant, spokojny, opanowany i atletycznie zbudowany.

–Być może powoli myślę, dlatego pozwoli pan, że spróbuję to jakoś zrozumieć. Biegnie pan przez zatłoczoną ulicę, potem wpada pan do podziemnego centrum handlowego. Wokół pana giną ludzie. Ściga pana strzelający na oślep szaleniec, Amerykanin. Mówi pan, że go nam pan pokaże, a tu żadnego szaleńca nie ma. Jest tylko pan. Dziwny Amerykanin, który opowiada jeszcze dziwniejsze bajeczki.

–Mówię prawdę, do cholery!

–Twierdzi pan, że za tę masakrę odpowiada szaleniec z pańskiej przeszłości – wtrącił ten młodszy twardym, spokojnym głosem. – Ja widzę tu tylko jednego szaleńca.

Starszy policjant zagadał w *Schweitzerdeutsch* do tego atletycznie zbudowanego, po czym spytał:

–Mieszka pan w hotelu St. Gotthard, tak? Proszę nas tam zaprowadzić.

W towarzystwie trzech policjantów – młodego, który szedł przodem, atlety idącego po lewej stronie i tego starszego, który szedł po prawej – Ben dotarł do ruchomych schodów, wyjechał na Bahnhofstrasse i skręcił w stronę hotelu. Nie skuli mu rąk, jednak wiedział, że to tylko kwestia czasu.

Przed hotelem stała młoda policjantka, którą tamci musieli wysłać, żeby popilnowała jego bagażu. Miała brązowe, ostrzyżone niemal po męsku włosy i kamienny wyraz twarzy.

Przez okno Ben dostrzegł obłudnego gońca, który jeszcze niedawno schlebiał mu i nadszkiwał. Ich spojrzenia się spotkały i *hotel page* odwrócił się z miną tak przerażoną, jakby powiedziano mu właśnie, że dźwigał walizki Lee Harveya Oswalda.

–To pański bagaż, tak? – spytał młodszy policjant.

–Tak, mój – odrzekł Ben. – I co z tego? – Czego jeszcze od niego chcieli?

Policjantka otworzyła podręczną torbę z miękkiej, beżowej skóry i jej koledzy zajrzeli do środka.

–To pańska torba? – spytał ten młodszy.

–Już mówiłem, że moja – odparł Ben.

Starszy policjant wyjął z kieszeni chustkę do nosa, owinął nią coś i wyjął z torby. Był to walther PPK Jimmy 'ego Cavanaugha.

Rozdział 3

Waszyngton

Głównym korytarzem czwartego piętra Departamentu Sprawiedliwości, gigantycznego, neoklasycystycznego gmachu zajmującego niemal cały obszar między Dziewiątą i Dziesiątą ulicą w Waszyngtonie, szła szybko młoda, poważnie wyglądająca kobieta. Miała lśniące, brązowe włosy, karmelowo brązowe oczy i ostry nos. Na pierwszy rzut oka mogła uchodzić za Azjatkę czy Latynoskę. Jasnobrązowy płaszcz, skórzana dyplomatka – można ją było wziąć za prawniczkę, lobbystkę albo za urzędniczkę, która robi szybką karierę.

Nazywała się Anna Navarro. Miała trzydzieści trzy lata i pracowała w Urzędzie do Badań Specjalnych, mało znanym wydziale Departamentu Sprawiedliwości.

Wchodząc do dusznej sali konferencyjnej, zdała sobie sprawę, że cotygodniowa narada już się zaczęła. Przy białej tablicy stał Arliss Dupree: odwrócił się, gdy weszła, i urwał w połowie zdania. Poczwała na sobie wzrok wszystkich obecnych i zaczerwieniła się lekko, czego Dupree bez wątpienia bardzo chciał. Usiadła na pierwszym wolnym krześle. Oślepiła ją wpadająca do sali smuga słońca.

–Nareszcie – rzucił Dupree. – Jak to miło, że zechciała pani do nas dołączyć. – Nawet jego inwektywy były do przewidzenia. Anna bez słowa skinęła głową, nie chcąc go prowokować. Powiedział jej, że narada zacznie się kwadrans po ósmej. Najwyraźniej miała zacząć się o ósmej, ale Dupree wyparłby się, że kiedykolwiek jej o tym mówił. Chciał jej po prostu utrudnić życie i robił to w małostkowy, typowo biurokratyczny sposób. Oboje dobrze wiedzieli, dlaczego się spóźniła, nawet jeśli pozostali nie mieli o tym zielonego pojęcia.

Zanim Dupree został szefem Urzędu do Badań Specjalnych, narady i spotkania należały do rzadkości. On zwoływał je co tydzień, żeby demonstrować wszystkim swoją wyższość i władzę. Był niskim, szerokim w barach czterdziestokilkulatkiem i wyglądał jak sztangista w jasnym, o wiele za ciasnym garniturze; miał ich tylko trzy i nosił je na zmianę. Nawet z końca sali czuła zapach jego taniego płynu po goleniu. Twarz miał rumianą i okrągłą jak księżyc w pełni, a cerę jak po przebytej ospie.

Był taki czas, kiedy obchodziło ją, co mężczyźni tacy jak on o niej myślą, kiedy próbowała ich sobie zjednać. Obchodziło, ale już przestało. Miała swoich przyjaciół, a on po prostu do nich nie należał. Siedzący po drugiej stronie stołu David Denneen, mężczyzna o kwadratowej szczęce i włosach w kolorze Inu, posłał jej współczujące spojrzenie.

–Jak niektórzy z was zapewne słyszeli – zaczął Dupree – Wydział Dochodzeń Departamentalnych poprosił nas o tymczasowe oddelegowanie obecnej tu koleżanki. – Przeszył ją wzrokiem. – Agentko Navarro, zważywszy ogrom niedokończonych zadań, które na nas czekają, uważam, że jeśli przyjmie pani zlecenie z innego wydziału, postąpi pani co najmniej nieodpowiedzialnie. A może chce pani zrobić u nich karierę? Jeśli tak, proszę nam to powiedzieć. Śmiało.

–Pierwszy raz o tym słyszę – odrzekła zgodnie z prawdą Anna.

–Czyżby? Cóż, może wyciągam zbyt pochopne wnioski – dodał nieco łagodniejszym tonem.

–Na to wygląda – odparła oschle.

–Wyszedłem z założenia, że potrzebują pani do jakiegoś zadania. Ale może to pani jest ich zadaniem.

–Słucham?

–Może wzięli panią na celownik – wyjaśnił usłużnie Dupree; myśl ta najwyraźniej przypadła mu do gustu. – Wcale bym się nie zdziwił. Chodząca z pani enigma. – Jego kumple od kieliszka parsknęli śmiechem.

Anna przesunęła się z krzesłem w bok, żeby ukryć twarz przed słońcem.

Od czasów Detroit, kiedy to pracowali na tym samym piętrze i kiedy to odrzuciła – według niej, bardzo grzecznie – jego wulgarną i jednoznaczną propozycję, nieustannie wpisywał jej do arkusza ocen drobne uwagi, ot, takie małe szczurze gówienka: „...lecz zważywszy jej wyraźnie ograniczone zainteresowania... błędy wynikające z nieuwagi, bynajmniej nie z braku kompetencji...” I tak dalej.

Słyszała, że opisał ją kumplowi jako „potencjalny przypadek molestowania seksualnego”. To dzięki niemu przywarł do niej najgorszy epitet, jaki może przywrzeć do pracownika Biura: „outsiderka”. Oznaczało to, że nie chodzi z kumplami na wódkę – ani z nimi, ani z Dupree – i że prowadzi własne życie towarzyskie. Z uporem maniaka ozdabiał również akta jej spraw wątpliwymi uwagami na temat błędów, które popełniła. Nie były to błędy poważne, co najwyżej uchybienia proceduralne. Kiedyś, prowadząc śledztwo w sprawie pracownika Agencji do spraw Zwalczania Handlu Narkotykami, człowieka zwerbowanego przez bossów narkotykowej mafii i uwikłanego w serię zabójstw, nie złożyła w przepisowym terminie siedmiu dni formularza FD-460.

Najlepsi agenci popełniają błędy. Była przekonana, że ci najlepsi strzelają więcej gaf niż pozostali, ponieważ zamiast na przepisach, procedurach i regulaminach, koncentrują się na śledztwie jako takim. Owszem, można sumiennie przestrzegać przepisów i nie rozwiązać żadnej sprawy.

Poczuła, że Dupree znowu na nią patrzy i spojrzała mu w oczy.

–Jesteśmy zavaleni pracą- kontynuował – i jeśli ktoś nie robi tego, co do niego należy, jego robotę muszą odwalić inni. Mamy tu faceta z urzędu skarbowego, podejrzanego o wyrafinowane oszustwa podatkowe. Mamy agenta FBI, który wykorzystuje służbową odznakę do prowadzenia osobistej wendety. Mamy kilku drani z AZHN, którzy sprzedają amunicję z sądowych sejfów. – Były to typowe dla nich sprawy: śledztwa (czy też „wewnętrzne dochodzenia kontrolne”, jak mawiali wtajemniczeni) obejmujące pracowników wszystkich instytucji rządowych. Innymi słowy, na skalę federalną robili to, co wydziały kontroli wewnętrznej w poszczególnych agendach rządowych.

–Może jest pani za bardzo obciążona obowiązkami? – drażył Dupree. – O to chodzi?

Udała, że coś zapisuje i nie odpowiedziała. Twarz ją paliła. Wzięła głęboki oddech, żeby stłumić gniew. Nie zamierzała tak łatwo ulegać. W końcu przemówiła:

–Jeśli to taki kłopot, dlaczego pan im nie odmówi? – powiedziała spokojnym, rzeczowym głosem, lecz nie było to zwykle, niewinne pytanie: Dupree nie miał

wystarczająco dużej władzy, żeby odrzucić żądania super tajnego i wszechpotężnego Wydziału Dochodzeń Departamentalnych, a jakakolwiek wzmianka na temat braku odpowiednich uprawnień doprowadzała go do furii.

Poczerwieniały mu płatki uszu.

–Ci z WDD mają się ze mną skonsultować – odparł. – Jeśli naprawdę wiedzą tyle, ile podobno wiedzą, niewykluczone, że zdadzą sobie sprawę, iż nie jest pani stworzona do tego rodzaju pracy.

Błyszczą mu oczy. Pewnie z pogardy, pomyślała.

Anna kochała swoją pracę i wiedziała, że jest dobra w tym, co robi. Nie domagała się pochwał. Nie chciała jedynie tracić czasu ani energii na utrzymanie jej za wszelką cenę, na bezsensowną walkę o stanowisko. I tym razem zdołała zachować obojętną twarz. Całe napięcie umiejscowiło się w brzuchu.

–Jestem przekonana, że zrobi pan wszystko, żeby to do nich dotarło.

Zapadła cisza. Widziała, że Dupree zastanawia się, co odpowiedzieć.

Zerknął na swoją ukochaną białą tablicę z porządkiem zebrania.

–Będzie nam pani brakowało – mruknął.

Wkrótce po naradzie do jej maleńkiego boksu zajrzał David Denneen.

–Ci z departamentalnych ściągają cię do siebie, bo jesteś najlepsza – powiedział.

– Wiesz o tym, prawda?

Anna ze znużeniem pokręciła głową.

–Zdziwiłam się, widząc cię na naradzie. Jesteś w nadzorze operacyjnym. Świetnie sobie radzisz. Powiadają, że jeszcze trochę i wylądujesz w prokuraturze generalnej.

–Dzięki tobie – odparł Denneen. – Jestem tu dzisiaj jako przedstawiciel wydziału.

Przychodzimy na zmianę. Ktoś musi pilnować budżetu. I mieć oko na ciebie. – Delikatnym, łagodnym ruchem położył rękę na jej ręce. Patrzył na nią ciepło i z z troskaniem.

–Miło cię było widzieć – odrzekła Anna. – Pozdrów ode mnie Ramona.

–Dziękuję. Musimy zaprosić cię kiedyś na paellę.

–David, mam wrażenie, że chcesz mi coś powiedzieć.

Cały czas patrzył jej w oczy.

–Posłuchaj, Anno. Ten nowy przydział... Nie mam pojęcia, po co cię tam biorą, ale wiem, że nie będzie to zwykła praca. To prawda, co powiadają: niezbadane są wyroki Ducha naszego. – Zacytował to powiedzonko bez cienia humoru. Duchem nazywano Alana Bartletta, wieloletniego dyrektora Wydziału Dochodzeń Departamentalnych. W trakcie przesłuchań przed senacką podkomisją do spraw wywiadu, jeszcze w latach siedemdziesiątych, zastępca prokuratora generalnego nazwał go dowcipnie „duchem ex machina” i przydomek ten natychmiast do niego przylgnął. Jeśli nawet nie był duchem, na pewno był postacią bardzo tajemniczą i nieuchwytną. Rzadko kiedy widywany i podobno niezwykle błyskotliwy, zarządzał ulotnym królestwem najtajniejszych dochodzeń kontrolnych i dzięki swym pustelniczym zwyczajom stał się jego symbolem. Anna wzruszyła ramionami.

–Nie wiem. Nie znam go i chyba nie znam nikogo, kto by go znał. Plotka karmi się niewiedzą, Dave. Kto jak kto, ale ty powinieneś o tym wiedzieć.

–Przyjmij radę ignoranta, któremu na tobie zależy – odparł. – Nie mam pojęcia, co oni knują, ale bądź ostrożna. Dobra?

–Ostrożna? Dlaczego?

Denneen pokręcił głową. Widać było, że czuje się nieswojo.

–To zupełnie inny świat – szepnął. – Inny świat...

Kilka godzin później Anna znalazła się w olbrzymim, marmurowym foyer gmachu rządowego przy M Street. Szła na umówione spotkanie w Wydziale Dochodzeń Departamentalnych. Szczegółów działalności wydziału nie znano nawet w Departamencie Sprawiedliwości, a jego kompetencje -jak twierdzili niektórzy senatorowie – były niebezpiecznie rozmyte. „To zupełnie inny świat” – powiedział Denneen. Inny świat. Wyglądało na to, że miał rację.

Biura wydziału mieściły się na dziewiątym piętrze nowoczesnego kompleksu gmachów, z dala od ośrodków waszyngtońskiej biurokracji, dlatego kusilo ją, żeby wszystko dokładnie obejrzeć. Fontanna tryskająca w holu, ściany wykładane zielonym marmurem – próbowała się na to nie gapić. Co to za agencja? – myślała. Jaką agencję stać na taki zbytek? Wsiadła do windy. Nawet winda była wykończona marmurem.

Jechał z nią superprzystojny trzydziestokilkulatek w superkosztownym garniturze. Pewnie prawnik, pomyślała. Jak prawie wszyscy faceci w tym mieście.

W lustrzanej ścianie windy zobaczyła, że tamten posyła jej znaczące -ba! zupełnie jednoznaczne – spojrzenie. Wiedziała, że gdyby wymienili się spojrzeniami, uśmiechnęłyby się, powiedziałby dzień dobry i wszczął banalną rozmowę z cyklu: podryw w windzie. Chociaż miał zapewne dobre intencje i chciał z nią tylko grzecznie poflirtować, lekko ją to zirytowało. Irytowała się również wtedy, kiedy mężczyźni pytali ją, dlaczego tak piękna kobieta jak ona została śledczym. Jakby to zajęcie było zarezerwowane wyłącznie dla ludzi szarych i pospolitych.

Zazwyczaj udawała, że niczego nie zauważa, jednak teraz zerknęła na niego spod łba. Natychmiast uciekł wzrokiem w bok.

Bez względu na to, czego ci z WDD od niej chcieli, prośba o przeniesienie nadeszła w bardzo złym momencie; Dupree miał co do tego rację. „Ale może to pani jest ich zadaniem” – powiedział i chociaż nie potraktowała jego słów poważnie, myśl ta bardzo ją dręczyła. Absurd. Co to, u diabła, miało znaczyć? Była pewna, że Arliss Dupree siedzi teraz w swoim gabinecie i rycząc ze śmiechu, spekuluje na ten temat z kumplami od kieliszka.

Drzwi się otworzyły i weszła do bogato urządzonego, wykładanego marmurem holu, który mógłby być holem drogiej kancelarii adwokackiej. Na ścianie po prawej stronie dostrzegła godło Departamentu Sprawiedliwości. Odwiedzający ten przybytek goście musieli wcisnąć guzik interkomu i czekać. Wcisnęła przycisk i zerknęła na zegarek. Dwadzieścia pięć po jedenastej: przyszła pięć minut przed czasem. Zawsze była dumna ze swojej punktualności.

Kobięcy głos spytał ją o nazwisko, zabrzączał elektryczny zamek i powitała ją atrakcyjna, ciemnoskóra recepcjonistka o włosach przyciętych w szereg kantów i kancików. Bardzo szykownie, pomyślała Anna. Jak na kogoś, kto pracuje dla rządu,

nawet zbyt szykownie.

Kobieta otaksowała ją chłodnym spojrzeniem i wskazała jej krzesło. Mówiła z leciutkim jamajskim akcentem.

W porównaniu z holami, tym na dole i tym na górze, które urządzono z paradnym przepychem, wewnątrz biura było wręcz sterylne i pedantycznie uporządkowane. Na podłodze leżał perłowy dywan, jakiego Anna nie widziała w żadnej instytucji rządowej. Poczekalnia była oświetlona baterią halogenowych lamp, które nie rzucały najmniejszego cienia. Na ścianie wisiało zdjęcie prezydenta USA i prokuratora generalnego, w oprawie z lakierowanej stali. Krzesła i stolik do kawy zrobiono z twardego, jasnego drewna. Wydawało się, że wszystkie meble i skromne ozdoby są nowe, dziewiczo czyste, jakby przed chwilą wyjęto je ze skrzyń.

Zauważyła hologramowe naklejki na faksie i telefonie stojącym na biurku recepcjonistki – znak, że linie są czyste, a wszelkie przekazy kodowane zgodnie z zatwierdzonymi przez rząd wymogami.

Od czasu do czasu cichutko mruczał telefon. Recepcjonistka – ze słuchawkami na głowie – mówiła głosem miękkim i przyciszonym. Pierwsze dwa telefony były po angielsku; trzeci pewnie po francusku, gdyż odpowiedziała w tym języku. Dwa kolejne znowu po angielsku, a potem zadzwonił ktoś, z kim rozmawiała językiem tak szeleszczącym i mlaskliwym, że Anna z trudem go rozpoznała. Ponownie zerknęła na zegarek, powierciła się chwilę na twardym krześle i spojrzała na recepcjonistkę.

–To baskijski, prawda? – Strzelała, choć było to coś więcej niż zwykły domysł, ale mniej niż absolutna pewność.

Kobieta odpowiedziała jej lekkim skinieniem głowy i afektowanym uśmiechem.

–Jeszcze tylko chwilę, panno Navarro.

Uwagę Anny przykuło wysokie, drewniane przepierzenie za jej stanowiskiem pracy. Dochodziło niemal do ściany i z wymaganej przepisami tabliczki z napisem WYJŚCIE domyśliła się, że prowadzi na klatkę schodową. Było znakomicie wkomponowane w wystrój wnętrza, a pracownicy wydziału oraz ich goście mogli dzięki niemu przyjść i wyjść z biura niezauważeni przez tych, którzy czekali w poczekalni. Chryste, cóż to za bajery?

Minęło kolejne pięć minut.

–Czy pan Bartlett wie, że już przyszedłem? – spytała.

Recepcjonistka spojrzała na nią z kamiennym wyrazem twarzy.

–Właśnie kończy rozmowę.

Anna usiadła, żałując, że nie zabrała niczego do czytania. Nie miała nawet „Posta”, a wyglądało na to, że tej dziewiczo czystej poczekalni zabrudzić nie może żadna książka czy gazeta. Wzięła długopis, wyjęła z kieszeni pokwitowanie z bankomatu i zaczęła sporządzać listę rzeczy do zrobienia.

Recepcjonistka przytknęła palec do ucha i lekko skinęła głową.

–Dyrektor prosi. – Wyszła zza lady i poprowadziła ją korytarzem, mijając po drodze szereg opatrzonych tabliczkami drzwi. Zamiast nazwisk na tabliczkach widniały numery, wyłącznie numery. W końcu przystanąła w połowie korytarza, otworzyła drzwi z napisem Dyrektor – te nie miały tabliczki z numerem – i

wprowadziła ją do najporządniejszego gabinetu, jaki Anna kiedykolwiek widziała. Na stojącym w głębi stole spoczywały równolegle ułożone pliki dokumentów.

Zza wielkiego orzechowego biurka wyszedł drobny, siwowłosy mężczyzna w eleganckim, granatowym garniturze i wyciągnął do niej, delikatną rękę. Anna zauważyła bladoróżowe półksiężycy jego starannie wypielęgnowanych paznokci i zaskoczyła ją siła uścisku jego dłoni. Zauważyła też, że blat biurka jest zupełnie pusty, nie licząc kilku zielonych teczek i czarnego, błyszczącego telefonu. Na ścianie za biurkiem wisiała wyłożona aksamitem gablota z dwoma antycznymi zegarkami kieszonkowymi. Był to jedyny ekscentryczny element w tym ascetycznym wnętrzu.

–Strasznie mi przykro, że musiała pani tak długo czekać. – Trudno było powiedzieć, ile ma lat, ale na pewno przekroczył już sześćdziesiątkę. Nosił wielkie, okrągłe okulary w cielistych oprawkach, dlatego oczy miał jak sowa.

–Wiem, jak bardzo jest pani zajęta. To bardzo miło, że zechciała pani przyjść.

–Mówił cicho, tak cicho, że jego głos ginął w monotonnym szumie klimatyzatora.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni, że poświęciła nam pani swój cenny czas.

–Szczerze mówiąc – odparła oschle – nie wiedziałam, że mogę odmówić.

Bartlett uśmiechnął się, jakby powiedziała coś zabawnego.

–Proszę, zechce pani usiąść. – Wskazał jej krzesło z wysokim oparciem naprzeciwko biurka.

Anna usiadła.

–Mówiąc otwarcie, bardzo ciekawi mnie, dlaczego tu jestem.

–Mam nadzieję, że nie sprawiliśmy pani kłopotu – powiedział Bartlett, składając ręce jak do modlitwy.

–Mniejsza o kłopoty – odrzekła i silnym, donośnym głosem dodała: – Chętnie odpowiem na pańskie pytania.

Bartlett skinął głową.

–Taką mam nadzieję. Obawiam się jednak, że nie na wszystkie. Szczerze powiedziawszy, już same pytania bardzo by nam pomogły – gdybyśmy tylko potrafili je sformułować. Rozumie pani, co chcę powiedzieć?

–Pozwoli pan, że wrócę do mojego pytania – odrzekła z tłumioną niecierpliwością Anna. – Co ja tu robię?

–Proszę mi wybaczyć. Pewnie uważa pani, że wyrażam się niejasno, niezrozumiale i doprowadza to panią do szału. Ma pani rację. Bardzo przepraszam. To zboczenie zawodowe. Zbyt dużo czasu spędzam w samotności, z papierami i papierkami. Brak mi ożywczej stymulacji rzetelnego doświadczenia. Ale doświadczenie będzie pani wkładem. Pozwoli pani, że zadam jej pytanie: czy wie pani, czym się tu zajmujemy?

–Tu, to znaczy w Wydziale Dochodzeń Departamentalnych? Prowadzicie wewnętrzne dochodzenia kontrolne, z tym że są to dochodzenia ściśle tajne.

Wiedziała trochę więcej, jednak doszła do wniosku, że lepiej zachować powściągliwość. Zdawała sobie sprawę, że za tą dość enigmatyczną nazwą kryje się tajna, niezwykle potężna i wpływowa agencja śledcza, że agencja ta prowadzi dochodzenia i kontrole amerykańskich instytucji rządowych, których te przeprowadzić nie są w stanie, i które dotyczą bardzo delikatnych spraw.

Powiadano, że agenci WDD byli mocno zaangażowani w śledztwo mające wyjaśnić powody fiaska sprawy Aldricha Amesa z CIA, że rozgryzali sprawę Iran-Contras za kadencji Reagana, że rozpracowali szereg skandali związanych z zakupem sprzętu wojskowego przez Departament Obrony. To -właśnie pracownicy WDD -jak szeptano po kątach -jako pierwsi wpadli na trop podejrzonej działalności Roberta Philipa Hanssena z kontrwywiadu FBI. Krążyły pogłoski, że współpracowali również ze słynnym „Głębokim. Gardłem” i byli autorami przecieków, które doprowadziły do upadku Richarda Nixona.

Bartlett zapatrzył się w dal.

–Zasadniczo rzecz biorąc, techniki śledcze są wszędzie takie same – powiedział po chwili milczenia. – Inny jest tylko zakres kompetencji, zasięg operacyjny. My zajmujemy się sprawami dotyczącymi bezpieczeństwa narodowego.

–Właśnie – wtrąciła szybko Anna. – Nie mam takich uprawnień.

Bartlett pozwolił sobie na lekki uśmiech.

–Już je pani ma.

Czyżby poszerzyli jej uprawnienia, a ona nic o tym nie wiedziała?

–Wszystko jedno, to nie moja działka.

–Chyba niezupełnie, prawda? Cofnijmy się w czasie do zeszłego roku. Kod trzydzieści trzy: śledztwo w sprawie członka Krajowej Rady Bezpieczeństwa...

–Skąd pan, u diabła, o tym wie? – wypaliła Anna, chwytając się oparcia krzesła. – Przepraszam. Ale skąd? To miało być ściśle tajne i nieoficjalne, domagał się tego prokurator generalny.

–Ściśle tajne i nieoficjalne według was – odparł Bartlett. – Ale my też mamy swoje sposoby. Joseph Nesbett, prawda? Pracował w Harvardzkim Centrum Rozwoju Gospodarczego, potem dostał lepszą posadę w Departamencie Stanu, a jeszcze później wylądował w Krajowej Radzie Bezpieczeństwa. Całkiem nieźle, prawda? Podejrzewam, że gdyby dano mu święty spokój, do niczego by nie doszło, ale tak się przypadkiem złożyło, że miał zachłanną żonę, która bardzo lubiła pieniądze. Kosztowne gusta jak na pracownika rządowego, prawda? Skutek? Godny pożałowania: zagraniczne konta bankowe, sprzeniewierzenie funduszy państwowych i tak dalej.

–Gdyby sprawa wyszła na jaw, następstwa byłyby katastrofalne – powiedziała Anna. – Osłabienie stosunków zagranicznych w bardzo delikatnym dla nas momencie...

–Nie wspominając już o żenującej sytuacji, w jakiej znalazłaby się cała administracja.

–Tym się nie kierowałam – odparła oschle Anna. – Polityka mnie nie interesuje. Jeśli myśli pan inaczej, to mnie pan nie zna.

–Pani i pani koledzy postąpiliście dokładnie tak, jak należało postąpić. Podziwialiśmy pani pracę. To było bardzo zręczne. Bardzo zręczne.

–Dziękuję, ale skoro jest pan tak dobrze zorientowany, na pewno wie pan również, że to nie moja działka.

–Pozwoli pani, że pozostanę przy swoim zdaniu. Wykonała pani niezwykle

delikatne zadanie, zachowując przy tym najwyższą dyskrecję. Naturalnie wiem, czym zajmuję się pani na co dzień. Pracownik urzędu skarbowego podejrzany o malwersację. Agent FBI i jego prywatna wendeta. Niedogodności związane z programem ochrony świadków... Tak, to było małe, ale wielce interesujące ćwiczenie. Musiała pani wykorzystać swoje umiejętności kryminologiczne. Ginie świadek w sprawie przeciwko mafii, a pani – i to w pojedynkę – udowadnia, że stał za tym pracownik Departamentu Sprawiedliwości.

–Miałam szczęście, i tyle – odrzekła beznamietnie Anna.

–Ludzie szczęściu muszą pomóc, panno Navarro – odrzekł bez uśmiechu Bartlett. – Sporo o pani wiemy. Wiemy więcej, niż może pani sobie wyobrazić. Ma pani w kieszeni wyciąg z bankomatu, na którym przed chwilą coś pani notowała: znamy stan pani konta. Wiemy, kim są pani przyjaciele i kiedy ostatni raz dzwoniła pani do domu. Wiemy, że w przeciwieństwie do nas wszystkich, ani razu nie zawyżyła pani kosztów własnych i kosztów pod rózę, że pani zestawienia są zawsze dokładne i uczciwe. – Zamilkł i zmrużył oczy. – Przepraszam, jeśli poczuła się pani nieswojo, ale przecież dobrze pani wie, że rozpoczynając pracę w Urzędzie do Badań Specjalnych, podpisując te wszystkie załączniki i klauzule, dobrowolnie zrzekła się pani prawa do prywatności. Tak czy inaczej, fakt pozostaje faktem: jakość pani pracy jest zawsze najwyższej próby, bardzo często próby wprost niezwykłej.

Anna uniosła brew, lecz nie powiedziała ani słowa.

–Hmm, widzę, że jest pani zaskoczona – kontynuował Bartlett. – Już mówiłem, mamy swoje sposoby. Mamy również pani arkusz ocen. Zważywszy istotę problemu, przed którym stoimy, natychmiast widać z niego, że tym, co panią wyróżnia, jest szczególnie kombinacja umiejętności. Zna pani nie tylko standardowe techniki śledczo-dochodzeniowe, ale jest pani również kryminologiem, specjalistką od zabójstw. Są to kwalifikacje doprawdy wyjątkowe, rzekłbym unikalne. Ale wracając do sprawy. Uczciwie przyznaję, że sprawdziliśmy panią najdokładniej, jak potrafiłmy. Wszystko, co pani powiem, każde stwierdzenie, zapewnienie, przypuszczenie, każda sugestia i każde domniemanie, uzna pani za ściśle tajne. Czy dobrze się rozumiemy?

Anna kiwnęła głową.

–Słucham.

–Znakomicie. – Bartlett podał jej kartkę papieru z jedenastoma nazwiskami, datami urodzenia i adresami.

–Nie rozumiem. Mam się z tymi ludźmi skontaktować?

–Nie, chyba że umie pani korzystać z tablicy Ouija, takiej do seansów spirytystycznych. Ci ludzie już nie żyją. Odeszli z tego padole łez w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Jedni, jak pani widzi, w Stanach Zjednoczonych, inni w Szwajcarii, jeszcze inni w Anglii, we Włoszech, w Hiszpanii, Szwecji, Grecji... Umarli z przyczyn naturalnych. Podobno.

Anna spojrzała na listę. Dwa nazwiska znała: Philip Lancaster, członek znanej rodziny Lancasterów, do której należały kiedyś niemal wszystkie huty w kraju, a która teraz znana była z funduszków stypendialnych oraz innych form działalności charytatywnej; szczerze mówiąc, myślała, że facet już dawno nie żyje. I Nico Xenakis

z rodziny greckich armatorów. Xenakisa znała głównie z jego powiązań z innym przedstawicielem tej samej rodziny, słynnym rozpustnikiem z lat sześćdziesiątych, podrywaczem wschodzących gwiazdek filmowych, którego twarz długo nie schodziła z pierwszych stron hollywoodzkich brukowców. Pozostałe nazwiska nic jej nie mówiły. Spojrzała na daty urodzenia i stwierdziła, że wszyscy byli bardzo starzy, że umierając, mieli siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilka lat.

–Może eksperci z WDD jeszcze o tym nie wiedzą – powiedziała – ale kiedy ma się na karku dziewiąty krzyżyk... Cóż, każdy kiedyś odchodzi.

–Boję się, że w żadnym z tych przypadków ekshumacja nie wchodzi w grę – kontynuował nieporuszony Bartlett. – Może jest tak, jak pani mówi. Ot, zrobili to, co zrobią kiedyś wszyscy starcy. Niestety, nie możemy udowodnić, że było inaczej. Ale kilka dni temu uśmiechnęło się do nas szczęście. Zupełnie pro forma zamieściliśmy wykaz nazwisk na liście naszych „służb wartowniczych”; to jedna z tych międzynarodowych konwencji, na które nikt nie zwraca najmniejszej uwagi. Otóż najświeższym zgonem z tego cyklu jest zgon pewnego emeryta z Nowej Szkocji. Nasi kanadyjscy przyjaciele są wielkimi formalistami, dlatego w porę podnieśli alarm. W tym przypadku mamy do dyspozycji zwłoki. Dokładniej mówiąc, pani je ma.

–Czuję, że nie wszystko mi pan powiedział. Co tych ludzi łączy?

–Na każde pytanie można udzielić odpowiedzi ogólnikowej i wyczerpującej. Ja przedstawię pani odpowiedź ogólnikową, ponieważ innej nie znam. Otóż kilka lat temu przeprowadzaliśmy kontrolę starych akt CIA. Dostaliśmy cynk? Powiedzmy, że tak. Proszę pamiętać, że nie są to akta operacyjne, akta agentów czy bezpośrednich informatorów. Nie, są to akta z wnioskami o poszerzenie kompetencji. Wszystkie oznaczono kryptonimem „Sigma”, prawdopodobnie w nawiązaniu do jakiejś operacji. Rzecz w tym, że w kartotekach CIA nie ma o niej żadnej wzmianki. Nie wiemy, po co ją przeprowadzono, kiedy ani gdzie.

–Akta z wnioskami o poszerzenie kompetencji? – powtórzyła Anna.

–Tak. Oznacza to, że dawno temu wszystkich tych ludzi dokładnie prześwietlono i wtajemniczono w coś, o czym nie mamy zielonego pojęcia.

–A cynk dostaliście pewnie od archiwisty CIA.

–Autentyczność każdej teczki została potwierdzona przez naszych najlepszych specjalistów – odrzekł wymijająco Bartlett. – To są stare, bardzo stare akta. Pochodzą z połowy lat czterdziestych, kiedy CIA jeszcze nie istniała.

–Chce pan powiedzieć, że założył je OSS – Urząd Służb Strategicznych?

–Otóż to. Poprzednik CIA. Wiele z nich powstało w połowie lat czterdziestych, na początku zimnej wojny. Ostatnie pochodzą z połowy lat pięćdziesiątych... Ale odbiegłem od tematu. Jak już wspomniałem, zgony tych jedenastu starców układają się w dziwny wzór. Oczywiście sprawa ta byłaby jedynie kolejnym znakiem zapytania na kartce usianej identycznymi znakami, gdybyśmy nie zauważyli, że wzór ten można skorelować z aktami Sigmy.

Nie wierzę w przypadki – a pani, panno Navarro? Jedenastu mężczyzn wymienionych w aktach Sigmy umiera w krótkim czasie. Przypadek? Moim zdaniem prawdopodobieństwo przypadku jest tu co najmniej... nikłe.

Anna niecierpliwie skinęła głową. Doszła do wniosku, że Duch widzi duchy.

–Jak długo to może potrwać? – spytała. – Mam mnóstwo pracy.

–To jest pani praca, panno Navarro. Została pani oficjalnie przeniesiona.

Złatwiliśmy wszystkie formalności. Czy rozumie pani swoje zadanie? – Złagodniał mu wzrok. – Widzę, że nie przyprawia to pani o bicie serca.

Anna wzruszyła ramionami.

–Ciągle wracam do faktu, że wszyscy ci mężczyźni są już w wieku, że tak powiem, poborowym. Starcy umierają, prawda? Oni byli starzy.

–A śmierć pod kołami powozu była w dziewiętnastowiecznym Paryżu rzeczą dość powszechną.

Anna zmarszczyła czoło.

–Słucham?

Bartlett odchylił się w fotelu.

–Słyszała pani o Francuzie nazwiskiem Claude Rochat? Nie? Często o nim myślę. Nudny, obowiązkowy, uparty, pozbawiony wyobraźni człowiek, który w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku pracował w Directoire, we francuskim wywiadzie. W roku 1867 jego uwagę przykuł fakt, że w ciągu dwóch tygodni zginęło dwóch nie znających się wzajemnie pracowników Dyrektoriatu, urzędników niższego szczebla: jeden padł ofiarą ulicznego napadu rabunkowego, drugiego stratowały konie pocztowozu. Jak już wspomniałem, tego rodzaju wypadki zdarzały się wtedy bardzo często. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Mimo to sprawa nie dawała Rochatowi spokoju, zwłaszcza kiedy odkrył, że w chwili śmierci obaj urzędnicy mieli przy sobie kosztowne, złote zegarki kieszonkowe. Mało tego, były to zegarki identyczne, gdyż ich koperty ozdobiono takimi samymi, bardzo pięknymi krajobrazami z emalii komórkowej. Osobliwy przypadek, niby bez znaczenia, a jednak na tyle zagadkowy, że całkowicie go pochłonął i to do tego stopnia, że, ku rozdrażnieniu przełożonych, na wyjaśnienie sprawy poświęcił aż cztery lata. I wreszcie odkrył niezwykle skomplikowaną i wyrafinowaną siatkę szpiegowską: okazało się, że Dyrektoriat jest penetrowany i manipulowany przez pruskich agentów. – Bartlett zauważył, że zerknęła na przeszkloną gablotę. – Tak, to właśnie te zegarki. Prawdziwe arcydzieło sztuki zegarmistrzowskiej. Kupiłem je na aukcji przed dwudziestoma laty. Lubię na nie patrzeć. Dzięki nim wciąż o tym pamiętam.

Zamknął oczy i pogрузzył się w zadumie.

–Naturalnie zanim Rochat zakończył śledztwo, było już za późno. Dzięki przebiegłej, bardzo umiejętnie przeprowadzonej akcji dezinformacyjnej agentów Bismarcka Francja przystąpiła do wojny. „Na Berlin! – krzyczano. – Na Berlin!” Skutki były katastrofalne, dla Francji oczywiście: w ciągu zaledwie dwóch miesięcy straciła militarny prymat w Europie, którym cieszyła się od bitwy pod Rocroi w 1643 roku. Może to pani sobie wyobrazić? Armia dowodzona przez samego cesarza prze prosto w zmyślną zasadzkę pod Sedanem. Nie trzeba dodawać, że był to również koniec Napoleona III. Francuzi stracili Alzację i Lotaryngię, musieli zapłacić gigantyczne reparacje i przez dwa lata znosić obecność pruskich okupantów. Był to

druzgocący cios, który nieodwracalnie zmienił bieg europejskiej historii. A zaledwie kilka lat wcześniej Claude Rochat trzymał w ręku koniec cieniutkiej, cieniuteńkiej nici, nie wiedząc, dokąd go ta nić zaprowadzi, nie wiedząc nawet, czy zaprowadzi go dokądkolwiek. Ot, dwóch urzędników niskiego szczebla i dwa identyczne zegarki. – Bartlett roześmiał się, w każdym razie tak to zabrzmiało. – To, co wygląda na rzecz nieistotną, w większości przypadków jest rzeczą nieistotną. W większości przypadków, panno Navarro, tylko w większości przypadków. Na tym właśnie polega moja nudna praca. Na przyglądaniu się owym cieniutkim niciom. Na wychwytywaniu drobniutkich nieścisłości, maleńkich podobieństw, które mogą doprowadzić do wykrycia podobieństw olbrzymich. Najważniejszy obowiązek, jakim mnie obarczono, jest najmniej fascynujący ze wszystkich możliwych obowiązków. – Uniósł brew. – Szukam pasujących do siebie zegarków.

Anna milczała. Duch w pełni potwierdził swoją reputację: był tajemniczy, zagadkowy i beznadziejnie enigmatyczny.

–Dziękuję za lekcję historii – odrzekła po chwili – ale mnie bardziej interesuje terażniejszość. Skoro uważa pan, że po tylu latach akta te wciąż mają jakieś znaczenie, dlaczego nie zwróci się pan do CIA? Oni chętnie by to sprawdzili.

Bartlett wyjął z kieszeni starannie zaprasowany płatek jedwabiu i zaczął czyścić nim okulary.

–Sytuacja jest trochę niezręczna – odrzekł. – Wydział Dochodzeń Departamentalnych interweniuje tylko wówczas, gdy istnieje niebezpieczeństwo ingerencji wewnętrznej, którą mogłaby uniemożliwić przeprowadzenie rzetelnego śledztwa. Na tym poprzestańmy – dodał z nutką protekcjonalności w głosie.

–Wykluczone – warknęła Anna. Takim tonem nie rozmawiało się z szefem wydziału, zwłaszcza wydziału tak potężnego jak WDD, lecz uległość nie leżała w jej naturze. Poza tym chciała, żeby Bartlett już teraz wiedział, kogo zamierza zatrudnić, – Z całym szacunkiem, panie dyrektorze, ale rozważa pan możliwość, że za śmiercią tych jedenastu ludzi stoi ktoś, kto pracuje lub pracował w CIA.

Dyrektor Wydziału Dochodzeń Departamentalnych lekko zbladł.

–Tego nie powiedziałem.

–Ale i nie zaprzeczył pan.

Bartlett westchnął.

–Ludzki ród powstał z krzywego pnia, panno Navarro, a z krzywego pnia nigdy nie zrobi się nic prostego. – Ściągnięte usta, wymuszony uśmiech.

–Skoro uważa pan, że grozi im dekonspiracja i kompromitacja, dlaczego nie pójdzie pan do FBI?

Bartlett cicho prychnął.

–A może od razu pójdziemy do Associated Press? Federalne Biuro Śledcze ma wiele niewątpliwych zalet, lecz dyskrecja na pewno do nich nie należy. Jestem pewien, że rozumie pani, z jak bardzo delikatną sprawą mamy do czynienia. Im mniej ludzi o niej wie, tym lepiej. Dlatego nie chcę angażować w to specjalnego zespołu. Wystarczy jedna osoba. Mam nadzieję, że będzie to osoba odpowiednia, panno Navarro.

–Jeśli nawet tych ludzi zamordowano, jest wysoce nieprawdopodobne, że kiedykolwiek znajdziemy mordercę. Mam nadzieję, że pan o tym wie.

–To standardowa, biurokratyczna odpowiedź, a pani nie wygląda na biurokratkę. Pan Dupree twierdzi, że jest pani „upartą indywidualistką”. Właśnie takiej kandydatki szukałem.

–Żąda pan, żebym zadarła z CIA, do tego się to sprowadza. Chce pan, żebym ustaliła, czy tych ludzi zamordowano i...

–Zebrała dowody, które pozwolą nam przeprowadzić dochodzenie. – Zalśniły mu szare oczy. – Bez względu na to, kto jest w tę sprawę zamieszany. Czy to jasne?

–Jak cholera – mruknęła Anna.

Miała doświadczenie, umiała rozmawiać i ze świadkami, i z podejrzanymi. Czasami wystarczyło tylko słuchać, ale czasem trzeba było faceta dźgnąć, szturchnąć, sprowokować do odpowiedzi. Cała sztuka polegała na wyborze odpowiedniego momentu. Opowieść Bartletta była usiana dziurami, pełna luk i niedomówień. Wiedziała, że jest starym, przebiegłym biurokratą; rozumiała, że kierują nim zawodowe odruchy, lecz doświadczenie mówiło jej, że dobrze jest wiedzieć więcej niż tylko to, co wiedzieć się musi.

–Nie zamierzam grać w ciuciubabkę – powiedziała.

Bartlett szybko zamrugał.

–Słucham?

–Akta Sigmy. Na pewno je pan ma, na pewno dokładnie je pan przejrzał, mimo to twierdzi pan, że nic pan o tej Sigmie nie wie.

–Do czego pani zmierza? – spytał chłodno.

–Pokaże mi pan te akta czy nie?

Na jego ustach zagościł trupi uśmiech.

–Nie. To niemożliwe.

–Dlaczego?

Bartlett ponownie włożył okulary.

–To nie mnie ma pani przesłuchać, panno Navarro, chociaż szczerze podziwiam pani taktykę. Tak czy inaczej, ufam, że w sprawie najważniejszej wyraziłem się jasno.

–Nie, do cholery, zupełnie niejasno! Zna pan te akta. Jeśli nawet nie wie pan, co z nich wynika, ma pan na pewno jakieś podejrzenia, może pan wysnuć jakąś mądrą hipotezę, cokolwiek. Twarz pokerzysty niech pan zachowa na wtorkową partyjkę z kumplami. Ja w pokera nie gram.

Bartlett w końcu nie wytrzymał.

–Na litość boską! – wybuchnął. – Jest pani doświadczona na tyle, by wiedzieć, że chodzi tu o reputację najbardziej znaczących postaci ery powojennej! To są akta z wnioskami o poszerzenie uprawnień i jako takie niczego nie dowodzą, nie wnoszą niczego istotnego. Przed tą rozmową dokładnie panią przeświatliliśmy: i co? Czy znaczy to, że ma pani prawo wtykać nos w moje sprawy? Wierzę, że jest pani dyskretna, ale rozmawiamy tu zarówno o prominentach, jak i o osobach zupełnie nieznanym. Nie może pani wchodzić z butami w ich sprawy, nawet jeśli są to buty leciutkie i eleganckie.

Anna uważnie wsłuchiwała się w jego spięty głos.

–Mówi pan o reputacji, ale to nie o ich reputację tu chodzi, prawda? Muszę wiedzieć więcej! Muszę mieć coś, na czym mogłabym się oprzeć!

Bartlett pokręcił głową.

–To tak, jakby próbowała pani zrobić drabinkę linową z pajęczej sieci. Nie ustaliliśmy niczego konkretnego. Pół wieku temu coś zaczęło się wykluwać. Coś. Rozumie pani? Coś, co dotyczyło bardzo żywotnych interesów. Ta lista to kuriozalny zbiór postaci: wiemy, że niektórzy z nich to przemysłowcy, pełnej tożsamości innych nie udało nam się nawet ustalić. Łączy ich jedno, to, że jeden z założycieli CIA, ktoś, kto w latach czterdziestych i pięć

dziesiątych miał olbrzymią władzę, bezpośrednio się nimi zainteresował. Chciał ich zwerbować? Namierzyć? Wszyscy gramy w ciuciubabkę, panno Navarro, jednak wygląda na to, że rozpoczęto wówczas przedsięwzięcie o wyjątkowym stopniu tajności. Pyta pani, co tych ludzi łączy. Otóż nie wiemy. Po prostu nie wiemy. – Gestem pedanta poprawił spinki do mankietów. – Można powiedzieć, że wciąż jesteśmy na etapie zegarków kieszonkowych Claude'a Rochata.

–Bez urazy, ale ta lista to lista nazwisk sprzed pół wieku!

–Była pani w Sommie? – spytał nagle Bartlett z błyskiem w oku. – Powinna pani kiedyś tam pojechać, choćby tylko po to, żeby popatrzeć na rosnące w zbożu maki. Bywa, że któryś z tamtejszych rolników ścina dąb, siada na pniu, następnie choruje i umiera. Wie pani dlaczego? Ponieważ podczas pierwszej wojny światowej toczyła się tam bitwa, a podczas tej bitwy zastosowano gaz musztardowy. Młode drzewko wchłonęło truciznę, która dziesiątki lat później jest nadal wystarczająco silna, żeby zabić człowieka.

–I uważa pan, że taka właśnie jest Sigma?

Bartlett przeszył ją wzrokiem.

–Powiadają, że im więcej człowiek wie, tym częściej zdaje sobie sprawę, że nie wie właściwie nic. A ja? Im więcej wiem, tym bardziej się niepokoję, ilekroć natrafiam na coś, czego nie wiem. Próżność, ostrożność: niech pani nazywa to sobie, jak chce. – Posłał jej blady uśmiech. – Krzywy pień, panno Navarro, wszystko sprowadza się do krzywego pnia, z którego powstał nasz ród. Wiem, brzmi to dla pani jak pradawna bajka, i być może tak jest. Wróci tu pani i powie, że miałem rację.

–Wątpię.

–Dobrze. Będzie się pani kontaktowała z przedstawicielami różnych agencji rządowych, w tym z policją: dla nich ma to być zupełnie jawne śledztwo w sprawie o zabójstwo. A skąd to nagle zainteresowanie agentki Urzędu do Badań Specjalnych? Wyjaśni to pani bardzo lapidarnie: nazwiska te pojawiły się podczas dochodzenia w sprawie oszukańczego transferu pewnych funduszy. Gwarantuję, że o szczegóły nikt nie będzie wypytywał. Przykrywka prosta i skuteczna, innej nie potrzeba.

–Poprowadzę śledztwo tak, jak mnie uczono – odparła ostrożnie Anna. – Tylko tyle mogę obiecać.

–O nic więcej nie proszę – odrzekł łagodnie Bartlett. – Kto wie, może się okazać, że nie bez racji była pani tak sceptyczna. Ale cóż, chciałbym mieć pewność. Proszę

jechać do Nowej Szkocji i przekonać mnie, że Robert Mailhot umarł z przyczyn naturalnych. Albo że ktoś go zamordował.

Rozdział 4

Zawieźli go do komendy głównej Kantonspolizei, policji kantonu Zurych, brudnego, lecz eleganckiego kamiennego gmachu przy Zeughaus-strasse. Dwóch młodych, milczących policjantów przeprowadziło go przez podziemny garaż i kilka minut później, zaliczywszy serię długich, krętych schodów, znaleźli się we względnie nowoczesnym budynku, przylegającym do tego od ulicy. Jego wnętrze przypominało wnętrze amerykańskiej szkoły średniej z połowy lat siedemdziesiątych; Na każde pytanie, jakie im zadawał, policjanci odpowiadali wzruszeniem ramion.

Oni wzruszali ramionami, a on gorączkowo myślał. To, że Cavanaugh szedł wtedy Bahnhofstrasse, nie było kwestią przypadku. Cavanaugh przyjechał do Zurychu celowo, po to, żeby go zamordować. Zwłoki zniknęły: usunięto je szybko i fachowo, a pistolet podrzucono do jego torby. Było oczywiste, że współdziałali z nim inni, najpewniej doświadczeni zawodowcy. Ale kto? I dlaczego?

Najpierw wprowadzono go do małego, oświetlonego jarzeniówkami pomieszczenia i posadzono za stołem z nierdzewnej stali. Policjanci stanęli przy drzwiach i po chwili do pomieszczenia wszedł mężczyzna w białym kitlu. "*Ihre Hande, bitte*" - rzucił, nie patrząc mu w oczy. Ben wyciągnął ręce. Wiedział, że nie ma sensu z nim dyskutować. Technik popsikał mu dłonie sprejem z plastikowej butelki, następnie sięgnął po patyczek higieniczny, lekko, ale starannie przetarł mu wierzch dłoni, po czym włożył patyczek do plastikowej probówki. Zrobił to samo z wewnętrzną stroną dłoni, a potem zajął się drugą ręką. Cztery patyczki, cztery probówki – skończywszy, wziął je i wyszedł.

Kilka minut później wprowadzono go do miłego, skromnie urządzonego gabinetu na drugim piętrze, gdzie czekał krępy, barczysty mężczyzna w cywilu. Przedstawił się jako Thomas Schmid, detektyw z wydziału zabójstw. Miał szeroką, dzióbatą twarz i bardzo krótkie włosy z krótką grzywką. Nie wiedzieć czemu Benowi przypomniały się słowa pewnej kobiety, którą poznał kiedyś w Gstaad: powiedziała, że szwajcarskich policjantów nazywano *bullen*, „bykami”, i dzięki temu facetowi wiedział już, dlaczego.

Schmid zaczął mu zadawać pytania: imię, nazwisko, data urodzenia, numer paszportu i tak dalej. Siedział przy komputerze i jednym palcem wystukiwał odpowiedzi. Z szyi zwisały mu okulary do czytania.

Ben był zły, zmęczony, sfrustrowany i zaczynało brakować mu cierpliwości. Z trudem zachowywał lekki ton głosu.

–Jestem aresztowany?

–Nie, proszę pana.

–W takim razie cóż, miałem kupę zabawy, ale chciałbym już wrócić do hotelu.

–Jeśli pan sobie życzy, chętnie pana aresztujemy; mamy tu bardzo wygodną celę – odrzekł beznamiętnie detektyw; z cieniem złośliwego uśmiechu na ustach. – Ale o wiele prościej będzie załatwić to spokojnie i po przyjacielsku.

–Ale chyba wolno mi zatelefonować, prawda?

Schmid podniósł ręce, otworzył dłonie i afektowanym gestem wskazał beżowy telefon na brzegu zawalonego dokumentami biurka.

–Może pan zadzwonić albo do konsulatu, albo do adwokata. Jak pan chce.

–Dziękuję. – Ben podniósł słuchawkę i zerknął na zegarek. W Nowym Jorku było wczesne popołudnie. Adwokaci Funduszu Kapitałowego Hartmana zajmowali się podatkami i papierami wartościowymi, dlatego postanowił zatelefonować do przyjaciela, który specjalizował się w prawie międzynarodowym.

On i Hawie Rubin byli kiedyś członkami tej samej drużyny narciarskiej i bardzo się zaprzyjaźnili. Hawie odwiedził go kilka razy w Bedford, w Dniu Dziękczynienia, i jak niemal wszyscy kumple zapalał wielką sympatią do jego matki.

Był na lunchu, w restauracji, lecz sekretarka przełączyła Bena na komórkę. Odgłosy w tle prawie uniemożliwiały rozmowę.

–Chryste – przerwał mu Howie; ktoś siedzący tuż obok niego głośno perorował. – Dobra, powiem ci to, co mówię wszystkim klientom, którzy dają się aresztować na urlopie w Szwajcarii. Zaciśnij zęby, uśmiechaj się i wytrzymaj. Nie zadzieraj nosa i się nie wywyższaj. Nie odgrywaj oburzonego Amerykanina. Nikt nie udupi cię przepisami i regulaminami skuteczniej niż Szwajcarzy.

Ben zerknął na Schmida, który stukał na komputerze i bez wątpienia podsłuchiwał.

–Wiem, już to do mnie dotarło. W takim razie co mam robić?

–W Szwajcarii jest tak, że bez żadnej przyczyny mogą cię zamknąć na dwadzieścia cztery godziny.

–Żartujesz.

–A jeśli ich wkurzysz, wpakują cię na noc do małej, brudnej celi, więc lepiej bądź grzeczny.

–Co mi radzisz?

–Hartman, chłopie, potrafisz obłaskawić wściekłego psa, dlatego po prostu bądź sobą. W razie jakichś problemów, natychmiast dzwoń, a ja za grożę im międzynarodowym incydentem. Jeden z moich współników robi w szpiegostwie przemysłowym i ma dostęp do takich informacji, że łeb pęka. Wejdziemy do bazy danych, znajdziemy Cavanaugha i sprawdzimy, co to za facet. Daj mi numer telefonu, pod którym można cię teraz złapać.

Kiedy Ben odłożył słuchawkę, Schmid zaprowadził go do sąsiedniego pokoju i posadził za biurkiem, gdzie stał kolejny komputer.

–Czy to pańska pierwsza wizyta w Szwajcarii? – spytał uprzejmie jak przewodnik po Zurychu.

–Nie – odrzekł Ben. – Byłem tu wiele razy. Przyjeżdżam na narty. Głównie na narty.

Schmid skinął głową. Zdawało się, że jest lekko rozkojarzony.

–Popularny sport. Podobno bardzo odpręża. Łagodzi napięcie. – Zmrużył oczy. – Pańska praca musi być bardzo stresująca.

–Nie, raczej nie.

–Ludzie spięci i zestresowani robią bardzo dziwne rzeczy. Trzymają to w sobie, dławią dniami i miesiącami, a potem nagle buuum! Wybuchają. A kiedy już wybuchną, zaskakują tym i siebie samych, i całe otoczenie.

–Już panu mówiłem: ten pistolet mi podrzucono. To nie ja z niego strzelałem. –

Ben kipiwał wściekłością, mimo to starał się mówić bardzo spokojnie. Gdyby go sprowokował, pogorszyłby tylko sytuację.

–Ale sam pan przyznał, że zabił pan człowieka, że zatłukł go pan na śmierć gołymi rękami. W normalnych okolicznościach też pan tak postępuje?

–Trudno to nazwać normalnymi okolicznościami.

–Panie Hartman, a gdybym tak porozmawiał z pańskimi przyjaciółmi. Ciekawe, co by mi o panu powiedzieli? Czy powiedzieliby, że jest pan człowiekiem wybuchowym?

– Spojrzał na niego dziwnie zamyślonymi oczami. – Że jest pan człowiekiem... gwałtownym?

–Powiedzieliby, że zawsze przestrzegam prawa – odparł Ben. – Do czego pan właściwie zmierza? – Popatrzył na swoje ręce, które chwyciły żelazny wyciąg lampy i omal nie roztrzaskały nim ludzkiej czaszki. Gwałtowny? On? To, co imputował mu detektyw, było zupełnie niedorzeczne – przecież działał w samoobronie – ale mimo woli cofnął się myślą w przeszłość.

Twarz Darnella pamiętał doskonale nawet teraz, po kilku latach. Chłopak był jednym z jego nowojorskich piątoklasistów, dobrym, bystrym i dociekliwym dzieciakiem, najlepszym uczniem w klasie. I nagle coś się z nim stało. Zaczął zbierać dwóje, przestał odrabiać prace domowe. Chociaż nigdy nie wdawał się w bójki z kolegami, bywało, że przychodził do szkoły z posiniaczoną twarzą. Któregoś dnia Ben zatrzymał go na rozmowę po lekcjach. Darnell nie mógł spojrzeć mu w oczy. Widać było, że bardzo się czegoś boi. W końcu powiedział, że Orlando, nowy przyjaciel matki, zabrania mu się uczyć. Uważa, że szkoła to strata czasu i chce, żeby chłopak zaczął zarabiać pieniądze. „Zarabiać pieniądze? – powtórzył Ben. – Jak?” Ale Darnell zamilkł i już się nie odezwał. Ben zadzwonił do jego matki, Joyce Stuart, lecz ta udzielała mu odpowiedzi pokrętnych i wymijających. Nie chciała przyjść do szkoły, nie chciała omawiać sytuacji, nie chciała przyznać, że coś jest nie tak. Po jej głosie poznał, że ona też się czegoś boi. Kilka dni później znalazł w szkolnej kartotece ich adres i złożył im wizytę.

Mieszkali na pierwszym piętrze domu o zdewastowanej fasadzie, z klatką schodową upstrzoną graffiti. Domofon nie działał, ale ponieważ drzwi były otwarte, wszedł na górę i zapukał. Po długim oczekiwaniu otworzyła mu matka Darnella. Miała spuchnięte usta i sińce na twarzy – wszystko wskazywało na to, że ktoś ją pobił. Ben przedstawił się i spytał, czy może wejść.

Joyce zawahała się i zaprowadziła go do małej, ciasnej kuchni z mocno porysowanym beżowym stołem i żółtymi firankami, powiewającymi na wietrze.

Ledwo wszedł, gdy dobiegł go ryk jej przyjaciela.

–A ty, kurwa, kto? – Orlando, wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, miał na sobie czerwony podkoszulek i džinsy. Wyglądał jak typowy zbir, taki co to pół życia spędził w więzieniu. Górną część ciała miał tak rozwiniętą i napakowaną, że mięśnie oblepiały mu pierś i ramiona jak kamizelka ratunkowa.

–To nauczyciel Darnella – wysepleniała Joyce spuchniętymi ustami.

–A pan? – spytał Ben. – Jest pan jego opiekunem?

–Ja? Nie, ja też jestem nauczycielem, tylko że uczę go, kurwa, prawdziwego życia.

Nie to co wy.

Do kuchni wszedł nieśmiało Darnell. Był przerażony i wyglądał jak małe, bezradne dziecko: strach odejmował mu lat.

–Wyjdź, Darnell – szepnęła cichutko Joyce.

–Chodzi do tej zaszanej szkoły i gównu z tego ma. – Orlando uśmiechnął się, odsłaniając złote koronki na przednich zębach. – Ja uczę go, jak opychać śnieg, Ben drgnął. Opychać śnieg: sprzedawać heroinę i krak.

–Jest w piątej klasie, ma dopiero dziesięć lat.

–Właśnie. Gówniarz z niego, młodociany. Gliniarze wiedzą, że nie warto takiego aresztować. – Orlando wybuchnął śmiechem. – Ale dałem mu wybór: mógł handlować albo krakiem, albo własną dupą!

Jego obojętność i brutalność napełniała Bena odrazą, dlatego z trudem zapanował nad głosem.

–Darnell jest bardzo zdolny, to najlepszy uczeń w klasie. Pańskim obowiązkiem jest umożliwić mu dalszy rozwój.

–Może rozwijać się na ulicy – prychnął Orlando. – Tak jak ja.

Wtedy usłyszał drżący głos Darnella, cichy, lecz rezolutny.

–Ja nie chcę tego robić. Pan Hartman wie, co jest dla mnie dobre. – Chłopak spojrzał na Orlando i dodał, głośno i odważnie: – Nie chcę być taki jak ty.

Wykrzywiona strachem twarz jego matki zamarła w oczekiwaniu czegoś złego.

–Przestań, synku.

Ale było już za późno. Orlando uderzył go w szczękę tak mocno, że chłopiec wypadł za drzwi. Potem spojrzał na Bena.

–A ty bierz dupę w garść i spierdalaj. Pomóc ci?

Rozwścieczony Ben zeszywniał. Orlando pchnął go otwartą dłonią w pierś, lecz zamiast zatoczyć się do tyłu, Ben runął na niego, grzmotnął go pięścią w skroń, poprawił z drugiej strony i zaczął tłuc go w głowę, jakby była boksinerską gruszką treningową. Oszołomiony Orlando znieruchomiał, potem zamachał potężnymi ramionami i zadał mu kilka ciosów w żebra -zadał, a właściwie chciał zadać, gdyż przeciwnik stał za blisko. Trafił tylko kilka razy, zresztą wściekłość to najskuteczniejszy środek znieczulający: Ben poczuł ból dopiero wtedy, kiedy Orlando osunął się bezwładnie na podłogę. Klasyczny knockdown, choć nie nokaut.

Leżąc, bandzior szybko zamrugnął i widać było, jak wyparowuje z niego cała buńczuczność, ustępując miejsca strachowi.

–Chryste, to jakiś wariat... – wymamrotał.

Wariat? – pomyślał Ben. Czyżby naprawdę zwariował? Co go napadło?

–Jeśli jeszcze raz tkniesz Darnella, wrócę tu i cię zabiję – powiedział ze spokojem, którego bynajmniej nie odczuwał. – Zabiję, rozumiesz? – dodał, wyraźnie akcentując każde słowo.

Kilka dni później Carmen, kumpel z miejskiego wydziału do spraw socjalnych, powiedział mu, że jeszcze tego samego dnia Orlando zniknął z domu i już nie wrócił. Ale nawet gdyby Ben o niczym nie wiedział, domyśliłby się tego ze stopni Darnella, które uległy radykalnej poprawie, z jego zachowania i wyglądu.

A wtedy?

–No dobra, stary – wybełkotał niepewnie Orlando, spoglądając na nie go z podłogi – Zaszło małe nieporozumienie, i tyle. – Odkasznął. – Nie chcę żadnych kłopotów. – Odkasznął jeszcze raz i wymamrotał: – Wariat jakiś, normalnie wariat...

–Panie Hartman, zechce pan przytknąć tu kciuk prawej ręki? – Schmid wskazał białe podłużne pudełko z napisem Digital Tdentix, na wierzchu którego jarzyła się czerwono-owa owalna szklana płytka.

Ben przytknął do niej kciuk prawej ręki, potem lewej. Na ekranie nachylonego pod kątem monitora natychmiast ukazał się powiększony obraz linii papilarnych.

Schmid wystukał na klawiaturze kilka liczb, po czym wcisnął klawisz z napisem ENTER. Piskliwie zaskrzeczał modem. Detektyw spojrzał na Bena i przepaszającym tonem wyjaśnił:

–Poszło do Berna. Za pięć, dziesięć minut będziemy wiedzieli.

–Co będziemy wiedzieli?

Schmid wstał i gestem ręki zaprosił go z powrotem do sąsiedniego pokoju.

–Czy w Szwajcarii wydano nakaz aresztowania pana.

–Gdyby wydano, chyba bym o tym pamiętał.

Detektyw przyglądał mu się przez kilka sekund, wreszcie powiedział:

–Dobrze znam takich jak pan. Dla was, bogatych Amerykanów, Szwajcaria to kraj czekolady, banków, zegarów z kukułką i narciarskich ośrodków wypoczynkowych. Wyobrażacie sobie, że każdy z nas jest waszym *Hausdiener*, służącym, tak? Ale wie pan, jak to z nami było. Przez setki lat wszystkie europejskie państwa, zwłaszcza te najpotężniejsze, chciały zrobić z nas swoje księstwo. Żadnemu się nie udało. Pańska potężna i bogata Ameryka myśli pewnie tak samo: czemu by nie spróbować, he? Ale nie, wy tu... jak to się mówi... to nie wy tu rządzą. Nie dostanie pan czekolady. I to nie pan zdecyduje, kiedy -jeśli w ogóle – odzyska pan wolność. – Odchylił się w fotelu i ponuro uśmiechnął. – Witamy w Szwajcarii, *Herr Hartman*.

Jakby na umówiony znak, do gabinetu wszedł wysoki, chudy mężczyzna w mocno wykrochmalonym fartuchu. Był w okularach bez oprawek i miał mały, szczeciniasty wąsik. Nie przedstawivszy się, wskazał fragment ściany wyłożony białymi kafelkami, na których wyrysowano linię z podziałką centymetrową.

–Proszę tam stanąć – rozkazał.

Z trudem ukrywając rozdrażnienie, Ben przywarł plecami do ściany. Technik zmierzył go, zaprowadził do laboratoryjnego zlewu, przekręcił dźwignię, spod której wypłynęła biała maź, i kazał mu umyć ręce. Mydło było płynne, lecz jakby ziarniste, i pachniało lawendą. Kolejne stanowisko: technik rozproszdził na płytce czarny tusz i kazał Benowi przytknąć do niej dłoń, najpierw jedną, potem drugą. Długimi, delikatnymi, wypielęgowanymi palcami chwycił jego palce, lekko osuszał je na bibule, następnie, jeden po drugim, przytykał je starannie do pokratkowanego formularza. Podczas gdy on pracował, Schmid wyszedł do sąsiedniego pokoju, lecz szybko wrócił.

–Cóż, panie Hartman – powiedział. – Niestety, nie ma nakazu.

–Co za niespodzianka – mruknął Ben. To dziwne, ale bardzo mu ulżyło.

–Mimo to wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Za kilka dni przyjdą wyniki testów balistycznych z Wissenschaftlicher Dienst der Stadtpolizei Zurich, ale wiemy już, że pociski znalezione w Shopville to browning kaliber 7,65.

–To rodzaj amunicji?

–Amunicji, którą można strzelać z pistoletu znalezionego w pańskim bagażu.

–Coś takiego – odrzekł ze sztucznym uśmiechem Ben i nagle postanowił zagrać z nim inaczej: szczerze i otwarcie. – Niech pan posłucha. Nie ma wątpliwości, że pociski te wystrzelono z pistoletu, który następnie mi podrzucono. Dlaczego nie zbadacie moich rąk? Przecież są takie testy, prawda? Przekonacie się, czy strzelałem z niego czy nie.

–Badania na obecność śladów prochu. – Schmid potarł rękę niewidzialnym patyczkiem higienicznym. – Już je przeprowadziliśmy.

–No i?

–Niedługo przyjdą wyniki. Ale najpierw pana sfotografujemy.

–Poza tym na pistolecie nie ma moich odcisków. – Dzięki Bogu, że go wtedy nie dotknąłem, pomyślał Ben.

Detektyw teatralnie wzruszył ramionami.

–Odciski palców można usunąć.

–Ale świadkowie...

–Świadkowie widzieli dobrze ubranego mężczyznę w pańskim wieku. Było duże zamieszanie, pięcioro ludzi zginęło, siedmioro jest ciężko rannych. Twierdzi pan, że zabił pan sprawcę. Idziemy tam i co? Nie ma ciała.

–Mogę... Mogę to wyjaśnić – odparł Ben, zdając sobie sprawę, że wyjaśnienie zabrzmiało zupełnie nieprawdopodobnie. – Zwłoki zostały usunięte, a podłoga umyta. Cavanaugh musiał mieć współników.

–On chciał pana zabić, a oni mu pomagali. – Schmid przyglądał mu się z posępnym rozbawieniem.

–Na to wygląda.

–Panie Hartman, nie przedstawił pan żadnego motywu. Twierdzi pan, że nie doszło między wami do żadnego zatargu.

–Nie rozumie pan – odrzekł spokojnie Ben. – Nie widziałem tego faceta od piętnastu lat.

Zadzwoił telefon. Detektyw podniósł słuchawkę.

–Schmid... Tak, jedną chwileczkę – powiedział po angielsku i podał słuchawkę Benowi.

–Ben, staruchu, to ja, Howie. – Słysząc go było tak dobrze, jakby dzwonił z sąsiedniego pokoju. – Mówiłeś, że ten Cavanaugh pochodzi z Homer w sta nie Nowy Jork, tak?

–Tak, to małe miasteczko między Syracuse i Binghamton.

–Jasne. I że kończyliście razem Princeton, tak?

–Tak.

–No to posłuchaj: Jimmy Cavanaugh nie istnieje. Tego faceta po prostu nie ma.

–Powiedz mi lepiej coś, czego nie wiem. – Gdybyś miał dziurę w mózgu, ciebie też

by nie było, pomyślał Ben.

–Nie, nie, posłuchaj. Ten facet nie istnieje i nigdy nie istniał, kapujesz? Zwyczajnie go nie ma. Sprawdziłem w spisie absolwentów Princeton. Żaden Jimmy Cavanaugh tam nie studiował, przynajmniej nie za twoich czasów. W Homer też nie ma żadnych Cavanaughów, nie ma ich w całym hrabstwie. Ani w hrabstwie, ani w Georgetown. Aha, przejrzelśmy te bazy danych. Gdyby istniał ktoś, kto pasuje do twego opisu, na pewno byśmy go znaleźli. Próbowaliśmy też każdego możliwego wariantu pisowni, i nic. Nie masz pojęcia, jakie bazy, jakie komputery tu mają. Każdy z nas zostawia za sobą jakiś ślad, ty i ja też. Karty kredytowe, numer ubezpieczenia socjalnego, wojsko i tak dalej. A ten facet nic, jakby w ogóle nie istniał. Dziwne, nie?

–Musieliście popełnić jakiś błąd. Przecież ja wiem, że on ze mną studiował.

–A może tylko wydaje ci się, że wiesz. Paranoja, co?

Bena zemdliło.

–Jeśli tak, niewiele nam to pomoże.

–Fakt, ale będę próbował dalej. Masz numer mojej komórki?

Ben odłożył słuchawkę, całkiem oszołomiony.

–Panie Hartman – kontynuował Schmid – przyjechał pan tu na urlop czy w interesach?

Ben z trudem skupił wzrok i odpowiedział najgrzeczniej, jak umiał.

–Na urlop, już mówiłem. Miałem kilka służbowych spotkań, ale tylko dlatego, że przejeżdżałem przez Zurych. – Jimmy Cavanaugh nigdy nie istniał.

Schmid splótł palce.

–Ostatni raz był pan w Szwajcarii cztery lata temu, prawda? Przyjechał pan po zwłoki brata?

Ben milczał. Zalała go fala wspomnień. Telefon w środku nocy: to zawsze zły znak. Spał obok Karen, koleżanki z pracy, w swojej zapuszczonej nowojorskiej norze. Jęknął, stęknął, przetoczył się na bok i podniósł słuchawkę. Ta chwila odmieniła jego życie.

Kilka dni wcześniej mała awionetka z Peterem za sterami roztrzaskała się w wąwozie w pobliżu Jeziora Czterech Kantonów. Awionetka była wynajęta i w dokumentach widniało nazwisko Bena jako najbliższego krewnego. Identyfikacja zwłok trwała bardzo długo, jednak sprawę ostatecznie przesądziła analiza porównawcza uzębienia. Władze szwajcarskie uznały to za wypadek. Ben zabrał brata do kraju – brata, a raczej to, co z niego zostało po eksplozji maszyny: szczątki zmieściły się w skrzyneczce niewiele większej od kartonowego pudełka na tort.

W trakcie lotu powrotnego nie płakał. Łzy popłynęły później, kiedy minęło paralizujące odrętwienie. Na wieść o śmierci syna ojciec upadł i zaniósł się szlochem; przykuta do łóżka matka – już wtedy chorowała na raka – przeraźliwie krzyknęła.

–Tak – odrzekł cicho. – Wtedy byłem tu ostatni raz.

–Dziwne. Nie uderza pana to, że ilekroć pan do nas przyjeżdża, zawsze towarzyszy panu śmierć?

–Do czego pan zmierza?

–Panie Hartman – powiedział Schmid obojętnie. – Nie sądzi pan, że istnieje

związek pomiędzy śmiercią pańskiego brata i tym, co się dzisiaj stało?

W komendzie głównej Stadtpolizei, szwajcarskiej policji w Bernie, pulchna kobieta w średnim wieku poprawiła ciężkie okulary w rogowej oprawie, zerknęła na ekran komputerowego monitora i z zaskoczeniem stwierdziła, że migocze na nim okienko komunikatu. Po kilku sekundach przypomniała sobie, co ma w takiej sytuacji zrobić: sięgnęła po długopis i szybko zapisała na karteczce nazwisko oraz następujący po nim długi ciąg cyfr. Potem zapukała do przeszklonych drzwi swego bezpośredniego przełożonego.

–Panie komendancie – zameldowała – na listach RIPOL-u uaktywniło się czyjeś nazwisko. – RIPOL, Recherche Informations Policier, policyjne centrum informatyczne, gromadziło nazwiska, odciski palców, numery rejestracyjne oraz mnóstwo innych danych, z których korzystali funkcjonariusze policji federalnej, kantonńskiej oraz miejscowej.

Jej szef, czterdziestokilkuletni pedant, o którym mówiono, że robi w policji zawrotną karierę, wziął karteczkę, podziękował lojalnej sekretarce i szybko ją odprawił. Gdy zamknęła za sobą drzwi, komendant podniósł słuchawkę telefonu z bezpośrednim wyjściem na miasto i wykręcił numer, pod który prawie nigdy nie dzwonił.

Kilka ulic za komendą Kantonspolizei przy Zeughausstrasse jechała wolno szara, bardzo już zdezelowana limuzyna nieokreślonej marki. Siedzący w niej dwaj mężczyźni, znużeni długim oczekiwaniem, w milczeniu palili papierosy. Ożywiło ich brzęczenie telefonu komórkowego na desce rozdzielczej. Mężczyzna siedzący w fotelu pasażera podniósł aparat, przytknął go do ucha, słuchał przez chwilę, mruknął: "*Ja, danke*", po czym przerwał połączenie.

–Już wychodzi – powiedział.

Kilka minut później zobaczyli, jak Amerykanin wychodzi bocznymi drzwiami i wsiada do taksówki. Gdy taksówka przejechała pół ulicy, zdezelowana limuzyna włączyła się do wieczornego ruchu.

Rozdział 5

Halifax, Nowa Szkocja

Kiedy pilot samolotu rejsowego Air Canada ogłosił, że za chwilę będą lądować, Anna Navarro zebrała dokumenty, zamknęła stolik i spróbowała skupić się na sprawie Roberta Mailhota. Latanie ją przerażało, a jedyną rzeczą gorszą od lądowania był start. Żołądek wywrócił jej się do góry nogami. Jak zwykle ogarnęło ją irracjonalne przekonanie, że maszyna zaraz się roztrzaska i że wszyscy pasażerowie zakończą życie w ognistym piekle pożaru.

Jej ulubiony wujek Manuel zginął w katastrofie samolotowej, kiedy stary, rozklekotany samolot rolniczy, którym opylał pola, stracił silnik i runął na ziemię. Ale było to bardzo dawno temu – miała wtedy jedenaście lat -a latający gruchot wujka w niczym nie przypominał Isniącego, opływowego boeinga 747.

Wychodząc z założenia, że nigdy nie wolno opuszczać gardy, nikomu o tych lękach nie mówiła, a już na pewno nie kolegom z pracy. Jednak była przekonana, że Arliss Dupree o nich wie, że wyczuwa je, jak pies wyczuwa strach, gdyż przez ostatnie pół roku dosłownie mieszkała w samolocie, latając z jednego miejsca do drugiego i wykonując jedno parszywe zadanie za drugim.

Jedynym sposobem na zachowanie spokoju było studiowanie akt i myślenie o aktualnej sprawie. Tak, akta zawsze pochłaniały ją i fascynowały. Suche protokoły sekcji zwłok, raporty patologa – wszystko to kusiło tajemnicą i nowym wyzwaniem.

Jako mała dziewczynka uwielbiała układać skomplikowane puzzle z pięciuset elementów. Dostawała je od mamy, a mama od kobiety, u której sprzątała, i której dzieci nie miały do nich cierpliwości. O wiele bardziej niż sam obrazek, Isniący i piękny, Annie podobał się cichy trzask, z jakim poszczególne elementy dopasowywały się do siebie, oraz uczucie, jakie ją wtedy ogarniało. W puzzlach, zwłaszcza tych starych, często brakowało elementów – poprzedni właściciele nie należeli do zbyt troskliwych i uważnych -co zawsze ją irytowało. Już jako dziecko była perfekcjonistką.

Właśnie: sprawa Mailhota i pozostałych przypominała układankę: układankę z tysiąca rozrzuconych na dywanie kawałków.

Podczas lotu dokładnie przestudiowała kopie dokumentów, które przefaksowano jej z kwatery głównej RCMP w Ottawie. Mimo swej archaicznej nazwy, RCMP, Królewska Kanadyjska Policja Konna, odpowiednik amerykańskiego FBI, była na wskroś nowoczesną agencją śledczą. Współpraca operacyjna między Departamentem Sprawiedliwości i RCMP układała się dobrze.

Kim ty jesteś? – zastanawiała się, patrząc na zdjęcie starca. Robert Mailhot z Halifaxu w Nowej Szkocji, dobrotliwy emeryt, pobożny członek Kościoła Naszej Miłościwej Panienki. Po co CIA miałyby zakładać akta komuś takiemu jak on?

Co mogło łączyć go z mglistymi machinacjami dawno już nieżyjących szpiegów i biznesmenów, na których nazwiska natknął się Bartlett? Była pewna, że szef WDD ma jego akta, ale postanowił ich jej nie udostępniać. Była też pewna, że chciał, żeby sama zdobyła i przeanalizowała związane z tą sprawą informacje.

Sędzia jednej z prowincji zgodził się wystawić nakaz rewizji. Dokumenty, których

zażądała – bilingi telefoniczne i spis transakcji dokonanych za pomocą kart kredytowych – przefaksowano jej do Waszyngtonu w ciągu kilku godzin. Była agentką Urzędu do Badań Specjalnych: nikt nie śmiał o nic ją wypytywać ani kwestionować tego, że prowadzi oficjalne śledztwo w sprawie oszukańczego transferu międzynarodowych funduszy pieniężnych.

Z kanadyjskich dokumentów nie dowiedziała się niczego. Według lekarza, najprawdopodobniej lekarza rodzinnego Mailhotów, który wypełnił świadectwo zgonu niewyraźnym, ledwo czytelnym pismem, denat zmarł „z przyczyn naturalnych”; „zakrzepica tętnicy wieńcowej”, dopisał w nawiasach. I może rzeczywiście w grę nie wchodziło nic więcej.

Mailhot nie dokonał żadnych podejrzanych zakupów, a jeśli chodzi o rozmowy zamiejscowe, dzwonił jedynie do Nowej Fundlandii i do Toronto. Jak dotąd żadnych śladów. Może odpowiedzi należało szukać w Halifaksie.

A może gdzie indziej.

Zawsze odurzała ją ta dziwna mieszanina nadziei, rozpacz i desperacji, którą odczuwała na początku każdej sprawy. Nieustannie popadała w skrajności: to była przekonana, że ją rozgryzie, to dochodziła do wniosku, że nie da rady. Ale jedno wiedziała na pewno: pierwsze z serii zabójstw było najważniejsze. Stanowiło punkt odniesienia. Dopiero kiedy zrobiło się absolutnie wszystko, kiedy poruszyło się niebo i ziemię, dopiero wtedy można było mieć nadzieję na wykrycie związku pierwszego morderstwa z pozostałymi. Kropki na kartce da się połączyć linią tylko wtedy, gdy wiadomo, gdzie są.

Miała na sobie swój podróżny strój, granatowy żakiet od Donny Karan (z tych tańszych, naturalnie) i białą bluzkę od Ralphi Laurena. W biurze znano ją z tego, że zawsze ubierała się nienagannie. Zarabiała mało i nie stać ją było na kosztowne, firmowe suknie, ale kupowała je mimo to: mieszkała w ciemnej kawalerce w parszywej dzielnicy Waszyngtonu i nigdy nie brała urlopu, gdyż wszystkie pieniądze szły na stroje.

Koledzy myśleli, że ubiera się ładnie, żeby podobać się mężczyznom, bo właśnie tak postępowały młode, niezamężne kobiety. Błąd. Ubranie było jej zbroją. Im piękniejsze, tym bezpieczniej i pewniej się czuła. Malowała się kosztownymi kosmetykami i nosiła kosztowne stroje, ponieważ wtedy przestawała być córką biednych meksykańskich emigrantów, którzy sprząтали domy i podwórza bogatych Amerykanów. Ponieważ wtedy mogła wtopić się w tło, mogła być kimkolwiek. Jako osoba logicznie myśląca, zdawała sobie sprawę, że z racjonalnego punktu widzenia postępuje nedorzecznie, mimo to nie zamierzała się zmieniać.

Ot, choćby taki Arliss Dupree: ciekawiło ją, czym dopieklą mu bardziej: tym, że jest atrakcyjną kobietą, która go odtrąciła, czy tym, że jest Meksykanką. Może i jednym, i drugim. Może w świecie Arlissa Amerykanka pochodzenia meksykańskiego była kimś niższym i jako ktoś niższy nie miała prawa dać mu kosza.

Wychowała się w małym mieście w południowej Kalifornii. Rodzice byli Meksykanami, którzy uciekli przed nędzą, chorobami i beznadziejnością czyhającą za południową granicą Stanów. Matka, łagodna kobieta o cichym, spokojnym głosie,

sprzątała mieszkania i domy. Ojciec, człowiek odludny i zamknięty w sobie, sprzątał podwórza.

Kiedy chodziła do podstawówki, sukienki szyła jej mama, która zaplatała też jej warkoczyki i upinała je z boku albo z tyłu głowy. Anna zdawała sobie sprawę, że ubiera się inaczej niż koleżanki, że nie całkiem do nich pasuje, ale zaczęło jej to przeszkadzać dopiero wtedy, gdy skończyła dziesięć, może jedenaście lat, gdy koleżanki z klasy pogrupowały się w hermetyczne kliki, do których nie chciały jej dopuścić. Przyjaźnić się z córką kobiety, która u nich sprzątała? Nigdy. Co za żenada.

Nie była „cool”. Była outsiderką. Była niewidzialna.

Nie, żeby należała do mniejszości – do szkoły chodzili i Latynosi, i biali, mniej więcej pół na pół, lecz jedni nie chcieli mieć do czynienia z drugimi. Przywykła do tego, że niektóre białe dziewczęta i chłopcy nazywali ją „nielegalniaczką” czy „Meksą”. Rzecz w tym, że Latynosi też zakładali kasty, a ona należała do najniższej. Latynoskie dziewczęta lubiły się stroić i naśmiewały się z jej ubrań znacznie częściej niż białe.

Doszła do wniosku, że jedynym rozwiązaniem jest nie odstawać od reszty. Zaczęła narzekać, skarżyć się matce, która początkowo nie traktowała tego poważnie, a potem wytłumaczyła jej, że nie stać ich na kosztowne stroje. A poza tym, o co jej właściwie chodzi? O sukienki, które dla niej szyła? Że nieładne? „Tak, nieładne! Potworne!” – odszczekiwała Anna, doskonale wiedząc, że słowa te boleśnie urażą matkę. Nawet teraz, po dwudziestu latach, nie mogła o tym myśleć bez poczucia winy.

Mamę wszyscy bardzo lubili. Jedna z kobiet, u których sprzątała, bardzo bogata Amerykanka, zaczęła oddawać im ubrania, których jej własne dzieci nie chciały już nosić. Anna nosiła je z radością – nie mogła się wprost nadziwić, że ktoś wyrzuca tak piękne ciuchy – dopóki nie zdała sobie sprawy, że są to ubrania zeszłoroczne, niemodne. Wtedy jej zapał ostygł. Pewnego dnia, gdy szła szkolnym korytarzem, jedna z dziewcząt z paczki, do której Anna bardzo chciała wstąpić, przywołała ją i wykrzyknęła: „Hej, przecież to moja sukienka!” Anna zaczerwieniła się i zaprzeczyła. Wtedy dziewczyna zadarła skraj sukienki, wyróciła go na drugą stronę i pokazała własne inicjały wypisane długopisem na metce.

Wiedziała, że agent, który miał odebrać ją na lotnisku, studiował przez rok w akademii FBI, zapoznając się z najnowszymi technikami śledczymi, stosowanymi przez amerykańskie wydziały do spraw zabójstw. Słyszała, że jest całkiem niezły, choć do asów nie należy.

Stał za bramką z wykrywaczem metalu – wysoki, przystojny trzydziestokilkulatek w niebieskiej bluzie i czerwonym krawacie. Uśmiechnął się, błyskając perłowymi zębami, jakby jej widok naprawdę sprawił mu radość.

– Witam w Nowej Szkocji – powiedział. – Ron Arsenault. – Ciemne włosy, brązowe oczy, mocno zarysowana szczęka, wysokie czoło. Przystojniaczek, pomyślała.

– Anna Navarro. – Mocno uścisnęła mu rękę. Mężczyźni twierdzą, że ściskając rękę kobiety, czują się tak, jakby ściskali martwą rybę, dlatego zawsze robiła to

mocno i stanowczo. Żeby od początku wszystko było jasne, żeby dać im do zrozumienia, że jest swojczką, jedną z nich. – Bardzo mi miło.

Chciał ponieść jej torbę, ale pokręciła głową. – Nie, dziękuję – powiedziała z uśmiechem.

–Pierwszy raz w Halifaksie? – Najwyraźniej chciał ją wybadać.

–Tak. Z góry wygląda przepięknie.

Uprzejmie zachichotał. Ruszyli w stronę wyjścia.

–Mam być pani łącznikiem z tutejszymi władzami. Dostała pani dokumenty?

–Tak, dziękuję. Wszystkie oprócz wyciągów bankowych.

–Już powinny być. Podrzucę je do hotelu.

–Dzięki.

–Drobiazg. – Zmrużył oczy; nosił szkła kontaktowe, od razu to zauważyła. –

Szczerze mówiąc, panno Navarro – mogę mówić ci po imieniu? – ci z Ottawy trochę się dziwią, że zainteresowaliście się tym staruszką. Osiemdziesięciosiedmioletni emeryt umiera w swoim domu z przyczyn naturalnych. Co w tym niezwykłego?

Weszli na parking.

–Zwłoki są w policyjnej kostnicy? – spytała.

–Nie, w szpitalnej. Czeka ją w chłodni. Zawiadomiliście nas w samą porę i nie zdążyli go pochować. To była dobra wiadomość...

–Jest i zła?

–Niestety. Ciało zostało zabalsamowane. Anna drgnęła.

–Cholera. To jak przeprowadzę toks-test?

Stary, ciemnoniebieski chevrolet, do którego podeszli, rzucał się w oczy tak bardzo, że brakowało mu tylko tabliczki z napisem „nie oznakowany samochód policyjny”. Ron włożył jej torbę do bagażnika.

Jakiś czas jechali w milczeniu.

–A jego żona? – spytała Anna; w aktach brakowało jej danych. – Też jest Kanadyjką francuskiego pochodzenia?

–Pochodzi stąd, z Halifaksu. To emerytowana nauczycielka. Stara zołza.

Oczywiście bardzo jej współczuję, straciła męża, jutro miał być pogrzeb, i w ogóle. Musieliśmy prosić, żeby go przełożyła. Zaprosiła już krewnych z Nowej Fundlandii. Kiedy wspomnieliśmy o sekcji zwłok, wpadła w furję. – Ron zerknął na nią i przeniósł wzrok na drogę. – Już wieczór, więc pomyślałem sobie, że odwiozę cię do hotelu, a zaczniemy jutro, z samego rana. O siódmej mamy spotkanie z patologiem.

Była trochę rozczarowana. Chciała wziąć się do pracy już teraz, zaraz, natychmiast.

–Dobrze.

Ponownie zapadło milczenie. Miło było mieć łącznika, który nie miał nic przeciwko współpracy z wysłanniczką amerykańskiego rządu. Arsenault starał się być przyjacielski. Może nawet aż za bardzo.

–No i jesteśmy na miejscu – powiedział. – Oto twoja gospoda. Wasz rząd trochę skąpi, co?

Był to brzydki wiktoriański dom przy Barrington Street, wielkie, pomalowane na

biało domiszczce z zielonymi okiennicami. Biała farba zdążyła już wyblaknąć i była teraz brudnoszara.

–Hej, a może dasz się zaprosić na kolację? Jeśli nie masz innych planów i lubisz krewetki, moglibyśmy pójść do Clipper Cay. Albo do Middle Deck, posłuchać dżezu...

– Ron zaparkował.

–Dzięki, ale jestem zmęczona.

Wyraźnie rozczarowany, wzruszył ramionami.

W recepcji zalatywało pleśnią, wilgocią ze ścian, która nigdy nie ustępuje. Stareńka maszynka do kart kredytowych, mosiężne klucze, krępy, otyły recepcjonista za ladą- chciała mu powiedzieć, że torbę zanieś sama, ale nawet jej tego nie zaproponował. Ten sam stęchły zapach unosił się w pokoju na parterze, gdzie dominowały kwieciste wzory i wzorki. Meble i całe wyposażenie było mocno zużyte, choć nie w stopniu, który napawałby ją odrazą. Otworzyła szafę, powiesiła sukienki, zaciągnęła firanki i przebrała się w szary dres. Doszła do wniosku, że krótka przebieżka dobrze jej zrobi.

Przebiegła Grand Parade, skwer po zachodniej stronie Barrington Street, potem skręciła w George Street i pobiegła w kierunku Cytadeli, wielkiej fortecy w kształcie gwiazdy. Ciężko dysząc, przystanęła przy kiosku z gazetami, kupiła plan miasta i odszukała adres Mailhotów. Mieszkali niedaleko, mogła tam dobiec.

Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ot, zwyczajny, wygodny, piętrowy dom o szpiczastym dachu i oszalowanych szarymi deskami ścianach, ukryty w kępie drzew za ogrodzeniem z metalowej siatki.

Za koronkowych firanek w oknach salonu sączyła się migotliwa poświata. Pani Mailhot oglądała telewizję. Anna przystanęła po drugiej stronie ulicy i wyteńczyła wzrok.

Postanowiła podejść bliżej. Chciała sprawdzić, czy to rzeczywiście ona, wdowa po Robercie Mailhocie, a jeśli tak, jak się zachowuje. Czy jest smutna, pogrążona w żałobie, czy nie? Tego rodzaju rzeczy trudno było wyczuć, zwłaszcza na odległość, ale nigdy nic nie wiadomo. Gdyby ukryła się w mroku pod ścianą, nie dostrzegliby jej podejrzliwi sąsiedzi.

Ulica była opustoszała, z jednego domu dochodziła muzyka, z sąsiedniego głos telewizyjnego spikera, a w oddali porykiwała syrena mgłowa. Anna weszła na jezdnię...

Nagle rozbłysły przed nią potężne reflektory. Pojawiły się nie wiadomo skąd, oślepiły ją, poraziły, robiły się coraz większe, coraz jaskrawsze: samochód pędził ulicą coraz szybciej i szybciej. Anna przeraźliwie krzyknęła i rozpaczliwie próbując uciec przed obłąkaną maszyną, nad którą kierowca najwyraźniej nie panował, skoczyła na oślep w stronę krawężnika. Samochód musiał tam czekać, musiał jechać powolutku ze zgaszonymi światłami – cichutki warkot silnika ginął wśród równie cichych ulicznych odgłosów, a kierowca włączył reflektory dopiero wtedy, kiedy wóz znalazł się zaledwie kilka metrów przed nią.

Pędził prosto na nią. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości: nie zwalniał, nie pędził ulicą jak samochód różniący się od innych tylko tym, że przekroczył

dozwoloną prędkość. Nagle skręcił w stronę chodnika, wjechał na krawężnik, najwyraźniej obierając ją sobie za cel. Natychmiast rozpoznała charakterystyczną, pionowo żebrowaną chłodnicę: to był lincoln town car, wóz o spłaszczonych, prostokątnych reflektorach, które nadawały mu wygląd krwiożerczego rekina.

Rusz się, biegnij!

Zapisały opony, jeszcze głośniej ryknął silnik i samochód wjechał z impetem na chodnik.

Zerknęła przez ramię: pędził zaledwie pięć, sześć metrów za nią, wyjąc na pełnych obrotach i wciąż oślepiając ją reflektorami. Przerażona, z przejmującym krzykiem rzuciła się na żywopłot z bukszpanu przed domem sąsiadów Mailhota i nie zważając na kolczaste gałązki, które podrapały jej nogi, przedarła się na drugą stronę, upadła i poturlała się po małym trawniku.

Usłyszała trzask zderzaka wbijającego się w żywopłot, potem głośny pisk opon. Podniosła głowę. Spod kół bryzgnęły fontanny błota: samochód zjechał z rykiem na jezdnię i pomknął przed siebie ciemną, wąską uliczką. Jego reflektory zgasły tak nagle, jak się zapaliły i raptem wóz...

Zniknął.

Chryste, co to było?

Anna zerwała się na równe nogi. Serce waliło jej jak młotem, w żyłach krążyła czysta adrenalina, nogi miała jak z waty.

Co to, u diabła, było?

Samochód pędził prosto na nią, obrał ją sobie za cel, chciał ją przejechać.

I nagle nie wiedzieć czemu... zniknął!

W oknach domów po jednej i drugiej stronie ulicy dostrzegła twarze ludzi. Widząc, że na nich patrzy, niektórzy szybko zaciągnęli firanki.

Jeśli ktoś na nią polował, jeśli ktoś chciał ją zabić, dlaczego nie dokończył roboty?

To było zupełnie nielogiczne i ta nielogiczność doprowadzała ją do szału.

Złana potem, ruszyła przed siebie, ciężko dysząc i boleśnie pokaszując. Próbowwała otrzeźwieć, pozbierać myśli, lecz nie pozwolił jej na to strach. Dziwne. Nic z tego nie rozumiała.

Ktoś próbował ją zabić czy nie?

Jeśli tak, to... dlaczego?

Jakiś pijak, nieostrożny kretyn? Nie, samochód jechał zbyt pewnie, manewrował w sposób zbyt precyzyjny i wyrafinowany.

Nasuwała się tylko jedna odpowiedź, lecz odpowiedź ta graniczyła z paranoją, a ona nigdy paranoi nie ulegała. Stąd tylko krok do szaleństwa. Przypomniały jej się złowieszcze słowa Bartletta opowiadającego o tajemniczym spisku sprzed pół wieku, o wiekowych starcach, ich kabalistycznych sekretach, o potężnych, wpływowych ludziach, którzy zrobiliby wszystko, żeby obronić swoje dobre imię. Ale oderwany od rzeczywistości Bartlett – sam to przyznał- od lat nie wychodził z gabinetu, od lat otaczał się pożółkłymi ze starości papierami, co aż za bardzo skłaniało do snucia konspiracyjnych teorii wszelkiego rodzaju.

Mimo to, czy mogła wykluczyć, że przygoda z samochodem miała ją zastraszyć? Zniechęcić do sprawy Mailhota?

Jeśli tak, źle trafili, gdyż zamiast osłabić, tylko umocnili ją w przekonaniu, że trzeba zbadać, co się za tym kryje.

Londyn

Pub Albion mieścił się przy Garrick Street, na skraju Covent Garden. Niski sufit, stoły z nieheblowanego drewna, trociny na podłodze, dwadzieścia kufli pod kranikiem beczki – był to jeden z tych lokali, gdzie serwowano smażone kiełbaski z tłuczonymi ziemniakami, gulasz nerkowy, zapiekany we francuskim cieście, pudding o nazwie „Cętkowany Dick”, i gdzie w porze lunchu roіło się od elegancko ubranych bankierów oraz dyrektorów od reklamy.

Jean-Luc Passard, młodszy oficer ochrony, stanął w drzwiach i od razu zrozumiał, dlaczego Anglik chciał spotkać się z nim właśnie w tym pubie. W środku panował taki ścisk, że nie było mowy, aby ktoś zwrócił na nich uwagę.

Siedział samotnie w boksie za przepierzeniem. Wyglądał dokładnie tak, jak mu go opisywano: nierzucający się w oczy mężczyzna około czterdziestki o krótkich, szczeciniastych wąsach i przedwcześnie posiwiałych włosach. Z bliska twarz miał bardzo gładką, a skórę napiętą jak po operacji plastycznej. Był w niebieskiej kurtce i białym golfie. Szeroki w ramionach, wąski w talii, nawet z daleka wyglądał imponująco. Mimo to żaden świadek nie rozpoznałby go na policyjnej konfrontacji,

Passard usiadł i wyciągnął do niego rękę.

–Jean-Luc.

–Trevor Griffiths. – Uścisnął mu dłoń bardzo lekko, leciuteńko, jak człowiek, który nie dba o to, co pomyślą o nim inni. Ręce miał duże, gładkie i suche.

–To dla mnie zaszczyt – powiedział Passard. – Pańskie zasługi dla Korporacji są już legendarne.

Szare oczy Trevora były zupełnie martwe.

–Wiemy, że przeszedł pan... w stan spoczynku i nie fatygowalibyśmy pana, gdyby nie było to absolutnie konieczne.

–Spieprzyliście, i tyle.

–Mieliśmy pecha.

–Potrzebujecie wsparcia.

–Powiedzmy, że polisy ubezpieczeniowej. Dodatkowej gwarancji. Nie możemy pozwolić sobie na wpadkę.

–Pracuję sam.

–Tak, oczywiście. Sądząc po liście pańskich dokonań, stosowane przez pana metody są niezawodne.

–Dobrze. Po pierwsze, czy namierzylście cel?

–Ostatnio widziano go w Zurychu. Nie jesteśmy pewni, dokąd się stamtąd uda. Trevor uniósł brew. Passard oblał się rumieńcem.

–To amator, pojawia się i znika. Wkrótce namierzymy go ponownie.

–Muszę mieć jego zdjęcia. We wszystkich możliwych ujęciach.

Passard położył na stole dużą, żółtą kopertę.

–Proszę. Są tam również zaszyfrowane instrukcje. Jak pan na pewno rozumie, chcemy załatwić to szybko i bez śladu.

Griffiths spojrział na niego wzrokiem boa dusiciela.

–Zaangażowaliście amatorów – odrzekł. – Nie tylko zmarnowaliście pieniądze i czas, ale i wystraszyliście go. Jest teraz przerażony, czujny, ostrożny, na pewno złożył u adwokata dokumenty, które ten wyśle do władz w przypadku jego śmierci. Dlatego trudniej go będzie zneutralizować. Ani pan, ani pańscy przełożeni nie musicie mi doradzać.

–Ale podoba pan temu, prawda?

–Zakładam, że właśnie dlatego się do mnie zwróciliście.

–Tak.

–W takim razie proszę nie zadawać głupich pytań. Jeszcze coś? Jeśli nie, żegnam pana. Czeka mnie dużo pracy.

Anna wróciła do pokoju, wyjęła z barku maleńką butelkę białego wina, odkręciła ją, napełniła plastikowy kubek i wypła do dna. Potem napuściła do wanny wody – tak gorącej, że ledwo mogła do niej wejść – i siedząc w niej przez kwadrans, próbowała zebrać myśli. Na próżno: ciągle prześladował ją widok pionowo żebrowanej chłodnicy rozpędzonego samochodu, ciągle słyszała słowa Bartletta: „Ja nie wierzę w przypadki – a pani, panno Navarro?”

Powoli wróciło opanowanie. Przecież takie rzeczy się zdarzają. Jej praca polegała między innymi na wychwytywaniu tego, co ważne, co istotne -przypisywanie znaczenia czemuś, co nie miało znaczenia, było ryzykiem zawodowym.

Czując się już o wiele spokojniej i stwierdzając, że umiera z głodu, wyszła z wanny i włożyła frotowy szlafrok. Pod drzwiami pokoju leżała duża żółta koperta. Podniosła ją i usiadła w fotelu o kwiecistym wzorku. Bankowe wyciągi Mailhota z okresu ostatnich czterech lat.

Zadzwoił telefon.

Sierżant Arsenault.

–Ja w sprawie rozmowy z jego żoną. Umówiłem się z nią na wpół do jedenastej. Pasuje? – W tle rozbrzmiewał wieczorny gwar policyjnego posterunku.

–Oczywiście – odrzekła krótko Anna. – Będę czekała na miejscu. Dzięki za potwierdzenie. – Chciała powiedzieć mu o samochodzie, o tym, że otarła się o śmierć, ale się powstrzymała. Nie wiedzieć czemu bała się, że straci autorytet, że Arsenault weźmie ją za kogoś bezbronnego, łatwo wpadającego w przerażenie.

–Dobra, jesteśmy umówieni. – Sierżant jakby się zawahał. – Cóż, w takim razie pójdę chyba do domu... Będę koło ciebie przejeżdżał, więc jeśli zmieniłaś zdanie i masz ochotę coś przegryźć... – Rwał mu się głos. – Albo wypić coś przed snem... – Robił, co mógł, żeby brzmiało to lekko i swobodnie. – Albo... wszystko jedno.

Anna nie odpowiedziała od razu. Szczerze mówiąc, nie miałyby nic przeciwko jego towarzystwu, zwłaszcza teraz.

–To miło z twojej strony, ale jestem naprawdę zmęczona.

–Ja też – odrzekł szybko. – To był długi dzień. W takim razie do zobaczenia rano. – Leciutko zmienił mu się głos: nie rozmawiał już z kobietą, tylko z koleżanką po

fachu.

Odłożyła słuchawkę z niejasnym poczuciem wewnętrznej pustki. Zaciągnęła firanki i zaczęła przeglądać dokumenty. Miała mnóstwo pracy.

Była przekonana, że prawdziwym powodem, dla którego nie wyszła za mąż i unikała każdego poważniejszego związku, jest to, że nie chciała stracić kontroli nad samą sobą i swoim otoczeniem. Wychodzisz za mąż i zaczynasz się przed kimś rozliczać. Chcesz coś kupić i musisz wytłumaczyć mu dlaczego. Zaczynasz mieć wyrzuty sumienia, że pracujesz do późnej nocy, musisz go przeproszać, negocjować, iść na kompromis. Twoim czasem gospodaruje ktoś inny.

Koledzy z biura, którzy jej dobrze nie znali, nazywali ją Lodowatą Dziewicą; nie miała wątpliwości, że nawet jeszcze gorzej. Głównie dlatego, że rzadko się kimś umawiała. Nie chodziło tylko o szefa, o Dupree. Ludzie po prostu nie znosili widoku kobiety wolnej, z nikim niezwiązanej. Obrażało to ich poczucie naturalnego porządku rzeczy. Nie zdawali sobie sprawy, że jest autentyczną pracoholiczką, że rzadko kiedy udziela się towarzysko, że nie ma dla mężczyzn czasu. Praktycznie rzecz biorąc, znała jedynie kolegów z pracy, a zadawanie się z nimi mogło oznaczać tylko kłopoty.

Albo to sobie wmawiała. Starła się nie myśleć o incydencie z czasów szkoły średniej, który wciąż wisiał nad nią jak mroczna chmura, mimo to myślała o nim niemal codziennie, z niesłabnącą nienawiścią. Brad Reedy: wystarczyło, że doszedł ją na ulicy zapach cytrusowej wody kolońskiej, której wtedy używał, i najpierw ogarniał ją porażający strach, a potem – to pewnie odruch – niepohamowany gniew. Wystarczyło, że zobaczyła gdzieś wysokiego, nastoletniego blondyna w sportowej koszulce w czerwono-białe paski i widziała w nim Brada.

Miała wtedy szesnaście lat. Była już kobietą, podobno bardzo piękną, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, a może po prostu w to nie wierzyła.

Wciąż miała niewielu przyjaciół, lecz nie czuła się już jak wyrzutek. Niemal codziennie kłóciła się z rodzicami, ponieważ miała dość życia w tym maleńkim, ciasnym domku; coraz częściej ogarniało ją coś w rodzaju klaustrofobii, coraz częściej się tam dusiła.

Brad Reedy był w ostatniej klasie i grał w hokeja, dlatego należał do szkolnej elity. Ona była w klasie drugiej i nie mogła uwierzyć, gdy pewnego dnia ten słynny Brad Reedy podszedł do niej w szatni i spytał, czy nie zechciałaby się z nim umówić. Myślała, że to głupi żart, że podpuścili go kumple, dlatego prychnęła szyderczo i odwróciła się; nie ma to jak twardy pancerz sarkazmu – zaczynała to doceniać.

Ale Brad nie zrezygnował, nalegał. Zaczerwieniła się, zeszywniała, odrzekła, że może kiedyś.

Chciał przyjechać po nią do domu, ale nie mogąc znieść myśli, że zobaczyłby, gdzie i jak mieszkają, udała, że ma coś do załatwienia na mieście i zaproponowała, że zaczeka na niego przed kinem. Przez kilka dni przeglądała magazyny mody, głównie „Mademoiselle” i „Glamour”. W „Seventeen”, w dziale zatytułowanym „Jak przykuć jego uwagę”, wypatrzyła doskonałą sukienkę, taką, którą włożyłaby bogata dziewczyna z klasą, którą jego rodzice na pewno by zaakceptowali.

Poszła do Goodwill. Sukienka – od Laury Ashley – była w drobniutki kwiecisty

wzorek i miała wysoki, pofałdowany kołnierzyk; dopiero kiedy ją kupiła, zdała sobie sprawę, że niezbyt pasuje do reszty stroju. W jasnozielonych espadrylach, z jasnozieloną torebką i w jasnozielonej opasce na włosy czuła się idiotycznie, jak mała dziewczynka w przebraniu na Halloween. Brad przyszedł na randkę w wystrzępionych dżinsach i sportowej koszulce w paski i wtedy z jeszcze większą mocą dotarło do niej, że straszliwie przesadziła. Wystroiła się tak, jakby to ona chciała go poderwać, jakby to jej na nim zależało.

Gdy wchodzili do kina, zdawało jej się, że wszyscy na nią patrzą. Na nią, na tę przesadnie wystrojoną dziewczynkę z chłopcem jak marzenie.

Po filmie zabrał ją do pubu u Shiba, na pizzę i piwo. Ona piła oranżadę, udając tajemniczą, trudną do zdobycia, chociaż kochała się w tym adonisie na zabój i wciąż nie mogła uwierzyć, że się z nią umówił.

Po trzech, czterech piwach stał się natarczywy. Przysunął się bliżej i zaczął ją obmacywać. Powiedziała, że rozboliła ją głowa – przerażona, nic innego nie mogła wymyślić – i poprosiła, żeby odwiózł ją do domu. Wsadził ją do swego porsche, jechał jak wariat, a potem „omyłkowo” skręcił do parku.

Ważył ponad dziewięćdziesiąt kilo, był niezwykle silny, buzował w nim alkohol: zdarł z niej ubranie i zatkał usta ręką, żeby zdławić krzyk. „Chcesz tego, ty meksykańska dziwko – powtarzał. – Wiem, że tego chcesz”.

To był jej pierwszy raz.

Przez rok regularnie chodziła do kościoła. Zżerało ją poczucie winy. Była pewna, że gdyby dowiedziała się o tym matka, nie dałaby jej żyć. Wspomnienie to prześladowało ją przez wiele lat. A mama wciąż sprzątała u jego rodziców.

Przypomniła sobie o wyciągach leżących na podłokietniku fotela. Świetna lektura, bardzo wciągająca, zwłaszcza do samotnej kolacji w hotelowym pokoju.

Już po chwili rzucił jej się w oczy rząd cyfr. Zamrugła i przyjrzała mu się ponownie, Niemożliwe. Przed czterema miesiącami na konto Roberta Mailhota przelano milion dolarów.

Usiadła wygodniej i wróciła do początku strony. Czuła się jak po zastrzyku adrenaliny. Z narastającym podnieceniem długo przypatrywała się kolumnom liczb. Nagle ujrzała przed sobą skromny, drewniany dom Mailhotów.

Milion dolarów.

Ciekawe. Bardzo ciekawe...

Zurych

Światło ulicznych latarni migotało mu przed oczami jak lampa stroboskopowa. Ben patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Intensywnie myślał.

Wyniki badań na obecność śladów prochu ostatecznie potwierdziły, że to nie on strzelał z tego nieszczęsnego pistoletu. Schmid przyjął tę wiadomość z rozczarowaniem i z wyraźną niechęcią wypisał mu przepustkę. Howie musiał pociągnąć za odpowiednie sznurki, bo zwrócili mu paszport.

–Zwalniam pana pod jednym warunkiem, *Herr* Hartman – powiedział detektyw. – Że wyjedzie pan z mojego kantonu. Proszę natychmiast opuścić Zurych. Jeśli stwierdzę, że pan tu wrócił, będzie pan miał wielkie nieprzyjemności. Śledztwo w

sprawie strzelaniny na Bahnhofplatz wciąż trwa; brakuje nam odpowiedzi na tyle pytań, że w każdej chwili mógłbym zdobyć nakaz i pana aresztować. Proszę pamiętać, że jeśli wmiesza się w to Einwanderungsbehörde, nasz urząd imigracyjny, zostanie pan natychmiast zatrzymany do dyspozycji władz administracyjnych, i może upłynąć nawet rok, zanim pańska sprawa trafi do sądu. Ma pan przyjaciół i koneksje, bardzo imponujące koneksje, ale następnym razem nic panu nie pomoże.

Jednak znacznie bardziej niż pogróżki dręczyło Bena coś innego: zadane od niechcienia pytanie. Czy koszmar na Bahnhofplatz miał rzeczywiście coś wspólnego ze śmiercią Petera?

Może inaczej: jakie było prawdopodobieństwo, że strzelanina na Bahnhofplatz nie miała nic wspólnego ze śmiercią brata? Ben doskonale pamiętał słowa swego mentora z Princeton, historyka Johna Barnesa Godwina: zawsze staraj się ocenić szanse. Oceń je raz, oceń je drugi, a potem zrób to, co mówi ci instynkt.

Instynkt mówił mu, że nie był to zwykły przypadek.

Jimmy'ego Cavanaugha otaczała jakaś tajemnica. Nie chodziło tylko o to, że ktoś usunął jego zwłoki. Chodziło o jego tożsamość, o przeszłość, o jego życie. Jak to możliwe, że w ogóle do tego doszło? I skąd tamci wiedzieli, gdzie go szukać? To nie miało sensu!

Zniknięcie ciała, podrzucenie pistoletu potwierdzało to, że człowiek występujący pod nazwiskiem Jimmy Cavanaugh współpracował z innymi. Ale z kim? W jakim celu? Dlaczego zainteresowali się Benem? Jakim mógłby być dla nich zagrożeniem? Dla nich czy dla kogokolwiek innego?

To musiało mieć coś wspólnego z Peterem, po prostu musiało.

Widział wystarczająco dużo filmów, by wiedzieć, że zwłoki „ulegają zwęgleniu do stopnia uniemożliwiającego identyfikację” tylko wtedy, kiedy władze chcą coś zatuszować. Kiedy przekazano mu tę straszną wiadomość, zrozpaczony Ben natychmiast pomyślał, że może zaszła jakaś pomyłka, że w samolocie zginął ktoś inny, że to tylko potworne nieporozumienie. Pomyślał, że nie, to niemożliwe: Peter żyje, na pewno do niego zadzwoni i jeszcze się z tej koszmarnej wpadki serdecznie uśmieją. Nie chciał mówić tego ojcu, żeby nie wzbudzać w nim fałszywych nadziei. Ale potem przyszło świadectwo zgonu -jednoznaczne i niepodważalne.

Teraz jednak nie zastanawiał się nad tym, czy to był Peter, tylko jak Peter umarł. Katastrofa samolotowa to znakomity sposób na zatuszowanie dowodów zbrodni.

Z drugiej strony, może była to jednak zwykła katastrofa?

Ostatecznie kto mógłby pragnąć jego śmierci? Zamordować kogoś, wsadzić trupa do samolotu i roztrzaskać maszynę w drobny mak: czy to nie przesada? Czy chcąc zatrzeć dowody morderstwa, ktoś posunąłby się do aż tak absurdalnie wyrafinowanych środków?

Ale tego popołudnia dokonał całkowitego przewartościowania definicji prawdopodobieństwa. Bo jeśli Jimmy Cavanaugh – czy kimkolwiek naprawdę był – z jakichś niezgłębionych powodów próbował zabić jego, czyż nie było prawdopodobne, że Cavanaugh – lub jego współpracownicy – nie zabili przed czterema laty Petera?

Howie wspomniał o komputerowej bazie danych, o kumplu, który robił w

szpiegostwie przemysłowym i miał mnóstwo różnych dojsć. Dojścia, kontakty: w przeblasku olśnienia Ben stwierdził, że pomoc ma pod ręką. Frederic McCallan, klient, który czekał na niego w St. Moritz – Freddie był nie tylko wytrawnym graczem giełdowym, ale i doradcą wielu waszyngtońskich polityków. Pracował pod rządami kilku prezydentów i na pewno nie narzekał na brak znajomości. Ben wyjął z kieszeni nokię i zadzwonił do hotelu Carlton w St. Moritz. Carlton był hotelem dyskretnie eleganckim, nieuchwytnie wytwornym i miał wspaniałą, kryty szkłem basem z widokiem na jezioro. Natychmiast połączono go z apartamentem McCallana.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz wystawić nas do wiatru – zadudnił jowialnie stary Frederic. – Louise będzie zdruzgotana. – Louise, jego wnuczka – podobno piękna.

– Nie, skądże. Zrobiło się tu małe zamieszanie i uciekł mi ostatni samolot do Chur. – Cóż, było w tym trochę prawdy.

– Czekaliśmy na ciebie z kolacją, myśleliśmy, że w końcu przyjedziesz. Kiedy można się ciebie spodziewać?

– Wynajmę samochód i natychmiast wyjeżdżam.

– Samochód? Będziesz jechał całą noc!

– To miła przejażdżka. – I długa, a tego właśnie potrzebowałem, żeby ochłoniąć i pozbiierać myśli.

– Wyczarteruj samolot.

– Nie mogę – uciął Ben, nie wdając się w szczegóły. Nie chciał jechać na lotnisko, gdzie mogli czekać na niego tamci, jeśli w ogóle istnieli. – Do zobaczenia na śniadaniu, Freddie.

Taksówką pojechał do Avis przy Gartenhofstrasse, gdzie wynajął opla omegę, spytał o drogę, po czym bez żadnych przygód dotarł do szosy A3 i ruszył na południowy wschód. Chwilę trwało, zanim wyczuł samochód i przywykł do sposobu jazdy szwajcarskich kierowców, a zwłaszcza do tego, że ilekroć chcieli go wyprzedzić, siadali mu na ogonie i agresywnie błyskali długimi światłami.

Kilka razy – pewnie w przypiływie paranoi – zdawało mu się, że śledzi go zielone audi, jednak szybko zniknęło i po pewnym czasie odzyskał dawny spokój. Zurych i oblęd, który się tam czaił, zostały daleko w tyle. Czekają na niego bezpieczne schronienie w St. Moritz.

Pomyślał o Peterze – przez ostatnie cztery lata myślał o nim bardzo często – i ponownie ogarnęły go wyrzuty sumienia ponownie ścisnęły go w brzuchu, a żołądek podszedł mu do gardła. Brat umarł w samotności. Umarł tak dlatego, że przez ostatnie lata jego życia on, Ben, prawie się do niego nie odzywał.

Chociaż nie: pod koniec Peter nie był sam. Żył ze Szwajcarką, studentką medycyny, w której się zakochał. Powiedział mu o tym przez telefon dwa miesiące przed śmiercią.

Od ukończenia studiów widzieli się dokładnie dwa razy. Dwa razy.

Zanim ojciec wysłał ich do różnych ogólniaków, byli nierozłączni. Ciągłe się bili, aż któryś nie wygrał. „Jesteś niezły – mówił wtedy do pokonanego, ale ja jestem lepszy”. Nienawidzili się i kochali, i zawsze, ale to zawsze byli razem.

Jednak po college'u Peter wstąpił do Korpusu Pokoju i wyjechał do Kenii. Jego także nie interesowała praca w kapitałowym imperium Hartmana. Nie chciał też pieniędzy z funduszu powierniczego. Po cholere mi szmal w Afryce? – mawiał.

Rzecz w tym, że wcale nie próbował odnaleźć siebie, że nie próbował nadać swemu życiu konkretnego sensu. Po prostu uciekał przed ojcem. Nigdy się między nimi nie układało. „Chryste! – nie wytrzymał kiedyś Ben. Nie chcesz mieć z nim do czynienia, to zamieszkać na Manhattanie i po prostu do niego nie dzwoń. Raz na tydzień zjedz z matką lunch, i tyle. Na litość boską, przecież nie musisz mieszkać w afrykańskiej lepiance!”

Peter wrócił do Stanów dwa razy: kiedy matka miała mastektomię i kiedy Ben zadzwonił do niego z wiadomością, że są przerzuty i że zostało jej tylko parę miesięcy życia.

W tym czasie Peter mieszkał już w Szwajcarii, z poznaną w Kenii dziewczyną. „Jest piękna, błyskotliwa i jeszcze mnie nie przejrzała – powiedział mu przez telefon. – Zapisz to pod »dziwne, ale prawdziwe«” – Było to jego ulubione powiedzonko z dzieciństwa.

Dziewczyna wróciła na studia do Zurychu, a on razem z nią. Właśnie dlatego ponownie nawiązali kontakt. „A ty co? – spytał z pogardą Ben. – Na smyczy za nią? Jak pokojowy piesek?” Był zazdrosny, że Peter się zakochał, że on, Ben, nie jest już najważniejszą osobą w jego życiu.

„Nie – odparł Peter – nie o to chodzi”. W międzynarodowym wydaniu „Time'a” przeczytał artykuł o pewnej staruszce. Przeżyła holocaust, mieszkała we Francji, była bardzo biedna i od kilku lat prowadziła korespondencję z wielkim szwajcarskim bankiem, bezskutecznie próbując odzyskać skromną sumę pieniędzy, którą zdeponował jej ojciec, zanim zginął w hitlerowskim obozie koncentracyjnym.

Bank domagał się od niej świadectwa zgonu:

Odpisała, że hitlerowcy zamordowali sześć milionów Żydów, nie wystawiając świadectwa zgonu żadnemu z nich.

Peter zamierzał jej pomóc. „Cholera jasna – powiedział. – Jeśli Hartman nie zdoła wyrwać tych pieniędzy z zachłannych łap jakiegoś szwajcarskiego bankiera, to kto sobie z tym poradzi?”

Ben nie znał człowieka bardziej upartego niż on. Może z wyjątkiem ojca, starego Maksa.

Nie miał żadnych wątpliwości, że brat tę bitwę wygrał.

Zaczęło ogarniać go znużenie. Podróż była monotonna, usypiająca. Podświadomie dostosował się do rytmu jazdy innych kierowców i samochody wyprzedzały go coraz rzadziej. Za to coraz częściej opadały mu powieki.

Ogłuszający ryk, oślepiający błysk światła – z przerażeniem zdał sobie sprawę, że usnął za kierownicą. Zareagował błyskawicznie, skręcając w prawo, wracając na swój pas i w ostatniej chwili unikając czołowego zderzenia.

Z walącym sercem zjechał na pobocze i z ulgą głęboko odetchnął. Wszystko przez tę różnicę czasu: organizm nie zdążył się jeszcze przystosować i w końcu dopadło go zmęczenie tym większe, że na Bahnhofstrasse przeżył prawdziwe piekło.

Uznał, że najwyższa pora zrobić sobie przerwę. Od St. Moritz dzieliły go najwyżej dwie godziny jazdy, ale nie chciał ryzykować. Musiał znaleźć jakiś hotel i się przespać.

Minęły go dwa samochody, choć ich nie widział.

Najpierw dziesięcioletnie zielone audi, zdezelowane i przerdzewiałe. Jego kierowca, wysoki pięćdziesięciolatek o długich, siwych, ściągniętych w kucyk włosach odwrócił się, żeby spojrzeć na stojącego na poboczu opla.

Mniej więcej sto metrów dalej on też zjechał z drogi i się zatrzymał.

Chwilę później opla minął drugi samochód, szarą limuzyna z dwoma mężczyznami w środku.

–*Glaubst Du, er hat urn entdeckt?* – spytał kierowca w szwajcarskiej odmianie niemieckiego. – Myślisz, że nas zauważył?

–Nie, pewnie się zgubił. Sprawdza coś na mapie.

–To może być pułapka. Zjadę na bok.

Kierowca zauważył zielone audi parkujące na poboczu.

–Czyżbyśmy mieli towarzystwo? – rzucił.

Rozdział 6

Halifax, Nowa Szkocja

Nazajutrz rano Anna i Ron Arsenault zadzwonili do drzwi domu Mailhotów.

Wdowa uchyliła je leciutko i przyjrzała im się, stojąc w ciemnym korytarzu. Była bardzo niska. Miała siedemdziesiąt dziewięć lat, mlecznobiałe, mocno wytapirowane włosy, dużą głowę, szczerą twarz i czujne piwne oczy. No i szeroki, płaski nos, zaczerwieniony albo od płaczu, albo od wódki.

–Tak? – rzuciła wrogo, co zupełnie ich nie zdziwiło.

–Nazywam się Arsenault – przemówił z zaskakującą czułością Ron. – Jestem z Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej. A to jest pani Anna Navarro z Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

Możemy wejść?

–Ale po co?

–Tylko kilka pytań, nic więcej.

Wdowa gniewnie błysnęła małymi oczami.

–Nie będę rozmawiała z policją- warknęła. – Mój mąż nie żyje. Dajcie mi spokój.

Z jej głosu biła rozpacz i desperacja. Z dokumentów wynikało, że jej panięskie nazwisko brzmiało LeBlanc i że była osiem lat młodsza od męża. Nie musiała z nimi rozmawiać, chociaż prawdopodobnie o tym nie wiedziała. Wszystko zależało teraz od siły perswazji.

Anna nie znosiła rozmów z członkami rodziny ofiar zabójstwa. Zасыpywanie ich pytaniami w tak bolesnej chwili, ledwie kilka dni, a nawet godzin po śmierci ukochanej osoby, było nie do zniesienia.

–Proszę pani – powiedział oficjalnym tonem Arsenault. – Mamy powody przypuszczać, że pani mąż został zamordowany.

Wdowa przeszyła ich spojrzeniem.

–To niedorzeczne – odparła. Szpara w drzwiach się zmniejszyła.

–Być może – odrzekła łagodnie Anna – ale jeśli tak było, chcielibyśmy to sprawdzić.

Wyraźnie się wahała.

–Był już stary – burknęła. – Chorował na serce. Dajcie mi spokój.

Annie było przykro, że muszą ją tak bezpardonowo wypytywać. Pani

Mailhot mogła ich w każdej chwili odprawić, a wówczas straciłaby szansę. Dlatego głosem cichym i łagodnym powiedziała:

–Pani mąż mógłby jeszcze żyć, moglibyście państwo spędzić razem wiele lat. Uważamy, że ktoś to państwu uniemożliwił, że odebrał wam coś, czego nie miał prawa odbierać. Jeśli tak było, chcemy się dowiedzieć, kim ten człowiek jest.

Po jej oczach poznała, że staruszka zaczyna się łamać.

–Z pani pomocą odkryjemy, kto odebrał pani męża.

Szpara się poszerzyła, drzwi powoli się otworzyły.

Salon tonął w mroku. Pani Mailhot zapaliła lampę. W jej żółtawym świetle była szersza w biodrach i jeszcze niższa, niż się początkowo wydawało. Miała na sobie szarą, plisowaną spódnicę, czyściutką i starannie wyprasowaną, i rybacki sweter w

kolorze kości słoniowej.

Pokój był ponury, lecz bardzo zadbany; pachniał cytrynowym olejkiem do mebli. Najwyraźniej niedawno go sprzątała, spodziewając się gości, krewnych, którzy mieli przyjechać na pogrzeb męża. Włosy i włókna szlag trafił, pomyślała Anna. Policja nie zabezpieczyła miejsca zbrodni – jeśli była to zbrodnia.

Sądząc po wystroju wnętrza, pani Mailhot przywiązywała wielką wagę do szczegółów. Na poręczach tweedowej sofy i wszystkich foteli leżały ozdobne, koronkowe serwetki. Wszystkie lampki miały identyczne abażury z białego jedwabiu, a wszystkie abażury były ozdobione frędzelkami. Na małych stolikach stały fotografie w srebrnej oprawie. Wśród nich czarno-białe zdjęcie ślubne: bezbronna, mało urodziwa panna młoda i jej świeżo poślubiony mąż, mężczyzna o dumnej, wyrazistej twarzy.

Na telewizorze stał rząd identycznych figurynek – słoników z kości słoniowej. Kicz, ale kicz bardzo wzruszający.

–Są prześliczne, prawda? – rzuciła Anna.

–Tak, rzeczywiście – potwierdził bez przekonania Arsenault.

–Czy to Lenox? – spytała Anna.

Zaskoczona wdowa uśmiechnęła się z dumą.

–Pani też je zbiera?

–Nie, moja mama. – Matka nie miała ani czasu, ani pieniędzy na zbieranie czegokolwiek.

Pani Mailhot wskazała fotel i sofę.

–Proszę, niech państwo usiądą.

Anna przycupnęła na sofie, Arsenault usiadł w stojącym tuż obok fotelu. Byli w pokoju, w którym znaleziono martwego Mailhota.

Wdowa usiadła na niewygodnym krześle z wysokim oparciem po drugiej stronie salonu.

–Nie było mnie, kiedy umarł – powiedziała ze smutkiem. – Co wtorek wieczorem odwiedzam siostrę. Odszedł samotnie. Tak strasznie mi przykro.

Anna ze współczuciem kiwnęła głową.

–Może porozmawiamy przez chwilę o tym, jak to się stało...

–Zawał – odrzekła. – Po prostu zawał. Lekarz tak mi powiedział.

–To możliwe, ale morderstwo można upozorować.

–Dlaczego ktoś miałby go zabić?

Arsenault posłał Annie ledwo dostrzegalne spojrzenie. Wdowa wypowiedziała to zdanie z dziwną intonacją: nie było to bynajmniej pytanie retoryczne. Zabrzmiało tak, jakby chciała poznać prawdę. Anna zdawała sobie sprawę, że wszystko zależy od tego, jak teraz to rozegrają. Mailhotowie pobrali się w 1951 roku – spędzili razem pół wieku. Jeśli jej mąż maczał palce w czymś podejrzanym, wdowa musiała, po prostu musiała się tego domyślać.

–Przyjechali tu państwo kilka lat temu, prawda?

–Tak. Ale co to ma wspólnego z jego śmiercią?

–Żyliście z jego emerytury?

Pani Mailhot wojowniczo zadarła podbródek.

–Pieniędzmi zajmował się Robert. Mówił, żebym się nimi nie przejmowała.

–Ale czy mówił też, skąd te pieniądze pochodzą?

–Powtarzam: to on się tym zajmował.

–Czy mąż powiedział pani, że ma na koncie półtora miliona dolarów?

–Możemy pokazać pani wyciągi – wtrącił Arsenault.

Staruszka miała nieprzeniknione oczy.

–Już mówiłam, o naszych finansach nie wiem prawie nic.

–Nigdy nie wspominał, że ktoś mu te pieniądze przysyła? – spytał Arsenault.

–Pan Highsmith był bardzo hojnym człowiekiem – odrzekła powoli wdowa. –

Zawsze pamiętał o maluczkich. O ludziach, którzy mu pomagali.

–A więc to on płacił mężowi? – drążył Arsenault. – Charles Highsmith?

Charles Highsmith był słynnym – niektórzy powiedzieliby, że niesławnym – królem mediów. Dysponując aktywami jeszcze bogatszymi niż aktywa jego głównego rywala, Conrada Blacka, wszedł w posiadanie licznych gazet, stacji radiowych i spółek telekomunikacyjnych w całej Ameryce Północnej. Przed trzema laty zmarł, utopił się, wypadłszy za burtę jachtu, chociaż okoliczności, w jakich doszło do wypadku, były dość kontrowersyjne.

Pani Mailhot skinęła głową.

–Mój mąż pracował u niego prawie całe życie.

–Ale Charles Highsmith zmarł trzy lata temu – zauważył Arsenault.

–Musiał zostawić jakieś dyspozycje na wypadek śmierci. Mąż nie rozmawiał ze mną o takich sprawach. Pan Highsmith dbał, żebyśmy zawsze żyli w dostatku. Oto jakim był człowiekiem.

–Co zrobił pani mąż, żeby zaskarbić sobie aż taką wdzięczność? – spytała Anna.

–To żadna tajemnica – odparła wdowa.

–Do czasu, kiedy przed piętnastoma laty nie przeszedł na emeryturę – wyjaśnił Arsenault – był jego ochroniarzem i powiernikiem. Człowiekiem do zadań specjalnych.

–Człowiekiem, któremu pan Highsmith mógł całkowicie zaufać – dodała staruszka; zabrzmiało to jak fragment zasłyszanego gdzieś panegiryku.

–Mieszkaliście państwo w Toronto i przeprowadziliście się do Halifaksu zaraz po jego śmierci – powiedziała Anna, zerknąwszy do akt.

–Tak. Mój mąż miał pewne... podejrzenia.

–Podejrzenia? Dotyczące śmierci Charlesa Highsmitha?

Staruszka mówiła z wyraźną niechęcią.

–Zastanawiał się. Wielu ludzi się zastanawiało. Czy to był zwykły wypadek. Już wtedy nie pracował, ale czasem proszono go o konsultacje. Ciągłe powtarzał, że to jego wina, że wszystko przez niego. Pewnie dlatego był taki dziwny. Wmówił sobie, że to nie był wypadek, że pewnego dnia wrogowie pana Highsmitha przyjdą i po niego. Wiem, to brednie, ale musicie zrozumieć, że Robert był moim mężem. Nigdy nie podważałam jego decyzji.

–I dlatego się państwo przeprowadzili... – powiedziała Anna trochę do niej, trochę

do siebie. Po wielu latach życia w wielkich miastach, takich jak Londyn czy Toronto, mąż pani Mailhot zaszył się na prowincji, po prostu uciekł. Schronił się w miejscu, które było niegdyś domem ich przodków, w miejscu, gdzie wszyscy się znali, gdzie mógł czuć się bezpiecznie i gdzie nie rzucał się w oczy.

Pani Mailhot milczała.

–Ale ja w to nie wierzyłam – dodała po chwili. – Ot, coś mu się tam roilo, i tyle. Im więcej miał lat, tym bardziej dziwaczał. Niektórzy mężczyźni już tacy są.

–Uważała pani, że to dziwactwa.

–Cóż, każdy je ma.

–A teraz? – spytała łagodnie Anna. – Też tak pani myśli?

–Teraz nie wiem już, co myśleć. – Staruszce zwilgotniały oczy.

–Czy wie pani, gdzie trzymał dokumenty, wyciągi bankowe?

–W pudełku na górze są książeczki czekowe i jakieś papiery. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli chcecie, możecie je przejrzeć.

–Dziękujemy – odrzekła Anna. – Musimy prześledzić razem ostatni tydzień życia pani męża. Bardzo szczegółowo. Musi nam pani opisać jego zwyczaje, powiedzieć, dokąd chodził, dokąd jeździł, czy telefonował, czy ktoś telefonował do niego. Może dostał jakiś list, może jadł w jakiejś restauracji. Może ktoś państwa odwiedzał, na przykład hydraulik, ktoś od telefonów, czyściciel dywanów, inkasent z gazowni. Ktokolwiek.

Wypytywali ją przez dwie godziny, robiąc przerwy tylko na wyjście do toalety. Wkrótce spostrzegli, że wdowa jest bardzo zmęczona, mimo to nieugięcie parli naprzód. Anna wiedziała, że jeśli wyjdą i poproszą o spotkanie nazajutrz rano, staruszka może zmienić zdanie. Że może porozmawiać z przyjaciółką czy adwokatem i kazać im iść do diabła.

Ale po dwóch godzinach wiedzieli niewiele więcej niż na początku. Wdowa pozwoliła im rozejrzeć się po domu, lecz ani na drzwiach, ani na oknach nie znaleźli żadnych śladów włamania. Wyglądało na to, że zabójca – jeśli Robert Mailhot rzeczywiście został zamordowany – wszedł do domu podstępem albo był znajomym właściciela.

Anna znalazła w pakamerze stary elektroluks i wyjęła z niego wkład. Wkład był pełny, co oznaczało, że prawdopodobnie nie zmieniano go od śmierci Mailhota. To dobrze. Każde technikom odkurzyć pokój jeszcze raz. Może jednak coś znajdą.

Może znajdą nawet odciski palców, ślady opon samochodowych. Trzeba będzie pobrać odciski palców wdowy i ludzi, którzy regularnie ją odwiedzali, i sprawdzić wszystkie typowe miejsca.

Kiedy wrócili do salonu, Anna zaczekała, aż staruszka usiądzie, i zajęła miejsce na krześle tuż obok niej.

–Proszę pani – zaczęła delikatnie – czy mąż kiedykolwiek mówił, dlaczego, jego zdaniem, Charles Highsmith padł ofiarą czegoś... nieuczciwego?

Wdowa długo patrzyła na nią bez słowa, jakby zastanawiając się, czy odkryć karty.

–*Les grands hommes ont leurs ennemis* – odrzekła w końcu złowieszczo. – Wielcy

ludzie mają wielkich wrogów.

–Co to znaczy?

Staruszka uciekła wzrokiem w bok.

–Nic – odrzekła. – Tak mawiał mój mąż.

Szwajcaria

Ben zjechał z szosy pierwszym napotkanym zjazdem.

Droga wiodła początkowo prosto, przez płaskie pola, a potem, za torami kolejowymi, zaczęła wić się między wzgórzami. Co dziesięć, dwadzieścia minut Ben przystawał, żeby spojrzeć na mapę.

Dojeżdżał do Chur szosą A3 i był kilka kilometrów na południe od Bad Ragaz, gdy jego uwagę przykuł ciemnoniebieski saab. Może to po prostu zwykły saab, może jechali nim zwykli narciarze. Ale nie, miał nieodparte wrażenie, że coś jest nie tak, że samochód dostosowuje prędkość do prędkości jego opla. Zjechał na pobocze i saab go minął. No i proszę, to tylko wyobraźnia.

Ruszył. Zaczynał popadać w paranoję, ale po tym, co przeszedł, czy można mu się dziwić? Ponownie pomyślał o Jimmym Cavanaughu i natychmiast odpędził od siebie te myśli: dostawał od nich zawrotu głowy jak od patrzenia w bezdenną otchłań. Tajemnica za tajemnicą- dla własnego zdrowia psychicznego nie mógł się w nie zagłębiać. Przyjdzie na to czas. Teraz musiał jechać, potrzebował ruchu.

Dziesięć minut później znowu stanęły mu przed oczami obrazy rzezi w Shopville i żeby je rozpędzić, szybko włączył radio. Uznał, że pomoże mu również prędkość, więc wcisnął pedał gazu: automat gładko zmienił biegi i samochód przyspieszył, wjeżdżając na zbocze stromego wzgórza. Ben zerknął w lusterko i zobaczył saaba – był to ten sam ciemnoniebieski saab, którego widział przedtem, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Jechał za nim jak po sznurku, przyspieszając, ilekroć on przyspieszał.

Ścisnęło go w brzuchu. Kierowcy jadący z dużą prędkością odruchowo zwiększają odstępy na drodze, ale saab wciąż jechał w tej samej odległości. Gdyby chciał go wyprzedzić, zjechałby na lewy pas. A więc najwyraźniej chodzi o coś innego. Ben ponownie spojrzął w lusterko, żeby sprawdzić, kto nim jedzie, jednak dostrzegł tylko niewyraźne cienie, dwie ciemne sylwetki siedzących z przodu ludzi. Cholera jasna, co oni knują? Skupił uwagę na drodze. Nie chciał, żeby tamci odkryli, że o nich wie.

Mimo to musiał ich jakoś zgubić.

Najlepiej w labiryncie dróg wokół Chur, tam będzie najłatwiej – podczas ostatniej wizyty w Szwajcarii sam się tam zgubił. Szarpnął kierownicą, w ostatniej chwili skręcił w prawo i zjechał ślimakiem na dużo węższą szosę numer 3, która wiodła na południe, w kierunku St. Moritz. Kilka minut później, dokładnie pośrodku lusterka, dostrzegł znajomą sylwetkę ciemnoniebieskiego saaba. Pędząc o wiele za szybko, wspinając się na szczyty wzgórz i zjeżdżając z nich tak gwałtownie, że żołądek podchodził mu do gardła, minął Malix i Churwalden. Nieustannie kluczył, skręcał w wyboiste boczne drogi, pędził nimi o wiele za szybko: przeciążone zawieszenie opla nie wytrzymało i wóz nieustannie raptownie podskakiwał. Raz zawadził podwoziem

o wystający kamień- rozległ się przeraźliwy zgrzyt i dostrzegł w lusterku snop iskier.

Zgubił ich? Saab od czasu do czasu zniknął, lecz zawsze na krótko, po czym pojawiał się z tyłu, jakby łączyła ich mocna, niewidzialna lina. Wydrążone w litej skale tunele, wystrzępione klify z piaskowca, stare kamienne mosty nad głębokimi żlebami – narastające przerażenie tłumilo zdrowy rozsądek i Ben prowadził coraz szybciej. Liczył na rozwagę tych, którzy go ścigali, na ich instynkt samozachowawczy. To była jego jedyna szansa.

Gdy dojeżdżał do wąskiego, krótkiego tunelu, saab wyprzedził go nagle i zniknął w ciemnej gardzieli. Ben zmarszczył czoło. Czyżby tamci cały czas jechali za kimś innym? Dopiero znalazłszy się na końcu tunelu, w żółtawym świetle rtęciówek zobaczył, co się dzieje.

Saab stał piętnaście metrów dalej, w poprzek wąskiej drogi.

Jego kierowca, mężczyzna w ciemnym płaszczu i kapeluszu, podniósł rękę, każąc mu się zatrzymać. To była zaporą, blokada drogowa.

I wtedy Ben spostrzegł, że z tyłu nadjeżdża drugi samochód, szara limuzyna marki Renault. Ten wóz też widział przedtem, lecz nie zwrócił na niego większej uwagi. Ten wóz też należał do nich, kimkolwiek ci ludzie byli!

Myśl, do ciężkiej cholery, myśl! Chcieli wziąć go w dwa ognie, schwytać w potrzask. O Chryste! Nie mógł do tego dopuścić! W normalnych okolicznościach odruchowo wcisnąłby pedał hamulca, ale ponieważ te nie były normalne, pod wpływem jakiegoś szalonego impulsu, zamiast pedału hamulca, wcisnął pedał gazu: opel śmignął przed siebie i grzmotnął dwudrzwiowego saaba w lewy bok. Sportowy saab był bardzo szybki, lecz co najmniej trzysta sześćdziesiąt kilogramów lżejszy od opla. Tuż przed zderzeniem, dosłownie w ostatniej chwili, jego kierowca uskoczył na pobocze. Potężny wstrząs, gwałtowna utrata prędkości – pas bezpieczeństwa wbił się w ciało jak stalowa taśma – lecz siła uderzenia zepchnęła saaba z drogi na tyle, by z potwornym zgrzytem rozdieranego metalu opel mógł się obok niego przecisnąć i pojechać dalej. Miał roztrzaskany, straszliwie poharatany przód i w niczym nie przypominał lśniącego, eleganckiego wozu z wypożyczalni, ale koła były całe, wciąż się obracały. Bojąc się spojrzeć za siebie, Ben dodał gazu.

Z tyłu dobiegł go odgłos wystrzałów. Jezu Chryste! To jeszcze nie koniec. To się nigdy nie skończy!

Dzięki kolejnemu zastrzykowi adrenaliny wyostrzyły mu się wszystkie zmysły. Szara renówka, ta, która wjechała za nim do tunelu, jakimś cudem wyminęła rozbitego saaba i zobaczył w lusterku, że z jej okna, tego od strony pasażera, wystaje lufa broni. Boże, celowali do niego, chcieli go zastrzelić! To był pistolet maszynowy. Kilka sekund później powietrze przeciął grad kul.

Gazu, szybciej!

Śmignął przez stary, kamienny most nad parowem, tak wąski, że opel ledwo się na nim zmieścił. Nagle usłyszał głuchy trzask, coś jakby pacnięcie, i metr, może półtora dalej, buchnął gejzer odłamków szkła. Odstrzelili mu boczne lusterko, na tylnej szybie wykwitła pajęczyna pęknięć. Znali się na swojej robocie i czuł, że zaraz zginie.

Kolejna eksplozja, stłumiony huk, i samochód gwałtownie zarzucił w lewo. Przestrzelili mu oponę.

Tak, celowali w koła, próbowali unieruchomić wóz. Przypomniały mu się słowa eksperta od ochrony, jego wykład dla wyższego personelu firmy ojca: uczył ich, jak uniknąć uprowadzenia w krajach Trzeciego Świata, jakie środki przedsięwziąć, żeby temu zapobiec. Śmiali się wtedy, uznali, że zupełnie nie przystają do rzeczywistości. „Nigdy nie wysiadaj z samochodu” -tak brzmiała jedna ze wskazówek. Było mało prawdopodobne, żeby miał jakiś wybór.

I wtedy usłyszał charakterystyczne zawrodoenie policyjnej syreny. Przez wystrzępioną dziurę w tylnej szybie zobaczył, że za szarą renówką pędzi trzeci samochód, nie oznakowany wóz z niebieskim kogutem na dachu. Dostrzegł tylko tyle, gdyż dzieliła ich za duża odległość, żeby mógł rozpoznać markę. Skonsternowany stwierdził również, że wystrzały raptownie umilkły.

Szare renault zjechało na pobocze, błyskawicznie zawróciło, śmignęło tuż obok policyjnego wozu i zniknęło w paszczy tunelu. Uciekli! Jego prześladowcy uciekli!

Ben zahamował i zatrzymał się za mostem. Wyczerpany odchylił do tyłu głowę i czekał, aż podjadą do niego ci z policji. Mijały sekundy, minęła minuta. Odwrócił głowę, wyciągnął szyję i spojrzał na drogę, która omal go nie zabiła.

Policyjny samochód też zniknął. Na poboczu stał tylko porzucony saab.

Ben był sam, zupełnie sam: słyszał tylko ciche mruczenie silnika i głucho dudnienie swego serca. Wyjął z kieszeni telefon, ale w tej samej chwili przypomniała mu się rozmowa ze Schmidem i zrezygnował. „W Szwajcarii jest tak, że bez żadnej przyczyny mogą cię zamknąć na dwadzieścia cztery godziny” – to słowa Howiego. Schmid nie ukrywał, że szuka jedynie pretekstu, żeby wsadzić go do paki. Nie, na policję zadzwoni później. Teraz nie mógł trzeźwo myśleć.

Kiedy organizm wchłonął adrenalinę, panika ustąpiła miejsca poczuciu całkowitego wyczerpania. Musiał odpocząć. Musiał nabrać sił, żeby spokojnie ocenić sytuację.

Rozbitym, rzęzącym oplem ze sflaczałymi oponami i zgrzytającymi po asfalcie felgami odbył koszmarną przejażdżkę do najbliższego miasteczka, a właściwie – wsi, typowego szwajcarskiego *Darf*. W wąziutkich uliczkach stały prastare kamienne domy, maleńkie i zapuszczone, oraz domy większe, takie ż pruskiego muru. W niektórych paliło się światło, ale większość tonęła w ciemności. Jezdnia była nierówna i opel, który sunął teraz na samych felgach, nieustannie zahaczał podwoziem o bruk.

Wkrótce uliczka przeszła w główną ulicę, przy której stały kamienne, zakończone szczytami domy i rząd większych, krytych dachówką kamienic. Kilka minut później wjechał na brukowany skwer z kamienną fontanną pośrodku, na Rathausplatz, nad którym górowała stara, gotycka katedra. Wyglądało to jak siedemnastowieczne miasteczko, zbudowane na gruzach jeszcze starszego, w którym wymieszały się style architektoniczne z różnych epok.

Po drugiej stronie skweru, dokładnie naprzeciwko katedry, stało coś w rodzaju siedemnastowiecznego dworu o schodkowo zakończonej ścianie szczytowej. Nad

wejściem wisiała mała, drewniana tablica z napisem *Altes Gebaude*, Stary Dom, chociaż wydawało się, że dom jest nowszy od pozostałych. Z małych, wielodzietnych okien buchało jasne światło. Była to gospoda, gdzie mógł coś zjeść, wypić, posiedzieć i pomyśleć. Zaparkował rozbitego opla za starą półciążarówką, za którą nie rzucał się w oczy, i na, drżących nogach z trudem dokuśtykał do drzwi.

W środku było ciepło i przytulnie. W wielkim, kamiennym kominku płonął ogień, wszędzie pachniało drewnem, dymem, smażoną cebulą i pieczonym mięsem. Cudowne, zapraszające wnętrze, tradycyjna szwajcarska *Stubli*, restauracja w starym stylu. Jeden z okrągłych, drewnianych stołów był najwyraźniej *Stammtisch*, zarezerwowany dla stałych bywalców, którzy pili tu piwo i godzinami grali w karty. Pięciu czy sześciu mężczyzn otaksowało go wrogim, podejrzliwym spojrzeniem i powróciło do swoich kart. Tu i ówdzie siedzieli inni goście, jedząc i pijąc.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo zgłodniał. Poszukał wzrokiem kelnerki czy kelnera i nie dostrzegłszy żadnego, usiadł przy wolnym stoliku. Kiedy wreszcie zjawił się kelner – niski, brzuchaty mężczyzna w średnim wieku – Ben zamówił coś typowo szwajcarskiego, solidnego i ciężko strawnego: *Rosti*, pieczone ziemniaki z *Geschnetzltes*, kawałkami cielęciny w sosie śmietanowym, oraz *Viertel*, ćwierćlitrową karafkę miejscowego czerwonego wina. Gdy dziesięć minut później kelner wrócił z kilkoma talerzami na rękę, Ben spytał:

–Jest tu jakiś dobry hotel?

Kelner zmarszczył czoło i bez słowa postawił talerze na stole. Odsunął szklaną popielniczkę i czerwone zapalaki z napisem „Altes Gebaude”, po czym nalał mu wina.

–Langasthof – odrzekł po angielsku z ciężkim akcentem mieszkańców kantonu Grisons. – To jedyny hotel w promieniu dwudziestu kilometrów.

Gdy wytłumaczył mu, jak tam dojechać, Ben spróbował *Rosti*. Brązowe i chrupkie, miały lekki, cebulowy posmak i były przepyszne. Jadł zachłannie, zerkając w częściowo zaparowane okno, wychodzące na mały parking. Obok opla stał inny samochód, który zasłaniał mu widok. Zielone audi.

Z zakamarków pamięci wychynął zamazany obraz.

Czy to nie zielone audi jechało za nim szosą A3? Tak, i to spory kawał drogi, pamiętał, że je widział – uznał wtedy, że to wytwór jego rozbudzonej wyobraźni i szybko o nim zapomniał.

Nagle kątem oka dostrzegł, że ktoś mu się przygląda. Nie, pewnie mu się tylko zdawało, bo gdy powiódł wzrokiem po sali, nie zauważył nikogo, kto posłałby mu choćby przelotne spojrzenie. Odstawił kieliszek. Muszę napić się kawy, pomyślał. Koniec z winem. Zaczynam mieć zwidy.

Zjadł prawie wszystko, i to w rekordowym tempie. Żołądek miał ciężki, wypełniony tłustymi ziemniakami i sosem. Poszukał wzrokiem kelnera, chcąc zamówić kawę i wówczas ponownie przeszedł go dreszcz, wyczuł bowiem, że ktoś zerknął na niego i szybko odwrócił wzrok. Spojrzał w lewo, na ciężkie, mocno porysowane stoły: większość z nich była wolna, ale w kilku głębokich, ciemnych niszach przy długiej, bogato rzeźbionej barowej ladzie, na której stał tylko staromodny telefon z okrągłą tarczą, siedzieli jacyś ludzie. W jednej z nich dostrzegł samotnego mężczyznę, który

pił kawę i palił papierosa. W średnim wieku, długie, siwawe, związane w kucyk włosy, znoszona brązowa kurtka... Gdzieś go widziałem. Na pewno gdzieś go widziałem. Ale gdzie? Mężczyzna podparł brodę szeroko otwartą dłonią.

Był to gest za bardzo wystudiowany, zbyt obojętny i niewymuszony. Facet próbował zasłonić sobie twarz.

Wysoki, elegancko ubrany mężczyzna o siwiejących, ściągniętych w kucyk włosach... Cholera jasna, na pewno gdzieś go widział, ale wciąż nie mógł przypomnieć sobie gdzie. Mignął mu tylko przed oczami, lecz Ben dobrze pamiętał, co wtedy pomyślał: że biznesmen z kucykiem wygląda idiotycznie, staromodnie, jak ktoś przeniesiony żywcem z lat... osiemdziesiątych.

Bahnhofstrasse.

Widział go na Bahnhofstrasse, w tłumie przechodniów na ulicy, na chwilę przed spotkaniem z Jimmym Cavanaughem! Teraz był tego pewny. Facet przechodził przed hotelem, potem jechał za nim zielonym audi, a teraz siedział tutaj, w restauracji, do której zupełnie nie pasował.

Jezu Chryste, on też mnie śledzi. Śledzi mnie od Zurychu. Ścisnęło go w brzuchu.

Kto to jest? Po co tu przyszedł? Jeśli podobnie jak Jimmy Cavanaugh chciał go zabić – i z tego samego co Jimmy, choć niewiadomego powodu – dlaczego jeszcze tego nie zrobił? Miał mnóstwo okazji. Cavanaugh wyciągnął broń w biały dzień, na zatłoczonej ulicy. Dlaczego Kucyk nie strzelił do niego w prawie pustej gospodzie?

Przywołał kelnera, który podszedł do niego z pytającym wyrazem twarzy.

–Mógłbym prosić o kawę?

–Oczywiście, natychmiast.

–Jest tu gdzieś toaleta?

Kelner wskazał słabo oświetlony kąt sali, gdzie znajdowało się wejście do ledwo widocznego korytarza. Ben wyciągnął rękę w tamtą stronę, jakby chciał się upewnić, czy to na pewno tam.

Kucyk, wszystko dla Kucyka: bandzior musiał wiedzieć, dokąd Ben zamierza pójść.

Dyskretnie wsunął pieniądze pod talerz, schował do kieszeni zapalniczkę, powoli wstał i poszedł do toalety. Mieściła się w wąskim korytarzu, naprzeciwko korytarza na drugim końcu sali, tego, który prowadził do kuchni. Wiedział, że w kuchni musi być wejście dla personelu i dla dostawców. Wejście dla personelu to dobra droga ucieczki, ale on nie zamierzał tamtędy uciekać: chciał jedynie wprowadzić Kucyka w błąd. Toaleta była mała i bez okien; wtedy uciec nie mógł. Kucyk, zawodowiec, na pewno to sprawdził.

Zamknął drzwi na klucz. Staromodna muszla klozetowa, staromodna umywalka, delikatny zapach płynu dezynfekcyjnego. Wyjął swoją nokię i wystukał numer Altes Gebaude. Z restauracji dobiegło go przytłumione dzwonicie telefonu; pewnie tego białego z okrągłą tarczą, tego na ladzie przy stoliku Kucyka, albo telefonu w kuchni, jeśli tam jakiś mieli. Albo tego i tego.

–*Altes Gebaude, guten Abend.* – Odebrał kelner. Ben był prawie pewien, że to on.

–Muszę rozmawiać z jednym z waszych gości – powiedział niskim, chrapliwym

głosem. – Je u was kolację. To pilne.

–Ja? Z kim?

–Wątpię, czy pan go zna. Rzadko u was bywa. To mężczyzna o długich, siwawych, związanych w kucyk włosach. Pewnie ma na sobie brązową, skórzaną kurtkę, zawsze ją nosi.

–Aaa... tak, już go widzę. Ma około pięćdziesięciu lat?

–Tak, tak, to on – odrzekł Ben, zdenerwowanym głosem. – Może go pan poprosić do telefonu? To pilne – powtórzył. – Bardzo pilne.

–Oczywiście, już proszę. – Kelner położył słuchawkę na ladzie.

Nie przerywając połączenia, Ben schował nokię do kieszeni na piersi, wyszedł z toalety i wrócił do restauracji. Kucyk zniknął: nisza była pusta. Telefon stał na ladzie usytuowanej w taki sposób, że od drzwi nie było jej widać – Ben zobaczył ją dopiero, siedząc przy stoliku – tak że nikt, kto za nią siedział czy stał, nie mógł widzieć ani głównego wejścia, ani fragmentu sali między wejściem i korytarzem prowadzącym do toalety. Ben otworzył drzwi i szybko wyszedł na dwór. Miało piętnaście sekund, najwyżej piętnaście sekund, gdyż Kucyk, który gadał teraz do głuchej słuchawki, zastanawiając się pewnie, gdzie przepadł człowiek, który tak dokładnie opisał go kelnerowi, szybko zda sobie sprawę, że to sprytna podpucha.

Podbiegł do rozbitego opla, chwycił swoje torby i popędził do zielonego audi; kluczyk tkwił w stacyjce, co oznaczało, że Kucyk był przygotowany do szybkiego odjazdu. W tym spokojnym, sennym miasteczku kradzież była zapewne pojęciem nieznanym, ale cóż, zawsze jest ten pierwszy raz. Poza tym Ben był pewny, że z siebie tylko znanych powodów Kucyk nie pobiegnie na policję. Tym sposobem zdobył sprawny wóz, pozbawiając samochodu człowieka, który go ścigał. Wskoczył za kierownicę i odpalił silnik. Nie było sensu chodzić na pałatkach – Kucyk usłyszałby go tak czy inaczej. Wrzucił bieg, ruszył z piskiem opon, przeciął brukowany Rathausplatz i zniknął w ciemnej uliczce.

Piętnaście minut później dojechał do domu stojącego w odludnej, gęsto zalesionej okolicy kilkaset metrów od wąskiej, bocznej drogi. Pruski mur, mała tablica, na tablicy napis: Langasthop.

Ukrył samochód w kąpie rozłożystych świerków i podszedł do frontowych drzwi z wywieszką Empfang, recepcja.

Wcisnął guzik dzwonka i czekał kilka chwil, nim w środku zapaliło się światło; była północ i właściciel najwyraźniej już spał.

Był stary i miał zrytą zmarszczkami twarz. Otworzył drzwi i z urażoną miną poprowadził go długim, ciemnym korytarzem, zapalając po drodze światło – nagie żarówki w małych, stożkowatych kinkietach. Wreszcie doszli do dębowych drzwi oznaczonych numerem 7. Właściciel otworzył je starym, zębatym kluczem i zapalił małą lampę, która oświetliła pokój zdominowany przez podwójne łóżko ze starannie złożoną kołdrą. Ze ścian odłaziła tapeta w drobne romby.

–Nic innego nie mamy – burknął.

–Wystarczy.

–Włączę ogrzewanie. To trochę potrwa.

Kilka minut później, wypakowawszy rzeczy, których potrzebował na noc, Ben poszedł do łazienki, żeby wziąć prysznic. Bateria wyglądała dziwnie, była tak skomplikowana – cztery czy pięć gałek i dźwigni, sitko leżące na widelkach jak słuchawka telefonu – że uznał, iż sprawa nie jest warta zachodu. Spryskał twarz zimną wodą, nie czekając, aż stary ją zagrzeje, umył zęby i się rozebrał.

Kołdra była z rozkosznie miękkiego gęsiego puchu. Natychmiast zasnął.

Jakiś czas później – zdawało mu się, że kilka godzin, chociaż nie był tego pewien, ponieważ budzik został w walizce – usłyszał stłumiony hałas.

Błyskawicznie usiadł. Serce biło mu jak oszalałe.

Nagle usłyszał go ponownie: ciche, lecz wyraźne skrzypienie desek pod dywanem. Dochodziło od drzwi.

Położył rękę na podstawie mosiężnej lampy na stoliku. Drugą ręką wyjął wtyczkę z kontaktu.

Z trudem przełknął ślinę. Serce waliło mu jak młotem. Cichutko wysunął nogi spod kołdry i spuścił je na podłogę.

Podniósł lampę, uważając, żeby nie stracić niczego ze stolika. Zacisnął palce, powoli, powolutku dźwignął ją wysoko nad głowę i...

Zerwał się z łóżka.

Z ciemności wystrzeliło potężne ramię: chwyciło lampę i wyszarpnęło mu ją z rąk. W mroku zamajaczyła sylwetka napastnika – Ben runął w jego stronę i odwróciwszy się bokiem, wyrznął go łokciem w pierś.

W tym samym momencie tamten podciął go i przewrócił. Ben wyteżył siły: próbował wstać, żeby ponownie zaatakować, lecz tamten grzmotnął go kolanem w pierś, poprawił pięścią w brzuch, pozbawił go tchu i zanim Ben zdążył wykonać jakikolwiek ruch, pchnął go, chwycił za ramiona i przygniół do podłogi. Odzyskawszy oddech, Ben ryknął jak rozwścieczone zwierzę, lecz w tej samej chwili napastnik zatkał mu usta wielką, silną ręką. Ben znieruchomiał i spojrzał w zatroskane oczy swego brata. – Jesteś niezły – powiedział Peter- ale ja jestem lepszy.

Rozdział 7

Asunción, Paragwaj

Bogaty Korsykanin umierał. Umierał tak już od dawna, od trzech, czterech lat, i pewnie miał przed sobą co najmniej dwa lata życia.

Mieszkał we wspaniałej willi w hiszpańskim stylu misyjnym, na bogatych przedmieściach Asunción. Stała pośrodku rozległej posiadłości, na pięknie ukształtowanym i starannie utrzymanym terenie, a prowadził do niej długi, wysadzany palmami podjazd.

Sypialnia senora Marcela Prosperiego mieściła się na pierwszym piętrze i chociaż tonęła w jasnym świetle, była tak zastawiona aparaturą medyczną, że wyglądała jak szpitalna izba przyjęć. Jego o wiele młodsza żona Consuela od lat sypiała oddzielnie.

Otworzywszy oczy tego ranka, senior Prospero stwierdził, że krząta się przy nim inna pielęgniarka.

–Jesteś nowa? – wychrypiął zaflegmionym głosem.

–Pańska pielęgniarka zachorowała – wyjaśniła miła, młoda blondynka.

Stała przy łóżku, majstrując przy kraniku kroplówki.

–Kto cię przysłał? – spytał Prospero.

–Agencja. Proszę się uspokoić. Nie wolno się panu denerwować. – Pielęgniarka przekręciła kranik.

–Ciągłe coś we mnie pompujecie – mruknął senior Prospero. Zdążył powiedzieć tylko tyle, gdyż zaraz potem zamknął oczy i stracił przytomność.

Kilka minut później pielęgniarka wzięła go za rękę i sprawdziła puls. Pulsu nie było. Ustawiła kranik w poprzedniej pozycji, boleśnie wykrzywiła twarz i wybiegła z pokoju, żeby przekazać tę straszliwą wiadomość wdowie.

Ben usiadł, ale krew odpłynęła mu z głowy i ponownie osunął się na kolana.

Ciało miał zupełnie nieruchome i jakby oddzielone od głowy, głowa zaś wirowała jak na karuzeli, przyprawiając go o mdłości.

Zalała go fala wspomnień, wspomnień z pogrzebu na małym cmentarzu w Bedford. Rabin odmawiający kadisz, modlitwę za zmarłych: *Yisgadal v 'yiskadash shmay rabho...* Mała, drewniana trumna, spokojny, zawsze opanowany ojciec, który nagle nie wytrzymał i z zaciśniętymi pięściami i chrapliwym zawodzeniem rzucił się na ziemię, gdy opuszczano ją do grobu.

Mocno zacisnął powieki, lecz wspomnienia nie pierzchły. Telefon w środku nocy. Nocna jazda do Westchester, do rodziców – nie mógł przekazać im tego przez telefon. „Mamo, tato, mam złe wiadomości. Peter...” Umilkł. Czy naprawdę muszę przez to wszystko przechodzić? Co mam jeszcze powiedzieć? Ojciec spał w swojej olbrzymiej sypialni; była dopiero czwarta, a on wstawał zwykle o piątej.

Matka leżała na podnoszonym szpitalnym łóżku, w sąsiednim pokoju. Na sofie drzemała pielęgniarka.

Najpierw mama. Uznał, że tak trzeba. Zawsze darzyła ich miłością prostą i bezwarunkową.

„Co się stało?” – wyszeptała, patrząc na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem. Wyrwał ją z głębokiego snu, była zdezorientowana i rozespana. „Mamo, dzwonili do

mnie z Zurychu..." Ukląkł i przytknął rękę do jej miękkiego policzka, jakby chciał złagodzić cios.

Jej długi, przeraźliwy krzyk obudził Maksa, który wpadł do pokoju z wyciągniętą przed siebie ręką. Ben chciał go objąć, lecz ojciec nigdy nie lubił intymnych gestów. Miał cuchnący oddech. Nieliczne siwe włosy, które mu pozostały, były matowe i zmierzwiłone. „Tato, był wypadek. Peter...” W chwilach takich jak ta mówimy frazesy, zupełnie się tym nie przejmując. Frazesy koją: są jak głębokie koleiny, którymi poruszamy się łatwo i bez zastanowienia.

Pierwsza reakcja starego Maksa zaskoczyła go: ojciec miał surową twarz, a oczy błyszczały mu nie ze smutku, lecz z gniewu. Jego usta ułożyły się w kształt litery „O”. Potem powoli potrząsnął głową, zacisnął powieki i jego blade policzki spłynęły łzami. Potrząsnął głową jeszcze raz i osunął się na podłogę. Był teraz drobnym, bezbronnym, podatnym na ciosy starcem. On, Max Hartman, ten groźny, potężny, zawsze spokojny i opanowany Hartman w idealnie dopasowanym garniturze.

Nie pocieszył żony. Szlochali oddzielnie, on na podłodze, ona na łóżku. Byli jak dwie samotne wysepki rozpaczy.

Ben zacisnął powieki, jak ojciec na pogrzebie. Poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, jeszcze chwila i zemdleje. Wyciągnął przed siebie obie ręce i padł mu w ramiona, dotykając go, żeby upewnić się, że to nie zjawa, że to naprawdę on, Peter.

–Sie masz, braciszku.

–O Boże – szepnął Ben. – O Boże.

Czuł się tak, jakby zobaczył ducha.

Wziął głęboki oddech, objął go i mocno przytulił.

–Ty sukinsynu... Ty sukinsynu!

–Tylko na to cię stać?

Ben cofnął rękę.

–Co ty, do diabła...

Ale Peter miał poważną, zbyt poważną twarz.

–Musisz stąd wiać, bracie. Wiać z tego kraju, i to natychmiast.

Ben miał w oczach łzy, widział jak przez mgłę.

–Ty skurwysynu.

–Musisz uciekać ze Szwajcarii. Próbowali mnie dopaść. Teraz polują na ciebie.

–Co ty, do diabła... – powtórzył tępo Ben. – Jak mogłeś... To jest chore, zwyrodniałe, jak mogłeś?! Mama umarła... Nie chciała... Zabiłeś ją. – Ogarnął go gniew, który wypełnił mu wszystkie arterie i żyły, paliła go twarz. Siedzieli na dywanie, patrząc sobie w oczy i nieświadomie odgrywając scenę z wczesnego dzieciństwa: potrafili wtedy siedzieć tak godzinami, rozmawiając w tajnym języku, który sami wymyślili, i którego nikt poza nimi nie rozumiał. – Dlaczego to zrobiłeś? Po co? Po co?!

–Widzę, że jesteś zły, Benno.

Benno. Tylko on tak go nazywał. Ben wstał. Peter też.

Ilekcroć patrzył na swego brata bliźniaka, ogarniało go dziwne uczucie, bo

dostrzegał same różnice. Lewe oko Petera było odrobinę większe. Miał trochę inaczej wygięte brwi. Nieco szersze, bardziej zakrzywione do dołu usta. Poważniejszą, surowszą twarz. Ben zawsze uważał, że bardzo się od niego różni. Dla innych różnice były mikroskopijne.

Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo mu go brakowało, jak wielką ranę pozostawiła po sobie jego śmierć, i świadomość ta omal go nie dobiła. Jego nieobecność dręczyła go fizycznie, była jak kalectwo.

Przez wiele lat, przez całe dzieciństwo, byli przeciwnikami, rywalami, antagonistami. Ojciec ich tak wychował. Bojąc się, że bogactwo rozmiękczy ich i zepsuje, wysyłał synów na wszystkie możliwe kursy „kształtowania charakteru”, na wszystkie możliwe obozy przetrwania, gdzie musieli wytrzymać trzy dni, pijąc tylko wodę i jedząc trawę, gdzie wspinali się na skały, pływali czółnem i kajakiem. Czy chcieli tego, czy nie, zawsze ustawiał ich tak, żeby musieli ze sobą rywalizować.

Rywalizacja osłabła dopiero wtedy, gdy się rozdzielili, gdy poszli do dwóch różnych ogólniaków. Dzięki odległości, która dzieliła ich od siebie i od rodziców, nareszcie zaprzestali walki.

–Spadajmy stąd – rzucił Peter. – Jeśli zameldowałeś się pod swoim nazwiskiem, zaraz będzie po nas.

Jego zardzewiała toyota była oblepiona błotem. W środku walały się śmieci, siedzenia były brudne i śmierdziały psem. Ukrył ją za drzewami, trzydzieści metrów za hotelem.

Ben opowiedział mu o koszmarnym pościgu po drogach w pobliżu Chur.

–To jeszcze nie wszystko – dodał. – Oprócz tamtych jechał za mną jakiś facet. Cały czas, od samego Zurychu.

–Zielone audi? – Peter odpalił rzeźący silnik, dodał gazu i wjechali na ciemną, wąską drogę.

–Tak.

–Pięćdziesiąt parę lat, długie, ściągnięte w kucyk włosy? Taki podstarzały hipis?

–Skąd wiesz?

–To Dieter, moja czujka. Mój radar. – Posłał Benowi lekki uśmiech. –

I ktoś w rodzaju szwagra.

–Szwagra?

–To starszy brat Liesel. Brat i strażnik, cholera. Dopiero niedawno uznał, że jestem jej godny.

–Dupa z niego, nie fachman. Namierzyłem go. I zwinąłem mu samochód. Ja, zwykły amator.

Peter wzruszył ramionami. Prowadząc, od czasu do czasu zerkał za siebie.

–Nie doceniasz go. Przez trzynaście lat służył w szwajcarskim kontr wywiadzie. Poza tym cały czas schodził ci z oczu, nie chciał, żebyś go zauważył, kapujesz? Kiedy dowiedzieliśmy się, że przyjechałeś, musieliśmy przedsięwziąć środki ostrożności. Dieter miał sprawdzić, czy nikt cię nie śledzi. Miał cię pilnować, żeby nie zabili cię ani nie uprowadzili. Ten wóz, ten na szosie numer 3, pamiętasz? To nie był samochód policyjny. Dieter wystawił „koguta”, żeby ich spłoszyć. Nie było innego

wyjścia. To świetnie wyszkoleni fachowcy.

Ben westchnął.

–„Świetnie wyszkoleni fachowcy”. „Teraz polują na ciebie”. Kto, Peter, kto? Jezu Chryste!

–Powiedzmy że jest to pewna korporacja. – Peter spojrzął w lusterko. – Nikt nie wie, kim naprawdę są.

Ben pokręcił głową.

–A już myślałem, że mi odbiło. Ale nie, to tobie odbiło. – Twarz poczerwieniała mu z gniewu. – Ty skurwysynu; Ten wypadek, ta katastrofa... Od początku wiedziałem, że coś tu śmierdzi.

Peter był dziwnie rozkojarzony, mówił mętnie, urwanymi zdaniami.

–Bałem się, że przyjedziesz, Musiałem być bardzo ostrożny. Myślę, że nie uwierzyli w moją śmierć...

–Powiesz mi wreszcie, o co tu, do diabła, chodzi czy nie? – ryknął Ben.

Peter nie odrywał oczu od drogi.

–Wiem, zrobiłem coś strasznego. Ale nie miałem wyboru.

–Przez ciebie ojciec zmienił się nie do poznania, a mama...

Peter długo milczał.

–Tak, słyszałem. Mama umarła. Przestań, Benno... – Nagle zhardział mu głos. – Ojca mam w dupie.

Zaskoczony Ben spojrzął mu w twarz.

–Widzę – odrzekł. – Lepiej udowodnić tego nie mogłeś.

–Miałem koszarne wyrzuty sumienia, że ty i mama... Wiedziałem, jak to odbierzecie. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałem się z wami skon taktować i powiedzieć wam prawdę. Powiedzieć, że żyję.

–Wiec dlaczego?

–Żeby was ochronić. Inaczej nigdy bym tego nie zrobił. Gdybym wiedział, że zabiją mnie i na tym się skończy, chętnie pozwoliłbym im się zabić. Rzecz w tym, że na mnie by nie poprzestali, zapołowaliby na ciebie i na mamę. Ojciec? Ojciec umarł dla mnie cztery lata temu.

Ben był tak podekscytowany widokiem brata, tak rozwścieczony tym wyrafinowanym, tym wstrętnym oszustwem, że nie mógł logicznie myśleć.

–Co ty bredzisz? Nie możesz mówić jaśniej?

Peter spojrzął na dom, który właśnie mijali, coś w rodzaju zacisznej, oddalonej od szosy gospody. Jej drzwi zalewało jaskrawe halogenowe światło.

–Która jest? – mruknął. – Piąta? Może już nie śpią.

Zaparkował na polance ukrytej między drzewami za gospodą i wyłączył silnik. Wysiedli. Przedświt był zimny i cichy. W pobliskim lesie szeleściło tylko jakieś zwierzę lub ptak. Peter otworzył drzwi i weszli do małej recepcji. Pod sufitem mrugała jarzeniówka, lecz za ladą nikogo nie było.

–Światło się pali, ale w domu nikogo nie ma – powiedział Peter.

Ben uśmiechnął się lekko: było to jedno z ulubionych powiedzonek ojca; mówił tak, kiedy chciał im dopiec. Wyciągnął rękę, żeby uderzyć w mały dzwonek na ladzie,

gdy nagle otworzyły się drzwi i wyszła niska, pulchna kobieta, ściskając poły rozchełstanego szlafroka. Gniewnie nachmurzona, zamrugła nieprzytomnie w jaskrawym świetle, wyraźnie zła, że ją obudzili.

–Ja?

–*Es tut mir sehr leid Sie zu storen, aber wir hdtten gerne Kaffee* – powiedział płynną niemczyzną Peter. – Przykro mu, że ją zbudzili, ale chcieliby napić się kawy.

–*Kaffee?* – powtórzyła kobieta. – *Sie haben mich geweckt, weil Sie Kaffee wollen?* - Zbudziliście mnie tylko po to, żeby napić się kawy?

–*Wir werden Sie fur ihre Bemuhungen bezahlen, Madame. Zwei Kaffee bitte. Wir werden uns einfach da, in Ihrem Esszimmer, hinsetzen.* – Zapłacą jej za fatygę. Dwie kawy. Usiądą w jadalni.

Nadąsana właścicielka pokręciła głową, poczłapała do ciemnej jadalni, zapaliła światło i włączyła wielki, lśniący ekspres.

Jadalnia była mała, lecz wygodna. Za dnia z kilku dużych, pozbawionych zasłon okien roztaczał się zapewne wspaniały widok na las, lecz teraz okna były zupełnie czarne. Pięć czy sześć nakrytych białymi, wykrochmalonymi obrusami okrągłych stolików przygotowano już do śniadania, gdyż stały na nich szklanki, filiżanki i metalowe cukierniczki, wypełnione po brzegi kostkami brązowego cukru. Peter usiadł przy dwuosobowym stoliku przy ścianie, w pobliżu okna, Ben naprzeciwko niego. Właścicielka gospody nalewała do dzbanka mleko, gapiąc się na nich tak, jak ludzie gapią się na jednojajowe bliźnięta.

Peter odsunął talerz i sztucce, żeby zrobić miejsce dla łokci.

–Pamiętasz tę aferę ze szwajcarskimi bankami i hitlerowskim złotem?

–Pamiętam. – A więc o to chodzi...

–Wybuchła tuż przed tym, jak wróciłem z Afryki. Uważnie śledziłem ją w gazetach, pewnie dlatego, że ojciec był w Dachau. – Szyderczo wykrzywił usta. – Tak czy inaczej, nagle ożyły te wszystkie drobne gnidy, ci parszywi prawnicy. Zaświtała im we łbie genialna myśl. Przecież to proste: trzeba wycyckać tych, którzy przeżyli holocaust, i którzy próbowali teraz odszukać stare rodzinne konta bankowe. Chyba mówiłem ci kiedyś o tej staruszce z Francji, tej, która przeżyła obóz. Okazało się, że jakiś skurwiel wydoił z niej oszczędności całego życia, twierdząc, że ma informacje o szwajcarskim koncie jej ojca. Było jakoby zamknięte, zawieszona, ale istniało, a on potrzebował szmalu na dalsze śledztwo, żeby dokładnie ustalić co i jak. Wcisnął jej kit i zażądał zaliczki, dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Oszczędzała te pieniądze przez całe życie, a on wziął je i zniknął. To mnie wkurzyło, nie mogłem znieść, że facet wykorzystał starą, bezbronną babinę. Pojechałem do niej i zaproponowałem, że zajmę się tą sprawą za friko. Tamten ją narznął, więc początkowo była trochę podejrzliwa, ale pogadaliśmy i w końcu udzieliła mi pełnomocnictwa. Przekonałem ją, że forszę mam gdzieś.

Mówiąc, patrzył na obrus. Dopiero teraz podniósł głowę i spojrzał na brata.

–Zrozum, tymi, którzy przeżyli hitlerowskie obozy koncentracyjne, nie kierowała chciwość. Szukali sprawiedliwości, wątlej nici łączącej ich ze zmarłymi rodzicami, z przeszłością. Chcieli tę sprawę ostatecznie zamknąć. I od zyskać pieniądze, dzięki

którym mogliby jeszcze trochę pożyć. – Spojrzał w okno. – Nawet jako jej oficjalny pełnomocnik miałem od cholery problemów. Ci z banku twierdzili, że konta po prostu nie ma. Normalka. Przeklęci szwajcarscy bankierzy: tacy dokładni, tacy pedantyczni, że aż dupa boli. Przechowują każdy świstek, każdy skrawek papieru, a tu nagle, ups! i gubią całe konto. Jasne. Jakiś czas potem dowiedziałem się o pewnym strażniku, który służył w banku, gdzie ojciec tej staruszki zdeponował szmal. Wyrzucili go z roboty, bo zobaczył, jak paru urzędasów niszczy w nocy sterty dokumentów z lat czterdziestych. Podprowadził kilka teczek i dlatego ocalały.

–Chyba coś o tym słyszałem, ale już nie pamiętam – odrzekł Ben. Nadeszła właścicielka gospody z tacą. Wciąż naburmuszona, postawiła na stole metalowy dzbanuszek z kawą, drugi z mlekiem i wyszła z jadalni.

–Tutejszym władzom bardzo się to nie podobało. Naruszenie tajemnicy bankowej, takie tam świętoszkowate pierdoły. Mniejsza o niszczenie dokumentów. Wytropiłem faceta pod Genewą. Wciąż miał wszystkie teczki, chociaż ci z banku chcieli mu je odebrać, i pozwolił mi do nich zajrzeć. Chciałem sprawdzić, czy nie ma tam dokumentów ojca tej staruszki.

–No i? – Ben sunął widelcem po obrusie, kreśląc na nim skomplikowane wzory.

–No i nic. Nie znalazłem ich ani wtedy, ani później. Ale w jednej z teczek natknąłem się na coś cholernie ciekawego, na coś, co otworzyło mi oczy. Na prawomocną, notarialnie poświadczoną i oficjalnie zatwierdzoną *Grundungsvertrag*: listę członków-założycieli korporacji,

Ben milczał.

–Widzisz, w ostatnich latach drugiej wojny światowej utworzono jakąś organizację...

–Nazistowską?

–Nie. Było w niej kilku nazistów, ale większość sygnatariuszy nie była nawet Niemcami. Nie, organizacja ta skupiała najpotężniejszych przemysłowców tamtych czasów, Włochów, Francuzów, Niemców, Anglików, Hiszpanów, Amerykanów i Kanadyjczyków. O niektórych z nich słyszałeś nawet ty, Benno. To najgrubsze ryby kapitalistycznego świata.

Ben spróbował się skupić.

–Powiedziałaś, pod koniec wojny?

–Tak, na początku czterdziestego piątego.

–I wśród założycieli tej... tej korporacji byli Niemcy?

Peter kiwnął głową.

–Ci ludzie nie uznawali wrogich podziałów, Benno. Dziwi cię to?

–Przecież prowadziliśmy wojnę...

–My? Co znaczy „my”, *amigo*? Biznes to biznes, nikt cię tego nie uczył? – Peter odchylił się do tyłu. Błyszczały mu oczy. – Dobra, pogadajmy o tym, o czym wszyscy wiedzą. Standard Gil z New Jersey podzielił się z I.G.Farben strefami wpływów, dokładnie ustalając, kto założy jaki monopol, na co dostanie patent, i tak dalej. Chryste, przecież cała nasza machina wojenna jechała na ich produktach: który z wojskowych śmiałby zaprotestować? Co by było, gdyby firma zaczęła mieć „kłopoty

produkcyjne"? Poza tym dumnym członkiem zarządu I.G.Farben był sam John Foster Dulles. Weźmy zakłady Forda. Pięciotonowe wojskowe ciężarówki, podstawa niemieckiego transportu: kto je produkował? Ford. A maszyny Holleritha, dzięki którym Hitler mógł tak wydajnie eliminować ludzi niepożądanych? Zaprojektowano je i skonstruowano w naszym starym, dobrym IBM: czapki z głów, panowie, nadchodzi Tom Watson! A ITT, jeden z najpoważniejszych udziałowców Focke-Wulfa, producenta większości niemieckich bombowców? Chcesz usłyszeć coś naprawdę ślicznego? Po wojnie ITT pozwało nasz rząd do sądu, żądając rekompensaty finansowej za to, że bombowce aliantów zniszczyły fabryki Focke-Wulfa w hitlerowskich Niemczech. Mógłbym sypać przykładami, ale to i tak maleńki ułamek tego, co się naprawdę wtedy działo. I ci ludzie, i te firmy miały Hitlera gdzieś. Oni ślubowali wierność ideologii znacznie szlachetniejszej: ideologii zysku. Dla nich wojna była jak mecz Harvard-Yale, chwilową rozrywką, która odciągnęła ich od dużo poważniejszych spraw, od pościgu za wszechpotężnym dolarem. Ben powoli pokręcił głową.

–Przykro mi, braciszku, ale nie słyszysz, jak to brzmi? Jak kontrkulturowy rap: każda własność pochodzi z kradzieży, nigdy nie ufaj nikomu po trzydziestce. Stare, przebrzmiałe teorie spiskowe. Zaraz mi powiesz, że to oni zakopali te odpady chemiczne w Love Canal. – Gwałtownie odstawił filiżankę na talerzyk. Głośno brzęknęła. – To zabawne. Kiedyś takie sprawy straszliwie cię nudziły. Chyba naprawdę się zmieniłeś.

–Wiedziałem, że nie od razu mi uwierzysz – odparł Peter. – Przedstawiłem ci tylko tło, kontekst...

–To przedstaw mi wreszcie coś prawdziwego. Coś konkretnego.

Nie wiedzieć czemu, Peter nagle zniżył głos.

–Na liście były dwadzieścia trzy nazwiska – powiedział. – Głównie nazwiska przemysłowców, rekinów finansjery, jak ich wtedy nazywano – i kilku mężów stanów, w których płynęła błękitna krew; wierzono wtedy, że to możliwe. Byli to ludzie, którzy nie powinni się nawet znać, kapujesz? Każdy historyk przysięgłby, że na pewno się nie spotkali, że to niemożliwe. Mimo to byli tam, mimo to połączyły ich jakieś interesy.

–Coś pominąłeś – mruknął Ben trochę do siebie. – Coś musiało przykuć twoją uwagę. Inaczej byś się tym nie zainteresował.

Peter uśmiechnął się zjadliwie. Znowu wyglądał jak nawiedzony.

–Nazwisko, braciszku – odrzekł. – Moją uwagę przykuło nazwisko ich skarbnika. Ben poczuł, że łaskocze go skóra głowy, jakby kłębiło się tam tysiąc mrówek.

–Kto to był?

–Młody geniusz finansowy, w dodatku Obersturmführer SS. Pewnie go znasz: to Max Hartman.

–Tato. – Ben przestał oddychać.

–Więzień obozu koncentracyjnego? Nie, Benno. Nasz ojciec był, kurwa, nazistą.

Rozdział 8

Ben zamknął oczy, wziął głęboki oddech i potrząsnął głową.

–To niedorzeczne. Żyd nie mógł zostać członkiem SS. Ten dokument to fałszywka.

–Wierz mi – odrzekł cicho Peter. – Miałem mnóstwo czasu, żeby go przestudiować. To nie fałszywka.

–Ale...

–W kwietniu czterdziestego piątego ojciec był jakoby w Dachau, pamiętasz? Pod koniec kwietnia wyzwolili go żołnierze 7. Armii USA, czy nie tak?

–Nie pamiętam. To było w kwietniu?

–Jego przeszłość nigdy cię specjalnie nie ciekawiła, prawda?

–Chyba nie – przyznał Ben.

Peter uśmiechnął się posępnie.

–Pewnie było mu to na rękę. A ty miałeś dużo szczęścia, brachu. Wygodnie jest żyć w czystości i niewinności. Wierzyć w te wszystkie kłamstwa, w te opowieści, w legendę, że nasz kochany tatuś ocalał z hitlerowskiej zagłady, przyjechał do Ameryki z dziesięcioma dolarami w kieszeni, zbudował wielkie imperium i został hojnym filantropem. – Pokręcił głową. – Co za oszust – prychnął. – Co za mit. – Uśmiechnął się szyderczo. – Wielki człowiek.

Benowi głucho zadudniło serce. Fakt, ojciec był człowiekiem trudnym. Jego wrogowie twierdzili, że bezlitosnym. Ale oszustem?

–Max Hartman był członkiem Schutzstaffel – powtórzył Peter. – SS. Zapisz to pod „dziwne, ale prawdziwe”.

Mówił tak poważnie, tak przekonująco, poza tym nigdy nie kłamał, nie prosto w oczy. Ben miał ochotę krzyknąć: Przestań!

–Co to za korporacja?

Peter pokręcił głową.

–Prawdopodobnie to tylko przykrywka, atrapa korporacji o miliardowych aktywach, zgromadzonych przez jej szefów.

–Ale po co? Po co ją założyli?

–Tego nie wiem. Dokumenty o tym milczą.

–Gdzie one są?

–Spoko, braciszku, ukryłem je w bezpiecznym miejscu. Ta korporacja... Założyli ją na początku kwietnia czterdziestego piątego roku. Siedzibą był Zurych. Nazwali ją Sigma AG.

–Powiedziałaś o tym ojcu?

Peter kiwnął głową i wypił pierwszy łyk kawy.

–Zadzwoń do niego, przeczytałem te nazwiska i spytałem, o co tu biega. Dostał szału. Wiedziałem, że wybuchnie. Twierdził, że to fałszywka, tak jak ty. Też do przewidzenia. Wściekł się, zaczął krzyczeć, wrzeszczeć. To podle oszczerstwa, jak mogę w nie wierzyć? Po tym, co przeszedł, czego dokonał, bla-bla-bla, jak mogę wierzyć w takie kłamstwa? i tak dalej. Wie działałem, że nic z niego nie wyciągnę i wcale tego nie oczekiwałem; chciałem tylko sprawdzić, jak zareaguje. Zacząłem

rozpytywać. Szperać w archiwach w Genewie i Zurychu. Próbowaliśmy ustalić, co się z tymi ludźmi stało. No i omal mnie nie zabili. Dwa razy. Za pierwszym razem cudem uniknąłem „wypadku”. Szedłem sobie nadbrzeżem Limmatu, chodnikiem, jak każdy normalny przechodzień, i wjechał na mnie samochód. Za drugim razem napadli na mnie na Niederdorfstrasse. Udało mi się zwać, ale zaraz potem mnie ostrzegli. Jeśli nie przestanę wypytywać i wtykać nosa w nie swoje sprawy, następnym razem nie spudłują i ukatrupią mnie na dobre. Kazali mi oddać te papiery. Powiedzieli, że jeśli wygadam coś o korporacji, zabiją i mnie, i moją rodzinę. Dlatego żadnych cynków do gazet, żadnych głupich sztuczek. Ojca miałem gdzieś, ale chciałem ochronić ciebie i mamę.

Cały Peter: kochał i starał się chronić matkę tak samo jak on, Ben. Poza tym zawsze był człowiekiem trzeźwo myślącym, nigdy nie popadał w paranoję. Musiał, po prostu musiał mówić prawdę.

–Ale dlaczego tak bardzo bali się, że coś wiesz? Spójrz na to obiektywnie. Korporację założono ponad pół wieku temu. Co komu po tajemnicach sprzed ponad pięćdziesięciu lat?

–Benno, tu chodzi o spółkę ponad wszelkimi podziałami, spółkę, dla której nie istnieją ani granice, ani wrogowie. Ujawnienie takiej sprawy ściągnęłoby publiczną hańbę na najpotężniejsze, najszacowniejsze postacie naszych czasów. Ale to jeszcze nic. Zważ tylko charakter tego przedsięwzięcia. Przedstawiciele gigantycznych firm, i alianckich, i tych z państw Osi, zakładają korporację, która ma ich wszystkich wzbogacić. Niemcy były wtedy otoczone, ale kapitał, Benno, nie uznaje granic. Niektórzy nazwaliby to kolaboracją, handlem z wrogami. Kto wie, ile międzynarodowych praw wtedy pogwałcono. A jeśli aktywa te dałoby się jakoś zamrozić albo skonfiskować? Nie znamy ich wielkości, nie sposób tego sprawdzić, ale przez pięćdziesiąt lat mogły rozrosnąć się do niewyobrażalnych kwot. Nawet Szwajcarzy ugięli się pod naciskiem międzynarodowej opinii publicznej i naruszyli tajemnicę bankową. Najwyraźniej ktoś doszedł do wniosku, że wiem na tyle dużo, żeby zburzyć ich wygodny, bezpieczny układ.

–Ktoś? Kto ci wtedy groził?

Peter westchnął.

–Żebym to ja wiedział.

–Daj spokój. Jeśli grozili ci ludzie, którzy tę korporację założyli, muszą mieć ze sto lat!

–Tak, większość z nich już nie żyje, ale niektórzy trzymają się całkiem nieźle. I wcale nie są tacy starzy, mają siedemdziesiąt parę lat. Jeśli do naszych czasów dotrwało choćby kilku, muszą siedzieć na górze złota. A kto wie, kim są ich następcy. Mają dość pieniędzy, żeby pogrzebać swój sekret na wieki. I zrobią, to choćby po trupach.

–Dlatego postanowiłeś zniknąć?

–Za dużo o mnie wiedzieli. Znali mój rozkład dnia, mój zastrzeżony numer telefonu, stan konta, wysokość kredytów bankowych, wasze nazwiska i adresy, wiedzieli, dokąd jeżdżę i dokąd chodzę. Jasno i wyraź nie dawali mi do zrozumienia,

że dysponują nieograniczonymi środkami. Dlatego podjąłem decyzję, Benno. Musiałem umrzeć. Nie miałem innego wyjścia.

–Nie miałeś innego wyjścia? Mogłeś oddać im te głupie dokumenty, przystać na ich żądania i żyć dalej, jakbyś nigdy o niczym nie wiedział.

Peter głucho jęknął.

–Próbowałeś kiedyś podpalić wodę? Albo wcisnąć do tubki pastę do zębów? To niewykonalne. Zabiliby mnie tak czy inaczej.

–To po cholere cię ostrzegali?

–Żeby mnie uciszyć, sprawdzić, ile wiem, czy komuś o tym nie powiedziałem. Sprawdziliby i kulka w łeb.

W sąsiednim pomieszczeniu zaskrzypiały deski: to tytko właścicielka gospody.

–Jak to zrobiłeś? – spytał Ben. – Ta katastrofa... To musiało być trudne.

–I było. – Peter odchylił się na krześle i oparł głowę o szybę. – Bez Liesl nie dałbym rady.

–Liesl? To twoja dziewczyna?

–To cudowna, wyjątkowa kobieta. Moja kochanka, moja najlepsza przyjaciółka. Benno, nigdy w życiu nie myślałem, że los ześle mi kogoś równie cudownego. Obyś znalazł kiedyś dziewczynę chociaż w połowie tak wspaniałą jak ona. Tak naprawdę, to był jej pomysł. Sam nie potrafiłbym tego zaplanować. Zgodziła się ze mną, że muszę zniknąć i uznała, że trzeba to zrobić jak należy.

–Ale przecież były zdjęcia rentgenowskie twoich zębów... Chryste, zidentyfikowano twoje zwłoki, zidentyfikowano je ponad wszelką wątpliwość.

Peter pokręcił głową.

–Porównali zęby znalezione w samolocie ze zdjęciami zębów w kartotece naszego dentysty, doktora Merrilla z Westchester, zakładając, że zdjęcia są autentyczne.

Oszołomiony Ben pokręcił głową.

–Czyje to było... ciało?

–Liesl ściągnęła ten pomysł od studentów medycyny w Zurychu. To taki kawał, robią go co roku, na koniec semestru zimowego. Jakiś dowcipniś wykrada zwłoki z prosektorium wydziału anatomii makroskopowej. Koszmar, co? Czarny humor, makabryczny rytuał wiosenny. Pewnego dnia zwłoki po prostu znikają, i już. Zawsze pojawiają się z powrotem, tylko trzeba zapłacić okup. Liesl zrobiła to samo, tylko że zamiast z prosektorium, zwinęliśmy trupa ze szpitalnej kostnicy. Potem wystarczyło już tylko wyciągnąć z kartoteki jego papiery i zdjęcia rentgenowskie zębów. To Szwajcaria, tu wszyscy są skatalogowani.

Ben uśmiechnął się wbrew sobie.

–Podmieniliście zdjęcia?

–Powiedzmy, że wynająłem kogoś do łatwego, zupełnie bezpiecznego włamania; gabinet doktora Merrilla to nie Fort Knox. Jedne zdjęcia zniknęły, inne się pojawiły. Proste. Kiedy przyszła policja, nasz doktor dał im te podmienione.

–A samolot?

Peter opisał mu przebieg katastrofy, nie pomijając żadnych ważnych szczegółów. Ben uważnie go obserwował. Brat zawsze mówił cichym, łagodnym głosem,

zawsze był opanowany i rozważny. Ben nigdy by nie przypuszczał, że może być człowiekiem wyrachowanym i przebiegłym, a ten plan wymagał wielkiej przebiegłości. Chryste, jak bardzo musiał być przerażony...

–Kilka tygodni wcześniej Liesl złożyła podanie o pracę w małym szpitalu w kantonie St. Gallen. Przyjęli ją z otwartymi ramionami, brakowało im pediatry. Wynajęła mały domek w lesie nad jeziorem i wtedy do niej przyjechałem. Podałem się za jej męża, kanadyjskiego pisarza; rzekomo pracowałem nad książką. Siedziałem tam jak przy radarze i kierowałem siecią kontaktów.

–Ale ci, którzy wiedzieli, że żyjesz... To musiało być ryzykowne.

–Wiedzieli o tym tylko ci najbardziej zaufani. Kuzyn Liesl jest adwokatem w Zurychu. Był naszą czujką, naszymi oczami i uszami. Liesl mu całkowicie ufa, ja też. Adwokat, który prowadzi międzynarodowe sprawy, ma kontakty wśród policjantów, bankierów i prywatnych detektywów. Wczoraj dowiedział się o jatce na Bahnhofplatz, o jakimś Amerykaninie, którego zabrali na przesłuchanie. Ale kiedy Dieter powiedział mi, że próbowano cię zamordować, od razu domyśliłem się, co się stało. Ci ludzie, ci z listy, ci, którzy jeszcze żyją albo ich spadkobiercy, zawsze podejrzewali, że sfingowałem swoją śmierć. Mieli oczy szeroko otwarte i czekali. Kto wie, może jednak gdzieś wypłynę, może przejmiesz moje śledztwo? Wiem na sto procent, że mają w kieszeni wielu szwajcarskich gliniarzy, że wyznaczyli nagrodę za moją głowę, że połowa policjantów jest na ich żołdzie. Przypuszczam, że zauważyli cię w Szwajcarskim Union Banku, w którym miałeś to spotkanie. Od tego się wszystko zaczęło. Dlatego musiałem wyjść z ukrycia i cię ostrzec.

Ryzykował dla mnie życie, pomyślał Ben. Zapięły go oczy. Nagle przypomniał mu się Jimmy Cavanaugh, człowiek, którego nie było. Szybko mu o tym opowiedział.

–Niesamowite – mruknął Peter. Miał nieobecną twarz.

–Cholera, durnia ze mnie robią czy co? Pamiętasz Jimmy'ego?

–No jasne. Dwa razy był u nas na Boże Narodzenie. Lubilem go.

–Co mógł mieć wspólnego z tą twoją korporacją? Zwerbowali go? Zwerbowali i zatarli po nim wszystkie ślady, żeby facet zniknął?

–Nie, to nie tak. Howie Rubin ma rację. Jimmy'ego Cavanaugha nie ma

i nigdy go nie było. – Peter mówił teraz szybciej, z większym ożywieniem. – Jest w tym pewna pokrętna logika. Jimmy'ego Cavanaugha – przyjmijmy, że tak się nazywał – nie zwerbowano. Ci z korporacji nie musieli go werbować, bo od samego początku dla nich pracował. Poznajesz gościa, który jest starszy od pozostałych studentów twojego roku, ma własne mieszkanie, imponuje ci, i który wkrótce zostaje twoim kumplem. Nie rozumiesz, Benno? Taki był ich plan. Z jakichś powodów uznali, że trzeba mieć na ciebie oko. Chcieli się zabezpieczyć, tak na wszelki wypadek.

–Chcesz powiedzieć, że mi go... przydzielili?!

–Tobie jego, mnie kogoś innego. Nasz tatuś był jednym z ich szefów. Czy nie dowiedzieliśmy się przypadkiem czegoś, co mogło zagrozić korporacji albo im samym? Czy nie przysporzymy im kłopotów? Trzymali rękę na pulsie, i tyle. Dopiero kiedy ja wyjechałem do Afryki, a ty zaszyłeś się w swoim getcie, uznali, że mogą nas sobie odpuścić.

Benowi kręciło się w głowie, a cała ta rozmowa jeszcze bardziej go dobijała.

–Grupa przemysłowców angażuje agenta, wysoko wykwalifikowanego zabójcę, w dodatku takiego, który potrafi rozpoznać cię na odległość. Czy to nie logiczne?

–Cholera, chyba tak...

–Chyba? Benno, pomyśl tylko...

Brzęk szkła.

Ben rozdziawił usta. W szybie ziała wystrzępiona dziura. Peter skłonił głowę. Nisko, do samego stołu, w komicznym, przesadnie uniżonym pokłonie starego Chińczyka. Jednocześnie, w tej klatce filmowej zastygłego czasu, głośno wypuścił powietrze, mówiąc coś w rodzaju gardłowego „haaa”, coś, co nie miało sensu i co Ben zrozumiał dopiero wtedy, gdy ujrzał szkarłatny otwór wylotowy kuli pośrodku jego czoła, gdy na talerze, na sztuce i na cały stół trysnęła fontanna szarej mazi i drobniutkich fragmentów białej kości.

–Boże! – zaskowyczał. – Boże! Boże! – Przewrócił się z krzesłem do tyłu, runął na podłogę, uderzając głową w twarde deski. – Nie – jęknął -nie... – Słyszał odgłosy kanonady, wiedział nawet, że tamci strzelają z broni wyposażonej w tłumik, lecz nic do niego nie docierało. – Boże, nie, Boże święty... – Znieruchomiał. Strach, przerażenie, szok i potworność tego, co przed chwilą zobaczył, była tak niewiarygodna, że całkowicie go sparaliżowało, że dopiero po chwili z głębokich zakamarków mózgu dotarł do niego słaby, prymitywny sygnał, który nakazał mu wstać i walczyć o życie.

Spojrzał w roztrzaskane okno. Początkowo widział tylko ciemność, lecz zaraz potem, w rozbłysku ognia z lufy, ujrzał czyjąś twarz. Pojawiła się ledwie na ułamek sekundy, mimo to wryła mu się w pamięć na zawsze: zabójca miał ciemne, głęboko osadzone oczy i bladą, gładką, jakby napiętą skórę.

Ben popędził przez jadalnię. Dobiegł go trzask, brzęk szkła i kolejny pocisk odłupał kawał tynku w ścianie trzydzieści centymetrów od niego.

Tamten – nie ulegało wątpliwości – mierzył w niego. W niego? Na pewno? Może wciąż strzelał do Petera? Może po prostu chybił? Widział go? Czy na pewno go widział?

Jakby w odpowiedzi na to nieme pytanie pocisk rozłupał framugę drzwi, którymi Ben wbiegał do ciemnego korytarza, łączącego jadalnię z recepcją. Z holu dobiegł go krzyk jakiejś kobiety, prawdopodobnie rozsierdzonej lub przerażonej właścicielki. Nagle wyłoniła się tuż przed nim, wymachując rękami.

Odepchnął ją i wpadł do foyer. Kobieta zaprotestowała głośnym piskiem.

Ben prawie nie myślał. Wstrząśnięty i odrętwiały biegł jak robot, który nie musi myśleć o tym, co się przed chwilą stało, który nie musi myśleć o niczym oprócz tego, jak przetrwać, jak wyjść z tego cało.

Gdy oczy przywykły do półmroku – mała lampa za ladą w przeciwległym kącie pomieszczenia rzuciła niewielki krąg światła – zobaczył, że w holu są jedynie drzwi frontowe i korytarz prowadzący do pokojów gościnnych na dole.

Wąskie schody widoczne z miejsca, gdzie stał, wiodły do pokojów na górze. W foyer nie było okna, dlatego tu kule mu nie groziły, przynajmniej na razie.

Z drugiej strony brak okna oznaczał, że Ben nie mógł sprawdzić, gdzie jest zabójca. Jedna z ofiar mu umknęła, dlatego musiał obieć gospodę i przycząć gdzieś z tyłu, albo przed głównym wejściem. Tak więc albo z przodu, albo z tyłu, chyba że byli z nim inni. Dawało to Benowi pięćdziesiąt procent szans na udaną ucieczkę frontowymi drzwiami.

Pięćdziesiąt procent, pół na pół.

Marnie. Bardzo marnie.

A jeśli jest ich więcej?

Gdyby było ich więcej, obstawiliby wszystkie okna i drzwi, wszystkie wyjścia z budynku. Bez względu na to, czy dybał na niego jeden czy kilku zabójców, ucieczka frontowymi drzwiami nie wchodziła w rachubę.

Z jadalni buchnął przeraźliwy krzyk: właścicielka gospody natknęła się na potworne znalezisko.

Witam w moim świecie, madame.

Z góry dobiegł odgłos ciężkich kroków. Obudzili się goście.

Właśnie: ilu ich tam było?

Ben podbiegł do drzwi i odsunął ciężką, stalową zasuwę.

Zadudniły kroki i u stóp schodów stanął gruby, zwalisty mężczyzna. Był w pospiesznie narzuconym niebieskim szlafroku i miał wystraszoną twarz.

–*Was geht hier vor?*

–Niech pan wezwie policję! – krzyknął po angielsku Ben. – *Polizei!* Telefon! – Gestem ręki wskazał telefon za ladą;

–Policję? Po co? Czy ktoś jest ranny?

–Dzwoń pan! – powtórzył gniewnie Ben. – Szybko! Zamordowano człowieka.

Zamordowano człowieka.

Grubas skoczył przed siebie, jakby ktoś pchnął go w plecy. Niezdarnie podbiegł do lady, podniósł słuchawkę telefonu, sprawdził, czy jest sygnał i wykręcił numer.

Mówił po niemiecku, głośno i szybko.

Zabójca. Gdzie on jest? On czy oni? Wpadnie do środka i zrobi to, co zrobił Peterowi? Byli tu ludzie, mogli wejść mu w drogę... ale to chyba by go nie powstrzymało. Benowi przypomniawszy się masakra w podziemnym centrum handlowym w Zurychu.

Gruby Szwajcar odłożył słuchawkę.

–*Sie sind tmterwegs* - powiedział. – Policja już jedzie.

–Daleko mają?

Grubas patrzył na niego przez chwilę, wreszcie zrozumiał.

–Nie, to na końcu tej drogi, bardzo blisko. Co się stało? Kogo zamordowano?

–Nie zna go pan.

Ben wskazał ręką wejście do jadalni, lecz w tym samym momencie wypadła stamtąd właścicielka gospody.

–*Er ist tot!* – wrzasnęła. – *Sie haben ihn erschossen! Dieser Mann dort draussen – Dein Bruder, er wurde ermordet!* – Doszła do wniosku, że zabił własnego brata. Czysty obłąd.

Poczuł, że wywraca mu się żołądek. Był oszołomiony, odrętwiały i otępiały, i dopiero teraz dotarła do niego cała potworność tego, co stało się w jadalni. Grubas wrzasnął coś do właścicielki. Ben wpadł do korytarza, który -jak przypuszczał – prowadził na tył domu.

Właścicielka wciąż krzyczała i histerycznie zawodziła. Do jej zawodzenia dołączyło zawodzenie policyjnej syreny. Wyła coraz głośniej – radiowóz był coraz bliżej. Tylko jeden? Wystarczy nawet jeden.

Zostać czy wiać?

„Połowa policjantów jest na ich żołądziej” – powiedział Peter.

Dobiegł do końca korytarza, skręcił w prawo i zobaczył malowane, drewniane drzwiczki. Szarpnął za klamkę: same półki i prześcieradła na półkach.

Syrena zawyła jeszcze głośniej i doszedł go chrzęst żwiru na podjeździe. Policja była już przed gospodą.

Pobiegł w stronę drewnianych drzwi na końcu korytarza. Okienko, w okienku żaluzje: drzwi musiały prowadzić na dwór. Przekręcił klamkę i pociągnął. Nie ustąpiły. Pociągnął jeszcze raz, potem szarpnął i wreszcie się otworzyły.

Teren musiał być już bezpieczny. Zabójca czy zabójcy na pewno zbiegli: odstraszyła ich syrena. Ukryli się w lesie? Nie. Baliby się, że ich złapią. Ben skoczył za krzewy, potknął się o pęd winorośli i runął na ziemię.

Chryste! Szybciej! Musiał uniknąć spotkania z policją, i to za wszelką cenę. „Połowa policjantów jest na ich żołądziej”. Zerwał się na równe nogi i dał nura w ciemność.

Syrena zamilkła, lecz słyszał teraz krzyki kobiet i mężczyzn, chrzęst kroków na podjeździe. Biegając, odtrącał na bok gałęzie, mimo to jedna z nich zadrapała mu twarz, omal nie wykluwając oka. Pędził, skręcał raz w lewo, raz w prawo, przez gęste zarośla, wąskimi przesmykami i zielonymi tunelami, pod baldachimem splecionych gałęzi. Podarł sobie spodnie, ręce miał podrapane i zakrwawione, mimo to parł naprzód jak maszyna, nie myśląc, nad niczym się nie zastanawiając, i wreszcie wypadł na polankę, gdzie stała toyota Petera.

Otworzył drzwiczki – dzięki Bogu, brat tylko je zatrzasnął – i spojrzał na stacyjkę. Nie było kluczyka. Pomacał pod dywanikiem. Nic. Pod fotelem. Też nic.

Wpadł w panikę i kilka razy głęboko odetchnął, żeby się uspokoić. No jasne, pomyślał, zapomniałem.

Sięgnął pod kierownicę, wyciągnął garść przewodów i przyjrzał im się w słabym świetle lampki nad deską rozdzielczą. Któregoś ranka on i Peter gadali jak zwykle z Arniem, ich ukochanym ogrodnikiem. „Odpalanie na krótko – powiedział Arnie. – Być może nigdy nie będziecie musieli tego robić, ale jeśli tak, na pewno podziękujecie mi kiedyś za naukę”.

W ciągu kilku sekund z gąszczu przewodów wyłowił dwa właściwe i szybko je ze sobą zetknął: jęknął rozrusznik, ryknął silnik. Ben wrzucił wsteczny i wyjechał na ciemną drogę. Żadnych świateł, żadnych reflektorów, ani z lewej strony, ani z prawej. Sprzęgło, jedynka. Stara toyota szarpnęła, zadygotała, lecz w końcu ruszyła i już po chwili pędził przed siebie opustoszałą szosą.

Rozdział 9

Halifax, Nowa Szkocja

Ranek był zimny i ponury. Nad portem stała gęsta mgła i widzialność spadła do trzech metrów.

Robert Mailhot leżał na stalowym stole. Był w niebieskim garniturze, a ręce i twarz miał jaskraworóżowe od kosmetyków, którymi umalowano go w domu pogrzebowym. Twarz była poorana zmarszczkami i jakby gniewna, cienkie usta zapadnięte, nos wystający i spiczasty. Staruszek miał metr siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, co oznaczało, że jako młody mężczyzna mierzył pewnie metr osiemdziesiąt.

Patolog był czerstwy, korpulentny i nazywał się Higgins. Miał ponad pięćdziesiąt lat, bujne, białe włosy i małe, podejrzliwe oczy. Był bardzo serdeczny, jednocześnie cały czas zachowywał powściągliwą neutralność. Powitał ich w chirurgicznych rękawiczkach.

–A więc macie powody przypuszczać, że to zabójstwo? – rzucił jowialnie, zerkając na nich czujnymi oczkami. Miał co do tego wątpliwości i wcale tego nie ukrywał.

Anna kiwnęła głową.

Sierżant Arsenault – dzinsy, jaskrawoczerwony sweter – był dziwnie wyciszony. Długa rozmowa z wdową, którą przeprowadzili poprzedniego dnia, bardzo ich dobiła. Pani Mailhot zgodziła się w końcu na sekcję zwłok, co zaoszczędziło im kłopotów, gdyż nie musieli już występować o nakaz sądowy.

W szpitalnej kostnicy cuchnęło formaliną i Anna jak zwykle poczuła się nieswojo. Z głośnika maleńkiego, przenośnego radia na ladzie z nierdzewnej stali sączyła się muzyka klasyczna.

–Chyba nie spodziewa się pani, że znajdziemy tu jakieś ślady – powiedział Higgins.

–Nie – odrzekła. – Ci z domu pogrzebowego dokładnie wymyli ciało. – Miał ją za idiotkę czy co?

–W takim razie czego szukamy?

–Nie wiem. Nakłuć, siniaków, ran, nacięć, zadrapań.

–Trucizna?

–Możliwe.

Rozebrali Mailhota, a potem Higgins przetarł mu myjką ręce i twarz, żeby usunąć makijaż, który mógłby zatuszować drobne ślady. Mailhot miał zaszyte powieki – Higgins przeciął szwy i sprawdził, czy nie ma na nich drobniotkich wybroczyn podskórnych, które mogłyby sugerować, że ofiara poniosła śmierć przez uduszenie.

–A w jamie ustnej? – spytała Anna. – Są jakieś zasinienia?

Usta też były zaszyte. Jednym ruchem skalpela patolog przeciął szwy i pomacał w środku palcem. Gdyby ktoś udusił Mailhota poduszką, w miejscu, gdzie wargi napierały na zęby, byłyby wyraźne zasinienia.

–Nie – powiedział. – Niczego nie czuję.

Wzięli szkła powiększające i centymetr po centymetrze dokładnie obejrzelili całe ciało. Zwłoki ludzi starych są bardzo trudne do oględzin, ponieważ skórę pokrywają

pieprzyki, zrosty, wybroczyny i starcze plamy.

Szukali śladów nakłuć we wszystkich typowych miejscach: na karku, między palcami stóp, na wierzchu dłoni, na kostkach nóg, za uszami. Na nosie i na policzkach. Ślad nakłucia igłą można zamaskować zadrapaniem, mimo to nie znaleźli niczego podejrzanego. Higgins sprawdził nawet mosznę, dużą i luźną, oraz spoczywający na niej skurczony członek. Patolodzy rzadko kiedy to robią. Facet był dokładny.

Godzinę później przewrócili Mailhota na brzuch, żeby obejrzyć plecy. Co jakiś czas Higgins robił zdjęcia. Długo się do siebie nie odzywali i w sali autopsyjnej słychać było jedynie stłumiony pisk klarnetu, rozbuchane smyczki, ciche mruczenie chłodni i jakichś urządzeń. Zapach formaliny był nieprzyjemny, lecz przynajmniej nie cuchnęło trupem, z czego Anna bardzo się cieszyła. Higgins sprawdził, czy Mailhot ma całe paznokcie – może walczył z napastnikiem? – następnie pobrał próbki zalegającej pod nimi materii i umieścił je w małych, białych kopertach.

–Naskórek jest czysty – oznajmił w końcu.

Anna była rozczarowana, chociaż tego oczekiwała.

–Mógł ją połknąć – zasugerowała.

–Truciznę? Toks-test to wykaże.

–Wątpię. Nie ma krwi.

–Może trochę zostało.

Musieliby mieć nieprawdopodobne szczęście. Podczas przygotowań w domu pogrzebowym technicy usuwali ze zwłok całą krew i zastępowali ją płynem balsamującym, tak że zostawały jedynie niewielkie ilości tak zwanej krwi zalegającej. Metanol, etanol, aldehyd mrówkowy, barwniki... Wszystko to rozkładało niektóre związki, uniemożliwiając ich wykrycie. Może znajdą chociaż trochę moczu w pęcherzu.

Higgins zrobił klasyczne nacięcie w kształcie litery Y – od ramienia do miednicy – po czym włożył rękę do klatki piersiowej, żeby wyjąć i zważyć organy wewnętrzne. Ta część sekcji zwłok była dla Anny szczególnie odrażająca. Ze śmiercią miała do czynienia bardzo często, jednak musiała istnieć jakaś przyczyna, dla której nie została patologiem.

Blady Arsenault przeprosił ich i wyszedł na kawę.

–Może pan pobrać próbkę mózgu, żółci, nerek, serca, i tak dalej? – poprosiła.

Higgins posłał jej cierpki uśmiech: nie ucz ojca dzieci robić.

–Przepraszam – szepnęła Anna.

–Założę się, że miał arteriosklerozę.

–Na pewno – odrzekła – to staruszek. Jest tu gdzieś telefon?

Telefon był w korytarzu, tuż obok automatu z kawą, herbatą i gorącą czekoladą. Na przedniej ściance automatu widniało krzykliwe zdjęcie kilku filiżanek wypełnionych gorącym naparem: miało wyglądać apetycznie, ale było sinawozielone i wyglądało ohydnie. Wybierając numer, słyszała wizg elektrycznej piły, którą Higgins przecinał trupowi żebra.

Wiedziała, że Arthur Hammond wychodzi do pracy bardzo wcześnie. Był szefem

centrum toksykologicznego w Wirginii i uczył toksykologii na akademii medycznej. Poznali się przy okazji jakiejś sprawy i od razu się polubili. Arthur był nieśmiały. Kiedyś się jąkał, dlatego mówił z lekkim wahaniem, rzadko kiedy patrzył ludziom w oczy, mimo to miał cięty dowcip. O truciznach wiedział wszystko, i o tych stosowanych współcześnie, i o tych, którymi truto i podtruwano wrogów w średniowieczu. Był najlepszym ekspertem federalnym, lepszym od najlepszych patologów sądowych, a już na pewno chętniejszym do pomocy. Niezwykle błyskotliwym miał też niebywałą intuicję. Od czasu do czasu angażowała go jako płatnego konsultanta.

Złapała go w domu, w drodze do drzwi, i szybko wprowadziła w sytuację.

–Gdzie jesteś? – spytał.

–Hmm, daleko na północy.

Rozbawiony jej tajemniczością, głośno prychnął nosem.

–Rozumiem. Dobra. Opowiedz mi o nich.

–To starcy. Jak można zabić starca, żeby nikt nie wykrył prawdziwej przyczyny śmierci?

Arthur gardłowo zachichotał.

–Starca? Anno, po cholere go zabijać? Wystarczy go rzucić. – Zawsze tak z nią flirtował.

–A duża dawka starego, dobrego chlorku potasu? – spytała, taktownie udając, że tego nie słyszała. – Zatrzymuje akcję serca, tak? Prawie nie wpływa na poziom potasu w organizmie, więc jest praktycznie niewykrywalna.

–Ten twój był na kroplówce?

–Chyba nie. Nie znaleźliśmy nakłuć.

–W takim razie wątpię. Brudna sprawa. Jeśli nie był na kroplówce, musiałybyś wkłuć się w żyłę i zalałyby wszystko krwią. Nie wspominając już o śladach walki.

Anna notowała w maleńkim, skórzanym notesie.

–Śmierć była nagła, prawda? W takim razie możemy wykluczyć podtruwanie solami metali ciężkich. Jest za wolne. Mogę przynieść sobie kubek kawy?

–Jasne – odrzekła z uśmiechem. Znała to na pamięć.

Wrócił po niecałej minucie.

–A propos kawy – powiedział. – Albo coś wypił, albo zjadł, albo mu coś wstrzyknięto.

–Nie znaleźliśmy ani jednego śladu nakłucia, a wierz mi, dokładnie go obejrzelismy.

–Jeśli użyto cienkiej igły, nic byście nie zauważyli. Poza tym jest jeszcze slix.

Mówił o chlorku sukcyńlocholiny, syntetycznej kurarze.

–Tak sądzisz?

–Była taka głośna sprawa, w sześćdziesiątym siódmym czy ósmym. Lekarz z Florydy zamordował suksem żonę. Jak pewnie wiesz, sux to środek rozluźniający mięśnie szkieletowe. Nie możesz ani się poruszać, ani oddychać. Lekarz stwierdza zatrzymanie akcji, i po herbacie. To był słynny proces, zbił z tropu wszystkich łachmanów.

Anna szybko to zanotowała.

–Środków rozluźniających mięśnie szkieletowe jest od cholery, każdy z nich ma inne właściwości. Ale wiesz, z drugiej strony staruszek to staruszek. Takiego wszystko może zabić, nawet zwiększona dawka nitrogliceryny.

–Tabletka pod język, tak?

–Tak, zazwyczaj... Ale wystarczy, że weźmiesz ampułkę azotanu amylu i podetkniesz mu ją pod nos. Albo azotanu butylu. Naczynia krwionośne się rozszerzają, ciśnienie spada, i facet umiera.

Anna gorączkowo notowała.

–A mucha hiszpańska? – zarechotał. – Weźmiesz za dużo, i kaput. Nazywa się to kantaryda.

–On miał osiemdziesiąt siedem lat.

–Tym bardziej potrzebował czegoś na potencję.

–Nawet nie chcę o tym myśleć.

–Palił?

–Jeszcze nie wiem. Poznamy po płucach. Dlaczego pytasz?

–Niedawno miałem ciekawą sprawę. Dwoje staruszków w Afryce Południowej. Zabito ich nikotyną.

–Nikotyną?

–Wystarczy mała dawka.

–Jak?

–To ciecz. Bardzo gorzka, ale da się przełknąć. Można ją również wstrzyknąć. Śmierć następuje w ciągu kilku minut.

–I jeśli ofiara pali, nie można jej wykryć, tak?

–Trzeba trochę pogłówkować. Ja tak zrobiłem. Musisz porównać ilość nikotyny we krwi z ilością jej metabolitów. Nikotyna zmienia się w...

–Wiem.

–We krwi palacza jest więcej metabolitów niż czystej nikotyny. Jeśli doszło do ostrego zatrucia, nikotyny jest znacznie więcej, a metabolitów dużo mniej, jasne?

–Jasne. Czego mam się spodziewać po toks-teście?

–Normalny test toksykologiczny jest ustawiony właściwie wyłącznie pod narkotyki. Pod opiaty, opiaty syntetyczne, morfinę, kokainę, LSD, darvon, PCP, amfetaminę, benzodiazepinę, czyli na przykład valium, pod barbiturany, czasami pod środki antydepresyjne. Ale ty każ im zrobić pełny – ten normalny nie wykryje na przykład wodzianu chloralu. Zamów to. Niech przeprowadzą test na obecność placidylu – to taki środek nasenny starszej generacji – placidylu i barbituranów. Bardzo trudno wykryć fentanyli. Związki fosforoorganiczne, czyli środki owadobójcze. DMSO, dwumetylosulfotlenek dla koni. Zobaczysz, co im z tego wyjdzie. Myślę, że zrobią chrom-gaz i spektr-mas.

–Nie wiem. Co to jest?

–Chromatografia gazowa i spektrometria masowa; Standard. Jesteś gdzieś na wsi czy w mieście?

–W mieście. W Kanadzie.

–Ci z Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej są dobrzy. Ich laboratoria są lepsze od naszych, ale lepiej mnie nie cytuj. Niech sprawdzą tamtejszą wodę, studnie, i tak dalej, wszystkie miejsca, gdzie mogłyby zebrać się toksyny. Mówisz, że ciało jest zabalsamowane? Niech pobiorą próbkę płynu do balsamowania i go sprawdzą. Zamów pełny zestaw: krew, tkanka, włosy.

Niektóre proteiny rozpuszczają się w tłuszczu. Pamiętaj, że kokaina odkłada się w tkance serca. Wątroba jest jak gąbka.

–Jak długo to wszystko potrwa?

–Testy? Kilka tygodni, może kilka miesięcy.

–Wykluczone. – Jej podniecenie nagle opadło. Była przybita.

–Tyle trwają, ale może będziesz miała szczęście i znajdą coś w jeden dzień. Sęk w tym, że jeśli nie wiesz, jakiej trucizny szukasz, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nigdy jej nie znajdziesz.

–Wszystko wskazuje na to, że umarł z przyczyn naturalnych – oznajmił Higgins, gdy wróciła do sali autopsyjnej. – Najprawdopodobniej na arytmieję. No i oczywiście miał arteriosklerozę. Klasyczny zawał.

Ściągnął Mailhotowi skórę z twarzy i zwisała teraz jak skalp, jak lateksowa maska. Otworzył mu również czaszkę, tak że widać było różowawy skraj mózgu. Annie zrobiło się niedobrze. Na szalce wagi leżało płuco.

–Ciężkie? – spytała.

Higgins natychmiast ją zrozumiał.

–Lekkie. – Uśmiechnął się z aprobatą. – Dwieście czterdzieści gramów. Bez przekrwień.

–A więc umarł szybko. Możemy wykluczyć czynniki spowalniające pracę ośrodkowego układu nerwowego.

–Przecież mówię, że to zawał. – Patolog zaczynał tracić cierpliwość. Otworzyła skórzany notesik i powiedziała mu, jakie chce przeprowadzić testy. Wybałuszył oczy.

–Ma pani pojęcie, ile to będzie kosztowało?

Anna ciężko westchnęła.

–Nasz rząd płaci. Chcę to zrobić bardzo dokładnie. Jeśli nie znajdę niczego teraz, nie znajdę pewnie nigdy. Poza tym muszę prosić pana o przysługę. Przeszył ją spojrzeniem. Wyczuła, że jest zirytowany.

–Chcę, żeby zdjął pan z niego skórę.

–Pani żartuje.

–Nie.

–Agentko Navarro, czy mam pani przypomnieć, że pani Mailhot chce wystawić ciało męża w otwartej trumnie?

–Będzie widać tylko ręce i twarz, prawda? – Zdjęcie skóry polegało dokładnie na tym, co sugerowała nazwa: na całkowitym obdarciu zwłok ze skóry; zdzierano ją wielkimi płatami, żeby można je było potem zszyć. Umożliwiało to przeprowadzenie badań jej wewnętrznej strony i wykrycie ewentualnych śladów nakłucia igłą. – Chyba, że pan odmawia. Cóż, jestem tu tylko gościem.

Higgins poczerwieniał. Chwycił skalpel, wbił go w zwłoki – zrobił to trochę za

gwałtownie – i zaczął usuwać skórę.

Annie zakręciło się w głowie. Bała się, że zaraz zwymiotuje. Wyszła na korytarz, żeby poszukać toalety. Podszedł do niej Ron Arsenault z wielkim kubkiem kawy na wynos.

–Ciągłe kroimy i ważymy? – spytał. Najwyraźniej odzyskał już humor.

–Gorzej. Obdzieramy go ze skóry.

–Też nie możesz na to patrzeć?

–Nie, idę przypudrować sobie nos.

Spojrzał na nią sceptycznie.

–Jak na razie nici, co?

Zmarszczyła czoło i pokręciła głową. Ron westchnął.

–Czy wy, jankesi, nie wierzycie, że można umrzeć ze starości?

–Zaraz wracam – odparła chłodno.

Spryskała sobie twarz zimną wodą tylko po to, żeby stwierdzić, że zamiast papierowych ręczników w toalecie są te nieszczęsne suszarki do rąk, które nigdy nie działają. Jęknęła, weszła do kabiny, wzięła papier toaletowy i wytarła nim sobie twarz, ozdabiając ją przy okazji rozmiękłymi od wody paprochami. Spojrzała w lustro – miała mocno podkrążone oczy – zdjęła paprochy, poprawiła makijaż i odświeżona wyszła na korytarz.

–Pytał o ciebie – rzucił podekscytowany Arsenault. – Higgins. Patolog wziął ze stołu kawałek żółtawej skóry o powierzchni dwudziestu centymetrów kwadratowych i podniósł go jak myśliwskie trofeum.

–Ma pani szczęście, że zrobiłem i ręce – powiedział. – Kierownik domu pogrzebowego zedrze ze mnie skórę, ale mają tam na pewno kosmetyki, którymi można zamalować szwy.

–Co to? – Serce zabiło jej dwa razy szybciej.

–Skóra z wierzchu dłoni. Fałd skórny między kciukiem i palcem wskazującym, *abductor pollicis*. Proszę spojrzeć.

Podeszła bliżej, Arsenault też, lecz nie dostrzegli niczego szczególnego. Higgins wziął szkło powiększające ze stołu.

–Widzicie to małe zaczerwienienie długości dziesięciu, piętnastu milimetrów? To w kształcie płomyka.

–Tak.

–To ślad nakłucia, Ani pielęgniarka, ani lekarz nie zrobi w tym miejscu zastrzyku. Może to jest to?

Rozdział 10

Bedford w stanie Nowy Jork

Max Hartman siedział w skórzanym fotelu z wysokim oparciem, w wypełnionej książkami bibliotece, gdzie zwykle przyjmował gości. Dziwne, pomyślał Ben. Ojciec siedział za olbrzymim, mahoniowym biurkiem o skórzanym blacie, chociaż rozmawiał z własnym synem.

Niegdyś wysoki i silny, w wielkim fotelu sprawiał wrażenie zaszuszonego i skurczonego. Był podobny do gnoma, choć zapewne nie taki zamierzał osiągnąć efekt. Ben usiadł w fotelu naprzeciwko biurka.

–Kiedy zadzwoniłeś – powiedział ojciec – po twoim głosie poznałem, że chciałbyś o czymś porozmawiać.

Mówił z wyszukanym środkowoatlantyckim akcentem, prawie bez żadnych obcych naleciałości. Jako młody człowiek, niedawno przybyły do Ameryki, brał lekcje dykcji, jakby chciał pozbyć się wszystkiego, co łączyło go z przeszłością.

Ben przyglądał mu się uważnie, próbując go rozgryźć. Zawsze był dla mnie enigmą. Chłodną, groźną i niezgłębioną enigmą.

–Tak, to prawda – odrzekł.

Ktoś, kto widział Maksa Hartmana pierwszy raz, zauważał najpierw wielką, łysą, pokrytą starczymi plamami głowę i mięsiste uszy. Potem oczy, duże i kaprawe, groteskowo powiększone, bo przesłonięte grubymi soczewkami rogowych okularów. Jeszcze potem zatrzymywał wzrok na mocno zarysowanej szczęce i stale rozszerzonych nozdrzach – wyglądały tak, jakby nieustannie wpadał do nich jakiś nieprzyjemny zapach. Mimo wyraźnego piętna wieku było oczywiste, że musiał być kiedyś przystojnym mężczyzną.

Jak zwykle miał na sobie idealnie dopasowany garnitur, jeden z tych, które szyci mu na zamówienie na Savile Row w Londynie. Tego dnia zdecydował się na ciemny, w kolorze węgla drzewnego. Śnieżnobiała koszula z inicjałami M.H. wyhaftowanymi na piersi, krawat z błękitno-złotego rypsu, ciężkie, złote spinki do mankietów – była niedziela, dziesiąta rano, a on wyglądał tak jakby zaraz czekało go posiedzenie zarządu.

To zabawne, jak bardzo czas i życie kształtują zdolność postrzegania, pomyślał Ben. Wielokrotnie widywał go takim, jakim widział go teraz, starym i kruchym. Lecz wielokrotnie też patrzył na niego oczami speszzonego dziecka, a wówczas ojciec był kimś potężnym i onieśmielającym.

On i Peter zawsze się go trochę bali, zawsze się przy nim denerwowali. Max Hartman deprymował niemal każdego – dlaczego mieliby stanowić wyjątek? Bycie jego synem, kochanie go, rozumienie, okazywanie mu czułości, wymagało dużego wysiłku. Było jak uczenie się trudnego obcego języka, którego Peter nauczyć się nie chciał lub nie mógł.

Peter. Ponownie przypomniało mu się to, co mówił o ojcu, ponownie stanęła mu przed oczami jego straszna, pałająca żądzą zemsty twarz. I nagle twarz zniknęła, by ustąpić miejsca fali wspomnień o uwielbianym bracie. Ścisnęło go w gardle, oczy zasły mu łzami.

Nie myśl o nim. Nie myśl o Peterze. Nie myśl o nim zwłaszcza tu, w domu, w którym bawiliśmy się w chowanego, w którym się biliśmy, knuliśmy szeptem dziecięce spiski w środku nocy, w którym wrzeszczeliśmy, śmialiśmy się i płakaliśmy.

Petera już nie ma, a ty musisz wytrwać. Dla niego.

Nie miał pojęcia, jak zacząć, jak poruszyć ten temat. W Bazylei wsiadł do samolotu i przez całą drogę układał sobie w głowie to, co chciał mu powiedzieć, ale wchodząc do biblioteki, wszystko zapomniał. Postanowił tylko, że na pewno nie powie mu o zmartwychwstaniu i ponownej śmierci brata. Bo i po co? Po co go dręczyć? Dla niego Peter nie żył już od czterech lat.

Tak czy inaczej, konfrontacja nie leżała w naturze Bena. Najpierw pozwolił ojcu się wygadać, zapytać go o konta, którymi zarządzał. Jezu, pomyślał. Jest bystry jak za dawnych lat. Próbował zmienić temat, ale nie przychodził mu do głowy żaden odpowiedni sposób. Przecież nie mógł tak ni z tego, ni z owego rzucić: Aha, jeszcze jedno tatusiu: czy to prawda, że byłeś nazistą?

W końcu nie wytrzymał.

–Wiesz, będąc w Szwajcarii, zdałem sobie sprawę, jak mało o tobie wiem. Zwłaszcza o czasach, kiedy mieszkałeś w Niemczech...

Wielkie oczy za grubymi soczewkami powiększyły się jeszcze bardziej. Ojciec pochylił się do przodu.

–Skąd to nagle zainteresowanie historią rodziny?

–Nie wiem. Pewnie przez tę Szwajcarię. Wspominałem Petera. Byłem tam pierwszy raz od jego śmierci.

Ojciec popatrzył na swoje ręce.

–Wiesz, że nie lubię wracać do przeszłości. Nigdy nie lubiłem. Zawsze patrzę tylko przed siebie.

–Byłeś w Dachau... Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

–Nie chcę o tym mówić. Byłem tam i przeżyłem. Wyzwolili nas dwudziestego dziewiątego kwietnia czterdziestego piątego. Nigdy tej daty nie zapomnę, chociaż wolałbym, żeby tamte czasy na zawsze odeszły w niepamięć.

Ben wziął głęboki oddech i zaatakował. Zdawał sobie sprawę, że ód tej chwili jego stosunki z ojcem ulegną nieodwracalnej zmianie, że pęknie łącząca ich nić.

–Na liście wyzwolonych więźniów nie ma twojego nazwiska. Błefował. Czekał na jego reakcję.

Max patrzył na niego przez długą chwilę, a potem, ku jego zaskoczeniu, wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

–Studiowanie dokumentów historycznych wymaga dużej dozy sceptycyzmu. Listy sporządzane w czasach niewyobraźnego chaosu, błędnie spisane nazwiska, nazwiska bez imion... Jeśli nawet jakiś amerykański sierżant pominął moje, czego to miałyby dowodzić?

–Ale nie byłeś w Dachau, prawda? – spytał cicho Ben.

Ojciec powoli odwrócił fotel tyłem do niego. Jego głos, cienki i piskliwy, dochodził jakby z oddali.

–Mówisz dziwne rzeczy.

Ben poczuł się tak, jakby miał w żołądku stado trzepoczących skrzydłami motyli.

–Ale nie byłeś tam, prawda?

Ojciec odwrócił się i przeszył go wzrokiem. Twarz miał jak z kamienia, lecz na jego bladych policzkach wykwitł leciutki rumieniec.

–Są ludzie, którzy zarabiają na życie, twierdząc, że holocaustu nigdy nie było. Tak zwani historycy, pisarze – piszą książki i artykuły, w których udowadniają, że to wszystko brednie, jeden wielki spisek. Że tych Żydów, tych milionów ludzi nikt nie wymordował.

Benowi zaschło w ustach, serce biło mu jak oszalałe.

–Byłeś porucznikiem SS. Twoje nazwisko jest na liście, na liście członków-założycieli i późniejszych dyrektorów tajnej korporacji. Byłeś ich skarbnikiem.

–Nie chcę tego słuchać – wysyczał ojciec złowieszczym szeptem.

–Ale to prawda, tak?

–Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

–To dlatego nigdy nie opowiadałeś nam o Dachau. Bo to wszystko fikcja. Nigdy tam nie byłeś. Byłeś nazistą.

–Jak możesz? – wychrypiał ojciec. – Jak możesz w to wierzyć? Jak śmiesz mnie obrażać?!

–Ten dokument jest w Szwajcarii, ten dokument nie kłamie.

Max Hartman gniewnie błysnął oczami.

–Ktoś pokazał ci fałszywkę, która miała mnie zdyskredytować, a ty mu uwierzyłeś.

Pytanie tylko, dlaczego.

Ściany biblioteki powoli zawirowały.

–Dlaczego? Dlatego, że to Peter mi go pokazał! Dwa dni temu, w Szwajcarii! To on go znalazł! Dowiedział się prawdy! Odkrył, co zrobiłeś, i próbował nas chronić!

–Peter? – szepnął Max.

Miał potworną twarz, ale Ben nie zwracał na to uwagi.

–Opowiedział mi o korporacji, o tym, kim naprawdę byliście. Mówił mi o tym, kiedy go zastrzelili!

Ojciec straszliwie pobladł, z policzków odpłynęła mu cała krew, zatrzęsły mu się sękatę ręce.

–Zabili go na moich oczach! – Ben powiedział to tak, jakby chciał splunąć mu w twarz. – Mojego brata, twojego syna! Waszą kolejną ofiarę!

–To wszystko kłamstwa! – krzyknął ojciec.

–Nie, to prawda. Prawda, którą przez całe życie ukrywałeś.

Ojcu zmienił się głos. Był teraz przyciszony i zimny jak arktyczny wiatr.

–Mówisz o rzeczach, których nie jesteś w stanie pojąć. Dalsza rozmowa nie ma sensu.

–Wiem już, kim jesteś – odparł Ben. – I ogarnia mnie obrzydzenie.

–Wyjdz! – krzyknął ojciec, podnosząc rękę i wskazując mu drzwi. Ben wyobraził sobie tę samą rękę uniesioną w geście hitlerowskiego pozdrowienia. Przeszłość, tak odległa i tak bliska *zarazem*. Przypomniały mu się często cytowane słowa pewnego

pisarza: „Przeszłość nie umarła. Jeszcze nawet nie minęła”.

–Precz! – zagrzemiał ojciec. – Wynoś się z tego domu!

Waszyngton

Samolot Air Canada z Nowej Szkocji wylądował na krajowym lotnisku imienia Reagana późnym popołudniem. Do domu dojechała taksówką, kilka minut przed szóstą. Było już prawie ciemno.

Uwielbiała tu wracać. Do swego mieszkania, do swego azylu. Do jedyne­go miejsca, w którym czuła, że jest panią samej siebie. Ta mała kawalerka w podłej okolicy była jej światem, światem spełnionym i doskonałym.

Wysiadając z windy, spotkała sąsiada, Toma Bertone'a, który właśnie zjeżdżał na dół. On i jego żona Danielle byli prawnikami, ludźmi trochę za bardzo wylewnymi i wścibskimi, ale w sumie miłymi.

–Cześć, Anno – rzucił. – Widziałem dzisiaj twojego młodszego brata. Chyba niedawno przyjechał. Miły facet. – Drzwi się zamknęły, winda ruszyła.

Brata?

Nie miała brata.

Długo stała przed drzwiami, próbując uspokoić kołaczące serce. Wyjęła pistolet, służbowego sig-sauera kaliber 9 mm, i wolną ręką przekręciła klucz. W mieszkaniu było ciemno, więc natychmiast przypomniała sobie to, czego uczono ją kiedyś na kursach. TAP, taktyka agresywnego przeszukiwania: wyciągnąć broń, przywrzeć plecami do ściany, zbadać teren, zrobić krok do przodu i powtórzyć wszystko od początku. Trenowała to z kolegami na makietach, ale nigdy nie myślała, że będzie musiała robić to w swoim domu, w swoim azylu.

Zamknęła drzwi. Cisza.

Cisza, lecz w ciszy coś... było. Ledwo wyczuwalny zapach papierosów. Tak, na pewno. Ale nie dymu, nie. Był to zapach, jakim przesiąknięte jest ubranie człowieka, który dużo pali.

Człowieka, który był w jej mieszkaniu.

W mdławym świetle wpadającym przez okno z ulicy dostrzegła coś jeszcze: jedna z szuflad szafki z dokumentami była niedomknięta. Zawsze starannie je zamykała. Ktoś grzebał w jej rzeczach.

Zmroziło ją.

Wyczuła lekki przeciąg. Okno w łazience było otwarte.

I usłyszała cichutki, lecz nie dość cichy pisk: odgłos, jaki wydaje gumowa podeszwa buta na płytce terakoty.

Intruz wciąż tu był.

Zapaliła górną lampę, błyskawicznie przysiadła i z pistoletem w obu rękach wykonała szybki obrót. Sig-sauer miał czuły spust i był mniejszy niż standardowa dziewiątka – na szczęście, gdyż miała dzięki temu pewniejszy chwyt. Gdzie ten przeklęty włamywacz? Nie widziała go, ale w tak małym mieszkaniu trudno o dobrą kryjówkę. Wyprostowała się i wciąż przy ścianie – „tul się do ścian, zawsze do ścian”, powtarzali instruktorzy – powoli ruszyła w stronę sypialni.

Poczuła lekki podmuch powietrza i ułamek sekundy później potężne kopnięcie

wytrąciło jej broń z ręki. Jak to zrobił? Gdzie stał? Za komodą? Za szafką z dokumentami? Pistolet zaklekołał na podłodze. Spróbuj go odzyskać, za wszelką cenę!

Kolejne kopnięcie i głuchy łoskot: wgniotło ją w drzwi. Mężczyzna podszedł bliżej. Zamarła.

Mężczyzna? Raczej szczupły nastolatek. Choć atleficznie zbudowany -pod obcisłym, czarnym podkoszulkiem falowały napięte mięśnie – wyglądał najwyżej na siedemnaście lat. To jakiś absurd!

Powoli wstała i z udawaną obojętnością ruszyła w stronę beżowej sofy. Spod marszczonej narzuty wystawał czubek niebieskoszarej rękojeści sig-sauera.

–W tej okolicy włamania to bardzo poważny problem, prawda? – rzucił ironicznie. Miał krótko ostrzyżone, błyszczące włosy, drobne, regularne rysy i chyba niedawno zaczął się golić. – Statystyki są wprost szokujące. – Mówił zupełnie inaczej niż typowy nieletni przestępca z południowo-wschodniej części Waszyngtonu. Gdyby miała zgadywać, powiedziała by, że nie jest Amerykaninem: w jego głosie pobrzmiwał leciutki irlandzki akcent.

–Nie ma tu nic wartościowego – powiedziała, z trudem zachowując spokój. – Pewnie już o tym wiesz. Nie chcę żadnych kłopotów, ty chyba też nie. – Od ciosu wciąż drżała jej ręka. Nie spuszczając go z oczu, zrobiła kolejny krok w stronę sofy. – Poza tym – dodała lekko – nie powinieneś być teraz w szkole?

–Fakt, po co wysyłać dorosłego, skoro może to załatwić byle smarkacz? – odrzekł zgodnie i nagle kopnął ją z obrotu. Siła ciosu rzuciła ją na komodę. Trafił dokładnie w splot słoneczny i pozbawił ją tchu.

–Wiesz – ciągnął – w sytuacjach takich jak ta bardzo często giną ci, którzy grozili tym dzieciuchom bronią. Tak mówią statystyki, warto o tym pamiętać. Ostrożności nigdy nie za wiele.

Nie, to nie był zwykły włamywacz. Poza tym nie mówił jak zwykły włamywacz. Czego tu szukał? Mocno zacisnęła powieki i dokonała błyskawicznego przeglądu swoich rzeczy: meble, lampy, nawilżacz powietrza, ubrania... M26! Gdzie jest M26? Na pewno dokładnie wszystko przeszukał, ale to urządzenie mógł rozpoznać jedynie ktoś, kto wiedział, do czego służy.

–Dam ci pieniądze – powiedziała głośno i otworzyła szufladę komody.

–Dam ci pieniądze – powtórzyła. Gdzie to cholerstwo jest?! I czy zadziała? Leżało tu co najmniej od dwóch lat. Znalazła je w środkowej szufladzie, tuż obok kartonowych pudełek ze starymi książeczkami czekowymi. – Jest. Masz.

Odwróciła się na pięcie i pstryknęła włącznikiem. Rozległo się piskliwe buczenie, znak, że paralizator działa i jest naładowany.

–A teraz posłuchaj – powiedziała. – Posłuchaj bardzo uważnie: to jest M26, najsilniejszy paralizator dostępny na rynku. Odsuń się, bo go użyję. Nie pomoże ci żadne karate. Dwadzieścia pięć tysięcy woltów zrobi z ciebie grzanekę.

Twarz miał jak z kamienia, ale zrobił krok do tyłu i powoli wycofał się do łazienki.

Gdyby zwolniła spust, ładunek miotający wyrzuciłby dwa długie przewody zakończone igłami sześciomilimetrowej długości. Przewodami popłynąłby

jednocześnie prąd, który unieruchomiłby go, a może nawet pozbawił przytomności.

Ruszyła za nim. A jednak: brakowało mu doświadczenia. Uciekać do małego, ciasnego pomieszczenia, gdzie mogła przyprzeć go do muru? Amatorszczyzna. Nastawiła paralizator na najwyższe napięcie; nie było sensu ryzykować. Urządzenie zahaczało jeszcze głośniej i między elektrodami wykwitł z trzaskiem błękitny łuk. Postanowiła celować w tors.

Nagle doszedł ją odgłos, którego spodziewała się chyba najmniej: szum, głośny szum wody z maksymalnie odkręconego kranu. Co on, u diabła, knuje? Wpadła do łazienki, wycelowała i w tym samym momencie tamten błyskawicznie się odwrócił. Gdy zrozumiała, co chce zrobić, było już za późno.

Intruz trzymał w ręku sitko prysznic, z którego buchał silny strumień wody. W normalnych warunkach woda byłaby zupełnie nieszkodliwa, ale teraz... Upuściła paralizator ułamek sekundy za późno i przez jej mokre ciało przebiegł potężny ładunek elektryczności. Mięśnie chwycił spazmatyczny skurcz i oszołomiona runęła na podłogę, czując jedynie potworny ból.

–Miło było, prawdziwy szok, co? – rzucił obojętnie tamten. – Ale muszę już spadać. Złapię cię później. – Karykaturalnie wykrzywił twarz i puścił do niej oko.

Leżała, bezradnie patrząc, jak wychodzi przez okno i znika na schodach przeciwpożarowych.

Zanim zadzwoniła na policję, przejrzała wszystkie rzeczy i stwierdziła, że nic nie zginęło. W głowie kłębiły jej się setki pytań, lecz były to pytania bez odpowiedzi. Policjanci przyjechali, popatrzyli, pozastanawiali się, czy zakwalifikować to jako włamanie czy jako wtargnięcie, wreszcie zabrakło im pomysłów. Jasne, ściągną tu całą ekipę – domyślili się, że poszkodowana jest z „federalnych”, bo znała się na rzeczy i wiedziała, o czym mówi – ale to może potrwać nawet kilka godzin. A tymczasem?

Spojrzała na zegarek. Ósma. Zadzwoniła pod domowy numer Davida Denneena.

–Przepraszam, że zawracam ci głowę – powiedziała – ale czy wasz gościnny pokój jest wolny? Moje mieszkanie jest teraz miejscem przestępstwa.

–Miejscem... Chryste, co się stało?

–Później ci wyjaśnię. Przepraszam, że tak nagle, ale...

–Jadłaś coś? Natychmiast przyjeżdżaj. Dodamy jedno nakrycie.

David i Ramon mieszkali w przedwojennym mieszkaniu koło Dupont Circle, piętnaście minut jazdy taksówką od niej. Mieszkanie nie należało do najokazalszych, ale było wysokie, ładnie urządzone i miało szyby ze szkła ołowiowego. Wchodząc, po zapachu poznała, że Ramon gotuje jedną ze swoich meksykańskich potrawek.

Przed trzema laty młodszy agent Denneen był jej podwładnym. Bardzo szybko się uczył, robił dobrą robotę i prowadził kilka ważnych śledztw, między innymi śledztwo w sprawie urzędnika Białego Domu, którego powiązania z ambasadą Kataru dały początek zakrojonemu na szeroką skalę dochodzeniu w sprawie o korupcję. Jako jego przełożona wpisywała mu do akt prawie same pochwały, lecz wkrótce odkryła, że Arliss Dupree, ich bezpośredni szef, też coś do nich wpisuje. Były to uwagi mgliste, lecz jednoznacznie negatywne w zamyśle. Denneen „nie jest

materiałem na dobrego agenta Urzędu do Badań Specjalnych". Brakuje mu „hartu ducha". Jest „miękki", „możliwe, że mało solidny", nieodpowiedzialny". Jego postawa „budzi wątpliwości". Same bzdury, biurokratyczny kamuflaż, który miał zamaskować zaciętą wrogość i stare uprzedzenia.

Anna zaprzyjaźniła się zarówno z nim, jak i z Ramonem. Dowiedziała się, że są parą, gdy wpadłszy do księgarni przy Connecticut Avenue, zobaczyła, że robią razem zakupy. Ramon był drobnym mężczyzną o szczerzej, otwartej twarzy i miłym uśmiechu. Śmiejąc się, demonstrował piękne zęby, których biel odcinała się wyraźnie od jego śniadej cery. Był kierownikiem miejscowego oddziału Meals on Wheels, organizacji pomagającej ludziom starszym. Natychmiast przypadli sobie do gustu. Pod wpływem chwili Ramon zaprosił ją wtedy na kolację, a ona przyjęła zaproszenie. Przeżyła niezapomniane chwile, częściowo dlatego, że Ramon ugotował wyśmienitą paellę, a częściowo dlatego, że nigdy dotąd nie rozmawiała z nikim tak swobodnie, i to bynajmniej nie o sprawach służbowych. Zazdrościła im intymności i uczucia, jakim się darzyli.

David był mężczyzną jasnowłosym, wysokim i przystojnym; Ramon zauważył, jak Anna na niego patrzy.

–Wiem, o czym myślisz – szepnął, gdy David robił im drinka na drugim końcu pokoju. – Myślisz sobie: szkoda.

Anna parsknęła śmiechem.

–Owszem – przyznała. – To też.

–Wszystkie dziewczyny tak mówią – odrzekł z uśmiechem. – Ale wiesz co? Ja nie żałuję.

Kilka tygodni później zaprosiła Davida na lunch i wyjaśniła mu, dlaczego nie dostał awansu. Teoretycznie podlegał jej, ale ona podlegała Arlissowi Dupree.

–W porządku, teraz już wiesz. Co mam robić?

Denneen odpowiedział bardzo spokojnie, dużo spokojniej, niż oczekiwała.

–Nie chcę zamieszania, Anno. Chcę tylko pracować, nic więcej. – Spojrzał jej w oczy. – Szczerze? Chciałbym zmienić wydział. Interesuje mnie strategia, więc chętnie przeniósłbym się do operacyjno-strategicznego. Sam tego nie załatwię, za wysokie progi, ale tobie mogłoby się udać.

Anna pociągnęła za odpowiednie sznurki. Musiała to zrobić z pominięciem drogi służbowej i na pewno nie zaskarbiła sobie tym wdzięczności szefostwa ale wszystko skończyło się pomyślnie. Denneen nigdy jej tego nie zapomniał.

Opowiedziała mu o przygodzie z młodocianym włamywaczem i gdzieś między pyszną potrawką z kurczaka i butelką jedwabście delikatnej Rioji poczuła, że wyparowuje z niej całe napięcie. Wkrótce potem zażartowała, że napadł ją jeden z członków Backstreet Boys.

–Mógł cię zabić – odrzekł poważnie Denneen.

–Ale nie zabił, co dowodzi, że to nie o mnie mu chodziło.

–W takim razie o co?

Anna tylko pokręciła głową.

–Posłuchaj – powiedział David. – Wiem, że nie wolno ci o tym mówić, ale czy

możesz dać głowę, że nie miało to nic wspólnego z tym, co robisz dla Bartletta? Przez te wszystkie lata hasz stary Duch maczał palce w tylu dziwnych sprawach, Bóg jeden wie, w co cię wrobił.

–*El Diablo sabe mas por viejo que por diablo* - wymamrotał Ramon. Było to stare dominikańskie przysłowie: Diabeł wie więcej nie dlatego, że jest diabłem, tylko dlatego, że jest stary.

–Myślisz, że to zbieg okoliczności? – drążył David.

Anna spojrzała na swój kieliszek i bez słowa wzruszyła ramionami. Czyżby innych też interesowała śmierć ludzi, których nazwiska figurowały w aktach Sigmy? Nie była w stanie o tym myśleć, nie w tej chwili. Zresztą nie chciała.

–Zjedz jeszcze trochę *carnitas* - powiedział Ramon.

Gdy nazajutrz rano przyjechała na M Street, natychmiast wezwano ją do Bartletta.

–Czego dowiedziała się pani w Nowej Szkocji? – Tym razem Duch nie tracił czasu na towarzyskie pogaduszki.

Już przedtem postanowiła, że nie powie mu o wieczornym incydencie z włamywaczem; nie było żadnych podstaw, by przypuszczać, że przygoda ta miała coś wspólnego ze sprawą Mailhota, poza tym, nie wiedzieć czemu, bała się stracić jego zaufanie. Dlatego opowiedziała mu tylko o tym, co było jej zdaniem najważniejsze: o śladzie ukłucia na dłoni staruszka.

Bartlett powoli skinął głową.

–Jaka trucizna?

–Jeszcze nie mamy wyników badań toksykologicznych. To trwa, jak zawsze. Jeśli coś znajdą, natychmiast dadzą panu znać. Jeśli nie, będą ślęczyć nad tym aż do skutku.

–Tak czy inaczej uważa pani, że Mailhota otruto. – Powiedział to nerwowo, jakby nie był pewien, czy to złą wiadomość czy dobra.

–Tak. Poza tym jest jeszcze sprawa tych pieniędzy. Cztery miesiące temu dostał przelew na milion dolarowi

Bartlett zmarszczył brwi. – Od kogo?

–Nie wiadomo. Ślad prowadzi do jednego z kajmańskich banków i tam się urywa. Wyprali i wysłali.

Zapadła cisza. Bartlett słuchał. Był wyraźnie zaskoczony.

–Zebrałam jego wyciągi bankowe z ostatnich dziesięciu lat, i proszę. Regularnie jak w zegarku co roku przesyłano mu pieniądze - z każdym rokiem coraz więcej.

–Może to jakieś prowizje albo dywidendy?

–Jego żona twierdzi, że to wynagrodzenie od wdzięcznego pracodawcy.

–Od bardzo hojnego pracodawcy.

–Bardzo hojnego, bardzo bogatego i od dawna nieżyjącego. Mailhot był osobistym sekretarzem pewnego magnata prasowego. Sekretarzem, ochroniarzem, powiernikiem i człowiekiem od specjalnych poręczeń.

–Czym?

–Charlesa Highsmitha.

Anna uważnie obserwowała jego twarz. Bartlett krótko skinął głową: już o tym

wiedział.

–Pytanie tylko, dlaczego przesyłał mu pieniądze z Kajmanów – odrzekł. –

Dlaczego nie ze swojego konta.

Anna wzruszyła ramionami.

–Takich pytań jest więcej. Można by to sprawdzić, śledząc ich drogę.

Prowadziłam kilka spraw o pranie pieniędzy z narkotyków. Ale nie ręczyła bym za rezultaty.

–A jego żona?

–Ona nam nie pomoże. Niewykluczone, że coś ukrywa, ale moim zdaniem nic nie wiedziała o interesach męża. Twierdzi, że popadł w paranoję. Był jednym z tych, którzy uważali, że śmierć Highsmitha nie była przypadkowa.

–Doprawdy? – rzucił Bartlett z nutką ironii w głosie.

–Pan też tak uważa. Wiedział pan o jego powiązaniach z Mailhotem. Jego nazwisko też jest w aktach Sigmy?

–To bez znaczenia.

–Z całym szacunkiem, ale pozwoli pan, że ja to osądzę. Mam nieodparte wrażenie, że nie powiedziałam panu nic nowego. Bartlett kiwnął głową.

–Tak, Highsmith był członkiem Sigmy. Zarówno on, jak i jego wierny sługa.

Wygląda na to, że darzył Mailhota wielkim zaufaniem.

–Teraz też są nierozłączni – zauważyła ponuro Anna.

–Spisała się pani znakomicie – odrzekł. – Mam nadzieję, że pani o tym wie. I że się pani nie rozpakowała. Mamy tu coś... świeżego.

–Gdzie?

–W Paragwaju. W Asunción.

„Coś świeżego”. Słowa te – musiała to przyznać - zaintrygowały ją i zmroziły.

Jednocześnie czuła się coraz bardziej nieswojo: arbitralny sposób, w jaki Bartlett przekazywał jej informacje, frustrował ją i zbijał z tropu. Przyglądała się jego twarzy, wbrew sobie podziwiając jej całkowitą nieprzeniknioność. Co ten człowiek wiedział? Co przed nią ukrywał?

I dlaczego?

Rozdział 11

St. Gallen, Szwajcaria

Przez ostatnie dwa dni Ben podróżował. Z Nowego Jorku do Paryża. Z Paryża do Strasburga. Ze Strasburga zrobił krótki wypad samolotem do Mulhouse we Francji, miejscowości leżącej tuż przy granicy niemiecko-szwajcarskiej. Tam wynajął samochód, którym pojechał na lotnisko Bazylea-Mulhouse niedaleko Bazylei.

Ale zamiast polecieć stamtąd do Szwajcarii – co byłoby najbardziej logiczne – wyczarterował mały samolot do Liechtensteinu. Ani dyspozytor, ani pilot nie zadawali mu żadnych pytań. Liechtenstein to jedna z największych w świecie pralni brudnych pieniędzy – dlaczego zamożnie wyglądający i elegancko ubrany biznesmen próbował dostać się tam niezauważenie, w sposób tak nietypowy, omijając oficjalne przejścia graniczne? Łączył ich tajny, ale zrozumiały kod: o nic nie pytaj.

Do Liechtensteinu przyleciał o pierwszej nad ranem. Noc spędził w małym pensjonacie pod Vaduz, a rano wyruszył na poszukiwania pilota, który przewiozłby go przez szwajcarską granicę tak, żeby jego nazwisko nie znalazło się ani w deklaracjach celnych, ani na listach pasażerów.

Strój międzynarodowego biznesmena – dwurzędowy garnitur od Kitona, krawat od Hermesa, koszula od Charveta – jest w Liechtensteinie tym, czym dla żołnierza panterka w barwach ochronnych, niczym więcej. Tamtejsi mieszkańcy potrafią natychmiast odróżnić outsidera od swojaka, kogoś, kto posiada coś wartościowego, od kogoś kto nie ma nic, kogoś, kto do nich pasuje, od kogoś, kto się od nich różni. Najwyrazistszym symbolem panującej tam kastowości jest to, że obcokrajowcy, którzy chcą zostać obywatelami Liechtensteinu, muszą uzyskać zgodę zarówno parlamentu, jak i samego księcia.

Ben umiał sobie radzić w takich miejscach. Kiedyś uważał, że to moralnie nieuczciwe i niezatarte piętno przywileju paliło go niczym piętno Kaina. Teraz było jedynie taktyczną przewagą, którą musiał wykorzystać. Dwadzieścia kilometrów na południe od Vaduz znajdowało się małe lotnisko, gdzie czasem lądowały prywatne odrzutowce i śmigłowce ludzi biznesu. Odbył tam krótką rozmowę ze starszym, gburowatym członkiem załogi naziemnej, któremu przedstawił swoje żądania w sposób zakamuflowany, ale jednoznaczny. Milczkowaty mechanik otaksował go spojrzeniem, wyjął długopis i bez słowa naskrobał numer telefonu na marginesie rejestru przeglądów, z którym do niego podszedł. Ben podziękował mu za rekomendację sutym napiwkim, ale kiedy zadzwonił pod otrzymany numer, mocno wstawiony mężczyzna o bełkotliwym głosie powiedział mu, że ma dzisiaj inną robotę. On jest co prawda zajęty, ale jego kumpel Gaspar... Kolejny telefon. Było już po dwunastej, kiedy spotkał się wreszcie z Gasparem, zgryźliwym, szyderczo uśmiechniętym czterdziestokilkulatkiem, który zerknął na niego i bez chwili wahania zażądał za usługę horrendalnych pieniędzy. Zarabiał na życie, wwożąc do Szwajcarii biznesmenów w taki sposób, że fakt przekroczenia granicy nie pozostawiał żadnych śladów w komputerach. Bywało, że narkotyczni baronowie, afrykańscy potentaci czy bliskowschodni spekulanci musieli odwiedzić tam kilka banków i nie chcieli, żeby władze siedziały im na karku – najpewniej założył, że Ben jest jednym z nich. Pół

godziny później, dowiedziawszy się, że nad St. Gallen szaleje burza, chciał zrezygnować, ale kilka studolarowych banknotów więcej skutecznie mu to wyperswadowało.

Kiedy zawiśli nad szczytami Alp i lekkim, dwusilnikowym samolotem zaczęły miotać silne turbulencje, nieskory do rozmowy pilot stał się niemal wylewny.

–Tam, skąd pochodzę – rzucił – mają takie powiedzenie. *Es ist besser, reich zu leben, als reich zu sterben.* - Zachichotał. – Lepiej jest żyć bogato, niż bogato umrzeć...

–Leć pan – mruknął tępo Ben.

Zastanawiał się, czy nie przesadza, czy te wszystkie środki ostrożności, jakie przedsięwziął, nie są zbyt czyste, z drugiej jednak strony nie wiedział, jak daleko sięgają ręce morderców jego brata i tych, którzy nasłali na niego Jimmy'ego Cavanaugha. Nie zamierzał ułatwiać im życia.

W St. Gallen zabrał się ciężarówką rolnika, który dostarczał warzywa do okolicznych sklepów i restauracji. Rolnik był zdumiony wyglądem pasażera; Ben skłamał, że na kompletnym pustkowiu zepsuł mu się wóz. Potem wynajął samochód i pojechał do odległego Mettlenberga. Podczas lotu straszliwie rzucało, ale jazda do Mettlenberga była niewiele spokojniejsza. Przednią szybę samochodu zalewały strugi deszczu i nastawione na maksymalną prędkość wycieraczki nie nadążały zbierać wody. Nie zapadł jeszcze wieczór, mimo to było już tak ciemno, że widoczność spadła do zaledwie kilku metrów. Całe szczęście, że na wąskiej, wiejskiej drodze panował duży ruch i pojazdy sunęły dosłownie zderzak w zderzak.

Znalazł się w odległej, słabo zaludnionej północno-wschodniej części Szwajcarii, w kantonie St. Gallen, niedaleko Jeziora Bodeńskiego. Od czasu do czasu deszcz słabł, a wtedy z ciemności po obu stronach drogi wylaniały się rozległe farmy, pola uprawne i łąki, na których pasły się stada bydła i owiec. Stały tam również wielkie, prymitywne budynki, stodoły, szopy i domy mieszkalne, wszystkie przykryte grubą, dwuwarstwową strzechą. W zadaszonych drewnianych piętroszach sypiały się sępy ułożonego precyzyjnie drewna.

Targany zmiennymi emocjami – ogarniał go to lęk, to głęboki smutek, to gwałtowny gniew – powoli dojeżdżał do małego skupiska zabudowań. Mettlenberg. Ulewa przeszła w kapuśniaczkę i za szybą zamajaczyły ruiny silnie obwarowanego średniowiecznego miasta. Stary spichlerz, kościół pod wezwaniem Świętej Marii z początków szesnastego wieku, malownicze, dobrze zachowane kamienne domy o drewnianych, bogato zdobionych fasadach i czerwonych brogowych dachach – miasto było teraz co najwyżej wioską.

Peter mówił mu, że Liesl, jego kochanka, dostała tu pracę w szpitalu. Ben sprawdził to przed wyjazdem: w pobliżu był tylko jeden szpital: Regionalspital Sankt Gallen Nord.

Minąwszy coś w rodzaju „centrum”, zobaczył dość nowoczesny, wzniesiony tanim kosztem gmach z czerwonej cegły. Sądząc po charakterystycznym stylu architektonicznym, zbudowano go w latach sześćdziesiątych. Szpital. Poszukał stacji benzynowej, zaparkował i poszedł zadzwonić.

Słuchawkę podniosła telefonistka ze szpitalnej centrali.

–Muszę rozmawiać z pediatrą- powiedział powoli Ben. – Moje dziecko zachorowało. – Mówił po angielsku. Nie było sensu wysilać się na turystyczną niemczyznę, bo i tak nie zdołaliby ukryć amerykańskiego akcentu, poza tym telefonistka na pewno znała angielski.

Peter powiedział, że Liesl przyjęto z otwartymi ramionami, ponieważ „brakowało im pediatry”. Mogło to oznaczać, że nie mieli wtedy żadnego, choć niewykluczone, że do tej pory zdążyli zatrudnić nie tylko ją. Kilku pediatrów w tak małym szpitalu? Mało prawdopodobne.

–Połączę pana z... z... z Notfallstation, z oddziałem nagłych...

–Nie, nie – przerwał jej szybko Ben. – Muszę rozmawiać z pediatrą. Macie ich kilku?

–Tylko jednego, ale w tej chwili go nie ma. Tylko jednego! Ben odetchnął. Czyżby ją znalazł?

–Właśnie. To kobieta, nazywa się Liesl... Liesl.

–Nie, proszę pana. Żadna Liesl u nas nie pracuje. Naszym pediatrą jest doktor Margarethe Hubli, ale powtarzam, nie ma jej teraz w szpitalu. Połączę pana z...

–Niemożliwe, to jakaś pomyłka. Podano mi jej nazwisko, ale zapamiętałem tylko imię. A może ta Liesl pracowała u was i odeszła?

–Nie, proszę pana.

Co za pech.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Istniała szansa, że zna ją doktor Hubli, że wie, kim Liesl jest i dokąd wyjechała. Chryste, przecież nie było tu żadnego innego szpitala.

–Czy może mi pani podać numer telefonu doktor Hubli?

–Obawiam się, że nie, ale jeśli przywiezie pan dziecko do szpitala...

–A czy mogłaby pani wywołać ją przez pager?

–Tak, oczywiście.

–Dziękuję. – Podał jej numer automatu i fałszywe nazwisko.

Zadzwoiła pięć minut później.

–Pan Peters? – spytała po angielsku.

–Dziękuję, że zechciała pani zadzwonić. Jestem Amerykaninem. Zatrzymałem się u przyjaciół i próbuję skontaktować się z lekarką, która pracuje lub pracowała w waszym szpitalu. Może pani mi pomoże. Ta kobieta ma na imię Liesl.

Milczenie. Milczenie stanowczo za długie.

–Nie, nie znam żadnej Liesl.

Kłamała? Kryła ją? A może tylko tak mu się zdawało?

–Na pewno? – nie ustępował. – Powiedziano mi, że lekarka o tym imieniu u was pracuje, że jest pediatrą. To bardzo pilne, chodzi o sprawy rodzinne.

–O sprawy rodzinne?

Bingo! Doktor Hubli kłamała, chroniła Liesl.

–Tak, o jej... brata Petera.

–O jej... brata? – Lekarka była wyraźnie skonsternowana.

–Proszę jej powiedzieć, że mam na imię Ben.

Znowu milczenie, jeszcze dłuższe niż poprzednio. I wreszcie:

–Gdzie pan teraz jest?

Dwadzieścia minut później na stację benzynową wjechało małe, czerwone renault.

Wysiadła z niego drobna kobieta w obszernej, wojskowej pelerynie, w zabłoconych butach i ochlapanych błotem dżinsach. Wysiadła bardzo ostrożnie, niepewnie: zatrzasnęła drzwiczki samochodu, zauważyła Bena i ruszyła w jego stronę. Była naprawdę piękna, zupełnie inna, niż oczekiwał. Pod kapturem dostrzegł jej krótkie, lśniące brązem włosy, błyszczące jasnoniebieskie oczy i mlecznobiałą cerę. Lecz twarz miała ściągniętą i czujną, jakby się czegoś bała

–Dziękuję, że pani przyjechała – powiedział. – Liesl... Musi ją pani znać. Jestem bliźniaczym bratem jej męża.

Nie odrywała od niego oczu.

–Boże... – szepnęła. – Wyglądasz jak on. Jakbym zobaczyła ducha. – I wtedy napięcie zniknęło z jej twarzy. – Boże – wyszlochała – był taki ostrożny. Przez tyle lat...

Zbity z tropu Ben nie wiedział, co powiedzieć.

–Tamtej nocy nie wrócił do domu – ciągnęła szybko, jakby nagle wpadła w panikę. – Czekałam do rana, martwiłam się, bałam... – Ukryła twarz w dłoniach. – A potem przyjechał Dieter. Powiedział mi, co się stało i...

–Liesl – wykrztusił Ben. – To ty.

–Boże – zawodziła. – Był takim dobrym człowiekiem, tak bardzo go kochałam.

Objął ją, mocno przytulił i zapłakał wraz z nią.

Asunción, Paragwaj

Na kontroli celnej zatrzymał ją paragwajski urzędnik. Był w koszuli z krótkimi rękawami, w krawacie i miał mięsistą twarz. Po jego włosach i cerze poznała, że jak większość Paragwajczyków jest Metysem.

Obrzucił ją spojrzeniem i postukał w jej podręczną torbę. Gdy ją otworzyła, zajrzał do środka, silnie akcentowaną angielszczyzną zadał jej kilka pytań i wyraźnie rozczarowany, ruchem ręki przepuścił ją za barierkę.

Była dziwnie spłoszona, jak drobna złodziejka ćmiąca ukradkiem skręta z marihuaną. Według przepisów powinna była zgłosić swój przyjazd w ambasadzie, ale nie chciała tego robić ze względu na niebezpieczeństwo ewentualnego przecieku. Złamała regulamin, fakt, lecz w razie jakichś kłopotów mogła zająć się tym później.

W zatłoczonej sali przylotów znalazła budkę telefoniczną. Chwilę trwało, zanim zorientowała się, gdzie ma włożyć kartę i które wcisnąć guziki.

Wiadomość od Arlissa Dupree: pytał, kiedy Anna raczy wrócić do pracy.

Wiadomość od sierżanta Arsenaulta z Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej: mieli już wyniki badań toksykologicznych. Co wykazały? Tego nie powiedział.

Zadzwoiła do Ottawy i czekała chyba z pięć minut, zanim go znaleźli.

–To ty, Anno? Jak się masz?

Wyczuła to po jego głosie.

–Nici, co?

–Przykro mi. – Powiedział to tak, jakby wcale nie było mu przykro. – Niepotrzebnie straciłaś tyle czasu.

–Nie sądzę, żebym cokolwiek straciła – odparła, ukrywając rozczarowanie. – Najważniejszy jest ślad nakłucia. Myślisz, że mogłabym pogadać z waszym toksykologiem?

Ron lekko się zawahał.

–Oczywiście, ale to niczego nie zmieni.

–Wiem, ale lepiej się poczuję.

–Skoro tak, jasne, czemu nie. – Podał jej jego numer.

Ledwo go słyszała, bo w sali panował hałas i zamieszanie.

Nazywał się Denis Weese. Sądząc po jego głosie, piskliwym, chrapliwym, lecz dziwnie młodym, mógł mieć zarówno sześćdziesiąt, jak i dwadzieścia kilka lat.

–Przeprowadziliśmy wszystkie testy, których pani zażądała – zaczęła agresywnie. – I kilka testów ekstra.

Spróbowała go sobie wyobrazić i doszła do wniosku, że jest niski i łysy.

–Jestem panu bardzo wdzięczna.

–Są niezwykle kosztowne.

–Ale to my za nie płacimy. Chciałabym o coś pana spytać: czy istnieją toksyny, które przeniknąwszy z krwi do mózgu, już tam pozostają? – Arthur Hammond, jej guru od trucizn, sugerował, że to możliwe.

–Chyba tak.

–Które można znaleźć tylko w płynie mózgowo-rdzeniowym?

–Nie liczylibym na to, ale tak, to możliwe. – Przyznał jej rację bardzo niechętnie: teoria o toksynach mózgowych nie przypadła mu do gustu.

Odczekała chwilę, ale ponieważ Weese wciąż milczał, spytała go o rzecz najbardziej oczywistą:

–W takim razie można by zrobić nakłucie lędźwiowe, prawda?

–Nie.

–Dlaczego?

–Po pierwsze dlatego, że nie można zrobić nakłucia lędźwiowego komuś, kto nie żyje. Nie ma ciśnienia, płyn nie wypłynie. Po drugie, zabrano nam ciało.

–Był już pogrzeb? – Zagryzła dolną wargę. Niech to szlag.

–Uroczystości żałobne odbędą się dziś po południu. Zwłoki przewieziono do domu pogrzebowego. Pogrzeb jest jutro rano.

–Ale mógłby pan tam podjechać, prawda?

–Do domu pogrzebowego? Teoretycznie tak, tylko po co?

–Czy płyn oczny i mózgowo-rdzeniowy to nie jedno i to samo?

–Niby tak.

–Mógłby pan pobrać próbkę.

Chwila milczenia.

–Ale tego pani nie zamawiała.

–Właśnie zamówiłam.

Mettlenberg, St. Gallen, Szwajcaria

Powoli się uspokajała. Łzy, które spływając po policzkach, przemoczyły jej dzinsową koszulę, zaczęły przysychać.

Liesl. No jasne, że to Liesl. Jak mógł jej nie rozpoznać?

Siedzieli w jej renówce, ona za kierownicą, on w fotelu pasażera. Wziąwszy się w garść, powiedziała, że na asfaltowej wysepce stacji benzynowej za bardzo rzucaliby się w oczy. Benowi przypomniła się toyota Petera, ich nocna jazda.

Liesl patrzyła przed siebie. Wokoło panowała cisza, którą przerywał jedynie ryk z rzadka przejeżdżających samochodów i huczenie klaksonu rozpędzonych ciężarówek.

Wreszcie Liesl przemówiła.

–Powinieneś wyjechać. Tu jest niebezpiecznie.

–Byłem ostrożny.

–Jeśli cię ze mną zobaczą...

–Pomyślą, że jestem Peterem, twoim mężem...

–Ale gdyby wytropili mnie ci, którzy go zabili, którzy wiedzą, że on nie żyje...

–Gdyby cię wytropili, też byś już nie żyła.

Liesl zamilkła.

–Jak tu przyjechałeś? – spytała po chwili.

Opisał jej szczegółowo okreśną trasę, którą pokonał, podróż wyczarterowanymi samolotami i wynajętymi samochodami. Widział, że to ją uspokaja. Z aprobatą kiwała głową.

–To nieustanne oglądanie się przez ramię musiało wejść wam w krew – zakończył.

– Peter mówił, że to ty sfingowałaś jego śmierć. Bardzo błyskotliwy plan.

–Gdyby był taki błyskotliwy – odparła zjadliwie – Peter by jeszcze żył.

–Nie, to moja wina. Nie powinienem był przyjeżdżać do Szwajcarii. To ja ich sprowokowałem.

–Skąd mogłeś wiedzieć? Przecież myślałeś, że on nie żyje! – Spojrzała mu prosto w oczy.

Miała bladą, niemal przezroczystą skórę. W jej kasztanowych włosach grały złociste refleksy światła, a pod prostą białą bluzką rysowały się małe, kształtne piersi. Była bardzo szczupła i niezwykle piękna.

Nic dziwnego, że Peter gotów był zrezygnować ze wszystkiego i spędzić z nią resztę życia. Jemu też bardzo się podobała, lecz wiedział, że nigdy nie da jej tego do zrozumienia.

–Zmieniłaś nazwisko.

–Oczywiście. Pod starym nikt mnie tu nie zna. Zrobiłam to oficjalnie, sądownie. Margarethe Hubli. Tak nazywała się moja cioteczna babka. Znajomi wiedzieli o Peterze tylko tyle, że jest moim przyjacielem, kanadyjskim pisarzem, i że mu pomagam. Jego prawdziwego nazwiska też nie znali...

Mówiła coraz ciszej, wreszcie umilkła i ponownie spojrzała w okno.

–Utrzymywał kontakt tylko z tymi, którym całkowicie ufał. Nazywał ich „systemem wczesnego ostrzegania”. Kilka dni temu, kiedy zadzwonili do niego z wiadomością o tej masakrze na Bahnhofplatz... Natychmiast się wszystkiego domyślił. Błagałam go,

żeby zaczekał, żeby nic nie robił, ale nie, uparł się, mówił, że musi, że nie ma innego wyboru. – Pogardliwie wykrzywiła twarz, jej głos brzmiał teraz jak bolesne zawodzenie. Benowi ścisnęło się serce.

–Musiał cię chronić – ciągnęła. – Musiał skłonić cię do wyjazdu ze Szwajcarii. Musiał ratować ci życie, nawet kosztem swojego. Boże, ostrzegałam go, namawiałam, błagałam, żeby został...

Ben wziął ją za rękę.

–Tak mi przykro – szepnął. Cóż jeszcze mógł powiedzieć? Że nie potrafi opisać, jak bardzo nad tym boleje? Że wolałby zginąć za niego? Że kochał go dłużej niż ona?

–Nie mogę nawet odebrać ciała, prawda? – spytała cichutko.

–Nie. Ani ty, ani ja.

Głośno przełknęła ślinę.

–On bardzo cię kochał.

Ben drgnął. Zakłulo go serce.

–Często się biliśmy. W fizyce jest takie prawo: każda akcja wywołuje równie silną reakcję. Tak samo jest między braćmi.

–Wyglądacie identycznie. I jesteście identyczni.

–Niezupełnie.

–Tylko bliźniak mógłby tak powiedzieć.

–Nie znasz mnie. Mamy... Mieliśmy zupełnie inny charakter, inną osobowość.

–Może byliście jak dwa płatki śniegu. Niby identyczne, a jednak różne.

Ben posłał jej smutny uśmiech.

–Nie wiem, czy to dobre porównanie. Koszmarnie rozrabialiśmy...

Coś w niej pękło i rozszłochała się tak, że ścisnęło mu się gardło.

–Boże, dlaczego go zabili? Za co? Po co? Przecież on trzymałby język za zębami, nie był głupcem!

Ben cierpliwie czekał, aż Liesl się uspokoi.

–Mówił mi o tym dokumencie, o tej liście z nazwiskami dwudziestu trzech wysoko postawionych polityków i przemysłowców. „To najgrubsze ryby kapitalistycznego świata”, tak twierdził. Mówił, że ludzie ci założyli w Szwajcarii jakąś organizację, coś w rodzaju korporacji...

–Tak.

–Widziałaś ten dokument?

–Tak.

–Myślisz, że jest autentyczny?

–Moim zdaniem tak. Pieczęcie, czcionka, wszystko wygląda dokładnie tak jak na innych dokumentach z lat czterdziestych.

–Gdzie on teraz jest?

Liesl ścisnęła usta.

–Zanim wyjechaliśmy na stałe z Zurychu, Peter otworzył konto w banku. Ale chodziło mu głównie o sejf, o schowek. Chciał tam złożyć jakieś papiery. Nie wiem na pewno, ale myślę, że lista jest właśnie tam.

–Nie ukrył jej u ciebie, w twoim domku?

–Nie, w domku niczego nie ukrywał.

Odpowiedziała bardzo szybko, bez zastanowienia i Ben skrzętnie odnotował to w pamięci.

–Miał klucz? Do tego schowka.

–Nie.

–Jeśli otworzył konto na swoje nazwisko, ci, którzy za nim chodzili, na pewno się o tym dowiedzieli.

–Dlatego otworzył je na nazwisko pewnego... prawnika.

–Znasz go?

–Oczywiście. To mój kuzyn, doktor Matthias Deschner. Właściwie to mój krewny, na tyle daleki, że nikt go z nami nie skojarzy. To znaczy ze mną... Ale to porządny człowiek, pewny. Ma kancelarię w Zurychu, na St. Annagasse.

–Ufasz mu.

–Całkowicie. Powierzyliśmy mu swoje życie. Nigdy nas nie zdradził i nie zrobił tego.

–Jeśli ci ludzie, tak potężni i wpływowi, ludzie, którzy mają wprost nie wyobrażalne znajomości, tak bardzo chcą ten dokument odzyskać, musi to być coś, co jest dla nich niezmiernie ważne. – Przed oczami stanął mu nagle potworny obraz Petera, jego skurczonego ciała i buchającej krwi. Było mu tak duszno, że prawie nie mógł oddychać. Peter im przeszkadzał, więc go zabili.

–Pewnie boją się, że świat pozna ich nazwiska – odrzekła Liesl.

–Po tylu latach? Który z nich jeszcze żyje?

–Żyją następcy. Potężni ludzie mają równie potężnych następców.

–Ale nie wszyscy. Muszą mieć jakiś słaby punkt, dlatego... – Gwałtownie urwał. – Obłąd, po prostu obłąd. Kogo obchodziłoby stowarzyszenie czy korporacja założona pół wieku temu? To niedorzeczne!

Liesl roześmiała się gorzko i posępnie.

–Jak sam widzisz, kwestia logiczności czy braku logiki jest bardzo względna. Spójrz tylko na siebie. Żyjesz teraz jak dawniej, tym spokojnym, zorganizowanym i uporządkowanym życiem?

Jeszcze przed tygodniem dniami i nocami przesiadywał w wydziale eksploatacyjnym Funduszu Kapitałowego Hartmana, kadząc starym klientom, urabiając nowych, czarując ich i zniewalając. Większość tego, czym dotąd żył, okazała się tak wielkim łgarstwem, tak zagmatwanym oszustwem, że nie mógłby już wrócić do swego dotychczasowego świata. „Tobie przydzielili Cavanaugha, mnie kogoś innego” – tak twierdził Peter. Wyglądało na to, że ta korporacja, ta Sigma, czymkolwiek naprawdę jest, ma swoich ludzi dosłownie wszędzie. Czy to dlatego matka tak bardzo nalegała, żeby wrócił do domu po śmierci Petera? Czy wierzyła, że w firmie ojca będzie bezpieczniejszy, że uchroni go w ten sposób przed zewnętrznymi zagrożeniami, przed pogroźkami, przed prawdą, której nawet się wtedy nie domyślał?

–Czy Peter dowiedział się czegoś więcej? Odkrył, czym się ta Sigma teraz zajmuje?

Pobrzękując bransoletkami, nerwowo odgarnęła włosy.

–Konkretów jest bardzo mało, niemal same domysły. Naszym zdaniem, tak uważamy... to znaczy, uważaliśmy, że jest to stowarzyszenie prywatnych fortun, podejrzanych koncernów i syndykatów, które chcą zatrzeć wszelkie ślady swego pochodzenia. Zrzeszone w nim firmy są bezwzględne, bezlitosne, tak samo jak opłacani przez nie ludzie. Nie zwracają sobie głowy takimi drobnostkami jak moralność. Kiedy dowiedzieli się, że Peter ma dokument, który mógłby ujawnić ich powiązania z Sigmą- ich albo ich ojców – który mógłby wyjawić światu skomplikowane układy, w jakie weszli podczas wojny, bez wahania go zabili. Bez wahania zabiją również ciebie i mnie – każdego, kto im zagrozi, kto spróbuje ich powstrzymać. Każdego, kto pozna choćby część prawdy. Peter uważał też, że ludzie ci mają ambitniejsze cele. Że chcą zawładnąć całym światem...

–Przy mnie spekulował tylko, że chodzi o kilku starców, którzy próbują zabezpieczyć swoje wpływy i pieniądze.

–Gdyby zdążył, powiedziałby ci więcej.

–Opowiadał ci o naszym ojcu?

Liesl wykrzywiła usta.

–Mówił tylko, że to hipokryta i światowej klasy łgarz. Że nie był w Dachau. Że należał do SS. Poza tym – dodała ironicznie – bardzo go kochał.

Ben zastanawiał się przez chwilę, czy ta ironia nie skrywa przypadkiem prawdy.

–Posłuchaj – powiedział. – Muszę się z nim skontaktować. Z twoim kuzynem, z tym prawnikiem, z Denscherem...

–Matthiasem Denscherem. Ale po co?

–Przecież wiesz. Chcę zdobyć ten dokument.

–Pytałam, po co? – powtórzyła z goryczą. – Żeby i ciebie zabili?

–Nie, mam inne plany.

–Inne? W takim razie ja na pewno ich nie zrozumieję.

–Chcę się dowiedzieć, kto go zabił.

Myślał, że Liesl nie wytrzyma, że go zwymyśla, lecz ku jego zaskoczeniu odpowiedziała cicho i spokojnie:

–Chcesz pomścić jego śmierć.

–Tak.

Do oczu napłynęły jej łzy. Zaciśnęła i wykrzywiła usta, jakby próbowała powstrzymać kolejny wybuch płaczu.

–Tak – szepnęła. – Jeśli to zrobisz, jeśli będziesz ostrożny, równie ostrożny jak podczas podróży do Szwajcarii, będę szczęśliwa. Zdemaskuj ich. Niczego bardziej nie pragnę. Niech za to zapłacą. – Ścisnęła sobie nos. – Muszę wracać. Pożegnajmy się.

Zdawało się, że jest zupełnie spokojna, mimo to wyczuł, że walczy ze strachem. Była silną i niezwykłą kobietą. Była skałą, opoką. Zrobię to i dla siebie, i dla ciebie, pomyślał.

–Do widzenia, Liesl. – Pocałował ją w policzek.

–Do widzenia, Ben – odrzekła, gdy otworzył drzwi. Długo patrzyła na niego

bez słowa. – Tak, każ im za to zapłacić.

Rozdział 12

Asunción, Paragwaj

Taksówka, którą złapała na lotnisku, stary, rozklekotany garbus, nie była wcale tak urzekająca, jak początkowo myślała: nie miała tłumika. Minęli rząd majestatycznych hiszpańskich willi i po pewnym czasie wjechali do centrum miasta, do labiryntu wysadzanych drzewami ulic, pełnych ludzi i starodawnych żółtych tramwajów. Nie licząc Niemiec, nigdy w życiu nie widziała tylu mercedesów, z których większość – o czym dobrze wiedziała – pochodziła z kradzieży. Asunción wciąż żyło, tak jak w latach czterdziestych. Czas je ominął.

Hotel przy Colón, mały i zapuszczony. W przewodniku przyznano mu trzy gwiazdki – najwyraźniej ktoś przekupił autora. Recepcjonista zapałał do niej sympatią dopiero wtedy, gdy odezwała się płynnym hiszpańskim.

Pokój był wysoki, miał oblażące z farby ściany, a ponieważ okna wychodziły na ulicę, panował w nim nieopisany hałas. Przynajmniej miała własną łazienkę. Cóż, ten, kto nie chce rzucać się w oczy, nie może mieszkać jak bogaty gringo.

Wypiła *agua con gas* z „powitalnego barku”, to znaczy mikroskopijnej lodówki, która prawie wcale nie chłodziła, a potem zadzwoniła do Comisaria Centrico, komendy głównej policji.

Dzwoniła nieoficjalnie. Kapitan Luis Bolgorio, detektyw z wydziału zabójstw paragwajskiej *policia*, prosił kiedyś Amerykanów o pomoc w rozwiązaniu kilku spraw o morderstwo. Anna dostała jego numer – także nieoficjalnie – od przyjaciela z FBI. Bolgorio miał u nich dług i musiał go spłacić. Tyle. Na większą lojalność nie liczyła.

–Ma pani szczęście, panno Navarro – powiedział. – Senora Prosperi zgodziła się panią przyjąć, chociaż jest w żałobie.

–Cudownie. – Rozmawiali po hiszpańsku, w języku urzędowym; językiem codziennym był tu guarani. – Dziękuję za pomoc.

–To bardzo zamożna i wpływowa dama. Mam nadzieję, że okaże jej pani należny szacunek.

–Oczywiście. Czy zwłoki...

–Tym zajmuje się inny wydział, ale załatwię pani wizytę w policyjnej kostnicy.

–Znakomicie.

–Senora Prosperi mieszka przy Avenida Mariscal López. Weźmie pani taksówkę, czy przysłać po panią samochód?

–Przyjadę taksówką.

–Dobrze. Przywiozę dokumenty, o które pani prosiła. Kiedy się spotkamy?

Poprosiła recepcjonistę, żeby zamówił dla niej taksówkę i następną godzinę spędziła na lekturze akt ofiary. Ofiary? Marcel Prosperi był tak zatwardziałym i wstrętnym kryminalistą, że trudno było tak o nim myśleć.

Wiedziała, że oprócz dokumentów z koperty, którą dostała od Bartletta, żadnych innych pewnie już nie dostanie. Kapitan Bolgorio pomagał jej tylko dlatego, że technologiczne wsparcie, jakie otrzymywał z Krajowego Centrum do spraw Walki z Przemocą, znacząco wpływało na liczbę jego zawodowych sukcesów i poprawiało mu reputację. Stuprocentowe *qui pro quo*. Dzięki niemu zwłoki Marcela Prosperiego

wciąż leżały w kostnicy.

Bartlett twierdził, że Paragwaj uparcie odmawia wszelkich ekstradycji i że od wielu dziesięcioleci jest ulubionym azylem przestępców wojennych oraz międzynarodowych zbiegów wszelkiego rodzaju maści. Zadbał o to odrażający, do cna skorumpowany dyktator, „dożywotni prezydent”, generał Alfredo Stroessner. Żywiono nadzieję, że sytuacja polepszy się po jego upadku w 1989 roku, ale tak się nie stało. Jeśli chodzi o kwestię ekstradycji, Paragwaj pozostał nieugięty.

Dlatego kraj ten był idealnym miejscem schronienia dla podstarzałych kreatur w rodzaju Marcela Prosperiego. Korsykanin z urodzenia, podczas drugiej wojny światowej i przez wiele lat po jej zakończeniu dosłownie rządził Marsylią, kontrolując prostytucję, handel heroiną i bronią. Według dokumentów z Wydziału Dochodzeń Departamentalnych, zaraz po wojnie uciekł do Włoch, potem do Hiszpanii i w końcu do Paragwaju. Tutaj założył połu-dniowoamerykańską sieć dystrybucyjną, która rozprawiała heroinę z Marsylii. Był tak zwanym „francuskim łącznikiem” i razem z amerykańskim mafioso Santo Trafficante Juniorem, który przemycał ten narkotyk do Stanów, odpowiadał za to, że ulice amerykańskich miast bieleły się od francuskiego „śniegu”. Do jego współpracowników należeli najbardziej wpływowi paragwajscy politycy. Wszystko to oznaczało, że nawet po śmierci Marcel Prosperiego jest człowiekiem bardzo niebezpiecznym.

W Paragwaju zadbał o dobrą przykrywkę: był powszechnie szanowanym właścicielem sieci salonów samochodowych. Od kilku lat ciężko chorował i nie wstawał z łóżka. Przed dwoma dniami zmarł.

Ubierając się na spotkanie z wdową Prosperiego, Anna analizowała w myśli szczegóły sprawy jej męża i Roberta Mailhota. Bez względu na wynik rozmowy i na wyniki sekcji zwłok, dawała głowę, że Marcel Prosperiego też nie umarł śmiercią naturalną.

Rzecz w tym, że ten, kto tych ludzi mordował, był człowiekiem niezwykle pomysłowym, przebiegłym i dobrze ustosunkowanym.

Fakt, że nazwiska obu ofiar znajdowały się w aktach Sigmy, był na pewno niezmiernie istotny, tylko czego dowodził? Czy poza Bartлетtem do akt mieli dostęp inni: pracownicy Departamentu Sprawiedliwości, agenci CIA, ktoś z zagranicy? Czy to możliwe, że doszło do jakiegoś przecieku?

Miała pewną teorię, a właściwie jej załączek. Zabójcy – musiało być ich kilku – byli dobrze opłacani i mieli szeroki dostęp do tajnych informacji. Jeśli nie pracowali na własną rękę, musiał wynająć ich ktoś, kto miał pieniądze i władzę. Tylko po co? Czym się ten ktoś kierował? I dlaczego wkroczył do akcji właśnie teraz i tak nagle?

Wszystko kręciło się wokół tej nieszczęsnej listy: kto ją widział tak naprawdę? Bartlett wspominał o dochodzeniu w CIA. Zdecydował przekazać sprawę agentom WDD, co oznaczało, że wgląd do akt mieli urzędnicy państwowi. A prokurator generalny? On też widział listę?

Było jeszcze sporo innych pytań, które nasuwały się same.

Dlaczego zabijano ich właśnie w taki sposób, pozorując zgon z przyczyn naturalnych? Dlaczego tak bardzo zależało im na tym, żeby policja niczego się nie domyśliła?

Z zamyslenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Przyjechała taksówka.

Skończyła swój makijaż i zeszła na dół.

Srebrzysty mercedes – pewnie też kradziony – przebijał się przez zatłoczone ulice bez cienia szacunku dla świętości ludzkiego życia; przynajmniej tak to wyglądało.

Kierowca, przystojny trzydziestokilkulatek o krótko ostrzyżonych włosach, brązowych oczach i oliwkowej cerze ładnie kontrastującej z białą lnianą koszulą, od czasu do czasu zerkał do lusterka, próbując nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

Demonstracyjnie go ignorowała. Zainteresował się nią jakiś Latynos -tylko tego jej brakowało. Taksówka zatrzymała się na światłach, więc spojrzała w okno, na ulicznego sprzedawcę z naręczem fałszywych roleksów i cartierów, który podszedł bliżej, żeby pokazać jej towar. Pokręciła głową. Dołączyła do niego stara handlarka z koszykiem ziół i korzeni.

Od przyjazdu nie widziała ani jednego gringo. Cóż, należało tego oczekiwać. Asunción to nie Paryż. Z rury wydechowej jadącego przed nimi autobusu buchały kłęby czarnego, cuchnącego dymu. Głośno grała muzyka.

Ruch się zmniejszył, a wysadzone drzewami ulice stały się szersze. Wyglądało na to, że dotarli na przedmieścia. Miała w torebce plan miasta, ale nie chciała go wyjmować, zanim nie będzie to konieczne.

Kapitan Bolgorio wspomniał, że Prospero mieszkają przy Avenida Mariscal López, we wschodniej części miasta, tuż przy lotnisku. Jechała tamtędy do centrum, podziwiając piękne hiszpańskie wille.

Tymczasem ulice, które mijali, wyglądały zupełnie obco. Na pewno ich przedtem nie widziała.

Spojrzała na kierowcę.

–Dokąd jedziemy?

Nie odpowiedział.

–Hej, ty! – krzyknęła.

Kierowca skręcił w spokojną, opustoszałą uliczkę.

O Chryste.

Nie miała przy sobie broni. Pistolet został w biurze, leżał zamknięty w szufladzie. Karate i chwyt obronny na nic by jej się nie...

Kierowca odwrócił się i wycelował do niej z wielkiej, czarnej trzydziestki ósemki.

–Teraz porozmawiamy – powiedział. – Przylatujesz samolotem z Ameryki. Chcesz odwiedzić posiadłość senora Prosperiego. Rozumiesz już, dlaczego niektórzy z nas się tobą interesują?

Robiła wszystko, żeby zachować spokój. Jeśli miała zdobyć nad nim jakąkolwiek przewagę, musiała to być przewaga psychologiczna. Jedną miała już teraz: kierowca jej nie znał, nie wiedział, kim Anna jest. Czy aby na pewno?

–Jeśli jesteś dziwką z Agencji do spraw Zwalczania Handlu Narkotykami, mam przyjaciół, którzy chętnie się z tobą zabawią, zanim znikniesz ostatecznie i bez śladu. Nie będziesz pierwsza. Jeśli jesteś amerykańskim *politico*, mam innych przyjaciół, którzy chętnie z tobą porozmawiają.

Na jej spokojnej twarzy wyraz nudy mieszał się z wyrazem jawnej pogardy.

–Ciągłe gadasz o przyjaciółach – syknęła zjadliwie, mówiąc płynnym hiszpańskim.

– *El muertoal hoyo y le vivoal bollo.* – Martwi nie mają przyjaciół.

–Nie chcesz wybrać, jak chcesz umrzeć? To jedyny wybór, na jaki nas stać.

–Ty wybierzesz pierwszy. *El que mucho habla, mucho yerro.* Żal mi cię, bo spaprałeś sprawę. Nie wiesz, kim jestem, prawda?

–Jeśli jesteś mądra, to mi powiesz.

Pogardliwie wykrzywiła usta.

–Otóż nie, nie powiem. – Przeszyła go wzrokiem. – Pepito Salazar by tego nie chciał.

Kierowca zamarł.

–Pepito Salazar?

Anna wymieniła nazwisko jednego z najpotężniejszych eksporterów heroiny w tym regionie, nazwisko człowieka, którego wpływy i konszachty były większe i lepsze od wpływów i konszachtów tych, którzy władali kartelem Medellin.

Kierowca podejrzliwie zmrużył oczy.

–Łatwo jest rzucać nazwiskami ludzi, których się nie zna.

–Kiedy wrócę wieczorem do Palaquinto, nie omieszkam wymienić twojego – odparła wyzywająco Anna. Palaquinto to nazwa górskiej rezydencji Salazara, o której istnieniu wiedziała jedynie garstka wtajemniczonych. – Żałuję, że nas sobie oficjalnie nie przedstawiono.

Kierowcy zadrżał głos. Sprawić kłopot osobistej wysłanniczce Salazara? Mogli go za to zabić.

–Palaquinto... – wychrypiał. – Krążą różne opowieści. Ponoć są tam krany ze szczerego złota, fontanny z szampanem...

–Tryskają tylko podczas przyjęć, ale na twoim miejscu nie liczyłabym na zaproszenie. – Wsunęła rękę do torebki i wymacała klucz do hotelowego pokoju.

–Proszę mi wybaczyć – odrzekł błagalnie kierowca. – Ludzie, którzy mnie wysłali, nie wiedzieli, co czynią. Żaden z nas nie śmiałyby znieważać członka świty Salazara.

–Popelniacie błędy i Pepito o tym wie. – Zerknęła na pistolet zwisający mu w dłoni, uśmiechnęła się ciepło, jednym płynnym ruchem wyjęła z torebki klucz i wbiła mu go w nadgarstek. Ostra, wystrzępiona stal przecięła skórę, mięśnie i ścięgna, i trzydziestka ósemka wylądowała na jej kolanach. Kierowca zawył z bólu. Anna chwyciła broń i uderzyła go lufą w potylicę.

–*La mejor palabra es la que no se dice* - wysyczała przez zaciśnięte zęby. – Najlepszym słowem jest to, którego nie wypowiedziano.

Kazała mu wysiąść, wejść w rosnące piętnaście metrów dalej krzaki, przesiadła się za kierownicę i szybko odjechała. Nie miała czasu, żeby odtworzyć w myśli to przerażające spotkanie, nie chciała też, żeby jej ciałem i umysłem zawładnęła panika. Czekają ją dużo pracy.

Dom Prosperich stał daleko od ulicy. Była to olbrzymia willa w hiszpańskim stylu kolonialnym, usytuowana na ekstrawagancko ukształtowanym terenie; przypominała jej hiszpańskie wille w rodzinnej Kalifornii. Zamiast zwykłego trawnika, za ogrodzeniem z kutego żelaza ciągnęły się zielone tarasy, na których rosły rzędy

kaktusów i kępy pięknych polnych kwiatów.

Zaparkowała w pewnej odległości od domu i ruszyła w stronę głównego wejścia, przed którym czekała taksówka z włączonym silnikiem. Wsiadł z niej niski, brzuchaty mężczyzna. Miał ciemną skórę Metysa, opadające czarne wąsy *a la bandito* i zaczesane do góry czarne włosy, błyszczące od nadmiaru brylantyny czy innego mazidła. Twarz lśniła mu od tłustej oliwki albo od potu, lecz była to twarz człowieka szczęśliwego i zadowolonego z siebie. Jego biała koszula z krótkimi rękawami prześwitywała w przepoconych miejscach, odsłaniając skłębione na piersi włosy.

Kapitan Bolgorio?

A gdzie radiowóz? – pomyślała, patrząc za odjeżdżającą taksówką.

Podszedł do niej z promiennym uśmiechem i ujął jej rękę swymi wielkimi dłońmi.

–Pani Navarro. Poznać tak piękną kobietę to prawdziwa przyjemność.

–Dziękuję, że zechciał pan przyjechać.

–Chodźmy. Señora Prosperi nie lubi czekać. To bardzo zamożna i wpływowa dama. Przywykła do tego, że wszyscy robią to, co chce.

Wcisnął guzik domofonu i przedstawił się. Zabrzęczał elektryczny zamek i Bolgorio pchnął bramę.

Nad kępą polnych kwiatów pochylał się ogrodnik. Ścieżką między kaktusami szła podstarzała służąca z tacą, na której stały puste szklanki i otwarte butelki *agua con gas*.

–Czy po rozmowie będziemy mogli pojechać do kostnicy? – spytała Anna.

–Już mówiłem, kostnica to nie moja działka. Wspaniały dom, prawda? – Łukowate przejście, cień – kapitan wcisnął guzik dzwonka na futrynie bogato zdobionych drzwi z jasnego drewna.

–Ale może pan to załatwić?

Drzwi się otworzyły, Bolgorio wrzucił ramionami; Młoda służąca w białej bluzce i białej spódnicy zaprosiła ich do środka.

Podłoga w holu była wyłożona terakotą, dlatego panował tam jeszcze milszy chłód. Służąca wprowadziła ich do wielkiego pokoju, ozdobionego zgrzebnymi, grubo tkanymi dywanami, glinianymi lampami i wyrobami garncarskimi. Jedynym elementem, który nie pasował do wystroju wnętrza, były wpuszczone w stiukowy sufit żarówki.

Usiedli na długiej, niskiej sofie. Służąca zaproponowała im kawę i wodę sodową, ale podziękowali. Siedzieli i czekali.

Wreszcie przyszła, wysoka, szczupła i wiotka: wdowa Prosperi. Wyglądała na siedemdziesiąt lat, ale była bardzo zadbana. Ubrana całkowicie na czarno – suknia od Soni Rykiel, pomyślała Anna – miała na głowie czarny turban, a na nosie wielkie, ciemne okulary *a la Jackie Onassis*.

Anna i Bolgorio wstali.

Wdowa Prosperi nie raczyła podać im ręki.

–Nie bardzo rozumiem, jak mogę państwu pomóc – powiedziała po hiszpańsku.

Kapitan zrobił krok do przodu.

–Pozwoli pani, że się przedstawię. Kapitan Bolgorio z *policia*. – Pochylił głowę. – A to jest agentka specjalna Anna Navarro z amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości.

–Consuela Prosperi – odrzekła niecierpliwie wdowa.

–Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci męża.

Zadamy pani kilka pytań i już nas nie ma.

–Czy coś się stało? Mąż długo chorował. Jestem pewna, że śmierć przyniosła mu wielką ulgę.

Nie wspominając już o tobie, pomyślała Anna.

–Istnieją przesłanki wskazujące na to, że pani mąż został zamordowany. Jej słowa nie zrobiły na wdowie większego wrażenia.

–Proszę, niech państwo spoczną.

Sama usiadła w białym fotelu naprzeciwko sofy. Miała nienaturalnie napiętą skórę, jakby przeszła zbyt wiele operacji plastycznych, i jaskrawo-pomarańczowy makijaż. Jej wargi błyszczały od brązowej szminki.

–Przez ostatnie lata życia Marcel chorował. Nie wstawał z łóżka. Był bardzo słabego zdrowia.

–Rozumiem – odrzekła Anna. – Czy miał wrogów?

Wdowa obrzuciła ją wyniosłym spojrzeniem.

–Dlaczego miałby mieć wrogów?

–Senora Prosperi, my wiemy, czym zajmował się w przeszłości.

Wdowa gniewnie błysnęła oczami.

–Jestem jego trzecią żoną. I nie rozmawialiśmy o interesach. Mam zupełnie inne zainteresowania.

Nie mogła nie znać reputacji męża i Anna dobrze o tym wiedziała. Poza tym nic nie wskazywało na to, że boleje nad jego śmiercią.

–Czy ktoś go regularnie odwiedzał? Senora Prosperi lekko się zawahała.

–Nie za czasów naszego małżeństwa.

–Nie wszedł w żaden konflikt ze swymi „partnerami handlowymi”?

Wdowa ściągnęła wąskie usta, demonstrując rząd głębokich, pionowych zmarszczek.

–Agentka Navarro nie chciała pani urazić – wtrącił pospiesznie Bolgorio. – Chodzi jej tylko...

–Doskonale wiem, o co jej chodzi – warknęła Consuela Prosperi.

Anna wzruszyła ramionami.

–Przez tyle lat musiał mieć do czynienia z wieloma ludźmi, którzy chcieli go zatrzymać, aresztować, a nawet zabić. Z rywalami. Z przeciwnikami, którzy walczyli z nim o wpływy na tym czy innym obszarze. Z niezadowolonymi partnerami. Wie pani o tym równie dobrze jak ja.

Wdowa milczała. Skorupa pomarańczowego makijażu na jej pomarszczonej od słońca twarzy zaczynała powoli pękać.

–Są też ludzie – kontynuowała Anna – którzy tworzą coś w rodzaju systemu wczesnego ostrzegania. Agenci. Ochroniarze. Czy nikt nie ostrzegął go przed jakimiś

zagrożeniami?

Consuela Prosperi odwróciła głowę.

–Byliśmy małżeństwem przez dziewiętnaście lat i przez ten czas nigdy o czymś takim nie słyszałam.

–Czy kiedykolwiek zwierzał się pani ze swoich obaw? Może wspominał, że ktoś go prześladowuje?

–Mąż był odludkiem. Miał sieć salonów samochodowych, ale zarządzał nią za pośrednictwem pracowników. Nie lubił wychodzić z domu. W przeciwieństwie do mnie.

–Tak, ale czy mówił, że się boi wychodzić?

–On nie lubił wychodzić – powtórzyła z naciskiem wdowa. – Wolał siedzieć w domu i czytać książki, te wszystkie biografie i historie.

Nie wiedzieć czemu Annie przypomniały się ciche słowa Ramona. „*El diablo sabe mas por viejo que por diablo*. Diabeł wie więcej nie dlatego, że jest diabłem, tylko dlatego, że jest stary”.

Spróbowała innej taktyki.

–Państwa dom jest świetnie zabezpieczony.

Wdowa szyderczo wykrzywiła usta.

–Nie zna pani Asunción, prawda?

–Tu panuje wielkie ubóstwo, panno Navarro – wyjaśnił kapitan Bolgorio, bezradnie rozkładając ręce. – Wielkie ubóstwo i wielka przestępczość. Ludzie tacy jak państwo Prosperi muszą dbać o swoje bezpieczeństwo.

–Czy w ostatnich tygodniach życia ktoś męża odwiedzał? – spytała Anna, nie zwracając na niego uwagi.

–Nie. Moi przyjaciele odwiedzali nas bardzo często, ale żaden z nich nie wchodził na górę. Mąż nie miał przyjaciół. Widywał tylko mnie i pielęgniarki. Anna poderwała wzrok.

–Skąd je państwo brali?

–Z agencji.

–Zmieniały się, czy stale przychodziły te same?

–Była pielęgniarka dzienna i nocna. Zawsze przychodziły te same. Bardzo dobrze się nim opiekowały.

Anna zagryzła wargę.

–Będę musiała przejrzeć niektóre dokumenty i wyciągi bankowe.

Oburzona wdowa spojrzała na kapitana.

–Nie muszę się na to godzić. To jakiś absurd, to jawne naruszenie mojej prywatności.

Bolgorio złożył ręce jak do modlitwy.

–Proszę, senora Prosperi. Agentka Navarro chce tylko ustalić, czy doszło tu do zabójstwa.

–Do zabójstwa? Przecież serce mu nie wytrzymało.

–Możemy pójść z tym do banku – dodała Anna – ale prościej by było...

Consuela Prosperi gwałtownie wstała i spojrzała na nią z rozszerzonymi

nozdrzami jak na gryzonia, który wtargnął do jej domu.

–Tacy jak ona – szepnął Bolgorio – nie lubią, kiedy ktoś wtrąca się w ich osobiste sprawy.

–Senora Prosperi – parła naprzód Anna. – Zatrudniali państwo dwie pielęgniarki, prawda? Czy były solidne?

–Bardzo.

–Nigdy nie chorowały, nie brały wolnego?

–Czasem tak, naturalnie. W święto prosiły o wolny wieczór. *Año Nuevo, Dia de los Trabajadores, Carnaval*, i tak dalej. Ale były bardzo odpowiedzialne, a kiedy się zwalniały, agencja zawsze przysyłała kogoś na zastępstwo, tak że nigdy nie musiałam się o to martwić. Wszystkie były świetnie wyszkolone. Ta, która czuwała przy mężu ostatniej nocy, robiła wszystko, żeby go uratować.

Na zastępstwo? Anna usiadła prosto i zeszywniała.

–Ta, przy której umarł, przyszła tu na zastępstwo?

–Tak, ale ona też była świetnie.

–Znała ją pani?

–Nie.

–Może mi pani podać numer tej agencji?

–Oczywiście, ale jeśli sugeruje pani, że ta dziewczyna zabiła mojego męża... To niedorzeczne. Marcel był chory.

Anna czuła, że ma przyspieszony puls. Spojrzała na kapitana.

–Może pan tam zadzwonić? I chciałabym pojechać teraz do kostnicy. Mógłby pan ich uprzedzić, żeby zdążyli przygotować ciało?

–Ciało? – Zaniepokojona Consuela Prosperi wstała szybko.

–Bardzo panią przepraszamy, ale musimy opóźnić pogrzeb – powiedziała Anna. – Chcielibyśmy również, żeby wyraziła pani zgodę na przeprowadzenie sekcji zwłok. Możemy zdobyć nakaz sądowy, ale prościej by było, gdyby się pani zgodziła. Jeśli zamierza pani wystawić zwłoki w otwartej trumnie, gwarantuję, że nikt nie pozna...

–O czym pani mówi? – Consuela Prosperi była szczerze zdumiona. Podeszła do wielkiego kominka i zdjęła z niego bogato zdobioną srebrną urnę. – Kilka godzin temu przywieziono mi jego prochy.

Rozdział 13

Waszyngton

Miriam Bateman, sędzina Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, wstała na powitanie swego gościa, chociaż kosztowało ją to bardzo dużo wysiłku. Z jeszcze większym trudem wyszła zza wielkiego, mahoniowego biurka i podpierając się laską o złotej rączce, z ciepłym uśmiechem uściśnęła mu rękę. Miała artretyzm i dręczył ją nieustanny ból.

–Miło cię widzieć, Ron.

Gość, wysoki Murzyn w wieku pięćdziesięciu ośmiu, sześćdziesięciu lat, delikatnie pocałował ją w policzek.

–Wyglądasz cudownie, jak zwykle – powiedział czystym, głębokim barytonem, starannie wymawiając głoski.

–Nie pleć. – Sędzina dokuśtykała do wysokiego fotela przy kominku, a on usiadł w fotelu obok.

Ronald Evers, jeden z najbardziej wpływowych mieszkańców Waszyngtonu, był powszechnie szanowanym, niezwykle ustosunkowanym prawnikiem. Nigdy nie pracował dla rządu, mimo to od czasów administracji Lyndona John-sona był powiernikiem niemal wszystkich prezydentów Ameryki, zarówno demokratów jak i republikanów. Słynął także z wytwornych ubiorów: tego dnia miał na sobie czarny garnitur w jodełkę i stonowany, ciemnobrązowy krawat.

–Pani sędzino, dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć. Przychodzę prawie bez uprzedzenia, ale...

–Na miłość boską, Ron, przecież mówimy sobie po imieniu. Jak długo się znamy?

–Chyba... trzydzieści pięć lat – odrzekł z uśmiechem Evers. – Dziesięć mniej, może dziesięć więcej. Pani profesor Stamberg... Wciąż ciśnie misie to na usta.

Kiedy wykładała na wydziale prawa w Yale, Evers był jej najlepszym studentem, a piętnaście lat później znacząco wpłynął na jej nominację na sędzinę Sądu Najwyższego. Nachylił się ku niej i rzekł:

–Jesteś bardzo zajęta – wiem, że trwa sesja – dlatego pozwól, że od razu przejdę do rzeczy. Prezydent prosił mnie, żebym wysondował cię w związku z czymś, co wymaga dogłębnego przemyślenia i co nie może wyjść poza ściany tego gabinetu. Dobrze mnie zrozum, to tylko rozmowa wstępna, zupełnie niezobowiązująca.

Sędzina poprawiła grube okulary i przeszyła go spojrzeniem niebieskich, inteligentnych oczu.

–Chce, żebym ustąpiła – rzuciła posępnie.

Ta bezpośredniość zbiła Eversa z tropu.

–Prezydent żywi dla ciebie olbrzymi szacunek. Bardzo docenia twoje wyczucie i celność twoich osądów, dlatego pragnie, żebyś wybrała swego następcę. Do końca kadencji pozostał mu tylko rok i nie chce, żeby w Sądzie Najwyższym zasiadł ktoś z innej partii, a uwzględniając obecną sytuację, jest to całkiem prawdopodobne.

–Dlaczego prezydent uważa, że w naszym składzie będzie wkrótce wakat? – spytała spokojnie sędzina Bateman.

Ronald Evers pochylił głowę i zamknął oczy. Wyglądało to tak, jakby pograżył się

w modlitwie albo w głębokim zamyśleniu.

–To jest bardzo delikatna sprawa – odrzekł łagodnie niczym ksiądz w konfesjonale – ale zawsze byliśmy wobec siebie bezwzględnie szczerzy. Jesteś najlepszą sędzią Sądu Najwyższego w historii tego kraju i nie mam najmniejszych nawet wątpliwości, że twoje nazwisko będzie wymawiane jednym tchem wraz z nazwiskiem Brandeisa czy Frankfurtera. Ale wiem

też, że chcesz zachować swoją spuściznę, dlatego musisz zadać sobie bardzo trudne pytanie: ile zostało ci lat? – Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. – I Brandeis, i Cardozo, i Holmes nadużyli gościnności sądu. Trwali na swoim stanowisku za długo, ponad stosowną miarę, choć nie byli już w pełni sił.

Sędzina nawet nie mrugnęła okiem.

–Napijesz się kawy? – spytała nieoczekiwanie. I konspiracyjnym szeptem dodała: – Mam też *Sachertorte* z wiedeńskiego Demela. Lekarze mówią, że mi nie wolno.

Evers poklepał się po płaskim brzuchu.

–Dzięki, ale dbam o linię.

–Dobrze, Ron, szczerść za szczerść. Znam reputację niemal wszystkich sędziów okręgowych i objazdowych w tym kraju. Nie mam też wątpliwości, że prezydent znajdzie kandydata wykwalifikowanego i niezwykle inteligentnego, wybitnego znawcę prawa. Ale pozwól, że podzielę się z tobą pewnym spostrzeżeniem. Żeby dobrze poznać Sąd Najwyższy, trzeba tu spędzić wiele, wiele lat. Nie można tak po prostu przyjść i powiedzieć, że oto nastąpiła era moich rządów. Tu panuje zasada starszeństwa, zasada stażu pracy, a tego nie da się niczym zastąpić. Nauczyłam się tutaj wielu rzeczy, ale przede wszystkim odkryłam, że największą władzę daje... cierpliwość. Cierpliwość rodzi prawdziwą wiedzę.

Jej gość był na ten argument przygotowany.

–Miriam, w Sądzie Najwyższym nie ma człowieka mądrzejszego od ciebie. Rzecz w tym, że nie dopisuje ci zdrowie, nie młodniejesz. – Uśmiechnął się smutno. – Nikomu z nas nie ubywa lat. To straszne. Wybacz, że tak mówię, ale nie ma na to sposobu.

–Jeszcze nie zamierzam umierać – odparła z błyskiem w oku sędzina. Nagle zadzwonił telefon stojący przy jej fotelu. Oboje drgnęli. Miriam Bateman podniosła słuchawkę.

–Tak?

–Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała jej wieloletnia sekretarka Pamela – ale dzwoni pan Holland. Prosiła mnie pani, żebym natychmiast łączyła.

–Dobrze, odbiorę w prywatnym gabinecie. – Odłożyła słuchawkę i z trudem wstała. – Ron, muszę cię na chwilę przeprosić.

–Mogę poczekać na korytarzu. – Evers podtrzymał ją za łokieć.

–Nie bądź niemądry. Zostań. A jeśli zmienisz zdanie co do tortu, zajrzyj do Pameli. Zamknęła drzwi i powoli dotarła do swojego ulubionego fotela.

–Pan Holland?

–Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, ale wynikł pewien problem i pomyślałem, że mogłaby nam pani pomóc...

Sędzina słuchała go przez chwilę i odrzekła:

–Dobrze, mogę zadzwonić.

–Oczywiście tylko pod warunkiem, że nie sprawi to pani zbyt wielkiego kłopotu.

Nie ośmieliłbym się zabierać pani czasu, gdyby sprawa nie była tak ważna.

–To żaden kłopot. Nikt z nas tego nie chce. A już na pewno nie teraz.

Słuchała jeszcze przez chwilę i odparła:

–Wszyscy wierzymy, że postąpicie właściwie. – Zrobiła krótką pauzę: – Do zobaczenia wkrótce. – I odłożyła słuchawkę.

Zurych

Nadbrzeżem Limmatu hulał lodowaty wiatr. Limmat przepływa przez sam środek Zurychu, następnie wpada do Jeziora Zuryskiego, przecinając miasto na dwie wyraźne połowy: w jednej mieści się wielkie centrum finansowe i mnóstwo luksusowych sklepów, w drugiej Altstadt, malownicze Stare Miasto. Rzeka skrzyła się w promieniach łagodnego porannego słońca. Nie było jeszcze szóstej, mimo to ludzie szli już do pracy, uzbrojeni w teczki i parasole. Na niebie wisiały niskie, ciemne chmury, choć nie zanosiło się na rychły deszcz. Ale mieszkańcy Zurychu wiedzieli lepiej.

Spięty Ben szedł promenadą, mijając po drodze trzynastowieczne Zunfthausen, stare gildie kupieckie z oknami oszklonymi ołowiowym szkłem, mieściły się tu teraz eleganckie restauracje. Przy Marktgasse skręcił w lewo, w labirynt wąskich, brukowanych zaułków Starego Miasta. Kilka minut później znalazł Trittligasse, ulicę zabudowaną średniowiecznymi kamiennymi domami, z których część przerobiono na domy mieszkalne.

Numer 73: dawny ratusz. Kamienna fasada, drzwi, przy drzwiach mała, mosiężna tabliczka, na tabliczce tylko sześć nazwisk, wypisanych białymi literami w prostokątnych ramkach z czarnego plastiku.

Było wśród nich nazwisko kuzyna Liesl: M. Deschner.

Nie zwalniając kroku, poszedł dalej, obojętnie i bez zainteresowania. Może uległ bezpodstawnej paranoi, ale jeśli wciąż szukali go ci z Sigmy, nie chciał narażać na niebezpieczeństwo Deschnera, stając nagle przed jego drzwiami. Widok obcego mógł wywołać ciekawość. Chociaż było mało prawdopodobne, żeby napotkał tu szpiclów korporacji, musiał zachować podstawowe środki ostrożności.

Godzinę później do drzwi domu przy Trittligasse siedemdziesiąt trzy zadzwonił goniec w charakterystycznym uniformie Blumchengallerie. Blumchengallerie to sieć najdroższych zuryskich kwiaciarni, dlatego tu, na Starym Mieście, w dzielnicy bardzo zamożnej, kolorowo ubranych gońców widywano dość często. Ten trzymał w ręku duży bukiet białych róż. Róże pochodziły z Blumchengallerie, uniform z bazaru dobroczynnego jednej z katolickich parafii na drugim końcu miasta.

Goniec zadzwonił ponownie.

–Tak? – zaskrzeczało z głośnika.

–Peter Hartman.

Zapadło długie milczenie.

–Słucham?

–Peter Hartman.

Tym razem milczenie trwało jeszcze dłużej niż przedtem.

–Wejdz, Peter. Drugie piętro.

Zabrzącał zamek, Ben pchnął drzwi i wszedł do ciemnego holu. Zostawiwszy kwiaty na marmurowym stoliku przy ścianie, wszedł na mocno sfatygowane strome schody, ginące na górze w półmroku.

Liesl dała mu i adres domowy prawnika, i adres kancelarii, i numery telefonu. Jednakże zamiast iść do kancelarii, Ben postanowił złożyć mu niezapowiedzianą wizytę w domu; przyszedł na tyle wcześnie, żeby go jeszcze zastać. Wiedział, że Szwajcarzy są niezwykle punktualni i że zaczynają pracę między dziewiątą i dziesiątą rano. Deschner na pewno też.

Liesl mu ufała -jak mówiła, „całkowicie” – lecz Ben nie ufał już nikomu. Dlatego nie chciał, żeby uprzedziła go telefonicznie. Wolał zaskoczyć Deschnera, ocenić jego szczerą, niewycwiczoną reakcję na widok człowieka, którego miał za Petera Hartmana. I przy okazji sprawdzić, czy wie już

o śmierci Petera.

Otworzyły się drzwi. Matthias Deschner stał przed nim w zielonym szlafroku w kratę. Był niski, miał bladą, chropowatą twarz, rude, kędzierzawe na skroniach włosy i nosił grube okulary w drucianej oprawce. Pięćdziesiąt lat, pomyślał Ben.

Deschner wytrzeszczył oczy.

–Jezus Maria! – wykrzyknął. – Co ty na sobie masz? Nie stój tam, wchodź, wchodź. – Zamknął za nim drzwi. – Napijesz się kawy?

–Tak, chętnie.

–Co ty tu robisz? – spytał szeptem Deschner. – Czy Liesl...

–Nie jestem Peterem. Jestem jego bratem. Mam na imię Ben.

–Jesteś... kim?! – Deschnerowi zabrakło tchu. – Jego bratem? O mój Boże... – Obrócił się na pięcie i spojrzał na Bena z nagłym lękiem w oczach.

–Znaleźli go?

–Peter nie żyje. Zabili go kilka dni temu.

–Chryste, o Chryste... Znaleźli go! Zawsze się tego bał... – Umilkł i spojrzał na niego z przerażoną twarzą. – Czy Liesl...-.

–Liesl jest cała i zdrowa.

–Dzięki Bogu. – Podniósł głowę. – Co ja plotę...

–Nie szkodzi, rozumiem. To pańska krewna.

Deschner podszedł do małego stołu i nalał mu kawy.

–Jak to się stało? – rzucił posępnie. – Na miłość boską, jak to się stało?

–Tak, na pewno – powiedział. – Wszystko musiało zacząć się w tym banku. – Siedzieli przy stoliku, naprzeciwko siebie. Ben zdjął uniform gońca i był już w swoim codziennym ubraniu. – Szwajcarski Union Bank to fuzja kilku mniejszych banków. Może był tam jakiś stary, drażliwy, ważny dla nich rachunek, który nieustannie obserwowali. Może kogoś pan tam spotkał. Jakiegoś sekretarza, urzędnika. Wtyczkę z listą ludzi, których miał mieć na oku.

–I meldować o nich tym z korporacji, o której mówili Liesl i Peter?

–Tak, to możliwe. Wszystkie wielkie firmy od dawna utrzymują przyjazne i

wzajemnie korzystne stosunki z ważnymi szwajcarskimi bankami. Lista założycieli podsunęłaby nam nazwiska podejrzanych.

–Czy Peter ją panu pokazywał?

–Nie. Początkowo nie powiedział mi nawet, po co chce założyć konto. Wiedziałem tylko, że konto jako takie jest najmniej istotne, że chodzi mu głównie o skrytkę, o sejf. Chciał tam przechować jakieś dokumenty, tak mówił. Mogę zapalić?

–To pański dom.

–Tak, ale wy, Amerykanie, traktujecie palaczy jak – przepraszam za określenie – jak faszyci.

Ben uśmiechnął się smutno.

–Nie wszyscy.

Deschner sięgnął po paczkę rothmansów i pstryknął tanią, plastikową zapalniczką.

–Peter nie chciał otwierać konta na swoje nazwisko. Bał się – okazuje się, że słusznie – że jego wrogowie mają w banku informatorów. Chciał je otworzyć pod fałszywym nazwiskiem, ale dzisiaj to już niemożliwe. Zaostrzono środki ostrożności. Nalegała na to zagranica, głównie Ameryka. Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych można było otworzyć konto bez okazywania paszportu, a nawet listownie. Teraz już nie.

–Więc założył je na swoje nazwisko?

–Nie, na moje. Ja jestem właścicielem konta, a Peter jego „użytkownikiem”. – Deschner wypuścił kłęb dymu. – Żeby dopełnić formalności, musieliśmy pójść tam razem, ale jego nazwisko figuruje tylko na jednym formularzu, do którego wgląd ma wyłącznie doradca finansowy prowadzący konto. Potwierdzenie tożsamości użytkownika, tak to się nazywa. Formularz przechowuje się w aktach. – W sąsiednim pokoju zadzwonił telefon.

–Który to bank?

–Wybrałem Handelsbank Schweiz AG, ponieważ jest mały i dyskretny. Mam klientów, którzy robią tam interesy i są bardzo zadowoleni. Klientów, których pieniądze nie są, że tak powiem, czyste.

–Czy to znaczy, że może pan zajrzeć do jego skrytki?

–Obawiam się, że nie. Będzie pan musiał pójść ze mną. Jako beneficjent, którego nazwisko figuruje w formularzu, i spadkobierca użytkownika.

–Jeśli to możliwe, chciałbym pójść tam od razu. – Benowi przypomniało się lodowate ostrzeżenie Schmida: niech pan tu lepiej nie wraca. Gdyby wrócił, uznano by go za persona non grata i natychmiast aresztowano.

Telefon nie przestawał dzwonić. Deschner zgasił papierosa na spodeczku.

–Dobrze. Przepraszam, muszę odebrać. O wpół do dziesiątej mam spotkanie. Zadzwonię, żeby je przełożyć.

Wyszedł do sąsiedniego pokoju, pewnie do gabinetu, i wrócił kilka minut później.

–Już. Nie ma problemu. Przełożyłem.

–Dziękuję.

–Drobiazg. Doradca finansowy, zastępca prezesa banku, Bernard Suchet, ma

wszystkie niezbędne dokumenty, w tym fotokopię paszportu Petera. Od czterech lat uważają go za zmarłego. O tej ostatniej... tragedii jeszcze nie wiedzą. Z ustaleniem pańskiej tożsamości nie będzie żadnych kłopotów.

–Nie wiem. Przyjechałem do Szwajcarii w sposób dość... nietypowy – odrzekł Ben, starannie dobierając słowa. – Nie przechodziłem przez odprawę celną ani paszportową. Moje nazwisko nie figuruje w komputerach urzędu imigracyjnego. Co będzie, jeśli ktoś zawiadomi władze?

–Nie martwmy się na zapas. Ubiorę się, i do dzieła. Idziemy do banku.

Rozdział 14

Anna obróciła się na pięcie i spojrzała na kapitana Bolgorio. – Co takiego? Skremowaliście zwłoki? Niech was szlag trafi! Przecież się umawialiśmy!

Bolgorio wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce.

–Panno Navarro – odparł, patrząc na nią z wyraźnym zażenowaniem. – Proszę, nie tutaj, nie przy zbolalej...

Lecz Anna już go nie słuchała. Spojrzała na wdowę.

–Czy uprzedzono panią, że będziemy chcieli przeprowadzić sekcję zwłok?

–Niech pani nie podnosi głosu – warknęła Consuela Prosperi. – Nie jestem przestępczynią.

Anna ponownie spojrzała na kapitana.

–A pan? Wiedział pan, że chcą skremować zwłoki? – Sukinsyn. Oczywiście, że wiedział.

–Mówiłem pani, że ja się tym nie zajmuję.

–Ale wiedział pan o tym czy nie?

–Coś tam słyszałem, ale proszę mnie zrozumieć, ja nie mam takich wpływów...

–Czy już skończyliśmy? – przerwała im Consuela Prosperi.

–Nie, jeszcze nie – odparła Anna. – Czy ktoś nalegał, żeby poddała pani zwłoki kremacji?

Wdowa nawet na nią nie spojrzała.

–Kapitanie, proszę ją stąd wyprowadzić.

–Bardzo panią przepraszam, madame – odrzekł Bolgorio. – Panno Navarro, musimy już iść.

–Jeszcze nie skończyliśmy – odparła spokojnie Anna. – Zmuszono panią do tego, prawda? Co pani powiedziano? Że jeśli się pani nie zgodzi, zamrożą pani konta? Zablokują dostęp do pieniędzy? Coś w tym rodzaju?

–Niech pan ją stąd zabierze! – rozkazała wdowa, podnosząc głos.

–Panno Navarro, ja proszę...

–Senora – przerwała mu Anna – coś pani powiem. Tak się przypadkiem składa, że wiem, iż znaczną część aktywów zainwestowaliście państwo w giełdowe transakcje terminowe oraz w akcje zagranicznych spółek handlowych, w tym spółek amerykańskich. Jeśli zajdzie podejrzenie, że brała pani udział w międzynarodowej zмовie przestępczej, nasz rząd ma prawo te aktywa przejąć. – Wstała i ruszyła do drzwi. – I właśnie to im zasugeruję. Natychmiast dzwonię do Waszyngtonu.

Dobiegł ją stłumiony okrzyk:

–Ona tego nie zrobi, to niemożliwe, prawda? Zapewnił mnie pan, że pieniądze będą bezpieczne...

–Cicho! – warknął gniewnie kapitan.

Zdumiona Anna odwróciła się i zobaczyła, że Bolgorio stoi naprzeciwko wdowy, przeszywając ją rozwścieczonym spojrzeniem. Gdzie się podziała jego służalczość?

–Zaraz to załatwię. – Podszedł do Anny i chwycił ją za rękę.

–Kogo pan kryje? – spytała, gdy tylko wyszli za bramę.

–Niech pani da temu spokój – odparł. Z jego głosu biła otwarta wrogość,

złowieszcza pewność siebie, której przedtem nie było. – Jest pani naszym gościem, tu nie Ameryka.

–Jak to zrobiliście? Ci z kostnicy „zgubili” dokumenty? „Przypadkowo” włożyli je do innej teczki? Ktoś wam za to zapłacił? Tak to załatwiliście?

–Co pani wie o Paragwaju? – odparł gniewnie Bolgorio, podchodząc jeszcze bliżej. Jego gorący oddech, drobinki śliny na twarzy sprawiły, że Anna poczuła się nieswojo. – Nic. Nie rozumie pani wielu rzeczy.

–Wiedział pan, że zwłoki zostały skremowane. Wyczułam to już podczas naszej pierwszej rozmowy. Wiedział pan, że zabrano je i spalono, Proszę mi tylko powiedzieć jedno: kazano to panu zrobić czy panu zapłacono? I kto wydał rozkaz: ktoś z góry czy ktoś z zewnątrz?

Nieporuszony Bolgorio milczał.

–Kto rozkazał zniszczyć zwłoki? – krzyknęła Anna.

–Podoba mi się pani. Naprawdę. Jest pani bardzo ładną kobietą. Nie chcę, żeby coś się pani stało.

Próbował ją zastraszyć i, niestety, robił to skutecznie. Wzięła się w garść i obrzuciła go obojętnym spojrzeniem.

–To niezbyt subtelna pogrożka.

–To nie jest pogrożka. Naprawdę nie chcę, żeby coś się pani stało. Musi mnie pani posłuchać i natychmiast wyjechać. W naszym rządzie są ludzie, którzy chronią takich ludzi jak Consuela Prosperi. Tu chodzi o pieniądze. Rozumie pani? O duże pieniądze, takie z ręki do ręki. Niczego pani nie osiągnie, a może pani zginąć.

Ty palancie, pomyślała. Nie wiesz, z kim masz do czynienia. Groźby działają na mnie jak czerwona płachta na byka.

–Czy to pan wydał rozkaz skremowania zwłok?

–Wiem tylko, że je skremowano, nic więcej. Już mówiłem, za wysokie progi...

–W takim razie ktoś wie, że Prosperi nie umarł śmiercią naturalną. Ktoś chciał zniszczyć dowody, prawda?

–Zadaje mi pani pytania, na które nie znam odpowiedzi – odrzekł spokojnie Bolgorio. – Proszę, bardzo panią proszę. Niech pani zadba o swoje bezpieczeństwo. Są tu ludzie, którzy nie lubią rozdmuchiwać takich spraw.

–Czy myśli pan, że ci ludzie, „którzy nie lubią rozdmuchiwać takich spraw”, rozkazali zabić Marcela Prosperiego i to zatuszować?

Kapitan spojrzał na nią w zamyśleniu i lekko się zawahał.

–Uprzedzam, zaprzeczę, że kiedykolwiek o tym wspomniałem. Przed pani przyjazdem zadzwoniłem do agencji, tej od pielęgniarek. Prowadzi pani śledztwo w sprawie śmierci Prosperiego, więc chciałem ich wypytać. Uznałem, że to najlepsze miejsce.

–No i?

–Ta pielęgniarka, ta, która czuwała przy nim ostatniej nocy... Ona zniknęła.

Anna poczuła, że opada jej żołądek. Wiedziała, że to nie takie proste, pomyślała.

–Jak trafiła do agencji?

–Miała znakomite referencje, dokładnie je sprawdzili. Powiedziała, że mieszka

niedaleko stąd, że gdyby trzeba było kogoś zastąpić... Zlecili jej opiekę nad trzema pacjentami i wywiązała się znakomicie. Nocna pielęgniarka Prosperiego nagle zachorowała ta nowa była właśnie wolna, więc...

–I co? I nie mogą jej namierzyć?

–Nie, przepadła jak kamień w wodę.

–Są przecież czeki, jest konto bankowe...

–Płacono jej gotówką. U nas to normalne. Podała fałszywy adres domowy. Kiedy sprawdziliśmy dokładniej, okazało się, że taka osoba po prostu nie istnieje. Jakby stworzono ją tylko na tę okazję, na ten jeden występ. Kiedy zrobiła swoje, zeszła ze sceny i zniknęła.

–Fachowa robota. Chcę porozmawiać z kimś z tej agencji.

–Niczego się pani nie dowie. A ja pani w tym nie pomogę. I tak za dużo już powiedziałem. Niech pani wyjedzie, proszę. Zbyt ciekawski obcokrajowiec może tu łatwo zginąć. Zwłaszcza jeśli ma przeciwko sobie potężnych ludzi, którzy nie chcą tego rozgrzebywać.

Mówił szczerze i zupełnie poważnie. To nie były czcze pogroźki. Anna nie знаła nikogo bardziej upartego od siebie i nie znosiła rezygnować. Ale czasami jest tak, że trzeba iść dalej. Czasami najważniejsze jest to, żeby po prostu przeżyć.

Zurych

Zanim Ben i Matthias doszli do Lowenstrasse, zaczęło mżyć. Niebo zrobiło się stalowoszare. Rosnące na ulicy lipy zaszumiały na wietrze. Z wieży kościelnej niosło się melodyjne bim-bom: zegar bił dziewiątą. Sunące środkiem jezdni tramwaje – szóstka, trzynastka i jedenastka – miały tu przystanek i hamowały z przeraźliwym zgrzytem kół. Furgonetki FedEksu, były dosłownie wszędzie: Zurych to stolica światowej bankowości, a w bankowości liczy się przede wszystkim czas. Chodnikami spieszyły tłumy urzędników z parasolami. Dwie młode Japonki, pewnie turystki, chichotały. Pod lipami stały puste drewniane ławki.

Mżyło, przestawało mżyć i zaczynało mżyć ponownie. Doszli do ruchliwego przejścia na skrzyżowaniu Lagerstrasse i Lowenstrasse. W stojącym po drugiej stronie ulicy opustoszałym gmachu Societe de Banque Suisse prowadzono chyba remont.

Minęło ich dwóch nieogolonych Włochów; mieli na sobie identyczne czarne kurtki i obaj palili. Potem starsza matrona, która rozsiewała wokoło silny zapach Shalimar.

Przecznicę dalej Deschner – był w zbyt obszernym płaszczu przeciwdeszczowym i brzydkiej marynarce w kratę – przystanął przed gmachem z białego kamienia, który wyglądał jak miejski ratusz. W ścianę przy drzwiach wmurowano małą mosiężną tabliczkę z eleganckim napisem Handelsbank Schweiz AG.

Deschner otworzył ciężkie szklane drzwi.

Dokładnie naprzeciwko, pod czerwonym parasolem z reklamą Coca-Coli, w kawiarnianym ogródku po drugiej stronie ulicy siedział szczupły, dobrze zbudowany nastolatek. Był w spodniach koloru khaki, w ciepłej koszuli i miał niebieski plastikowy plecak. Pił oranżadę z butelki, rozmawiał przez telefon komórkowy i ospale kartkował czasopismo muzyczne. Od czasu do czasu zerkał na drzwi banku.

Sterowane elektronicznie tafle szkła rozsunęły się z cichutkim sykiem. Przez chwilę stali między grubymi drzwiami, potem coś zabrzączało i otworzyły się te przed nimi.

Wielki, przestronny hol banku miał marmurową podłogę i był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć błyszczącego czernią biurka pod przeciwległą ścianą. Za biurkiem siedziała recepcjonistka. Miała na głowie małe słuchawki i właśnie z kimś rozmawiała. Gdy weszli, podniosła głowę.

–*Guten morgen* - powiedziała. – *Karin ich Ihnen helfen?*

–*Ja, guten morgen. Wir haben eine Verabredung mit Dr. Suchet.*

–*Sehr gut, mein Herr. Einen Moment.* - Powiedziała coś do mikrofonu. – *Er wird gleich unten sein, um Sie zu sehen.*

–Suchet się panu spodoba – powiedział Deschner. – Porządny facet, bankier starej daty. Nie jak ci wiecznie załatani młodzicy, których tu teraz pełno.

Mógłby być nawet Charlesem Mansonem, mam to gdzieś, pomyślał Ben.

Brzęknął dzwonek, rozsunęły się drzwi i z windy wysiadł rosły, zażywny mężczyzna w tweedowej marynarce. Uścisnął rękę Deschnerowi, potem Benowi i wykrzyknął:

–*Esfreut mich Dich wiederzusehen, Matthias.* - Spojrzał na Bena. – Pan Hartman, prawda? Bardzo mi miło. Proszę, chodźmy.

Wsiedli do windy. Z sufitu wystawał obiektyw dyskretnie ukrytej kamery. Suchet nie przestawał się miło uśmiechać. Nosił ciężkie, prostokątne okulary, miał podwójny podbródek, wielki brzuch i swój monogram wyhaftowany na przedzie koszuli.

Kieszeń na piersi marynarki pasowała kolorem do koloru krawata. Wiceprezes, pomyślał Ben. Zamiast garnituru, tweedowa marynarka. Służbowy ubiór jego nie dotyczy. Tacy jak on są ponad to.

Obserwował go uważnie, wypatrując podejrzanych gestów czy spojrzeń. Ale nie, Suchet zachowywał się naturalnie. Oł, przyszedł kolejny klient, i tyle.

Otworzyły się drzwi i weszli do poczekalni wyłożonej wielkim, szarym, puszystym dywanem i umeblowanej prawdziwymi antykami. Za nią były drzwi. Suchet otworzył je elektronicznym kluczem, który nosił na łańcuszku na szyi.

Gabinet, przestronny i dobrze oświetlony. Na długim biurku o szklanym blacie stał tylko komputer. Suchet usiadł, Ben i Matthias naprzeciwko niego, po drugiej stronie biurka. Do gabinetu weszła sekretarka ze srebrną tacą, na której stały dwie filiżanki kawy i dwie szklanki wody. Zaraz po niej pojawił się młody mężczyzna z kartonową teczką.

Suchet otworzył ją, podniósł wzrok i spojrzał na Bena wielkimi, sowimi oczami.

–Pan Benjamin Hartman, prawda?

Ben kiwnął głową. Ścisnęło go w żołądku.

–Oczywiście. Dostarczono nam dokumenty, z których wynika, że jest pan jedynym spadkobiercą właściciela niniejszego konta. Czy pan to po twierdza?

–Tak, potwierdzam.

–Dokumenty nie budzą żadnych zastrzeżeń prawnych. A patrząc na pana, trudno nie zauważyć, że jest pan bliźniaczym bratem Petera Hartmana. – Uśmiechnął się

szeroko. – Tak więc, czym mogę panu służyć?

Podziemny skarbiec, niski i oświetlony nagimi jarzeniówkami, w niczym nie przypominał eleganckiego holu, umeblowanej antykami poczekalni czy nowoczesnego gabinetu Sucheta. W wąskim korytarzu było kilka ponumerowanych drzwi, prowadzących najpewniej do pomieszczeń wielkości małego pokoju. Na końcu korytarza widniało coś, co przypominało głębokie, wyłożone brązem nisze i dopiero gdy podeszli bliżej, Ben stwierdził, że są to różnych rozmiarów skrytki.

Przed wejściem do niszy oznaczonej numerem 18C Suchet przystanął i wręczył mu klucz,

–Na pewno zechce pan zostać sam – powiedział. – Kiedy pan skończy, proszę do mnie zadzwonić. – Wskazał biały telefon na stalowym stoliku pośrodku przejścia.

Ben popatrzył na rzędy skrytek, nie wiedząc, co robić. Suchet nie powiedział mu, która z nich należała do Petera. Czy to jakaś próba? A może założył, że Ben ten numer zna? Zerknął na Deschnera. Ten wyczuł jego zdenerwowanie, lecz najwyraźniej nie zamierzał przyjść mu z pomocą; Ben ponownie spojrzął na klucz i zobaczył wygrawerowany na nim numer. No jasne. Idiota.

–Dziękuję – odrzekł. – Już wszystko wiem.

Deschner i Suchet odeszli, leniwie gawędząc. Ben zauważył kamerę zamontowaną w miejscu, gdzie ściana stykała się z sufitem, i świecącą na niej lampkę. Kamera była włączona.

Skrytka numer 322: dokładnie na wysokości oczu. Przekręcił klucz.

Boże, pomyślał z walącym sercem. Co tam może być? Peter, coś ty tam ukrył? Za co zapłaciłeś życiem?

W środku leżała koperta ze sztywnego, woskowanego papieru. Wyjął ją – była zadziwiająco cienka – i otworzył.

Zawierała tylko jeden dokument i nie była to wcale kartka papieru, tylko...

Fotografia. Zdjęcie formatu dwanaście i pół na siedemnaście i pół centymetra.

Zabrakło mu tchu.

Zdjęcie przedstawiało grupę mężczyzn. Niektórzy z nich mieli na sobie hitlerowskie mundury, inni garnitury i płaszcze z lat czterdziestych. Kilku rozpoznał natychmiast. Giovanni Vignelli, słynny włoski przemysłowiec z Turynu, magnat samochodowy, którego olbrzymie fabryki zaopatrywały włoską armię w silniki dieslowskie, wagony kolejowe i samoloty. Sir Han Detwiler, prezes Royal Dutch Petroleum, ksenofobiczny Holender, legendarny założyciel pierwszej i największej amerykańskiej linii lotniczej. Były tam również twarze, których nie rozpoznawał, choć na pewno widział je w książkach i podręcznikach do historii. Kilku mężczyzn miało wąsy. Łącznie z młodym, przystojnym, ciemnowłosym mężczyzną stojącym obok aroganckiego hitlerowca o wyblakłych oczach, którego Ben też skądś znał, choć o historii Niemiec wiedział bardzo niewiele.

Nie, proszę, tylko nie on.

Nazwiska hitlerowca o wyblakłych oczach nie przypominał sobie.

Natomiast przystojny ciemnowłosy mężczyzna z wąsami był niewątpliwie jego ojcem.

Maksem Hartmanem.

Na białej obwódce u dołu zdjęcia widniał wystukany na maszynie napis: ZURYCH, 1945. SIGMA AG.

Włożył je do koperty, kopertę schował do kieszeni na piersi. Palila go żywym ogniem.

Wyzbył się ostatnich wątpliwości: ojciec kłamał, kłamał przez całe życie. Zakręciło mu się w głowie. Otrzeźwił go czyjś donośny głos:

–Panie Hartman! Panie Hartman, poszukuje pana policja! Mają nakaz aresztowania, musimy pana zatrzymać.

O Chryste.

Bernard Suchet. Skontaktował się z policją, policja sprawdziła w komputerach i okazało się, że przebywa w Szwajcarii nielegalnie. Przypomniał mu się zimny głos Schmida i jego słowa: „Jeśli stwierdzę, że pan tu wrócił, będzie pan miał wielkie nieprzyjemności”.

Suchet stał między Matthiasem Deschnerem i dwoma strażnikami. Strażnicy mieli broń w ręku.

–Panie Hartman – dodał Suchet – Kantonspolizei poinformowała mnie, że przebywa pan w tym kraju nielegalnie. Co oznacza, że dopuścił się pan oszustwa.

Twarz Deschnera przypominała kamienną maskę.

–O czym pan mówi? – spytał z oburzeniem Ben. Widzieli, jak chował zdjęcie do kieszeni czy nie?

–Musimy pana zatrzymać i przekazać policji.

Benowi odebrało mowę. Patrzył na nich bez słowa.

–Pogwałcił pan szwajcarski kodeks karny – kontynuował głośno Suchet. – Istnieją też przypuszczenia, że jest pan zamieszany w inne przestępstwa. Może pan stąd wyjść tylko pod eskortą policji.

Deschner wciąż milczał. W jego oczach czaił się strach. Dlaczego on nic nie mówi?

–Panowie, proszę zaprowadzić pana Hartmana do *Zimmer Vier*. Panie Hartman, pójdzie pan z nimi tak jak pan stoi. Nie wolno panu niczego zabierać. Jest pan zatrzymany do chwili aresztowania.

Strażnicy podeszli bliżej.

Ben wstał, opuścił ręce i ruszył korytarzem. Mijając Deschnera, zauważył, że prawnik leciutko wzruszył ramionami.

Ostrzeżenie Petera: „Połowa policjantów jest na ich żołądziej”. Złowieszcze słowa Schmida: „Może upłynąć nawet rok, zanim pańska sprawa trafi do sądu”.

Nie, nie mógł dać się zamknąć. Do furii doprowadzało go nie to, że mogą go zabić czy uwięzić, lecz to, że i w jednym, i w drugim przypadku jego śledztwo dobiegłoby końca/Wysilek Petera poszedłby na marne. Sigma postawiłaby na swoim.

. Nie mógł do tego dopuścić. Za żadną cenę.

W podziemiach były tak zwane *Stahlkammern*, pomieszczenia, do których na żądanie właściciela, pragnącego obejrzeć lub wycenić swoje depozyty, przenoszono złożone w banku aktywa, złoto, klejnoty czy papiery wartościowe. Chociaż nie były

hermetyczne i nie przypominały prawdziwego skarbcza, wyposażono je w wewnętrzny system kamer telewizyjnych i we wzmocnione stałą drzwi. Stanąwszy przed drzwiami *Zimmer Vier*, jeden ze strażników wyjął elektroniczny klucz i machnął nim przed pulsującym okiem czytnika. Oko błysnęło, szcęknął zamek. Kazali mu wejść pierwszemu, sami weszli tuż za nim. Klik-klik-klik: drzwi się zatrzasnęły.

Ben rozejrzał się wokoło. Pokój był jaskrawo oświetlony i prawie nie umeblowany; w takim pomieszczeniu trudno by było zgubić lub ukryć nawet maleńki brylant. Wypolerowana na połysk ciemna podłoga, długi stół ze sterylnej czystym blatem z pleksiglasu, sześć szarych, składanych metalowych krzeseł. Tyle. Nie było tam nic więcej.

Jeden ze strażników – jego wielki brzuch i nalaną czerwoną twarz mówiły, że regularnie jada wołowinę, zapijając ją piwem – wskazał mu krzesło. Ben zwlekał chwilę, wreszcie usiadł. Tamci schowali broń do kabur, lecz wyraźnie dawali mu do zrozumienia, że nie zawahają się użyć środków przymusu fizycznego, jeśli Ben ich nie posłucha.

–No więc – rzucił po angielsku drugi strażnik z silnym niemieckim akcentem – czekamy, *ja!* – Szczupły, o krótko ostrzyżonych jasnobrązowych włosach, był najpewniej szybszy od kolegi. I bez wątpienia bardziej rozgarnięty.

Dlatego Ben zwrócił się do niego:

–Ile tu zarabiacie? Jestem bardzo bogaty. Jeśli tylko zechcecie, mogę wam zapewnić dostatnie życie. Wy zrobicie przysługę mnie, ja wam. – Był zdesperowany i nie próbował tego ukrywać. Wiedział, że albo na to pójdą, albo nie.

Ten szczuplejszy pogardliwie prychnął i pokręcił głową.

–Mów pan głośniej, bo mikrofon nie usłyszy.

Nie mieli podstaw, by wierzyć, że Ben dotrzyma słowa, a on, siedząc w tym podziemnym skarbcu, w żaden sposób nie mógł ich przekonać, że tak będzie. Ale pogarda, z jaką się do niego odnosili, napawała optymizmem: jego jedyną szansą było teraz to, że go nie doceniali Jęknął, wstał i objął się wpół.

–Siadaj – rzucił stanowczo strażnik.

–Mam klaustrofobię... Nie mogę przebywać w ciasnych, zamkniętych... pomieszczeniach! – Mówił coraz głośniej, z coraz większą histerią w głosie.

Strażnicy popatrzyli na siebie i roześmiali się szyderczo. Mieliby dać się nabrać na tak beznadziejną sztuczkę?

–Nie, nie, poważnie – zapewnił ich niecierpliwie Ben. – Boże, czy muszę mówić dosadniej? Mam nerwicę żołądka, muszę do toalety. I to natychmiast, bo nie wytrzymam i zdarzy się... wypadek. – Bez trudu wszedł w rolę ekscentrycznego, do cna rozkapryszanego Amerykanina. – Stres to przyspiesza! Muszę wziąć lekarstwo, moje pigułki! Valium, środek uspokajający! Mam straszną klaustrofobię, nie znoszę zamkniętych pomieszczeń! Proszę! – Mówiąc, gwałtownie gestykulował, jakby ogarnęła go panika.

Strażnik, ten szczupły, patrzył na niego z szyderczym uśmieszkiem na twarzy.

–Będziesz pan musiał pogadać z lekarzem z więziennego szpitala.

Ben zrobił krok w jego stronę. Z przerażoną twarzą zerknął na pistolet w otwartej

kaburze i szybko przeniósł wzrok na strażnika.

–Błagam, pan nie rozumie! – Zamachał rękami jeszcze gwałtowniej. – To panika, mam atak paniki! Muszę do ubikacji! Muszę wziąć coś na uspokojenie! –
Błyskawicznie sięgnął do kabury, wyszarpnął z niej rewolwer o krótkiej lufie i cofnął się dwa kroki. Przedstawienie dobiegło końca.

–Łapy na wysokość ramion – warknął do tego grubego. – Albo pociągnę za spust i zginiecie, obaj.

Strażnicy wymienili spojrzenia.

–A teraz jeden z was mnie stąd wyprowadzi. Jeśli nie, zabiję was obu. To dobra propozycja. Przyjmijcie ją, zanim straci ważność.

Strażnicy zaszwargotali po niemiecku.

–Byłbyś głupi, gdybyś strzelił – odparł ten szczupły. – Chociaż wątpię, czy potrafisz. Pociągniesz za spust i zgnijesz w więzieniu.

Źle, pomyślał Ben. Facet był czujny i spokojny, mówił bez śladu przerażenia w głosie. Może za dobrze grał? Może uznali, że naprawdę jest słabym, rozpieszczonym jankesem? Po ich minie i swobodnej postawie poznał, że nie traktują go poważnie. I nagle go olśniło.

–Myślisz, że nie wystrzelę? – odparł znudzonym głosem, gniewnie błyskając oczami. – Na Bahnhofplatz zabiłem pięciu. Dwóch więcej, dwóch mniej, co to za różnica.

Strażnicy zeszywnieli, ich pewność siebie natychmiast wyparowała.

–*Das Monster vom Bahnhofplatz* - wychrypiął z lękiem ten gruby. Z jego rumianej twarzy odpłynęła cała krew.

–Ty! – warknął Ben, wykorzystując okazję. – Wyprowadź mnie stąd. – Grubas podbiegł do drzwi i otworzył je elektronicznym kluczem. Ben spojrzał na jego kolegę. – Ty zostaniesz. Chyba że nie chcesz żyć. – Klik-klik-klik: drzwi się zamknęły.

Wyszli na wyłożony dywanem korytarz, strażnik przodem, ze splecionymi z tyłu rękami, Ben tuż za nim. Istniało duże prawdopodobieństwo, że kamery bezpieczeństwa przekazują obraz do archiwum, gdzie nagrywa się go na taśmę do późniejszego przejrzania, lecz całkowitej pewności nie było.

–Jak się nazywasz? – spytał Ben. – *Wie heissen Sie?*

–Laemmel – mruknął grubas. – Christoph Laemmel. – Doszli do końca korytarza i strażnik skręcił w lewo.

–Nie! – Syknął Ben. – Nie tędy, nie przez hol. Przez zaplecze. Do drzwi, którymi wynoszą śmiecie.

Skonsternowany strażnik przystanął, lecz Ben przytknął mu do ucha lufę rewolweru. Czując chłód stali, Laemmel momentalnie oprzytomniał i zaprowadził go szybko do czarnych, brzydkich, mocno powyginanych schodów, dramatycznie kontrastujących z wypolerowanym na błysk wnętrzem oficjalnych pomieszczeń na górze. Oświetlały je sterczące ze ścian słabe, żarówki, które z trudem rozpraszały mrok.

Ciężkie buciory strażnika zadudniły na metalowych stopniach.

–Ciszej! – syknął Ben. – Jeśli narobisz hałasują postaram się o jeszcze większy, z

tym że będzie to ostatni hałas, jaki kiedykolwiek usłyszysz w życiu.

–Nie masz szans – szepnął Laemmel zaleknionym głosem. – Żadnych szans.

Doszli do szerokich, podwójnych drzwi wychodzących na wąski, cienisty zaułek za bankiem. Ben trzasnął zasuwą i sprawdził, czy się otwierają.

–Koniec naszej małej wycieczki – powiedział.

–Myślisz, że tam będziesz bezpieczny? – wychrypiał Laemmel.

Ben przekroczył próg drzwi i jego spoconą, zaczerwienioną twarz owiało chłodne powietrze.

–Ci z Polizei to moja sprawa – odrzekł z rewolwerem w ręku.

–*Die Polizei?* - powtórzył Laemmel. – Mówię o kimś innym. – Splunął na ziemię.

Ben zdrętwiał. Poczł się tak, jakby miał w brzuchu żywego węgorza.

–O czym ty mówisz? – syknął. Chwycił rewolwer obiema rękami i wy celował mu w czoło. – Gadaj! – krzyknął rozwścieczony i spięty, lecz skupiony – Gadaj, co wiesz!

Z ust Laemmela wydobyło się ciche tchnienie i twarz Bena zasnła ciepła, szkarłatna mgła. Pocisk przebił strażnikowi szyję. Chryste, czyżby to on? Czyżby niechcący pociągnął za spust? Czyżby nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi? Coś świsnęło mu tuż koło głowy. Oto i odpowiedź: ktoś do niego strzelał.

Boże, nie, tylko nie to!

Strażnik runął na twarz, a on pomknął przed siebie wilgotnym, cienistym zaułkiem. Dobiegł go przytłumiony odgłos! – jak z dziecięcego korkowca -potem wibrujący, metaliczny brzęk i na ścianie pojemnika na odpadki po lewej stronie powstała mała dziura. Snajper musiał przywarować z prawej.

Poczł, że coś ociera mu się o ramię i zanurkował za pojemnik. Było to schronienie tymczasowe, ale cóż, dobre i to. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Po ziemi przebiegło coś czarnego i małego: wystraszony szczur. Teraz! Mur oddzielający zaułek od sąsiedniego podwórza sięgał mu do ramion: Ben wetknął rewolwer za pasek spodni, chwycił się chropowatego grzbietu, podciągnął się i przeskoczył na drugą stronę. Od Usteristrasse dzieliła go tylko krótka ścieżka. Wyszarpnął rewolwer i wypalił, celując w trzy różne, położone blisko siebie miejsca. Chciał, żeby tamten choć na chwilę przywarował, chciał zyskać na czasie. Liczyła się teraz każda sekunda.

Snajper odpowiedział ogniem i dobiegł go trzask kul wbijających się w murek.

Lecz on był już na ulicy, pędził już Usteristrasse, Szybko! Szybciej! „Biegnij tak, jakby zależało od tego twoje życie”, mawiał przed zawodami jego trener. I teraz tak właśnie biegł.

A jeśli jest ich więcej? Możliwe, ale na pewno nie zdążyliby się odpowiednio rozstawić. Głowa pękała mu od gorączkowych myśli. Skup się, do cholery, skup!

O kolejnym ruchu zdecydował mokry, zgniły zapach: rzeka Sihl, coś w rodzaju brzydkiego, wąskiego kanału łączącego się z Limmatem na wysokości Platz Promenade. Wbiegł na Gessner Allee, prawie nie zważając na ruch, na hamujące z piskiem opon taksówki i na brodatych taksówkarzy, którzy trąbili klaksonami i klęli na czym świat stoi. Udało się, dotarł na drugą stronę ulicy: tuż przed nim rozciągało się wyłożone szerniałymi płytami nabrzeże i rzeka. Gorączkowo lustrował ją

wzrokiem, dopóki nie wypatrzył małej motorówki. Zwykle było ich tu dość dużo; w tej jedynej obecnie siedział tylko jeden pasażer, pulchny, brzuchaty mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. Miał wędkę, lecz jeszcze nie łowił. Był w kamizelce ratunkowej, która jeszcze bardziej go pogrubiała. Pewnie zamierzał płynąć do Sihlwaldu, rezerwatu leżącego dziesięć kilometrów na południe od Zurychu, gdzie płaskie brzegi rzeki porastał las i gdzie wpadało do niej mnóstwo strumieni. Tutejsze mieszczuchy uwielbiały tam łowić.

Grubas wyjął kanapkę i wrzucił do wody plastikową folię, którą była owinięta. W Szwajcarii to czyn wielce niestosowny, antyspołeczny. Ben wskoczył do wody i popłynął w stronę łodzi. Płynął szybkim kraulem, choć przesiąknięte ubranie krępowało mu ruchy.

Woda była lodowata. Biło z niej przenikliwe zimno lodowca, z którego powstała, i chociaż niósł go lekki prąd, Ben czuł, że powoli sztywnieją mu wszystkie mięśnie.

Grubas opychał się kanapką i siorbał kronenberga, nieświadomy niczego do chwili, gdy mała motorówka przechyliła się gwałtownie na zawietrzną. Najpierw zobaczył posiniałe z zimna ręce, potem mężczyznę wdrapującego się na łódź w kosztownym garniturze, z którego ściekały strugi wody.

–*Was ist das!* – wrzasnął, upuszczając butelkę. – *Wer sind Sie?*

–Muszę pożyczyć pańską łódź – odrzekł po niemiecku Ben, szczękając zębami.

–*Nein! Raus! Precz!* – Grubas chwycił wędkę i groźnie nią potrząsnął.

–Jak pan chce. – Ben skoczył ku niemu i szybkim ruchem rąk wypchnął go za burtę. Ubrany w kamizelkę ratunkową rybak podskakiwał na wodzie jak szałwiarz, nie przestając wściekle parskać i prychać.

–Szkoda wysiłku. – Ben wskazał most przy pobliskiej Zollstrasse. – Dojedzie pan na miejsce tramwajem. – Przesunął dźwignię przepustnicy. Silnik kichnął, ryknął i nabierając prędkości, motorówka pomknęła na południe.

Ben nie zamierzał płynąć aż do Sihlwaldu, Chciał dotrzeć jedynie do zakrętu rzeki, półtora kilometra dalej. Leżąc płasko na dnie łodzi i przytrzymując się wystających uchwytów, widział szczyty wyższych domów i frontony sklepów na nabrzeżu: olbrzymi, pudełkowaty i nijaki dom towarowy Migros, okopcone sadzą wieżyce Schwarzenkirche, pokryte zawiłymi freskami ściany Klathausu... Wiedział, że jeśli gdzieś tam czyhają snajperzy, zaraz będzie po nim, ale istniała też szansa, że tamci nie przewidzieli jego ruchów. Pomacał się po piersi. Cicho zatrzeszczała woskowana koperta. Wciąż tam była. Założył, że jest wodoszczelna, ale nie miał czasu tego sprawdzać.

Motorówka płynęła coraz szybciej. Tuż przed nim rozciągał się porośnięty algami kamienny most przy Stauffacherstrasse. Jeszcze tylko dwieście metrów. Wreszcie doszedł go nieomylny ryk wielopasmowej przelotówki, świszczący syk mknących po gładkim asfalcie kół, silny podmuch powietrza rozpychanego przez dziesiątki samochodów, ciężarówek i przyczep, beczenie, basowe buczenie, jęklive zawroty klaksonów i zgrzyt skrzyni biegów mknących jak wiatr pojazdów. Wszystko to mieszało się ze sobą i zlewało w nieustający – mniejszy lub większy – hałas, w wibrujące fale mechanicznych przypliwów i odpływów.

Skręcił w stronę łagodnie opadającego betonowego nabrzeża – łódź otarła się burtą o cegły i gwałtownie znieruchomiła. Wyskoczył na brzeg i popędził w kierunku stacji benzynowej, gdzie zostawił wynajętego range rovera. Miał stamtąd zaledwie kilka minut do Nationalstrasse 3, wartkiej, betonowej rzeki, w której nurcie pragnął się skryć.

Kiedy zmieniał pas, strzyknęło mu w lewym ramieniu. Ostrożnie pomacał ręką. Zabolęło, jeszcze mocniej niż poprzednio. Cofnął rękę. Palce miał lepkie i czerwonobrazowe od krzepnącej krwi.

Matthias Deschner siedział w tym samym fotelu, który zajmował przed godziną. Suchet pochylał się nad biurkiem. Miał spiętą twarz.

–Powinieneś być ostrzec mnie wcześniej – rzucił gniewnie bankier. – Nie wpuściłbym go do skarbcza!

–Mnie też nie uprzedzono! – zaprotestował Deschner. – Zadzwonili do mnie wczoraj i spytali, czy nie udzieliłem mu przypadkiem schronienia. Nie dorzeczość!

–Dobrze wiesz, czym pachnie niesubordynacja. - Na twarzy Suchta malował się wyraz wściekłości i strachu.

–Owszem, wyrażali się jasno i zrozumiale- odrzekł apatycznie Deschner.

–Dopiero teraz? Dopiero teraz dowiedzieli się o twoich powiązaniach?

–Oczywiście. Myślisz, że wiedziałem o tych przeklętych braciach? Otóż nie wiedziałem. Nic nie wiedziałem!

–Tego rodzaju tłumaczenie – pozwól, że sięgnę do historii – nie zawsze ratowało teutońską szyję.

–Daleka krewna prosiła mnie o przysługę – zaprotestował Deschner. – Nie uprzedzono mnie, że sprawa może mieć szersze konsekwencje.

–I o nic nikogo nie spytałeś?

–W naszym zawodzie nie zadaje się zbędnych pytań. Uczą nas tego już na studiach. Chyba się z tym zgodzisz?

–Naraziłeś na niebezpieczeństwo i siebie, i mnie!

–Zadzwonili do mnie, gdy tylko przyszedł. Założyłem, że tego chcą, rozumiesz? Że chcą, żebym go tutaj przyprowadził!

Ktoś zapukał do drzwi. Do gabinetu weszła sekretarka z małą videokasetą. Podniosła ją uroczyście na wysokość piersi i powiedziała:

–Przed chwilą przysłali z ochrony, panie prezesie.

–Dziękuję, Inge – odrzekł uprzejmie Suchet. – Zaraz przyjedzie posłaniec. Włóż ją do koperty, dobrze?

–Oczywiście, panie prezesie. – Sekretarka wyszła równie cicho, jak przyszła.

Rozdział 15

W nowoczesnym, siedmiopiętrowym budynku przy Schaffhausserstrasse, niedaleko Uniwersytetu Zuryskiego, w pomieszczeniu zastawionym szybkimi komputerami i monitorami o wysokiej rozdzielczości siedziało trzech mężczyzn. Było to studio multimedialne, wynajęte od spółki zajmującej się powielaniem, regeneracją i opracowywaniem materiałów dla firm i towarzystw prowadzących działalność ochroniarsko-zabezpieczeniową.

Jeden z mężczyzn, siwowłosy i kościsty – był w koszuli z krótkimi rękawami i miał czterdzieści sześć lat, choć wyglądał znacznie starszej – wyjął z magnetowidu kasetę i włożył ją do jednego z gniazd komputera multimedialnego marki Quantel Sapphire. Właśnie skończył kopiować taśmę. Teraz, korzystając z Sapphire'a, znakomitego angielskiego komputera, służącego do opracowywania obrazu cyfrowego i zbudowanego specjalnie dla Home Office, słynnego MI-5, zamierzał ten obraz powiększyć.

Pracował w całkowitym milczeniu. Jako wybitny specjalista od polepszania jakości obrazu, był technikiem-informatykiem w brytyjskim ministerstwie spraw wewnętrznych, dopóki nie ściągnęła go do siebie jedna z prywatnych londyńskich firm, podwajając mu dotychczasową pensję. Towarzyszący mu mężczyźni wynajęli go do krótkiej roboty w Zurychu. Nie wiedział, kim są. Wiedział jedynie, że dostanie wysoką premię. I że zafundowali mu przelot pierwszą klasą z Londynu. Siedzieli teraz na uboczu i rozmawiali. Mogli być międzynarodowymi biznesmenami i pochodzić z jakiegokolwiek kraju świata, chociaż rozmawiali po holendersku, w języku, który siwowłosy technik dobrze rozumiał.

Skupiony patrzył na ekran monitora. Na dole ekranu widniał napis KAM2, a w rogu migiała data i godzina.

–Dobrze – powiedział. – Co mam zrobić? Porównać tego faceta z facetem na zdjęciu?

–Nie – odrzekł jeden z Holendrów. – Wiemy, kto to jest. Chcemy wiedzieć, co czyta.

–Tak myślałem – mruknął technik. – Cholera, trzyma to w cieniu.

–Jak tam obraz? – spytał drugi Holender. – Dobry?

–Nieźły. Standard, dwie klatki na sekundę. Większość banków ma podły sprzęt, ale w tym musieli zainstalować szybkie kamery wysokiej rozdzielczości. Sęk w tym, że tę kamerę zainstalowali w fatalnym miejscu. To też normalka.

–Może pan powiększyć fragment obrazu z dokumentem, który ten człowiek czyta? – spytał Holender.

–Jasne. Oprogramowanie tej maszyny zrekompensuje wszystkie braki, które mogą powstać, pikseliadę i tak dalej. To nie problem. Problem w tym, że to cholerstwo jest w cieniu.

–Jest pan ponoć najlepszy – rzucił zjadliwie pierwszy Holender. – I na pewno najdroższy.

–Wiem, wiem – odparł technik. – To prawda. Dobra, zacznijmy od kontrastu. – Otworzył menu: Ostrość, Zoom, Nasycenie, Kontrast: kilkoma kliknięciami myszki

rozjaśnił obraz do tego stopnia, że dokument, który trzymał stojący w skarbcu mężczyzna, był niemal czytelny. Kliknął myszką jeszcze raz, powiększając rozdzielczość, potem zwiększył kontrast i ostrość.

–Dobra – mruknął.

–Widać, co czyta? – spytał jeden z Holendrów.

–On nie czyta – odrzekł technik. – On ogląda. To jakieś zdjęcie.

–Zdjęcie?

–Tak. Stare. Grupowe. Kilkunastu mężczyzn w garniturach. Wyglądają na biznesmenów. Jest też dwóch oficerów niemieckich; Tak, to grupowe zdjęcie. W tle widać góry...

–Da się rozróżnić twarze?

–Zaraz, chwileczkę... Proszę. – Jeszcze bardziej powiększył obraz, tak że zdjęcie zajmowało teraz cały ekran. – Jest jakiś napis... Zurych, 1945.1... Sig. Sig coś tam. Holendrzy wymienili spojrzenia.

–O nie... – Jeden z nich podszedł do komputera.

–„Sigma AG”? – rzucił technik. – Tak, „Sigma AG”.

Holender zerknął na swego kolegę.

–Już na to wpadł.

–Tak myślałem.

–Dobrze. Niech pan to skopiuje. I niech pan wykadruje mu twarz.

–Wykadruje, powiększy i zrobi pięćdziesiąt kopii. – Drugi Holender wstał z krzesła i podszedł bliżej. – Wyślij wiadomość – szepnął do tego pierwszego. – Środki ostrożności zawiodły. Amerykanin jest poważnym zagrożeniem.

Waszyngton

Anna Navarro pochyliła się w fotelu. Gabinet Bartletta był jak zwykle sterylnie czysty, a sam Bartlett miał jak zwykle nieprzeniknioną twarz.

–Śledziłam transfery pieniędzy Mailhota. Z Banku Narodowego Nowej Szkocji na Kajmany, ale na Kajmanach ślad się niestety urywa. Mamy tam tylko jednego informatora, który twierdzi, że przez to samo konto przechodziły pieniądze Prosperiego. Ale jak już mówiłam, nic więcej nie wiadomo. Dowiedzieć się, gdzie są pieniądze, to jedno. Dowiedzieć się, kto je tam zdeponował, to zupełnie co innego. Mam uruchomić nasze standardowe kanały?

–Wykluczone – odparł Bartlett; był chyba lekko poirytowany. – Odkrylibyśmy wszystkie karty, groziłaby nam dekonspiracja. Ci, którym by na tym zależało, mogliby bez trudu zablokować dochodzenie. I narazić życie innych, tych, którym wciąż grozi niebezpieczeństwo.

–Rozumiem – odrzekła Anna. – Ale nie chciałabym również powtórki Asunción. To cena, którą płaci się za chodzenie opłotkami. Ten, kto stoi za tym – z braku lepszego określenia nazwijmy to „spiskiem” – ma najwyraźniej wystarczająco duże wpływy, żeby nas powstrzymać.

–Zgoda, ale jeśli przejdziemy na poziom A-II i rozpoczniemy oficjalne śledztwo, równie dobrze możemy od razu wezwać tych z „New York Timesa” i powiadomić ich o przedmiocie dochodzenia. Nie możemy wykluczyć, że są wśród nas ludzie, którzy

pracują dla obu stron.

–Nie zgadzam się. Poziom A-II dałby nam szerokie uprawnienia. Uważam, że...

–Tak myślałem – przerwał jej lodowato Bartlett. – Może się jednak myliłem. Może w głębi serca jest pani zatwardziałą biurokratką.

Puściła tę uwagę mimo uszu.

–Uczestniczyłam w wielu międzynarodowych śledztwach, w tym w śledztwach w sprawie o zabójstwo, które udało nam się przeprowadzić z zachowaniem całkowitej dyskrecji. Przykładamy do tego szczególną wagę, jeśli dochodzenie dotyczy członka rządu. Kiedy wysocy urzędnicy państwowi Salwadoru kazali zlikwidować kilku Amerykanów, żeby zakamuflować...

–Panno Navarro – przerwał jej niecierpliwie Bartlett. – Jak pani dobrze wie, znam pani dotychczasowe osiągnięcia. Zajmowała się pani rządem jednego kraju. Ja mam na głowie kilka rządów. To drobna różnica.

–Chce pan powiedzieć, że teraz z kolei zabili kogoś w Oslo?

–Na to wygląda.

–Niech prokurator generalny zwróci się z poufną prośbą do prokuratora generalnego Norwegii, żądając zachowania absolutnej tajemnicy. To proste.

–Nie. Nie możemy zwrócić się z bezpośrednią prośbą do władz norweskich. Za duże ryzyko.

–W takim razie poproszę o listę. Ale nie o listę zwłok. O tę, której nie chce mi pan pokazać. O listę Sigmy.

–Wykluczone.

–Rozumiem. Każe mi pan zajmować się trupami. W takim razie rezygnuję.

Bartlett jakby się zawahał.

–Proszę sobie nie żartować – odparł. – Przydzielono pani zadanie. – Wyparowała z niego usłużna troskliwość i wypiełgnowana szlachetność, odsłaniając upór i żelazną stanowczość, dzięki której został szefem jednej z najpotężniejszych agencji rządowych. – To pani nie przystoi.

–Mogę nagle zachorować. Jeśli zachoruję, nie będę mogła pracować. Ani podróżować.

–Nie robi pani tego.

–Nie, pod warunkiem że da mi pan tę listę.

–Już mówiłem, to niemożliwe. Podczas tej operacji musimy przestrzegać określonych zasad. Jeśli zasady te łączą się z pewnymi ograniczeniami, ograniczenia te dotyczą również pani. Musi się pani z tym pogodzić.

–Proszę posłuchać – odrzekła Anna. – Trzynastu starców z tej całej Sigmy już nie żyje. Powiedzmy, że zmarli w „podejrzanych okolicznościach”. Trzech jeszcze żyje, tak?

–O ile nam wiadomo, tak.

–W takim razie ujmijmy to inaczej. Kiedy któryś z nich umiera, kiedy już go w jakiś sposób zabiją, nie możemy obejrzeć i zbadać zwłok bez oficjalnej zgody tego czy innego państwa, a otrzymanie oficjalnej zgody wymaga oficjalnej prośby ze strony naszych władz, prawda? Ale gdybyśmy dotarli do nich, zanim tamci ich zabiją...

Panie dyrektorze, zdaję sobie sprawę, że zlecił mi pan śledztwo w sprawie osób, które już nie żyją. Ale gdybyśmy uznali, że osoby te są potencjalnymi świadkami, gdybyśmy wzięli je pod stałą obserwację, bardzo dyskretną oczywiście...

Widać było, że Bartlett toczy ze sobą wewnętrzną walkę. W końcu wstał, podszedł do wysokiego, wyższego od siebie sejfu, otworzył go, wyjął kartonową teczkę i podał Annie pojedynczą kartkę papieru z nadrukiem Tajne Specjalnego Przeznaczenia: Nofofn-nocontract. Klauzula Nofofn-Nocontract oznaczała, że – nie licząc wysokiego stopnia utajnienia – dokument ten nie może zostać udostępniony ani Amerykanom obcego pochodzenia, ani pracownikom kontraktowym.

–Proszę – rzucił cicho Bartlett. – Lista.

Szybko przebiegła ją wzrokiem. Nazwiska, fałszywe i prawdziwe, nazwiska żyjących krewnych, numery akt. Trzech z nich jeszcze żyło. Portugalczyk, Włoch i Szwajcar.

–Nie ma adresów? – spytała.

–Tylko stare. Aktualnych nie udało nam się zdobyć. W zeszłym roku wszyscy trzej zmienili miejsce zamieszkania.

–W zeszłym roku? Mogą być na drugim końcu świata.

–Tak, to logiczne. Ale jest również całkiem możliwe, że przebywają w tym samym kraju. Mało tego: w tym samym rejonie. W pewnym momencie życia człowiek ulega specyficznej sile grawitacji- Starcowi trudno jest całkowicie odciąć się od korzeni. Nawet jeśli grozi mu niebezpieczeństwo, zbuntuje się i zechce wrócić. Starych drzew się nie przesadza, panno Navarro. Mimo to nie ujawnili swoich adresów. Najwyraźniej chcą pozostać w cieniu.

–Ukrywają się. Boją się.

–Pewnie mają powody.

–Wie pan co? To przypomina małą geriatryczną wojnę. Jakim cudem coś, co powstało jeszcze przed CIA, zachowało wpływy aż do dzisiaj? I to wpływy tak potężne.

Bartlett przekrzywił głowę, spojrział na wyłożoną aksamitem gablotę na ścianie i przeniósł wzrok z powrotem na Annę.

–Potęgi i władzy przybywa z biegiem lat. Oczywiście wielkości nie wolno mylić z władzą. CIA jest dzisiaj olbrzymią, solidną instytucją rządową, złożoną z niezliczonych biurokratycznych warstw. Siatki personalne powstawały początkowo jedynie w ośrodkach prawdziwej władzy. Tak było za czasów Billa Donovana, założyciela Urzędu Służb Strategicznych, a zwłaszcza za czasów Allena Dullesa, Taki wszyscy wiemy, jak wielką rolę, odegrał w tworzeniu CIA, ale nie to było jego najbardziej imponującym osiągnięciem. On toczył tylko jedną bitwę; bitwę z rewolucyjną lewicą.

–„Szpieg-dżentelmen”. Tak go nazywał i, prawda?

–Był bardzo niebezpiecznym człowiekiem i jako dżentelmen, i jako szpieg. Ale najgroźniejszy był jako zwykły obywatel w czasach, kiedy wraz ze swoim bratem Fosterem prowadzili wydział międzynarodowych finansów u Adlera i Coopera.

–Pracowali w firmie prawniczej? Co tam robili? Podwajali klientom rachunki?

Bartlett spojrział na nią jak na pożałowania godną ignorantkę.

–Niedocenie zasięgu i wpływów prywatnych koncernów to błąd typowy dla amatora, panno Navarro. Kancelaria Adler Cooper była czymś więcej niż zwykłą kancelarią. Miała prawdziwie międzynarodowy zasięg. Podróżując po całym świecie, Dulles mógł opleść Europę pajęczą siecią. Wciągał w nią sojuszników ze wszystkich większych miast, i aliantów, i tych z państw Osi, i tych neutralnych.

–Sojuszników? – przerwała mu Anna.

–Ludzi wysoko postawionych, przyjaciół, informatorów – niech pani nazywa ich jak chce. Tak czy inaczej, byli na jego żołdzie, byli jego „aktywami”. Przekazywali mu informacje, służyli radą, lecz przede wszystkim wywierali wpływ na tych, na których Dullesowi zależało. Umiał ich do siebie przekonać. Cóż, ostatecznie doprowadził do zawarcia nieprawdopodobnej ilości umów między rządami i międzynarodowymi koncernami, dlatego był kontaktem wprost bezcennym. Jeśli miał do czynienia z biznesmenem, mógł mu załatwić duży rządowy kontrakt. Jeśli miał do czynienia z wysokim urzędnikiem państwowym, mógł dostarczyć mu istotną informację, dzięki której urzędnik ten robił błyskawiczną karierę. Pieniądze i informacja: Dulles rozumiał, że jedno można wymienić na drugie, że jest to coś w rodzaju walut, których kurs podlega nieustannym zmianom. Rola pośrednika, jaką odgrywał, zależała naturalnie od tego, ile wiedział, a on zawsze wiedział trochę więcej niż inni.

–Rola pośrednika?

–Słyszała pani o Banku Rozrachunków Międzynarodowych w Bazylei?

–Chyba nie.

–W latach czterdziestych było to coś w rodzaju kantoru, gdzie biznesmeni z prowadzących wojnę państw mogli spokojnie usiąść i podzielić się zyskami. Bardzo pożyteczna instytucja -jeśli tylko było się biznesmenem. Cóż, ostatecznie interes nie przestanie kręcić się tylko dlatego, że zaczęły strzelać działa. Jednakże wrogość dzieląca ich kraje miała zły wpływ na układy partnerskie, na zawieranie sojuszy i spółek, przyczyniając się do powstawania różnych przeszkód. Dulles znalazł sposób, żeby je ominąć.

–Okropne.

–Ale prawdziwe. Widzi pani, Dulles wierzył w „sieć”. To słowo-klucz, bez niego nie zrozumie pani jego życiowej misji. Sieć tworzyły jednostki. Była to bardzo skomplikowana struktura, bardzo zwarta, dlatego jako całość mogła wywierać wpływ znacznie większy niż suma jej poszczególnych części. Imponujące i frapujące, prawda? Jak mówię, wszystko sprowadza się do krzywego pnia, z którego powstał nasz ród.

Anna uniosła brew.

–Imponujące, frapujące i trochę przerażające.

Na skroni Bartletta pulsowała błękitna żyłka.

–Owszem, przerażające, i bynajmniej nie trochę. Widzi pani, tego rodzaju sieci charakteryzują się tym, że są niewidzialne dla osób postronnych, a nawet dla pewnej grupy tych, którzy w niej tkwią. Kolejną ich cechą jest to, że zwykle przeżywają swoich założycieli. Można powiedzieć, że zaczynają żyć własnym życiem. I mają

potężny wpływ na organizacje, które dadzą się im opleść. – Bartlett ponownie poprawił spinki. – Pajęczna sieć... Wie pani, co to jest *Hymenoepimecis*? To bardzo interesujący pasożyt, maleńka osa, bardzo sprytna i przebiegła: żądli pająka, paraliżuje go i składa jaja w jego brzuchu. Paraliż szybko mija i pająk ponownie przystępuje do pracy, jakby nic się nie stało, chociaż rośnie w nim larwa, która żywi się jego płynami. Po pewnym czasie, w nocy, kiedy ma się przepoczwaczyć i zabić pająka, wydziela do jego organizmu coś, co zmienia jego zachowanie. Tej właśnie nocy pająk tka kokon, dla niego rzecz kompletnie bezużyteczną, dla niej niezbędną. Gdy tylko skończy pracę, larwa pożera go, wchodzi do kokonu i zawisa na sieci. Ta wyrafinowana manipulacja zachowaniem nosiciela jest doprawdy niezwykła. Ale to jeszcze nie W porównaniu z tym, do czego są zdolni ludzie. Często o tym myślę. Co tkwi w nas? Jakie siły byłyby w stanie zmusić cywilny aparat rządowy do utkania sieci, która przeżyłaby tych, co ją utkali? Kiedy ten pasożyt nas pożre?

–Dobrze – powiedziała Anna – pospekulujmy. Załóżmy, że pół wieku temu użądliła nas jakaś mroczna organizacja, że wprowadziła do naszego organizmu coś, co w nas teraz dojrzewa i co kiedyś nas zniszczy. Nawet jeśli tak jest, jak się o tym dowiemy?

–Znakomite pytanie, panno Navarro – odrzekł Bartlett. – Sieć trudno zauważyć, nawet jeśli jest wielka, prawda? Czy była pani kiedyś w starej piwnicy albo w mrocznym magazynie, gdzie nic nie widać? Włącza pani latarkę i nagle zdaje pani sobie sprawę, że pusta przestrzeń nad pani głową wcale nie jest pusta, że wypełniają ją warstwy pajęczyn, że wisi tam olbrzymi, srebrnoszklisty baldachim. Kieruje pani tatarkę w inną stronę i baldachim znika, jakby nigdy go tam nie było. Jak to? Co to? Czy to tylko wyobraźnia? Zadziera pani głowę. I nic. tylko pustka. A potem przesuwają pani latarkę, ustawiają pod kątem, skupia wzrok na jakimś punkcie i nagle wszystko widać ponownie. – Bartlett sondował jej twarz, sprawdzając, czy Anna go rozumie. – Ludzie tacy jak ja spędzają całe dni na poszukiwaniach tego

właśnie kąta, tego jedyne go kąta, pod którym pajęczyna staje się ponownie widoczna. Często za bardzo wyteżamy wzrok i wtedy ponosi nas wyobraźnia, widzimy wówczas rzeczy, które nie istnieją. Ale pani, panno Navarro, nie wygląda mi na kobietę o wybujałej wyobraźni.

–Mam to rozumieć dosłownie?

–Broń Boże nie chcę zarzucić pani braku wyobraźni, wprost przeciwnie. Stwierdzam jedynie, że potrafi pani nad nią panować. Nieważne. Chodzi po prostu o to, że kilkunastu ludzi dysponujących znacznymi funduszami finansowymi pozawierało jakieś sojusze. Tyle historia. Ale co z tych sojuszków wynikło? Chciałbym to wiedzieć. Pozostały nam tylko te nazwiska.

–Trzy nazwiska. Nazwiska trzech starców.

–Chciałbym zwrócić pani uwagę na Gastona Rossignola. W młodości był potężnym szwajcarskim bankierem. To najbardziej prominentna i najstarsza osoba na liście.

–Dobrze. – Anna podniosła wzrok. – Mieszkaniec Zurychu. A więc Zurych. Zakładam, że ma pan jego akta.

Bartlett otworzył szufladę, wyjął z niej teczkę opatrzoną stemplami klauzuli

tajności i położył ją na biurku.

–Są dość obszerne, choć niepozbawione luk.

–Dobrze. Chciałabym je sobie obejrzeć, zanim się do niego dobiorą.

–Pod warunkiem, że go pani znajdzie.

–Całe życie spędził w Zurychu. Sam pan powiedział, że jest tam specyficzna grawitacja. Nawet jeśli się przeprowadził, jest jeszcze rodzina, są przyjaciele. Każdy strumień wpada do rzeki.

–Albo do fortecznej fosy, Ludzie tacy jak Rossignol mają potężnych, wysoko postawionych przyjaciół, którzy zrobią wszystko, żeby go ochronić. Przyjaciół, którzy -jak powiadają Francuzi – są *branche*. Potężni i wpływowi. Potrafią uczynić go niewidzialnym, usunąć jego ślady z akt i komputerowych baz danych. Chce pani zastosować jakiś sprytny wybieg?

–Nie, nic z tych rzeczy. Właśnie tego będą się bać. Ja Rossignolowi nie zagrażam. Jeśli jego przyjaciele są tak dobrze poinformowani, jak pan twierdzi, zdadzą sobie z tego sprawę i rozgłoszą.

–Więc chce pani zastosować prosty plan z cyklu „przychodzę w pokoju”? – Zadał to pytanie z lekką ironią w głosie, lecz widać było, że jest zaintrygowany.

Anna wzruszyła ramionami.

–Coś w tym stylu. Najlepszym sposobem jest sposób najprostszy i najbardziej bezpośredni. Zresztą wkrótce się przekonam. – Zerknęła na zegarek. – Lecę do Zurychu najbliższym samolotem.

Mettlenberg, St. Gallen, Szwajcaria

Niewiele ponad pięć godzin później Ben Hartman siedział w wynajętym range roverze na służbowym parkingu przed Regionalshospital Sankt Gallen Nord, obserwując wchodzących i wychodzących ze szpitala pracowników: lekarzy, pielęgniarki i techników. Potężny silnik samochodu mruczał na wolnych obrotach. Chociaż minęła już piąta i skończył się dzień pracy, ludzi było niewielu – na szczęście. Powoli zapadał zmierzch i zapalały się pierwsze światła.

Zadzwoił do szpitala z Zurychu. Zadzwoił, poprosił do telefonu doktor Hubli, a gdy połączono go z pediatrią, spytał po angielsku, czy ją zastał.

Tak, była na oddziale. Czy chciałby umówić się na wizytę? Pielęgniarka mówiła łamaną, lecz zrozumiałą angielszczyzną.

–Nie – odparł. – Chciałem się tylko upewnić, czy pani doktor jest w szpitalu. Zachorował mi syn i teraz już wiem, że jeśli mu się pogorszy, mogę go do was przywieźć. – Spytał, do której doktor Hubli pracuje, podziękował i odłożył słuchawkę.

Liesl miała skończyć pracę o czwartej i czekał na nią już od ponad dwóch godzin. Był pewien, że jeszcze nie wyszła. Poza tym widział jej renówkę na parkingu. Doszedł do wniosku, że jest oddaną pracowniczką, która nie zważa na harmonogram dyżurów.

Zdał sobie sprawę, że może tak jeszcze posiedzieć długo.

Listy z nazwiskami założycieli Sigmy w skrytce nie było, więc gdzie mogła być? Peter powiedział, że ukrył ją w bezpiecznym, miejscu. Czy Liesl mówiła prawdę, twierdząc, że nie wie, gdzie Peter schował ten przeklęty dokument? Jeśli zaś mówiła

prawdę, to czy jest możliwe, żeby Peter ukrył listę wśród swoich rzeczy, nic jej o tym nie mówiąc?

Kiedy ją o to spytał, odpowiedziała za szybko. Coś przed nim zataiła. Na pewno? Musiał to sprawdzić. Musiał pojechać do jej domku.

Czterdzieści minut później wyszła z izby przyjęć.

Rozmawiała z kimś, wesoło i żartobliwie. Pomachała tej osobie na pożegnanie i zapięła skórzaną kurtkę. Na wpół idąc, na wpół biegnąc, doszła do samochodu, wsiadła, uruchomiła silnik i ruszyła.

Ben odczekał chwilę i wyjechał z parkingu. Wiedział, że Liesl nie rozpozna range royera, że nie będzie niczego podejrzewała, choć jak zwykle zachowa ostrożność. Mimo to wolał jej nie alarmować.

W księgarni podróżniczej w Zurychu kupił mapę kantonu St. Gallen i dokładnie przestudiował sieć dróg w tej okolicy, i Peter, i ona wspominali o małym leśnym domku. Las. Jeden był osiem kilometrów na północny-zachód od szpitala, drugi znacznie dalej: czterdzieści kilometrów bocznymi drogami. Czterdzieści kilometrów. Dla kogoś, kto musi codziennie dojeżdżać do pracy – a czasami, w przypadku nagłego wezwania, pędzić tam na złamanie karku – to całkiem spora odległość. Tak więc bardziej prawdopodobne było to, że domek Liesl stoi w tym bliższym lesie.

Znając okoliczne drogi, wiedział, że do najbliższego skrzyżowania są co najmniej dwa kilometry. Ale gdyby Liesl gdzieś nagle przystanęła lub pojechała na skróty, mógłby ją zgubić. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że tego nie zrobi.

Wkrótce droga zaczęła piąć się stromo w górę i gwałtownie opadać w dół, jak większość dróg w tej pagórkowatej części Szwajcarii. Mógł dzięki temu widzieć na znaczną odległość i po pewnym czasie ze szczytu wzgórza zobaczył, że renówka przystaje na światłach. Niedaleko stąd było skrzyżowanie z szosą numer dziesięć. Gdyby skręciła w lewo, w tę właśnie stronę, oznaczałoby to, że jedzie tam, gdzie przypuszczał. Gdyby skręciła w prawo albo pojechała prosto, musiałby zdać się na łaskę i niełaskę losu, bo nie wiedziałby, dokąd zmierza.

Renówka skręciła w lewo.

Ben przyspieszył i dojechał do skrzyżowania kilka minut później. Na drodze panował spory ruch i jego rangę rover nie rzucał się w oczy. Czuł, że Liesl nie wie, że ktoś ją śledzi.

Czteropasmowa szosa biegła wzdłuż torów kolejowych, przecinając bezkresne pola i łąki rozciągające się hen, aż po horyzont. I nagle renówka skręciła – według niego, o kilka kilometrów za wcześniej.

Skręcił za nią, w wąską, usianą zakrętami drogę, i raptem zdał sobie sprawę, że zostali sami, ona i on, że nie podąża za nimi żaden inny samochód. Niedobrze. Zapadła ciemność, droga była mało uczęszczana i przypuszczał, że Liesl na pewno go wkrótce zauważy. Jeśli tak, albo zwolni, żeby sprawdzić, kto ją śledzi, albo – uznał, że to bardziej prawdopodobne – spróbuje go zgubić. Gdyby nagle przyspieszyła, zaczęła zachowywać się dziwnie, nie miałby wyboru i musiałby się ujawnić.

Na szczęście droga była bardzo kręta i szybko stwierdził, że jeśli tylko zachowa

odstęp równy co najmniej jednemu zakrętowi, niebezpieczeństwo wypadki raczej mu nie grozi. Wjechali w las, początkowo rzadki, potem coraz gęstszy. Od czasu do czasu widział błysk reflektorów renówki, która to ukazywała się, to znikła za zakrętami. Mógł dzięki temu jechać za nią w sporej odległości, wiedząc, że Liesl go nie wypatrzy.

Lecz kilka minut później światła reflektorów zniknęły na dobre.

Gdzie ona jest? Skręciła? Przyspieszyła? On też przyspieszył, żeby to sprawdzić. Przejechał kilka kilometrów i nic, jak kamień w wodę.

Musiała skręcić w las, chociaż był niemal pewien, że nie ma tam żadnej drogi czy choćby ścieżki. Zawrócił – szosa wciąż była pusta – i powoli pojechał z powrotem, wypatrując skrętu.

Niewiele widział, zapadła już ciemność.

Mimo to wkrótce zauważył coś, co przy dobrych chęciach mogło uchodzić za drogę. Była to raczej leśna ścieżka, ale gdy wyteńczył wzrok, dostrzegł na niej płytkie koleiny.

Skręcił i natychmiast stwierdził, że musi zwolnić jeszcze bardziej. Dla renówki ścieżka była jak w sam raz, lecz szeroki range rover ledwo się na niej mieścił: gałęzie i konary podrapały mu wkrótce maskę i drzwi. Zdjął nogę z pedału gazu – warkot silnika i trzask chrustu pod kołami mógł ją spłoszyć.

Według mapy las był niewielki. Otaczał małe jezioro, a raczej staw, do którego prowadziła tylko jedna droga.

Dobrze.

Zakładając, że mapa jest dokładna.

Dojechał do miejsca, gdzie ścieżka się rozwidlała. Wysiadł i stwierdził, że jedna odnoga kończy się sto metrów dalej. Druga, zryta głębokimi koleinami, prowadziła w głąb lasu. Wsiadł do samochodu i podskakując na wertepach, zastanawiał się przez chwilę, jak na tej trasie radzi sobie swoją renówką Liesl, skoro on z trudem pokonywał ją range roverem.

Niebawem ścieżka się skończyła.

Wtedy zobaczył jej wóz.

Zaparkował tuż za nim i wysiadł. Było już zupełnie ciemno i nic nie widział. Kiedy zgasł silnik, zapadła głucha cisza. Od czasu do czasu w lesie coś szurało i szeleściło – pewnie jakieś zwierzę – od czasu do czasu sennie świergotał ptak.

Gdy oczy przywykły do ciemności, dostrzegł ścieżkę. Była jeszcze węższa niż ta, którą tu przyjechał, i biegła pod baldachimem nisko zwisających gałęzi. Pochylił się, wyciągnął przed siebie ręce, żeby nie podrapały mu twarzy i potykając się co krok, ruszył naprzód.

Żółtawa poświata, polanką na polance mały dom z przepołowionych bierwion, uszczelnionych białawą, chropowatą zaprawą. Miał kilka okien -nie była to prymitywna wiejska chata. Z okien sączyło się światło. Nie dostrzegł drzwi: musiały być z drugiej strony. Cichutko, tuż przy ścianie, zaczął obchodzić dom.

Raptem dobiegł go metaliczny szczęk. Poderwał głowę.

Stała przed nim Liesl z pistoletem w ręku.

–Ani kroku! – krzyknęła.

–Zaczekaj! – Chryste, wyjść po ciemku z domu i stawić czoło intruzowi: ta kobieta była nieustraszona. Jeszcze sekunda i już by nie żył.

–To ty! – Dopiero teraz go rozpoznała. – Co ty tu, do diabła, robisz? –

Opuściła broń.

–Liesl, musisz mi pomóc.

Zza chmur wyszedł blady księżyc i wyluskał z mroku jej wściekle wykrzywioną twarz.

–Śledziłeś mnie! Jechałeś za mną od samego szpitala! Jak śmiesz!

–Proszę, musisz pomóc mi coś znaleźć. – Boże, co miał zrobić, żeby zaczęła go słuchać?

Zdenerwowana, gniewnie potrząsnęła głową.

–Pokazałeś im, gdzie mieszkam! Niech cię szlag!

–Nie, nikt za mną nie jechał.

–Skąd wiesz? Gdzie wynająłeś ten wóz?

–W Zurychu.

–No jasne. Idiota! Jeśli cię obserwowali, wiedzą już, gdzie jesteś!

–Liesl, nikt za mną nie jechał.

–Skąd możesz wiedzieć! – warknęła. – Jesteś amatorem!

–A ty amatorką.

–Tak, ale amatorką, która od czterech lat żyje w cieniu śmierci. Odejdź stąd.

Proszę. Odejdź!

–Nie – odparł cicho, lecz z nieodwołalnym postanowieniem w głosie. – Musimy porozmawiać.

Rozdział 16

Izba była niska, prosto urządzona, mimo to bardzo przytulna. Przy ścianach stały półki z książkami. „Peter sam je zrobił”, powiedziała z dumą Liesl. Podłoga z szerokich sosnowych desek, kamienny kominek, przy kominku stos równo ułożonych polan, piec, mała kuchnia – wszędzie pachniało dymem.

Było zimno, więc rozpałała w piecu. Ben zdjął kurtkę.

–Jesteś ranny. Oberwałeś.

Spojrzał na swoje lewe ramię. Biała bawełniana koszula była sztywna od zakrzepłej krwi. To dziwne, ale wcale nie odczuwał bólu – stres i zmęczenie zrobiły swoje, a podczas długiej jazdy przez góry zdążył o nim zapomnieć.

–To nic takiego – mruknął.

–Zależy, jak to „nic” wygląda. Zdejmij koszulę. – Ona była teraz lekarką, on pacjentem.

Rozpiął guziki i podniósł ręce. Materiał musiał przywrzeć do rany, bo natychmiast przeszył go ostrzegawczy ból.

Liesl wzięła czystą gąbkę, namoczyła ją w ciepłej wodzie i zwilżyła okolice rany. Potem ostrożnie podważyła materiał.

–Miałeś niesamowite szczęście. To tylko draśnięcie. Jak to się stało?

Opatrywała mu ranę, a on opowiadał.

–Jest brudna – orzekła po chwili. – Muszę ją dobrze oczyścić, żeby nie wdało się zakażenie. – Kazała mu usiąść przy zlewie i nalała do miski wrzątku, żeby trochę przestygł. Potem przyniosła gazę i żółtą plastikową buteleczkę z jakimś środkiem odkażającym.

Krzywił się z bólu, gdy oczyszczała i odkażała mu ranę.

–Boli bardziej, niż wtedy, kiedy mnie trafili – powiedział.

Przyłożyła sterylną gazę i okleiła ją plastrem.

–Następnym razem szczęście się od ciebie odwróci – rzuciła beznamiętnie.

–Szczęście mi teraz niepotrzebne – odparł. – Potrzebna mi wiedza. Muszę zrozumieć, co się, do diabła, dzieje. Muszę namierzyć tych z Sigmy. Oni już mnie namierzili.

–Szczęście, wiedza... Wierz mi, będziesz potrzebował i tego, i tego. – Podała mu koszulę. Ciężką koszulę z grubo tkanej bawełny. Koszulę Petera.

Doświadczenia ostatnich kilku dni, wszystko, co przez te dni przeżył, co trzymał dotąd na wodzy, wezbrało w nim nagle, wywołując zawrót głowy, falę paniki, smutku i rozpacz.

Liesl wyczytała to z jego twarzy i szepnęła:

–Daj, pomogę ci.

Wiedział, że musi wziąć się w garść, choćby tylko ze względu na nią. Mógł się jedynie domyślać, jak wielki dręczy ją ból. Kiedy wreszcie włożył koszulę, Liesl długo mu się przyglądała.

–Jesteście tacy podobni. Peter nigdy mi o tym nie mówił. Pewnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

–Bliźniacy tego nie widzą.

–Nie, nie chodzi tylko o podobieństwo fizyczne. Niektórzy mówili, że Peter do niczego nie dąży, że nie wyznaczył sobie żadnego celu. Ale ja wiedziałam, że jest inaczej. On był jak oklapły żagiel, który czeka na wiatr. I kiedy już ten wiatr złapał, rósł z nim w siłę jak... jak... – Potrząsnęła głową, czując, że Ben jej nie rozumie. – Chcę tylko powiedzieć, że był wytrwały, że wiedział, czego chce.

–Tak. Właśnie to najbardziej w nim podziwiałem: życie, które sobie stworzył. Zaskrzyły jej się oczy.

–Pragnął sprawiedliwości. To była jego obsesja, jego pasja. Pasja, którą przesiąkł do szpiku kości.

–Sprawiedliwość – zauważył gorzko Ben. – To słowo niewiele znaczy w świecie kapitału.

–Ty się w tym świecie dusisz. Powoli się dusisz, tak jak on to przewidział.

–Tak, ale można umrzeć znacznie szybciej. Właśnie się o tym przekonałem.

–Opowiedz mi o szkole, w której uczyłeś. Peter mi powiedział, że uczyłeś. W Nowym Jorku, prawda? Byłam tam tylko dwa razy. Pierwszy raz jako młoda dziewczyna, drugi – dużo później, na konferencji medycznej.

–Tak, uczyłem w Nowym Jorku, ale był to Nowy Jork, którego turyści nigdy nie oglądają. Słyszałaś może o Wschodnim Nowym Jorku? To taka dzielnica. Niewielka, najwyżej kilka kilometrów kwadratowych. Mieszkają tam najbiedniejsi. Kilka salonów samochodowych, kilka winiarni, kilka knajp z wódką i papierosami, kilka kantorów. Obwód siedemdziesiąty piąty. Policjanci, którzy mieli pecha, i których tam przydzielono, nazywają go siedemdziesiątką piątką. Za moich czasów w siedemdziesiątce piątce doszło do ponad stu zabójstw. Nocami człowiek czuł się tam jak w Bejrucie. Do snu usypiała cię kanonada. Straszne miejsce, pełne rozpacz. Większość nowojorczyków spisała je na straty.

–A ty tam uczyłeś.

–Tolerowała je Ameryka, najbogatszy kraj świata. Uważałem, że to wstrętne. Soweto to przy Wschodnim Nowym Jorku cudowne Hawaje. Tak, oczywiście, prowadzono tam jakieś akcje dla najuboższych, ale panowało milczące przekonanie, że to bez sensu. „Biedni zawsze będą wśród nas”. Nikt już tego nie powtarzał, ale święcie w to wierzono. Zamiast mówić o biedakach, mówili o „przekształceniach strukturalnych” o „wzorcach zachowania społecznego”, bo oni, ci z klasy średniej, mieli się świetnie. No to się postawiłem. Oczywiście wiedziałem, że świata nie zmienię; nie byłem aż tak naiwny. Ale powiedziałem sobie, że jeśli uda mi się uratować chociaż jednego dzieciaka, może dwóch, może trzech, to będzie już coś.

–I uratowałeś?

–Możliwe. – Nagle poczuł, że ogarnia go straszliwe zmęczenie. – Możliwe. Ale nie zdążyłem już tego sprawdzić. Nie mogłem – dodał z odrazą. – Zamawiałem wtedy suflety z truflami w Aureole i piłem cristala z klientami.

–Taka zmiana musiała być dla ciebie szokiem – powiedziała łagodnie Liesl. Słuchała go bardzo uważnie, może po to, żeby choć na chwilę zapomnieć o swoim bólu.

–Koszmarnym. Ale wiesz, byłem w tym znakomity! Te wszystkie gierki, ta celebra,

te rytuały, to umizgiwanie się do klientów: miałem to we krwi. Jeśli chciałabyś poznać kogoś, kto nie zaglądając do menu, zamawia najdroższe potrawy w najdroższej restauracji w mieście, nie znalazłabyś faceta lepszego ode mnie. No i robiłem wszystko, żeby skrócić sobie kark. Rekreacyjnie, rzecz jasna. Uwielbiałem sporty ekstremalne. Wspinałem się w Vermillion Cliffs w Arizonie. Żeglowałem solo po Bermudach. Latałem na paralotni nad Przełęczą Camerona. Courtney, moja była dziewczyna, mówiła, że chcę się zabić, ale to nieprawda. Robiłem to, żeby żyć, żeby czuć, że żyję. – Pokręcił głową. – Głupio to teraz brzmi, co? Rozrywki próżnego, bogatego szczeniaka, który nie widzi powodu, żeby zwlekać się rano z wyra.

–Może robiłeś to dlatego, że wyrwano cię z twojego naturalnego środowiska?

–To znaczy z jakiego? Nie wiem, czy zbawianie zatraczonych dusz w Nowym Jorku było moim życiowym powołaniem. Po prostu nie wiem. Nie zdążyłem się o tym przekonać.

–Jesteś jak żagiel – szepnęła ze smutnym uśmiechem Liesl. – Jak Peter. Szukasz wiatru.

–Wiatr mnie znalazł, i to monsun, cholera. Pół wieku temu jacyś ludzie uknuli spisek. Minęło pięćdziesiąt lat, a oni wciąż zabijają, gustując w tych, których najbardziej Kocham. Przeżyłaś kiedyś sztorm? Sama, w małej krypie na środku morza? Nie przypuszczam, dlatego powiem ci, że pierwszą rzeczą, którą się wtedy robi, jest ściągnięcie żagla.

–Teraz? Uważasz, że to jakieś wyjście? – Nalała mu odrobinę brandy.

–Nie wiem. Nie wiem nawet, jakie są wyjścia. Ty i Peter myśleliście o tym dłużej niż ja. Do jakich doszliście wniosków?

–Już ci mówiłam. Żadnych konkretów, niemal same domysły. Peter przeczytał stos książek o tamtych czasach. 1 to, czego się dowiedział, bardzo go przybiło. Podczas drugiej wojny światowej wszystko było jasne: ci są źli, ci dobrzy, mimo to istnieli tacy, którzy mieli na ten temat zupełnie inne zdanie. Działo wówczas wiele korporacji, które postawiły sobie za cel utrzymanie płynności finansowej, i to za wszelką cenę. Niektóre widziały nawet w wojnie okazję do pomnożenia zysków. Zwycięzcy nie poradzili sobie ze spuścizną tej podwójnej gry. Zresztą tak jest dla nich wygodniej. – Jej ironiczny uśmiech przypominał mu zapiekłą wściekłość, kipiący gniew brata.

–Dlaczego?

–Zbyt wielu amerykańskich i brytyjskich przemysłowców mogłoby zostać schwytanych i postawionych przed sądem za współpracę z wrogiem, za kolaborację. Lepiej zmieść śmieci pod dywan. Zadbali o to bracia Dullesowie. Tropić kolaborantów? Jak by to wyglądało? Zatarłyby się granice między dobrem i złem, runąłby mit o niewinności aliantów. Wybacz, że mówię tak niejasno. Niektóre z tych historii słyszałam tyle razy, że... Pewien młody prawnik z Departamentu Sprawiedliwości miał odwagę wygłosić przemówienie na temat kolaboracji amerykańskich biznesmenów z nazistami. Natychmiast wyrzucono go z pracy. Po wojnie ukarano niemieckich przemysłowców, tylko niektórych rzecz jasna. Tych największych nie tknięto nawet palcem. Po co ścigać ludzi, którzy robili interesy z

Hitlerem – ba! Którzy Hitlera stworzyli – skoro teraz z radością robią interesy z Ameryką? Kiedy pod naciskiem nadgorliwych oficjeli z Norymbergii kilku z nich skazano na więzienie, J. McCloy, wasz Wysoki Komisarz, natychmiast złagodził im wyrok. Okrucieństwa faszyzmu są godne pożałowania, ale kruk krukowi oka nie wykolę, prawda?

W jej głosie znowu słyszał pełen pasji ton Petera.

–Nie mogę tego pojąć – odparł apatycznie. – Wchodzić w układy finansowe z kimś, z kim prowadzi się wojnę?

–Pozory czasem mylą. Reinhard Gehlen, jeden z najwyższych oficerów niemieckiego wywiadu, wyczuł pismo nosem i już w czterdziestym czwartym zaczął przygotowywać się na przyjęcie aliantów. Ci z dowództwa naczelnego wiedzieli, skąd wieje wiatr, wiedzieli, że Hitler to wariat, człowiek niespełna rozumu. I zadbali o to, żeby mieć czym handlować. Sfotografowali niemieckie materiały wywiadowcze na temat ZSRR, włożyli je do wodoszczelnych pojemników, pojemniki zakopali na alpejskiej łące, zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów stąd, po czym przekazali je amerykańskiemu wywiadowi. I co? To, że po wojnie mianowaliście Gehlena szefem Organizacji Rozwoju Przemysłowego Południowych Niemiec.

Znużony Ben potrząsnął głową.

–Widzę, że ty też w to wsiąkł. I że nic z tego nie rozumiem. – Dopił resztkę brandy.

–Masz rację, oboje w to wsiąkliśmy. Musieliśmy. Pamiętam, co mi kiedyś powiedział. Powiedział, że nieważne, gdzie oni są. Ważne, gdzie ich nie ma. Nieważne, komu nie wolno zaufać. Ważne, komu można. Wtedy brzmiało to jak paranoja...

–Ale teraz już nie brzmi.

–Nie – odrzekła, lekko trzęsącym się głosem. – Teraz zwarli szyki, teraz polują na ciebie, oficjalnie i nieoficjalnie. – Zawahała się. – Muszę ci coś dać.

Zniknęła w sypialni i wróciła z kartonowym pudełkiem, w jakie pakuje się czyste koszule w pralni. Postawiła je na stole i otworzyła. Dokumenty. Zalaminowane dowody tożsamości. Paszporty. Waluta obiegowa współczesnej biurokracji.

–Należały do Petera – powiedziała. – Owoce tych czterech lat.

Ben przerzucał je palcami jak karty do gry. Trzy różne nazwiska, trzy identyczne twarze. A właściwie jedna twarz: twarz Petera. I jego własna. Praktyczne.

–„Robert Simon”. Sprytne. W Stanach i w Kanadzie mieszkają tysiące Simonów, „Michael Johnson”. Tak samo. „John Freedman”. Nie znam się na tym, ale to chyba dobra, fachowa robota.

–Peter był perfekcjonistą- odrzekła Liesl. – Wszystkie są bez zarzutu.

Przeglądając dokumenty, natknął się na karty kredytowe z nazwiskami identycznymi jak te w paszportach. I na paszporty „żon”: gdyby Robert Si-mon musiał wyjechać gdzieś z „żoną”, mógłby to zrobić choćby zaraz. Peter...

Niesamowite. Podziwiał go, jednak podziw szybko ustąpił miejsca głębokiemu smutkowi. Brat był taki staranny, taki metodyczny, tak obsesyjnie ostrożny, mimo to tamci wytropili go i zabili.

–Liesl, muszę cię o to spytać. Czy możemy być pewni, że ci z Sigmy nie znają tych nazwisk? Że te paszporty są czyste?

–To, że coś jest prawdopodobne, nie znaczy, że jest możliwe.

–Kiedy ostatni raz używał nazwiska Roberta Simona? I w jakich okolicznościach?

Skupiona zamknęła oczy i z zadziwiającą dokładnością odtworzyła wszystkie szczegóły. Dwadzieścia minut później był już niemal całkowicie pewien, że co najmniej dwa nazwiska są absolutnie czyste: w ciągu ostatnich dwóch lat Peter nie użył ich ani razu. Schował dokumenty do pojemnej wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki.

Przykrył dłoń Liesl swoją dłonią i spojrzał w jej czyste, błękitne oczy.

–Dziękuję – szepnął. Zadziwiająca kobieta, pomyślał. Brat był szczęściarzem.

–Rana zagoi się w ciągu kilku dni – odrzekła. – Trudniej ci będzie przywyknąć do nowego nazwiska, ale te dokumenty ci pomogą.

Otworzyła butelkę czerwonego wina i rozlała je do kieliszków. Było znakomite: miało bogaty bukiet, doskonały, lekko gorzkawy smak i Ben zaczął się powoli odprężyć.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli na płonący w kominku ogień. Ben myślał: jeśli Peter ukrył tę listę tutaj, gdzie by mogła być? A jeśli nie tutaj, to gdzie? Powiedział, że jest w bezpiecznym miejscu. Oddał ją Deschnerowi? Nie, to bez sensu: zabiegać o otwarcie konta ze względu na skrytkę, a potem, zamiast zdeponować listę w skrytce, ukrywać ją gdzieś indziej? Po co?

Dlaczego w skrytce było tylko zdjęcie?

Deschner. Jaką rolę odegrał -jeśli w ogóle jakąś odegrał – w rym, co wydarzyło się w banku? Powiadomił ukradkiem Sucheta, że Ben przebywa w Szwajcarii nielegalnie? To też nielogiczne: mógł to zrobić przed wizytą w banku, zanim wpuszczono ich do skarbcza. Czy to możliwe – wbrew temu, co twierdził – żeby wyjął ze skrytki listę i przekazał ją prześladowcom Petera wiele miesięcy, może nawet lat wcześniej? Liesl mu ufała...

W głowie kłębiło mu się od sprzecznych myśli i w końcu stwierdził, że nie potrafi już trzeźwo myśleć.

Milczenie przerwała Liesl.

–Niepokoi mnie to, że tak łatwo dałam się wyśledzić – powiedziała. – Nie obraż się, ale jesteś amatorem. Zawodowcowi poszłoby jeszcze łatwiej.

Bez względu na to, czy miała rację czy nie, Ben wyczuł, że musi ją pocieszyć.

–Nie zapominaj, że wiedziałem, gdzie mieszkasz, od ciebie i od Petera. Domek w lesie nad jeziorem. Kiedy dowiedziałem się, w którym pracujesz szpitalu, sprawa była już stosunkowo prosta. Ale gdybym tego nie wiedział, pewnie szybko byś mnie zgubiła.

Liesl milczała. Niespokojnie patrzyła w ogień.

Ben spojrzał na rewolwer, który zostawiła na stole przy drzwiach.

–Umiesz się tym posługiwać?

–Mój brat służył w wojsku. Tutaj każdy chłopak umie strzelać. Mamy nawet państwowe święto, które chłopcy obchodzą na strzelnicy. Mój ojciec uważał, że

dziewczynki mają takie same prawa jak chłopcy i że też powinny umieć strzelać. Jak widzisz, jestem dobrze przygotowana do takiego życia. – Wstała. – Zgłodniałam. Zrobię kolację. – Ben poszedł za nią do kuchni.

Zapaliła gaz, z maleńkiej lodówki wyjęła kurczaka, posmarowała go masłem, posypała ziołami i wstawiła do piekarnika. Kiedy gotowała ziemniaki i smażyła jakąś zieleninę, rozmawiali o jej pracy i o Peterze.

Ben wyjął z kieszeni zdjęcie. Jadąc za Liesl sprawdził, czy woskowana koperta uchroniła je przez zamknięciem.

–Spójrz - powiedział. – Znasz ich? Wiesz, kim są?

Wytrzeszczyła oczy.

–Boże;, przecież to wasz ojciec! Jesteście tacy podobni... Przystojny był! Bardzo przystojny.

–A pozostali? Znasz ich? Zawahała się i zmartwiona pokręciła głową.

–Wyglądają na grube ryby, ale w takim garniturze każdy by tak wyglądał. Przykro mi, ale nie wiem. Peter nigdy mi tego zdjęcia nie pokazywał. Tylko mi o nim opowiadał.

–A ta lista? Lista założycieli Sigmy. Wspominał może, że ukrył ją gdzieś tutaj? Przesłała mieszać w garnku.

–Nie, nigdy. – Powiedziała to głośno i zdecydowanie.

–Na pewno? W skrytce jej nie było.

–Gdyby ukrył ją w domu, prędzej czy później by mi o tym powiedział.

–Niekoniecznie. Zdjęcia ci nie pokazał. Może nie chciał cię w to wciągać? Może nie chciał, żebyś się denerwowała?

–W takim razie oboje wiemy tyle co nic.

–Mógłbym się tu rozejrzeć?

–Oczywiście, nie krępuj się.

Podczas gdy ona kończyła gotować kolację, on spróbował wczuć się w rolę brata i metodycznie przeszukał domek. Gdzie Peter mógłby ją ukryć? Wykluczył wszystkie miejsca, gdzie Liesl regularnie sprzątała i gdzie często zaglądała. Oprócz izby z kominkiem była tam jeszcze sypialnia i gabinet, ale oba pokoje urządzone bardzo skromnie, po spartańsku, i niczego w nich nie znalazł.

Sprawdził, czy w podłodze nie ma luźnych desek, opukał wszystkie ściany, i nic. Wrócił do kuchni.

–Masz latarkę? Popatrzę od zewnątrz.

–Latarki są w każdym pokoju. Często nie ma tu światła. Poszukaj na stoliku przy drzwiach. Ale za kilka minut jemy.

–Zaraz wracam.

Na dworze było zimno i zupełnie ciemno. Obchodząc dom, znalazł krąg wypalanej trawy – Liesl i Peter smażyli tam pewnie kielbaski – i wielki stos przykrytego brezentem drewna. Lista mogła leżeć w pojemniku, pod jakimś kamieniem, ale z tym będzie musiał zaczekać do rana. Poświecił na ściany, poszperał wokół zbiornika z propanem, i nic nie znalazł.

Kiedy wrócił, mały, okrągły stolik przy oknie był już nakryty: na obrusie w

czerwono-białą kratę stały dwa talerze i leżały sztuce.

–Pysznie pachnie – powiedział.

–Siadaj.

Rozlała wino, podała kurczaka. Mięso było wspaniale przyprawione i do- słownie je pochłonał. Oboje skupili się na jedzeniu i zaczęli rozmawiać dopiero wtedy, gdy zaspokoili głód. Drugi kieliszek wina wprowadził Liesl w melancholię. Opowiadając o Peterze, o tym, jak się poznali, płakała. Wspominała, jaki był dumny z tego, że samodzielnie urządził dom, że zrobił wszystkie półki, prawie wszystkie meble.

Półki, pomyślał Ben. Zrobił półki...

Gwałtownie wstał.

–Mogę się im przypatrzeć?

–Półkom? – Machnęła ręką. – Czemu nie?

Wyglądało na to, że Peter złożył je z kilku segmentów. Wszystkie miały tak zwane plecy: zamiast tynku i bierwion za książkami widać było drewno.

Półka po półce, Ben zdjął wszystkie książki, żeby go zbadać.

–Co ty wyprawiasz? – spytała rozsierdzona Liesl.

–Spokojnie, zaraz je poustawiam.

Minęło pół godziny i niczego nie znalazł. Liesl skończyła zmywać naczynia i oznajmiła, że pada ze zmęczenia. Mimo to coraz bardziej sfrustrowany Ben sprawdzał dalej, książka po książce, półka po półce. Doszedłszy do rzędu powieści F. Scotta Fitzgeralda, uśmiechnął się smutno. *Wielki Gatsby* - ulubiona powieść Petera.

I właśnie tam, za dziełami Fitzgeralda, w drewnianych plecach znalazł małą, niemal zupełnie niewidoczną skrytkę.

To była naprawdę mistrzowska robota: chociaż zdjął z półki wszystkie książki, było widać jedynie delikatny zarys czegoś w rodzaju kwadratowych drzwiczek. Próbował podważyć je paznokciami – bezskutecznie. Postukał w nie, nacisnął i... odskoczyły. Prawdziwe arcydzieło. Fakt, Peter był perfekcjonistą.

Jakiś papier. Starannie zwinięty i ściągnięty gumką. Ben zdjął ją i rozwinął dokument.

Krucha, delikatna, trochę pożółkła kartka. Tylko jedna. I zapisana tylko po jednej stronie.

Nagłówek: SIGMA AG. Data: 6 kwietnia 1945.

A pod spodem lista nazwisk, dyrektorów, wyższych urzędników i założycieli.

Boże, pomyślał Ben. Zmroziło go i poraziło. Peter miał rację: niektóre z nich dobrze znał. Nazwy korporacji, które istniały po dziś dzień, które produkowały samochody, broń i towary konsumpcyjne. Słynni przedsiębiorcy i prezesi. Oprócz nazwisk mężczyzn z fotografii było tam jeszcze nazwisko magnata przemysłowego Cyrusa Westona, którego imperium przewyższało potęgą hutnicze imperium Andrew Carnegiego, oraz nazwisko Avery'ego Hendersona, uważanego przez historyków za najważniejszego i najbardziej wpływowego – zaraz po Johnie Pierponcie Morganie – finansistę dwudziestego wieku. Nazwiska prezesów największych firm samochodowych, które swego czasu przyczyniły się do powstania pierwszego radaru, które jako pierwsze zastosowały w praktyce technologię mikrofalową i

chłodniczą, zdobycze nauki, których potencjał odkryto dopiero dziesiątki lat później. Szefowie trzech największych na świecie spółek naftowych: amerykańskiej, brytyjskiej i holenderskiej. Spółki telekomunikacyjne, dziś gigantyczne, wtedy zupełnie nieznane. Największe konsorcja i syndykaty tamtych czasów: jedne były dzisiaj równie potężne jak w czterdziestym piątym, inne spotęgniały jeszcze bardziej, łącząc się z pokrewnymi konsorcjami i syndykatami. Przemysłowcy z Ameryki, z Europy Zachodniej i... kilku przemysłowców z hitlerowskich Niemiec. Na samej górze listy widniało nazwisko ich skarbnika.

MAX HARTMAN
(OBERSTURMFÜHRER)

Serce waliło mu jak oszalałe. Max Hartman, porucznik SS, Falszywka? Jeśli tak, była doskonała. Ben widywał różne dokumenty, a to wyglądało jak pierwsza strona typowego świadectwa legalizacyjnego jakiejś spółki czy korporacji.

Z kuchni wyszła Liesl.

–Znalazłeś coś?

Ogień przygasł, w izbie zrobiło się chłodniej.

–Znasz któreś z tych nazwisk? – spytał Ben.

–Tylko te słynne. Peter nazywał ich „magnatami”.

–Prawie wszyscy już nie żyją.

–Pewnie mają spadkobierców, następców.

–Tak. Dobrze strzeżonych następców... Ale wiele z nich nie mi nie mówi. Nie jestem historykiem. – Wskazał kilka nazwisk spoza obszaru krajów anglojęzycznych.
– Znasz któreś? Któryś z nich jeszcze żyje?

Liesl westchnęła.

–Gaston Rossignol. On na pewno. Mieszka w Zurychu, wszyscy o nim słyszeli. Filar szwajcarskiego systemu bankowego całego okresu powojennego. Gerhard Lenz. Był współpracownikiem Josefa Mengelego, tego lekarza, potwora, który eksperymentował na więźniach obozów koncentracyjnych. Wiele lat temu umarł gdzieś w Ameryce Południowej. No i oczywiście... – urwała.

–Peter miał rację – powiedział Ben.

–Co do waszego ojca?

–Tak.

–To dziwne. *Der Apfel fällt nicht weit vom Stamm*. Tak u nas mówią. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ty i Peter jesteście identyczni i kiedy patrzę na młodego Maksa Hartmana, widzę w nim ciebie. Mimo to obaj bardzo się od niego różnicie. Jak mówię, pozory mylą.

–To zły człowiek.

–Tak mi przykro. – Długo przyglądała mu się w całkowitym milczeniu. Nie wiedział, czy ze smutkiem, czy ze współczuciem. – Nigdy nie byłeś tak podobny do brata jak teraz.

–To znaczy?

–Jesteś... Masz zalęknioną twarz. On też taką miał przez... przez ostatnie miesiące życia. – Zamknęła oczy i zamrugnęła, żeby odpędzić łzy. – Sofa w jego pokoju jest rozkładana. Zaraz ją...

–Nie trzeba. Sam to zrobię.

–Dam ci pościel. I powiemy sobie dobranoc. Padam ze zmęczenia i wypiliśmy za dużo wina. Mam słabą, głowę.

–Dużo ostatnio przeszłaś. Ja też.

Kiedy zniknęła w sypialni, rozebrał się, starannie złożył listę i schował ją do kieszeni wraz z paszportami. Kilka minut później zapadł w głęboki, niemal narkotyczny sen.

Wraz z dziesiątkami innych stali stłoczeni w szczelnie zamkniętym wagonie kolejowym – nikt z nich nie kąpał się od wielu dni i wszyscy cuchnęli straszliwie. Ben nie mógł się poruszyć. Wkrótce zemdłał, a kiedy się ocknął, był już gdzie indziej, w tłumie więźniów, chodzących szkieletów z ogolonymi głowami. Ale Peter się cieszył, bo nareszcie mógł wziąć prysznic, co z tego, że razem z tamtymi? Bena ogarnęła straszliwa panika, bo wiedział, bo on jakimś cudem wiedział. Chciał krzyknąć: „Peter! Nie! To nie prysznic, to komora gazowa! Uciekaj! To komora gazowa!” Chciał, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Pozostali więźniowie stali tam jak żywe trupy, a Peter gapił się na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. Płakało jakieś dziecko, potem zapłakało kilka młodych kobiet. Ben spróbował krzyknąć ponownie, lecz z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Czuł, że się dusi, czuł że napierają na niego wszystkie ściany. Peter zadarł głowę i popatrzył na sitka pryszniców, czekając, aż tryśnie z nich orzeźwiająca woda. A on usłyszał zgrzyt odkręcanych kurków, rdzawy pisk zaworów – usłyszał syk gazu.

–Nie! – Otworzył oczy i rozejrzał się po ciemnym pokoju.

Powoli usiadł i wyteńczył słuch. Nie, nie było żadnego zgrzytu, żadnego pisku. To tylko sen. Siedział na łóżku w leśnym domku brata. Tak, to tylko sen.

Na pewno? Na pewno nic nie słyszał?

I wtedy dobiegł go trzask drzwiczek samochodowych. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Trzask drzwiczek dużego samochodu, może nawet... range rovera?

Zerwał się z łóżka, chwycił latarkę, włożył dżinsy i adidas, narzucił na siebie kurtkę. Liesl? Wstała i poszła zajrzeć do samochodu? Po co? Pchnął drzwi do sypialni.

Leżała w łóżku. Miała zamknięte oczy. Spała.

Boże, to nie ona. Tam ktoś jest!

Stolik, na stoliku rewolwer. Chwycił go, po cichu otworzył drzwi na dwór i ostrożnie się rozejrzał. Nic. Tylko zalana księżycową poświatą polana. Zapalić latarkę? Nie, Zwróciłby na siebie uwagę, spłoszyłby intruza.

Jęknął rozrusznik, ryknął silnik. Ben skoczył przed siebie, wypadł zza węgła i zobaczył range rovera. Wóz stał na swoim miejscu, a w mroku ginęły tylne światła odjeżdżającego samochodu,

–Hej! – wrzasnął, puszczając się w pościg.

Ścieżka była wąska i zryta koleinami, mimo to wóz pędził z maksymalną prędkością, którą ograniczała jedynie niebezpieczna bliskość drzew. Ben biegł, biegł jak nigdy w życiu. W jednym ręku ścisnął rewolwer, w drugim długą latarkę, którą wymachiwał jak pałeczką podczas biegu sztafetowego w college'u. Czerwone światła malały, nieustannie się oddalały, lecz on wyteńczył siły i przyspieszył jeszcze bardziej, nie zważając na chłozzczące mu twarz gałęzie. Był jak automat, jak maszyna do biegania, ponownie był gwiazdorem bieżni, jak wtedy, jak za dawnych czasów, i nie zamierzał puścić im tego płazem. Przecinając drogę, która łączyła się ze ścieżką prowadzącą do domu, pomyślał: usłyszeli jakiś hałas? Chcieli się włamać, ale coś ich spłoszyło? I wciąż biegł, wciąż pędził, a światelka wciąż malały i rozmywały się w

mroku. Wreszcie dotarło do niego, że nie ma szans. Że tamci uciekli. Zawrócił i nagle przypomniał sobie o range roverze. Przecież mógł ścigać ich range roverem! Mieli do wyboru tylko dwie trasy: cholera jasna, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Wpadł na ścieżkę i raptem poraził go ogłuszający wybuch, straszliwa eksplozja, która zabarwiła niebo na pomarańczowo i przebiła je gigantyczną rzymską racą. Domek pochłonęła wielka kula ognia.

Rozdział 17

Na dole niecierpliwie trąbiła taksówka, a ona walczyła z zamkiem błyskawicznym torby, którego zęby wgryzły się w materiał sukienki.

–Słyszę, słyszę – jęknęła. – Spokojnie.

Szarpnęła sukienką jeszcze raz, lecz na próżno. I wtedy zadzwonił telefon.

–Chryste!

Była spóźniona. Musiała dostać się na lotnisko i złapać wieczorny lot do Zurychu. Nie miała czasu na rozmowy. Postanowiła nie odbierać – od czego są automatyczne sekretarki? – lecz nagle zmieniła zdanie.

–Pani Navarro? Przepraszam, że dzwonię do domu. – Natychmiast rozpoznała ten wysoki, chrapliwy głos, chociaż słyszała go tylko raz w życiu. – Dostałem pani numer od sierżanta Arsenaulta. Denis Weese z wydziału chemii Laboratorium Sądowego Nowej Szkocji.

Mówił wolno, straszliwie wolno.

–Tak, tak, wiem – przerwała mu niecierpliwie. – Jest pan toksykologiem Co się stało?

–Chodzi o badanie płynu ocznego, które nam pani zleciła.

Wreszcie udało jej się uwolnić sukienkę z zębów zamka. Próbowwała nie myśleć, ile wydała na nią pieniędzy. Materiał był trochę wystrzępiony, ale miała nadzieję, że nie będzie tego widać.

–Znaleźliście coś?

–Owszem, coś bardzo interesującego. – Ponownie zatrąbił klakson taksówki. Tym razem dłużej, agresywniej.

–Może pan chwileczkę zaczekać? – Rzuciła słuchawkę na dywan i podbiegła do okna. – Zaraz! – krzyknęła. – Zaraz schodzę!

–Navarro? – odkrzyknął kierowca. – To pani wzywała taksówkę?

–Niech pan włączy licznik, już schodzę! – Wróciła do telefonu. – Przepraszam. A więc mówi pan, że coś znaleźliście?

–Wychwyciliśmy pewne widmo... No właśnie. Rzecz w tym, że nie bardzo wiemy jakie, to znaczy czego. To nie jest proteina, która występuje w stanie naturalnym. To są jakieś peptydy, łańcuch aminokwasów...

Anna upuściła torbę.

–Chce pan powiedzieć, że to związek syntetyczny? – Proteina, która nie występuje w stanie naturalnym. A więc jest to coś, co stworzono w laboratorium.

–...które paraliżują ściśle określone receptory nerwowe. To wyjaśnia, dlaczego nie znaleźliśmy jej we krwi. Można je wykryć tylko w płynie mózgowo-rdzeniowym lub ocznym, i tylko w śladowych ilościach.

–To znaczy, że to coś atakuje wyłącznie mózg, tak?

–Tak.

–Co to za związek?

–Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Przypomina peptydy występujące w jadzie żmii. Ale jest stuprocentowo syntetyczny.

–A więc to trucizna.

–Zawiera zupełnie nowy rodzaj molekuly, coś takiego występuje tylko w kilku najnowszych toksynach. Moim zdaniem powoduje zatrzymanie akcji serca. Przenika do mózgu, nie pozostawiając żadnych śladów we krwi. To naprawdę coś bardzo wyjątkowego.

–Ale co to takiego? Myśli pan, że to nowa broń biologiczna?

Weese roześmiał się z zażenowaniem.

–Nie, nie, nic z tych rzeczy. Peptydy często się syntetyzuje. Robimy to w oparciu o strukturę peptydów występujących w truciznach naturalnych, w jadzie ropuch, ślimaków czy węży. To podstawy biotechniki. Widzi pani, to, że peptydy syntetyczne wiążą się z niektórymi proteinami, wykorzystuje się do oznaczania tych ostatnich. Owszem, są toksyczne, ale nie dlatego się je wytwarza.

–A więc ta... ta substancja mogła powstać w laboratorium jakiejś firmy biotechnologicznej?

–Tak, lub w jakiegokolwiek innej firmie, która zajmuje się biochemią molekularną, bądź też w jednej z tych wielkich wytwórni środków agrotechnicznych, choćby w Monsanto czy w Archer Daniels Midland. Jest ich mnóstwo. Ale gdzie powstała, tego oczywiście nie wiem.

–Zrobi pan coś dla mnie? Proszę przefaksować wszystkie wyniki pod ten numer, dobrze? – Podała mu numer, podziękowała i zadzwoniła do WDD. Jeśli spóźni się na samolot, to trudno. Miała na głowie ważniejszą sprawę.

–Możecie mnie połączyć z kimś, kto ma doście do urzędu patentowego? – Kiedy ją przełączono, powiedziała: – Agent Stanley? Mówi Anna Navarro. Musi pan coś sprawdzić i natychmiast do mnie przedzwonić. Za parę minut dostaniecie faks z Laboratorium Sądowego Nowej Szkocji. To opis pewnego syntetyku. Proszę skontaktować się z urzędem patentowym i sprawdzić, czy ktoś ten syntetyk opatentował.

Dowiedz się, kto to świństwo wytwarza, a znajdziesz mordercę. Jedno doprowadzi cię do drugiego. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Taksjarsz ponownie zatrąbił klaksonem, więc podeszła do okna i krzyknęła, żeby dał sobie siana.

Szwajcaria

Jechał do Zurychu jak katatonik. Z powrotem do jaskini Iwa, myślał posępnie. Tak, był tam persona non grata, ale w Zurychu mieszkało prawie czterysta tysięcy ludzi. Wiedział, że jeśli nie będzie rzucał się w oczy i uniknie pułapek, da sobie radę. Właśnie, tylko jak te pułapki wypatrzeć? I gdzie? Ryzykował – na pewno, lecz było to ryzyko wkalkulowane – ale nie wierzył już, że gdzieś indziej znalazłby bezpieczniejsze schronienie. „Nieważne, gdzie oni są. Ważne, gdzie ich nie ma”. Tak mówiła Liesl. Tak mówił Peter.

O Chryste, Liesl! Mdły odór spalenizny przenikający jego ubranie nieustannie mu o niej przypominał, przypominał i o niej, i o straszliwej eksplozji, której był świadkiem i której potworność jeszcze do niego nie dotarła.

Nie popadł w obłęd tylko z jednego powodu: wiedział, że kiedy domek stanął w płomieniach, Liesl już prawdopodobnie nie żyła.

Boże.

Jadąc, starał się przeanalizować, jak do tego doszło, próbował odtworzyć to w myśli. A kiedy tak się stało to, co odtworzył, ułożyło się w ciąg zdarzeń logicznych i ścinających krew w żyłach. Zgrzyt w środku nocy, który uznał za senną marę, był zgrzytem kurka: ktoś otworzył kurek zbiornika z propanem. Domek szybko wypełnił się gazem – jego już tam wtedy nie było – bezwonnym gazem, który miał ich uśpić i zabić. Po chwili uaktywnił się zainstalowany w pobliżu zapalnik czasowy i doszło do wybuchu, który zatarł wszystkie ślady. Przy tak dużym stężeniu łatwopalnego gazu wystarczyła jedna iskra. Proste. Miejscowa policja stwierdzi, że to nieszczęśliwy wypadek, że przyczyną eksplozji był wadliwy zbiornik; w tych odludnych rejonach zdarza się to pewnie dość często.

A potem ci, którzy to zrobili, wsiedli do samochodu i ukradkiem odjechali.

Gdy wrócił do range rovera – zaledwie kilka sekund po wybuchu – domku już prawie nie było.

Liesl nie cierpiała. Kiedy rozpętało się to ogniste piekło, albo spała, albo już nie żyła.

Nie mógł o tym myśleć, nie mógł tego znieść!

Mieszkali tam przez cztery lata, ona i Peter. Przez cztery lata żyli co prawda w lęku, lecz spokojnie. Prawdopodobnie mogli tak żyć jeszcze przez wiele, wiele lat. Ale nie, musiał pojawić się on, Ben. Musiał przyjechać do Zurychu, wypłoszyć spod ziemi tych bandziorów bez twarzy i sprowadzić na brata śmierć. Musiał ściągnąć ich tam, do leśnego domku nad jeziorem, żeby zabili Liesl, która kiedyś uratowała Peterowi życie.

Nie odczuwał już smutku. Nie miał też wyrzutów sumienia, gdyż odrętwiał mu mózg. Nie odczuwał już nic. Ten potworny wstrząs zmienił go w żywego trupa, w pozbawionego emocji robota, który jechał przez noc, gapiąc się tępo przed siebie.

Jednak gdy dojeżdżał do pogrążonego we śnie Zurychu, coś zaczęło w nim odżywać. Był to gniew, palący gniew i wściekłość na tych, którzy mordowali dobrych, niewinnych ludzi, których jedyną winą było to, że przypadkowo weszli w posiadanie pewnych informacji.

Zabójcy i kierujący nimi zleceniodawcy nie mieli twarzy. Nie potrafił ich sobie wyobrazić, lecz całym sobą pragnął ich zdemaskować. Chcieli go zabić, zastraszyć i zmusić do milczenia, lecz zamiast uciekać, zamiast się ukrywać, on postanowił wyjść im naprzeciw tam, gdzie się tego najmniej spodziewali. Działali w mroku? On wyłowi ich stamtąd światłem. Atakowali z ukrycia? On ich z ukrycia wykurzy.

A jednym z nich był jego własny ojciec...

Musiał pogrzebać w przeszłości, musiał ją odsłonić, musiał dowiedzieć się, kim ci ludzie są, skąd przyszli, a przede wszystkim, gdzie się ukrywają. Zdawał sobie sprawę, że powinien się teraz bać, że byłoby to zupełnie racjonalne i logiczne, jednak zamiast strachu odczuwał jedynie gniew: przekroczył granicę obsesji.

Ale kim oni byli? Kim byli ludzie kierowani przez zarząd korporacji, którą pomagał założyć Max Hartman. Szaleńcami? Fanatykami? Czy po prostu najemnikami na usługach organizacji założonej przed laty przez wybitnych przemysłowców i wysokiej

rangi oficerów hitlerowskich – w tym jego ojca – którzy próbowali ukryć nielegalne pochodzenie swych bogactw? Zimnymi, wyratowanymi najemnikami, których jedyną ideologią był zysk, wszechpotężny dolar, niemiecka marka i szwajcarski frank...

Warstwa na warstwie, a na niej jeszcze jedna warstwa. Dziesiątki wzajemnie zazębiających się możliwości.

Musiał zdobyć jakieś konkrety.

Pamiętał jak przez mgłę, że jedną z najlepszych szwajcarskich bibliotek jest biblioteka Uniwersytetu Zuryskiego. Uniwersytet zbudowano na jednym z okalających miasto wzgórz i właśnie tam teraz zmierzał, uznawszy, że jeśli już ma grzebać w przeszłości, lepszego miejsca na pewno nie znajdzie.

Waszyngton

Patrzyła, jak steward demonstruje pasażerom maskę, którą zakłada się na nos i usta, kiedy samolot spada z nieba na ziemię. Jak zwykle czuła się bardzo nieswojo. W jednym z czasopism internetowych wyczytała, że jak dotąd nikt, dosłownie nikt nie przeżył wodowania samolotu. Nikt i nigdy. Wyjęła z torebki buteleczkę ativanu. Data ważności minęła już dawno temu, ale było jej wszystko jedno. Pokonać Atlantyk bez ativanu? Nie da rady.

Drgnęła, słysząc piskliwy świergot dobywający się z przepastnej torebki. Dzwonił służbowy starTac, telefon kryptograficzny, aparat niewiele większy od zwyczajnej komórki. Zapomniała go wyłączyć.

–Navarro, słucham.

–Proszę zaczekać. – Kobięcy głos, lekki jamajski akcent. – Łączę z dyrektorem Bartlettem.

Ktoś dotknął jej ramienia. Steward.

–Przykro mi, ale używanie telefonów komórkowych w czasie lotu jest zabronione.

–Przecież jeszcze nie lecimy.

–Cieszę się, że panią złapałem. – To Bartlett.

–Przepisy zabraniają używania telefonów komórkowych na pokładzie samolotu, który kołuje na start. – To znowu steward.

–Przepraszam, zaraz kończę. – To do stewarda. – Tak, słucham. – To do Bartletta. – Jestem już w samolocie.

–Bardzo panią proszę. – Steward mówił coraz głośniej, był coraz bardziej zirytowany. – Przepisy...

Nie podnosząc głowy, wolną ręką mignęła mu przez oczami legitymacją Departamentu Sprawiedliwości.

–Straciliśmy kolejnego – powiedział Bartlett.

Kolejnego? Tak szybko? Do morderstw dochodziło w coraz krótszych odstępach czasu.

–Bardzo przepraszam. – Steward odszedł.

–Pan żartuje – jęknęła.

–Nie. W Holandii, w Tilburgu. To dwie godziny jazdy na południe od Amsterdamu. Może zmieni pani samoloty?

–Nie. Lecę do Zurychu. Zadzwonię do przedstawicielstwa FBI w Amsterdamie i

zażądam natychmiastowej sekcji zwłok. Tym razem wiemy przynajmniej, jakiej trucizny szukamy.

–Tak?

–Lecę do Zurychu, panie dyrektorze. Postaram się złapać kogoś, kto jeszcze żyje. Trupy nie mówią. Jak się nazywał ten z Tilburga?

–To był niejaki... Hendrik Korsgaard.

–Chwileczkę – syknęła. – Na mojej liście go nie ma.

Bartlett milczał.

–Halo! Słyszysz mnie pan? Na mojej liście go nie ma!

–Są jeszcze inne listy, panno Navarro – odrzekł powoli Bartlett. – Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli po nie sięgać.

–Panie dyrektorze, może jestem w wielkim błędzie, ale wydaje mi się, że naruszył pan naszą umowę – odparła spokojnie, wodząc wokoło wzrokiem, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie podsłuchuje.

–Bynajmniej, panno Navarro, bynajmniej. W moim biurze obowiązuje podział pracy, jak wszędzie, dlatego każdy z nas dysponuje tylko takimi informacjami, jakie są mu niezbędne. Pani zadaniem było znalezienie zabójców. Mieliśmy powody przypuszczać, że ich celem są jedynie ludzie, których nazwiska figurują na pani liście. Nie przypuszczaliśmy, że niebezpieczeństwo grozi również... innym.

–Czy wiedział pan, gdzie ten człowiek mieszka?

–Ten z Tilburga? Nie wiedzieliśmy nawet, że żyje. Oczywiście, próbowaliśmy go namierzyć, ale bezskutecznie.

–W takim razie możemy wykluczyć możliwość, że zabójcy dobrali się do pańskich akt.

–Jest jeszcze gorzej, panno Navarro – odparł beznamiętnie Bartlett. – Ci, którzy mordują tych starców, dysponują lepszymi informacjami niż my.

Zanim znalazł Universitätsbibliothek mieszczącą się przy Zahringerplatz, minęła czwarta rano. Do otwarcia biblioteki pozostało pięć godzin.

Wyliczył, że w Nowym Jorku była teraz dwudziesta druga. Ojciec pewnie jeszcze nie spał – zwykle chodził spać późno i wstawał o świcie – ale nawet gdyby już spał, Ben miał to gdzieś. Teraz już tak.

Żeby rozprostować nogi, przeszedł się Universitätstrasse. Podczas przechadzki przestawił telefon na obowiązujący w Europie GSM i zadzwonił do Bedford.

Odebrała ich gospodyni, pani Walsfa.

Wyniosła i powściągliwa pani Walsh, irlandzka wersja pani Danvers z *Rebeki*, pracowała u nich od ponad dwudziestu lat i zawsze go denerwowała.

–Benjamin... – Miała dziwny głos.

–Dobry wieczór – rzucił znużony, przygotowując się do bitwy z wierną strażniczką Maksa Hartmana. – Muszę porozmawiać z ojcem.

–Ale... ale ojca nie ma. Wyjechał.

Ben zeszywniał.

–Jak to wyjechał? Dokąd?

–No właśnie, nie wiem.

–A kto wie?

–Nikt. Dziś rano przyjechał po niego samochód. Pan Hartman nie chciał nic powiedzieć. Powiedział tylko, że „trochę to potrwa”.

–Samochód? Gianni? – Gianni był ich kierowcą, wesołym, beztroskim lekkoduchem, którego ojciec darzył powściągliwą sympatią.

–Nie, nie Gianni. To nie był służbowy samochód. Pan Hartman po prostu wsiadł i... i wyjechał. Prawie bez słowa.

–Nie rozumiem. Nigdy dotąd tego nie robił, prawda?

–Nie, nigdy. I musiał wziąć paszport, bo w domu go nie ma.

–Paszport? No to coś już wiemy.

–Tak, ale zadzwoniłam do biura i rozmawiałam z jego sekretarką. Twierdzi, że pan Hartman nie miał w planach żadnych podróży, że nic o tym nie wie. Myślałam, że może tobie coś powiedział.

–Nie, ani słowa. Czy ktoś do niego dzwonił?

–Nie, chyba nie... Ale zaraz sprawdzę w notatniku. – Odezwała się już po chwili. – Tylko jakiś pan Godwin.

–Godwin?

–Zapisałam tu „profesor Godwin”.

To go zaskoczyło. John Barnes Godwin? Ten słynny historyk z Princeton? Jego uniwersytecki mentor? Dzwonił do ojca? Po co? No tak, w sumie nie było w tym nic dziwnego. Swego czasu dużo ojcu o nim opowiadał i profesor wywarł na nim tak wielkie wrażenie, że przed kilku laty Fundusz Kapitałowy Hartmana przekazał uniwersytetowi pieniądze na założenie Centrum Badań nad Systemami Wartości, którego dyrektorem został właśnie Godwin. Mimo to ojciec prawie nigdy o nim nie wspominał. Dlaczego profesor zadzwonił właśnie teraz, dzień przed jego nagłym wyjazdem?

–Proszę podać mi jego numer.

Podziękował jej i się rozłączył.

Dziwne. Przeszło mu przez myśl, że ojciec uciekł, wiedząc, że odkryto jego przeszłość, lub że zostanie ona wkrótce odkryta. Ale zaraz. Gdzie tu logika? Uciekł przed kim? I dokąd?

Zdawał sobie sprawę, że jest zmęczony i wyczerpany emocjonalnie, że nie jest w stanie trzeźwo myśleć. Musi się przespać. Koniecznie. Zaczyna łączyć ze sobą rzeczy, które nie miały sensu.

Peter coś wiedział. Wiedział coś o przeszłości ojca, o korporacji, którą ojciec pomagał zakładać. Potem ktoś go zabił, a potem...

Potem znalazłem to zdjęcie, zdjęcie założycieli korporacji, wśród których był ojciec. Jeszcze potem pojechałem do domku Liesl i Petera i znalazłem listę, fragment świadectwa legalizacyjnego spółki. Wtedy próbowali nas zabić, i ją, i mnie, wtedy wysadzili w powietrze domek, żeby zatrzeć ślady morderstwa.

Czy to możliwe, żeby ci... ci anonimowi, ci bez twarzy, czy to możliwe, żeby skontaktowali się z ojcem i poinformowali go, że tajemnica się wydała? Tajemnica jego mrocznej przeszłości? Tajemnica tej dziwnej spółki? A może poinformowali go,

że na jaw wyszły obie tajemnice naraz?

Tak, oczywiście, to możliwe. Skoro próbują wyeliminować wszystkich, którzy o tej spółce wiedzą...

Bo jak inaczej wytłumaczyć to nagłe zniknięcie Maksa Hartmana?

A może musiał gdzieś wyjechać, z kimś się spotkać?

Ben miał pewność tylko co do jednego: tajemniczy wyjazd ojca miał związek z morderstwem Petera i Liesl. Z morderstwem i odkryciem listy założycielskiej spółki.

Wrócił do rangę rovera i w promieniach wschodzącego słońca zobaczył głębokie, szpecące rysy na drzwiczkach. Wsiadł, pojechał z powrotem na Zahringerplatz, zaparkował i zadzwonił do Princeton w New Jersey.

–Pan profesor?

Godwin mówił jak człowiek wyrwany ze snu.

–To ja, Ben Hartman.

John Barnes Godwin, znawca dwudziestowiecznej historii europejskiej i, swego czasu, najpopularniejszy wykładowca Princeton, był od roku na emeryturze. Miał osiemdziesiąt dwa lata, mimo to codziennie przychodził na uniwersytet.

Benowi stanął przed oczami obraz wysokiego, kościstego mężczyzny o białych jak mleko włosach i zrytej zmarszczkami twarzy.

Godwin był nie tylko jego opiekunem naukowym, ale i kimś w rodzaju ojca. Pamiętał, jak siedzieli kiedyś w jego zawalonym książkami gabinecie w Dickinson Hall. Bursztynowe światło, waniliowy zapach starych książek.

Rozmawiali o tym, jak Franklin Delano Roosevelt wplątał izolacjonistyczne Stany Zjednoczone w drugą wojnę światową. Ben pisał pracę na temat Roosevelta i w pewnym momencie oznajmił, że jego chytryść go mierzi.

–Hmm, panie Hartman... – odrzekł profesor, tak się do niego wtedy zwracał. – Jak tam pańska łacina? *Honesta turpitudine est pra causa bono.*

Ben spojrzał na niego z tępą miną.

–„Zło wyrządzone w dobrej sprawie jest cnotą” -przetłumaczył powoli Godwin z figlarnym uśmieszkiem na twarzy. – Publiliusz Syrus. Żył w Rzymie sto lat przed Chrystusem i powiedział wiele mądrych rzeczy.

–Według mnie nie miał racji – odparł Ben, w tym czasie gniewny mora lista. – W ten sposób można usprawiedliwić każde świństwo. Mam nadzieję, że nigdy tego za nim nie powtórzę.

Zaskoczony Godwin przyjrzał mu się w zadumie.

–Pewnie dlatego nie chce pan pracować u ojca – zauważył. – Woli pan pozostać czysty i niewinny.

–Nie, wolę uczyć.

–Skąd ta pewność? – spytał Godwin, sącząc ciemnobrazowy portwajn.

–Bo lubię.

–Jest pan tego pewien?

–Nie – przyznał Ben – ale czy dwudziestolatek może być czegoś pewien?

–Och tak, znam wielu dwudziestolatek, którzy są pewni różnych rzeczy.

–Ale dlaczego miałbym robić coś, co mnie nie interesuje? Dlaczego miałbym

pracować w firmie, którą stworzył ojciec, i pomnażać pieniądze, których nie potrzebuję? Co z tych pieniędzy ma społeczeństwo? Dlaczego mam być bogaty, podczas gdy inni głodują?

Godwin zamknął oczy.

–Pogarda dla pieniędzy to luksus, panie Hartman. Uczyłem tu bardzo bogatych studentów, nawet jednego z Rockefellerów. Wszyscy zmagali się z tym samym problemem: jak nie dopuścić do tego, żeby pieniądze zawałdnęły naszym życiem, żeby nas kształtowały; co zrobić, żeby życie nabrało sensu. Pański ojciec jest jednym z największych filantropów w tym kraju...

–Tak, ale czy to nie Reinhold Niebuhr powiedział, że filantropia jest rodzajem protekcjonalizmu? Że klasa uprzywilejowanych wspomaga potrzebujących tylko po to, żeby zachować swój status?

Godwin otworzył oczy. Zrobiło to na nim wrażenie. Ben zacisnął usta, żeby się nie uśmiechnąć. Czytali o tym przed chwilą na zajęciach z teologii i słowa Niebuhra utkwiły mu w pamięci.

–Jedno pytanie. Czy to, że chce pan zostać nauczycielem, jest formą buntu przeciwko ojcu?

–Możliwe – przyznał szczerze Ben. Chciał dodać, że zainspirował go do tego właśnie on, Godwin, ale uznał, że zabrzmiałoby to za bardzo... za bardzo jakoś tam.

I wtedy z zaskoczeniem usłyszał:

–Świetnie. Znakomicie. Ma pan odwagę. I będzie pan wspaniałym nauczycielem. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Ben mocniej ścisnął telefon.

–Przepraszam, że tak późno.

–Nie szkodzi, Ben, nie szkodzi. Skąd dzwonicz? Strasznie trzeszczy...

–Ze Szwajcarii. Panie profesorze, mój ojciec zniknął.

–Jak to „zniknął”?

–Nagle wyjechał, nikt nie wie dokąd. Pani Walsh mówiła, że dzwonił pan do niego, więc...

–Tak, prosił mnie o telefon. Zamierza wspomóc nasze centrum i chciał o tym porozmawiać.

–Chciał porozmawiać o darowiznie? Tylko o tym?

–Obawiam się, że tak. O ile pamiętam, o niczym innym nie wspominał. Ale jeśli się odezwie, przekażę mu, że dzwoniłeś. Pod jakim numerem można cię złapać?

Ben podał mu numer swojej komórki.

–Jeszcze jedno. Panie profesorze, czy zna pan kogoś z Uniwersytetu Zuryskiego? Kogoś, kto podobnie jak pan specjalizuje się we współczesnej historii europejskiej?

Godwin zastanawiał się chwilę.

–Z Uniwersytetu Zuryskiego, powiadasz? Carl Mercandetti, lepszego nie znajdziesz. Znakomity badacz. Specjalizuje się w historii gospodarczej, ale jak na europejską tradycję przystało, to bardzo wszechstronny umysł. Ma wprost zadziwiającą kolekcję grappy, choć boję się, że u mnie byłoby na nią trochę za późno, a u ciebie stanowczo za wcześnie. Tak czy inaczej, Mercandetti jest

zdecydowanie najlepszy.

–Dziękuję.

Schował telefon, rozłożył tylne siedzenie i spróbował się przespać.

Spał niespokojnie, bo nawiedzały go koszmary, w których musiał oglądać eksplodujący raz po raz domek Liesl i Petera.

Obudził się kilka minut po dziewiątej i spojrzął w lusterko. Brudna, nieogolona twarz, mocno podkrążone oczy. Nie, nie teraz. Nie miał czasu na poranne ablucje.

Nadeszła pora odkryć przeszłość. Przeszłość, która przestała już być przeszłością.

Rozdział 18

Paryż

O tym, że na drugim piętrze domu przy alei Marceau mieści się siedziba Groupe TransEuro Tech S.A., informowała tylko mała mosiężna tabliczka po lewej stronie drzwi. Nie rzucała się w oczy, ponieważ oprócz niej było tam jeszcze sześć innych mosiężnych tabliczek z nazwami różnych firm i małych spółek.

W biurze TransEuro Tech przyjmowano tylko gości umówionych, ale ktoś, komu zdarzyłoby się przechodzić korytarzem na drugim piętrze gmachu, nie zauważyłby niczego niezwykłego. Za szybą z kuloodpornego poliwęglanu, który wyglądał jak zwykłe szkło, siedział młody recepcjonista, a za nim była mała, prawie zupełnie pusta poczekalnia z kilkoma plastikowymi krzesłami. Pojedyncze drzwi prowadziły do ukrytych w głębi korytarza gabinetów.

Oczywiście nikt nie wiedział, że recepcjonista jest uzbrojonym i doświadczonym komandosem, nikt też nie dostrzegłby zamaskowanych kamer, pasywnych detektorów ruchu na podczerwień ani magnetycznych przełączników dyskretnie wmontowanych w każde drzwi.

Sala konferencyjna w głębi biura była właściwie pomieszczeniem w pomieszczeniu, zwartym modulem, odseparowanym od betonowych ścian zewnętrznych grubą na trzydzieści centymetrów warstwą gumowych bloków, odbijających wszelkie drgania, zwłaszcza drgania fal dźwiękowych generowanych przez struny głosowe. Tuż za salą konferencyjną zainstalowano na stałe specjalną antenę, wychytującą przekazy nadawane na częstotliwości HF, UHF, VHF oraz transmisje mikrofalowe, a na antenie zamontowano analizator widmowy, wychytujący wszelkie anomalie spektralne: wszystko po to, żeby uniemożliwić podsłuchanie tych, którzy tam przebywali i rozmawiali.

U szczytu mahoniowego stołu w kształcie trumny siedziało dwóch mężczyzn. Ich rozmowę zagłuszały generatory hałasu tła oraz odgłosy z tak zwanej „taśmy maskującej”, które brzmiały jak wrzawa w zatłoczonym barze na godzinę przed zamknięciem, kiedy to serwuje się drinki po obniżonej cenie. Ktoś, komu udałoby się ominąć wyrafinowane środki zabezpieczające, i tak nie byłby w stanie rozróżnić poszczególnych słów.

Przed starszym z mężczyzn – wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat – stał kryptograficzny telefon, czarny, płaski aparat szwajcarskiej produkcji. Mężczyzna rozmawiał. Miał śniadą, choć ziemistą cerę, okrągłą twarz o wydatnej szczęce, nosił okulary w złotej oprawce, a jego rzadkie już włosy były ufarbowane na nienaturalny, rdzawy kolor. Nazywał się Paul Marquand i był wiceprezesem do spraw bezpieczeństwa. Trafił do korporacji drogą typową dla większości dyrektorów odpowiedzialnych za stan bezpieczeństwa międzynarodowych syndykatów i koncernów: służył we francuskiej piechocie, a gdy wyrzucono go z niej za nieustanne burdy, wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, by następnie przenieść się do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował jako łamistrzak w spółce węglowej i gdzie jakiś czas później zatrudniła go pewna międzynarodowa firma.

Mówił szybko i cicho. Skończył rozmowę, odłożył słuchawkę i popatrzył na Jean-

Luca Passarda, dwadzieścia lat młodszego, ciemnowłosego Francuza o oliwkowej cerze, który siedział obok niego.

–Sektor wiedeński – powiedział. – Amerykanin przeżył wybuch gazu w St. Gallen. Nie możemy popełniać takich błędów – dodał ponuro. – Nie po kompromitacji na Bahnhofplatz.

–To nie pan zdecydował o wysłaniu tego amerykańskiego żołdaka – zauważył Jean-Luc.

–Tak, ale i nie sprzeciwiłem się temu. To było w sumie logiczne: dobrze go znał i w ciągu kilku sekund mógł rozpoznać w tłumie jego twarz. Obcy człowiek może patrzeć na zdjęcie godzinami, mimo to nigdy nie zareaguje tak szybko i pewnie jak ktoś, kto zna lub znał cel osobiście.

–Teraz zmobilizowaliśmy najlepszych – odrzekł. Passard. – Architekt szybko się z tym upora.

–Tak, to perfekcjonista – zauważył Marquand. – Bardzo wytrwały perfekcjonista, jednak ten rozpuszczony Amerykanin sprawia mu kłopoty. Nie wolno go lekceważyć.

–Cud, że jeszcze żyje, przecież to amator. Tak, ma szmergla na punkcie sportów ekstremalnych, ale to jeszcze nie znaczy, że umie walczyć. – Jean-Luc pogardliwie prychnął. – Nie zna dżungli – dodał szyderczo, z silnym obcym akcentem. – To przedszkolak.

–Istnieje coś takiego jak szczęście początkującego.

–Początkującego? On już nie jest początkujący.

Wiedeń

Za barierki wyszedł starszy, elegancko ubrany Amerykanin. Szedł sztywno, powoli, z podręczną torbą podróżną w rękę. Przystanął, zlustrował wzrokiem tłum i dostrzegł szofera z tabliczką, na której widniało jego nazwisko.

Pomachał mu ręką i szofer spiesznie do niego podszedł. Wraz z nim podeszła kobieta w białym uniformie pielęgniarki.

–Dzień dobry. – Mówiła po angielsku z niemieckim akcentem. – Jak minął lot?

–Nie znoszę podróży – mruknął starzec. – To już nie dla mnie. – Szofer wziął od niego torbę.

Pielęgniarka przeprowadziła go przez kłębiący się w sali tłum. Przed terminalem czekał wielki, czarny daimler, wyposażony we wszystkie typowe dla limuzyn akcesoria, a więc w telefon, telewizor i barek. Za tylnym siedzeniem dyskretnie ukryto podstawową aparaturę medyczną, to znaczy butlę tlenową, defibrylator i kroplówkę.

–Zaraz będziemy na miejscu – powiedziała pielęgniarka, gdy starzec opadł ciężko na skórzany fotel. – To niedaleko.

Starzec burknął coś pod nosem, odchylił do tyłu oparcie i zamknął oczy.

–Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, natychmiast służę – dodała pielęgniarka.

Rozdział 19

Zurych

W hotelowym holu czekał na nią przedstawiciel prokuratora kantonu, niejaki Bernard Kesting, niski, młody, potężnie zbudowany, ciemnowłosy mężczyzna ze zrosniętymi brwiami i gęstą brodą. Jak na uosobienie szwajcarskiego biurokraty przystało, był bardzo poważny, konkretny i nigdy się nie uśmiechał.

Przedstawił się, spytał o podróż, ale ponieważ rozmowa się rwała, szybko zaprowadził ją do swego bmw 728, które czekało na kolistym podjeździe przed hotelem.

–Rossignola oczywiście znamy – powiedział, przytrzymując drzwiczki. – To słynny bankier, wszyscy go tu bardzo szanują, i to od wielu, wielu lat. Nasz urząd nigdy się nim nie interesował, nie mieliśmy żadnych podstaw. – Anna zdążyła już wsiąść, ale on wciąż stał przy samochodzie z ręką na drzwiczkach. – Nie bardzo rozumiem, czego to śledztwo dotyczy. Pan Rossignol ma zupełnie czyste konto.

–Wierzę. – Anna chwyciła za klamkę i zatrzasnęła drzwiczki. Facet ją denerwował. Kesting wsiadł, zawrócił i wjechali na Steinwiesstrasse, cichą, spokojną ulicę niedaleko Kunsthausu.

–Był, a może wciąż jest, bardzo błyskotliwym finansistą...

–Nie mogę ujawnić charakteru naszego dochodzenia, ale zapewniam pana, że o nic go nie podejrzewamy.

Kesting milczał przez chwilę i z lekkim zażenowaniem dodał:

–Prosiła pani o ochronę, ale jak pani wie, nie zdołaliśmy go namierzyć.

–Czy wszyscy słynni szwajcarscy bankierzy tak nagle znikają? To dla nich typowe?

–Typowe? Nie. Ale cóż, on jest na emeryturze. Ma prawo do dziwactw.

–Jak kontaktuje się ze światem? Jak załatwia służbowe sprawy?

–Za pośrednictwem miejscowych przedstawicieli zagranicznego trustu, ale nawet oni nie bardzo wiedzą, dla kogo pracują.

–Nie ma to jak szwajcarska jawność i otwartość.

Kesting zerknął w lusterko, niepewny, czy to szyderstwo, czy konstatacja.

–Nie pokazuje się od zeszłego roku. Nie wiem, może nie chce rzucać się w oczy. Może wydaje mu się, że ktoś go śledzi, ściga... Ostatecznie ma już ponad dziewięćdziesiąt lat, na starość ludzie często robią się podejrzliwi, chorobliwie nieufni. Może ma jakieś urojenia...

–Niekoniecznie.

Kesting przeszył ją wzrokiem i tylko zacisnął usta.

Słyszając, że jest znajomym jego starego przyjaciela, Johna Barnesa Godwina, profesor doktor Carl Mercandetti wyraźnie się rozpromienił.

–Ależ skąd, to żaden kłopotanie ma za co przepraszać. Mam gabinet w bibliotece. Wpadłby pan tam przed południem? Tak czy inaczej, ja na pewno przyjdę, Mam nadzieję, że Godwin na mnie nie narzekał: piszę pewną monografię dla Cambridge University Press, do serii wydawniczej, którą on redaguje, i ślęczę nad nią już od dwóch lat! John mówi, że mam śródziemnomorskie poczucie czasu! – Jego gromki

śmiej omal nie rozsadził telefonu.

Ben nie bardzo wiedział, czego od niego chce, a sądząc po wesołym tonie głosu, jakim Mercandetti z nim rozmawiał, profesor myślał pewnie, że chodzi o zwykłą wizytę towarzyską.

Znaczną część poranka Ben spędził na lekturze spisów szwajcarskich korporacji przemysłowych. Przewertował wszystkie, jakie tylko mógł znaleźć, zajrzał nawet do internetowej książki telefonicznej. Ale żadna firma o nazwie Sigma AG nie istniała. A przynajmniej nie istniały żadne zapisy mówiące o tym, że kiedykolwiek ją założono.

Podczas rozmowy telefonicznej wyobrażał sobie, że Carl Mercandetti jest dobrodusznym wesołkiem, lecz stanąwszy z nim twarzą w twarz, stwierdził, że profesor wygląda bardzo nobliwie. Był szczupły, miał pięćdziesiąt kilka lat, krótko ostrzyżone, przyprószone siwizną włosy i nosił owalne okulary w drucianej oprawce. Kiedy Ben się przedstawił, natychmiast ożyły mu oczy.

–Przyjaciół Boga... – powiedział, serdecznie ściskając mu dłoń.

–Myślałem, że nazywają go tak tylko studenci Princeton.

Mercandetti pokręcił głową.

–Znamy się od wielu, wielu lat, a każdy kolejny rok upewnia mnie w przekonaniu, że to najtrafniejszy przydomek, jaki kiedykolwiek słyszałem. Przeraza mnie myśl, że u perłowych wrót rajy John powita mnie słowami: „Carl, czytałem twój ostami artykuł i mam pewne wątpliwości co do przypisu numer czterdzieści trzy...”

Kiedy wymienili uprzejmości, Ben opowiedział mu o swoich bezskutecznych próbach wytropienia korporacji o nazwie Sigma AG, założonej w Zurychu pod koniec drugiej wojny światowej. Niczego mu nie wyjaśniał. Ostatecznie mógł się taką sprawą zajmować, choćby tylko z bankierskiej dokładności, nie wspominając już o tym, że był przedstawicielem Funduszu Kapitałowego Hartmana.

Profesor wysłuchał go grzecznie, lecz bez większego zainteresowania. Nazwa korporacji najwyraźniej nic mu nie mówiła.

–Mówi pan, że założono ją w czterdziestym piątym?

–Tak.

–Bordeaux, wspaniałe rocznik... – Wzruszył ramionami. – Cóż, od tamtej pory minęło ponad pół wieku. Wiele firm, które powstały podczas wojny lub zaraz po niej, niestety upadło. Nasza gospodarka nie radziła sobie tak dobrze jak teraz.

–Mam powody przypuszczać, że ta wciąż istnieje – odrzekł Ben. Mercandetti dobrodusznie przekrzywił głowę.

–No dobrze. Co pan o niej wie?

–Nic konkretnego. Są to raczej domysły oparte na... na pogłoskach, na tym, co mówią ludzie. Ludzie, którzy mogą o tym wiedzieć.

–Ale czy wiedzą coś konkretnego? – W rozbawionym głosie profesora brzmiała cicha nutka sceptycyzmu. – Nazwę firmy można łatwo zmienić.

–Tak, ale czy tego rodzaju zmian nie odnotowuje się w jakichś rejestrach?

Historyk powiódł wzrokiem po łukowatym suficie biblioteki.

–Jest takie miejsce, gdzie mógłby pan to sprawdzić. Handelsregisteramt des Kantons Zurich. To rejestr wszystkich zuryjskich firm. Każda firma musi złożyć tam

odpowiednie dokumenty.

–Dobrze, dziękuję. Chciałbym spytać pana o coś innego. O tę listę. – Przesunął po dębowym stole listę założycieli Sigmy, którą skopiował przed wizytą u profesora. – Czy zna pan którekolwiek z tych nazwisk?

Mercandetti włożył okulary.

–Większość to... znani przemysłowcy. Prosperi... Bardzo podejrzana postać z półświatka. Słyszałem, że niedawno zmarł. W Brazylii czy w Paragwaju, nie pamiętam. Tak, ludzie ci albo już nie żyją, albo są bardzo, bardzo starzy. Jest i Gaston Rossignol. To słynny bankier, mieszka w Zurychu.

–Żyje?

–Chyba tak, w każdym razie nie słyszałem, żeby zmarł. Ale jeśli żyje, musi mieć osiemdziesiąt albo nawet dziewięćdziesiąt kilka lat

–Jak można to sprawdzić?

–Czy żyje? – Znow to rozbawione spojrzenie. – Zaglądał pan do książki telefonicznej?

–Tak, jest ich kilku, ale imiona się nie zgadzają.

Profesor wzruszył ramionami.

–Rossignol był znanym finansistą. Po drugiej wojnie światowej pomagał odbudowywać nasz system bankowy. Miał tu wielu przyjaciół. Ale może wyjechał na Cap d'Antibes i kiedy my tu sobie siedzimy, on smaruje olejkiem swoje upstrzone starczymi plamami ramiona. A może z sobie tylko znanych powodów postanowił unikać rozgłosu. W związku z ostatnimi kontrowersjami na temat naszego złota pojawili się tu liczni... agitatorzy, ludzie nader czujni i mściwi. Nawet szwajcarski bankier nie może mieszkać w skarbcu, dlatego musi się jakoś zabezpieczyć. Środki ostrożności, mój drogi, środki ostrożności. Środki ostrożności...

–Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł. – Ben wyjął z koperty czarno-białe zdjęcie z bankowej skrytki Petera i podał je profesorowi. – Czy zna pan tych mężczyzn?

–Czy aby na pewno jest pan bankierem? – rzucił wesoło Mercandetti. – A może w głębi serca jest pan zagorzałym miłośnikiem historii i handluje pan starymi fotografiami? W dzisiejszych czasach to bardzo lukratywny interes. Kolekcjonerzy płacą fortuny za dziewiętnastowieczne ferrotypy. Ale mnie to nie bawi. Uwielbiam kolory.

–To nie jest zdjęcie z wakacji – zauważył łagodnie Ben. – W każdym razie niezupełnie.

Mercandetti uśmiechnął się i podniósł fotografię.

–To jest chyba Cyrus Weston... Tak, to on. Ma na głowie swój słynny kapelusz. – Dźgnął zdjęcie serdelkowatym palcem. – A to jest Avery Henderson. Już dawno nie żyje... A to Emil Menard, twórca Trianon, pierwsze go prawdziwie nowoczesnego konglomeratu. To może być Rossignol, ale nie jestem pewien. Tu ma bujną czuprynę, a dzisiaj? Łysą, wielką jak dynia głowę. No tak, ale tu jest dużo, dużo młodszy. A tutaj... – Nagle zamilkł i upłynęło co najmniej kilkanaście sekund, zanim powoli odłożył zdjęcie. Już się nie uśmiechał. – Co to za żart? – spytał, spoglądając na Bena znad okularów. Przez jego twarz przemknął wyraz lekkiego rozbawienia.

–Żart? Jak to?

–To fotomontaż, to jakaś sztuczka – odrzekł profesor z lekką irytacją w głosie.

–Dlaczego pan tak uważa? Przecież Weston i Henderson się znali.

–Weston i Henderson? Tak, na pewno, i na pewno nigdy nie pozowali do zdjęcia z norweskim armatorem Svenem Norquistem, z brytyjskim magnatem samochodowym Cecilem Bensonem, z szefem petrochemicznego giganta Drake'em Parkerem i z Wolfgangiem Siebingiem, niemieckim przemysłowcem, którego firma wytwarzała kiedyś sprzęt wojskowy, a dzisiaj słynie z ekspresów do kawy. Oni razem?

Wykluczone. Niektórzy z tych ludzi byli zagorzałymi rywalami, inni nie mieli ze sobą nic wspólnego. Gdyby się naprawdę spotkali, musielibyśmy napisać od nowa całą historię gospodarczą dwudziestego wieku.

–Nie mogło to być coś w rodzaju pierwszego Davos? – spekulował Ben. – Pierwszej konferencji w hotelu Bilderberg? Pierwszego spotkania przemysłowych gigantów?

Profesor postukał palcem w zdjęcie.

–Ten, kto je sprokurował, musiał mieć paskudne poczucie humoru – rzekł twardym, stanowczym głosem.

–Kogo pan pokazuje?

–Jego, Gerharda Lenza.

Ben to nazwisko skądś znał, lecz nie mógł go sobie z niczym skojarzyć. – Kto to jest?

–Kto to był. On już nie żyje. Umarł w Ameryce Południowej. Doktor Gerhard Lenz. Genialny umysł, produkt najlepszych wiedeńskich szkół medycznych, symbol naszej cywilizacji. Przepraszam, jestem ironiczny i uszczypliwy, a historykowi to nie przystoi. Widzi pan, Lenz, podobnie jak jego zły sławy przyjaciel, Josef Mengele, przeprowadzał doświadczenia medyczne na kalekich dzieciach z hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Kiedy wojna się skończyła, miał już koło pięćdziesiątki. Jego syn wciąż mieszka w Wiedniu.

Chryste. Gerhard Lenz, jeden z największych potworów dwudziestego wieku. Benowi zakręciło się w głowie. Gerhard Lenz, jasnooki hitlerowiec, stał na zdjęciu tuż obok Maksa Hartmana.

Mercandetti wyjął z kieszeni lupę – pewnie posługiwał się nią, grzebiąc w starych archiwach – i dokładnie przyjrzał się fotografii. Potem obejrzał poźółkły papier, na który naniesiono emulsję. Wreszcie pokręcił głową.

–Wygląda na autentyczne. Ale to niemożliwe. Ono nie może być autentyczne. – Mówił z cichą, tłumioną pasją i Ben zastanawiał się przez chwilę, czy profesor nie próbuje tego sobie wmówić. Bardzo zbladł i widać było, że zdaje sobie sprawę, iż nie zdoła zaprzeczyć oczywistym faktom. – Proszę mi powiedzieć – spytał niepewnie i bez śladu dawnej wesołości w głosie – skąd pan je ma?

Środki ostrożności... Gaston Rossignol żył: śmierć tak słynnej i dostojnej postaci nie przeszłaby niezauważenie. Mimo to po godzinie intensywnych spekulacji i poszukiwań zrezygnowany Mercandetti bezradnie rozłożył ręce.

–Próżny trud, przepraszam. – Ciężko westchnął. – Cóż, jestem tylko historykiem,

nie detektywem. Ale zważywszy na pańskie obycie z różnymi fortelami i finansowymi podstępami, powinien pan poradzić sobie lepiej niż ja.

Miał rację – Ben dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. Fortele i pułapki: Mercandetti miał na myśli coś, co bankierzy nazywali zabezpieczeniem aktywów, a na tym Ben trochę się znał. Teraz z kolei on usiadł wygodniej i pogrążył się w zadumie. Prominenci, ludzie powszechnie znani, nie znikają bez śladu: tworzą jedynie prawne zasłony dymne. Ukrywanie adresu zamieszkania w obawie przed ewentualnymi prześladowcami do złudzenia przypomina sytuację, w której kredytobiorca ukrywa się przed kredytodawcą czy choćby przed urzędem skarbowym. Rossignol na pewno wciąż zarządzał swoim aktywami, stwarzając pozory, że już tego nie robi. Wytropienie kogoś, kto nie ma żadnego majątku, nie byłoby łatwe.

Ben przypomniał sobie pewnego klienta Funduszu Kapitałowego Hartmana, wyjątkowego sknerę, który miał obsesję na punkcie wyrafinowanego zabezpieczania aktywów. Ben go za to znienawidził, lecz ślęcząc nad jego kontami, sporo się nauczył i mogło mu się to teraz przydać.

–Gaston Rossignol musi mieć jakichś krewnych – powiedział. – Krewnych, którzy mieszkają w pobliżu. Ludzi zarówno pewnych jak i posłusznych. Bardzo mu bliskich, choć zdecydowanie młodszych. – Wiedział, że największym problemem, jaki napotykają fikcyjni darczyńcy, jest przedwczesna śmierć pseudobeneficjenta, że tajność tego typu operacji zależy od jego dyskrecji.

–Mówi pan o Yves-Alainie – odrzekł profesor.

–Naprawdę?

–Właśnie go pan opisał. Yves-Alain Taille, jego siostrzeniec. Działacz społeczny – znany tylko dzięki rodzinnym koneksjom – i lichy bankier, to z kolei dzięki intelektualnej miernocie. Krąży opinia, że to człowiek słabego charakteru, choć mający jak najlepsze intencje. Kiedyś przewodniczył Zuryskiej Radzie Sztuki czy czemuś w tym stylu. Jest wiceprezesem jednego z prywatnych banków; to świetna synekura. Łatwo go będzie znaleźć.

–A gdybym chciał sprawdzić, czy oprócz domu Taille ma w kantonie jeszcze jakąś inną posiadłość? Przeniesienie tytułu własności podlega opodatkowaniu, prawda? I jest jawne.

–Tak. Musiałby pan wpaść do urzędu miejskiego. Mieści się w ratuszu, nad Limmatem. Owszem, przeniesienie tytułu własności jest opodatkowane i teoretycznie jawne, ale ze względu na jedną z dwóch szwajcarskich namiętności – mam tu na myśli czekoladę i utajnianie wszystkiego, co tylko można utajnić – wszystkie dokumenty tego typu są przechowywane w wydzielonym serwerze. Ale to nie problem: jestem jego użytkownikiem i znam hasło dostępu. Ojcowie miasta zwrócili się do mnie z prośbą o napisanie broszury, którą chcą wydać z okazji sześćsetlecia przystąpienia Zurychu do Konfederacji. Zwykle nie prowadzę tego rodzaju badań, ale cóż, hojnie sypnęli frankami.

Godzinę później Ben miał już pierwsze namiary – była to posiadłość dużo skromniejsza niż poprzednia rezydencja Rossignola. Dwie godziny później,

przejrzawszy kilkanaście niezwykle zawiłych dokumentów, zdobył niemal całkowitą pewność, że właścicielem domu jest Gaston Rossignol.

Tytuł własności opiewał co prawda na nazwisko Taillego, lecz nie było to jego stałe miejsce zamieszkania. Dom letniskowy? W Zurychu? Odpada. Domek dla kochanki? Nie, był na to zbyt okazały. Poza tym współzarządzał nim pewien fundusz inwestycyjny. Taille nie mógł dysponować posiadłością sam: bez zgody funduszu nie miał prawa ani jej sprzedać, ani przekazać nikomu w darowiźnie. Siedziba władz funduszu? Wyspa Jersey. Ben uśmiechnął się leciutko. Świetna robota: Jersey to prawdziwy raj podatkowy. Co prawda mniej popularny niż Nauru, jednak tamtejszy system bankowy miał opinię bardzo szczelnego i trudnego do spenetrowania.

Ponownie zerknął na adres. Niesamowite, pomyślał. Ledwie kilka minut jazdy i stanę oko w oko z jednym z założycieli Sigmy. Peter próbował od nich uciec, a oni go zabili. Ben wziął głęboki oddech. Kipiał gniewem. Zmiana ról, panowie. Teraz wy spróbujcie uciec przede mną.

Rozdział 20

Willę Gastona Rossignola znalazł w dzielnicy Hottingen, na zboczu jednego ze stromych wzgórz otaczających Zurych. Niemal wszystkie domy w Hottingen wzniesiono na wielkich, gęsto zadrzewionych działkach. Była to okolica bardzo ustronna i odludna.

Willa Rossignola stała przy Hauserstrasse, w pobliżu hotelu Dolder Grand, perły zuryckich hoteli, uważanego za najlepszy w Europie. Niska i szeroka, była zbudowana z brązowego kamienia, prawdopodobnie na początku stulecia.

Nie wyglądała na dobrze zakamuflowaną kryjówkę, ale może właśnie dlatego tak dobrze spełniała swoje zadanie. Rossignol dorastał w Zurychu, lecz karierę zrobił w Bernie. Naturalnie znał wielu wpływowych i potężnych mieszkańców miasta nad Limmatem, ale nie były to znajomości ani przypadkowe, ani towarzyskie. Poza tym właściciele domów przy Hauserstrasse na pewno należeli do odludków: byli sąsiadami, lecz nie utrzymywali dobrosąsiedzkich stosunków. Staruszek uprawiający przydomowy ogródek nie zwraca na siebie uwagi. Rossignol wiódłby tu życie wygodne i nie rzucałby się przy tym w oczy.

Ben zaparkował w małej zatoczce kilkadziesiąt metrów dalej. Zaciągnął ręczny hamulec, żeby wóz nie stoczył się ze wzgórza, otworzył schowek na mapy i wyjął rewolwer Liesl. W bębenku pozostały tylko cztery naboje; wiedział, że jeśli ma się bronić, będzie musiał dokupić amunicję. Trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika i schował rewolwer do kieszeni kurtki.

Wcisnął guzik dzwonka. Nic. Cisza. Odczekał chwilę i zadzwonił ponownie. Głośnik bramofonu wciąż milczał.

Przekręcił klamkę, lecz nie ustąpiła.

Pod wiatą z boku domu parkował stary model mercedesa. Wóz Rossignola? Może, choć niekoniecznie.

Już miał odejść, gdy nagle pomyślał, że warto by sprawdzić, czy nie ma tam innych drzwi. Wolno ruszył wzdłuż ogrodzenia. Świeżo skoszony trawnik, starannie wypielęgnowane kwietniki: ktoś bardzo o tę posiadłość dbał. Od tyłu dom był znacznie okazalszy niż od frontu. Olbrzymi, pofałdowany trawnik, skąpane w słońcu klomby na jego skraju, wielki, osłonięty kopulastym zadaszaniem taras, na tarasie rząd leżaków.

I tylne wejście: podwójne drzwi. Pierwsze się otworzyły. Przekręcił klamkę drugich i klamka... ustąpiła.

Przekonany, że zaraz włączy się alarm, z mocno bijącym sercem pchnął drugie drzwi. Ale nie, wokoło panowała głucha cisza.

Czy Rossignol tam był? On, służba, zarządca domu, ktoś z rodziny?

Wszedł do ciemnej, wykładanej terakotą sieni. Na wieszaku wisiało kilka płaszczy i lasek z bogato zdobionymi główkami. Z sieni przeszedł do małego pokoju, w którym stało wielkie biurko i kilka półek z książkami. Gabinet? Gaston Rossignol, niegdyś filar szwajcarskiego systemu bankowego, był człowiekiem o nader skromnych gustach.

Biurko, na biurku zielona podkładka, obok podkładki czarna, nowoczesny

panasonic z interkomem, wyświetlaczem, identyfikatorem numeru osoby dzwoniącej, przełącznikiem rozmów konferencyjnych, głośnikiem i automatyczną sekretarką.

I właśnie w chwili, gdy na niego patrzył, telefon nagle zadzwonił, tak głośno i natarczywie, że słysząc go było chyba w całym domu. Ben zamarł, przekonany, że do gabinetu wejdzie zaraz Rossignol – nie bardzo wiedział, jak się przed nim wytłumaczy. Telefon zadzwonił ponownie, dwa, trzy, cztery dzwonki, i raptem zamilkł.

Ben czekał.

Nikt nie odebrał. Czy to znaczy, że nikogo nie ma w domu? Zerknął na identyfikator. Długi rząd cyfr: zamiejskowa.

Postanowił pójść dalej. Idąc korytarzem, słyszał cichą muzykę – Bach? – tylko skąd dochodziła? Czy w ogóle ktoś tu był?

Z pokoju na końcu korytarza sączyło się światło. Podeszedł bliżej i muzyka przybrała na sile.

Jadalnia, duża i elegancka. Długi stół, na stole sztywny biały obrus, srebrny dzbanek do kawy na srebrnej tacy, sztucze, talerz, na talerzu jajka z kiełbaskami. Gospośia podała śniadanie. Podała i znikła? Przenośny magnetofon na kredensie grał Bacha: suita na wiolonczelę.

A przy stole, tyłem do niego, siedział starzec w wózku inwalidzkim. Miał siwe skronie, łysą, opaloną głowę, byczy kark i okrągłe ramiona. Nie słyszał, jak Ben wszedł. Pewnie był już głuchy; w jego prawym uchu tkwiła maleńka słuchawka.

Mimo to, nie chcąc ryzykować, Ben włożył rękę do kieszeni, namacał rękojeść rewolweru, wyjął go i odbezpieczył. Starzec nie zareagował. Albo rzeczywiście był zupełnie głuchy, albo wyłączył aparat słuchowy.

Raptem ponownie zadzwonił telefon, zadzwonił równie głośno i natarczywie jak poprzednio. Wystraszony Ben drgnął. Lecz starzec się nie poruszył.

Drugi dzwonek, trzeci, czwarty i... cisza.

Z gabinetu w głębi korytarza dobiegł skrzekliwy głos jakiegoś mężczyzny. Mówił szybko, chaotycznie i agresywnie: Ben nie zrozumiał z tego ani słowa i dopiero po chwili uświadomił sobie, że to tylko automatyczna sekretarka.

Podeszedł jeszcze bliżej i przytknął lufę do głowy starca.

–Nie ruszaj się.

Głowa bezwładnie opadła na pierś. Wolną ręką Ben szarpnął wózkiem i odwrócił go do siebie, policzek przytulony do piersi, martwe oczy wpatrzone w podłogę.

Zalała go fala paniki. Dotknął talerza. Jajka i kiełbaski były jeszcze ciepłe. Rossignol umarł dosłownie przed chwilą. Ktoś go zabił? Jeśli tak, morderca musiał być gdzieś w pobliżu, może nawet tu, w domu!

Gdy wybiegał na korytarz, telefon zadzwonił po raz trzeci. Ben wpadł do gabinetu i zerknął na ekran wyświetlacza: rząd tych samych cyfr rozpoczynający się od 43 L 431? Skądś ten numer znał. To kierunkowy jakiegoś europejskiego miasta. Tak, na pewno.

Włączyła się automatyczna sekretarka.

–Gaston? Gaston? – krzyczał jakiś mężczyzna.

Mówił po francusku, lecz z silnym, obcym akcentem i Ben zrozumiał jedynie kilka słów.

Kto to był? Po co dzwonił do Rossignola?

I znowu dzwonek, tym razem u drzwi!

Korytarz, tylne wyjście: nie zamknął drzwi i wciąż były lekko uchylone. Na dworze? Nikogo. Szybko!

Obiegł dom i przystanął za wysokimi krzewami od frontu. Ulicą przejeżdżał powoli radiowóz. Policja. Pewnie patrolowali okolicę.

Niskie ogrodzenie z kutego żelaza, za ogrodzeniem dom sąsiadów. Wystarczył jeden skok i znalazł się na działce wielkości działki Rossignola, choć nie tak ładnej i mniej zadbanej. Istniało duże ryzyko, że ktoś go zauważy, ale nie, nikt nie krzyknął, nikt nawet nie zawołał. Obiegł dom i wypadł na Hauserstrasse: trzydzieści metrów dalej stał jego range rover. Wskoczył za kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Ryknął silnik.

Szybko zawrócił i ruszył w dół stromej ulicy, celowo zwalniając – mógł teraz uchodzić za statecznego mieszkańca dzielnicy w drodze do pracy.

Ktoś próbował dodzwonić się do Rossignola. Ktoś dzwonił do niego z miasta o numerze kierunkowym 431.

431, 431... Czwórka zderzała mu się w głowie z trójką, trójka z jedyneką i wreszcie go olśniło. Wiedeń. Austria.

Ten ktoś dzwonił z Wiednia. Liesl mówiła, że ci ludzie mają spadkobierców, następców... W Wiedniu mieszkał syn Gerharda Lenza, tego hitlerowskiego potwora – tak twierdził Mercandetti. Wiedeń. Rossignol już nie żył, dlatego wyprawa do Wiednia byłaby krokiem w miarę logicznym. Ben zdawał sobie sprawę, że nie może liczyć na nic pewnego, lecz była to przynajmniej szansa. Nikły trop na dziewiczym śniegu.

Kilka minut później znalazł się na Bahnhofplatz w centrum miasta. To tu próbował go zabić Jimmy Cavanaugh. To tu się wszystko zaczęło.

Musiał złapać najbliższy pociąg do Wiednia.

Alpy Austriackie

Ktoś cicho zapukał do drzwi.

–Tak? – zawołał Starzec zirytowanym głosem.

Wszedł lekarz w białym fartuchu, niski, brzuchaty mężczyzna o pulchnych ramionach.

–Wszystko w porządku? – spytał. – Podoba się panu nasz apartament?

–Apartament? – powtórzył pacjent numer osiemnaście. Leżał na wąskiej pryczy, w wygniecionym trzyczęściowym garniturze. – To cela mnicha!

Rzeczywiście, pokój był bardzo skromnie umeblowany: krzesło, biurko, lampka i telewizor. Na kamiennej podłodze nie było nawet dywanu. Lekarz uśmiechnął się blade.

–Nazywam się Lofquist. – Przysiadł na krześle obok pryczy. – Przyszedłem pana powitać i ostrzec. Czeka pana dziesięć bardzo trudnych dni, dni wypełnionych rygiorem i dyscypliną. Zostanie pan poddany długiej serii najbardziej wyszukanych

badan, o jakich pan kiedykolwiek slyszal. Chcemy dokladnie zdiagnozowac pana stan fizyczny i psychiczny.

Pacjent numer osiemnascie nie pofatygowal sie nawet, zeby usiac.

-Psychicznych? - burknal. - Po cholere?

-Widzi pan, nie kazdy sie do tego nadaje.

-A jezli uznacie mnie za wariata?

-Ci, ktorym jesteśmy zmuszeni podziekowac, wracaja do domu. Zegnamy ich z wielkim zalem.

Pacjent milczal.

-Powinien pan odpoczac. Czeka pana meczace popoludnie. Badanie tomograficzne, rentgen, seria testow percepcyjnych. No i oczywiscie standardowy test na depresje.

-Nie mam depresji - warknal pacjent.

Lekarz puscil to mimo uszu.

-Dzisiaj musi pan poscic, zebyśmy mogli dokladnie zmierzyc poziom cholesterolu, trojglicerydow, lipoprotein i tak dalej.

-Poscic? To znaczy glodowac? Nie zamierzam umrzeć tu z glodu!

Lekarz wstal.

-Szanowny panie, moze pan w kazdej chwili wyjechać. Jezli natomiast raczy pan zostac i jezli uznamy, ze sie pan nadaje, czeka pana seria dlugich i, nie ukrywam, dosc bolesnych zabiegow. Ale prosze mi wierzyc, przezyje pan cos, czego nigdy pan dotad nie przezył. Nigdy. To moge panu obiecac.

Kesting nie ukrywal zaskoczenia, gdy kilka godzin pozniej Anna wrocila z adresem; szczerze mowiac, ona tez byla troche zaskoczona. Zrobila po prostu to, co zamierzala, i wszystko wypalilo. Studiujac akta Rossignola, natrafila na nazwisko, ktore moglo okazac sie pomocne: nazwisko zuryskie-go urzednika państwowego, niejakiego Daniela Taine'a. Pojawialo sie w kilku roznych kontekstach i po wnikliwej lekturze akt zyskala niemal calkowita pewnosc, ze intuicja jej nie zawiodla. Gaston Rossignol byl jego pierwszym pracodawca i kimś w rodzaju mentora. W latach siedemdziesiatych byli wspólnikami w spólce z ograniczona odpowiedzialnoscia i obracali wysokodochodowymi euroobligacjami. Rossignol wprowadzil go do Kifkintler Society, elitarnego klubu, ktorego czlonkami bylo wielu zuryskich prominentow. Zarobivszy mala fortune, Taine pelnil ostatnio funkcje glownie honorowe i dzieki swym rozleglym kontaktom doskonale nadawal sie do roli reprezentanta i sprawnego wykonawcy planow swego starego mecenasa.

Anna przyjechala do niego do domu z niezapowiedziana wizyta, przedstawila sie i wylozyla karty na stol. Przyszla z ostrzezeniem: Gastonowi Rossignolowi grozi powazne niebezpieczenstwo. Tyle.

Taine byl wyraźnie wstrzasniety, lecz, tak jak sie tego spodziewala, nie chcial nic powiedziec.

-Nie moge pani pomoc - odrzekl. - Pan Rossignol sie przeprowadzil. Nikt nie wie, gdzie obecnie przebywa i nikogo nie powinno to obchodzic.

-Nikogo z wyjatkiem mordercow?

– Nawet jeśli ci mordercy naprawdę istnieją, skąd pewność, że go znajdą? – odparł z teatralnym sceptycyzmem, zbyt szybko przyznając, że bierze to jednak pod uwagę.

– Wy go nie znaleźliście, chociaż dysponujecie znacznymi środkami.

– Mam podstawy przypuszczać, że już go szukają.

Taine posłał jej ostre spojrzenie.

– Doprawdy? Skąd pani wie?

Anna pokręciła głową.

– O pewnych sprawach mogę rozmawiać tylko z panem Rossignolem.

– Dlaczego ktoś miałby na niego nastawać? To jeden z najbardziej podziwianych obywateli tego miasta.

– I dlatego się ukrywa? Taine zacisnął usta.

– Nonsens – odparł po chwili.

Anna milczała, patrząc mu prosto w oczy. Potem wręczyła mu swoją wizytówkę z numerem telefonu w Urzędzie do Badań Specjalnych.

– Wróć za godzinę. Wiem, że i pan dysponuje sporymi możliwościami. Niech pan mnie przeświecili. Niech pan sprawdzi, czy działam w dobrej wierze, czy jestem tym, za kogo się podaję, i czy rzeczywiście reprezentuję instytucję, którą reprezentuję.

– Ale jak? Jestem tylko zwykłym obywatelem...

– Ma pan swoje sposoby. Jeśli nie pan, to pański przyjaciel. Jestem przekonana, że zechce mu pan pomóc. Chyba się rozumiemy, prawda?

Dwie godziny później przyjechała do niego do pracy. Ministerstwo spraw gospodarczych mieściło się w marmurowym gmachu, zbudowanym w popularnym pod koniec dziewiętnastego wieku stylu Beaux Arts. Gabinet Taine'a był duży, słoneczny i zastawiony książkami. Poproszono ją, gdy tylko przyszła, i dyskretnie zamknięto grube, ciemne drzwi.

Taine siedział za orzechowym biurkiem.

– To nie jest moja decyzja – podkreślił. – To jest decyzja pana Rossignola. Ja jej nie popieram.

– Sprawdź mnie pan.

– Owszem, została pani sprawdzona – odrzekł ostrożnie Taine. Zwrócił jej wizytówkę, – Do widzenia, panno Navarro.

Adres wypisano ołówkiem, małymi literami w wolnym miejscu po lewej stronie jej nazwiska.

Natychmiast zadzwoniła do Bartletta i zapoznała go z postępami w dochodzeniu.

– Doprawdy, nie przestaje mnie pani zadziwiać – rzekł z zaskakująco ciepłą nutką w głosie.

Jechali do Hottingen.

– Dziś rano zatwierdzono pani prośbę o przydział ochrony – oznajmił Kesting. – Przeznaczamy do tego celu kilka nieoznakowanych samochodów.

– A telefon?

– Podłuch założymy w ciągu najbliższych kilku godzin. Akustyk z Kantonspolizei będzie pełnił dyżur w *Mutterhaus*.

– Gdzie?

–W komendzie głównej. *Mutterhaus*, Dom Matki. Tak ją nazywamy.

Wjechali na Hottingerstrasse. Domy były tu większe i ładniejsze, drzewa bujniejsze. Skręcili w Hauserstrasse i zaparkowali na podjeździe przed niską, kamienną willą na pięknie ukształtowanej działce. Ale nieoznakowanych policyjnych radiowozów Anna nigdzie nie zauważyła.

–To tu – powiedział Kesting.

Kiwnęła głową. Wielki dom, wielki trawnik, pomyślała. Jeszcze jeden szwajcarski bankier.

Wysiedli i podeszli do drzwi. Kesting wcisnął guzik dzwonka.

–Poprowadzę rozmowę. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

–Ależ skąd. – „Międzynarodowa współpraca”: cokolwiek oznaczało to na papierze, oboje wiedzieli, że taki jest regulamin.

Odczekawszy kilka chwil, Kesting zadzwonił ponownie. – To starzec. Od paru lat jest przykuty do wózka. Trudno mu się poruszać. Minęła cała minuta.

–Jest tak stary, że pewnie nie wychodzi już z domu... – Kesting zadzwonił po raz trzeci.

Wiedziała, że to za proste, pomyślała Anna. Co za partactwo.

–Może jest chory – mruknął Kesting. Niepewnie przekręcił klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Obeszli dom i znaleźli tylne wejście. Tu nie napotkali żadnych kłopotów: drzwi otworzyły się natychmiast.

–Panie doktorze? – zawołał Kesting. – To ja, Bernard Kesting z prokuratury. – To „doktorze” było chyba tytułem grzecznościowym, i tylko grzecznościowym.

Cisza.

–Doktorze Rossignol!

Kesting wszedł do korytarza, Anna za nim, Palilo się światło, z głębi domu dochodziły ciche dźwięki muzyki klasycznej.

–Panie doktorze?– Otwarte drzwi, za drzwiami jadalnia. Zapalone światła, Bach, zapach kawy, jajek i smażonego mięsa.

–Panie... Boże święty!

Dopiero teraz przerażona Anna zobaczyła to, co on.

Przy zastawionym na jedną osobę stole siedział w wózku jakiś starzec. Głowę miał nisko spuszczoną, oczy rozszerzone i nieruchome. Nie żył.

Dopadli go! Ale fakt ten jej nie zaskoczył. Zaskoczyło ją wyczucie, z jakim to zrobili: musieli go zabić tuż przed ich przybyciem. Jakby wiedzieli, że Kesting i ona już tu jadą.

Poczuła lekkie ukłucie strachu.

–Szlag by to... – syknęła. – Niech pan wezwie karetkę. 1 ekipę z wydziału zabójstw. I na miłość boską, niech niczego tu nie dotykają.

Rozdział 21

Ekipa dochodzeniowa wydziału zabójstw zuryskiej Kantonspolizei, która przyjechała niecałą godzinę później, zrobiła zdjęcia i nagrała materiał filmowy. Spece od daktyloskopii starannie zebrali odciski palców, szczególnie z frontowych drzwi i z trzech okien na parterze. Anna poprosiła ich, żeby sprawdzili również wózek ofiary oraz jej ręce, twarz, szyję i kark. Zanim usunięto ciało, w celach porównawczych pobrali także odciski palców denata.

Gdyby Amerykanie nie interesowali się Rossignolem przed jego śmiercią- a zażądali nawet, żeby przydzielono mu ochronę – uznano by zapewne, że jest to zgon z przyczyn naturalnych. Gaston Rossignol miał już dziewięćdziesiąt jeden lat.

Ale w tej sytuacji natychmiast zarządzono sekcję zwłok, ze szczególnym uwzględnieniem badania płynu ocznego. Sekcję miał przeprowadzić Instytut Medycyny Sądowej miejscowego uniwersytetu, ponieważ w Zurychu nie było urzędu patologa,

Anna wróciła do hotelu. Wyczerpana – ostatecznie nie wzięła jednak ativanu i podczas lotu nie zmrużyła oka – zaciągnęła zasłony, włożyła obszerny podkoszulek i padła na łóżko.

Ze snu wyrwał ją dzwonek telefonu. Zdezorientowana, przez chwilę myślała, że jest w Waszyngtonie, że to środek nocy. Spojrzała na fosforyzującą tarczę zegarka i stwierdziła, że jest dzień, że właśnie minęła czternasta trzydzieści. Podniosła słuchawkę.

–Pani Navarro?

–Tak, słucham – wychrypiąta i odchrząknęła. – Kto mówi?

–Sierżant major Schmid z Kantonspolizei. Jestem detektywem z wydziału zabójstw. Przepraszam, chyba panią obudziłem...

–Nie, nie, tylko drzemałam. Co się stało?

–Właśnie przyszły wyniki badań odcisków palców i mamy tu coś ciekawego. Czy mogłaby pani do mnie wpaść?

Schmid był dość sympatyczny. Miał szeroką twarz i krótką, śmieszoną grzywkę, która wyglądała jak kilka splatających się ze sobą grzywek. Był w granatowej koszuli, a na szyi błyszczał mu złoty łańcuszek.

I miał ładny gabinet, jasny i skromnie umeblowany, z dwoma stojącymi naprzeciwko siebie biurkami z jasnego drewna. Za jednym usiadła ona, za drugim on.

Schmid bawił się spinaczem.

–Odciski palców badamy w Kriminaltechnik. Po wyeliminowaniu odcisków Rossignola pozostało sporo innych, w większości niezidentyfikowanych. Był wdowcem, więc zakładamy, że należały do gosposi i do kilku innych osób, które tam pracowały. Gosposia miała nocny dyżur. Rano zrobiła mu śniadanie i wyszła. Musieli obserwować dom i widzieli, jak odjeżdża.

–Nie miał pielęgniarki?

–Nie. – Schmid wyginał spinacz to w jedną, to w drugą stronę. – Widzi pani, ostatnio się skomputeryzowaliśmy. Wszystkie odciski palców trafiają teraz do specjalnych serwerów, tak samo jak u was. – Miał na myśli amerykański ASI,

Automatyczny System Identyfikacji, komputerową bazę danych zawierającą miliony odcisków palców. – Te z domu Rossignola zostały zeskanowane i przesłane siecią do centralnego rejestru w Bernie, gdzie porównano je z innymi. Wyniki nadeszły bardzo szybko. No i mamy coś.

Anna podniosła głowę w oczekiwaniu.

–Prowadziłem tę sprawę osobiście. Odciski należą do pewnego Amerykanina, którego kilka dni temu zatrzymaliśmy w związku ze strzelaniną na Bahnhofplatz.

–Jak się nazywa?

–Benjamin Hartman.

Nic jej to nie mówiło.

–Co o nim wiecie?

–Sporo. Widzi pani, sam go przesłuchiwałem. – Podał jej akta sprawy, które zawierały również fotokopię amerykańskiego paszportu, prawa jazdy, kart kredytowych i zdjęcia z policyjnej kartoteki.

Przeglądała je zafascynowana. Czy to on? Czy to jej zabójca? Amerykanin? Trzydzieści kilka lat, bankier z Funduszu Kapitałowego Hartmana. Rodzinny interes – facet musi mieć pieniądze. Mieszkał w Nowym Jorku. Przyjechał do Szwajcarii na narty, a przynajmniej tak powiedział Schmidowi. Ale mógł przecież kłamać.

Kiedy przebywał w Zurychu, zamordowano pozostałe trzy osoby z listy Bartletta. Jedna mieszkała w Niemczech: mógł tam dojechać pociągiem. Druga w Austrii, a więc w zasięgu ręki.

Ale Paragwaj? Cholernie daleko, w dodatku samolotem.

Mimo to nie mogła tego wykluczyć. Ani tego, że miał wspólników.

–Co się stało na Bahnhofplatz? – spytała. – Zastrzelił kogoś?

Metalowy spinacz w rękach Schmida pękł dokładnie w połowie.

–W podziemnym centrum handlowym wybuchła strzelanina. Zatrzymaliśmy go i przesłuchaliśmy. Ale nie sądzę, żeby to on strzelał. Twierdził, że próbowano go zabić.

–Ktoś zginął?

–Kilku przechodniów. Między innymi człowiek – tak twierdził Hartman – który chciał go zamordować.

–Hmm... – Dziwne. Nawet bardzo dziwne. Kim ten człowiek jest? – Wypuściliście go?

–Nie mieliśmy podstaw do aresztowania. Poza tym ktoś z jego firmy pociągnął za odpowiednie sznurki i mieliśmy naciski z góry. Kazałem mu wyjechać z kantonu.

A więc to tak traktują tu policję, pomyślała kwaśno Anna. U nas by to nie przeszło.

–Wiecie, gdzie on teraz jest?

–Zeznał, że jedzie do St. Moritz, że ma rezerwację w hotelu Carlton. Ale tam nie dotarł, sprawdziliśmy. Wczoraj dostaliśmy meldunek, że wypłynął w Zurychu, w Handelsbank Schweiz. Próbowaliśmy go zatrzymać i przez słuchać, ale uciekł. I znowu doszło do strzelaniny/Ten facet ma jakiś dar. Gdzie się tylko pojawi, zaraz świszczą kule,

–Proszę, proszę... A jeśli mieszka w jakimś hotelu? Tu w Zurychu albo gdzieś indziej? Dałoby się to sprawdzić?

Schmid skinął głową.

–W każdym kantonie mamy centrum kontroli hotelowej. Miejscowa policja otrzymuje kopie wszystkich dokumentów meldunkowych. Mogę podzwonić.

–Dostajecie te kopie na bieżąco?

–Nie zawsze – przyznał Schmid. – Ale przynajmniej wiedzielibyśmy, gdzie był.

–Pod warunkiem, że zameldował się pod swoim nazwiskiem.

–Każdy obcokrajowiec musi okazać w hotelu paszport. Wymagają tego przepisy.

–Może ma kilka paszportów. Może zatrzymał się w hotelu, który tych przepisów nie przestrzega. Może zamieszkał u przyjaciół.

Schmid trochę się zirytował.

–Widzi pani – odparł –ja z nim rozmawiałem. Nie wyglądał na faceta, który posługuje się fałszywym paszportem.

–Niektórzy z tych międzynarodowych biznesmenów mają podwójne obywatelstwo i legitymują się paszportami z krajów takich jak Panama, Irlandia czy Izrael. Czasami to się przydaje.

–Owszem, ale są to paszporty wystawione na ich prawdziwe nazwisko. – Niekoniecznie. Dałoby się sprawdzić, czy ten Hartman już stąd wyjechał?

–Ze Szwajcarii? To byłoby trudne. Mógł wsiąść do samolotu, do pociągu, mógł wynająć samochód, a nawet przekroczyć granicę piechotą.

–A co robi policja graniczna?

–Mają sprawdzać paszporty, ale często tego nie robią. Jeśli już, to postawiłbym na samolot. Linie lotnicze mają listy pasażerów.

–A jeżeli wyjechał pociągiem?

–Wtedy będzie kłapa, chyba że miał rezerwację w pociągu międzynarodowym. Ale nie robiłbym sobie nadziei.

–Tak... – odrzekła w zadumie Anna. – Może pan rozpocząć poszukiwania?

–Oczywiście – odparł niecierpliwie Schmid. – Przepisy tego wymagają.

–Kiedy dostanę protokół z sekcji zwłok? Interesują mnie zwłaszcza wyniki badań toksykologicznych. – Wiedziała, że nie powinna napierać, ale nie miała wyboru.

Schmid wzruszył ramionami.

–Badania mogą potrwać nawet tydzień. Ale mógłbym to przyspieszyć.

–Chodzi mi o pewną neurotoksynę. Powinni ją szybko znaleźć.

–Dobrze, zadzwonię.

–Świetnie. I prosiłabym jeszcze o wyciągi bankowe Rossignola, najlepiej z ostatnich dwóch lat. Czy wasze banki zechcą z nami współpracować czy usłyszymy tę starą śpiewkę o tajemnicy, przepisach i tak dalej?

–W sprawie o morderstwo na pewno zechcą – odparł zirytowany Schmid.

–Cóż za miła niespodzianka. Aha, jeszcze jedno. Fotokopie kart kredytowych tego Hartmana. Myśli pan, że mogłabym je zatrzymać?

–Nie widzę przeszkód.

–Cudownie. – Facet był całkiem miły. Zaczynała go lubić.

Sao Paulo, Brazylia

W Hipica Jardins, najbardziej ekskluzywnym prywatnym klubie Brazylii, trwało wesele.

Członkami klubu byli głównie tak zwani *quatrocentoes*, „czterystulatkwie”, przedstawiciele brazylijskiej arystokracji, potomkowie portugalskich osadników, którzy mieszkali w tym kraju co najmniej od czterystu lat. Potężni właściciele ziemscy, właściciele papierni, gazet i wydawnictw, wytwórni kart do gry, hotelowi magnaci, ludzie najbogatsi z najbogatszych – dowodem tego był długi rząd bentlejów i rolls-royce'ów parkujących na podjeździe przed klubem.

Wystrojeni we fraki i białe muszki, tego wieczoru przybyli tu, żeby wziąć udział w ceremonii zaślubin Fernandy, córki jednego z brazylijskich plutokratów, Doutora Otavia Carvahla Pinta. Biorąc ślub, Fernanda wchodziła do równie znamienitej rodziny Alcantara Machadosa.

Wśród gości przybyłych na uroczystość był dostoyny, białowłosy, niemal dziewięćdziesięcioletni starzec. Nazywał się Jorge Ramago. Chociaż nie należał do *quatrocentoes* - urodził się w Lizbonie i w latach pięćdziesiątych wyemigrował do Brazylii – był niezwykle bogatym bankierem, właścicielem ziemskim oraz współnikiem i wieloletnim przyjacielem ojca panny młodej.

Nie tknąwszy jedzenia – *noisettes de veau Perigourdine* zdążyło już wystygnać – siedział, obserwując roztańczone pary. Nieśmiało podeszła do niego młoda, ciemnowłosa kelnerka.

–Senor Ramago – powiedziała po portugalsku – telefon do pana. Ramago powoli odwrócił głowę.

–Telefon?

–Tak, senior, to coś pilnego. Z domu. Dzwoni pańska żona.

Na twarzy starca zagościł wyraz niepokoju.

–Gdzie? Odzie ten... – Załamał mu się głos.

–Tędy, senior. – Kelnerka ostrożnie pomogła mu wstać. Szli przez salę bardzo powoli, gdyż lizbończyk cierpiał na reumatyzm, chociaż poza tym był okazem zdrowia.

W holu stała antyczna budka telefoniczna i kelnerka wprowadziła go tam, usłużnie wygładzając mu zmięty smoking.

Ramago podniósł słuchawkę i w tym samym momencie poczuł ostre ukłucie w górnej części uda. Głośno sapnął, obejrzał się, lecz kelnerki już nie było. Ból szybko minął, więc starzec przytknął słuchawkę do ucha. Ale usłyszał tylko ciągły sygnał.

–Przecież nikogo tam nie ma... – szepnął i stracił przytomność.

Chwilę później zauważył go jeden z kelnerów. Natychmiast podniósł alarm.

Alpy Austriackie

Obudzono go w środku nocy.

Pielęgniarka delikatnie zacisnęła opaskę na jego ramieniu i zaczęła pobierać krew.

–Co się, do diabła, dzieje? – jęknął.

–Bardzo pana przepraszam – odrzekła pielęgniarka silnie akcentowaną angielszczyzną – ale musimy pobierać krew dokładnie co cztery godziny. Od północy

przez cały następny dzień.

–Jezu Chryste, po cholere?

–Żeby zmierzyć poziom epo... erytropoetyny.

–Nie wiedziałem, że coś takiego mam. – Te wszystkie badania bardzo go denerwowały, lecz zdawał sobie sprawę, że to dopiero początek.

–Proszę spróbować zasnąć. Czeka pana długi dzień.

Śniadanie zjadł wraz z innymi, w wystawnie urządzonej sali bankietowej. Na bufetowej ladzie piętrzyły się stosy owoców, świeżutkich bułek, chrupkich ciasteczek, kiełbasek, jajek, bekonu i szynki.

Kiedy skończył jeść, zaprowadzono go na badania w innym skrzydle gmachu.

Tam kolejna pielęgniarka ostrożnie nacięła mu skalpelem skórę po wewnętrznej stronie ramienia.

Pacjent numer osiemnaście cicho jęknął.

–Przepraszam – powiedziała pielęgniarka. – Wiem, że to boli.

–Wszystko mnie boli, całe ciało. Po co to?

–Musimy zrobić biopsję, żeby sprawdzić elastyczność włókien skóry właściwej. – Obandażowała mu ramię.

Pod ścianą stało dwóch lekarzy w białych fartuchach, Rozmawiali cicho po niemiecku, w języku, który dobrze znał.

–Funkcje mózgu są nieco upośledzone – mówił niski i pulchny – u kogoś w jego wieku to zupełnie naturalne. Nie stwierdziłszy ani otępienia starczego, ani choroby Alzheimerera.

–A masą mięśnia sercowego? – spytał wyższy, szczupły i siwowłosy.

–Do przyjęcia. Zmierzyliśmy mu ciśnienie w tylnej tętnicy piszczelowej. Tym razem użyliśmy ultrasonografu Dopplera i owszem, są tam drobne zmiany chorobowe.

–Ma podwyższone ciśnienie.

–Tak, ale nieznacznie. Też do przyjęcia.

–Sprawdziłeś opad?

–Właśnie sprawdzają.

–Dobrze. Moim zdaniem pacjent się nadaje. Proponuję przyspieszyć badania.

Nadają się, pomyślał pacjent numer osiemnaście. A jednak. Spojrzał na pogrążonych w rozmowie lekarzy i uśmiechnął się szeroko, udając, że jest im wdzięczny.

Rozdział 22

Wiedeń

Detektyw spóźniał się już prawie godzinę. Ben siedział nad nietkniętą kawą w przestronnym holu hotelu przy Karntner Strasse, czekając na człowieka, którego nazwisko wybrał z wiedeńskiej książki telefonicznej.

Wiedział, że istnieją lepsze sposoby na znalezienie prywatnego detektywa. Mógłby na przykład zadzwonić do któregoś z klientów i poprosić o rekomendację, jednak instynkt kazał mu unikać znajomych, dopóki było to możliwe.

W Zurychu wsiadł do najbliższego pociągu, zjawił się bez uprzedzenia w tym małym hotelu, dostał pokój – miał szczęście – i zameldował się jako Robert Simon. Poproszono go o paszport i wstrzymał oddech, gdy recepcjonista go przeglądał, lecz dokument, stosownie zużyty i ostemplowany dziesiątkami wiz, nie wzbudził najmniejszych podejrzeń.

Wszedł do pokoju i natychmiast przejrzał książkę telefoniczną w poszukiwaniu dobrego detektywa. Sądząc po ogłoszeniach, wszyscy byli bardzo dobrzy, znani i uznani, a kilku miało biuro w centrum miasta, niedaleko hotelu. Jeden z nich specjalizował się w odnajdywaniu zaginionych krewnych. Ben wynajął go telefonicznie i poprosił o ustalenie miejsca pobytu swego austriackiego kuzyna.

Teraz zaczynał mieć wątpliwości, czy facet w ogóle się pojawi.

Na krzesło po drugiej stronie niskiego stolika opadł ciężko tęgi mężczyzna w wieku około czterdziestu lat.

–Pan Simon? – Położył na stole podniszczoną skórzaną aktówkę.

–Tak.

–Hans Hoffman. Ma pan pieniądze?

–Bardzo mi miło – rzucił ironicznie Ben. Wyjął portfel, odliczył czterysta dolarów i przesunął banknoty w jego stronę.

Hoffman popatrzył na nie bez słowa.

–Coś nie tak? – spytał Ben. – Woli pan szylingi? Przykro mi, nie byłem jeszcze w banku.

–Poniosłem dodatkowe koszty – odrzekł detektyw.

–Doprawdy?

–Musiałem zapłacić za przysługę staremu kumplowi z HNA, z Heeres Nachrichtenamt... Z austriackiego wywiadu wojskowego.

–Tłumacząc na nasze, dał mu pan w łapę.

Hoffman tylko wzruszył ramionami.

–Czy ten kolega wystawił panu rachunek? Nie przypuszczani.

Detektyw westchnął.

–Tak to się u nas robi. Bez dobrych dojsć tego rodzaju informacje są nie do zdobycia. Kolega musiał wykorzystać swoją legitymację służbową i chce za to dwie stowy. Numer – mówiąc krótko, zastrzeżony – i adres mogę dać panu już teraz.

Ben dołożył dwieście dolarów. Skończyła mu się gotówka. Hoffman przeliczył pieniądze.

–Nie wiem, po co panu jego adres i numer, ale musi pan prowadzić baaardzo

ciekawe interesy.

–Tak pan myśli? Dlaczego?

–Ten człowiek to w Wiedniu gruba ryba. – Przywołał kelnerkę, zamówił kawę i torcik. Potem wyjął z aktówki laptopa, otworzył go i włączył. – Najnowsze osiągnięcie biometryki – oznajmił z dumą. – Czujniki daktyloskopijne. Hasłem są odciski palców. Bez tego maszyna nie odpali. Niemiecka robota. Oni są w tym najlepsi.

Przez kilka sekund stukał w klawiaturę, potem odwrócił komputer ekranem w stronę Bena. Ekran był czarny, widniało na nim tylko nazwisko i adres Jurgena Lenza.

–Zna go pan? – spytał, przysuwając komputer do siebie. – To pański znajomy?

–Niezupełnie. Proszę mi o nim opowiedzieć.

–Cóż, doktor Lenz to jeden z najzamożniejszych mieszkańców Wiednia, słynny filantrop i mecenas sztuki. Jego rodzinna fundacja buduje szpitale dla biednych. Jest też członkiem zarządu Filharmonii Wiedeńskiej.

Kelnerka postawiła przed nim kawę i torcik. Detektyw rzucił się na nie, zanim zdążyła odejść.

–Jest lekarzem? – spytał Ben.

–Tak, ale od dawna nie praktykuje.

–Ile ma lat?

–Chyba pięćdziesiąt parę.

–Lekarz... Rodzinna tradycja.

Hoffman parsknął śmiechem,

–Robi pan aluzję do jego ojca, do Gerharda Lenza? Wie pan, to ciekawe. W wielu dziedzinach nasz kraj nie jest za bardzo postępowy. Moi ziomkowie woleliby o pewnych sprawach zapomnieć. Tacy już jesteśmy. Wmówiliśmy sobie, że Beethoven był Austriakiem, a Hitler Niemcem. Dobrze, co? Ale ten Lenz jest z innej gliny. To syn, który próbuje odkupić grzechy ojca.

–Tak?

–Tak. W pewnych kręgach nienawidzą go za to, że tak otwarcie mówi o tych wszystkich zbrodniach. Że wypiera się ojca. Że wstyd mu za te potworności. – Hoffinan niecierpliwie zerknął na torcik. – Ale w przeciwieństwie do dzieci innych słynnych nazistów, on próbuje coś zrobić. Jego fundacja finansuje badania nad holocaustem, funduje stypendia, buduje biblioteki w Izraelu, wspiera walkę ze zbrodnią z nienawiści, z rasizmem, i tak dalej. – Ponownie rzucił się na torcik, jakby bał się, że zaraz mu go odbiorą.

Syn Lenza czołowym antynazistą? Może mieli ze sobą więcej wspólnego, niż przypuszczał?

–Dobrze. – Ben wypatrzył kelnerkę i poprosił o rachunek, kreśląc w powietrzu cyfrowy szlaczek. – Dziękuję.

–Nie ma za co – odrzekł detektyw, strzepując okruszki z klap marynarki. – Może załatwić dla pana coś jeszcze?

Trevor Griffiths wyszedł z hotelu Imperial. Hotel ten stał przy Karntner Ring, niedaleko gmachu opery i Trevor uważał, że jest to najlepszy hotel w Wiedniu.

Najlepszy i najsłynniejszy, gdyż podczas wojny kwaterę główną mieli tam rządzący miastem Niemcy.

Do małego baru przy Neubaugasse było zaledwie kilka kroków Mariahilfer Strasse. Nad drzwiami wisiał krzykliwy, czerwony neon: Broadway Club. Suterena, słabo oświetlona sala: Trevor usiadł w ustronnym boksie pod ścianą. Czekał. W szytym na miarę dwurzędowym garniturze wyglądał jak biznesmen, dyrektor lub bogaty prawnik i trochę do tego miejsca nie pasował.

W barze śmierdziało papierosowym dymem. Trevor nie znosił dymu. Nie znosił obrzydliwego zapachu, którym przesiąkały ubranie i włosy. Spojrzał na zegarek: oryginalny audemars piguet, klasa sama w sobie. Zegarki były jedną z jego nielicznych słabostek. Kosztowne garnitury, kosztowne zegarki i dobry, ostry seks. Cóż mu pozostało, skoro nie lubił ani malarstwa, ani muzyki? Nie przepadał nawet za jedzeniem.

Zaczynał tracić cierpliwość. Austriak się spóźniał, a on tego nie tolerował.

Wreszcie, niemal pół godziny po czasie, do baru wszedł potężny, zwalisty troglodyta imieniem Otto. Usiadł naprzeciwko i położył na stole znoszoną torbę z czerwonego filcu.

–Ty jesteś Anglikiem, tak?

Rozpiął torbę. Leżał w niej makarow kaliber 9 mm z lufą gwintowaną pod tłumik oraz sam tłumik, długi, perforowany i cylindryczny.

–Naboje? – rzucił Trevor.

–W środku. Dziewięć na osiemnaście. Dużo.

Makarow: dobry wybór. W przeciwieństwie do dziewiątki parabellum, opuszczający lufę pocisk nie osiągał prędkości dźwięku.

–Jakiej produkcji? Węgierski? Chiński?

–Rosyjski. Ale dobry.

–Ile?

–Trzy tysiące szylingów.

Trevor aż się skrzywił. Pieniądze miał, ale nie lubił rozboju w biały dzień.

Przeszedł na niemiecki, żeby słabo mówiący po angielsku Otto wszystko zrozumiał.

–*Der Markt ist mit Makarovs uberschwemmt.* – Na rynku się od nich przelewa.

Otto drgnął.

–Można je kupić za grosze – kontynuował po niemiecku Trevor, – Wszyscy je produkują, można je dostać wszędzie. Dam ci tysiąc szylingów. I tak masz szczęście.

Otto spojrział na niego ze zdumieniem i nieukrywanym szacunkiem.

–Ty jesteś Niemcem? – spytał. Gdyby miał dobre ucho, rozpoznałby może akcent charakterystyczny dla okolic Drezna.

Trevor nie mówił po niemiecku od dość dawna; po prostu nie miał takich możliwości. Lecz okazało się, że idzie mu całkiem dobrze, że niczego nie zapomniał.

Cóż, ostatecznie niemiecki był jego ojczystym językiem.

Anna jadła kolację samotnie, w restauracji kilka przecznic od hotelu. W menu nie znalazła niczego ciekawego i doszła do wniosku, że nie przepada za szwajcarską kuchnią.

Jadanie samotnych kolacji w obcym mieście zwykle ją przygnębiało, ale tego wieczoru była zbyt pochłonięta myślami, żeby o tym pamiętać. Siedziała przy oknie, w długim rzędzie samotnych jak ona gości, z których większość czytała gazetę lub książkę.

Z amerykańskiego konsulatu wysłała faks do Wydziału Dochodzeń Departamentalnych. Faks zawierał wszystkie materiały na temat Hartmana, jakimi dysponowała – łącznie z fotokopiami kart kredytowych, tych od Schmida – oraz prośbę, żeby ci z WI, Wydziału Identyfikacyjnego, skontaktowali się z odpowiednimi bankami i powiadomili ją, gdy tylko Hartman którejkolwiek z nich użyje.

Prosiła ich również, żeby zdobyli jak najwięcej informacji na jego temat i już godzinę później zadzwonił jej służbowy starTac.

Chłopcy z WDD trafili na prawdziwą żyłę złota.

Sekretarka Hartmana twierdziła, że szef wyjechał na urlop do Szwajcarii, i że już od kilku dni nie kontaktuje się z firmą. Nie wiedziała, dokąd konkretnie pojechał, nie zostawił im planu podróży. Nie było sposobu, żeby się z nim skontaktować.

Ale jeden z techników z WI dowiedział się czegoś bardzo interesującego: jedyny brat Hartmana, w dodatku brat bliźniak, zginął w Szwajcarii w katastrofie lotniczej. Przed śmiercią – do katastrofy doszło przed czterema laty – prowadził ponoć ostrą krucjatę przeciwko szwajcarskiemu złotu. Anna nie wiedziała, co o tym sądzić. Wiedziała tylko, że pojawia się coraz więcej pytań.

Poza tym, utrzymywał technik, Benjamin Hartman był straszliwie bogatym facetem. Firma, w której pracował, Fundusz Kapitałowy Hartmana, zarządzała wielkimi funduszami inwestycyjnymi. Założył ją jego ojciec, znany amerykański filantrop i były więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

Możliwości nasuwały się same. Mały, bogaty chłopczyk, syn ojca, który przeżył holocaust, nabija sobie głowę pomysłami z cyklu: szwajcarscy bankierzy są niesprawiedliwi względem ofiar hitleryzmu. Mały, bogaty chłopczyk ginie w katastrofie samolotowej i pałeczkę przejmuje po nim brat bliźniak: on też prowadzi świętą krucjatę, szukając źle pojętej zemsty na szwajcarskich bonzach bankowych. Ot, wendeta rozpuszczonego, niedojrzałego chłopaczka.

A może brat bliźniak tkwił w tym głębiej? Może z sobie tylko znanych powodów pracował dla Sigmy albo dla czegoś, w co się z biegiem lat przeistoczyła? Pytanie tylko, skąd brał nazwiska i adresy tych wszystkich ukrywających się staruszków? I jaki związek miała z tym śmierć jego brata?

Gdy kilka minut po dziewiątej wróciła do hotelu, nocny portier podał jej karteczkę z wiadomością. Dzwonił detektyw Thomas Schmid.

Weszła do pokoju i natychmiast oddzwoniła. Był jeszcze w biurze.

–Dostaliśmy wyniki sekcji zwłok – powiedział. – Prosiła pani o test na obecność tej neurotoksyny, prawda?

–Tak.

–Znaleźli ją w płynie ocznym. Rossignola rzeczywiście otruto. Anna opadła na fotel. Postęp. Nareszcie; ilekroć w jakiejś sprawie dochodziło do przełomu, czuła miłe łaskotanie w żołądku. – A ślad ukłucia? Też znaleźli?

–Jeszcze nie. Mówią, że to trudne. Ale ciągle szukają.

–Kiedy go zamordowano?

–Tego samego dnia, na krótko przed waszym przyjazdem.

–To znaczy, że Hartman może być jeszcze w Zurychu. Trzyma pan rękę na pulsie?

Krótką pauza i chłodna odpowiedź:

–Naturalnie.

–Jest coś nowego w sprawie tych kont?

–Banki pójdą na pełną współpracę, ale to musi potrwać. Mają swoje procedury.

–Oczywiście.

–Wyciągi powinniśmy mieć już jutro, ale...

W słuchawce coś zapiszczało.

–Chwileczkę, mam drugą rozmowę. – Wcisnęła przycisk. Telefonistka z hotelowej centrali powiadomiła ją, że dzwoni ktoś z Waszyngtonu.

–Pani Navarro? Tu Robert Polozzi z WI.

–Dziękuję za telefon. Macie coś?

–Właśnie dzwoniли do mnie z MasterCard. Kilka minut temu Hartman użył karty. Zapłacił nią w jednej z wiedeńskich restauracji.

Kent, Wielka Brytania

Sir Edward Downey, były premier Wielkiej Brytanii, odpoczywał w swojej wiejskiej rezydencji w Westernham, grając z wnukiem w szachy w różanym ogrodzie, gdy nagle, w trakcie bardzo ciekawej partii, zadzwonił telefon.

–No nie – jęknął ośmioletni Christopher. – Znowu.

–Spokojnie, młodzieńcze – rzekł dobrodusznie sir Edward. – Nie denerwuj się tak.

–Sir Edward? Mówi Holland.

–Pan Holland? – rzucił zaniepokojony premier. – Wszystko w porządku? Czy nasze spotkanie jest aktualne?

–Och, naturalnie, ale... Widzi pan, wyniknął mały problem i zastanawiałem się właśnie, czy mógłby pan nam pomóc...

Sir Edward słuchał go przez chwilę, robiąc straszne miny do wnuczka. Christopher jak zwykle wesoło chichotał.

–No cóż – powiedział w końcu premier. – Zatelefonuję do kilku osób i zobaczę, co da się zrobić.

Wiedeń

Dom Jurgena Lenza, a właściwie duża, nowoczesna willa, stał w Hietzing, ekskluzywnej, gęsto zadrzewionej dzielnicy Wiednia, w enklawie dla najbogatszych mieszkańców miasta. Zbudowano go w intrygującym, miłym dla oka tyrolskim stylu, wymieszanym z elementami typowymi dla dzieł architektonicznych Franka Lloyd Wrighta.

Element zaskoczenia, pomyślał Ben. Muszę go zaskoczyć, to najważniejsze. Poza tym chodziło o przeżycie. Nie chciał, żeby mordercy Petera odkryli, że przyjechał do Wiednia – chociaż Hoffman zasiał w nim ziarno wątpliwości, wciąż zakładał, że Lenz jest jednym z nich.

Oczywiście nie mógł przyjść do niego ot tak, z ulicy, bo by go nie wpuszczono. Nie, musiał wymyślić coś bardziej wiarygodnego. Przejrzał w myśli listę najbardziej wpływowych prominentów, jakich znał, ludzi, którzy mogliby go zarekomendować, a nawet dla niego skłamać.

I nagle przypomniał mu się Winston Rockwell, szef wielkiej amerykańskiej fundacji dobroczynnej. Kilka razy prosił ich o pieniądze i Hartmanowie zawsze udzielali mu hojnego wsparcia.

Tak, pomyślał, to jest to. Pora spłacić dług.

Wiedział, że Rockwell ciężko choruje na zapalenie wątroby, że leży w szpitalu i że nie sposób się z nim skontaktować. Cóż, miał straszliwego pecha, do Bena natomiast uśmiechnęło się szczęście.

Zadzwoił i kobiecie, która odebrała telefon – żona? – powiedział, że jest przyjacielem Winstona Rockwella i że interesuje go fundacja pana Lenza. W normalnym, niezakodowanym języku znaczyło to tyle, co: mam pieniądze i chcę wam je dać. Nawet najbogatsze fundacje nie odrzucają datków.

Pani Lenz – mówiła płynną angielszczyzną – odrzekła, że mąż będzie o piątej, więc może pan Simon zechciałby wpaść na drinka? Przyjaciele pana Rockwella są ich przyjaciółmi i Jurgen z radością go powita.

Otworzyła mu drobna, elegancka kobieta w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Była w sukience z dzianiny, na szyi miała ciasny naszyjnik z pereł, a w uszach perłowe kolczyki.

–Proszę – powiedziała. – Pan Simon, prawda? Ilse Lenz. Bardzo mi miło.

–Mnie również – odrzekł Ben. – Dziękuję, że zechcieli mnie państwo przyjąć. Przychodzę prawie bez uprzedzenia, więc.

–Och, niech pan nie będzie niemądry. Każdy, kogo poleca nasz stary Winston, jest w tym domu mile widziany. Przyjechał pan ze...

–Ze Stanów, z Los Angeles.

–Byliśmy tam trzy lata temu na konferencji technologicznej. Okropność. Jurgen zaraz zejdzie... O, już jest.

Schodami zbiegał szczupły, atletycznie zbudowany mężczyzna.

–Cześć! – zawołał.

W niebieskiej kurtce, w szarych, luźnych, flanelowych spodniach i rypsowym krawacie mógłby uchodzić za dyrektora amerykańskiej firmy albo college'u z Ivy League. Jego gładka twarz promieniała zdrowiem. Uśmiech miał ciepły i słoneczny.

Nie tego Ben się spodziewał. Zaciążył mu nagle rewolwer w kaburze pod kurtką; po drodze wstąpił do sklepu sportowego przy Karntner Strasse, gdzie oprócz kabury kupił też amunicję.

Lenz mocno uścisnął mu rękę.

–Przyjaciel Winstona Rockwella jest moim przyjacielem! – I łagodnym głosem spytał: – Jakże się miewa?

–Niedobrze – odrzekł Ben. – Od paru miesięcy leży w klinice uniwersyteckiej w Waszyngtonie. Lekarze wypiszą go ponoć najwcześniej za dwa tygodnie, ale to nic pewnego.

–Tak mi przykro... – Lenz objął żonę w talii. – To bardzo miły człowiek. Cóż, nie stójmy tak. Może drinka? Jak to mówią Amerykanie? Szósta może być nawet o piątej, hmm?

Trevor zaparkował skradzionego peugeota naprzeciwko domu Lenzów, wyłączył silnik i usiadł wygodniej. Musiał teraz tylko zaczekać. Wiedział, co zrobi: po ukazaniu się celu wysiądzie, przejdzie na drugą stronę ulicy i stanie z nim twarzą w twarz. Nie zamierzał chybić.

Rozdział 23

Nie było czasu. A już na pewno czasu na załatwienie tego oficjalnymi kanałami.

Hartman zapłacił kartą kredytową w jednym z wiedeńskich hoteli. Zapłacił niedużo, równowartość ledwie piętnastu dolarów. Czy znaczyło to, że wpadł tam tylko na drinka, kawę czy na późny lunch? Jeśli tak, już dawno go tam nie było. Jeśli zaś tam mieszkał... Jeśli tam mieszkał, to go miała.

Mogłaby zadzwonić do przedstawiciela FBI w Wiedniu, ale zanim ten skontaktowałby się z miejscową policją za pośrednictwem austriackiego ministerstwa sprawiedliwości, Benjamin Hartman zdążyłby już zwać.

Dlatego pojechała na lotnisko Zurych-Kloten, kupiła bilet na najbliższy samolot Austriackich Linii Lotniczych do Wiednia i poszła poszukać budki telefonicznej.

Najpierw zadzwoniła do znajomego z Bundespolizeidirektion. Nazywał się Dr Fritz Weber i był szefem Sicherheitsburo, komórki specjalizującej się w ściganiu przestępstw z użyciem przemocy. Wolałaby kogoś z innego wydziału, lecz wiedziała, że Weber chętnie jej pomoże.

Poznała go przed kilkoma laty, gdy wysłano ją do Wiednia w związku ze sprawą attache kulturalnego ambasady amerykańskiej, który wraz z kilkoma kolegami korzystał z usług seksualnych nieletniej *Madchen*.

Weber, miły, uprzejmy człowiek i wytrawny polityk, był bardzo wdzięczny za jej dyskretną pomoc w rozwiązaniu problemu, który mógłby być źródłem... delikatnie mówiąc, zażenowania dla obu zainteresowanych stron, i zanim wyjechała, zaprosił ją na wystawną kolację. Ucieszył się z jej telefonu i obiecał, że natychmiast komuś tę sprawę przydzieli.

Potem zadzwoniła do przedstawiciela FBI w Wiedniu, człowieka nazwiskiem Tom Murphy – nie znała go osobiście, lecz słyszała o nim wiele dobrego – i streściła mu pokrótce powody swego przyjazdu do Austrii. Spytał, czy ma skontaktować się w jej imieniu z wiedeńską policją, na co odrzekła, że nie, że ma własne dojście. Murphy – widać lubił przestrzegać przepisów i regulaminów – nie skakał z tego powodu z radości, ale i nie protestował.

Po przylocie na lotnisko Schwechat ponownie zadzwoniła do Fritza Webera, a ten podał jej nazwisko i numer telefonu inspektora z grupy obserwacyjno-inwigilacyjnej, któremu przydzielił jej sprawę.

Sierżant Walter Heisler nie mówił zbyt płynnie po angielsku, mimo to jakoś się dogadali.

–Byliśmy w hotelu, w którym Hartman zapłacił kartą. On tam mieszka. Szybki był, to obiecujące.

–Świetna robota – odrzekła. – Są szanse, że namierzycie jego wóz?

Komplement wyraźnie go rozochocił. Wiedział, że mają śledzić Amerykanina, wiedział też, że dzięki osobistemu zaangażowaniu przedstawicielki agencji rządowej Stanów Zjednoczonych unikną skomplikowanej papierkowej roboty, którą musieli odwalać po zatrzymaniu każdego obcokrajowca.

–Już..., Jak się to mówi? Już siedzimy mu na ogonie – odparł z czymś w rodzaju entuzjazmu.

–Żartuje pan. Poważnie? Jak to zrobiliście?

–Kiedy ustaliliśmy, gdzie mieszka, postawiliśmy dwóch ludzi w kiosku przed hotelem. Wypatrzyli go w wynajętej vectrze i pojechali za nim do Heitzing. To taka dzielnica.

–Co on tam robi?

–Może kogoś odwiedza. To prywatny dom. Próbujemy ustalić, do kogo należy.

–Zadziwiająca. – Anna bynajmniej nie ironizowała. – Fantastyczna robota.

–Dziękuję – odrzekł wylewnie sierżant. – Przyjechać po panią na lotnisko?

Przez kilka minut rozmawiali o niczym, co było dość stresujące, ponieważ nie do końca dopracował swoją przykrywkę. Mityczny Robert Simon był szefem funduszu inwestycyjnego z siedzibą w Los Angeles – Ben doszedł do wniosku, że im więcej prawdy, tym mniejsze prawdopodobieństwo poważnej gafy – i zarządzał aktywami gwiazdorów filmowych, potentatów od nieruchomości i papierowych miliarderów z Silicon Valley. Przeprosił ich, że nie może ujawnić nazwisk swoich klientów – dyskrekcja przede wszystkim – chociaż owszem, kilka z nich wymienił, i to takich, które na pewno słyszeli.

I cały czas się zastanawiał: kim ten człowiek jest? Spadkobiercą Gerharda Lenza, zwyrodniałego naukowca i jednego z założycieli czegoś, co przybrało nazwę Sigma?

Rozmawiali, sączyli armagnac, a on ukradkiem rozglądał się po salonie. Wygodne meble, angielskie i francuskie antyki. Idealnie oświetlone i oprawione w złote ramy obrazy starych mistrzów. Na stoliku przy sofie fotografie w srebrnych ramkach, pewnie członków rodziny. Uderzyło go, że nigdzie nie zauważył zdjęć Gerharda Lenza.

–Ale dość o mojej pracy – powiedział. – Chciałbym dowiedzieć się czegoś o pańskiej fundacji. Rozumiem, że jej głównym celem jest promowa nie badań i studiów nad holocaustem.

–Tak – odrzekł Lenz. – Fundujemy stypendia historyczne i wspomagamy izraelskie biblioteki. Przeznaczamy poważne kwoty na walkę z przejawami wszelkiej nienawiści. Uważamy, że niezmiernie istotne jest to, żeby austriackie dzieci uczyły się w szkole o zbrodniach nazistów. Proszę nie zapominać, że wielu Austriaków powitało ich z otwartymi rękami. Kiedy niemieckie wojska wkroczyły tu w latach trzydziestych, Hitler wygłosił przemówienie z balkonu hotelu Imperial. Przyszły tłumy, kobiety płakały na widok tak wielkiego człowieka. – Lenz westchnął. – Ohyda. Coś obrzydliwego.

–Ale pański ojciec... Przepraszam, że o tym wspominam...

–Historia wie, że mój ojciec był wyzuty z człowieczeństwa. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Przeprowadzał najokrutniejsze, najpotworniejsze doświadczenia medyczne, eksperymentował na więźniach Auschwitz, na dzieciach...

–Panowie wybaczą. – Ilse Lenz wstała. – Znowu twój ojciec. Nie mogę tego słuchać. – Wyszła z pokoju.

–Kochanie, przepraszam... – zawołał za nią Lenz. Odwrócił głowę i spojrzał z udręką na Bena. – Nie dziwię się jej. Mogła żyć zupełnie inaczej, Kiedy była dzieckiem, jej ojciec zginął na wojnie.

–Przepraszam, nie chciałem...

–Nie, nie ma za co. To zupełnie naturalne, że pan spytał. Syn słynnego potwora Gerharda Lenza poświęca życie fundacji, której celem jest wspieranie badań nad zbrodniami jego własnego ojca: Amerykanie uważają, że to dziwne, jestem o tym przekonany. Ale proszę zrozumieć, że musi z tym walczyć każdy z nas, każde dziecko, które przez przypadek urodziło się w rodzinie wysokiego rangą nazisty, że każdy z nas reaguje zupełnie inaczej. Są tacy jak na przykład Wolf Hess, syn Rudolpha Hessa, który przez wiele lat próbował oczyścić ojca z zarzutów. Są też tacy, którzy dorastali, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, którzy próbowali doszukać się w tym jakiegoś sensu. Nie zachowałem o ojcu żadnych wspomnień – urodziłem się za późno – ale wielu z nas pamięta swoich ojców wyłącznie takimi, jakimi byli w domu, a nie u boku Hitlera. Lenz mówił z coraz większą pasją.

–Wychowywaliśmy się w uprzywilejowanych domach. Przejeżdżaliśmy przez warszawskie getto czarnymi limuzynami, nie rozumiejąc, dlaczego tyle tam smutnych dzieci. Widzieliśmy, jak naszym ojcom jaśniały oczy, gdy telefonował Fuhrer, żeby życzyć rodzinie wesołych świąt. Niektórzy z nas, gdy tylko podrośli i zaczęli samodzielnie myśleć, zniechęcili i swoich ojców, i wszystko to, co się z nimi łączyło. Zniechęcili ich całym sobą, każdym włókmem i komórką ciała.

Miał wypieki na twarzy.

–Widzi pan, ja nie myślę o nim jak o ojcu. Jest dla mnie kimś obcym. Na pewno pan słyszał, że zaraz po wojnie uciekł do Argentyny. Miał fałszywe dokumenty, więc uciekł, ale moją matkę i mnie zostawił bez grosza w wojskowym obozie dla internowanych. – Zagryzł wargę. – Dlatego nigdy nie dręczyły mnie wątpliwości, nigdy nie miałem sprzecznych uczuć, nie wobec nazistów. Dlatego też stworzyłem tę fundację. Zrobiłem chociaż tyle,

W salonie zapadła cisza.

–Przyjechałem do Austrii, żeby studiować medycynę – kontynuował Lenz. – W pewnym sensie ulżyło mi, że wyjechałem z Niemiec. Spodobało mi się tu – tu się urodziłem – więc zostałem. Studiowałem, potem zacząłem leczyć ludzi i cały czas próbowałem zachować jak największą anonimowość. Kiedy poznałem Ilse, miłość mego życia, długo rozważaliśmy, co zrobić z pieniędzmi, które odziedziczyła po ojcu – zbił fortunę na wydawaniu książek i hymnów religijnych – i zdecydowaliśmy, że rzucę medycynę i poświęcę się walce z tym, o co walczył mój ojciec. Wiem, że nic nie zmaże hańby, jaką była Trzecia Rzesza, ale na swój mały sposób chciałbym przyczynić się do tego, żeby człowiek stał się z czasem lepszy. – Mówił gładko, zbyt gładko i płynnie, jakby długo ćwiczył i wygłaszał tę przemowę po raz tysięczny. I pewnie tak było. Mimo to, Ben nie wychwycił w niej ani jednej fałszywej nuty. Pod maską asertywności kryła się twarz człowieka prawdziwie udręczonego.

–Nigdy się pan z nim więcej nie widział?

–Dwa czy trzy razy, tuż przed jego śmiercią. Przyjechał do Niemiec z Argentyny. Miał nowe nazwisko, nową tożsamość... Ale matka nie chciała go widzieć. Tak, rozmawiałem z nim, ale nic do niego nie czułem. Był dla mnie obcym człowiekiem.

–Pańska matka zupełnie się od niego odcięła?

–Pojechała na jego pogrzeb do Argentyny. Chyba tylko po to, żeby sprawdzić, czy on rzeczywiście nie żyje. Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że bardzo jej się w Argentynie spodobało. Postanowiła zostać tam na stałe.

Ponownie zapadła cisza i wtedy Ben powiedział, cicho, lecz zdecydowanie:

–Rzucić nowe światło na ojcowską spuściznę: to bardzo imponujące, że poświęcił pan na to aż tyle środków... A propos spuścizny: czy mógłby pan opowiedzieć mi o organizacji znanej jako Sigma? – Mówiąc, uważnie obserwował jego twarz.

Lenz przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Ben słyszał tylko głucho dudnienie swego serca.

Wreszcie Lenz przemówił.

–Wspomina pan o tym od niechcienia, niby przy okazji, ale myślę, że tylko po to pan tu przyjechał. Czy mam rację?

Bena przeszedł zimny dreszcz. Lenz przyparł go do muru. W tym miejscu drogi się rozwidlały: mógł dalej podawać się za Roberta Simona, mógł też wyjawić mu prawdę.

Koniec z owijaniem w bawełnę. Nadeszła pora na konkretne pytania.

–Bardzo proszę, żeby zechciał pan wyjaśnić mi charakter pańskich związków z Sigumą.

Lenz zmarszczył czoło.

–Po co pan tu przyjechał, panie Simon? Dlaczego wkrada się pan do mego domu i kłamie? – Uśmiechnął się dziwnie i cicho dodał: – Pan jest z CIA, prawda?

–Ja? O czym pan mówi? – spytał lekliwie zaskoczony Ben.

–Kim pan naprawdę jest, panie Simon? – szepnął Lenz.

–Ładny dom. Do kogo należy?

Siedzieli w nieoznakowanym i koszmarnie zadymionym bmw, sierżant Walter Heisler za kółkiem, ona w fotelu pasażera. Sierżant, zażywny czterdziestolatek o wyglądzie dobrotliwego wujaszka, palił Casablanki. Był w miarę serdeczny.

–Jednego z naszych... Jak się to mówi? Prominentów – odparł, zaciągając się dymem. – Jurgena Lenza.

–Kto to jest?

Oboje patrzyli na ładną willę przy Adolfstorgasse; mieli do niej jakieś sto metrów. Anna zauważyła, że większość parkujących tam samochodów ma czarne tablice rejestracyjne z białymi cyframi i literami. Heisler wyjaśnił, że sporo się za nie płaci, że to stary, arystokratyczny zwyczaj.

Wydmuchął kłęb dymu.

–Lenz i jego żona bardzo się udzielają- powiedział. – W kręgach towarzyskich, w operze, i tak dalej. Są... Jak się to mówi? Filantropami? Mają własną fundację. Dwadzieścia parę lat temu przeprowadzili się tu z Niemiec.

–Hmm... – Piekły ją oczy, ale nie zamierzała narzekać. Heisler robił jej dużą przysługę. W tym dusznym, straszliwie zadymionym samochodzie czuła się w sumie bardzo swojsko, jak jedna z nich.

–Ile ma lat?

–Lenz? Chyba pięćdziesiąt siedem.

–I jest grubą rybą.

–O tak, bardzo grubą rybą.

W pobliżu stały trzy inne nieoznakowane radiowozy, jeden po drugiej stronie ulicy, dwa pozostałe sto metrów dalej, za willą Lenzów. Tym sposobem blokowały całą Adolfstorgasse, tak że Hartman wpadłby w potrzask bez względu na to, którą próbowałby uciec. Wszyscy czuwający w samochodach policjanci byli świetnie wyszkolonymi fachowcami. Każdy z nich miał służbowy pistolet i walkie-talkie.

Anna nie miała pistoletu. Uważała, że to mało prawdopodobne, żeby Hartman stawiał opór. Z jego akt wiedziała, że nigdy nie posiadał broni, że nie starał się nawet o pozwolenie. Zresztą starców z listy Bartletta otruto zastrzykiem neurotoksyny. Nie, prawdopodobnie nie miał przy sobie żadnej broni.

Szczerze mówiąc, niewiele o nim wiedziała. Ale jej wiedeńscy towarzysze wiedzieli jeszcze mniej. Fritzowi Weberowi powiedziała tylko tyle, że na miejscu zbrodni w Zurychu znaleziono jego odciski palców. Natomiast dla Heislera Hartman był jedynie człowiekiem poszukiwanym w związku z zabójstwem Rossignola. To wystarczyło, żeby ci z Bundespolizei zgodzili się go zatrzymać i – na prośbę wiedeńskiego przedstawiciela FBI – aresztować.

Zastanawiała się, czy można im zaufać.

Bynajmniej nie było to pytanie czysto teoretyczne. Hartman rozmawiał właśnie z kimś, kto...

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

–Czy ten Lenz... – spytała z zażawionymi od dymu oczami. – Może dziwnie to zabrzmiało, ale czy ten Lenz ma coś wspólnego z nazistami?

Heisler zgasił papierosa w pełnej niedopałków popielniczce.

–Tak, to dziwne pytanie – odrzekł. – Jego ojciec... Słyszała pani o Gerhardzie Lenzu?

–Nie, a powinnam?

Policjant wruszył ramionami: głupiutka Amerykanka.

–To był jeden z najgorszych. Kolega Josefa Mengelego, który robił te potworne doświadczenia w obozach.

–Aha... – Mściciel Hartman, syn więźnia obozu koncentracyjnego, prowadził wendetę przeciwko dzieciom hitlerowskich oprawców: aż prosiło się, żeby o tym pomyśleć.

–Ale Jurgen Lenz to dobry człowiek, zupełnie inny niż ten potwór. Po święcił życie naprawieniu zła, które wyrządził ojciec.

Anna popatrzyła na Heislera, a potem spojrzała na wspaniałą willę przy Adolfstorgasse. Syn nazisty antynazystą? Niesamowite. Ciekawe, czy Hartman o tym wiedział. Mógł wiedzieć jedynie to, że Jurgen jest synem Gerharda. Jeśli jest fanatykiem, Lenz junior mógłby regularnie przemieniać wodę w wino, a on i tak miałby to gdzieś.

Co oznaczało, że antynazystą Lenz mógł leżeć już na podłodze ze śmiertelną dawką neurotoksyny w mózgu.

Jezu Chryste, pomyślała, gdy Heisler zapalił kolejnego papierosa. Dlaczego

jeszcze tu siedzimy?

–To pani? – spytał nagle policjant.

–Co moje?

–Ten samochód. – Wskazał peugeota parkującego naprzeciwko willi Lenzów. –

Stoi tam, odkąd przyjechaliśmy.

–Nie. To nie wasz?

–Absolutnie. Poznają po tablicach.

–Może ich sąsiada albo znajomego?

–Czy pani amerykańscy przyjaciele na pewno nie maczają w tym palców? – spytał wzburzony Heisler. – Może panią sprawdzają? Bo jeśli tak, to natychmiast odwołuję tę operację!

–Niemożliwe – odparła z przekonaniem, choć trochę ją to zdenerwowało. – Murphy by mnie uprzedził. – Uprzedziłby ją? Na pewno? – Rozmawiał ze mną tak, jakby zupełnie go to nie obchodziło.

Ale jeśli ją sprawdzał? Czy to możliwe?

–W takim razie kto to jest? – rzucił niespokojnie Heisler.

–Kim pan jest? – powtórzył Lenz. Na jego twarzy zagościł nagle wyraz strachu. – Nie jest pan przyjacielem Winstona Rockwella.

–Nie, nie jestem – przyznał Ben. – Ale znam go z... z pracy. Nazywam się Benjamin Hartman. Jestem synem Maksa Hartmana. – Uważnie go obserwował, chcąc sprawdzić, jak zareaguje.

Lenz poblądł, lecz nagle złagodniała mu twarz.

–Boże – szepnął. – Tak, rzeczywiście. Co za podobieństwo. Pański brat... To straszne.

Ben poczuł się tak, jakby ktoś grzmotnął go pięścią w brzuch. – Co pan wie? – krzyknął.

–Co pan wie?

Ożyła policyjna radiostacja.

–*Korporal, wer ist das?* – zaskrzeczał głośnik.

–*Keine Ahnung.*

–*Keiner von uns, oder?*

–*Richtig.*

Ci z drugiej grupy operacyjnej też wypytywali o peugeota i Heisler potwierdził, że nie ma pojęcia, czyj to wóz. Sięgnął po noktowizor i przytknął go do oczu. Zapadł już mrok, a niezidentyfikowany samochód miał zgaszone światła. W pobliżu nie było latarni i twarz kierowcy tonęła w ciemności. No proszę, pomyślała Anna. Noktowizor. Świetnie.

–Zasłania twarz gazetą – wymamrotał Heisler. – *Die Kroner Zeitung?* Tak, chyba tak.

–Czyta po ciemku? Musi mieć niezły wzrok, co? – Jurgen Lenz może już nie żyć, a my siedzimy tu i czekamy. Chryste.

–Zaraz rozbolą go oczy. – Okazało się, że Heisler ma poczucie humoru.

–Mogę zerknąć?

Podał jej noktowizor. Anna spojrzała, lecz zobaczyła tylko gazetę. – Nie chce, żeby go rozpoznano. – A jeśli facet jest z FBI? Jezu. – No to coś przynajmniej o nim wiemy. Mogę skorzystać z pańskiej komórki?

–Proszę. – Podał jej dużego, topornego ericssona.

Wystukała numer amerykańskiej ambasady.

–Tom? Mówi Anna Navarro. Wysyłałeś kogoś do Hietzing?

–Do Hietzing? Tutaj? W Wiedniu?

–W związku z moją sprawą.

Krótką pauza.

–Nie, przecież nie chciałaś.

–Ktoś mi się tu wpakował. Czy to możliwe, żeby twoi ludzie przyjechali...

–Bez mojej wiedzy? Niechby tylko spróbowali. Zresztą o ile wiem, wszyscy są tutaj, na miejscu.

–Dzięki. – Zwróciła telefon Heislerowi. – Dziwne.

–Nie od was? – rzucił policjant – W takim razie kto to jest?

–Dlaczego pan myślał, że jestem z CIA?

Lenz wzruszył ramionami.

–Bo ci ze starej gwardii mają mi za złe. „Spinacz”. Słyszał pan o takiej operacji? – Przeszli na wódkę. Ilse Lenz jeszcze nie wróciła, chociaż od jej nagłego wyjścia minęła już ponad godzina. – Nie? Może zna ją pan pod innym kryptonimem. Ale na pewno pan wie, że zaraz po wojnie amerykański rząd, a konkretnie OSS, Urząd Służb Strategicznych, poprzednik CIA, przesmuglował do Stanów Zjednoczonych najwybitniejszych hitlerowskich naukowców. To była właśnie operacja „Spinacz”. Amerykanie dokładnie oczyścili ich akta, dali im nową tożsamość i starannie ukryli fakt, że byli to masowi mordercy. Dlaczego? Dlatego, że w czterdziestym piątym zaczęła się zimna wojna. Nagle liczyła się tylko walka ze Związkiem Radzieckim. Ameryka poświęciła cztery lata i życie tysięcy żołnierzy, żeby pokonać nazistów i raptem naziści stali się przyjaciółmi. Oczywiście w zamian za przyjaźń musieli pomóc Amerykanom w walce z komunizmem. Wymyślali dla nich nowe rodzaje broni. To byli genialni ludzie, autorzy największych osiągnięć naukowych Trzeciej Rzeszy. – I zbrodniarze wojenni.

–Otóż to. Niektórzy z nich byli odpowiedzialni za śmierć tysięcy więźniów obozów koncentracyjnych. Inni, tacy jak Wernher von Braun czy doktor Hubertus Strugholt, budowali dla Hitlera rakiety. Arthur Rudolph, który pomógł wymordować dwadzieścia tysięcy niewinnych ludzi w Nordhausen, dostał najwyższe odznaczenie cywilne NASA!

Zapadł zmierzch. Lenz wstał i zapalił światło.

–Amerykanie ścignęli do siebie człowieka, któremu podlegały obozy śmierci w Polsce. Jeden z naukowców, któremu udzielili schronienia, przeprowadzał w Dachau eksperymenty z zamrażaniem ludzi; skończył jako wybitny profesor medycyny kosmicznej w bazie sił powietrznych Randolph w San Antonio. Funkcjonariuszom CIA, tym, którzy to wszystko zorganizowali, jest bardzo nie w smak, że próbują wywlec ten epizod na światło dzienne.

–A próbuje pan?

–Tak, ja i nasza fundacja. To część sponsorowanych przez nas badań.

–Ale co ma do tego CIA? Co mogą panu zrobić?

–CIA powstała dopiero kilka lat po wojnie, ale powstając, odziedziczyła po OSS odpowiedzialnych za to agentów. Starogwardziści z CIA uważają, że pewnych aspektów historii USA lepiej nie poruszać. Niektórzy z nich zdolni są do wszystkiego, żeby temu zapobiec.

–Przepraszam, ale nie mogę w to uwierzyć. CIA nie zabija ludzi ot tak sobie.

–Ależ skąd – zgodził się z nim Lenz z nutką sarkazmu w głosie. – Odkąd zabili Allendego w Chile, Lumumbę w Kongu Belgijskim i odkąd próbowali zabić Castro, wasz rząd im tego zabronił. Dlatego teraz stosują leasing, jak powiedzieliby amerykańscy biznesmeni. Za pośrednictwem różnych fasadowych organizacji wynajmują wolnych strzelców, zabójców pracujących na własną rękę, żeby nie można ich było skojarzyć z legalną agencją rządową Stanów Zjednoczonych... – urwał. – Świat jest bardziej skomplikowany, niż pan myśli.

–Ale przecież to nie ma nic do rzeczy! To historia sprzed wielu lat!

–Owszem, ma – nie ustępował Lenz. – Jeśli jest się jednym z ludzi, dzisiaj już starców, którzy maczali w tym palce, to ma. Mówię o byłych mężach stanu, o emerytowanych dyplomatach, o byłych dygnitarzach, którzy w młodości współpracowali z Urzędem Służb Strategicznych. Krążą te raz po swoich bibliotekach, piszą wspomnienia i czują się nieswojo, bo to

ich prześladuje. – Patrzył w swój kieliszek z takim skupieniem, jakby oprócz wódki było tam coś jeszcze. – To ludzie nawykli do władzy i szacunku. Nie chcą, żeby mroczne rewelacje sprzed lat zburzyły piękny, oprawiony w złoto obraz ich młodości. Tak, oczywiście, wmawiają sobie, że robią to dla ojczyzny, żeby nikt nie splamił jej dobrego imienia. Tyle zła w imię dobra ogółu... Jedno wiem na pewno, panie Hartman: stare, schorowane psy są najgroźniejsze. Wystarczy kilka telefonów, wystarczy prośba o przysługę. Mecenas i ich lojalni protegowani. Przerażeni starcy, którzy zrobią wszystko, byle tylko nikt nie zszargał ich dobrego imienia, przynajmniej zanim umrą, Chciałbym się mylić, ale wiem, jacy oni są. Dużo widziałem, znam ludzką naturę.

Wróciła Ilse z małą książką w skórzanej oprawie. Na grzbiecie książki widniał złocony napis: Holderlin.

–Widzę, że panowie wciąż o tym.

–Teraz już pan chyba rozumie, dlaczego się denerwujemy – dokończył Lenz. – Mamy wielu wrogów.

–Mężowi często grożono – powiedziała Ilse. – Prawicowi fanatycy uważają go za zdrajcę, za człowieka, który zaprzedał spuściznę po ojcu. – Uśmiechnęła się posępnie i wyszła do sąsiedniego pokoju.

–Szczerze mówiąc, fanatycy martwią mnie dużo mniej niż zwykli ludzie, samolubni i ostentacyjnie racjonalni, którzy nie potrafią zrozumieć, dlaczego wciąż rozgrzebujemy przeszłość. – Lenz miał czujne, niespokojne oczy. – Ci przyjaciele, jak powiadam, mogą posunąć się do ostateczności, żeby złote lata pozostały złotymi.

Mimo to nie rezygnuję, Ma pan jakieś pytania na temat tamtych czasów, prawda? I nadzieję, że potrafię na nie odpowiedzieć...

Jurgen Lenz trzymał zdjęcie obiema rękami i wpatrywał się w nie w na* pięciu.

–To mój ojciec – powiedział. – Tak.

–Jest pan do niego podobny.

–Piękna spuścizna, co? – rzucił ze smutkiem Lenz. Nie był już ani miły, ani wylewny. Nie odrywał wzroku od zdjęcia. – Boże święty, nie, to niemożliwe. – Błady jak papier opadł na fotel.

–Co jest niemożliwe? – drażył Ben. – Proszę mi powiedzieć.

–Czy to zdjęcie jest prawdziwe? – Identycznie zareagował Carl Mercandetti.

–Tak. – Ben wziął głęboki oddech. – Tak – powtórzył zdecydowanie. – Najlepszym dowodem jego autentyczności była śmierć Petera, Liesl i Bóg wie ilu jeszcze innych.

–Ale przecież Sigma to tylko mit! Opowiadka do poduszki! Byliśmy o tym przekonani.

–A więc jednak słyszał pan o Sigmie. Lenz nachylił się ku niemu.

–Proszę nie zapominać, że w tych burzliwych latach krążyło wiele dziwnych opowieści. Między innymi legenda o Sigmie, zagadkowa i niejasna. Mówiła, że najbogatsi przemysłowcy świata zawarli jakieś przymierze. – Wskazał zdjęcie. – Że ludzie tacy jak sir Alford Kittredge i Wolfgang Siebing, ten pierwszy powszechnie szanowany, ten drugi przeklinany, zmówili się we wspólnej sprawie. Że zorganizowali potajemne spotkanie i zawarli tajny pakt.

–Jaki pakt?

Lenz bezradnie pokręcił głową.

–Chciałbym to wiedzieć, panie... Czy mogę mówić panu po imieniu? Przykro mi. Nigdy dotąd nie traktowałem tych plotek poważnie!

–A to, że brał w tym udział pański ojciec?

Lenz ciężko westchnął.

–Niestety, to wykracza poza moją wiedzę. Może Jakob Sonnenfeld mógłby panu pomóc?

Sonnenfeld. Sonnenfeld, najsłynniejszy żyjący tropiciel hitlerowskich prominentów. – Myśli pań?

–Jestem tego pewien, nasza fundacja hojnie wspiera działalność jego instytutu. – Dolał sobie wódki, pewnie dla wzmocnienia. – Cały czas krążymy wokół jednej sprawy, prawda? Nie powiedział mi pan jeszcze, jak się pan w to wszystko wplątał.

–Rozpoznaje pan mężczyznę stojącego obok pańskiego ojca?

–Nie. – Lenz zmrużył oczy. – Jest trochę podobny do... Ale nie, to chyba niemożliwe.

–Tak, to mój ojciec - rzucił beznamiętnie Ben.

–Przecież to bzdura. Wszyscy o nim słyszeli. To słynny filantrop. Siła wspierająca dobro. No i oczywiście były więzień obozu koncentracyjnego. Tak, jest do pana podobny, ale powtarzam: to bzdura.

Ben roześmiał się gorzko.

–Przepraszam, ale widzi pan, odkąd próbował mnie zabić mój stary kumpel z

college'u, zacząłem w te bzdury wierzyć.

Lenz spojrział na niego ze smutkiem w oczach.

–Jak pan to zdjęcie zdobył?

Ben streścił mu wydarzenia ostatnich dni, starając się opowiadać spokojnie i z dystansem.

–W takim razie panu też grozi niebezpieczeństwo – stwierdził poważnie Lenz. – Muszą istnieć jakieś nici, niewidzialne nici, które łączą to zdjęcie ze śmiercią tych wszystkich ludzi.

Sfrustrowany Ben próbował doszukać się w tym jakiegoś sensu, stworzyć zrozumiały obraz z fragmentów informacji, których dostarczył mu Lenz, lecz zamiast jasnego, przejrzystego obrazu, widział jedynie doprowadzający do szału chaos.

Poczuł zapach perfum i już wiedział, że wróciła do nich Ilse.

–Ten człowiek sprowadza na nas niebezpieczeństwo – powiedziała głosem szorstkim jak papier ścierny. Spojrzała na Bena. – Bardzo pana przepraszam, ale nie mogę dłużej milczeć. Sprowadza pan na nas śmierć. Fanatycy i ekstremiści grożą Jurgenowi od wielu lat. Przykro mi, że musiał pan tyle wycierpieć, ale jest pan nieostrożny, jak wszyscy Amerykanie. Wkradł się pan tu podstępem, prowadzi pan swoją małą, prywatną wendetę.

–Ilse, proszę cię...

–...która może nas zabić. Wybacz pan, ale jest pan tu niemiłe widziany. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan opuścić nasz dom. Mój mąż zrobił dla sprawy bardzo dużo. Czy musi oddać dla niej i życie?

–Ilse jest zdenerwowana – wyjaśnił przepraszająco Lenz. – Do pewnych rzeczy nie zdołała przywyknąć.

–Nie, nie – odrzekł głuchym głosem Ben. – Pańska żona ma rację. Na razilem na niebezpieczeństwo zbyt wielu ludzi.

–*Gute Nacht*- powiedziała cicho, lecz stanowczo Ilse. Jej stężałą twarz przesłaniała maska strachu.

–Jeśli pan chce – mówił gorączkowo Lenz, odprowadzając go do drzwi – chętnie panu pomogę. Zrobię, co będę mógł. Pociągnę za odpowiednie sznurki, załatwię dojścia. Ale Ilse ma rację co do jednego. Nie wiadomo, kim ci ludzie są. Radzę zachować ostrożność, przyjacielu.

W jego udręczonej twarzy było coś znajomego i po chwili Ben uświadomił sobie, że to samo widział w twarzy Petera. Wypisana na ich obliczu pasja, chorobliwy zapał, z jakim obaj walczyli o sprawiedliwość, może już nieco przygasł, zduszony przez siły zła, mimo to nie można go było pomylić z niczym innym.

Wyszedł na dwór oszołomiony. Wiedział, że to ponad jego siły: dlaczego nie potrafił przyznać, że jest zupełnie bezbronny i bezradny, że nie da rady sprostać zadaniu, które zabiło jego brata? Lecz fakty zdążyły wgryźć mu się w duszę jak odłamki szkła w bose stopy. Max Hartman, humanitarny filantrop i więzień Dachau: czy naprawdę był kimś pokroju Gerharda Lenza, człowiekiem współwinnym barbarzyńskiej zbrodni? Myśl ta przyprawiała o mdłości. Max Hartman maczał palce w zabójstwie Petera? Stał za śmiercią własnego syna?

Czy to dlatego tak nagle zniknął? Żeby uniknąć odpowiedzialności? A co ze współdziałaniem CIA? Obersturmführer SS emigruje do Stanów i spokojnie się tam osiedla? Jak, do diabła, mógł to zrobić bez pomocy rządu? Czy za tymi potwornymi wydarzeniami naprawdę stali jego starzy przyjaciele? Czy istniało chociaż nikłe prawdopodobieństwo, żeby robili to bez jego wiedzy, chcąc ochronić i jego, i siebie?

„Mówisz o rzeczach, których nie jesteś w stanie pojąć”. Tak powiedział. Wtedy, podczas tamtej rozmowy.

Miotają nim sprzeczne emocje. Z jednej strony, jako oddany, lojalny syn, pragnął wierzyć, że istnieje inne wytłumaczenie. Pragnął tego od spotkania z Peterem, pragnął znaleźć chociaż jeden powód, by utwierdzić się w przekonaniu, że ojciec nie jest... Kim? Potworem? Wciąż słyszał szept umierającej matki, która błagała go, żeby zrozumiał, wrócił, spróbował się z nim dogadać i pojednać. Żeby pokochał trudnego, skomplikowanego człowieka, jakim był Max Hartman.

Z drugiej zaś strony odczuwał ulgę, że nareszcie wszystko się wyjaśniło.

Ty sukinsynu, tak bardzo chciałem cię zrozumieć! – krzyczał w duchu. Tak bardzo chciałem cię pokochać! Ale teraz? Wiedząc, że podle oszukiwałeś i żyłeś najbardziej ohydny życiem? Co mógłbym odczuwać oprócz nienawiści?

Zaparkował spory kawałek od domu Lenzów. Nie chciał, żeby tamci wytropili go po tablicach rejestracyjnych; wtedy jeszcze zakładał, że Lenz jest jednym ze spiskowców.

Szedł ścieżką. Do chodnika miał już tylko kilka kroków, gdy wtem kątem oka dostrzegł błysk światła.

Zapaliła się górna lampka w samochodzie parkującym kilka metrów dalej.

Ktoś z niego wysiadł i ruszył w stronę domu.

Na ścieżkę padła smuga światła. Trevor odwrócił głowę. Frontowe drzwi były otwarte. Cel rozmawiał z jakimś mężczyzną, pewnie z Lenzem. Trevor odczekał, aż tamci uściskną sobie ręce i cel wejdzie na ścieżkę. Wtedy wysiadł.

Rozdział 24

–Sprawdźcie tablice – powiedział do mikrofonu Heisler. – Chcę wiedzieć, do kogo należy ten wóz. – Spojrzał na Annę. – Jeśli nie jest wasz i nie nasz, to czyj? Ma pani jakiś pomysł?

–Ktoś się tu zasadził, tak jak my – odrzekła. – I bardzo mi się to nie podoba.

Nie, pomyślała. Tu dzieje się coś innego. Powiedzieć Heislerowi, że podejrzewam Hartmana? Z drugiej strony to tylko czyste spekulacje. Bo jeśli Hartman przyjechał do Lenza, żeby pogadać, dowiedzieć się czegoś o kumplach ojca, zdobyć ich adresy? Może wcale nie zamierzał go zabić?

Mimo to mieli wszelkie podstawy prawne, żeby wkroczyć do willi. Podczas gdy oni siedzieli tu, czekali i obserwowali, Hartman mógł szykować się do wstrzyknięcia śmiertelnej trucizny jednemu z najbardziej znanych i wpływowych mieszkańców Wiednia. Woląta nie wyobrażać sobie, czym by się to skończyło. Fala powszechnego oburzenia, międzynarodowy skandal, a wszystko skupiłoby się na niej.

Z zamyślenia wyrwał ją Heisler,

–Niech pani tam idzie i zerknie na jego twarz. – Zabrzmiało to jak rozkaz, nie jak prośba. – Muszę mieć absolutną pewność, że go pani nie zna.

Kiwnęła głową. Już dawno chciała to zrobić.

–Muszę mieć broń.

Heisler podał jej glocka.

–Ja go pani nie dałem. Leżał na podłodze. Musiałem go tam zostawić.

Wysiadła i ruszyła w stronę willi.

Otworzyły się drzwi. W progu stało dwóch mężczyzn, jeden starszy, drugi młodszy. Rozmawiali. Lenz i Hartman.

Lenz. Z ulgą stwierdziła, że żyje.

Serdecznie uścisnęli sobie ręce. Hartman ruszył ścieżką w stronę ulicy.

Nagle w peugeocie zapaliło się światło i wysiadł z niego mężczyzna z płaszczem przerzuconym przez prawe ramię.

I wtedy zobaczyła jego twarz.

Ta twarz!

Znała ją. Już ją kiedyś widziała. Ale gdzie?

Kiedy Hartman znalazł się pięć, sześć kroków od peugeota, mężczyzna zatrzasnął drzwiczki.

Przez ułamek sekundy widziała jego twarz z profilu.

I raptem ożyły stare wspomnienia.

Zdjęcia. En face i z profilu. Kojarzyły jej się z czymś złym, z czymś groźnym.

To były zdjęcia wywiadowcze. Tak, na pewno. Bardzo niewyraźne, z przodu i z boku. Zdjęcia kogoś bardzo niebezpiecznego. Widziała je parę razy na cotygodniowej odprawie.

Nie były to klasyczne zdjęcia policyjne, jakie robi się po zatrzymaniu sprawcy przestępstwa, lecz zdjęcia inwigilacyjne, zrobione z dużej odległości, bardzo ziarniste, bo maksymalnie powiększone.

Tak.

To nie był zwykły przestępca.

To był... zamachowiec.

Międzynarodowy zamachowiec, niezwykle sprawny i przebiegły. Niewiele o nim wiadano; policja dysponowała jedynie skrawkami informacji, natomiast o jego pracodawcach nie wiedziała dosłownie nic. Lecz dowody, które udało się zebrać, świadczyły o jego niebywałej pomysłowości i olbrzymim zasięgu działania. Przed oczami mignęło jej kolejne zdjęcie: zwłoki pewnego przywódcy robotniczego z Barcelony, którego ponoć zamordował; utkwilo jej w pamięci pewnie dlatego, że spływająca z szyi zabitego krew wymalowała mu na koszuli czerwony krawat Kolejne zdjęcie: popularny polityk z południowych Włoch, przywódca ogólnonarodowego ruchu reformatorskiego. Jego śmierć przypisywano początkowo mafii, jednak po przeanalizowaniu kilku bardzo fragmentarycznych informacji, uznano, że zamordował go człowiek znany jedynie jako Architekt. Pamiętała, że polityk, obiekt licznych gróźb ze strony ludzi związanych z zorganizowaną przestępczością, miał bardzo silną obstawę, i że zamach zorganizowano wprost błyskotliwie, nie tylko od strony techniczno-balistycznej, ale i politycznej. Zastrzelono go w burdelu, pełnym nielegalnych emigrantek z Somalii, a ponieważ sytuacja była jednoznacznie niezręczna, jego zwolennicy nie mogli zrobić z niego męczennika.

Architekt. Międzynarodowy zamachowiec najwyższej klasy polujący na...
Hartmana.

Próbowała doszukać się w tym jakiegoś sensu: Hartman się mści. A on?
Jeżu Chryste. Go robić? Zatrzymać go?

Przytknęła mikrofon do ust i wcisnęła przycisk.

–Heisler? Znam go. To zamachowiec, zawodowy zabójca. Spróbuję go zdjąć. Pan zdejmie Hartmana.

–Bardzo pana przepraszam – powiedział mężczyzna, idąc ku niemu szybkim krokiem.

Dziwny facet, pomyślał Ben. Coś z nim nie tak. Coś tu nie pasuje...

Ten płaszcz.

Ten szybki krok.

Ta twarz. Już ją gdzieś widział. Twarz, która wryła mu się w pamięć na zawsze.

Wsunął rękę pod pazuchę, poczuł chłód twardej stali i ogarnął go strach.

Chciała wziąć go żywcem. Martwy Hartman na nic by jej się nie przydał.

Architekt chciał go zabić, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nagle wszystko sprowadziło się do szybkiej kalkulacji. Z jej punktu widzenia byłoby znacznie lepiej, gdyby Hartman zdołał zbiec. Tak czy inaczej, musiałyby zostawić go Heislerowi i jego ludziom.

Podniosła pistolet.

Zdawało się, że zabójca nie zdaje sobie sprawy z jej obecności. Całą uwagę skupiał na Hartmanie. Ze szkolenia wiedziała, że będąc zawodowcem, prawdopodobnie uległ swej największej słabości, że koncentrując się całkowicie na celu, przestał reagować na to, co się wokół niego działo. Wielkie koty padają ofiarą myśliwych najczęściej wtedy, gdy polując, prężą się do skoku przed atakiem na

potencjalną zdobycz.

Może da jej to jakąś przewagę.

Musiała go teraz zdekoncentrować, musiała ściągnąć na siebie jego uwagę.

–Stój! – krzyknęła. – Ani kroku!

Hartman spojrzał w jej stronę.

Zabójca drgnął i lekko odwrócił głowę, żeby sprawdzić, kto krzyczy, lecz ani na sekundę nie oderwał wzroku od swojej ofiary.

Wymierzyła dokładnie w środek piersi. Zrobiła to odruchowo: nauczono ją zabijać, nie ranić.

Tylko co on wyczyniał? Odwrócił się do Hartmana, który, jak zdążyła zauważyć, miał już w ręku broń!

Architekt nie spuszczał go z oczu. Założył, że ten, kto krzyczał, nie stanowi bezpośredniego zagrożenia, lecz na wszelki wypadek on też przeprowadził szybką kalkulację: gdyby się do niej odwrócił i otworzył ogień, cel mógłby się przemieścić, a wówczas...

Nagle zaczął się odwracać.

Błąd. Zrobiła złe założenie.

Miał nieprawdopodobnie płynne ruchy, ruchy zawodowego baletmistrza. Błyskawicznie wyrzucił przed siebie obie ręce obrócił się na palcach o sto osiemdziesiąt stopni i otworzywszy ogień już w trakcie obrotu, strzelał w idealnie równych odstępach czasu, co ułamek sekundy. Tkwiący w potężnych dłoniach pistolet prawie nie miał odrzutu. Anna zerknęła przez ramię. Chryste! Jeszcze przed chwilą stało tam czterech wiedeńskich policjantów, którzy mieli go na muszce, a teraz wszyscy czterej leżeli na ziemi. Ani razu nie chybił: cztery pociski, cztery ofiary. Boże.

Była to zapierająca dech w piersi egzekucja, pokaz umiejętności, jakich nigdy dotąd nie widziała. Ogarnęło ją przerażenie.

Usłyszała jęk i krzyki rannych, ogarniętych paniką policjantów.

Architekt był zawodowcem: wiedział, że przed wyeliminowaniem celu musi wyeliminować wszystkich przeciwników. Ona była ostatnim.

Lecz zanim się do niej odwrócił, Anna zdążyła wziąć go na muszkę. Hartman coś krzyknął, ale była tak skupiona na celu, że nie zareagowała i pociągnęła za spust.

Dziesiątka!

Zabójca runął na ziemię, jego pistolet zaklekotał na chodniku.

Trafiła go. Nie żył?

I wtedy wybuchł chaos. Hartman, jej podejrzany, pędził przed siebie ulicą.

Wiedząc, że Adolfstorgasse jest obstawiona i zablokowana, podbiegła do zamachowca, chwyciła jego broń i co sił w nogach pognęła za Hartmanem.

Pośród przeraźliwego wrzasku rannych słyszała krzyki niemieckich policjantów, lecz nie rozumiała z tego ani słowa.

–*Er steht auf?*

–*Er lebt, er steht!*

–*Nein, nimm den Verdachtigen!*

Hartman pędził prosto na zbitą grupkę wywiadowców. Ci mierzyli w niego z pistoletów, coś do niego krzyczeli...

–Haiti Keinen Schritt weiter!

–Polizei!Sie sind verhaftet!

W tej samej chwili jej uwagę przykuł jakiś odgłos dobiegający z tyłu z miejsca, gdzie tężał zamachowiec. Odwróciła się i zobaczyła, że Architekt wsiada do peugeota i zatrzaskuje drzwiczki.

Był ranny, ale żył i właśnie im uciekał!

–Hej! – krzyknęła. – Zatrzymajcie go! Peugeot! Nie pozwólcie mu zwać!

Tamci mieli już Hartmana; otaczało go pięciu Polizei. Chwilowo mogła go sobie odpuścić, dlatego zawróciła i pobiegła w stronę peugeota, który już ruszył, pędził prosto na nią.

Odtwarzając w myśli przebieg nocnej przygody w Nowej Szkocji, kiedy to polował na nią rozpędzony lincoln, żałowała, że nie miała przy sobie broni i nie mogła wypalić do kierowcy. Teraz miała broń, więc wpakowała w peugeota cały magazynek. Na przedniej szybie wykwitła pajęczyna przestrzelin, mimo to samochód nie zwolnił i wciąż pędził przed siebie jakby nigdy nic. W ostatniej chwili rzuciła się w lewo i wóz przemknął z rykiem tuż obok niej, niemal ocierając się o dwa puste, nieoznakowane radiowozy, których kierowcy i pasażerowie rozbiegli się po całej ulicy. Wkrótce zniknął jej z oczu.

Architekt uciekł.

–Niech to szlag! – Spojrzała na Hartmana. Stał z podniesionymi do góry rękami.

Wstrząśnięta pobiegła w tamtą stronę.

Rozdział 25

Pacjent numer osiemnaście truchtał na ruchomej bieżni.

Z ust sterczała mu rurka, z rurki dwa długie, plastikowe węże. Na nosie miał zacisk.

Do wątlej, zapadniętej piersi przyklejono mu dwanaście czujników z przewodami podłączonymi do monitora EKG. Kolejny przewód wybiegał z małego aparatu, w którym tkwił palec wskazujący jego prawej ręki. Pacjent ociekał potem i był bardzo blady.

–Wszystko w porządku? – spytał wysoki lekarz o ziemistej cerze. Pacjent nie mógł mówić, więc podniósł tylko drżącą rękę i pokazał mu uniesiony kciuk.

–Proszę pamiętać, że w każdej chwili może pan to wyłączyć. Guzik jest tutaj, tuż przed panem.

Pacjent numer osiemnaście biegł dalej.

–Moim zdaniem to już maksimum – powiedział lekarz do swojego niskiego, pulchnego kolegi. – Przekroczył współczynnik wymiany oddechowej. Ani śladu niedokrwienia. Jest silmy. Dobrze, dzisiaj dajmy mu wolne. Jutro rozpoczniemy kurację.

Pierwszy raz tego dnia wysoki lekarz o ziemistej cerze pozwolił sobie na lekki uśmiech.

Princeton, New Jersey

Gdy zadzwonił telefon, wielki, słynny historyk, chluba uniwersytetu Princeton, pracował w swoim gabinecie w Dickinson Hall.

Czarny telefon z okrągłą tarczą, dębowe szufladki z kartonowymi fiszkami, maszyna do pisania marki Royal – całe wyposażenie gabinetu profesora Johna Barnes Godwina pochodziło z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Profesor nie używał komputera. I uwielbiał stare rzeczy. Lubił ich wygląd, lubił trwałość i solidność przedmiotów, które wytwarzano w czasach drewna, bakelitu i stali. Dzisiaj panował wszechwładny plastik. Nic, tylko plastik i plastik. Profesor nie znosił plastiku.

Jednakże nie należał do ludzi żyjących przeszłością. Wprost przeciwnie, kochał świat współczesny. Często żałował, że nie może dzielić się nim ze swoją ukochaną żoną Sarą, z którą spędził pięćdziesiąt siedem lat życia. Mieli wielkie plany i marzenia. Po przejściu na emeryturę zamierzali dużo podróżować.

Specjalizował się w historii dwudziestowiecznej Europy. Był laureatem nagrody Pulitzera, a jego wykłady cieszyły się wprost niezwykłą popularnością. Wielu jego byłych studentów zajmowało dzisiaj bardzo wysokie stanowiska państwowe. Do najbliższych należał przewodniczący Centralnej Rady Banków Rezerwy Federalnej, podobnie jak prezes WorldComu, minister i wiceminister obrony, ambasador Stanów Zjednoczonych w ONZ, niezliczeni członkowie Rady Gospodarczej, a nawet przewodniczący krajowego komitetu partii republikańskiej.

Profesor Godwin podniósł słuchawkę i odchrząknął.

–Halo?

Natychmiast rozpoznał ten głos.

–Pan Holland. Miło pana słyszeć. Mam nadzieję, że sprawa jest aktualna...

Przez chwilę słuchał go w skupionym milczeniu.

–Oczywiście, że tak, był moim studentem... Cóż, to czarujący, trochę uparty chłopak. Bardzo bystry, choć nie intelektualista; idee same w sobie go nie interesowały. Miał za to; niezwykle silnie rozwinięte poczucie moralnej prawości. Zawsze uważałem go za człowieka rozsądnego i zrównoważonego... Słucham? Kruczają? On? Ben Hartman? Ależ skąd, to do niego zupełnie niepodobne, nie ten temperament. No i na pewno nie jest typem męczennika. Moim zdaniem można się z nim dogadać.

Zmarszczył czoło.

–Cóż, nasze przedsięwzięcie jest oczywiście najważniejsze, ale wolałbym, żebyście dali mu szansę. Nie chciałbym, żeby coś mu się stało.

Wiedeń

Sala przesłuchań była zimna i niemal zupełnie pusta, jeśli nie liczyć skromnych mebli, jakie widuje się w policyjnych salach przesłuchań na całym świecie. Jestem już ekspertem, pomyślał posępnie Ben. Do tego weneckie lustro, wielkie i rzucające się w oczy jak sypialniane lustro w pretensjonalnym domku na przedmieściach. I metalowa siatka w oknie wychodzącym na smutne wewnętrzne podwórze.

Amerykanka siedziała dokładnie naprzeciwko, na metalowym składanym krześle. Miała na sobie szary kostium i była spięta jak sprężyna. Agentka specjalna Anna Navarro z Urzędu do Badań Specjalnych Departamentu Sprawiedliwości USA – tak się przedstawiła, migając mu przed oczami służbową odznaką. I była śliczna, naprawdę śliczna: szczupła, wysoka, o długich nogach, miała ciemnobrązowe, falujące włosy, karmelowe oczy i oliwkową cerę. No i była ładnie ubrana, stylowo i gustownie, co w Departamencie Sprawiedliwości musiało być rzadkością. Nie nosiła obrączki. Pewnie była rozwódką, bo kobiety tak piękne szybko wychodzą za mąż. Ta wyszła pewnie za kolegę z pracy, za rycerskiego bubka o kwadratowej szczęce, który wziął ją na opowieści o swojej odwadze i brawurowych aresztowaniach. Pobrali się, ale każde z nich chciało robić karierę. Doszło do zderzenia dwóch ambitnych osobowości, i się skończyło.

Na składanym krześle obok niej siedział gliniarz-wykidajło, mięsisty facet z papierosem w ustach. Siedział, milczał i palił jedną Casablankę za drugą. Znał angielski? Bóg raczy wiedzieć, bo tylko się przedstawił: sierżant Walter Heisler z Sicherheistburo.

Minęło pół godziny przesłuchania i Ben zaczynał tracić cierpliwość. Próbował mówić rozsądnie i sensownie, ale nic do nich nie docierało.

–Czy jestem aresztowany? – spytał w końcu.

–A chce pan być? – warknęła agentka Navarro. Chryste, tylko nie to.

–Czy ona ma prawo mnie aresztować? – spytał „wykidajkę”, ale ten tylko spojrzał na niego ospale i wydmuchał kłęb dymu.

Zapadła cisza.

–Ma czy nie ma? – powtórzył Ben.'- Kto tu właściwie rządzi?

–Dopóki będzie pan odpowiadał na moje pytania, nie ma powodu pana aresztować. Przynajmniej na razie.

–A więc mogę sobie iść?

–Nie. Został pan zatrzymany i właśnie pana przesłuchujemy. Po co odwiedził pan Jurgena Lenza? Jeszcze pan tego nie wyjaśnił.

–Już mówiłem, to była towarzyska wizyta. Niech go pani spyta.

–Przyjechał pan do Wiednia służbowo czy dla przyjemności?

–Dla służbowej przyjemności.

–Nie ma pan w planie żadnych spotkań. Czy zwykle pan tak podróżuje?

–Lubię być spontaniczny.

–Zarezerwował pan pokój w St. Moritz w szwajcarskich Alpach, ale pan tam nie dotarł.

–Zmieniłem plany.

–Jakoś w to wątpię.

–Nie wiem dlaczego. Chciałem zwiedzić Wiedeń. – I przyjechał pan tu, nie rezerwując hotelu.

–Już mówiłem, lubię spontaniczność.

–Rozumiem. – Chyba się trochę wkurzyła. – A pańska wizyta u Gastona Rossignola w Zurychu? Też była służbowa?

Boże, wiedzieli o Rossignolu! Ale skąd? Ogarnęła go panika.

–To przyjaciel mego przyjaciela, więc...

–I tak go pan potraktował? Zabił go pan?

O Chryste.

–Nie, on już nie żył!

–Czyżby. – Chyba jej jednak nie przekonał. – Byliście umówieni?

–Nie. Wpadłem niezapowiedzianie.

–Bo lubi pan być spontaniczny.

–Chciałem zrobić mu niespodziankę.

–Tymczasem on zrobił niespodziankę panu, co?

–Owszem, byłem... wstrząśnięty.

–Jak go pan znalazł? Kto pana z nim skontaktował?

Ben wahał się o ułamek sekundy za długo.

–Wolałbym o tym nie mówić.

Wtedy na niego wsiadła.

–Woli pan o tym nie mówić, bo Rossignol nie był przyjacielem pańskiego przyjaciela, prawda? Co łączyło go z pańskim ojcem?

Co to, do diabła, miało znaczyć? Ile ta baba wiedziała? Ben spiorunował ją wzrokiem.

–Coś panu powiem, panie Hartman. Znam takich jak pan. Bogaty chłopczyk, który zawsze dostaje to, czego chce. Ilekroć robi pan sobie kuku, tatuś dzwoni do swego adwokata, a ten biegnie na ratunek i wyciąga pana z kłopotów. Przywykł pan do tego, że wszystko panu wolno, i że rachunki płaci za pana ktoś inny. Ale nie, nie tym razem, przyjacielu.

Ben uśmiechnął się wbrew sobie, ale nie dał jej satysfakcji i nie wdał się w dyskusję.

–Pański ojciec był więźniem obozu koncentracyjnego, tak? A więc jeszcze wszystkiego nie wiedzą.

Wzruszył ramionami.

–Podobno. – Powiedzieć jej prawdę? Akurat.

–A Rossignol znanym szwajcarskim bankierem, tak? – Uważnie go obserwowała. Do czego ta baba zmierza? – pomyślał.

–Rozumiem – odparł. – I dlatego obstawiliście dom Lenza. Żeby mnie aresztować.

–Nie – odrzekła chłodno. – Żeby z panem porozmawiać.

–Wystarczyło poprosić. Nie musiała pani ściągać tam wszystkich wiedeńskich policjantów. Idę o zakład, że chciałyby pani zrobić mnie w zabójstwo Rossignola. Ci z CIA mieliby to z głowy, co? A może Departament Sprawiedliwości za nimi nie przepada? Wszystko mi się płacze.

Nachyliła się ku niemu i jej piękne, łagodne oczy nagle zhardziały.

–Dlaczego miał pan przy sobie broń?

Znowu się zawahał.

–Do obrony własnej.

–Czyżby? – To było sceptyczne stwierdzenie, bynajmniej nie pytanie. – Ma pan zezwolenie austriackich władz?

–To sprawa ich i moja,

–Austriackie władze siedzą obok mnie i jeśli postanowią oskarżyć pana o nielegalne posiadanie broni, nie będę im przeszkadzała. Oni nie tolerują u siebie obcokrajowców, którzy przyjeżdżają do Austrii z niezarejestrowanym rewolwerem.

Ben wzruszył ramionami. Cóż, miała rację, ale to było najmniejsze z jego zmartwień.

–Coś panu powiem – kontynuowała. – Jakoś trudno mi uwierzyć, że Rossignol był „przyjacielem pańskiego przyjaciela” i że pojechał go pan odwiedzić ze spluwą w rękę. Zwłaszcza, że pańskie odciski palców były niemal w całym domu. Rozumiemy się?

–Nie bardzo. Czy oskarża mnie pani o morderstwo? Jeśli tak, dlaczego nie powie pani tego otwarcie? – Trudno mu było oddychać, był coraz bar dziej spięty.

–Szwajcarzy uważają, że pański brat prowadził prywatną wojnę z tutejszymi bankami. Kiedy zginął, coś w panu pękło i przejął pan po nim pałeczkę, posuwając się do drastyczniejszych kroków. Jak sam pan widzi, motyw to nie problem. Poza tym, odciski palców. Szwajcarski sąd skaże pana natychmiast.

Czy naprawdę wierzyła, że zamordował Rossignola? Nawet jeśli wierzyła, dlaczego tak bardzo się tym interesowała? Była przedstawicielką Departamentu Sprawiedliwości, lecz nie wiedział, co mogła, jaką miała tu władzę. Nie wiedział też, w co się naprawdę wpakował i ta niepewność napawała go lękiem. Nie bój się, pomyślał. Walcz.

Odchylił się na krześle.

–Pani nie ma tu władzy.

–Słusznie. Rzecz w tym, że jej nie potrzebuję.

Co to, do diabła, miało znaczyć?

–Więc czego pani ode mnie chce?

–Informacji. Chcę wiedzieć, po co pojechał pan do Rossignola. Po co odwiedził pan Jurgena Lenza. Chcę wiedzieć, w co pan gra.

–A jeśli nic pani nie powiem? – A co tam. Nie ma to jak pewność siebie, nawet ta udawana.

Przekrzywiła głowę.

–Chciałby pan wiedzieć? Proszę zaryzykować, to się pan dowie.

Chryste, pomyślał, niezła jest. Starał się oddychać jak najgłębiej. Ściany pokoju były coraz bliżej, coraz bardziej na niego napierały. Twarz miał obojętną i nieprzeniknioną.

–Wie pan, że w Zurychu wystawiono nakaz aresztowania pana?

Wzruszył ramionami.

–To śmieszne. – Doszedł do wniosku, że pora stać się agresywnym, udać skrzywdzonego i bezbronno, jak na bezpodstawnie zatrzymanego Amerykanina przystało. – Wydaje mi się, że znam Szwajcarów trochę lepiej niż pani. Po pierwsze, są tak praworządni, że aresztowaliby faceta za plucie na ulicy. Po drugie, ekstradycja mi nie grozi. – Wiedział to od Howiego. – Dlaczego? Bo kanton zuryski nie potrafi nawiązać współpracy z policją pozostałych kantonów, a jeśli już ją nawiąże, to współpraca ta bardzo kuleje. Szwajcarzy stworzyli tu raj dla podatkowych uciekinierów, co z kolei oznacza, że inne kraje, w ramach retorsji, też ignorują ich prośby o ekstradycję. – Tak twierdził Howie, więc powtórzył to słowo w słowo, patrząc jej hardo w oczy. Niech wie, że nie da mu rady. – Ci z Zurychu chcą mnie tylko przesłuchać. Nie udają nawet, że mają konkretne dowody, więc po co ta cała gra?

Nachyliła się ku niemu jeszcze bardziej.

–Wiadomo nam, że pański brat prowadził prywatną krucjatę przeciwko szwajcarskiemu systemowi bankowemu. Gaston Rossignol był znanym szwajcarskim bankierem. Odwiedza go pan i staruszek umiera. Wróćmy do tego, dobrze? Nagle pojawia się pan w Wiedniu, gdzie rozmawia pan z synem nazistowskiego prominenta. A pański ojciec był więźniem hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Czy nie wygląda to tak, jakby szukał pań zemsty?

A więc oto im chodziło. Zemsta. Ktoś, kto nie znał prawdy, mógłby tak pomyśleć, ale przecież on nie mógł, po prostu nie mógł tej prawdy wyjąć!

–To niedorzeczne – warknął. – O pani fantazjach na temat zemsty, krucjaty czy wendety nie chcę nawet mówić, bo to mnie poniża. Ale wspomniała pani o szwajcarskich bankierach. Ja z tymi ludźmi robię interesy, panno Navarro. To moja praca. Proszę mi wierzyć, że międzynarodowi finansiści nie wpadają w morderczy szał. Najcięższe rany, jakie odnoszą, to rany od zszywek do papieru.

–W takim razie proszę mi wyjaśnić, co się stało na Bahnhofplatz.

–Nie potrafię. Wałkowałem to już z pani kolegami z Zurychu.

–A jak pan znalazł Rossignola?

Ben tylko pokręcił głową.

–A pozostałych? Skąd pan miał ich nazwiska i adresy?

Ben milczał, patrząc jej prosto w oczy.

–Gdzie pan był w środę?

–Nie pamiętam.

–Może w Nowej Szkocji?

–Nie. O ile mnie pamięć nie myli, siedziałem w zuryskim areszcie. Niech pani do nich zadzwoni i sprawdzi. Aresztują mnie w każdym kraju, który odwiedzam. Bardzo to lubię. To najlepszy sposób poznawania miejscowych zwyczajów.

Puściła to mimo uszu.

–Za co pana aresztowano?

–Przecież pani wie.

Spojrzała na zamyślonego „wykidajkę”, który bez słowa wydymuchał kłąb dymu, i przeniosła wzrok z powrotem na niego.

–W ciągu ostatnich dwóch dni kilka razy omal pana nie zabito. A dzisiaj...

Mimo oszołomienia i lęku z zaskoczeniem stwierdził, że zalewa go ciepła fala wdzięczności.

–Uratowała mi pani życie – wychrypiał. – Chyba powinienem pani podziękować...

–Pewnie. A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego ktoś próbuje pana zabić, Kto mógłby znać pańskie plany?

Bardzo sprytne, ale nic z tego, moja pani.

–Nie mam zielonego pojęcia.

–Nie wierzę.

–Szkoda. Niech pani zadzwoni do swoich przyjaciół z CIA i spyta ich, co próbują zatuszować. A może i wy w tym siedzicie, pani i pani koledzy z Departamentu Sprawiedliwości?

–Panie Hartman, cztery lata temu pański brat zginął w podejrzanej katastrofie samolotowej. Pan z kolei uwielbia strzelaniny. Śmierć podąża za panem jak zapach taniej wody kolońskiej. Co mam o tym myśleć?

–Co pani chce. Nie popełniłem żadnego przestępstwa.

–Spytam jeszcze raz: skąd pan ma ich nazwiska i adresy?

–Ich? To znaczy czyje?

–Rossignola i Lenza.

–Już mówiłem, od wspólnych znajomych.

–Nie wierzę.

–Nic na to nie poradzę.

–Co pan ukrywa? Dlaczego nie jest pan ze mną szczery?

–Przykro mi, ale nie mam nic do ukrycia.

Skrzyżowała swoje długie, kształtne nogi i natychmiast usiadła jak przedtem.

–Panie Hartman. – Nareszcie ją zirytował, i to jak! – Proponuję panu układ. Pójdzie pan na współpracę, a ja zrobię wszystko, żeby Szwajcarzy i Austriacy dali panu święty spokój.

Mówiła szczerze? Nieufność miał już we krwi.

–Zważywszy, że to pani ich na mnie nasłała, myślę, że to tylko puste słowa, panno Navarro. Chyba nie muszę tu dłużej siedzieć, prawda?

Patrzyła na niego w milczeniu, zagryzając wewnętrzną stronę policzka.

–Nie. – Wyjęła wizytówkę i napisała coś na odwrocie. – Proszę. Jeśli zmieni pan zdanie, znajdzie mnie pan pod tym adresem.

Koniec. Nareszcie. Dzięki Bogu. Wziął głęboki oddech, wypełnił płuca powietrzem i nagle poczuł, że lęk ustępuje. Wstał.

–Miło mi było panią poznać. I jeszcze raz dziękuję za uratowanie życia.

Rozdział 26

Ból był intensywny i wszechogarniający; normalny człowiek już dawno straciłby przytomność. Wykorzystując nadzwyczajną moc koncentracji, Trevor przypisał go innemu ciału, nieistniejącego sobowtóra, komuś, kto wił się teraz w agonii zamiast niego. Siłą woli zdołał przebić się przez miasto i wreszcie trafił na Taborstrasse.

Dopiero wtedy przypomniał sobie, że peugeot jest kradziony – myślał coraz wolniej i to niepokoiło go najbardziej – dlatego pojechał pięć ulic dalej i porzucił go tam z kluczykami w stacyjce. Może ukradnie go jakiś idiota, nie zdając sobie sprawy, że wkrótce wsiądzie mu na kark cała wiedeńska policja.

Kuśtykał ulicą, nie zwracając uwagi na spojrzenia przechodniów. Wiedział, że marynarka jest przesiąknięta krwią; narzucił na siebie płaszcz, lecz płaszcz też szybko przesiąkł. Stracił dużo krwi. Miał zawroty głowy.

Wreszcie dotarł na Taborstrasse i przystanął przed domem, na którego drzwiach wisiała mosiężna tabliczka z napisem: Dr Theodor Schreiber, chirurg internista.

Okna gabinetu były ciemne i kiedy zadzwonił, nikt mu nie otworzył. Zupełnie go to nie zaskoczyło. Było już po dwudziestej, a doktor Schreiber przyjmował tylko w wyznaczonych godzinach. Mimo to ponownie wcisnął guzik dzwonka. Wiedział, że lekarz mieszka za gabinetem, że usłyszałby dzwonek i tam.

Pięć minut później w gabinecie zapaliło się światło i z głośnika domofonu zabrzmiało głośnie, pełne irytacji:

–Ja?

–*Dr Schreiber, es ist Christoph. Es ist ein Notfall.*

Zabrzączał elektryczny zamek i drzwi się otworzyły, a po nich te w holu, na których też wisiała mosiężna tabliczka z nazwiskiem lekarza.

–Przerwał mi pan kolację – rzucił gderliwie Schreiber. – Oby to było coś ważnego. – Zauważył przesiąknięty krwią płaszcz. – Dobrze, już dobrze, proszę. – Odwrócił się i wszedł do gabinetu.

Jego siostra od lat mieszkała w Dreźnie. Do upadku muru berlińskiego ten mały kaprys geografii – doktor uciekł z Berlina Wschodniego w 1961 roku, lecz zastraszona przez władze siostra musiała zostać – był dla wschod-nioniemieckiego wywiadu znakomitym narzędziem szantażu.

Ale nie, ci ze Stasi nie zrobili z niego szpiega, bo czy lekarz mógłby być dobrym szpiegiem? Nie, mieli dla niego zadanie znacznie przyzierniejsze: zażądali, żeby w nagłych przypadkach pomagał niemieckim agentom. Austriaccy lekarze, podobnie jak lekarze na całym świecie, muszą meldować policji o wizytach pacjentów z ranami postrzałowymi. Doktor Schreiber był o wiele bardziej dyskretny i jeśli w środku nocy zgłaszał się do niego postrzelony agent Stasi, usłużnie milczał.

Zanim zwerbowała go Sigma, Trevor przez wiele lat prowadził działalność szpiegowską w Londynie, skąd, pod przykrywką podróży służbowej, od czasu do czasu wysyłano go do Wiednia. Jak dotąd odwiedził doktora dwa razy.

Chociaż zimna wojna dobiegła końca, a wraz z nią cicha współpraca Schreibera ze Stasi, Trevor nie miał żadnych wątpliwości, że lekarz zechce go przyjąć. Za kolaborację ze służbami wywiadowczymi komunistycznych Niemiec można było trafić

do więzienia, a on na pewno wolałby tego uniknąć.

Mimo to nie krył swej urazy i niechęci.

–Ma pan dużo szczęścia – mruknął. – Kula przeszła dokładnie nad sercem.

Wystarczyłby odrobinę ostrzejszy kąt, i zginałby pan na miejscu. Tak..., Przebiła skórę, wyżłobiła kanał w tkance tłuszczowej, a nawet w wierzchniej warstwie *pectoralis major*, mięśnia piersiowego, i wyszła tu, pod pachą. Musiał się pan w porę odwrócić.

Trevor milczał. Doktor Schreiber zerknął na niego znad okularów i pogrzebał w ranie szczypczykami. Trevor drgnął. Ból był nie do wytrzymania. Na skórę wystąpił mu pot.

–Niewiele brakowało i naruszyłyby nerwy i naczynia krwionośne w splocie ramiennym, a wtedy straciłby pan władzę w prawej ręce. Może nawet rękę.

–Jestem leworęczny. I niech pan oszczędzi mi tych krwawych szczegółów.

–Tak... – rzucił z roztargnieniem doktor. – Cóż, jeśli mamy zrobić to porządnie, powinien pan pójść do szpitala, do Allgemeines Krankenhaus.

–To wykluczone, dobrze pan o tym wie – odparł Trevor. Prawe ramię przeszył mu ostry ból.

Lekarz włożył rękawiczki i wstrzyknął mu w rękę miejscowy środek znieczulający. Potem, za pomocą nożyczek i szczypczyków, usunął szerniałą tkankę, przemył ranę i zaczął ją zszywać.

Nie było to przyjemne, choć zszywanie nie bardzo bolało. Trevor zacisnął zęby.

–Nie chcę, żeby puściły przy pierwszym lepszym ruchu.

–Przez jakiś czas musi się pan oszczędzać.

–Rany goją się na mnie jak na psie.

–Wiem, wiem, pamiętam. – Rzeczywiście, goiły się niezwykle szybko.

–Czas jest dla mnie luksusem, na który nie mogę sobie pozwolić. Niech pań mocno ściągnie.

–W takim razie wezmę grubszą nić, nylonową trójkę. Ale uprzedzam, zostanie brzydka blizna.

–Niech zostanie.

–Dobrze. – Schreiber odwrócił się do stolika z narzędziami.

–Dam panu demerol – powiedział skończywszy. – A może woli pan trochę pocierpieć? – dodał oschle.

–Wystarczy ibuprom.

–Jak pan chce.

Trevor wstał, krzywiąc się z bólu.

–No dobrze. Dziękuję za pomoc. – Wręczył mu kilka tysiącszylingowych banknotów.

Lekarz spojrział na niego i rzekł:

–Chętnie służę. – Nie zabrzmiało to zbyt szczerze.

Anna ochlapała twarz gorącą wodą. Trzydzieści razy, uczyła ją matka. Skóra będzie jędrna i lśniąca. Był to jedyny zabieg kosmetyczny, na jaki było ją stać.

Poprzez szum wody dobiegł ją dzwonek telefonu. Chwyciła ręcznik i pobięła

odebrać.

–Anna? Tu Polozzi. Nie za późno dzwonię?

Robert Polozzi z Wydziału Identyfikacyjnego.

–Nie, nie. Co się dzieje?

–Miałem sprawdzić w urzędzie patentowym...

Patent. Na śmierć o tym zapomniała. Delikatnie otarła ręcznikiem twarz.

–Pytałaś o tę syntetyczną neurotoksynę...

–Tak, tak, wiem. A więc?

–Posłuchaj. Szesnastego maja bieżącego roku, patent numer... Nieważne, numer jest cholernie długi. W każdym razie opatentował ją Vortex, mała spółka biotechniczna z siedzibą w Filadelfii. Piszą tu tak: „...syntetyczny odpowiednik jadu ślimaka morskiego *Conus magus*, do zastosowań in vitro”. Potem jest zupełna chińszczyzna, coś o „lokalizowaniu kanałów jonowych” i o „znakowaniu chemoreceptorów”. – Zawahał się i ostrożnie dodał: – Zadzwoń tam, do tego Vorteksu. Oczywiście pod pretekstem.

Nie powinien był dzwonić bez jej zgody, ale nie miała mu tego za złe.

–No i co? Dowiedziałeś się czegoś?

–I tak, i nie. Mówią, że zapasy toksyny są minimalne i ściśle kontrolowane. Bardzo trudno ją wytworzyć, więc mają tego cholernie mało, zresztą to produkt eksperymentalny i jeśli już go stosują, to dosłownie w mikroskopijnych ilościach. Spytałem, czy można użyć tego jako trucizny i facet, z którym rozmawiałem, ich dyrektor naukowy, powiedział, że tak; syntetyk jest równie trujący jak jad tego *Conusa* czy jak mu tam, i nawet bardzo mała dawka może doprowadzić do natychmiastowego zatrzymania akcji serca.

Annę ogarniało coraz większe podniecenie.

–Powiedział, że zapasy są ściśle kontrolowane? To znaczy, że trzymają je pod kluczem?

–Otóż to.

–Myślisz, że to prawda?

–Chyba tak, ale cholera go wie.

–Dobra robota, dzięki. Mógłbyś jeszcze sprawdzić, czy nic im z tych zapasów nie zginęło?

–Już sprawdziłem – odrzekł z dumą Polozzi. – Nie, ani odrobina. No i małe rozczarowanie.

–Dobra, posłuchaj. Poszperaj trochę i dowiedz się czegoś o tym Vorteksie, ok? O właścicielach, kierownictwie, o pracownikach i tak dalej.

–Nie ma sprawy.

Odłożyła słuchawkę, przysiadła na brzegu łóżka i popadła w zadumę. Ta nić mogła doprowadzić ją do morderców i do ich mocodawców. Mogła też okazać się mylnym tropem.

Całe to dochodzenie coraz bardziej ją frustrowało. Wiedeńska policja też nie miała szczęścia: zamachowiec zbiegł, a peugeot był kradziony. Cóż za niespodzianka. Kolejna kłapa.

Ale ten Hartman ją zaskoczył. I wprawił w zakłopotanie. Wbrew sobie stwierdziła, że jest całkiem interesujący, nawet pociągający. Ale знаła takich jak on. Złoty chłopczyk z forszą tatusia, zbyt pewny siebie przystojniaczek. Drugi Brad, ten, który ją zgwałcił. Przed takimi jak on świat zawsze chylił czoła. Jej bezpośrednia i do bólu szczerza koleżanka z college'u mawiała, że faceci ich pokroju uważają, że ich gównu nie śmierdzi, że wszystko ujdzie im na sucho.

Ale czy Hartman był mordercą? Uznała, że to mało prawdopodobne. Uwierzyła w jego wersję wydarzeń: pasowała i do rozkładu odcisków palców w domu Rossignola, i do tego, co podszeptował jej instynkt. Mimo to miał przy sobie broń, przyjechał do Austrii z pominięciem kontroli paszportowej i odmawiał wszelkich wyjaśnień... Z drugiej strony dokładne przeszukanie jego samochodu niczego nie ujawniło. Nie znaleziono ani strzykawek, ani trucizny, ani niczego innego.

Trudno było powiedzieć, czy należy do spisku. Uważał, że zamordowano mu brata: może zabójstwo to zadziałało jak katalizator i sprowokowało go do zemsty? Tylko dlaczego zabił aż tylu, i to w tak krótkim czasie?

Jedno nie ulegało wątpliwości: Benjamin Hartman coś przed nią ukrywał. Problem w tym, że nie miała ani prawa, ani podstaw, żeby go zatrzymać. I koszmarnie ją to wkurzało. Zastanawiała się nawet, czy to, że tak bardzo chce go dopaść – niech będzie, że dostała na tym punkcie obsesji -ma coś wspólnego z zemstą na Bradzie, z leczeniem starych ran...

Wzięła ze stolika notatnik, odszukała numer i zadzwoniła.

Odebrał dopiero po kilku sygnałach.

–Donahue – wychrypiał.

Był ich guru od prania brudnych pieniędzy i przed wyjazdem do Szwajcarii poprosiła go o pomoc. Nie zdradziła mu żadnych szczegółów. Donahue nie miał nic przeciwko temu, wprost przeciwnie: potraktował to jak wyzwanie.

–To ja, Anna.

–A tak. Jak leci?

Odruchowo zmieniła głos i mówiła teraz jak swojaczka, jak jedna z nich. Robiła to bez trudu; takim głosem i językiem rozmawiali kumple jej ojca i sąsiedzi.

–Ujdzie, dzięki. Masz coś?

–Dzie tam, nic. Walimy głową w mur. Każdy z tych facetów dostawał regularne przelewy wiesz skąd. Z Kajmanów, Wysp Dziewiczych, Curacao, i tak dalej. No i plomba, łbem w mur.

–Co by zrobili, gdybyśmy przyszli do nich z oficjalną prośbą? Szyderczo prychnął i odrzekł:

–Pokazaliby nam, gdzie się zgina dziób pingwina. UPW, srupewu. Wręczylibyśmy im pismo z żądaniem dostępu do papierów, a oni powiedzieliby, że rozpatrzą je w ciągu najbliższych kilku lat. – UPW, Układ o Pomocy Wzajemnej, obowiązywał między Stanami Zjednoczonymi i krajami znanymi z prania brudnych pieniędzy. – Najgorsze są Wyspy Dziewicze i Kajmany. Tam trwałoby to dwa, trzy lata.

–Hmm.

–Ale nawet gdyby uchylili czarodziejskie drzwi i pokazali nam te wszystkie świstki,

dowiedzielibyśmy się tylko tego, że forsa przyszła z banku na Isle of Man, z Bahamów, Bermudów, z Luksemburga, San Marino czy z An-guilli. Łańcuszek zagranicznych banków, chwytasz? Banków i fikcyjnych firm. Dzisiaj wystarczy wcisnąć klawisz i szmal śmiga z konta na konto. Sekunda, i po ptakach.

–Mogę cię o coś spytać?

–Wal.

–Jak wy tych facetów łapiecie?

–Tych, co piorą? Jakoś łapiemy. Ale trwa to całymi latami.

–Bomba. Dzięki.

W małym pokoju na czwartym piętrze Sicherheitsburo w wiedeńskiej komendzie głównej przy Rossauer Lande przed komputerowym monitorem siedział młody mężczyzna w słuchawkach. Palił papierosa i od czasu do czasu strząsał popiół do wielkiej, złotej popielniczki na ceramicznym stoliku przy ścianie. Na ścianie wisiała tabliczka ze znakiem zakazu palenia.

W małym okienku w lewym górnym rogu ekranu monitora widniał numer podsłuchiwanego telefonu, numer telefonu abonenta, z którym obserwowana prowadziła rozmowę, data, godzina rozpoczęcia i mierzony z dokładnością do jednej dziesiątej sekundy czas jej trwania, poniżej zaś lista abonentów, do których dzwoniła poprzednio. Wystarczyło tylko przesunąć kursor, kliknąć dwa razy myszką i komputer odtwarzał nagraną rozmowę, puszczając ją na głośniki lub przez słuchawki. Na ekranie podrygiwały małe, czerwone słupki wykresu natężenia dźwięku. Można było regulować nie tylko głośność, ale i szybkość odtwarzania.

Każda rozmowa wychodząca z jej hotelowego pokoju była nagrywana na twardy dysk. Tę imponującą technologię dostarczyli wiedeńczykom Izra-elczycy.

Otworzyły się drzwi i na urzędowym zielonym gumoleum zapiszczały gumowe podeszwy butów detektywa sierżanta Waltera Heislera. On też palił papierosa. Spojrzał na technika i krótko skinął mu głową. Technik zdjął słuchawki i zgasił papierosa.

–Coś ciekawego? – spytał Heisler.

–Dzwoni głównie do Waszyngtonu.

–Zgodnie z przepisami, podsłuch każdej międzynarodowej rozmowy powinniśmy zgłosić do Interpolu. – W oczach detektywa zatańczyły wesołe iskierki.

Technik znacząco uniósł brwi.

Jakby na znak milczącej zmywy Heisler przysunął sobie krzesło.

–Można?

Północna Kalifornia

Młody miliarder komputerowy Arnold Carr odebrał telefon, spacerując w sekwojowym lesie ze swoim starym przyjacielem i mecenasem Rossem Cameronem, znanym inwestorem i finansistą.

Wraz z kilkunastoma najbogatszymi i najbardziej wpływowymi Amerykanami spędzał weekend w ekskluzywnym ośrodku wypoczynkowym Bohemian Grove. W ośrodku trwał właśnie idiotyczny turniej paintballa, któremu patronowali prezes BankAmerica i amerykański ambasador na angielskim dworze królewskim.

Ale ponieważ Carr, założyciel wielkiej firmy zajmującej się wytwarzaniem oprogramowania komputerowego, rzadko kiedy miał okazję pogadać ze swoim bogatym kumplem Cameronem – często zwano go mędrcom z Santa Fe – wykorzystywał każdą okazję, żeby wybrać się z nim na spacer i porozmawiać o pieniądzach, interesach, filantropii, kolekcjonowaniu dzieł sztuki, o dzieciach oraz o niezwykłym, ściśle tajnym przedsięwzięciu, w którym mieli wziąć udział.

Carr wyjął z kieszeni małeńki, cicho mruczący telefon. Był wyraźnie zirytowany. Jego prywatny numer znało zaledwie kilka osób, a podczas tego weekendu podwładni mieli dać mu święty spokój.

–Tak – warknął.

–Dzień dobry. Przepraszam, że przeszkadzam w ten piękny niedzielny poranek. Mówi Holland. Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

Carr natychmiast go rozpoznał.

–Nie, nie, ależ skąd – odrzekł z nagłą serdecznością w głosie. – Już dawno nie śpię. Co się stało?

Kiedy Holland skończył mówić, Carr odrzekł:

–Zobaczę, co się da zrobić.

Rozdział 27

Ben wrócił do hotelu koło dziewiątej. Był głodny – lecz nie mógł nic jeść – i rozdygotany od nadmiaru kofeiny. Przyjechał taksówką, ponieważ vectra nie nadawała się do użytku. Podczas strzelaniny straciła dwie szyby i skórzane fotele były zasłane odłamkami szkła.

W foyer panowała cisza, gdyż goście albo jedli właśnie kolację, albo wrócili już do pokoi. Między stykającymi się ze sobą wschodnimi dywanami prześwitywał lśniący marmur podłogi.

Konsjerż, służalczo ugrzeczniony mężczyzna o czujnych oczach, przesłoniętych okularami w stalowej oprawce, podał mu klucz, zanim Ben zdążył cokolwiek powiedzieć.

–Dziękuję. Są dla mnie jakieś wiadomości? – Wciąż czekał na telefon od Hoffmana.

Palce konsjerża zatańczyły na klawiaturze komputera.

–Nie, proszę pana. Była tylko jedna, ta, którą już pan odebrał.

–To znaczy? – spytał zaniepokojony. Od przyjazdu do Wiednia nie dostał ani jednej wiadomości.

–Nie wiem, proszę pana. Dzwonił pan kilka godzin temu... – Stuknął w jakiś klawisz. – Tak, przekazaliśmy ją panu dwadzieścia po szóstej.

–Mógłbym ją dostać jeszcze raz?

–Bardzo mi przykro, ale wiadomość odebrana jest natychmiast usuwana z systemu. – Konsjerż posłał mu drapieżny uśmiech. – Nie możemy ich trzymać wiecznie.

Ben wszedł do ciasnej, lśniącej od mosiądzu windy i pojechał na trzecie piętro, nerwowo bawiąc się wielkim, mosiężnym brelokiem. Nie mógł wykluczyć, że to sprawka tej Navarro. Może chciała sprawdzić, kto się z nim kontaktuje, i poprosiła jakiegoś kumpla, żeby zadzwonił do hotelu.

Wiadomość. Kto ją mógł zostawić? Oprócz Navarro jego adres znał tylko prywatny detektyw Hoffman, ale na telefon do Hoffmana było już za późno, nie zastałby go w biurze.

Navarro go podejrzewała, to oczywiste, ale czy naprawdę wierzyła, że zabił Rossignola? Nie, to niemożliwe. Przecież musiała wyczuć, że nie jest seryjnym mordercą. Wspomniała, że ma duże doświadczenie, więc na pewno wiedziała, kto pasuje do profilu zabójcy, a kto nie.

Jeśli tak, czego od niego chciała?

Pracowała dla bandy podstarzałych szpiegów z CIA? Sprzątała po nich, zacierała ślady jakiegoś spisku, zrzucając podejrzenie na niego?

Fakt pozostawał faktem: zamordowano Gastona Rossignola, jednego z założycieli korporacji, która powstała przy lub też bez współpracy CIA.

Zamordowano również Petera, którego jedynym błędem było to, że przypadkiem znalazł listę jej pierwszych szefów. Czy zabili ich ci sami ludzie? Na to wyglądało.

Ale Amerykanie? CIA?

Nie mógł tego zrozumieć. Jimmy Cavanaugh był Amerykaninem. Ale może

pracował dla kogoś z zagranicy?

No i to tajemnicze zniknięcie ojca.

Dlaczego tak nagle wyjechał? Godwin nie potrafił tego wyjaśnić. I po co ojciec do niego dzwonił? Czy on też już nie żył?

Pora na kolejny telefon do Bedford.

Przeszedł długim korytarzem, przez chwilę grzebał kluczem w zamku, wreszcie drzwi się otworzyły. Ben zamarł.

W pokoju było ciemno. Przed wyjściem na pewno zapalił światło. Ktoś je zgasił?

Chryste, przestań, pomyślał. To pewnie pokojówka. Austriacy byli oszczędni i bardzo się tym szczycili.

Przesadzał? Może popadał w paranoję? Aż tak bardzo wykończyły go wydarzenia ostatnich kilku dni?

Mimo to...

Nie wchodząc do pokoju, cicho zamknął drzwi, przekręcił klucz i poszedł poszukać sprzątaczkę lub portiera. W pobliżu nikogo nie było, więc zawrócił, zszedł na drugie piętro i na końcu korytarza dostrzegł wychodzącego z pokoju portiera.

–Przepraszam. – Przyspieszył kroku. – Czy może mi pan pomóc?

Młody portier odwrócił głowę.

–Tak?

–Zatrzasnąłem w pokoju klucz. Mógłby mnie pan wpuścić? – Wcisnął mu do ręki pięćdziesiąt szylingów i wstydliwie dodał: – To już drugi raz, dlatego nie chcę schodzić do recepcji. Mieszkam piętro wyżej, w czterysta szesnaście.

–Oczywiście, jedną chwileczkę... – Przerzucił kilka kluczy na kółku u pasa. – Tak, mam. Proszę.

Wjechali windą na trzecie piętro. Portier otworzył drzwi. Czując się trochę głupio, Ben stanął z boku, tak że mógł zajrzeć do pokoju, nie będąc przy tym widzianym.

I zobaczył ciemny kształt, sylwetkę przykucniętego mężczyzny na tle podświetlonych drzwi do łazienki! Mężczyzna mierzył do nich z pistoletu o długiej lufie!

Lekko odwrócił głowę i wtedy Ben ujrzał jego twarz. Był to ten sam człowiek, który przed kilkoma godzinami próbował go zabić przed willą Lenza! Morderca ze szwajcarskiej gospody!

Zabójca jego brata.

–Nie! – wrzasnął portier i rzucił się do ucieczki.

Morderca drgnął: oczekiwał Bena, a nie umundurowanego pracownika hotelu. Zawahał się tylko na ułamek sekundy, lecz to wystarczyło, żeby Ben wzięty za pas. Dobiegło go przytłumione puf-puf-puf!, a potem głośny trzask wbijających się w ścianę kul. Portier wrzeszczał coraz głośniejszym głosem, z coraz większą paniką. Puf-puf! Tamten był coraz bliżej, Ben słyszał tupot jego kroków. Gwałtownie przyspieszył i popędził w stronę schodów. Schody? Nie, utknąłby tam jak w potrzasku, a przecież ścigał go uzbrojony bandyta! Śmignął za róg korytarza. Otwarte drzwi, przed drzwiami wózek sprzątaczkę: wpadł do pokoju, zatrzasnął drzwi i ciężko dysząc, przywarł do nich plecami. Czy tamten go widział? Przytłumiony tupot nóg: nie,

zabójca popędził dalej. Po chwili dobiegł go krzyk portiera. Wołał kogoś, a więc żył i chyba nie był nawet ranny. Na szczęście.

Wtem dobiegł go czyjś płaczliwy okrzyk. W kącie pokoju kuliła się ciemnoskóra sprzątaczką w błękitnym uniformie.

–Cicho! – syknął Ben.

–Kim pan jest? – wychrypiła przerażona dziewczyna z silnym obcym akcentem. – Proszę, niech pan nie robi mi krzywdy!

–Cicho – powtórzył. – Na podłogę. Jeśli będziesz cicho, nic ci się nie stanie.

Spazmatycznie szlochając, sprzątaczką położyła się na dywan.

–Zapałki! Masz zapałki?

–Na popielniczce! Proszę... Na biurku przy telewizorze!

Chwycił zapałki i spojrzał na sufit. Jest. Detektor dymu i temperatury. Stał na krześle, trzasnął zapałką i przytknął ją do cewki. Kilka sekund później w pokoju i na korytarzu zahuczał alarm pożarowy. Wył głośno, przeraźliwie, z ochryplą, metaliczną czkawką. Słysząc go było w całym hotelu. Dwie, trzy sekundy później ze spryskiwaczy pod sufitem trysnęła woda, zalewając łóżko i dywan. Sprzątaczką krzyknęła jeszcze głośniej, a on otworzył drzwi. Na korytarzu wybuchło zamieszanie: ogarnięci paniką ludzie biegali, stali stłoczeni pod ścianami, pokazywali ręką to w lewo, to w prawo, coś krzyczeli, a z sufitu lały się na nich strumienie wody. Ben wybiegł z pokoju i wmieszał się w przerażony tłum, pędzący w stronę schodów. Hol na dole był bardzo wysoki, dlatego musiały wychodzić bezpośrednio na ulicę albo na jakiś zaułek.

Kończyły się w ciemnym korytarzu, oświetlonym buczącą, nieustannie mrugającą jarzeniówką, lecz nawet w tym skąpym, rozmytym świetle dostrzegł podwójne drzwi do hotelowej kuchni. Puścił się biegiem, pchnął je w pędzie i zobaczył wielkie, masywne wrota. Poczul podmuch zimnego powietrza, trzasnął ciężką zasuwą, pociągnął za uchwyt i drzwi się otworzyły.

Rampa, za rampą wąska uliczka, zastawiona pojemnikami na śmieci. Zeskoczył na ziemię i słysząc w oddali zawodzenie strażackich syren, zniknął w ciemności.

Dwadzieścia minut później wszedł do foyer wysokiego, nowoczesnego i nijakiego amerykańskiego hotelu po drugiej stronie Stadtparku nad Dunajem. Przeciął go szybkim, zdecydowanym krokiem stałego bywalca i wszedł do windy.

Chwilę później zapukał do drzwi pokoju numer 1423. Drzwi się otworzyły.

Anna Navarro była świetlistopiękna nawet we flanelowej koszuli nocnej i bez makijażu.

–Chyba dojrzałem do współpracy – powiedział.

Zrobiła mu drinka: maleńka buteleczka szkockiej, maleńka buteleczka wody mineralnej i kilka maleńkich kostek lodu z maleńkiej lodówki w powitalnym barku. Była jeszcze poważniejsza i konkretniejsza niż podczas przesłuchania na policji. Na koszulę narzuciła biały frotowy szlafrok. Miała iść spać i obecność obcego mężczyzny w ciasnym hotelowym pokoju musiała ją krępować.

Ben przyjął poczęstunek z prawdziwą wdzięcznością. Szkocka była wodnista – widać, panna Navarro nie przepadała za trunkami – lecz bardzo potrzebował dawki

alkoholu i whisky szybko zrobiła swoje.

Nie licząc sofy, łóżka i dużego fotela, w pokoju nie było na czym usiąść. Usiadł sofie, ona na brzegu łóżka, dokładnie naprzeciwko niego, ale zaraz przeniosła się na fotel, który przysunęła bliżej sofy.

Okno przypominało obraz jakiegoś pointylisty. Na dole oświetlony neonami Wiedeń, na górze czarne, upstrzone gwiazdami niebo.

Pochyliła się w fotelu i skrzyżowała nogi. Była na bosaka. Miała szczupłe, delikatne, wysoko sklepione stopy i pomalowane paznokcie.

–Więc mówi pan, że to ten sam człowiek? – spytała bez dawnej szorstkości w głosie.

Ben wypił łyk szkockiej.

–Na sto procent. Nigdy nie zapomnę jego twarzy.

Anna westchnęła.

–A ja myślałam, że ciężko go raniłam... Z tego, co wiem, jest bardzo niebezpieczny. Tam, przed domem Lenza, pokazał, co potrafi. Cztery strzały, czterech policjantów. On jest jak prawdziwa maszyna do zabijania. Miał pan szczęście. Poza tym inteligentnie się pan zachował. Wyczuł pan, że coś jest nie tak, wysłał pan przodem portiera i zyskał czas na ucieczkę. Dobra robota.

Ben skromnie wzruszył ramionami. Ten nieoczekiwany komplement sprawił mu dużą przyjemność.

–Słyszała pani o nim?

–Czytałam jego akta, ale są niekompletne. Mieszka w Anglii, najprawdopodobniej w Londynie.

–Anglik?

–Były pracownik wschodnioniemieckiej Stasi. Ich agenci byli świetnie wyszkoleni. I najbezwzględniejsi z bezwzględnych. Ale już dawno dla nich nie pracuje.

–Co on tam robi?

–W Anglii? Któż to może wiedzieć? Może jak większość kolegów po fachu ukrywa się przed niemieckimi władzami. Problem w tym, że nie wiemy nawet, czy jest tylko najemnikiem czy pracuje dla jakiejś organizacji.

–Jak się nazywa?

–Vogler. Hans Vogler. Pewnie ma tu coś do załatwienia.

Nie coś, a kogoś, pomyślał odrętwiały Ben. Mnie. Będę następny.

–Może pracować dla jakiejś organizacji?

–Mówimy tak o kimś, kogo jeszcze nie rozgryźliśmy. – Ściągnęła usta. – Pan też może pracować dla jakiejś organizacji i bynajmniej nie chodzi mi o Fundusz Kapitałowy Hartmana.

–Aha. Nadal mi pani nie wierzy.

–HMm, więc kim pan tak naprawdę jest? Co pan knuje?

–Chryste! – warknął wzburzony. – Niech mi pani tylko nie mówi, że mnie nie prześwieciliście!

Przeszyła go wzrokiem.

–Znamy jedynie kilka faktów, których nie da się ze sobą logicznie powiązać. W

Zurychu spotyka pan starego znajomego, który próbuje pana zabić. Znajomy ginie, jego ciało znika. Potem przyjeżdża pan nielegalnie do Szwajcarii. Jeszcze potem pańskie odciski palców znajdujemy w domu bankiera nazwiskiem Rossignol, który, jak pan twierdzi, nie żył już, gdy pan tam dotarł. Ma pan broń, ale nie chce pan powiedzieć, jak ją zdobył i po co.

Ben słuchał, pozwalając się jej wygadać.

–Po co spotkał się pan z synem tego nazisty?

Ben szybko zamrugał, nie wiedząc, czy może być z nią do końca szczery, ale zanim zdążył odpowiedzieć, agentka zadała mu kolejne pytanie:

–Co Lenz ma wspólnego z Rossignolem? Wytłumaczy mi pan?

Dopił whisky.

–Mój brat...

–Ten, który zginął cztery lata temu?

–Też myślałem, że zginął, ale on się tylko ukrywał. Ścigali go niebezpieczni ludzie. Nie wiedział, kim są, ja też nie wiem. Przemysłowcy, którzy założyli jakąś organizację, ich następcy, może ktoś wynajęty przez CIA, a może zupełnie ktoś inny. Tak czy inaczej, mój brat znalazł listę nazwisk... Jej karmelowe oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

–Nazwisk?

–Tak, bardzo starą.

Dostała rumieńców.

–Gdzie ją znalazł?

–W archiwum pewnego szwajcarskiego banku.

–Banku?

–Tak. To lista zarządu korporacji założonej w ostatnich dniach drugiej wojny światowej.

–Jezu Chryste... – szepnęła. – A więc to jest to.

Ben wyjął z kieszeni złożoną na czworo kartkę.

–Przepraszam, jest trochę brudna. Trzymałem ją w bucie, żeby nie wpadła w ręce ludzi takich jak pani.

Rozłożyła ją, przebiegła wzrokiem i zmarszczyła czoło.

–Max Hartman? Pański ojciec?

–Niestety.

–To on powiedział panu o tej korporacji?

–A skąd. Mój brat.

–Przecież pański ojciec był więźniem...

–No właśnie. Dochodzimy do pytania za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

–Czy hitlerowcy nie robili im przypadkiem jakichś tatuaży albo...

–W Auschwitz tak, w Dachau nie.

Zdawało się, że Anna go nie słucha.

–Boże – szepnęła trochę do niego, trochę do siebie. – Te tajemnicze zabójstwa... Oni wszyscy tu są. Rossignol, Prosperi, Ramago, wszyscy, co do jednego. Na mojej liście kilku nazwisk brakuje. Niektóre się powtarzają, ale... – Podniosła wzrok. –

Czego chciał się pan dowiedzieć od Rossignola?

O co jej chodziło?

–Myślałem, że powie mi, kto zamordował mojego brata. I dlaczego.

–Ale zanim go pan odwiedził, zamordowano jego.

–Na to wygląda.

–Próbował pan tę Sigmę odnaleźć? Zbadać jej historię?

Kiwnął głową.

–Próbowałem, ale nic z tego nie wyszło. Z drugiej strony, nie wiem, może nigdy nie istniała. – Widząc, że Anna go nie rozumie, dodał: – Oficjalnie. Może to tylko przykrywka, fasada.

–Fasada czego?

Pokręcił głową.

–Nie mam pojęcia. Choćby czegoś, w czym maczał palce nasz wywiad. –

Opowiedział jej o podejrzeniach Lenza.

–Nie, to mało prawdopodobne.

–Dlaczego?

–Niech pan nie zapomina, że ja też pracuję dla rządu. Biurokracja jest dziurawa jak sito. Gdyby zamordowali tylu ludzi, byłyby przecieki.

–Więc jak się to wszystko ze sobą łączy? Nie licząc oczywistych faktów, rzecz jasna.

–Nie jestem pewna, co mogę panu powiedzieć.

–Proszę posłuchać – odparł z naciskiem. – Jeśli mamy dzielić się informacjami, jeśli mamy sobie wzajemnie pomagać, nie może pani niczego przede mną zatajać. Musi mi pani zaufać.

Wahała się chwilę i skinęła głową.

–Po pierwsze, ludzi ci nie są i nigdy nie byli biedakami. Proszę mi wierzyć, żaden z nich do ubogich nie należał. Jedni obnosili się ze swoim bogactwem, a inni, ci, którzy żyli skromnie, mieli w banku tony pieniędzy. – Pokrótce streściła mu przebieg śledztwa.

–Jeden z nich pracował dla Charlesa Highsmitha, tak? A więc są tu i krezusi, i faceci, którzy dla nich pracowali, ich zaufani porucznicy. W czterdziestym piątym Allen Dulles dokładnie ich prześwietlił, bo mieli grać razem, w jednej lidze, a on nie lubił, kiedy podwładni go zaskakiwali.

–Jasne – odrzekła – tylko gdzie jest odpowiedź na pytanie numer jeden: w co grali? Po co tę Sigmę założyli?

–Może wyjaśnienie jest bardzo proste. Grupa najbogatszych przemysłowców, armatorów, bankierów i tak dalej założyła w czterdziestym czwartym, piątym coś w rodzaju spółki, żeby wydoić szmal z Trzeciej Rzeszy. Podzielili się łupami i wzbogacili się jeszcze bardziej. Znając sposób ich myślenia, pewnie wmówili sobie, że odebrali Niemcom to, co im się słusznie należało.

Chyba zbił ją tym z tropu.

–No dobrze, ale coś tu nie pasuje. Ci starcy niemal do samej śmierci otrzymywali przelewy pieniężne, regularne przelewy na kwoty od ćwierć do pół miliona dolarów.

–Skąd?

–Nie wiemy, skąd wyszły, znamy tylko ostatnie ogniwo łańcuszka. Kajmany, Turcja, Caicos...

–Brudne, przeprane, wysłane.

–Właśnie. Dalej jest mur nie do przebicia.

–Niekoniecznie. Zależy od znajomości. Od tego, czy chce się nagiąć prawo, czy nie. I od tego, czy da się komuś w łapę.

–My nie naginamy prawa – odparła wyniośle.

–i dlatego gówno wiecie.

Zrobiła taką minę, jakby ją spoliczkował. I nagle się roześmiała.

–Co pan może wiedzieć o praniu brudnych pieniędzy?

–Nie, nie, sam ich nie piorę, ale moja firma ma zagraniczną filię, dzięki czemu możemy ominąć niektóre podatki i przepisy. Mam też klientów, którzy są mistrzami w ukrywaniu pieniędzy przed ludźmi takimi jak pani. Poza tym znani ludzie, którzy mogą zdobyć informacje z zagranicznych banków. To specjaliści. Za usługę liczą sobie krocie. Wiedzą, komu dać w łapę i mogą wykopać wszystko, z dowolnego banku w dowolnym kraju świata.

Anna zagryzła wargę.

–Chciałby pan ze mną współpracować? Nieoficjalnie, rzecz jasna.

–Współpracować? – powtórzył zaskoczony Ben. – To znaczy?

–Dzielić się informacjami. Kierują nami te same motywy. Pan chce się dowiedzieć, kto zabił pańskiego brata, ja, kto zabija tych starców.

Jest ze mną szczerza? – pomyślał. A jeśli to jakaś sztuczka? Czego ona tak naprawdę chce?

–Myśli pani, że to robota tych samych ludzi? Że to oni zabili Petera i tych z pani listy?

–Teraz jestem tego pewna. Ten sam wzór, ta sama mozaika.

–Co będę z tego miał? – Spojrzał na nią bezczelnie, choć z uśmiechem.

–Od razu uprzedzam, że oficjalnie nic. Może coś w rodzaju... ochrony. Powiem inaczej: próbowano pana zabić, i to kilka razy. Szczęście kiedyś się od pana odwróci.

–A przy pani będę bezpieczny, tak?

–Może bezpieczniejszy. Ma pan lepszy pomysł? Ostatecznie to pan do mnie przyszedł. Poza tym policja odebrała panu broń, prawda?

Fakt, odebrała.

–Proszę zrozumieć, waham się, bo jeszcze niedawno chciała mnie pani przymknąć...

–Nie ma sprawy, w każdej chwili może pan wrócić do swego hotelu. Miłej nocy życzę.

–Jasne, dotarło: składa mi pani hojną propozycję. Pewnie byłbym głupcem, gdybym ją odrzucił. Nie wiem. Sam nie wiem.

–Niech się pan z tym prześpi.

–No właśnie, a propos snu...

Rozejrzała się po pokoju.

–Tu nie ma chyba.

–Nie, nie, zadzwonię na dół i wynajmę pokój.

–Wątpię. Brak miejsc, mają tu jakąś konferencję. Wzięłam ostatni. Może prześpi się pan na sofie?

Zerknął na nią kątem oka. Czyżby sztywna, napuszona agentka specjalna Anna Navarro proponowała mu wspólną noc? Nie. Po co się oszukiwać. Mowa ciała, niedostrzegalne sygnały, które dobrze wyczuwał, mówiły jasno i wyraźnie: chciała go ukryć, a nie przespać się z nim.

–Dzięki.

–Uprzedzam, jest trochę mała, pewnie za krótka.

–Sypiałem na gorszych, proszę mi wierzyć. Wstała, otworzyła szafę i wyjęła koc.

–Pokojówka przyniesie panu szczoteczkę do zębów. Rano będziemy musieli odebrać pańskie rzeczy z hotelu, ubranie, bagaż i tak dalej.

–Nie zamierzam tam wracać.

–Fakt, to nie byłby najlepszy pomysł. Jakoś to załatwię. – Nagle zdała sobie sprawę, że stoją trochę za blisko siebie i niezręcznie się cofnęła. – No dobrze, idę spać.

Raptem znowu pomyślał o czymś, co dręczyło go od chwili wyjścia z domu Lenza.

–Jakob Sonnenfeld – powiedział. – Ten stary tropiciel nazistów. On tu mieszka, prawda?

Odwróciła się. – Chyba tak.

–Czytałem, że mimo wieku jest niezwykle sprawny umysłowo. Poza tym ma bogatą kartotekę. Może...

–Myśli pan, że zechce się z panem zobaczyć?

–Nie wiem, ale warto spróbować.

–Tylko niech pan będzie ostrożny. Ze względu na niego. Niech pan dobrze sprawdzi, czy nikt pana nie śledzi.

–Jeśli chodzi o środki bezpieczeństwa, przyjmę od pani każdą radę. Podczas gdy ona się kładła, on zadzwonił z komórki do Bedford. Odebrała pani Walsh. Była bardzo poruszona.

–Nie, Benjaminie, nie odezwał się. Nie przysłał żadnej wiadomości! Przepadł jak kamień w wodę. Postanowiłam... Zawiadomiłam policję. Odchodzę od zmysłów!

Powrócił tępy ból głowy i znajome napięcie. Wymamrotał kilka pustych słów pocieszenia, rozłączył się, zdjął kurtkę, powiesił ją na krześle przy biurku, położył się w ubraniu na sofie i nakrył kocem.

Ojciec zniknął nagle: co to znaczyło? Wsiadł do samochodu dobrowolnie, a więc nie było to porwanie. Najprawdopodobniej wiedział, dokąd jedzie.

No właśnie, dokąd pojechał?

Próbował ułożyć się wygodniej, lecz agentka miała rację: sofa była kilkanaście centymetrów za krótka. Zerknął w lewo. Leżała w łóżku, czytając jakieś akta. Lampka nocna, krąg światła, jej jasnobrązowe oczy.

–Coś się stało? – spytała. – Przepraszam, nie powinnam podsłuchiwać, ale...

–Nie szkodzi. Mój ojciec zniknął. Kilka dni temu wsiadł do samochodu, pojechał

na lotnisko i już się nie odezwał. Odłożyła akta i usiadła prosto.

–Może go uprowadzono. To przestępstwo federalne.

Zaschło mu w gardle, z trudem przełknął ślinę. Czy to możliwe, żeby ojca porwano?

–Proszę mi o tym opowiedzieć – rzuciła.

Kilka godzin później obudził ich dzwonek telefonu.

Anna podniosła słuchawkę.

–Tak?

–Pani Navarro?

–Tak. Kto mówi?

–Phil Ostrow z amerykańskiej ambasady. Mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt późno. – Płaski akcent ze środkowego zachodu, rozlazłe chicagowskie samogłoski.

–I tak musiałam wstać, telefon dzwonił – odparła oschle. – Słucham. – Zrywać ją z łóżka o północy. Co za palant.

–Dzwonię z polecenia Jacka Hamptona. – Ostrow znacząco zawiesił głos.

Hampton, szef operacyjny CIA, wielokrotnie jej pomagał. Był dobrym człowiekiem, bezpośrednim i otwartym, przynajmniej jak na kogoś, kto pracował w tym fachu. Przypomniały jej się słowa Bartletta o „krzywym pniu, z którego powstał nasz ród”. Ale nie, Hampton był chyba inny.

–Mam dla pani informacje dotyczące sprawy, nad którą pani pracuje.

–Gdzie pan... Mogę spytać, kim pan właściwie jest?

–Wolałbym nie przez telefon. Powiedzmy, że jestem kolegą Jacka.

Wiedziała, co to znaczy: facet pracował w CIA, stąd znajomość z Hamptonem.

–Dobrze, co to za informacja? A może woli pan porozmawiać osobiście?

–Wiem tylko, że to coś ważnego. Mogłaby pani wpaść do mnie do biura?

Powiedzmy, jutro o siódmej. Nie za wcześnie?

O siódmej rano? Chryste, czy to aż takie pilne?

–Czy wy w ogóle sypiacie? Dobra, będę o siódmej.

–W takim razie do zobaczenia. Była już pani u nas?

–Gdzie? W ambasadzie?

–Naprzeciwno wydziału konsularnego. – Podał jej dokładne namiary.

Zamyślona odłożyła słuchawkę.

–Coś się stało? – rzucił z sofy Ben.

–Nie, nie – odrzekła bez przekonania. – Wszystko w porządku.

–Nie możemy tu zostać.

–Wiem. Jutro się wyniesiemy.

–Coś panią gryzie.

–Jak tak zawsze, od urodzenia. I mówmy sobie po imieniu.

–Pomyśleć tylko, że kiedyś nie miałem żadnych zmartwień. Dobranoc, Anno.

Rozdział 28

Obudził go szum suszarki do włosów. Zaspany, dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że jest w wiedeńskim hotelu, że leży na niewygodnej sofie i że bołą go plecy.

Mocno pochylił głowę, usłyszał trzask kręgów i z ulgą stwierdził, że sztywność ciała powoli ustępuje.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła smuga światła z łazienki. Anna. Miała na sobie brązowy żakiet, może niezbyt elegancki, ale w sumie gustowny. I była umalowana.

–Wracam za godzinę – rzuciła. – Śpij.

Tak jak powiedział Ostrow, dokładnie naprzeciwko wydziału konsularnego ambasady amerykańskiej stał brązowawy, nowoczesny budynek. Na tablicy w holu wisiał spis mieszczących się w nim instytucji, amerykańskich i austriackich. Było tam też i biuro radcy handlowego Stanów Zjednoczonych, które służyło jako przykrywka dla miejscowej komórki CIA. W tym, że ją tu poproszono, nie było nic niezwykłego, wprost przeciwnie: często dostawała od nich bardzo cenne informacje.

Dziesiąte piętro, nierzucająca się w oczy recepcja. Pod wielkim godłem Stanów Zjednoczonych siedziała młoda sekretarka, odbierając telefony i stukając w klawiaturę komputera. Nawet nie podniosła głowy. Anna przedstawiła się, kobieta wcisnęła guzik i zamieniła z kimś kilka słów.

Niecałą minutę później do recepcji wpadł mężczyzna o bladej twarzy człowieka, który całe życie spędził za biurkiem. Miał dziobate, mocno zapadnięte policzki, siwiejące, kasztanowe włosy i małe szare oczy. Był w wielkich okularach w drucianej oprawce.

–Pani Navarro? – Energicznym ruchem wyciągnął do niej rękę. – Phil Ostrow.

Recepcjonistka ponownie wcisnęła guzik, zadzwieczał elektryczny zamek, otworzyły się drzwi – te same, którymi wyszedł do niej Ostrow – i po chwili znaleźli się w małej sali konferencyjnej. Przy stole z robionego na plastik drewna, siedział szczupły, mrocznie przystojny mężczyzna. Miał ostrzyżone najeża, przyprószone siwizną włosy, brązowe oczy i długie, czarne rzęsy. Trzydzieści pięć, czterdzieści lat, pomyślała Anna. Bliski Wschód. Usiadła po jego lewej stronie, Ostrow po prawej.

–Yossi, to jest Anna Navarro. Anno, to jest Yossi.

Mocno opalony, miał głębokie zmarszczki wokół oczu, albo od słońca, albo od życia w ciągłym stresie. Kształtny podbródek, dołeczek w brodzie -w jego twarzy było coś kobieco pięknego, chociaż kobiecość tę tuszował dwudniowy zarost i zniszczona cera.

–Miło mi – powiedziała Anna.

Skinęła głową czujnie i bez uśmiechu. Odpowiedział tym samym. Nie podał jej ręki.

–Yossi jest naszym agentem – zaczął Ostrow. – Tyle możemy jej chyba powiedzieć, prawda? Pracuje w Wiedniu. Ma dobrą przykrywkę. Jako nastolatek wyemigrował z Izraela do Stanów, dlatego ilekroć narozrabia, wina spada na kogoś innego. – Ostrow zachichotał.

–Dość – mruknął Yossi. – Wystarczy. – Mówił chrapliwym barytonem, z charakterystycznym hebrajskim „r”. – Okej, musimy się dobrze zrozumieć: w ostatnim czasie, tu i za granicą, poszło do piachu kilku facetów. Prowadzi pani śledztwo w tej sprawie. Wie pani, że ich zamordowano, ale nie wie pani, kto za tym stoi.

Anna patrzyła na niego bez słowa.

–Przesłuchiwała pani Benjaminą Hartmana. Tu, w Sicherheitsburo. Od tamtej chwili jest pani z nim w stałym kontakcie. Tak?

–Do czego pan zmierza?

Uprzedził go Ostrow.

–Chcemy, żeby go nam pani przekazała. To oficjalna prośba agencji.

–Co to, do diabła...

Ostro przeszył ją wzrokiem.

–Tak zdecydowali pani przełożeni, agentko Navarro.

–Nie rozumiem.

–Hartman zagraża bezpieczeństwu firmy. Robi na dwie strony, wystarczy? Hartman agentem CIA? Podwójnym agentem, zwerbowanym przez wrogą Stanom organizację?

–Nie rozumiem – powtórzyła. – Chcecie powiedzieć, że on dla was pracuje? – Obłąd, czysty obłąd. A jeśli nie? Wyjaśniałoby to, dlaczego mógł podróżować po Europie, nie wzbudzając podejrzeń tych z kontroli granicznej, co zawsze ją zastanawiało. Poza tym, jako międzynarodowy finansista świetnie się do tej pracy nadawał. Był synem właściciela znanej firmy: trudno o bardziej wiarygodną i wszechstronną przykrywkę. Yossi i Ostrow wymienili spojrzenia.

–Niezupełnie.

–Nie? To dla kogo?

–Uważamy, że ktoś go zwerbował. Ktoś od nas. Powiedzmy, że ktoś, kto pracuje na własną rękę. Mógł go w to wciągnąć pod pozorem oficjalnego werbunku. Ale to tylko teoria.

–Wezwaliście mnie tu po to, żeby sobie poteoretyzować?

–Musimy ściągnąć go do Stanów. Agentko Navarro, proszę, to naprawdę ważne. Nie wie pani, kto to jest.

–Wiem, że to człowiek dezorientowany i zbity z tropu. Człowiek, który nie otrząsnął się jeszcze z szoku po śmierci brata. Twierdzi, że go zamordowano i...

–Tak, tak, wiemy. Nie przyszło pani do głowy, że jego też mógł zabić?

–Pan żartuje. – Zarzut był wprost nieprawdopodobny. Nieprawdopodobny i straszny. Ale może jednak...

–Co pani tak naprawdę o nim wie? – rzucił niecierpliwie Ostrow. – Spytałem inaczej. Jak pani myśli, skąd Hartman wytrzasnął listę tych wszystkich ludzi? Informacje nie leżą na ulicy. Informacje słono kosztują, a ktoś taki jak on ma środki, żeby za nie zapłacić.

„Dać komuś w łapę”: jego słowa.

–Ale dlaczego? Co on chce zrobić?

–Nie wiem. Facet jest nieuchwytny, jeździ po całej Europie. Dowiemy się tego dopiero wtedy, kiedy ściągniemy go do Stanów. – Ostrow spojrzał na swojego kolegę. – Yossi dostał cynk od swoich byłych kumpli. Mossad przysłał tu swoich ludzi. Możliwe, że maczają palce w tym, nad czym pani pracuje.

–Zaraz. Robią to na własną rękę czy oficjalnie? Przysłali tu tych z kidonu? – Miała na myśli tajny oddział egzekucyjny Mossadu.

–Powiedzmy, że... prywatnie.

–Prywatnie? Chce pan powiedzieć, że to prywatna akcja agentów Mossadu?

–Agentów Mossadu i wynajętych przez nich ludzi.

–Te wszystkie morderstwa... Przecież ci z Mossadu załatwiają to zupełnie inaczej. Yossi skrzywił się z niesmakiem.

–Niech pani nie będzie naiwna. Myśli pani, że chłopcy z Mossadu zostawiają na trupach swoje wizytówki? Jasne, czasami zostawiają, ale tylko wtedy, kiedy im na tym zależy. No nie, niech pani zacznie wreszcie myśleć.

–A więc w tym przypadku im na tym nie zależy.

–Oczywiście, że nie. Sprawa jest zbyt delikatna. W tym klimacie politycznym groziłaby wybuchem. Izrael nie chce mieć z tym nic wspólnego.

–Więc dla kogo ci ludzie pracują?

Yossi zerknął na Ostrowa, przeniósł wzrok z powrotem na Annę i tylko wzruszył ramionami.

–Nie dla Mossadu? – drążyła. – To chce pan powiedzieć?

–Zlecenie zamachu łączy się u nich ze skomplikowanymi formalnościami. Mają tam wewnętrzny system kontroli, specjalną „listę egzekucyjną”, którą musi podpisać premier. Jeśli nie parafuje któregoś nazwiska, do zamachu nie dochodzi, i kropka. Ci ludzie zostali wysłani w teren bez zgody przełożonych. Dlatego nazwałem tę akcję prywatną.

–Zapytam jeszcze raz: dla kogo ci ludzie pracują?

Yossi ponownie zerknął na Ostrowa, ale tym razem w jego spojrzeniu wyczytała coś w rodzaju zachęty czy przyzwolenia.

–Hmm – mruknął Ostrow. – Ja tego pani nie powiedziałem...

Dostała gęziej skórki.

–Pan żartuje – szepnęła oszołomiona,

–Widzi pani, agencja nie chce brudzić sobie rąk – kontynuował Ostrow. – Już nie. Kiedyś, za starych, dobrych czasów, było inaczej. Wspieraliśmy jakiegoś dyktatora, wspieraliśmy, ale wystarczyło, że krzywo na nas spojrzał i bez wahania go usuwaliśmy. Teraz mamy prezydenckie dyrektywy, Kongres, komisje i dyrektorów bez jaj. Obcokrajowiec? Chryste, boimy się takiego zarazić zwykłym katarem!

Ktoś zapukał do drzwi i do sali zajrzał młody mężczyzna.

–Phil, Langley na trójce.

–Powiedz im, że jeszcze mnie nie ma. – Drzwi się zamknęły i Ostrow przewrócił oczami.

–Zaraz, czy ja to wszystko dobrze rozumiem – powiedziała Anna. – Przekazaliście tajne informacje najemnikom Mossadu?

–Nie my. Wiem tylko, że ktoś je przekazał. Krążą plotki, że pośredniczył w tym Hartman.

–Macie na to niepodważalne dowody?

–Yossi zna sporo szczegółów – odrzekł cicho Ostrow. – Bardzo jednoznacznych szczegółów. Opisał mi tyle „znaków wodnych”, tyle „procedur sanitarnych”, przedstawił tyle charakterystycznych cech, że nie mam żadnych wątpliwości: rozkaz przyszedł bezpośrednio z Langley. Mówię tu o czymś, czego nie da się podrobić, o znakach, symbolach i kodach, które codziennie się zmieniają.

Anna szybko dodała dwa do dwóch: Yossi musiał być amerykańskim agentem, agentem CIA działającym w Mossadzie. Chciała go o to zapytać, ale doszła do wniosku, że byłoby to naruszenie zawodowej etykiety.

–A więc ktoś z Langley – powiedziała. – Kto?

–Już mówiłem, nie wiem.

–Nie wie pan, czy nie chce pan powiedzieć?

Yossi, który przyglądał się temu jak zabawnej corridzie, po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech. A uśmiech miał olśniewający.

–Nie zna mnie pani – odparł Ostrow – ale ci, którzy mnie znają, dobrze wiedzą, że siedzę w biurokracji na tyle długo, jestem na tyle skutecznym graczem, żeby orznąć i wykiwać każdego, kogo nie lubię. Gdybym znał nazwisko tego sukinsyna, podałbym je pani na tacy.

W to akurat wierzyła: byłaby to naturalna reakcja starego wyjadacza i biurowego rutyniarza. Mimo to udała, że jej nie przekonał.

–Ale dlaczego ten facet to robi? – spytała. – To jakiś fanatyk? Fanatycy w CIA?

Ostrow pokręcił głową.

–Jedyni fanatycy w Langley to ci, którzy mają szmergla na punkcie polityki urlopowej.

–W takim razie dlaczego? Jaki może mieć motyw?

–Mam strzelać? Dobrze, coś pani powiem. – Ostrow zdjął okulary i potarł je o koszulę. – Ma pani listę drobnych kanciarzy i bogatych kapitalistów, listę małych rybek i grubych ryb, dla których te małe pracują. I właśnie tu jest pies pogrzebany, panno Navarro: w powojennej współpracy CIA z nazistami. Chce pani usłyszeć moją teorię? Ktoś wysoko postawiony, a mam tu na myśli kogoś na bardzo, ale to bardzo wysokim stołku, dostał cykora, bo nagle stwierdził, że mogą wyjść na jaw pewne nazwiska. Nazwiska sprzed wielu, wielu lat.

–Czyje nazwiska?

Ostrow włożył okulary.

–Starszych panów, których kiedyś wykorzystywaliśmy i którym zapłaciliśmy. Panów, którzy już dawno zniknęli w mrokach dziejów. Nagle pojawia się jakaś lista i grozi... czym? Ano tym, że wraz z nazwiskami tych dżentelmenów pojawią się nazwiska starej gwardii CIA, ludzi, którzy kiedyś im pomagali i zachęcali do złego. Może chodziło o tęgi szmal, o jakieś oszustwa, o podwójne, potrójne czy nawet poczwórne pensje, oczywiście takie na lewo? Więc do kogo się zwrócić? Do kogóż by innego jak nie do fanatycznych Izraelczyków? Oni zrobią to czysto i porządnie.

Ludzie powiedzą, że to duchy drugiej wojny światowej, będą wymachiwać rękami i gadać o tajemniczej zemście. A nasi starogwardziści? Tylek cały, sprawa załatwiona, wszyscy są szczęśliwi.

Tak, pomyślała ponuro Anna. Wszyscy są szczęśliwi.

–Niech pani posłucha. Mamy zbieżne interesy. Pani chce rozpracować te morderstwa, my chcemy rozpracować tego sukinsyna z Langley. Ale nie możemy tego zrobić bez pomocy Hartmana. Nie będę zanudzał pani domysłami, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że ścigają go ci sami ludzie, dla których ten facet pracuje. Bo widzi pani, problem w tym, że sprzątanie nigdy się nie kończy.

Sprzątanie: czyżby ona też po kimś sprzątała? Ostrow natychmiast dostrzegł jej wahanie i dodał:

–Chcemy po prostu wiedzieć, co jest prawdą, a co nią nie jest.

–Macie papiery? – spytała.

Ostrow postukał tępym palcem w plik spiętych zszywkami dokumentów. Na pierwszej kartce rzucał się w oczy wytłuszczony nagłówek: OBYWATEL AMERYKAŃSKI – PRZEWÓZ POD KONWOJEM.

–Mamy. Brakuje nam tylko wiadomego delikwenta. Jack Hampton powiedział, że wykaże pani zrozumienie.

–Jak chcecie to załatwić?

–Widzi pani, w grę wchodzi delikatna sprawa eksterytorialności...

–Aha. Nie chcecie go tu widzieć.

–Otóż to. Ale możemy na przykład was odwiedzić. Skuje go pani, da nam znać i natychmiast się zjawimy. Nie chce pani brudzić sobie rąk? Jasne, w porządku. Proszę podać nam tylko czas i miejsce, najlepiej w miarę odosobnione...

–A my załatwimy resztę – dokończył za niego Yossi, który zdążył już spoważnieć.

–Chryste, ale z was kowboje.

–Jeśli już, to tacy, którzy większość czasu spędzają w siodle za biurkiem – odparł oschle Ostrow. – Ale tak, jeżeli zachodzi konieczność, potrafimy zorganizować skuteczną ewakuację. Nikomu nic się nie stanie. Złapiemy faceta i wywieziemy. Tyle. Chirurgiczna precyzja.

–Zabiegi chirurgiczne bywają bolesne.

–Niech pani nie przesadza. Tak trzeba. A przy okazji każde z nas upiecze swoją pieczeń.

–Wezmę to pod uwagę – odrzekła z krzywym uśmiechem Anna.

–W takim razie niech pani rozważy i to. – Podał jej rozkład lotów z Wiednia do Waszyngtonu i do Nowego Jorku. – Liczy się każda chwila.

W ciemnym gabinecie na pierwszym piętrze domu przy Wallnerstrasse, korpulentny *Berufsdetektiv* Hans Hoffman trzasnął słuchawką telefonu i głośno zaklął. Była dziesiąta rano, a on dzwonił do Amerykanina już czwarty raz – bezskutecznie. Zostawił mu wiadomość, lecz jankes milczał jak zaklęty. Ci z recepcji nie wiedzieli, gdzie jest. Nie znali numeru jego komórki, nie chcieli mu nawet powiedzieć, czy nocował w hotelu.

A Hoffman musiał natychmiast z nim porozmawiać.

Sprawa była paląca. Niechcący wprowadził Hartmana w błąd, podał mu złe, ba! podał mu niebezpieczne zamiary, a bez względu na to, co ludzie o nim mówili, nikt nie śmiał zarzucić mu braku skrupulatności. Musiał skontaktować się z Hartmanem przed jego wizytą u Jurgena Lenza. Koniecznie.

Dlaczego? Dlatego, że poprzedniego dnia wieczorem odkrył coś naprawdę sensacyjnego: rutynowe śledztwo przyniosło niespodziewane, wręcz zdumiewające rezultaty.

Wiedział, że Lenz już nie praktykuje, chciał jednak wiedzieć dlaczego. Żeby to sprawdzić, zadzwonił do *Arztekammer*, archiwum, w którym przechowywane są kopie wszystkich austriackich dyplomów lekarskich.

Okazało się, że dyplomu Jurgena Lenza tam nie ma.

I nigdy nie było.

Jak to możliwe? – myślał Hoffman. Czyżby Lenz kłamał? Czyżby nigdy nikogo nie leczył?

Z jego oficjalnej biografii, którą rozdawano w siedzibie fundacji, wynikało, że skończył medycynę w Innsbrucku, więc Hoffman sprawdził i tam.

Jurgen Lenz nigdy w Innsbrucku nie studiował.

Coraz bardziej zaintrygowany detektyw pojechał na Uniwersytet Wiedeński, gdzie przechowywane są końcowe prace egzaminacyjne wszystkich kandydatów na lekarzy.

I niczego nie znalazł.

Hans Hoffman podał klientowi nazwisko i adres człowieka o fałszywej biografii. Coś tu nie grało. Coś tu się nie zgadzało, i to bardzo.

Siedział teraz pochylony nad laptopem i po raz setny przeglądał swoje zapiski, próbując doszukać się w nich jakiegoś sensu, ułożyć je w innej kolejności z nadzieją, że gdzieś się pomylił. Z palcem na klawiszu kursora gapił się w ekran, wypatrując jakiejś luki czy błędu, który mógłby wyjaśnić tę dziwną sytuację,

Z zamyślenia wyrwał go głośny dzwonek. Dzwonił ktoś z ulicy. Hoffman wstał i podszedł do domofonu.

–Tak?

–Ja do pana Hoffinana.

–Słucham.

–Nazywam się Leitner. Nie jestem umówiony, ale mam bardzo pilną sprawę.

–Jaką sprawę? – spytał Hoffman. Oby to tylko nie jakiś akwizytor, pomyślał.

–Poufną. Potrzebuję pańskiej pomocy.

–Proszę, niech pan wejdzie. Pierwsze piętro. – Detektyw wcisnął guzik domofonu.

Zapisał plik Lenza, wyłączył komputer i otworzył drzwi. W progu stał mężczyzna w czarnej, skórzanej kurtce. Miał siwawe włosy, kozią bródkę i kolczyk w lewym uchu.

–Pan Hoffman?

–Tak? – Potencjalny klient: detektyw otaksował go spojrzeniem, oceniając, ile pieniędzy mógłby z niego wyciągnąć. Mężczyzna miał bardzo gładkie czoło i dziwnie napiętą skórę na policzkach. Mimo siwawych włosów Hoffman dawał mu najwyżej czterdzieści lat. Był bardzo dobrze zbudowany, lecz nie licząc martwych, szarych oczu, twarz miał nijaką, przeciętną. Krótko mówiąc, poważny gość.

–Proszę, bardzo proszę – rzucił serdecznie detektyw. – Czym mogę szanownemu panu służyć?

Anna wróciła do hotelu już o dziewiątej.

Wkładając do czytnika elektroniczny klucz, usłyszała szum lejącej się wody. Cicho zamknęła za sobą drzwi, powiesiła płaszcz w szafie przy drzwiach i weszła do pokoju. Musiała podjąć ważną decyzję i liczyła na swoją intuicję.

Szum wody ucichł i w progu łazienki stanął Ben. Jeszcze jej nie widział. Nie wiedział, że wróciła.

W luźno zawiązanym na biodrach ręczniku ciało miał jak grecki bóg, bardzo silnie umięśnione, kiedyś był to rezultat ciężkiej pracy fizycznej, dzisiaj – symbol uprzywilejowanej pozycji społecznej – miał pewnie osobistego trenera i aktywnie uprawiał sport. Oceniała go beznamiętnym okiem lekarza: pofałdowany jak tarka brzuch, pierś jak dwie stykające się ze sobą tarcze, potężne bicepsy. Krople wody na opalonych skórze. Zdjął opatrunek; na ramieniu miał małą, mocno zaczerwienioną plamę.

Wreszcie ją zauważył.

–Już jesteś – powiedział.– Co nowego?

–Pokaż, obejrzę to ramię. – Podeszedł bliżej. Hmm, czy interesowała się nim z powodów czysto zawodowych? Miłe łaskotanie w żołądku zdawało się temu przeczyć.

–Zagoiło się – oznajmiła. Powiodła palcem wokół zaczerwienienia. – Plaster już niepotrzebny. Wystarczy posmarować bacytracyną. Mam w walizce, zaraz ci dam.

Zanim przyniosła maść, zdążył już się wytrzeć i włożyć bokserki, lecz wciąż był bez koszuli.

–Wczoraj mówiłeś coś o CIA – rzuciła, odkręcając tubkę.

–To pewnie bzdura, sam już nie wiem. Lenz twierdzi, że są do tego zdolni, ale nie mogę w to uwierzyć.

Kłamie? – pomyślała. Wczoraj też kłamał? Instynkt podszeptował jej, że nie, intuicja podobnie. Mówił spokojnie, zwyczajnie, nie wyczuwała w jego głosie żadnego napięcia, niczego, co by na to wskazywało.

Zaczęła wcierać mu maść w ramię. Jego twarz była tuż-tuż. Zapach mydła, zapach hotelowego szamponu – zielone jabłuszko? – i czegoś jeszcze, czegoś ziemistego, bardzo męskiego... Po cichu wzięła głęboki oddech. I nagle, owładnięta burzą uczuć, zrobiła krok do tyłu.

Czyżby coś zakłóciło działanie jej wewnętrznego radaru? Czyżby nie potrafiła już odróżnić prawdy od kłamstwa? Nie mogła sobie na to pozwolić, zwłaszcza teraz, w tej sytuacji.

Z drugiej strony, Ostrow i Yossi mogli zostać wprowadzeni w błąd. Bo skąd właściwie mieli te informacje? Agent jest dobrym agentem tylko wtedy, gdy ma dobre dojścia. Doskonale wiedziała, jak omylny bywa ich system. Poza tym, jeśli rzeczywiście zaangażowała się w to CIA, czy Hartma-nowi nic u nich nie groziło? Jej świat był światem nieustannych wątpliwości: musiała polegać na intuicji, w przeciwnym razie byłaby zgubiona.

Zadzwoiła do Waltera Heislera.

–Chciałabym prosić pana o przysługę – powiedziała. – Dzwoniłam do hotelu Hartmana. Wygląda na to, że wyjechał, chociaż recepcja nic o tym nie wie. Zdaje się, że doszło tam do jakiejś strzelaniny. W każdym razie zostawił w hotelu bagaż. Chcę go przejrzeć, tak na spokojnie.

–Wie pani, kiedy rozpoczynamy dochodzenie, rzeczy podejrzanego sta ją się naszą własnością, więc...

–A już je rozpoczęliście?

–Nie, jeszcze nie, ale...

–W takim razie czy moglibyście podrzucić mi jego bagaż do hotelu? Byłabym panu bardzo wdzięczna.

–Cóż, chyba tak – odrzekł ponuro Heisler. – Chociaż raczej się tego nie praktykuje.

–Dzięki, Walter – powiedziała ciepło i odłożyła słuchawkę.

Podszedł do niej Ben. Wciąż miał na sobie tylko bokserki.

–To rozumiem – rzekł z uśmiechem. – Pełna obsługa.

Rzuciła mu podkoszulek.

–Na dworze jest chłodno. – Chryste, dlaczego zaschło jej w ustach?

Wyszedł z hotelu, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony. Wziął prysznic, był ogolony i chociaż miał na sobie zmięte ubranie, w którym spał, czuł się w miarę rześko. Spojrzał lękliwie na szeroką, ruchliwą aleję, na zielony Stadtpark, szybko skręcił w prawo i poszedł w kierunku centrum.

Przez ostatnie pół godziny wisiał na telefonie. Najpierw zadzwonił na Kajmany i obudził Fergusa O'Connora, znajomego swojego znajomego, szefa dwuosobowego „biura śledczego”, specjalizującego się rzekomo w sprawdzaniu potencjalnych kandydatów na wysokie stanowiska w wielkich międzynarodowych korporacjach. W rzeczywistości zaś biuro świadczyło usługi bogatym biznesmenom lub wielonarodowym spółkom handlowym, które z tego czy innego powodu chciały zgłębić tajemnice miejscowych banków.

Fergus O'Connor, szef tej supertajnej firmy, był Irlandczykiem, swego czasu policjantem, który przyjechawszy na Kajmany jako strażnik jednego z brytyjskich banków, postanowił zostać tam na stałe. Szybko awansował na oficera, potem na szefa ochrony. Kiedy zdał sobie sprawę, że jego doświadczenie i sieć kontaktów są dość chodliwym towarem – znał wszystkich szefów ochrony bankowej na Kajmanach, zasady działania systemu bezpieczeństwa, wiedział też, kogo można przekupić, a kogo nie – założył własny interes.

–Oby to było coś ważnego – mruknął wściekle do słuchawki.

–Nie wiem, czy to ważne, ale wiem, że można na rym dobrze zarobić – odparł Ben.

–No, teraz gadasz do rzeczy. – Fergus natychmiast złagodniał.

Ben przeczytał mu listę kodów dyspozycyjnych oraz numery przelewów i oznajmił, że zadzwoni wieczorem.

–Nic z tego, to potrwa znacznie dłużej – zaprotestował Fergus.

–Nawet jeśli podwoję naszą zwykłą stawkę? To przyspieszy sprawę?

–Jak cholera. – O'Connor jakby się zawahał. – Tak przy okazji, wiesz, że wygadują o tobie koszmarnie rzeczy?

–O mnie?

–Pieprzą jak najęci, obsrywają cię na całego. Wiesz, co może plotka. Jak pod maglem, brachu, jak pod maglem. Powiadają, że dostałeś szału i mordujesz, kogo popadnie.

–Żartujesz.

–Mówią, że zabiłeś własnego brata.

Ben nie odpowiedział. Zrobiło mu się niedobrze. Czy nie było w tym odrobiny prawdy?

–Odbiło im, normalnie im odbiło. Ja w tym nie robię, ale wiem, po co finansiści rozpuszczają ploty: żeby, kurde, namieszać. To kit, ale ciekawe kto ten kit ludziom wciska, nie?

Chryste.

–Dzięki za cynk, Fergus – odrzekł Ben drżącym głosem.

Kilka razy głęboko odetchnął, żeby się uspokoić, i zadzwonił do biura pewnej międzynarodowej firmy w Nowym Jorku. Ta z kolei była bardzo duża, znana, zupełnie legalna i pracowało w niej wielu byłych agentów FBI, a nawet CIA. Knapp Incorporated specjalizowała się w przeświadczeniu potencjalnych wspólników, rozwiązywaniu przestępstw urzędniczych, wykrywaniu malwersacji i kradzieży pracowniczych. Była agencją detektywistyczną na globalną skalę i Fundusz Kapitałowy Hartmana czasami korzystał z jej usług.

Jedną z pracownic Knapp Incorporated była Megan Crosby, absolwentka Harvardu, fachowiec jakich mało. Miała wprost niesamowity talent do rozwikływania skomplikowanych, istic bizantyjskich struktur korporacyjnych, których celem było zakamufłowanie ich właściwej struktury przed wzrokiem inspektorów urzędu skarbowego, a także rywali, i niemal zawsze potrafiła wykryć, kto jest właścicielem czego i kto stoi za fasadą tej czy innej firmy. Nie zdradzała klientom, jak to robi: sztukmistrz nie zdradza swoich tajemnic. Ben zabrał ją kilka razy na kolację, a ponieważ zdarzało mu się dzwonić do niej z Europy, dała mu swój domowy numer.

–Jest trzecia nad ranem – wymruczała. – Kto mówi?

–To ja, Megan, Ben Hartman. Przepraszam, ale to pilne.

Megan błyskawicznie otrzeźwiała; Ben należał do jej najlepszych klientów.

–Nie ma sprawy. Co się dzieje?

–Posłuchaj – odrzekł, zniżając głos -jestem w trakcie ważnej narady w Amsterdamie. Interesuje mnie pewna mała, niepozorna firma biotechnologiczna w Filadelfii. Nazywa się Vortex, Vortex Laboratories. – Anna wspomniała mi o niej, licząc na pomoc. – Chcę wiedzieć, do kogo należy, czy ma cichych wspólników i tak dalej.

–Zrobię, co się da, ale niczego nie obiecuję.

–Zdążysz do końca dnia?

–Jezu. – Zawahała się. – Czyjego? Mojego czy twojego? Sześć godzin różnicy to kupa czasu.

–Dobra, do końca twojego. Postaraj się.

–Jasne.

–Jeszcze jedno. Macie w Paryżu człowieka, który pracował dla nas we Francji.

Nazywa się Oscar Peyaud. Dasz mi jego namiary?

Dziesiąta. W Graben, jednym z największych pasaży spacerowo-handlowych Wiednia, roilo się od kupujących, biznesmenów i turystów. Ben skręcił w Kohlmarkt i mijając słynną cukiernię Cafe Demel, przystanął na chwilę przed bogato zastawionym oknem wystawowym. W szybie dostrzegł jakiegoś mężczyznę, który zerknął na niego i szybko odwrócił wzrok.

Wysoki, w źle dopasowanym granatowym płaszczu, wyglądał na zbira. Miał czarne, zmierzwione, przyprószone siwizną włosy i najbardziej krzaczaste brwi, jakie Ben kiedykolwiek widział: nieprawdopodobnie gęste, też czarne, choć już siwawe i co najmniej na trzy centymetry grube, przesłaniały mu niemal pół czoła. Na policzkach miał czerwone wykwity, pajęczynę drobniutkich naczyń krwionośnych, popękanych od nałogowego picia.

Ben już go gdzieś widział. Dawał za to głowę.

Widział go na pewno, i to niedawno, w ciągu ostatnich kilku dni, na pewno widział gdzieś te zaognione policzki i krzaczaste brwi. Gdzieś w tłumie, ale gdzie?

A może to tylko wyobraźnia?

Popadał w paranoję? Miał zwidy? Wszędzie wietrzył wrogów?

Odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, lecz mężczyzny już tam nie było.

–Moja droga – zaczął Alan Bartlett. – Wydaje mi się, że zrozumiała pani swoje zadanie zupełnie inaczej niż ja. Muszę przyznać, że jestem rozczarowany. Bardzo mnie pani zawiodła.

Anna zadzwoniła do Roberta Pollozziego z Wydziału Identyfikacyjnego, lecz bez żadnego uprzedzenia przełączono ją do gabinetu Bartletta.

–Panie dyrektorze – zaprotestowała, przytrzymując słuchawkę ramieniem – jestem o krok od...

Ale Bartlett jakby jej nie słyszał.

–Miała się pani regularnie meldować, tymczasem znika pani jak studentka college'u podczas wiosennej przerwy semestralnej.

Anna była coraz bardziej zirytowana.

–Może jednak zechce mnie pan wysłuchać...

–Nie, agentko Navarro, to pani wysłucha mnie – przerwał jej lodowatym głosem Bartlett. – Niniejszym rozkazuję pani natychmiast zakończyć tę sprawę. Powiedzieliśmy się, że Ramago nie żyje. Rossignol był naszą ostatnią szansą. Nie wiem, jakim sposobem pani do niego dotarła, ale jedno jest pewne: sposób ten doprowadził do jego śmierci. Myślałem, że jest pani osobą dyskretną, lecz najwyraźniej wprowadzono mnie w błąd.

–Ale ta lista...

–Podczas naszej rozmowy mówiła pani o czujności i ostrożności. Nie wyjaśniła pani tylko, co pani przez to rozumie. Zrobiła pani z niego publiczną tarczę strzelniczą. Ile razy podkreślałem, że jest to zadanie niezwykle delikatne? Ile razy?

Anna poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch.

–Przepraszam. Jeśli coś, co zaplanowałam, przyczyniło się do...

–Nie, agentko Navarro, to moja wina. To ja przydzieliłem pani to zadanie. Nie twierdę, że mi tego nie odradzano. Wszystko przez mój upór. Zaufałem pani i popełniłem błąd. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

Anna miała tego dość.

–Niech pan przestanie pieprzyć. To zarzuty bez pokrycia.

–Grozi pani nagana służbowa. Oczekuję pani w biurze najpóźniej jutro o piątej i nie obchodzi mnie, jak pani zdąży. A zdążyć pani musi, nawet gdyby musiała pani wynająć prywatny samolot.

Minęło dobrych kilka sekund, zanim zdała sobie sprawę, że Bartlett odłożył słuchawkę. Serce waliło jej jak młotem, twarz płonęła. Gdyby się nie rozłączył, zmieszałyby go z błotem, nawet jeśli miałyby wylecieć za to z pracy.

Nie, nie, pomyślała. Już wyleciałaś, to już koniec. Kiedy Dupree dowie się, że zadarłaś z szefem WDD, wywali cię z roboty na zbity pysk.

Cóż, jak już wylatywać, to z hukiem.

Ogarnęło ją rozkoszne uczucie nieuchronności. Czuła się jak w pędzącym pociągu, z którego nie można wysiąść. Pozostawało jej tylko cieszyć się pędem.

Rozdział 29

Biuro legendarnego Jakoba Sonnenfelda – światowej sławy tropiciela nazistów, bohatera niezliczonych artykułów prasowych, książek i opracowań dokumentalnych, a nawet wykonawcy kilku epizodycznych ról filmowych – mieściło się w małym, ponurym, względnie nowym budynku przy Salztorgasse, niezbyt eleganckiej ulicy, pełnej smutnych kawiarni i sklepów oferujących towary po obniżonej cenie. W wiedeńskiej książce telefonicznej figurował tylko jego numer, bez adresu. Ben zadzwonił tam o wpół do dziewiątej rano i bardzo się zdziwił, że ktoś w ogóle podniósł słuchawkę. Niezbyt uprzejma kobieta spytała go obcesowo, czego sobie życzy i po co chce się widzieć z wielkim Sonnenfeldem.

Ben przedstawił się jako syn więźnia obozu koncentracyjnego, prowadzący w Wiedniu prywatne badania historyczne. W tym przypadku przyświecała mu jedna zasada: trzymaj się tego, co wiesz. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy kobieta oznajmiła, że owszem, Sonnenfeld przyjmie go jeszcze tego ranka.

Wieczorem Anna zapoznała go z kilkoma „technikami unikowymi” -tak to nazywała – dlatego dostrzegłszy przed cukiernią mężczyznę o krzaczastych brwiach, kilka razy nagle zawracał, przechodził na drugą stronę ulicy, wchodził do księgarni i przeglądając jakąś książkę, obserwował i czekał. Wyglądało na to, że go zgubił, a może z jakichś powodów mężczyzna nie chciał, żeby ponownie go zauważono.

Kiedy zabrzączał elektryczny zamek, wszedł do holu, wszedł do windy i pojechał na trzecie piętro, gdzie samotny strażnik machnięciem ręki przepuścił go dalej. Drzwi otworzyła młoda kobieta, która wskazała mu niewygodne krzesło w korytarzu obwieszonym dyplomami, plakietkami i odznaczeniami słynnego tropiciela.

Czekając, wyjął telefon i zostawił wiadomość dla Oscara Peyauda w Paryżu. Potem zadzwonił do hotelu, z którego poprzedniego wieczoru zniknął tak nagle i bezceremonialnie.

–Tak, proszę pana – odrzekł recepcjonista z dziwną poufałością w głosie. – Mam wiadomość. Jedną chwileczkę... Od pana Hansa Hofrmana. Mówi, że to bardzo pilne.

–Dziękuję.

–Panie Simon? Jeszcze chwileczkę. Pan kierownik do pana.

W pierwszej chwili Ben chciał się rozłączyć, lecz doszedł do wniosku, że najpierw powinien ustalić, co tamci wiedzą; w tej sytuacji to najważniejsze.

–Halo? Pan Simon? – Głośny, władczy głos, klasyczny basso profundo. – Jedna z naszych pokojówek twierdzi, że pan jej groził. Co więcej, doszło tu wczoraj do strzelaniny i poszukuje pana policja. Chcą pana przesłuchać, dlatego...

Ben przerwał połączenie.

W tym, że kierownik chciał z nim rozmawiać, nie było nic dziwnego. W hotelu doszło do zniszczeń, więc musiał wezwać policję. Zaniepokoiło go jednak to, że przemawiał autorytatywnym głosem człowieka cieszącego się pełnym poparciem wszystkich możliwych władz.

I czego chciał od niego ten Hoffman?

Otworzyły się drzwi do gabinetu i w progu stanął niski, mocno pochylony starzec. Zaprosił go do środka, drżącą ręką uściśnął mu dłoń i usiadł za biurkiem, na którym

walały się jakieś papiery i książki. Miał siwe, szorstkowane wąsy, wydatną szczękę, duże uszy, długie rzęsy i załzawione, mocno zaczerwienione oczy. Był w szerokim, niemodnym już i źle zawiązanym krawacie, w przeżartej przez mole brązowej kamizelce i w kraciastej marynarce.

–Wielu ludzi chce przejrzeć moje archiwum – rzucił. – Jednymi kierują uczciwe pobudki, innymi z gruntu fałszywe. Jakie kierują panem?

Ben odchrząknął, lecz nie zdążył odpowiedzieć.

–Twierdzi pan – kontynuował Sonnenfeld – że pański ojciec był w obozie. I co z tego? Hitlerowskie obozy koncentracyjne przeżyło tysiące ludzi. Dlaczego interesuje pana moja praca?

Powiedzieć mu prawdę? – zastanawiał się Ben.

–Ściga pan nazistów od bardzo wielu lat – odrzekł. – Musi nienawidzić ich pan z całego serca, tak samo jak ja.

Starzec pogardliwie machnął ręką.

–Nie, to nieprawda. Siedzę w tym już od pięćdziesięciu lat i gdyby kierowała mną nienawiść, już dawno bym nie żył. Nienawiść by mnie zżarła.

Zaskoczony Ben spojrział na niego sceptycznie i z lekkim rozdrażnieniem.

–Cóż – odparł – ja uważam, że zbrodniarzy wojennych trzeba karać.

–Widzi pan, tak naprawdę ludzie ci nie są zbrodniarzami wojennymi. Zbrodniarz wojenny popełnia zbrodnię, żeby przyczynić się do realizacji celów wojny, tak? Morduje i torturuje, żeby tę wojnę wygrać. Proszę mi powiedzieć: czy naziści musieli zmasakrować i zagazować miliony niewinnych ludzi, żeby wygrać wojnę?

Oczywiście, że nie. Zabijali ich z pobudek czysto ideologicznych. Chcieli oczyścić naszą planetę. Ze strategicznego punktu widzenia to było zupełnie niepotrzebne. Robili to na boku, tak przy okazji. Poza tym działalność ta pochłaniała bezcenne zasoby materialne, osła biała gospodarkę wojenną. Śmiem twierdzić, że ta ludobójcza kampania bardzo ich spowalniała. Nie, nie. Ludzie ci na pewno nie byli zbrodniarzami.

Ben nareszcie go zrozumiał.

–W takim razie jak ich pan nazywa?

Sonnenfeld odsłonił w uśmiechu kilka złotych zębów.

–Potworami.

Ben wziął głęboki oddech. Zdał sobie sprawę, że musi mu zaufać, że jeśli skłamię, przebiegły starzec nie zechce z nim rozmawiać.

–Będę z panem szczery. Miałem brata bliźniaka. Był moim najlepszym przyjacielem. Zamordowali go ludzie, którzy, przynajmniej moim zdaniem, mają coś wspólnego z tymi... potworami.

Sonnenfeld pochylił się do przodu.

–Nie bardzo rozumiem – odrzekł skupiony. – Pan i pański brat jesteście o wiele za młodzi, żeby pamiętać wojnę.

–Zamordowano go tydzień temu.

Starzec zmarszczył czoło i z niedowierzaniem zmrużył oczy.

–Jak to? Przecież to nie ma sensu.

Ben opowiedział mu pokrótce o odkryciu Petera.

–Dokument ten przykuł jego uwagę, ponieważ członkiem zarządu tej organizacji był nasz ojciec... – urwał. – Max Hartman.

W gabinecie zapadła głucha cisza.

–Max Hartman – powtórzył Sonnenfeld. – Znam to nazwisko. Pan Hartman hojnie wspiera naszą sprawę...

–W czterdziestym piątym wspierał zupełnie inną – kontynuował z kamiennym spokojem Ben. – Najbogatsi przemysłowcy tamtych czasów i garstka hitlerowskich oficerów założyli wtedy coś, co nazwali Sigmą. Ich skarbnikiem był Obersturmfuhrer SS Max Hartman.

Sonnenfeld nawet nie mrugnął.

–Niesamowite. Powiedział pan: Sigma, tak? Boże święty...

–Boję się, że to historia stara jak świat – zaczął klient w czarnej, skórzanej kurtce. Hoffman puścił do niego oko.

–Żona.

Klient westchnął.

–Żona.

–Te młode i ładne są najgorsze – powiedział Hoffman jak mężczyzna do mężczyzny. – Radzę panu o niej zapomnieć. I tak już pan jej nigdy nie uwierzy.

Uwagę klienta przykuł nowiutki, nowoczesny laptop na biurku.

–Ładny – powiedział.

–Nie wiem, jak dawałem sobie bez niego radę. W sprawach technicznych jestem noga, ale obsługa tego cacuszka jest bardzo prosta. Komu potrzebne są dzisiaj szafki i kartoteki? Wszystko jest tu, w środku.

–Mógłbym go obejrzyć?

Hoffman zawahał się. Facet przyszedł prosto z ulicy, mógł być złodziejem. Zerknął na niego kątem oka: szerokie bary, wąski pas, ani grama tłuszczu na ciele. Ukradkiem otworzył metalową szufladę – wysunął ją tylko na trzy, cztery centymetry – żeby sprawdzić, czy leży w niej pistolet.

–Może innym razem – odparł. – Mam tu poufne akta. A więc dobrze. Proszę opowiedzieć mi o swojej pięknej żonie i sukinsynie, który ją posuwa.

–Może byś jednak go włączył.

Hoffman poderwał wzrok. To nie była prośba. To był rozkaz.

–Czego pan chce? – Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że patrzy w lufę makarowa z długim tłumikiem.

–Włącz komputer – powtórzył cicho mężczyzna. – I pokaż mi wszystkie pliki.

–Powie panu jedno. Ten dokument miał nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Sporządzono go tylko do wewnętrznego użytku bankowego. Dla gnomów z Zurychu.

–Nie rozumiem.

–O Sigmie krążyły legendy, ale nigdy nie natrafiono na choćby najmniejszy ślad, który potwierdziłby jej istnienie. Proszę mi wierzyć, kto jak kto, ale ja wiedziałbym o tym na pewno.

–A więc dopiero teraz...

–Na to wygląda. Oczywiście to firma fikcyjna. Fasada, parawan rozstawiony przez ludzi, którzy dogadali się ze sobą, nie zważając na warunki oficjalnego zawieszenia broni. Niewykluczone, że dokument odkryty przez pańskiego brata jest jedynym tego dowodem.

–Wspomniał pan, że o Sigmie krążyły legendy. Jakie?

–Ano takie, że najpotężniejsi biznesmeni i najbardziej wpływowi politycy tamtych czasów zmówili się ze sobą, żeby ukraść i wyprowadzić z Rzeszy olbrzymie aktywa. Pewnie pan wie, że nie wszyscy przeciwnicy Hitlera byli bohaterami. Wielu z nich było wyrachowanymi pragmatykami. Wiedzieli, że wojna jest przegrana, wiedzieli też z czyjej winy. O wiele bardziej interesowała ich repatriacja, nacjonalizacja. Musieli zadbać o własne sprawy. O swoje przemysłowe imperia. Dowodów na istnienie takich planów jest masa. Ale zawsze myśleliśmy, że plany pozostały tylko planami. Poza tym niemal wszyscy ci ludzie już dawno nie żyją.

–Niemał wszyscy – powtórzył ostro Ben. – Pozwoli pan, że wymienię nazwiska trzech osób, które podpadają pod pańskie zainteresowania. To trzech naziści. Gerhard Lenz. Josef Strasser. – Zrobił krótką pauzę. – I Max Hartman.

Sonnenfeld milczał. Pochylił się jeszcze bardziej i objął głowę wielkimi, sękatymi rękami.

–Kim ci ludzie są? – Zabrzmiało to retorycznie, jakby pytał sam siebie. – To pańskie pytanie. Moje jest inne: kto je zadaje? Dlaczego chce znać odpowiedź?

–Niech pan to schowa – powiedział Hoffman. – Niech pan nie będzie głupcem.

–Zamknij szufladę. Uważnie cię obserwuję. Jeden zły ruch i bez wahania cię zabiję.

–I nie otworzysz moich plików – odparł triumfalnie detektyw. – W tym komputerze jest czujnik biometryczny, taki maleńki skaner. Reaguje wyłącznie na odciski moich palców, ty się nawet nie załogujesz. Byłbyś głupcem, gdybyś mnie zabił.

–Och, nie muszę posuwać się aż tak daleko – odrzekł pogodnie mężczyzna.

–Ale czy zna pan prawdę o moim ojcu? Przecież to prominent, który przeżył holocaust, który – proszę mi wybaczyć – hojnie wspiera pańskie poczynania. Myślałem, że się pan nim zainteresował, że ma pan jego akta, że kto jak kto, ale pan na pewno go przejrzał. Ma pan listy więźniów wszystkich obozów koncentracyjnych, ma pan największe w świecie archiwum. Dlatego spytam jeszcze raz: czy zna pan prawdę o moim ojcu?

–A pan? – odparował Sonnenfeld.

–Widzę tę prawdę czarno na białym.

–Widzi pan tylko czerń i biel, prawdy pan nie dostrzega. To błąd każdego amatora. Bez urazy, ale tego rodzaju sprawy nie są ani czarne, ani białe. Dwuznaczność tej sytuacji nie jest mi obca, wprost przeciwnie. O pańskim ojcu wiem bardzo mało, ale jest to historia smutna i dość powszechna zarazem. Proszę się jednak przygotować: za chwilę wkroczy pan w strefę światłocienia. W strefę moralnej dwuznaczności. Zacznijmy od czegoś prostego, a mianowicie od faktu, że jeśli Żyd miał pieniądze, naziści chętnie szli z nim na układy. To jedna z tych ohydnych tajemnic, o których mówi się bardzo rzadko albo wcale. Bogaci kupowali sobie bilet

do wolności. Hitlerowcy sprzedawali te bilety za złoto, biżuterię, papiery wartościowe i tak dalej. Było to klasyczne wymuszenie. Mieli nawet cennik: trzysta tysięcy franków szwajcarskich za życie! Jeden z Rothschildów kupił sobie wolność za hutę. Tak, tak, podarował ją Goeringowi. Ale o tym nigdzie pan nie przeczyta. Nikt już o tym nie mówi. Była taka rodzina. Weissowie, bogaci Węgrzy żydowskiego pochodzenia. Prowadzili interesy w dwudziestu trzech krajach świata. I całą fortunę oddali tym z SS, w zamian za co bezpiecznie odwieziono ich do Szwajcarii.

Skonsternowany Ben zmarszczył czoło.

–Ale Obersturmfuhrer.

–Że niby co? Że Żyd? Obersturmfuhrer SS Żydem, tak? Rozumiem. Myśli pan, że to niemożliwe. – Sonnenfeld zamilkł i potarł czoło. – Opowiem panu o pułkowniku SS Kurcie Becherze, który robił interesy w imieniu Eichmanna i Himmlera. Dogadał się z pewnym Węgrem, doktorem Rudolfem Kastnerem: tysiąc siedmiuset Żydów po tysiąc dolarów za głowę. Pełny pociąg ludzi. Żydzi z Budapesztu zabijali się, żeby do niego wsiąść. Pan wie, że pańska rodzina miała pieniądze już przed wojną, prawda? Dla takich jak Max Hartman sprawa była bardzo prosta. Pewnego dnia przychodził do pana Obergruppenfuhrer Becher i dobijaliście targu. Co panu z pieniędzy, skóro i tak wszyscy mieliście umrzeć? No i wykupywał pan kogo się dało, siostry, siebie samego i tak dalej. Nie było w tym nic niemoralnego. Robił pan wszystko, żeby przeżyć.

Młody Max Hartman, przerażony, zrozpaczony i zdesperowany – Ben nigdy tak o nim nie myślał. Zawirowało mu w głowie. Jego ciotka Sara umarła, zanim się urodził, pamiętał za to ciotkę Leah, która umarła, kiedy chodził do ogólniaka. Drobna, cicha i łagodna, była bibliotekarką w Filadelfii. Szczerze kochała swego brata, lecz znając siłę jego charakteru, zawsze mu ustępowała. Gdyby знаła jakąś tajemnicę, na pewno by jej dochowała.

Ale ojciec... Co jeszcze przed nim zataił?

–Jeśli to prawda, dlaczego nic nam nie powiedział?

–A myśli pan, że chciał, byście o tym wiedzieli? – spytał Sonnenfeld z nutką pogardy w głosie. – Czy na pewno byście go zrozumieli? Miliony ludzi idą do pieca, a pan Hartman przyjeżdża do Ameryki tylko dlatego, że los podarował mu pieniądze? Ludzie w jego sytuacji nikomu o tym nie mówili, mój przyjacielu. Robili wszystko, żeby zapomnieć. Ja pamiętam, bo taką mam pracę, ale proszę mi wierzyć: lepiej tych spraw nie odgrzebywać.

Ben nie wiedział, co odpowiedzieć, więc milczał.

–Nawet Churchill i Roosevelt, nawet oni... Himmler złożył im pewną propozycję. W maju czterdziestego czwartego. Chciał sprzedać aliantom wszystkich Żydów, jakich u siebie mieli. Wszystkich, co do jednego. Wie pan za co? Za ciężarówki. Jedna ciężarówka za każdą setkę Żydów. Naziści mieli zburzyć komory gazowe i natychmiast zaprzestać ludobójstwa, a wszystko dlatego, że brakowało im ciężarówek w wojnie z Rosjanami. Żydzi byli na sprzedaż – ale nikt nie chciał ich kupić! Roosevelt i Churchill powiedzieli nie, nie sprzedamy duszy diabłu. Słowa przychodzą bardzo łatwo, prawda? Mogli uratować milion europejskich Żydów, ale nie. Niektórzy z żydowskich przywódców bardzo chcieli ten układ zawrzeć, bardzo

napierali... Widzi pan? Chce pan rozmawiać o moralności, a to wcale nie takie proste. Dzisiaj łatwo jest mówić o czystych rękach – dodał z goryczą. – Ale gdyby ktoś ich kiedyś nie pobrudził, na pewno by pan tu nie siedział. Żyje pan, ponieważ pański ojciec zawarł moralnie dwuznaczny układ, żeby ratować rodzinie życie.

Benowi stanął przed oczami obraz ojca w Bedford – obraz starego, wątlego człowieka. Jednocześnie wciąż widział młodego, dziarskiego mężczyznę z czarno-białego zdjęcia na tle gór. Ile musiał przeżyć, żeby to wszystko przetrwać? Ben nie mógł sobie tego wyobrazić. I dlatego ukrywał przed nimi swoją przeszłość? Ale czy tylko dlatego?

–Tak – powiedział – ale z tego dokumentu wynika, że należał do SS, że...

–Moim zdaniem to czysta fikcja.

–Jak to?

–Dużo pan o nim wie?

Dobre pytanie, pomyślał Ben.

–Wygląda na to, że z dnia na dzień coraz mniej. – Potężny, wzbudzający przestрах Max Hartman, który z hardością rzymskiego gladiatora przewodniczy naradzie zarządu. Max Hartman, który podrzuca sześciolatniego Bena, wysoko do góry. Tajemniczy i nieprzenikniony Max Hartman, który czyta przy śniadaniu „Financial Timesa”...

Jak bardzo chciałem zdobyć jego miłość i szacunek! Jak bardzo cieszyłem się jego rzadkimi pochwałami.

Człowiek enigma. Tak, zawsze był człowiekiem enigmą.

–Mogę powiedzieć panu tylko tyle – ciągnął beznamyślnie Sonnenfeld.

–Już jako młodzieniec pański ojciec był legendą wśród niemieckiej finansjery. Powiadano, że jest geniuszem. Ale był też Żydem. Na początku wojny zaczęto nas wywozić, ale jemu zaproponowano posadę w Reichsbanku. Miał opracować system, skomplikowany schemat, dzięki któremu naziści mogliby obejść alianckie blokady bankowe. Jako przykrywkę nadano mu stopień Obersturmführera SS.

–A więc w pewnym sensie im pomagał... – skonstatował apatycznie Ben. Chociaż od dawna się tego spodziewał, poczuł, że ma w żołądku ciężką gulę.

–Niestety. Na pewno nie bez powodu. Hitlerowcy nalegali, nie miał wyboru. Przypuszczam, że niejako automatycznie wciągnięto go do Sigmy.

–Zamilkł i przyjrzał mu się uważnie. – Hmm, widzę, że odcienie szarości dla pana nie istnieją.

–Dziwne słowa jak na słynnego tropiciela nazistów.

–To metka, którą przypięli mi żurnaliści. Walczę o sprawiedliwość, a walcząc o nią, trzeba odróżniać wybaczalne od niewybaczalnego, grzech powszechny od śmiertelnego. Proszę pamiętać: cierpienie nigdy nie uczyniło nikogo lepszym.

Pokój zawirował. Ben objął się wpół i głęboko odetchnął. Czekał na chwilę wewnętrznego spokoju, pragnął choć przez chwilę trzeźwo pomyśleć.

I znowu stanął mu przed oczami obraz ojca. Siedział w swoim ulubionym fotelu, słuchając *Don Giovanniego* Mozarta. Robił to bardzo często: po kolacji zaszywał się w gabinecie, gasił światło i puszczał tę płytę. Jak bardzo musiał być samotny, jak

bardzo musiał się bać, że jego straszna przeszłość wyjdzie kiedyś na jaw.

I nagle ogarnęła go dziwna czułość. Kochał mnie taką miłością, na jaką było go stać. Jak mogę nim za to pogardzać? Pomyślał, że Lenz zniechęcił swojego ojca nie dlatego, że pałał odrazą do nazizmu, tylko dlatego, że ojciec go porzucił.

–Proszę opowiedzieć mi o Strasserze – powiedział, zdając sobie sprawę, że tylko zmiana tematu może powstrzymać nagły zawrót głowy.

Sonnenfeld zamknął oczy.

–Strasser, doradca naukowy Hitlera... To nie był człowiek. To był genialny naukowiec. Pracował w I.G. Farben, wie pan, w tych słynnych nazistowskich zakładach przemysłowych. On i jego koledzy wynaleźli nowy gaz w granulach, cyklon B. Potrzęsało się tymi granulami i zmieniały się w gaz. Prawdziwe czary! Wypróbowali go w łaźniach Auschwitz. Fantastyczny wynalazek. Gaz zbierał się na dole, a ponieważ ciągle go przybywało, ci wyżsi stawali na trupach tych niższych, żeby móc oddychać. Ale tak czy inaczej wszyscy umierali w ciągu czterech minut.

Sonnenfeld zamilkł, patrząc w dal. Ciszę przerywało jedynie tykanie zegara.

–Tak, był bardzo skuteczny. Trzeba podziękować za to doktorowi Strasserowi. A wie pan, że Allen Dulles, w latach pięćdziesiątych dyrektor waszej CIA, był adwokatem i zagorzałym obrońcą I.G. Farben? Tak, tak, to prawda.

Ben gdzieś o tym słyszał, lecz wciąż go to szokowało.

–A więc Strasser i Lenz byli w pewnym sensie współnikami.

–Tak. Dwóch najgenialniejszych i najpotworniejszych naukowców. Lenz przeprowadzał eksperymenty medyczne na dzieciach, na bliźniętach. Błyskotliwy naukowiec, znacznie wyprzedzał swoje czasy. Interesował się metabolizmem. Jednych malców głodził na śmierć, żeby obserwować, jak ich rozwój powoli ustaje, wreszcie zamiera. Innych *zamrażał*, żeby sprawdzić, jak ich organizm reaguje na niskie temperatury. Interesowały go również przypadki progerii, starości przedwczesnej. Straszna choroba. Badał wszystkie chorujące na nią dzieci... Uroczy człowiek. No i oczywiście bliski współpracownik najwyższego dowództwa. Ufali mu bardziej niż politykom. Ceniono go za „czystość charakteru”. Doktora Strassera naturalnie też. Jak wielu innych, Lenz wyjechał po wojnie do Buenos Aires. Był pan tam? Cudowne miasto. Naprawdę. Paryż Ameryki Południowej. Nic dziwnego, że wszyscy naziści chcieli tam mieszkać. Lenz tam zmarł.

–A Strasser?

–Może wdowa po Lenzu coś o nim wie, ale nie warto jej pytać. Nic nie powie.

–Wdowa po Lenzu? – Ben usiadł prosto. – Fakt, Jurgen Lenz wspomniał, że się tam przeprowadziła.

–Rozmawiał pan z nim?

–Tak. Jak rozumiem, pan też go zna.

–Jurgen Lenz... Bardzo skomplikowany przypadek. Wspomaga nas finansowo, ale muszę przyznać, że początkowo nie chciałem przyjmować od niego pieniędzy. Miałem duże opory. Naturalnie bez datków nigdy byśmy nie przetrwali. Ten kraj zawsze chronił nazistów, chroni ich po dziś dzień, dlatego nie dostaję od rządu żadnych dotacji. Ani centa! Czy pan wie, że od ponad dwudziestu lat nie postawiono

tu przed sądem ani jednego nazisty? Przez wiele lat byłem w Austrii wrogiem publicznym numer jeden. Ludzie pluli na mnie na ulicy. A Lenz? Cóż, myślałem, że pomaga nam, bo dręczy go poczucie winy, ale kiedy poznałem go osobiście, szybko zmieniłem zdanie. Ten człowiek chce czynić dobro i czyni je ze szczerego serca. Jest na przykład jedynym poręczycielem wiedeńskiej fundacji wspomagającej chorych na progerię. Pragnie naprawić to, co tak bestialsko wypaczył ojciec. Nie wolno przypisywać mu jego zbrodni.

Zbrodnie jego ojca: słowa te rozbrzmiewały Benowi w uszach jak echo. I zbrodnie Maksa Hartmana. On i Lenz byli w tej samej sytuacji. Niesamowite.

–Prorok Jeremiasz pyta: „Ojcowie jedli kwaśne grona, a zęby synów ścierpły?” Ezechiel zaś powiada: „Syn nie poniesie kary za winę ojca ani ojciec nie poniesie kary za winę syna”. To bardzo proste.

Ben długo milczał.

–Więc mówi pan, że Strasser jeszcze żyje?

–Może żyje, może już umarł – odrzekł szybko Sonnenfeld. – Z tymi staruszkami nigdy nic nie wiadomo. Nie udało mi się tego ustalić.

–Musi pan mieć jego akta...

–Niech pan przestanie. Czyżby myślał pan jak ci fantaści? Że jak znajdzie pan tego potwora, to on wszystko panu wyśpiewa? Jak jakiś dobry duszek? Od lat nachodzą mnie młodzi, mściwi fanatycy, którzy chcą uśmierzyć gnębiący ich niepokój krwią tego czy innego zbrodniarza. To szczeniacka zabawa, a jej skutki są oplakane, i to dla wszystkich. Przekonał mnie pan, że nie należy pan do nich. Argentyna jest daleko i wierzę, że ta bestia nie żyje.

Do gabinetu weszła młoda kobieta, która otworzyła Benowi drzwi, i Sonnenfeld zamienił z nią półgłosem kilka słów.

–Niestety, to ważny telefon – powiedział przepraszająco. – Muszę odebrać. – Wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Ben popatrzył na wielkie, szare szafy. Gdy spytał, czy Strasser jeszcze żyje, starzec wyraźnie unikał odpowiedzi. Czyżby coś przed nim ukrywał? Jeśli tak, to dlaczego?

Z jego zachowania wywnioskował, że rozmowa potrwa długo. Może na tyle długo, żeby szybko zajrzeć do akt. Pod wpływem nagłego impulsu wstał i podszedł do jednej z olbrzymich szaf: miała pięć dużych szuflad oznaczonych literami od R do S. Szuflady były zamknięte, ale kluczyk leżał na wierzchu; sezam to to nie jest, pomyślał Ben. Otworzył najniższą. Była zapchana pożółkłymi teczkami i rozsypującymi się ze starości papierami. Stefans. Sterngeld. Streitfeld...

STRASSER. Nazwisko wypisane brązowym, wypłowiałym już atramentem. Wyjął teczkę i nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Szuflady tuż obok, te oznaczone literami od K do M. Były tam akta Gerharda Lenza, lecz Gerhard Lenz go nie interesował. Chciał zajrzeć do akt jego żony.

Teczka tkwiła między innymi teczkami i za nic nie chciała wyjść. Wtem usłyszał czyjeś kroki. Sonnenfeld. Wrócił szybko, o wiele za szybko! Ben szarpnął, pociągnął, poruszał teczką na boki i... Nareszcie. Wstał, zdjął z krzesła kurtkę, wsunął pod nią

pożółkłe akta i usiadł w chwili, gdy do gabinetu wszedł Sonnenfeld.

–Starcom nie zakłóca się spokoju – powiedział. – To niebezpieczne. Pewnie myśli pan, że są już bezzębni, skurczeni i zaszuszeni. Na pewno są. Ale nawet dzisiaj otacza ich sieć potężnych sprzymierzeńców. Zwłaszcza tam, w Ameryce Południowej, gdzie królują lojaliści. Jak choćby te zbiry z *Kamaradenwerk*. Chronią ich, jak dzikie zwierzęta starych, osłabionych członków stada. Jeśli muszą, zabijają, i to bez wahania.

–W Buenos Aires?

–Tam przede wszystkim. Tam są najpotężniejsi. – Sonnenfeld robił wrażenie znużonego. – Dlatego nie radzę tam jechać i rozpytywać o starych Niemców. Chwiejnie wstał.

–Sam pan widzi: nawet teraz, w dzisiejszych czasach wszędzie chodzę z ochroniarzem. To niewiele, ale na nic więcej nas nie stać.

–Mimo to mieszka pan w mieście, gdzie nie lubią rozgrzebywać przeszłości – odrzekł Ben.

Sonnenfeld położył mu rękę na ramieniu.

–Cóż, jeśli prowadzi się badania nad malarią, trzeba mieszkać na bagnach, prawda?

Julian Bennett, zastępca dyrektora do spraw operacyjnych NSA, i Joel Skolnik, zastępca dyrektora Departamentu Sprawiedliwości, siedzieli naprzeciwko siebie w małej jadalni w kwaterze głównej NSA w Fort Mead. Chociaż kościsty i łysiejący już Skolnik zajmował wyższe stanowisko służbowe, Bennett zachowywał się przy nim wyniośle i apodyktycznie. Dzięki wyrafinowanej strukturze organizacyjnej NSA, Krajowej Agencji Bezpieczeństwa, ludzie tacy jak on byli praktycznie poza kontrolą innych agencji rządowych, co prowokowało jawną arogancję.

Na talerzu Skolnika leżał przesmażony kotlet cielęcy i porcja gotowanego na parze szpinaku. Skolnik prawie nie tknął jedzenia. Już dawno stracił apetyt. Bał się Bennetta. Wiedział, że jego układność to tylko pozory, że pod cienką warstwą towarzyskiej ogłady kryje się coś zupełnie innego. To, co mówił, było bardzo niepokojące.

–Kiepsko to wygląda – powtórzył Bennett po raz trzeci. Miał małe, szeroko rozstawione oczy, jasne brwi i był podobny do wieprza. – Możesz się na tym przejechać.

–Wiem.

–Miałeś tego dopilnować. – Jego talerz był czysty. Bennett pożarł swój stek kilkoma wielkimi kęsami i widać było, że należy do ludzi, dla których jedzenie jest tylko niezbędnym paliwem. – Tymczasem sytuacja jest coraz bardziej alarmująca.

–Zdaję sobie z tego sprawę. – Zabrzmiało to zbyt ulegle, zbyt usłużnie, nawet strachliwie. Skolnik wiedział, że okazywanie strachu przed ludźmi pokroju Bennetta jest błędem. Czyjś strach działał na nich jak krew na reki na.

–Lekceważenie spraw bezpieczeństwa narodowego, jakie wykazali twoi ludzie, kompromituje nas wszystkich. Czytam raporty i nie wiem, śmiać się, czy płakać. Po cholere wyważać frontowe drzwi, skoro kuchenne są otwarte na oścież?

–Nie przesadzajmy, dekonspiracja nam jeszcze nie grozi -odparł sztywno Skolnik. Nawet on usłyszał w tych słowach nutkę rozpaczliwej bezradności.

–Zapewnij mnie, że ta zgnilizna się nie rozszerzy, że Navarro nie przysporzy nam więcej kłopotów. – Bennett nachylił się i gestem na wpół poufałym, na wpół złowieszczym poklepał go po ramieniu. – Że wykorzystasz wszystkie dostępne środki, żeby ją tu ściągnąć.

Skolnik z trudem przełknął ślinę.

–To oczywiste – odrzekł.

Mężczyzna machnął pistoletem.

–A teraz wstań.

–Nic z tego – odparł Hoffman. – Nie przytknę palca, nie włączę komputera. Lepiej stąd wyjdź, zanim zdarzy się coś, czego później będziesz żałował. – to nigdy niczego nie żałuję – odrzekł przyjaźnie mężczyzna. – Wstań.

Detektyw niechętnie wstał.

–Powtarzam... Intruz podszedł bliżej.

–Powtarzam, jeśli mnie zabijesz...

–Wcale nie muszę cię zabijać – przerwał mu łagodnie mężczyzna i błyskawicznie wyrzucił przed siebie wolną rękę.

Błysnęła stal i w tej samej sekundzie Hoffman poczuł potworny ból. Spojrzał w dół. Zamiast palca wskazującego miał żaloszny kikut. Cięcie było doskonałe. Dokładnie pośrodku dużej, okrągłej rany u podstawy palca, tuż nad poduszką tłuszczową kciuka, tkwiła biała, równiutko przecięta kość. Zanim przeraźliwie krzyknął, zdążył jeszcze zauważyć ostry jak brzytwa myśliwski nóż w ręku napastnika, a ułamek sekundy później z pełną oszołomienia fascynacją ujrzał swój palec, leżący na dywanie jak skrzydełko kurczaka, rzucone tam przez niechlujnego rzeźnika.

Zawył jak zwierzę, z przerażenia, niedowierzania, z niewypowiedzianego, niewiarygodnego wprost bólu.

–Boże! O mój Boże! O mój Boże!

Trevor schylił się po odcięty palec i podniósł go do góry. Z palca wciąż skapywała krew.

Rozdział 30

Zadzwoiła do Davida Denneena. – To ty? – spytał oschle, czujnie i bez zwykłej serdeczności w głosie. – W coś ty, do cholery, wdepnęła?

–Mów. Powiedz, co się dzieje.

–Obłąd. Podobno... – urwał.

–Co?

–Obłąd – powtórzył. – To czysta linia?

–Tak.

Chwila ciszy.

–Posłuchaj. Na polecenie departamentu jesteś pod pełną inwigilacją, kapujesz? P-47: kontrola korespondencji, podsłuch telefoniczny i tak dalej, i tak dalej.

–Chryste! Nie wierzę.

–To jeszcze nie koniec. Od dzisiaj podpasz pod dwanaście czterdzieści cztery: natychmiast zatrzymać i aresztować przy zastosowaniu wszelkich dostępnych środków. Jezu, nie wiem, co jest grane, ale podobno zagrażasz bezpieczeństwu narodowemu. Mówią, że od lat brałaś szmal od wrogich nam organizacji. Nie powinienem nawet z tobą rozmawiać.

–Co takiego?

–FBI znalazła w twoim mieszkaniu biżuterię. Pieniądze w różnych walutach. Kosztowne ubrania. Wyciągi z zagranicznych banków...

–To kłamstwo! – wybuchła. – To wszystko kłamstwo!

Zapadła długa chwila ciszy.

–Wiem. Wiedziałem. Ale cieszę się, że to mówisz. Ktoś robi ci koło pióra. Dlaczego?

–Dlaczego? – Zamknęła oczy. – Pewnie dlatego, żebym nie mogła na to wpaść, tak myślę.

Co się tu, u diabła, działo? Czyżby Yossi i Ostrow nagadali coś Bartlettowi? Miała do nich zadzwonić i nie zadzwoniła. Może Bartlett wkurzył się, że odkryli, czego dotyczy śledztwo, chociaż nie było w tym jej winy. Może dostał szału, że nie przekazała im Hartmana.

Nagle uświadomiła sobie, że ani Yossi, ani Ostrow nie wspomnieli o Hansie Voglerze, zabójcy ze Stasi. Czyżby Yossi nic o nim nie wiedział? Jeśli tak, czy znaczyło to, że najemnicy Mossadu nie mieli z nim nic wspólnego? Wyjęła wizytówkę Ostrowa i zadzwoniła. Włączyła się poczta głosowa. Nie. Postanowiła nie zostawiać żadnej wiadomości.

Może Jack Hampton będzie coś wiedział. Zadzwoniła pod jego domowy numer. Mieszkał w Chevy Chase.

–Jack – zaczęła – słyszałam, że...

–Jezu Chryste, nie mów, że to ty – przerwał jej nerwowo Hampton. – Nie mów, że celowo narażasz na niebezpieczeństwo swoich najlepszych kumpli. Chcesz, żeby wywalili mnie z roboty?

–Twój telefon jest na podsłuchu?

–Mój? Nie. Absolutnie. Sam sprawdzałem.

–W takim razie nic ci nie grozi. Mój też jest czysty. Nikt do niczego nie dojdzie.

–Powiedzmy – odrzekł niepewnie Jack. – Mimo to mam dylemat. Moralny. Mówią, że przestępczyni z ciebie, i to jaka! Z tego, co słyszałem, Ma Baker i Mata Hari to przy tobie niewiniątka. A twoje suknie? Stroisz się ponoć jak Imelda Marcos.

–Bzdura, dobrze o tym wiesz.

–Może wiem, a może i nie wiem. Sumy, o jakich mówili, są cholernie kuszące. Kup sobie jakąś egzotyczną wysepkę. Różowiotki piasek, błękitne niebo. Codziennie nurkuj...

–Jack, do cholery!

–Dam ci radę. Nie bierz ruskich rubli i przestań wreszcie mordować tych szwajcarskich bankierów.

–Tak o mnie mówią? Że to ja?

–Między innymi. Między innymi, Anno. Powiem tak: to największa rozróżba od czasów Wen Ho Lee. Ale szczerze mówiąc, trochę przeginają. Ciągłe zadaję sobie jedno pytanie: kto miałby tyle szmalu na zbyciu? Ruscy są tak biedni, że większość ich naukowców, tych od rakiet i bomb, robi za taksiarzy w Nowym Jorku. A Chiny? Twarda waluta i Chiny? A może Zambia? Tak, Zambia i broń nuklearna. Na pewno, to jest to. Bez jaj, panowie, bez jaj. No dobra – dodał łagodniej. – Po co dzwonicz? Chcesz opchnąć Chińczykom nasze kody atomowe? Nie ma sprawy, daj mi tylko numer faksu.

–Przestań.

–Spokojnie, ja cię tylko podrywam – droczył się z nią Hampton.

–Pieprz się, Jack. Posłuchaj, zanim się to wszystko rozpełtało, rozmawiałam z twoim kumplem, z Philem Ostrowem...

–Z Ostrowem? – powtórzył czujnie Jack. – Gdzie?

–W Wiedniu.

–Co ty mi za kit wciskasz? – wybuchnął.

–Zaraz, chwila, nie rozumiem. Jaki kit?

Hampton był wyraźnie zbity z tropy

–Kto tu kogo podpuszcza? Ty mnie, czy ktoś ciebie?

–Dlaczego? – spytała z wahaniem. – Bo jego w Wiedniu... nie ma?

–On jest na O-15.

–Gdzie?

–Na zwolnieniu. Oficjalnie pracuje, nieoficjalnie choruje. To taki chwyt, żeby oszukać naszych odwiecznych wrogów. Diaboliczne, nie?

–Choruje?

–Od kilku miesięcy. Depresja i tak dalej. Kilka razy porządnie mu odwaliło, a ostatnio świrował aż miło. Wysłali go do szpitala, do Walter Reed.

–I wciąż tam jest? – Anna poczuła, że cierpnie jej skóra na głowie.

Z trudem stłumiła narastający lęk.

–Niestety. Leży na oddziale, gdzie wszystkie pielęgniarki mają specjalne przepustki. Smutne to, ale prawdziwe.

–A gdybym ci powiedziała, że Ostrow to krępy, blady szatyn w okularach w

drucianej oprawce?

–To kazałbym ci odstawić prochy. Ostrow wygląda jak podstarzały surfer. To wysoki, szczupły blondyn.

Ponownie zamilkli.

–Anno – spytał w końcu Hampton. – Co się, do diabła, z tobą dzieje?

Rozdział 31

Wstrząśnięta usiadła na łóżku. – Coś nie tak? – spytał Ben. – Nie mogę o tym mówić.

–Jeśli dotyczy to tego, nad czym pracujemy...

–Nie, nie dotyczy. Co za sukinsyny!

–Co się stało?

–Chryste! – wykrzyknęła. – Daj mi pomyśleć!

–Proszę bardzo. – Zirytowany wyjął z kieszeni telefon.

Nic dziwnego, że rzekomy Phil Ostrow zadzwonił w środku nocy, myślała. Było bardzo późno i nie mogła zadzwonić do ambasady, żeby sprawdzić, czy to naprawdę on. Ale w takim razie z kim się tam spotkała?

I czy na pewno spotkała się z nimi w siedzibie miejscowego przedstawicielstwa CIA?

Kim ci ludzie byli?

Słyszała, jak Ben rozmawia z kimś po francusku. Mówił bardzo szybko, potem zamilkł i przez chwilę uważnie słuchał.

–Oscar, jesteś geniuszem. – Rozłączył się i wystukał kolejny numer. – Z Megan Crosby poproszę.

„Phil Ostrow”. Oszust? Oszust i fenomenalny aktor. Tylko po co to robił? A „Yossi”? Ten mógł być rodowitym Izraelczykiem, ale cholera go wie. Na Bliskim Wschodzie jest dużo innych krajów i mógł pochodzić z każdego z nich.

–Megan? Tu Ben.

Kim ci ludzie byli?

Wyjęła telefon i jeszcze raz zadzwoniła do Hamptona.

–Jack, daj mi numer waszej wiedeńskiej komórki.

–A co ja jestem? Biuro numerów?

–Siedzicie w budynku naprzeciwko wydziału konsularnego, tak?

–Nie, w ambasadzie.

–W aneksie po drugiej stronie ulicy, tak? W biurze radcy handlowego.

–W jakim aneksie, co ty chrzanisz? Poza ambasadą nie mamy żadnych innych biur. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Poczuła, że ogarnia ją coraz większa panika. Jeśli nie spotkała się z nimi w siedzibie CIA, to gdzie? Recepcja, sekretarka, sala konferencyjna – wszystko się zgadzało, każdy szczegół. Może zgadzało się aż za bardzo? Może było aż za bardzo przekonujące?

–Żartujesz – powiedział Ben. – Jezu, szybka jesteś.

Kto próbował nią manipulować? I po co? Najwyraźniej ktoś, kto wiedział, że jest w Wiedniu, że prowadzi dochodzenie. Ktoś, kto wiedział, w którym mieszka hotelu.

Jeśli „Ostrow” nie był prawdziwym Ostrowem, jego historyjka o Mossadzie musiała być wyssaną z palca. Padłam ofiarą wyrafinowanego oszustwa, pomyślała. Zamierzali uprowadzić Hartmana, a ja miałam im go podać jak na tacy.

Była oszołomiona i zagubiona.

Odtworzyła w myśli wszystkie wydarzenia od chwili telefonu fałszywego Ostrowa

do chwili spotkania z nim i z „Yossim”. Kant. Zmysłny podstęp. Jak to możliwe?

–Zaczekaj – mówił Ben – muszę to zapisać. Bomba. Świetna robota, Megan.

Znakomita.

A więc historyjka o Mossadzie, te wszystkie nieudokumentowane plotki i pogłoski, to czysty wymysł? Bajeczka dla grzecznych dzieci, poprzetykana skrawkami w miarę wiarygodnych informacji? Boże święty, w takim razie, ile z tego, co wiedziała, było prawdą?

Kto próbował wprowadzić ją w błąd? I w jakim celu?

Prawda. Boże, gdzie leżała prawda?

–Ben.

Podniósł palec, każąc jej poczekać, powiedział coś szybko do telefonu i zamknął klapkę.

Nagle zmieniła zdanie i postanowiła niczego mu nie zdradzać. Nie, jeszcze nie teraz.

–Dowiedziałeś się czegoś od Sonnenfelda?

Streścił jej przebieg rozmowy. Przerywała mu od czasu do czasu, żeby lepiej zrozumieć jakiś szczegół czy poprosić o dokładniejsze wyjaśnienia.

–A więc wychodzi na to, że twój ojciec nie był nazistą.

–On twierdzi, że nie.

–I nic o tej Sigmie nie wie? Nie ma żadnych przeczuć czy podejrzeń?

–Nie. Poza tym mówił bardzo mętnie. A o Stasserze nie chciał chyba rozmawiać.

–A na temat śmierci twojego brata? Mówił coś?

–Nie, ale wiem na pewno, że zabito go ze strachu przed zdemaskowaniem. Że zamordował go ktoś, kto bał się ujawnienia tych nazwisk.

–Albo tego, że Sigma naprawdę istniała. Ten ktoś musi mieć olbrzymie pieniądze. Co z kolei oznacza, że ci starcy... – nagle urwała. – No jasne! Forsa! Te wyprane pieniądze! Ich splanano, rozumiesz? Splanali ich ktoś, kto teraz tą Sigmą kieruje, komu pomagali ją założyć.

–Albo ich splanali – dodał Ben – to znaczy, próbował przekupić, albo wysyłał im prowizje, udziały w zyskach.

Anna wstała.

–Wystarczy wyeliminować odbiorców i koniec z przelewami. Koniec z wypłatami dla bandy trzęsących się staruszków. Ten, kto ich zamordował, chciał zyskać na tym finansowo. Tak, na pewno. Ktoś taki jak Strasser. Albo choćby twój ojciec. – Popatrzyła mu w oczy. Nie, tej możliwości też nie mogła wykluczyć. Nawet jeśli Ben nie chciał brać jej pod uwagę. Jego ojciec mógł być mordercą: mógł mieć na rękach krew, mógł te zabójstwa zlecać.

Ale jak wytłumaczyć to wyrafinowane oszustwo rzekomego Ostrowa? Czyżby współdziałał ze spadkobiercami jakiejś dobrze zakamuflowanej fortuny?

–Teoretycznie tak – odrzekł Ben. – Ale ja w to nie wierzę.

–Dlaczego? – spytała ostrożnie, nie wiedząc, jak daleko może się posunąć.

–Bo on ma tyle pieniędzy, że nie wie, co z nimi robić. W interesach jest nieugięty i bezkompromisowy, to prawda. Może nawet kłamać, ale po rozmowie z Sonnenfeldem

dochodzę do wniosku, że nie jest człowiekiem z gruntu złym.

Wątpiła, czy Ben coś przed nią ukrywa, ale na pewno patrzył na to przez pryzmat synowskiej lojalności. Tak, był człowiekiem bardzo lojalnym – to cecha godna podziwu, lecz czasami bywa i tak, że lojalność przesłania prawdę.

–Nie rozumiem czegoś innego – kontynuował. – Ci ludzie są starzy i schorowani. Po co zawracać sobie głowę wynajmowaniem zabójców? Po cholere ryzykować? Ja bym spokojnie poczekał, i już.

–Chyba, że bałbyś się, że któryś z nich zacznie sypać. Że wyjawi, na czym polega wasz układ.

–Jeśli milczeli przez pół wieku, dlaczego mieliby nagle sypać właśnie teraz?

–Może władze dowiedziały się o tej liście i zagroziły im sankcjami. A może Sigma przechodzi jakąś transformację, nie wiem. Możliwe, że jej szefostwo uważa, że jest teraz szczególnie podatna na próby penetracji.

–Same domysły. Nic tylko domysły. Potrzeba nam faktów.

Anna zamilkła.

–Z kim rozmawiałeś przez telefon?

–Teraz? Z dziewczyną, która kilka razy dla nas pracowała. Namierzyła ten Vortex. Dowiedziała się ciekawych rzeczy.

–Tak?

–Jej jedynym właścicielem jest Armakon AG. Austriacka spółka chemiczno-technologiczna, europejski gigant.

–Austriacka spółka... Interesujące.

–Wielkie firmy technologiczne często wykupują początkujące maleństwa, żeby przejąć ich prawa do wynalazków, nad którymi same pracują, to powszechne. I jeszcze coś. – Zawiesił głos. – Mój przyjaciel z Kajmanów wytropił kilka przelewów. Tych przelewów... – dodał znacząco.

Jezu. A jej ludzie wciąż walili głową w mur. Z trudem ukryła podniecenie.

–Mów.

–Pieniądze wysłała firma zarejestrowana na Channel Islands kilka sekund po tym, jak przyszły do nich z Liechtensteinu, z *Anstaltu*, spółki handlującej akcjami na okaziciela. *Anstalt* to ślepy zaułek. Nie dojdiesz, kto za tym stoi.

–Jak to? Nie wiadomo, kto jest jej właścicielem? Przecież musi być gdzieś zarejestrowana.

–Na tym właśnie polega cały trick. *Anstaltami* zarządzają agenci, najczęściej prawnicy. Te firmy istnieją tylko na papierze, rozumiesz? Jeden agent z Liechtensteinu może zarządzać tysiącami takich spółek.

–I co? Ten twój przyjaciel zdobył jego nazwisko?

–Tak, ale kłopot w tym, że żaden agent nie zdradzi danych na temat swoich *Anstaltów*, chyba że na torturach. Dyskrecja przede wszystkim: na raziliby na szwank swoją reputację. Ale mój kumpel już nad tym pracuje.

Anna posłała mu uśmiech. Ben z każdą chwilą rósł w jej oczach. Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę.

–Navarro, słucham.

–Anna? Mówi Walter Heisler. Mam dla ciebie te wyniki.

–Wyniki?

–No wiesz, badań pistoletu tego bandyty sprzed domu Lenzów w Hiet-zing.

Prosiłaś, żebyśmy zdjęli odciski palców. Wysłaliśmy je do Interpolu. To niejaki Hans Vogler, były agent Stasi. Facet nie nosi rękawiczek. Nie wiem, może nigdy nie pudłuje albo myśli, że zawsze nam zwieje.

Heisler nie powiedział jej nic nowego, mimo to odciski palców były ważnym dowodem rzeczowym.

–Fantastycznie. Walterze, muszę prosić cię o jeszcze jedną przysługę...

–Nie jesteś zaskoczona? – zachnął się Heisler. – To były agent Stasi, rozumiesz?

Agent wschodnioniemieckich służb wywiadowczych.

–Tak, Walterze, rozumiem i bardzo ci dziękuję. To imponujące, na prawdę. – Znowu była zbyt oschła, zbyt rzeczowa, więc spróbowała go rozbroić. – Jestem ci niezmiernie wdzięczna, ale miałabym małą prośbę...

–Tak? – spytał ze znużeniem w głosie.

–Chwileczkę. – Zasłoniła słuchawkę. – Ben, Hoffinan się odezwał?

–Nie. To dziwne.

Anna odchrząknęła.

–Walterze, czy mógłbyś dowiedzieć się czegoś o prywatnym detektywie nazwiskiem Hans Hoffman? Mieszka w Wiedniu. Hans Hoffman.

Heisler długo się nie odzywał. – Halo?

–Tak, jestem. Dlaczego o niego pytasz?

Musiała szybko wymyślić jakiś pretekst.

–Potrzebuję pomocy kogoś z zewnątrz. Podano mi jego nazwisko, więc...

–Chyba będziesz musiała poszukać kogoś innego.

–Dlaczego?

–Godzinę temu zadzwoniła do nas współpracowniczka detektywa o takim nazwisku. Przyszła do pracy i znalazła jego zwłoki. Miał dziurę w głowie. Strzał z przyłożenia. I ciekawa rzecz: odcięto mu palec wskazujący. Myślisz, że to ten sam Hoffman?

Ben wytrzeszczył oczy z niedowierzania, kiedy mu o tym opowiedziała.

–Chryste, cokolwiek zrobimy, zawsze są krok za nami – wymamrotał.

–Może raczej krok przed nami.

Długo masował sobie skronie.

–Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem...

–To znaczy?

–Sigma zabija swoich, to oczywiste. Ci ludzie, ci z twojej listy, są ich wrogami, tak samo jak ja. Można zauważyć wyraźny wzór: przerażeni starcy ukrywają się i zmieniają nazwisko, a wszystko to w jesieni życia. Oni wiedzą, oni muszą wiedzieć, co się dzieje. Dlatego naszą jedyną nadzieją jest nawiązanie kontaktu z kimś, kto jeszcze żyje i może mówić. Z kimś, kto będzie miał coś wspólnego ze mną, kto okaże mi współczucie, kto zechce mi pomóc ze względu na własne bezpieczeństwo.

Anna wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

–Pod warunkiem, że któryś z nich jeszcze żyje.

Długo patrzył na nią bez słowa i z wahaniem w oczach. Czuła, że bardzo chce jej zaufać, że chce jej zaufać równie mocno jak ona jemu.

–Coś mi mówi – odrzekł cicho i niepewnie – że co najmniej jeden z nich wciąż żyje. To tylko domysł, ale niebezpieczny.

–Kto? – spytała.

–Francuz nazwiskiem Georges Chardin.

Powoli kiwnęła głową.

–Georges Chardin... Widziałam to nazwisko na liście Sigmy. Ale on nie żyje, i to już od czterech lat.

–Tak, ale fakt, że znalazł się na liście, oznacza, że Allen Dulles go z jakichś powodów prześwietlił i zatwierdził.

–W latach pięćdziesiątych, Ben, w latach pięćdziesiątych. Pamiętaj, że większość z tych ludzi od dawna nie żyje. Skupiałam się wyłącznie na tych, którzy padli ofiarą ostatnich zabójstw, i na tych, którym to groziło. Chardin nie podpada ani pod jedną kategorię, ani pod drugą. Poza tym nie należał do grupy założycielskiej, nie figuruje na twojej liście. – Jej lista zawierała więcej nazwisk niż lista Bena. Spojrzała mu prosto w oczy. – Skąd wiedziałeś o Chardinie? Coś przede mną ukrywasz?

Pokręcił głową.

–Nie mamy czasu na podchody – drażyla. – Dla mnie to tylko nazwisko. Nikt znany, nikt, o kim byłoby kiedyś głośno. Dlaczego właśnie on?

–Dlatego, że miał znanego szefa – odrzekł Ben – legendarnego przemysłowca, człowieka, który jest na zdjęciu założycieli Sigmy. To Emil Menard, swego czasu tytan wśród tytanów. W czterdziestym piątym był już wiekowym starcem. Od dawna nie żyje.

–O nim słyszałam. Założył Trianon, pierwszy nowoczesny holding czy coś w tym rodzaju, tak?

–Tak. Trianon to petrochemiczny gigant, jedno z największych imperiów przemysłowych we Francji. Schlumberger to przy nim ubogi krewny.

–Dobrze. Więc ten Georges Chardin pracował dla Menarda?

–Pracował? On za niego oddychał. Był jego najbardziej zaufanym porucznikiem, adiutantem, powiernikiem, wszystkim, czym tylko chcesz. Był jego prawą ręką, i to dosłownie. Menard zatrudnił go w 1950 roku. Chardin miał wtedy zaledwie dwadzieścia lat, ale już kilka lat później ten nieopierzony żółtodziób zrewolucjonizował sposób naliczania kapitału, wprowadził wyrafinowany system kalkulacji zysku z inwestycji, zrestrukturyzował całą firmę. Wyprzedził czas. Wielka postać.

–Może w twoim świecie.

–Fakt. Powiem krótko: Menard bezgranicznie mu ufał, wprowadził go we wszystkie tajemnice przedsiębiorstwa. Od 1950 roku praktycznie się z nim nie rozstawał. Powiadają, że Chardin znał na pamięć wszystkie księgi rachunkowe, że był jak chodzący komputer. – Ben wyjął poźółtkę zdjęcie założycieli Sigmy, położył je przed Anną i wskazał palcem. – Co widzisz?

–No.-... Menarda. Szczerze mówiąc, kiepsko tu wygląda.

–Właśnie. Był już ciężko chory. Przez ostatnie dziesięć lat życia walczył z rakiem, ale do samego końca zachował niewiarygodną jasność umysłu. Umierał z niezachwianym przekonaniem, że dzięki młodemu, genialne mu *Directeur General du Department des Finance* jego korporacji nic nie grozi, że będzie się nadal rozwijała i rosła w siłę.

–Chcesz powiedzieć, że Menard powierzył mu również tajemnicę Sigmy?

–Jestem tego pewien."

Chardin cały czas stał w jego cieniu. Ale i chodził za nim jak cień. To niewyobrażalne, żeby nie wiedział o Sigmie, nie znał jej celów i metod działania. Zresztą spójrz na to z punktu widzenia jej założycieli: bez względu na to, co tak naprawdę chcieli osiągnąć, musieli werbować nowych członków, inaczej by nie przetrwali. Nie, nie, jestem pewien, że Chardin odegrał w tym wszystkim znaczącą rolę, że dopuszczono go nawet do największych tajemnic. Menard na pewno się o to postarał.

–Dobrze, już dobrze, przekonałeś mnie – przerwała mu niecierpliwie Anna. – Tylko co z tego? On już nie żyje. Myślisz, że zostawił jakieś akta czy dokumenty?

–Tak, Chardin już nie żyje: podobno. Miał umrzeć cztery lata temu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy mój brat sfingował swoją śmierć. A jeśli zrobił to samo co Peter? Jeśli postanowił zniknąć? Jeśli uciekł i ukrył się przed kimś, kto go ścigał?

–Przestań, Ben, przeginasz. To tylko domysły, pochopne wnioski.

–Według twojej listy – ciągnął cierpliwie Ben – Chardin zginął w pożarze, prawda? „Zwłoki zwęglone do stopnia uniemożliwiającego identyfikację”? Skąd ja to znam? O nie, drugi raz nie dam się nabrać. Posłuchaj! – syknął, widząc jej sceptyczną minę. – Tych starców zamordowano dlatego, że zagrażali założycielom Sigmy, ich następcom czy tym, którzy nią dzisiaj kierują. To twoje słowa. Pomyślmy. Dlaczego uznano, że grupa wiekowych staruszków śmiertelnie komuś zagraża? – Wstał i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. – Widzisz, od samego początku wychodziłem z błędnego założenia, od samego początku myślałem, że Sigma to tylko fasada, parawan, fikcja, coś, co nigdy naprawdę nie istniało.

–Jak to?

–Przecież to takie oczywiste! Weźmy choćby Wall Street. Mógłbym ci podać setki przykładów. W 1992 roku pewien facet wykiwał swojego rywala i został dyrektorem naczelnym Time Warner. Wiesz, co zrobił, gdy tylko zasiadł w nowym fotelu? Totalną czystkę: usunął z zarządu swoich wrogów. To normalne. Kładziesz łapę na firmie i natychmiast pozbywasz się przeciwników!

–Ale on ich chyba nie wymordował, co? – zauważyła cierpko Anna.

–Ci z Wall Street mają inne sposoby i techniki. – Ben wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. – Ale rzecz sprowadza się do tego samego. Nagłe zmiany w kierownictwie zawsze pociągają za sobą czystkę.

–Chcesz powiedzieć, że w Sigmie też doszło do „nagłych zmian w kierownictwie”?

–Otóż to. I do czystki w szeregach starych, nie wiem, może zbuntowanych członków zarządu.

–Rossignol, Mailhot, Prosperi: twierdzisz, że zostali zlikwidowani, bo nowe kierownictwo uznało ich za wrogów?

–Coś w tym rodzaju. Ale Georges Chardin był geniuszem. Przewidział to i zniknął.

–Powiedzmy. Widzę, że spekulujemy na całego.

–Niezupełnie – odrzekł cicho Ben. Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. – Kierując się dawno sprawdzoną zasadą: „Zawsze podążaj tropem pieniędzy”, wynająłem francuskiego detektywa. Nazywa się Oscar Peyauld i mieszka w Paryżu. Nasza firma wielokrotnie go zatrudniała i za każdym razem zdumiewał nas szybkością i rezultatami swojej pracy. No i wysokością honorarium, ale to już inna sprawa.

–Dzięki, że informujesz mnie na bieżąco o swoich poczynaniach – odrzekła z sarkazmem Anna. – Nie ma to jak szczyry współpracownik.

–Posłuchaj. Nie da się żyć bez pieniędzy, prawda? Dlatego pomyślałem: a gdyby tak wytropić zarządcę majątku Chardina, sprawdzić, co zostawił, jaki ma do tego dostęp? – Wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru. – Godzinę temu dostałem to od Oscara.

Kartka była niemal czysta. Widniał na niej tylko krótki adres:

Rogier Chabot

1554 rue des Vignoles

Paris20

Anna spojrzała na niego zaskoczona i podekscytowana. – Chabot?

–Daję głowę, że to Chardin. Mamy go. Musimy tylko dotrzeć tam, zanim uprzedzi nas Sigma.

Godzinę później na biurku Heislera zadzwonił telefon. Dwa krótkie dzwonki: linia wewnętrzna. Heisler zaciągnął się dymem – kończył właśnie trzecią tego dnia paczkę papierosów – podniósł słuchawkę, odczekał kilka sekund i rzucił:

–Heisler.

Dzwonił technik z małego pomieszczenia na czwartym piętrze.

–Dostał pan komunikat w sprawie tej Navarro?

–Jaki komunikat? – Heisler wypuścił nosem kłęb ciepłego dymu.

–Właśnie przyszedł.

–Pewnie leży jeszcze w rozdzielni. – Rozdzielnia Sicherheitsburo, która pracowała z szybkością i wydajnością typową dla krajów Trzeciego Świata, była przekleństwem jego życia. – Dobra, powiedz mi, co się stało, czy znowu mam włączyć radio? – Zawsze tak narzekał, ale nie bez przyczyny. Kiedyś naprawdę namierzył uciekiniera dzięki audycji nadawanej przez jedną z miejscowych rozgłośni radiowych; biuletyn informacyjny gdzieś zaginął i znalazł się dopiero po fakcie.

–Wygląda na to, że to oszustka. Wykorzystała nas. Amerykanie wystawili na nią nakaz aresztowania. To nie moja działka, ale pomyślałem sobie, że ktoś powinien pana uprzedzić.

–Chryste! – jęknął Heisler. Papieros wpadł mu do kubka z kawą i z sykiem zgasł. – Niech to szlag! Żenada, co za kurewska żenada...

–Niekoniecznie – wtrącił ostrożnie technik. – Gdyby tak aresztował ją pan i przekazał Amerykanom...

–Zwalniam pokój numer 1423 – powiedziała Anna, kładąc na czarnej, granitowej ladzie dwa elektroniczne klucze.

Recepcjonista był dziwnie zafrasowany.

–Jedną chwileczkę. Prosiłbym panią o podpis. To już końcowy rachunek, *ja!* - Miał czterdzieści kilka lat, lekko zapadnięte policzki i ciemno blond włosy – ufarbowane? – zaczesane do przodu, mocno przylizane, jakby chciał się na siłę odmłodzić. Był w uniformie z brązowego syntetyku – uniform był nawet schludny, za to epolety trochę wystrzępione. Anna wyobraziła sobie nagle, jak facet wygląda po pracy: czarna, skórzana marynarka, odurzający zapach wody kolońskiej, nocny klub i koniecznie przyćmione światło, bo w zwykłym nie poleciałaby na niego żadna *schone Madchen*.

–Oczywiście – odrzekła.

–Mamy nadzieję, że miło spędziła pani u nas czas. – Wystukał na klawiaturze numer pokoju i spojrzał na nią, odsłaniając w uśmiechu wielkie żółte zęby. – Bardzo przepraszam. Muszę otworzyć plik, to chwilę potrwa. Mamy drobne kłopoty z systemem. Ach, te komputery... – Uśmiechnął się szeroko, jakby powiedział coś dowcipnego. – Są cudowne i oszczędzają dużo pracy, pod warunkiem że działają. Poproszę kierownika. – Podniósł słuchawkę i powiedział kilka słów po niemiecku.

–Co się dzieje? – spytał Ben.

–Mówi, że mają kłopoty z komputerem – wymamrotała Anna.

W drzwiach recepcji stanął niski, brzuchaty mężczyzna w krawacie i ciemnym garniturze.

–Przepraszam za to krótkie opóźnienie. – Zerknął na recepcjonistę, recepcjonista na niego. – Znowu się zawiesił. Ale zaraz naprawimy. Wszystko przez te telefony. Wydrukujemy rachunek i sprawdzi pani, czy wszystko w porządku. Nie chcielibyśmy obciążyć pani kosztami rozmów z 1422. To nowy system, jeszcze się nie dotarł. Nie ma to jak cuda nowoczesnej technologii.

Coś było nie tak, i to wcale nie z komputerem. Kierownik był jowialny, wylewny i wzbudzający zaufanie, ale chociaż w holu panował miły chłód, Anna zauważyła kropelki potu na jego czole.

–Serdecznie zapraszam do biura – powiedział. – Zaraz wszystko na prawimy. Usiądą państwo i spokojnie zaczekają. Tak będzie wygodniej, prawda? Państwo na lotnisko, tak? Mają państwo samochód? Jeśli nie, zaraz zamówimy, na koszt firmy oczywiście. Z przeprosinami za niedogodność.

–Bardzo dziękujemy – odrzekła Anna. Miała za sobą wiele lat pracy śledczej i dobrze знаła ten typ ludzi, którzy pod wpływem napięcia stawali się zbyt rozmowni. Kierownik miał zatrzymać ich w hotelu. Tyle wiedziała na pewno.

–Ależ nie ma za co, nie ma za co. Zapraszam na filiżankę kawy. Nikt nie parzy kawy tak dobrze jak wiedeńscy, prawda?

Miał ich zatrzymać, choć najpewniej nie poinformowano go dlaczego. Nie powiedziano mu również, czy są niebezpieczni. Zawiadomił już ochronę, lecz ochrona jeszcze nie nadjechała, w przeciwnym razie nie byłby taki zdenerwowany. Skróciła pobyt, wyprowadzała się z hotelu przed czasem, co oznaczało, że... Możliwością było kilka. Mogli ich na przykład dopiero co namierzyć. Ich? Czy tylko ją? A może tylko

jego, Bena? Tak czy inaczej, nie zdążyli się jeszcze przygotować.

–Nie, nie, dziękujemy – odrzekła. – Proszę się nie spieszyć i po prostu przysłać mi rachunek. To chyba nie kłopot, prawda?

–Naprawa potrwa tylko chwileczkę – nie ustępował kierownik. Uciekł wzrokiem w bok i zerknął na strażnika w holu.

Anna demonstracyjnie spojrzała na zegarek, potem na Bena.

–Twoi kuzyni będą się niepokoili – powiedziała. – Lepiej chodźmy.

Kierownik wyszedł zza lady i położył jej na ramieniu wilgotną rękę.

–Tylko kilka minut... – Cuchnął grillowanym serem i brylantyną.

–Zabierz pan tę łapę – warknęła ostrzegawczo Anna; Ben aż drgnął, słysząc nutę złowróźbnej groźby w jej głosie.

Zmierzał ku nim strażnik. Szedł szybko, długimi, sprężystymi krokami. Anna zarzuciła na ramię płócienną torbę i ruszyła do wyjścia.

–Chodź – powiedziała. – Idziemy.

Poszli w stronę drzwi. Wiedziała, że strażnik nie będzie ich ścigał, że najpierw musi skonsultować się z kierownikiem.

Wyszli przed hotel. Anna rozejrzała się, czujnie i uważnie. Na rogu ulicy stał policjant. Rozmawiał z kimś przez radio – pewnie podawał centrali swoje zamiary, co oznaczało, że przybył na miejsce jako pierwszy.

Rzuciła torbę Benowi i ruszyła w jego stronę.

–Chryste! – syknął. – Dokąd?

Stała przed policjantem.

–Mówi pan po angielsku? – spytała głośno i oficjalnie.

–Tak – odrzekł niepewnie tamten. – Po angielsku, tak. – Dobijał trzydziestki, był atletycznie zbudowany i ostrzyżony na jeża.

–Jestem agentką Federalnego Biura Śledczego. Federalne Biuro Śledcze, rozumie pan? FBI. Szukamy pewnej Amerykanki i musimy prosić pana o pomoc. Ta kobieta nazywa się Navarro, Anna Navarro. – Skupiając na sobie jego wzrok, mignęła mu przed oczami odznaką Urzędu do Badań Specjalnych. Widział ją tylko przez ułamek sekundy, nie zdążył się przyjrzeć.

I nagle coś sobie skojarzył.

–Anna Navarro – powtórzył z ulgą. – Tak, właśnie nas powiadomiono. W hotelu?

–Tak, zabarykadowała się w swoim pokoju. Trzynaste piętro, pokój numer 1423.

Jest z jakimś mężczyzną, prawda?

Policjant wzruszył ramionami.

–Podano nam tylko jedno nazwisko.

Anna kiwnęła głową. Była to bardzo ważna informacja.

–Mamy tu dwóch agentów, rozumie pan? Ale są wyłącznie obserwatorami. Nie jesteśmy u siebie, nie mamy prawa podejmować żadnych działań. Wszystko zależy od was. Niech pan wejdzie do hotelu tylnymi drzwiami i wjedzie na trzynaste piętro, dobrze?

–Tak, tak, oczywiście.

–I niech pan powie kolegom, że ona tam jest. Policjant energicznie kiwnął głową.

–Złapiemy ją dla was. Austria to... Jak to się mówi? Kraj prawa i ładu.

Anna posłała mu swój najcieplejszy uśmiech.

–Liczymy na pana.

Kilka minut później jechali już taksówką na lotnisko.

–Masz tupet – szepnął Ben. – Podejść tak do gliniarza...

–Nie, znam ich. Musieli się niedawno dowiedzieć, inaczej byliby lepiej przygotowani. Nie mają pojęcia, jak wyglądam. Wiedzą tylko, że szukają jakiejś Amerykanki dla Amerykanów. A ja? Równie dobrze mogę ją ścigać, jak i być ściganą.

–Niby tak, ale... – Ben pokręcił głową. – Właściwie dlaczego cię ściga ją?

–Jeszcze tego nie rozgryzłam. Wiem tylko, że ktoś rozpuszcza o mnie plotki. Podobno robię na dwie strony. Sprzedaję tajemnice państwowe i tak dalej. Pytanie kto i dlaczego.

–Sigma. Wykorzystują wszystkie możliwe dojścia, manipulują policją.

–Na to wygląda.

–Niedobrze. Jeszcze trochę i będziemy mieli na karku gliniarzy z całej Europy, nie mówiąc już o tym psychopacie z pistoletem. Dadzą nam popalić.

–Mało powiedziane.

–Dobra, zabiją nas.

–Teraz z kolei przesadzasz. – Wzruszyła ramionami. – Może byśmy zabrali się do tego krok po kroku?

–To znaczy?

–Ben Hartman i Anna Navarro zarezerwują bilety na samolot z Grazu do Monachium. Wiesz, gdzie jest Graz? Sto pięćdziesiąt kilometrów na południe stąd.

–Do Monachium? Po co?

–Nie polecimy do żadnego Monachium. Rzecz w tym, że dzięki mnie – niestety – znają numery twoich kart kredytowych. Nie da się tego odkręcić. Zapłacisz za coś kartą i w Waszyngtonie zawyją syreny alarmowe. W Waszyngtonie i Bóg wie gdzie jeszcze.

–No to dupa.

–Nie, spróbujmy to wykorzystać. Skup się. Twój brat miał lewe paszporty na wypadek, gdyby musiał wyjechać z Liesl incognito, tak? O ile wiem, paszporty są jeszcze okej, karty kredytowe też. John i Paula Freedman kupią w Wiedniu bilety na najbliższy samolot do Paryża. Dwoje typowych Amerykanów i dziesiątki tysięcy ludzi kłębiących się codziennie na lotnisku. Jasne?

–Jasne. Przepraszam, wolno myślę. Mimo to, ryzyko istnieje, prawda?

–Oczywiście. Zawsze, bez względu na to, co zrobimy. Ale jeśli wyjedziemy, i to natychmiast, nie zdążą rozesłać naszych zdjęć, a państwa Freedman jeszcze nie szukają. Najważniejsze to zachować spokój i czujność. Jeśli będzie trzeba, będziemy improwizować, i tyle.

–Jasne – mruknął bez przekonania Ben.

Spojrzała na niego. Hartman jakby odmłodził. Cała buńczuczność nagle zniknęła, a jej miejsce zajął lęk i niepewność. Doszła do wniosku, że musi go jakoś

podbudować.

–Ben, wiem, że nie stracisz głowy. Nie po tym, co przeszedłeś. Znakomicie dawałeś sobie radę. Pamiętaj, spokój i czujność, to najważniejsze.

–Najważniejszy jest teraz Chardin. I to, jak się do niego dostać.

–Dostaniemy się – odrzekła zdecydowanie Anna, zaciskając zęby. – Na pewno.

Zurych

Matthias Deschner przycisnął ręce do twarzy z nadzieją, że pomoże mu to choćby na chwilę odzyskać jasność umysłu. Ktoś użył jednej z kart kredytowych, które Deschner wyrobił dla przyjaciela Liesl, i które obsługiwał za pośrednictwem swojej kancelarii. Zadzwoniono do niego pro forma: ponieważ z rachunku długo nie korzystano, jeden z urzędników wydziału kredytowego uznał, że trzeba go zawiadomić, iż karta nie zaginęła.

Peter wносił opłaty za pośrednictwem Deschnera. Nazwa, numer telefonu i adres pocztowy był nazwą, numerem i adresem fikcyjnej firmy, którą prawnik założył i „prowadził” jako oficjalny reprezentant Hartmana. Czuł się w tym wszystkim bardzo nieswojo – rzecz była, delikatnie mówiąc, wątpliwie legalna – ale Liesl błagała go o pomoc, no i cóż, zrobił to, co zrobił. Patrząc wstecz, uznał, że powinien był wziąć nogi za pas i uciec. Uważał się za człowieka honoru, lecz nigdy nie miał złudzeń co do swojego heroizmu.

A teraz, już drugi raz w ciągu zaledwie kilku dni, stanął przed moralnym dylematem. Niech tych Hartmanów szlag trafi. I jednego, i drugiego.

Pragnął dotrzymać słowa danego Peterowi i Liesl – pragnął tego, chociaż oboje już nie żyli. Z drugiej strony, ich śmierć zwalniała go od obietnicy. Poza tym miał teraz na głowie znacznie większe zmartwienia.

Choćby to, jak przeżyć.

Bernard Suchet z Handelsbanku był za bystry, żeby uwierzyć w jego ignorancję. On, Deschner, miałby nic nie wiedzieć o poczynaniach Petera Hartmana? Bzdura. Prawdę mówiąc, wolałby nic nie wiedzieć, wolałby schować głowę w piasek i wierzyć, że błoga nieświadomość go uratuje.

Ale już w to nie wierzył.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym większa ogarniała go złość.

Liesl była uroczą dziewczyną- ilekroć myślał o niej w czasie przeszłym, ścisnęło go w gardle – mimo to zagrała nieuczciwie: nie powinna była wciągać go w swoje sprawy. Wykorzystała jego lojalność rodzinną, czyż nie? Często wyobrażał sobie, że z nią rozmawia, że się z nią kłóci. Zrobiła mu krzywdę, wielką krzywdę. Nie chciał uczestniczyć w jej krucjacie. Czy w ogóle zdawała sobie sprawę, w jakiej postawiła go sytuacji?

W uszach wciąż pobrzmiwały mu jej słowa: „Potrzebujemy twojej pomocy. Nie mamy się do kogo zwrócić”. Wciąż pamiętał świetlistą czystość jej niebieskich oczu, błękitnych jak alpejskie jezioro, prawych i oczekujących prawości od innych.

Rozbolała go głowa. Tak, ta dziewczyna za dużo chciała, to wszystko. Od świata, a już na pewno od niego.

Obróciła przeciwko sobie organizację, która mordowała ludzi z obojętnością

panienki wydającej kwity parkingowe. Teraz już nie żyła, lecz było całkiem prawdopodobne, że pociągnie go za sobą.

Tamci dowiedzą się, że ktoś użył karty. Potem dowiedzą się, że bank powiadomił o tym Matthiasa Deschnera, i że Matthias Deschner im tego nie zgłosił. Wkrótce nie będzie już doktora Deschnera. Pomyślał o swojej córce Almie, która za dwa miesiące miała wyjść za mąż. Często powtarzała, że nie może się już doczekać, kiedy ojciec poprowadzi ją pod rękę do ołtarza. Głośno przełknął ślinę i wyobraził sobie, jak Alina idzie do ołtarza sama. Nie, to niemożliwe. Byłoby to z jego strony nie tylko nierozważne, ale i samolubne.

Pulsujący ból głowy nieustannie się wzmagał. Deschner otworzył szufladę, wyjął buteleczkę panadolu i połknął na sucho kredową tabletkę.

Spojrzał na zegarek.

Zamelduje im o karcie. Ale nie od razu. Odczeka kilka godzin. Potem zadzwoni.

Tę opieszałość łatwo da się wytłumaczyć, a tamci będą mu wdzięczni za dobrowolnie przekazaną informację. Tak, na pewno.

Krótką zwłoką umożliwi młodemu Hartmanowi ucieczkę. Da mu niewielką przewagę, przedłuży mu o kilka godzin życie. Był mu winien chociaż tyle. Tyle, ale chyba nie więcej.

Rozdział 32

Paryż

Dwudziesta dzielnica leży na wschodnim skraju Paryża, na zboczu wzgórza opadającego łagodnie ku okrążającej miasto obwodnicy, tak zwanej *Peripherique*, która wyznacza jego granice. W osiemnastym wieku ziemię tę uprawiali winogrodnicy ze wsi Charonne. Z biegiem lat winnice ustąpiły miejsca małym domkom, domki zaś wielkim, brzydkim betonowym gmaszyskom. Nazwy takie jak *rue des Vignoles* brzmią dzisiaj zabawnie i zupełnie nie pasują do tej tętniącej życiem betonowej dżungli.

Podróż do Paryża zszargała im nerwy: każde przypadkowe spojrzenie było spojrzeniem znaczącym i groźnym, nawet sama apatyczność *les douaniers*, francuskich celników, zdawała się podstępnie fałszywa i zapowiadała rychłe aresztowanie. Ale Anna, która brała udział w wielu międzynarodowych akcjach policyjnych, dobrze wiedziała, jak opornie funkcjonuje graniczna biurokracja, jak bardzo spowalnia i utrudnia wykonanie zaleceń i rozkazów. Dlatego nie zaskoczyło jej, że zdołali się prześlizgnąć. Wiedziała też, że następnym razem już im się nie uda.

Na lotnisku De Gaulle'a wsiedli do zatłoczonego wagonu szybkiego pociągu podmiejskiego RER i dopiero tam trochę odetchnęli. Wyszli na, Gambetta, minęli wielki gmach sądu, doszli do *rue des Orteaux* i skręcili w lewo, w *rue des Vignoles*. Od obu stron *rue des Vignoles* odchodziło kilka wąskich uliczek, ciągnących się dokładnie wzdłuż granic pól, na których niegdyś rosły winogrona.

Okolice Charonne, na południe od Belleville, należały do okolic najmniej paryskich, ponieważ zawsze dominowali tam Afrykańczycy, Hiszpanie oraz mieszkańcy Antyli. Jednakże paryska burżuazja miała Charonne w pogardzie na długo przed tym, gdy zalały je ostatnie fale imigrantów. Było to bowiem miejsce, gdzie roiło się od biedaków i przestępców, gdzie poparcie znaleźli rewolucjoniści Komuny Paryskiej, zrażeni i zradykalizowani rozkładem II Cesarstwa. Była to dzielnica ludzi zaniedbanych i niezadowolonych ze swojego losu. Słynęła właściwie tylko z jednego: z *Pere Lachaise*, czterdziestoczterohektarowego cmentarza. Poczynając od dziewiętnastego wieku, paryżanie – którzy nigdy by tej dzielnicy nie odwiedzili, nie wspominając już o tym, że nigdy by w niej nie zamieszkali – powierzali tej ziemi swoje zwłoki.

Anna i Ben, ubrani jak typowi amerykańscy turyści, szli, chłonąc widoki i wrażenia: aromatyczny zapach krokietów z groszkiem i fasolą, dudniący rytm północnoafrykańskiej muzyki pop wylewającej się z otwartych na oścież okien, uliczne stoiska z tanimi skarpetami i czasopismami o pozaginanych rogach. Mijali ludzi wszystkich kolorów skóry, mówiących dziesiątkami akcentów i dialektów. Widzieli młodych artystów z kolczykami we wszystkich możliwych częściach ciała, którzy bez wątpienia uważali się za prawowitych następców Marcela Duchampa. Widzieli imigrantów z krajów Maghrebu, którzy przyjechali tu z nadzieją, że zarobią wystarczająco dużo, by wspomóc swoje rodziny w Tunezji czy Algierii. Z zaułków dochodził ostry, żywiczny zapach haszyszu i marihuany.

– I co? – rzuciła Anna. – I on się tu przeprowadził? Nie wpuścili go na Lazurowe Wybrzeże czy jak?

–To doskonale miejsce – odrzekł w zamyśleniu Ben. – Jeśli chcesz zniknąć, lepszego nie znajdziesz. Tu nikt nikogo nie zauważa, nikt nikogo nie zna. Jeżeli z jakiegoś powodu chciałabyś zostać w mieście, to najbardziej zróżnicowana dzielnica Paryża, pełna obcych, imigrantów, artystów i wszelkiej maści ekscentryków. – Anna nie знаła miasta, on je znał, co dodawało jej pewności siebie, której bardzo teraz potrzebowała.

Kiwnęła głową.

–W tłumie najbezpieczniej.

–Labirynt uliczek, metro, stacja kolejowa, obwodnica o rzut kamieniem stąd. Masz tu sto tras ucieczki. Dla kogoś takiego jak on to idealne miejsce.

–Szybko się uczysz – zauważyła z uśmiechem. – Na pewno nie chcesz u nas pracować? Dostałbyś pięćdziesiąt pięć tysięcy rocznie i własne miejsce parkingowe.

–Kusząca propozycja.

Minęli La Fleche d'Or, restaurację o czerwonym dachu, zbudowaną nad przerdzewiałymi szynami ślepego toru. Skręcili w sąsiednią uliczkę i Ben zaprowadził ją do małej marokańskiej kafejki, gdzie powietrze było wilgotne i przesycone aromatycznym zapachem kuskusu.

–Za jedzenie ręczę – powiedział- ale widok jest godny polecenia.

Przez okno ujrzeli wielki, kamienny trójkąt: rue des Vignoles numer 1554. Sześciopiętrowy gmach był niczym samotna wyspa, otoczona z trzech stron gąszczem wąskich uliczek. Fasadę miał czarną od spalin i upstrzoną żrącymi ptasimi odchodami. Zmrużywszy oczy, Anna dostrzegła niewyraźny zarys zdobiących go niegdyś chimer: zerodowane, zniszczone deszczem, zimnem, wiatrem i chemicznymi wyziewami, wyglądały tak, jakby roztopiły się na słońcu. Marmurowe półki, ozdobne ściany oporowe i parapety zdawały się szaleństwem pradawnego architekta, wspomnieniem zamierzchłych czasów, kiedy niektórym wciąż śnił się sen o wielkiej, bogatej dzielnicy. Ten nijaki na pierwszy rzut oka gmach tchnął łagodną atmosferą starczego zniedołężnienia, zaniedbania i marności.

–Mój informator, ten Peyaud, mówi, że nazywają go tu „L'Ermite”, Pustelnikiem. Mieszka na najwyższym piętrze. Czasem słyhać, jak chodzi, jak coś przesuwa, stąd wiedzą, że w ogóle tam jest. No i stąd, że zamawia do domu zakupy. Ale gońcy go nie widują. Wkładają zakupy do windy towarowej, a kiedy winda zjeżdża na dół, wyjmują z niej pieniądze. Nieliczni, którzy raczyli zauważyć jego obecność, uważają go za prawdziwego ekscentryka. Z drugiej strony, w tej dzielnicy roi się od ekscentryków. – Ben łapczywie przełknął kęs baraniny.

–Samotnik.

–Właśnie. Unika nie tylko gońców, ale dosłownie wszystkich. Peyaud rozmawiał z kobietą, która mieszka piętro niżej. Ona i pozostali lokatorzy uznali, że to paranoidalny, chorobliwie nieśmiały starzec, ciężki przypadek agorafobii. Nie wiedzą, że jest właścicielem całego budynku.

–I myślisz, że tak prosto z ulicy pójdziemy do tego rozkojarzonego, paranoidalnego, możliwe, że niebezpiecznego i przerażonego faceta, a on natychmiast zaprosi nas do środka, poczęstuje bezkofeinówką i powie nam

wszystko, co chcemy wiedzieć?

–Nie, bynajmniej – odrzekł z szerokim uśmiechem Ben. – Może nie pija bezkofeinówki.

–Chylę czoło. Masz niezachwianą wiarę w siłę swojego uroku osobistego. - Anna spojrzała niepewnie na swój wegetariański kuskus. – Mówi po angielsku?

–Płynnie, jak niemal wszyscy francuscy biznesmeni, co odróżnia ich od francuskich intelektualistów. – Wytarł usta cienką papierową serwetką. – Ja spełniłem swoje zadanie: namierzyłem go i doprowadziłem nas na miejsce. Jesteś profesjonalistką i teraz ty tu dowodzisz. Co mówią twoje podręczniki? Jaką przewidują taktykę? Co się w takiej sytuacji robi?

–Niech no pomyślę. Przyjacielska wizyta u psychopaty, którego cały świat uważa za człowieka dawno już nieżyjącego i który może znać tajemnicę organizacji zagrażającej temu światu... Nie, Ben, podręcznik operacyjny chyba tego nie przewiduje.

Baranina zaciążyła mu w żołądku. Wzięła go za rękę i wstali.

–Chodź – rzuciła. – Idziemy.

Teresa Broussard patrzyła smętnie przez okno na przechodniów kłębiących się sześć pięter niżej. Patrzyła tak, jak mogłaby patrzeć na płonący w kominku ogień, gdyby przed laty nie zamurowano jej komina. Patrzyła tak, jak mogłaby patrzeć na ekran małego telewizora, gdyby od miesiąca nie był *detraque*. Patrzyła, żeby ukoić nerwy i zabić nudę. Patrzyła, bo nie miała nic innego do roboty. Poza tym przez ostatnie dziesięć minut prasowała swoją obszerną bieliznę i musiała trochę odpocząć.

Była bardzo otyła. Miała siedemdziesiąt cztery lata, świńską, nalaną twarz i proste, ufarbowane na czarno włosy. Mówiła ludziom, że jest krawcową, chociaż od dziesięciu lat nie skroiła ani sztuki materiału i nigdy dobrą krawcową nie była. Dzieciństwo spędziła w Belleville. W wieku czternastu lat porzuciła szkołę, a ponieważ nie była zbyt ładna, nie znalazła mężczyzny, który zechciałby ją utrzymywać. Krótko mówiąc, musiała nauczyć się jakiegoś fachu. Tak się przypadkiem zdarzyło, że jej babka miała przyjaciółkę, krawcową, która zgodziła się przyjąć ją na pomocnicę. Ręce Tati Jeanne – tak kazała się do siebie zwracać – były zeszywniałe od artretyzmu, oczy przesłonięte mgłą. Teresa mogłaby się jej bardzo przydać, choć staruszka niechętnie rozstawała się z kilkoma nędznymi frankami, które musiała jej co tydzień wypłacać. Skromna klientela Tati Jeanne kurczyła się z dnia na dzień, dlatego dzielenie się z kimś już i tak marnymi zarobkami było dość bolesne.

Pewnego dnia w roku 1945 w pobliżu idącej Porte de la Chapelle Te resy spadła bomba i chociaż dziewczyna nie odniosła żadnych ran, wybuch śnił jej się po nocach, skutkiem czego wkrótce zaczęła cierpieć na bezsenność. Z biegiem czasu jej stan tylko się pogarszał. Drżała ze strachu na każdy szmer, zaczęła opychać się jedzeniem, ilekroć mogła je zdobyć. Kiedy Tati Jeanne umarła, przejęła jej nielicznych klientów, z trudem wiążąc koniec z końcem.

Była samotna – zawsze się tego bała – lecz dzięki Laurentowi dowiedziała się, że

są rzeczy gorsze niż samotność. Zaraz po tym, gdy skończyła sześćdziesiąt pięć lat, spotkała go na rue Ramponeau, gdzie odbierał cotygodniową paczkę żywnościową od sióstr nazaretanek. Był dziesięć lat starszy od niej, wyglądał jeszcze starzej i pochodził z okolic Menilmontant. Mocno pochylony i łysy, miał na sobie skórzaną kurtkę z o wiele za długimi rękawami. Właśnie wyprowadzał na spacer małego psa, teriera; zaczęli rozmawiać. Powiedział jej, że zanim cokolwiek zje, zawsze karmi najpierw Poupee – tak miał na imię pies – i daje mu najsmaczniejsze kęski. Ona powiedziała mu o swoich napadach paniki, o tym, że jest pod kuratelą tych z l'Assedic, opieki społecznej, i o tym, że magistrat wypłaca jej pięćset franków tygodniowo. Kiedy dowiedział się o frankach, natychmiast się nią zainteresował. Miesiąc później wzięli ślub i wprowadził się do jej mieszkania; dla postronnego obserwatora mogło wydawać się małe, skromnie umeblowane i zapuszczone, ale i tak było znacznie lepsze od nory, z której wkrótce miano go eksmitować. Zaraz po ślubie zaczął nalegać, żeby Teresa wróciła do krawiectwa: potrzebowali pieniędzy, bo paczki żywnościowe od nazaretanek starczały im ledwie do połowy tygodnia, a czeki z magistratu były boleśnie skąpe. Przecież rozpowiadała wokoło, że jest krawcową, prawda? Dlaczego w takim razie nie uszyje jakiejś sukienki? Nieśmiało zaprotestowała, pokazując mu swoje tępe, serdelkowate palce i wyjaśniając, że nie są już tak sprawne jak kiedyś. Nie zgodził się z nią, a ponieważ zrobił to głośno i zbyt stanowczo, złośliwie odparowała, że ciągle wyrzucają go z roboty, że nie potrafi utrzymać się nawet w najpodlejszej pracy i że gdyby wiedziała, że jest pijakiem, nigdy w życiu nie wyszłaby za niego za męża. Siedem miesięcy później, podczas jednej z coraz bardziej zażartych kłótni, Laurent zasłabł. Jego ostatnie słowa brzmiały tak: *T'es grasse comme une truie*. Ty gruba macioro. Teresa odczekała kilka minut, żeby ochłonąć, i dopiero wtedy zadzwoniła po karetkę. Później dowiedziała się, że mąż miał wylew, pękł mu tętniak w mózgu. Zafrasowany lekarz opowiadał jej coś o naczyniach krwionośnych, że są jak rurki, a osłabione ścianki tych rurek mogą nagle pęknąć. Teresa wolałaby, żeby ostatnie słowa Laurenta nie były tak wulgarne.

Nielicznym przyjaciółkom rozpowiadała, że mąż był święty, ale żadna w to nie wierzyła. Tak czy inaczej, dostała dobrą nauzkę. Zawsze myślała, że małżeństwo jest dopełnieniem życia, jego ukoronowaniem, ale dzięki Laurentowi przekonała się, że mężczyznom nie można ufać. Obserwując ludzi przed wielką betonową kamienicą, zastanawiała się, jacy są, jakie mają ułomności i przywary. Który z tych mężczyzn jest ćpunem? Który złodziejem? Który bije żonę?

Z zadumy wyrwało ją głośne, stanowcze pukanie do drzwi.

–*Je suis de l'Assedic, laissez-moi entrer, s'il vous plait!* – Dobijał się do niej ktoś z opieki społecznej.

–Czemu pan nie zadzwonił? – warknęła.

–Dzwoniłem, kilka razy. Dzwonek nie działa, ten na dole. Nie wiedziała pani?

–Czego pan chce? U mnie nic się nie zmieniło. Zapomoga...

–Właśnie rozważamy, czy ją pani przedłużyć – przerwał jej władczo. – Jeśli nie wyjaśnimy kilku spraw, zostanie wstrzymana, a chciałbym tego uniknąć.

Teresa ciężko poczłapała do drzwi i przytknęła oko do judasza. Tak, ta znajoma

wyniosłość... Oni wszyscy tacy byli, ci *fonctionnaires*. Urzędnicy, które wyobrażały sobie, że są wielkimi urzędnikami, ludzie, którym rzucono ochłap władzy, i z których władza zrobiła despotów. Tylko ten głos, ten lekki akcent. Pewnie pochodził z belgijskiej rodziny. Teresa nie lubiła *les Belges*.

Zmrużyła oczy. Mężczyzna był w cienkiej, wełnianej marynarce i tanim krawacie, pewnie służbowym. Miał szpakowate włosy i był zupełnie nijaki, przeciętny i niepozorny, nie licząc gładkiej twarzy, na której nie dostrzegła ani jednej zmarszczki. Gdyby nie ta napięta skóra, powiedziałaaby, że ma dziecięcą cerę.

Trzasnęła dwiema zasuwami, zdjęła łańcuch, nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Wychodząc z kafejki, patrzył na dom przy rue des Vignoles 1,554, próbując zgłębić jego tajemnice. Zbyt brzydki, żeby wzbudzać podziw i nie na tyle ładny, żeby przykuwać uwagę, był obrazem powszechnego w tej okolicy zaniedbania i zniszczenia. Jednak przypatrując mu się w skupieniu – Ben dawał głowę, że od bardzo wielu lat nikt tego nie robił – można było dostrzec zarys eleganckiej niegdyś kamienicy. Widział tę elegancję w oknach wykuszowych, obramowanych rzeźbionym piaskowcem, teraz już obłupanym i spękany. Widział ją w narożnikach, wyłożonych grubo ciosanymi kamieniami, na przemian to dużymi, to małymi, w mansardowym dachu, okolonym niskim, rozsypującym się już parapetem. Widział ją nawet w wąskich półkach, a raczej wypustach, na których spoczywały balkony, zanim zdjęto z nich żelazne barierki; przeżarte rdzą, niewątpliwie rozsypały się w proch i zagrażały przechodzącym na dole ludziom. Przed stu laty włożono w tę kamienicę tyle starań i troski, że nie mogły tego zatrzeć nawet dziesiątki lat zaniedbania i obojętności.

Wskazówki Anny były proste. Przecinając ulicę, mieli wmieszać się w tłum przechodniów i zrównać krok z ich krokiem. Wiedzieli, że nikt nie dostrzeże ich wśród ludzi zmierzających do pobliskiego sklepu z tanim alkoholem i papierosami czy do Shawarma, gdzie wielki, owalny kawał tłustego mięsa obracał się na rożnie stojącym tak blisko chodnika, że można go było dotknąć ręką; na pewno dotykały go łapkami chmary much. Ktoś, kto obserwowałby ulicę z okna, nie dostrzegłby niczego podejrzanego.

Zamierzali odłączyć się od grupy tuż przed bramą- odłączyć się i wejść do środka.

–Dzwonimy? – spytał Ben, gdy dotarli na miejsce.

–Gdybyśmy zadzwonili, wiedziałby, że tu jesteśmy, prawda? Wizyta miała być niezapowiedziana. – Anna rozejrzała się szybko, wsunęła do zamka długi, wąski bolec, poruszyła nim i...

Nic.

Ben poczuł, że ogarnia go panika. Jak dotąd szli w tłumie przechodniów, jak dotąd cały czas byli w ruchu. Ale teraz stali w miejscu, rzucali się w oczy i każdy postronny obserwator zauważyłby, że coś jest nie tak.

–Anno – szepnął.

Pochylała się nad klamką. Czoło miała mokre od potu.

–Wyjmij portfel i przelicz pieniądze – odrzekła. – Albo sprawdź, czy nie masz wiadomości w komórce. Zrób coś. Tylko spokojnie. Powoli. Flegmatycznie.

Gdy mówiła, metal nie przestawał zgrzytać o metal. Wreszcie rozległ się cichy

trzask i zamek ustąpił. Anna przekręciła klamkę i otworzyła drzwi.

–Stare zamki wymagają czułości i miłości – powiedziała. – Ale są marnym zabezpieczeniem.

–Najciemniej jest pod latarnią – odparł Ben. – O to mu chodzi, nie o zamki.

–Na pewno. Mówiłeś, że nikt go nie widział.

–To prawda.

–Nie przyszło ci do głowy, że nawet jeśli nie był wariatem, kiedy się tu wprowadził, mógł już dawno zwariować? Tak działa na ludzi samotność, całkowite odosobnienie.

Stanęli przed zdezelowaną windą i Anna wcisnęła guzik. Wsłuchiwali się przez chwilę w zgrzytliwy hurkot łańcuchów; uznali, że bezpieczniej będzie pójść piechotą i starając się iść jak najciszej, weszli na szóste piętro.

Długi korytarz, wykładana brudną białą terakotą podłoga.

Na końcu korytarza właśnie otwierały się drzwi.

–Monsieur Chabot – zawołała Anna.

–Cisza. Żadnej odpowiedzi. Wymienili spojrzenia.

–Monsieur Chabot! – powtórzyła Anna.

W gęstym mroku za drzwiami dostrzegli jakiś ruch.

–Georges Chardin, mamy dla pana ważną wiadomość!

Chwila ciszy i raptem...

Ogłuszający huk.

Chryste, co to?

Wystarczyło jedno spojrzenie na ścianę naprzeciwko drzwi. Była poszatkowana ołowiem.

Ktoś wygarnął do nich ze strzelby.

–Co z wami? – warknęła Teresa Broussard z zaczerwienioną twarzą. – Od śmierci męża, nic się u mnie nie zmieniło. Nic, powtarzam, absolutnie nic.

Mężczyzna wszedł do środka, nie zwracając na nią uwagi. Miał dużą, czarną walizkę. Dziwny człowiek.

–Ładny widok – rzucił.

–Złe światło – odrzekła Teresa. – Prawie przez cały dzień jest ciemno.

Filmy można tu wywoływać.

–Czasami to się przydaje.

Coś było nie tak. Mówił z dziwnym akcentem, jego francuski nie był już wyniosłą francuszczyzną biurokratów z opieki społecznej. Była teraz bardziej niedbała, mniej francuska.

Teresa zrobiła kilka kroków do tyłu. Z mocno bijącym sercem przypomniała sobie doniesienia o tym brutalnym gwałcicielu. Grasował w okolicy Place de la Reunion. Napadł kilka starszych kobiet. Doszła do wniosku, że mężczyzna jest oszustem. Tak podszeptował jej instynkt. Coś w sposobie jego poruszania się, w tej węzowatej sile i sprężystości potwierdzało jej narastające podejrzenia, że stanęła oko w oko z gwałcicielem z Reunion. *Mon Dieu!* Zdobywał zaufanie swoich ofiar bardzo podstępnie – tak słyszała -omamiał je do tego stopnia, że same zapraszały go do domu!

Przez całe życie wmawiano jej, że cierpina *une maladie nerveuse*. Ale ona wiedziała swoje: widziała i odczuwała rzeczy, których inni nie widzieli i nie odczuwali. To dziwne, bo właśnie teraz ten wewnętrzny radar ją zawiódł. Jak mogła być tak głupia! Rozejrzała się panicznie wokoło w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się obronić, i chwyciła ciężką, glinianą doniczkę z lekko przywędłym drzewkiem kauczukowym.

– Niech pan natychmiast stąd wyjdzie! – powiedziała drżącym głosem.

– Madame, pani żądania są dla mnie niczym – odrzekł spokojnie mężczyzna o gładkiej twarzy. Spojrzał na nią z beznamiętnym okrucieństwem jak pewny siebie drapieżnik, który wie, że ofiara nie ma z nim najmniej szans.

Dostrzegła jeszcze błysk długiego, zakrzywionego noża i ze wszystkich sił cisnęła w niego doniczką. Nie przewidziała tylko, że waga doniczki zrobi swoje, że naczynie zatoczy krótki łuk, uderzy go w nogi i odrzuci do tyłu na kilka kroków, nie robiąc mu najmniejszej krzywdy. *Jesus Christ!* Czym jeszcze mogłaby się obronić?

Telewizorem! Małym, zepsutym telewizorem! Podniosła go z kuchennego blatu, z wysiłkiem dźwignęła wysoko nad głowę i rzuciła tak, jakby celowała w sufit. Mężczyzna z uśmiechem odskoczył w bok. Telewizor grzmotnął w ścianę i z roztrzaskaną plastikową obudową oraz kineskopem runął na podłogę.

Boże święty, nie! Trzeba znaleźć coś jeszcze. Tak! Żelazko na desce do prasowania! Wyłączyła je czy nie? Rzuciła się w tamtą stronę, lecz mężczyzna natychmiast przejrzał jej zamiary.

– Ani kroku, ty wstrętna, stara krowo. – Przez jego twarz przemknął wyraz odrazy. – *Putain de merde!* – Błyskawicznie wydobył inny, mniejszy nóż i cisnął nim z drugiego końca pokoju. Wąska, stożkowato ścięta klinga w kształcie strzały, ostra jak brzytwa krawędź, wydrażona, opływowa rękojeść: nóż był doskonale wyważony.

Teresa nie zauważyła, jak nadlatuje, lecz w chwili, gdy pograżył się w jej prawej piersi, poczuła silne uderzenie. Początkowo myślała, że to coś odbiło się od niej i upadło na podłogę, ale spojrzawszy w dół, zobaczyła sterczącą z bluzki rękojeść. Dziwne, bo zamiast bólu odczuwała jedynie coraz bardziej przenikliwy chłód, jakby zamiast noża utkwiał w niej sopel lodu, wokół którego zaczynała zbierać się krew. I wtedy opuścił ją cały strach, ustępując miejsca czystemu gniewowi. Przypomniały jej się nocne wizyty pijanego ojca, który zaczął ją odwiedzać, gdy skończyła czternaście lat, jego kwaśny, cuchnący oddech, grube paluchy, wystrzępione paznokcie, ból, jaki jej wtedy sprawiał. Przypomniał jej się Laurent i jego ostatnie słowa. Wściekłość zalała ją niczym woda z podziemnego zbiornika, wściekłość za to, że jej ubliżano, że ją oszukiwano, zastraszano i wykorzystywano.

Z przeraźliwym wrzaskiem rzuciła się na intruza, napierając na niego masą swojego potężnego, stuczternastokilogramowego ciała.

I powaliła go, przygniotła do podłogi samą siłą rozpędu.

Trueie grasse czy nie, byłaby z siebie dumna, gdyby mężczyzna nie zastrzelił jej ułamek sekundy przed tym, gdy go staranowała.

Trevor wzdrygnął się z obrzydzenia i zepchnął z siebie tłuste, bezwładne cielsko. Chowając pistolet do kabury, czując na udzie ciepło bijące z rozgrzanego tłumika,

doszedł do wniosku, że jako trup baba jest niewiele mniej odpychająca niż za życia. Dwie dziury w jej czole wyglądały jak dodatkowa para oczu. Odciągnął ją od okna. Tak, powinien był zastrzelić babsztyla, gdy tylko wszedł, ale kto mógł przewidzieć, że aż tak jej odbije? Właśnie: jak zwykle pojawiło się coś nieoczekiwanego. Dlatego tak bardzo lubił swoje zajęcie. Nie było rutynowe, wprost przeciwnie – pełne niespodzianek i nowych wyzwania. Oczywiście nie takich, z którymi nie mógłby sobie poradzić. Architekt radził sobie ze wszystkim.

–Chryste – syknęła Anna. Najbliższa dziura w tynku ziała zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej. – Miłe powitanie.

Tylko skąd on strzelał?

W korytarzu niósł się huk wystrzałów. Musiały padać z ciemnego mieszkania, ze szczeliny między ciężkimi stalowymi drzwiami i futryną. Benowi serce waliło jak młotem.

–Panie Chardin! – krzyknął. – Nie chcemy zrobić panu krzywdy. Chcemy panu pomóc i potrzebujemy pańskiej pomocy! Proszę, niech pan nie strzela! Niech pan nas wysłucha!

Z mrocznego wnętrza dobiegło ich chrapliwe sapanie i zapewne nieświadomy, przyprawiający o dreszcz jęk przerażenia, który zabrzmiał jak nocny skowyt rannego zwierzęcia. Mimo to mężczyzna wciąż pozostawał niewidoczny, wciąż krył się w ciemności. Usłyszeli metaliczny szczęk wkładanego do lufy pocisku i czmychnęli w przeciwną stronę korytarza.

Kolejny strzał! Gruby śrut rozłupał boazerię, rozharatał tynk, żłobiąc w nim głębokie, wystrzępione dziury. Powietrze zgęstniało od ostrego zapachu prochu. Korytarz przypominał strefę wojenną.

–Niech pan posłucha! – krzyknął Ben do niewidzialnego przeciwnika. – Przecież my do pana nie strzelamy, prawda? Nie chcemy zrobić panu krzywdy! – Zapadła cisza. Czyżby do czającego się w mroku mężczyzny nareszcie coś dotarło? – Przyszliśmy ochronić pana przed Sigmą!

Cisza.

A jednak! Usłyszał ich, posłuchał! Zareagował na hasło uknutego przed laty spisku, na hasło, które wciąż miało dla niego potężny wydźwięk.

W tym samym momencie Ben spostrzegł, że Anna daje mu jakieś znaki. Miał zostać na miejscu, ona chciała wejść do mieszkania! Ale jak? Zerknął w lewo i zobaczył wielkie, podwójne okno, zobaczył, jak Anna ostrożnie je otwiera, poczuł powiew zimnego powietrza na twarzy. Z przerażeniem uświadomił sobie, że ta wariatka zamierza wyjść na wąski zewnętrzny parapet, dotrzeć do sąsiedniego okna i dostać się przez nie do mieszkania. Oblęd, czyste szaleństwo! Przeszedł go dreszcz. Wiedział, że wystarczy lekki podmuch wiatru i dziewczyna runie w dół z wysokości szóstego piętra. Ale było za późno na ostrzeżenia: Anna stała już na parapecie. Chciał krzyknąć: Boże, nie! Wracaj! – lecz w tej samej chwili...

Z mieszkania dobiegł czyjś głos, głęboki, dziwnie brzmiący baryton.

–A więc tym razem przysłali Amerykanina.

–Nie „oni”, Chardin – odrzekł Ben. – Przyszliśmy sami.

–Aha. I niby kim jesteście? – spytał sceptycznie.

–Tak, jesteśmy Amerykanami. Mamy... Mam osobiste powody, żeby szukać u pana pomocy. Sigma zabiła mi brata.

Zapadła długa chwila ciszy.

–Nie jestem idiotą. Chcecie, żebym wyszedł, chcecie wziąć mnie żywcem. Otóż wiedzcie, że żywcem nigdy mnie nie weźmiecie!

–Gdybyśmy chcieli to zrobić, znaleźlibyśmy prostszy sposób. Niech pan nas wpuści, tylko na kilka minut. Porozmawiamy. Cały czas będzie miał nas pan na muszce.

–Po co chcecie ze mną rozmawiać?

–Bez pańskiej pomocy ich nie pokonamy.

Znowu chwila ciszy, a potem krótki, szyderczy śmiech.

–Pokonać Sigmę? Nigdy ich nie pokonacie! Do tej pory myślałem, że można się tylko przed nimi ukryć. Jak mnie znaleźliście?

–Dzięki pewnemu sprytnemu detektywowi. Ale szczerze pana podziwiam, znakomicie zataił pan za sobą ślady. Świetna robota. Trudno jest zrezygnować z majątku, dobrze to rozumiem. Dlatego zarządzał pan nim za pośrednictwem *fictio juris*, fikcyjnej agencji prawnej. Bardzo zmyślne. Ale cóż, nic dziwnego, zawsze był pan genialnym strategiem. Nie bez powodu Menard mianował pana swoim *Directeur General du Department des Finance*.

Cisza. W mieszkaniu zaskrzypiało krzesło. Czyżby Chardin zamierzał mu się pokazać? Ben ponownie zerknął w lewo i zobaczył, jak przytrzymując się ściany, Anna przesuwająca się ostrożnie po parapecie. Wiatr rozwiewał jej włosy. Wkrótce zniknęła za ścianą.

Musiał go zagadać, musiał odciągnąć jego uwagę od okna. I to za wszelką cenę!

–Czego ode mnie chcecie? – spytał Chardin obojętnym tonem. A jednak go słuchał, to już coś.

–Monsieur Chardin, jesteśmy w posiadaniu bezcennych dla pana informacji. Wiemy dużo o założycielach Sigmy, o ich następcach, o nowej generacji ludzi, którzy przejęli nad nią kontrolę. I pan, i my możemy obronić się przed nimi tylko w jeden sposób: umiejętnie tę wiedzę wykorzystując.

–Głupcze, przed nimi nie można się obronić!

–Cholera jasna! – wrzasnął Ben. – Pańska zdolność do racjonalnego myślenia przeszła już do legendy! Jeśli pan ją stracił, nie mamy o czym gadać, bo tamci już wygrali! Postępuje pan nierozważnie, czy pan tego nie widzi? – I łagodniejszym tonem głosu dodał: – Jeśli nas pan nie wpuści, do końca życia będzie się pan zastanawiał, z czym tu przyszliśmy. Może być i tak, że nigdy nie znajdzie pan okazji...

Nagle rozległ się brzęk szkła, głośny huk i stłumiony trzask.

Anna? Wybiła okno? Czy nic jej się nie stało? I raptem usłyszał jej donośny głos:

–Odebrałam mu broń! – Zrozumiał, że mówi i do niego, i do Chardina.

–Trzymam go na muszce.

Ben wszedł do ciemnego mieszkania. Przez długą chwilę widział jedynie rozmyty

w mroku zarys mebli i przedmiotów, lecz gdy oczy przywykły do ciemności, na tle grubej zasłony zobaczył Annę z długą strzelbą w rękę.

1 mężczyznę w ciężkim, dziwacznym szlafroku, niezdarnie wstającego z podłogi. Robił to bardzo powoli, z wyraźnym trudem, jak człowiek bardzo schorowany.

Ben domyślił się, co zaszło. Anna wybiła szybę, wpadła do pokoju, rzuciła się na jego nieporęczną strzelbę i wytrąciła mu ją z rąk. Chardin stracił równowagę i upadł.

Przez chwilę wszyscy troje stali w milczeniu. Słysząc było tylko jego oddech, ciężki, niemal agonalny. Twarz miał osłoniętą wielkim kapturem.

Nie spuszczać go z oka – bał się, że pod tym podobnym do habitu szlafrokiem Francuz może ukrywać jakąś broń – Ben pstryknął włącznikiem światła. W tym samym momencie Chardin gwałtownie odwrócił się do ściany. Sięgał po pistolet albo po nóż?

–Stój! – krzyknęła Anna.

–Niech pan pomyśli, Chardin – powiedział Ben. – Przecież umie pan myśleć, przecież pan z tego słynął. Gdybyśmy chcieli pana zabić, już by pan nie żył. Nie po to tu przyszliśmy!

–Odwróć się – warknęła Anna.

Chardin długo nie odpowiadał.

–Dobrze się zastanówcie. Nie wiecie, czego żądacie...

–Ale już!

Poruszając się jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie, Francuz odwrócił się i gdy do Bena dotarło to, co zobaczył, naszły go tak silne mdłości, że omal nie wymiotował. Zaszokowana Anna głośno wciągnęła powietrze. Był to horror, horror wprost niewyobrażalny.

Ujrzeni bezkształtną, nierozpoznawalną masę zabliznionej tkanki – miejscami nierównej, niemal wystrzępionej, miejscami wypukłej, gładkiej i lśniącej, jakby polakierowanej albo zafoliowanej. To, co było niegdyś owalem twarzy, pokrywały odsłonięte naczynia krwionośne, nadając skórze intensywnie czerwoną barwę, niemal ciemnoszkarłatną tam, gdzie wiły się grube, stężałe żyłki. Tkwiące w tej zakrzepłej masie oczy, nagie, szare i zamglone, przypominały dwie marmurowe kulki, które niefrasobliwe dziecko zostawiło na gładkim blacie stołu.

Ben odwrócił głowę, po chwili zmusił się, żeby spojrzeć na niego ponownie i dostrzegł kolejne szczegóły. W środkowej części twarzy, pokrytej ohydą, pomarszczoną błoną, widniały dwa otwory nosowe, umiejscowione znacznie wyżej niż normalne nozdrza. Poniżej zaś były usta, wąska bruzda, głębokie rozcięcie, rana w ranie.

–O Boże... – Dwa słowa, jedno powolne tchnienie.

–Zaskoczony? – Zdawało się, że Chardin w ogóle nie poruszył ustami, jakby był kukłą zaprojektowaną i skonstruowaną przez jakiegoś oszalałego sadystę. Francuz roześmiał się, a może odkaszlnął. – Doniesienia o mojej śmierci były całkiem prawdziwe, z wyjątkiem tego, że nie umarłem. „Ciało zwęglone do stopnia uniemożliwiającego identyfikację”. Tak, to prawda. Powinienem być wtedy spłonąć. I często żałuję, że tak się nie stało. Przypadek. Dziwaczny przypadek. Dziwaczny i

potworny. Los spletał mi najgorszego figła, jakiego może spletać.

–Próbowali pana zabić – wyszeptła Anna. – Nie udało się.

–O nie, wprost przeciwnie. Myślę, że pod wieloma względami udało im się aż za dobrze. – Wykrzywił twarz i drgnął mu czerwony mięsień wokół prawego oka. Widać było, że mówienie sprawia mu ból. Wymawiał słowa z przesadną precyzją, jednak niektóre spółgłoski sprawiały mu wyraźne kłopoty. – Jeden z moich bliskich zaufanych podejrzewał, że mogą spróbować mnie usunąć. Krążyły pogłoski, że *angeli rebelii* trzeba wyeliminować. Przyjechał do mnie – za późno. Zastał tylko popioły i szerniałe zgliszcza. Znalazł moje ciało, a właściwie to, co z niego zostało. Było szerniałe jak cała reszta. Zdawało mu się, że wyczuł puls, więc zawiózł mnie do maleńkiego, prowincjonalnego szpitala trzydzieści kilometrów dalej. Opowiedział im historyjkę o przewróconej lampie naftowej i podał fałszywe nazwisko. Sprytny był, przebiegły. Wiedział, że gdyby moi wrogowie dowiedzieli się, że przeżyłem, spróbowaliby ponownie. Spędziłem w tym szpitalu wiele miesięcy. Poparzenia pokrywały ponad dziewięćdziesiąt pięć procent ciała. Nie dawano mi żadnych szans. – Mówił zacinając się, lecz była to opowieść hipnotyzująca, bo nigdy dotąd nieopowiedziana. Wyczerpany podszedł do drewnianego krzesła z wysokim oparciem i usiadł.

–Mimo to przeżył pan – powiedział Ben.

–Nie miałem siły, żeby przestać oddychać. – Chardin zamilkł. Wspomnienie cierpienia wywoływało widocznie jeszcze większy ból. – Chcieli przenieść mnie do miasta, do kliniki, ale oczywiście nie mogłem się na to zgodzić. Poza tym myślałem, że i tak umrę. Czy wiecie jak to jest, kiedy całą świadomość wypełnia ból i tylko ból?

–Mimo to przeżył pan – powtórzył Ben.

–Cierpiałem, jak cierpieć nie miał żaden przedstawiciel naszego gatunku. Każda zmiana bandaży była niewyobrażalnym koszmarem. Smród martwej, rozkładającej się tkanki był nie do zniesienia nawet dla mnie; pielęgniarki wymiotowały, wchodząc do mojej sali. Potem zaczęła tworzyć się ziarnina i czekał mnie kolejny koszmar: blizny kurczyły się i ścigały, co wywoływało niewyobrażalny ból. Nawet dzisiaj, w każdej sekundzie dnia, cierpię tak, jak nie cierpiałem w całym poprzednim życiu. Kiedy jeszcze żyłem. Nie możecie na mnie patrzeć, prawda? Nikt nie może. Nawet ja sam.

–Musiał pan być niezwykle silny – odezwała się Anna, wiedząc, że muszą nawiązać z nim normalny, ludzki kontakt. – To niesamowite. Takiego przypadku nie ma chyba w żadnym podręczniku medycznym. Instynkt, pragnienie przeżycia za wszelką cenę. Ocalał pan. Coś kazało panu walczyć o życie. Na pewno nie bez powodu!

–Pewnego poetę spytano kiedyś, co by uratował z płonącego domu. A on na to: „Uratowałbym ogień. Ogień to życie”. – Chardin roześmiał się upiornym, gardłowym śmiechem. – Tak, ogień dał początek cywilizacji, lecz może też być narzędziem bezwzględnej okrucieństwa.

Anna wyjęła z lufy nabój i zwróciła mu strzelbę.

–Potrzebujemy pańskiej pomocy – powiedziała z naciskiem.

–Czy wyglądam na kogoś, kto może komuś pomóc? Ja, który nie mogę pomóc

samemu sobie?

–Jeśli chce się pan rozliczyć ze swoimi wrogami, jesteście pana jedyną szansą – wtrącił posępnie Ben.

–Za coś takiego nie można się zemścić. Gdybym pałał żądzą zemsty, nigdy bym nie przeżył. – Z fałd szlafroka wyjął małą, plastikową buteleczkę i zwilżył sobie oczy sprejem.

–Przez wiele lat – nie ustępował Ben – kierował pan potężną korporacją petrochemiczną. – Musiał mu pokazać, że znają podstawowe fakty, musiał go w to wciągnąć. – Był pan jednym z największych przemysłowców, wciąż pan nim jest. Był pan prawą ręką Emila Menarda, mózgiem Trianon, ojcem jej nowej struktury organizacyjnej. Menard należał do założycieli Sigmy. Z czasem jej członkiem musiał zostać i pan.

–Sigma – powtórzył drżącym głosem Chardin. – Od tego wszystko się zaczęło...

–Jako genialny księgowy pomógł im pan w wielkim przedsięwzięciu: wprowadziliście z Rzeszy wszystkie aktywa...

–Aktywa? Myślicie, że na tym to polegało? Aktywa Trzeciej Rzeszy były niczym, były ledwie małą wprawką. Wielkie przedsięwzięcie... *le grand project*... Nie, nie, chodziło o coś zupełnie innego. O coś, czego nie jesteście w stanie pojąć.

–Może jednak spróbujemy – odparł Ben.

–Na co liczyacie? Że zdradzę wam tajemnice, których strzegłem przez całe życie?

–Sam pan powiedział: jakie to było życie? – Ben podszedł krok bliżej i tłumiąc odrzę, spojrzał mu prosto w twarz. – Co pan ma do stracenia?

–Nareszcie mówi pan szczerze – odrzekł cicho Chardin, patrząc mu w oczy swoimi nagimi, nieosłoniętymi powiekami oczyma.

Długo milczał. A potem zaczął mówić, powoli i hipnotyzująco.

–Ta historia zaczęła się, kiedy mnie jeszcze nie było. Skończy się – bez wątpienia – kiedy już mnie nie będzie. Tak czy inaczej, jej początki sięgają ostatnich dni drugiej wojny światowej, kiedy to grupa potężnych przemysłowców zebrała się w Zurychu, żeby zdecydować o losach powojennego świata.

Benowi stanęli przed oczami hardzi mężczyźni ze starej fotografii.

–Byli to ludzie gniewni – kontynuował Francuz – ludzie, którzy wyczuli, co planuje Roosevelt. A Roosevelt zamierzał dać Stalinowi do zrozumienia, że nie zaprotestuje, jeśli Rosjanie zagarną pół Europy. I rzeczywiście, nie zaprotestował. Przed śmiercią zdążył oddać komunistom całą wschodnią Europę! Przemysłowcy uznali, że to nikczemna zdrada. Zdawali sobie sprawę, że jest już za późno, że nie zdołają unieważnić haniebnego traktatu jałtańskiego. Dlatego postanowili założyć coś w rodzaju stowarzyszenia, korporacji, przyczółka, organizacji, która wspomagając finansowo walczące z komunizmem kraje, wzmocni wpływy Zachodu. Zaczęła się kolejna wojna światowa.

Ben zerknął na Annę i spojrzał w dal, zahipnotyzowany i zadziwiony słowami Chardina.

–Ludzi ci dokładnie przewidzieli, że rozgoryczona i zbulwersowana faszyzmem Europa zacznie skłaniać się ku lewicy. Ponieważ naziści pozostawili po sobie jedno

wielkie pogorzelisko, zdali sobie sprawę, że bez masowego napływu kapitału socjalizm zapuści korzenie najpierw w Europie, a potem na całym świecie. Chcieli ocalić i wzmocnić przemysł, widzieli w tym swoją misję. Co oznaczało, że musieli też zdusić głosy protestu. Byli przeczuleni? Nie, bynajmniej. Wiedzieli, że historia jest jak wahadło, że jeśli po faszyzmie zapanuje socjalizm, Europa będzie zgubiona. Doszli do wniosku, że wciągnięcie do organizacji wysokich urzędników hitlerowskich jest krokiem rozsądnym. Ludzie ci doskonale wiedzieli, skąd wieje wiatr, i tak samo jak oni, pragnęli walczyć ze stalinizmem. A kiedy powstały solidne podwaliny finansowe i polityczne, korporacja zaczęła manipulować światowymi wydarzeniami i wspomagać wybrane partie polityczne. Odnosiła sukcesy, i to zadziwiające! Jej dobrze ulokowane i celnie zainwestowane pieniądze, powołały do życia Czwartą Republikę De Gaulle'a we Francji, ocaliły reżim generała Franco w Hiszpanii. Dzięki tym pieniądzom greccy generałowie; obalili legalny, demokratycznie wybrany rząd. Przeprowadzona we Włoszech operacja pod kryptonimem „Gladio”, seria akcji wywrotowych, wymierzonych w niższe szczeble organizacyjne, skutecznie osłabiła jednoczących się lewicowców, którzy próbowali zyskać wpływ na politykę państwa. W razie konieczności *carabinieri*, tamtejsza policja, miała przejąć wszystkie rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne w kraju. Dysponowaliśmy szczegółowym dossier wielu polityków, związkowców i duchownych. Ultraprawicowe partie otrzymywały z Zurychu potajemne, lecz jakże hojne wsparcie, żeby konserwatyści wyglądali przy nich jak politycy o poglądach statecznych i umiarkowanych. Sterowaliśmy wyborami, przekupywaliśmy, mordowaliśmy lewicowych przywódców: władcy z Zurychu pociągali za sznurki w ścisłej tajemnicy, a marionetki tańczyły tak, jak im kazano. Wspieraliśmy finansowo wielu polityków, choćby waszego senatora Josepha McCarthy'ego. Finansowaliśmy zamachy stanu w Europie, Afryce i w Azji. Tworzyliśmy nawet ekstremistyczne bojówki, oczywiście lewicowe: były naszymi *agents provocateur*, gwarancją, że ludzie odwrócą się z odrazą od sprawy, o którą walczyły.

Ta uknuta przez przemysłowców i bankierów intryga miała na celu stworzenie świata bezpiecznego dla kapitalizmu. Wasz prezydent Eisenhower, który ostrzegał przed nadmiernym rozrostem kompleksu militarno-przemysłowego, widział jedynie czubek góry lodowej. Prawda jest taka, że niemal całą historię ostatniego półwiecza nakreślili ludzie z Zurychu i ich następcy.

–Chryste! – przerwał mu Ben. – Chce pan powiedzieć, że...

Chardin skinął swoją potworną, pozbawioną twarzy głową.

–Tak, ta intryga dała początek zimnej wojnie. Oni ją wywołali. A raczej... my. Czy zaczynacie już rozumieć?

Zwinne palce Trevora trzasnęły zamkiem walizki. Walizka zawierała karabin kalibru 12,5 mm, zmodyfikowaną wersję BMG AR-15, precyzyjnie wykończoną broń snajperską o małej ilości części ruchomych i zasięgu do siedmiu tysięcy czterystu metrów. Trevor uważał, że to prawdziwe dzieło sztuki. Siła przebiecia pocisku wystrzelonego z mniejszej odległości była wprost zdumiewająca: opuszczając lufę z prędkością ponad dziewięćset metrów na sekundę, mógł przeszyć stalową płytę

grubości siedmiu i pół centymetra, przebić na wylot samochód, odłupać narożnik domu. Warstwa zwietrzałego tynku nie stanowiła dla niego najmniejszej przeszkody. Zaopatrzony w celownik termiczny typu Leupold, Vari-X, karabin ten był bronią wyjątkowo celną, dokładnie taką, jakiej Trevor teraz potrzebował. Z uśmiechem oparł go na dwójnogu. Nikt nie mógłby mu zarzucić, że jest nieodpowiednio wyposażony. Jego cel znajdował się o rzut kamieniem stąd, po drugiej stronie ulicy.

Rozdział 33

To nieprawdopodobne – powiedziała Anna. – Nie mogę w to uwierzyć! – Żyję z tym tak długo, że już mi to spowszedniało – odrzekł Chardin. – Ale zdaję sobie sprawę, jak wielka wybuchłaby burza, gdyby świat zrozumiał, że historia naszych czasów została szczegółowo nakreślona – nakreślona przez ludzi takich jak ja: przez biznesmenów, finansistów i przemysłowców oraz ich rozrzuconych po świecie wspólników. Że została nakreślona przez Sigmę. Trzeba by było pozmieniać wszystkie podręczniki do historii. Życie, które miało dotąd cel i sens, okazałoby się smętnym podrygiwaniem bezwolnej marionetki. Sigma to opowieść o upadku potężnych i dojściu do władzy upadłych. To opowieść, której nie wolno opowiadać. Nigdy. Rozumiecie?

–Ale kto mógłby mieć czelność, kto mógł być aż takim szaleńcem, żeby się na coś takiego porwać? – Ben spojrzał na miękką, luźną szatę Chardina. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego Francuz jest tak dziwnie ubrany.

–Musicie najpierw zrozumieć wizjonerskie poczucie misji, wielkich dokonań, które ich wtedy przepełniało. Pamiętajcie, że odmieniliśmy już swój los. Mój Boże, samochód, samolot, zaraz potem odrzutowiec: człowiek mógł poruszać się po ziemi z prędkościami niewyobrażalnymi dla jego przodków. Ba! mógł szybować w przestworzach! Dzięki falom radiowym i dźwiękowym uzyskał szósty zmysł, ujrzał wizję tam, gdzie nigdy dotąd jej nie widział. Zautomatyzował nawet proces obliczania. Równie imponujący był przełom w inżynierii materiałowej, w metalurgii, w produkcji tworzyw sztucznych, we włókiennictwie, w technologii wytwarzania nowych rodzajów gumy, spoiw i wielu, wielu innych rzeczy. Przekształceniu uległ cały krajobraz naszego życia. W każdej gałęzi przemysłu dochodziło do rewolucji...

–Druga rewolucja przemysłowa – wtrącił Ben.

–Druga, trzecia, czwarta, piąta – odrzekł Chardin. – Możliwości były nieskończone. Podobnie jak możliwości nowoczesnej korporacji. A u zarania ery atomowej, Boże mój, czy istniało coś, czego nie moglibyśmy osiągnąć? Vannevar Bush, Lawrence Marshall i Charles Smith prowadzili w Ray-theon pionierskie badania dosłownie nad wszystkim, od kuchenek mikrofalowych i systemów naprowadzania pocisków balistycznych poczynając, na radarach kontroli rejonu kończąc. Wielu odkryć, które w późniejszych latach znalazły powszechne zastosowanie – kserograf, technologia mikrofalowa, kodowanie dwójkowe, układy scalone – dokonano w laboratoriach Bella, w General Electric, u Westinghouse'a, w RCA, IBM i wielu innych korporacjach. Świat materialny ulegał naszej woli. Dlaczegoż by więc nie świat polityczny?

–A gdzie pan był wtedy? – spytał Ben.

Chardin spojrzał w dal. Wyjął swoją buteleczkę, ponownie zwilżył sobie oczy i otarł chustką zaślinione usta. A potem, z lekka się zacinając, zaczął opowiadać.

–Kiedy wybuchła wojna, byłem dzieckiem, miałem zaledwie osiem lat. Chodziłem do małej, prowincjonalnej szkoły, do Lycee Beaumont w Lyonie. Ojciec był inżynierem, matka nauczycielką. Byłem jedynakiem, kimś w rodzaju cudownego dziecka. Kiedy miałem dwanaście lat, przyjęto mnie do college'u nauczycielskiego

Ecole Normale Superieure de Lyon, gdzie studiowałem matematykę stosowaną. Miałem prawdziwy dar, ale uniwersytet mnie nie pociągał. Ani uniwersytet, ani pachnące ozonem arkana teorii liczb. Pragnąłem czegoś innego. Pragnąłem mieć wpływ na świat rzeczywisty, na życie codzienne. Starając się o posadę w księgowości Tria-non, skłamałem, powiedziałem im, że jestem dużo starszy. Emil Menard był uznawany za proroka, za prawdziwego wizjonera. Tak, tak, już wtedy. Stworzył całość z oddzielnych dotychczas części, dostrzegł związki tam, gdzie nikt ich dotąd nie dostrzegał. Zrozumiał, że łącząc ze sobą poszczególne struktury finansowe, można stworzyć monolit o wiele potężniejszy niż suma jego części składowych. W moich oczach, w oczach analityka inwestycji kapitałowych, Trianon była arcydziełem, Kaplicą Sykstyńską nowoczesnej korporacji.

W ciągu kilku miesięcy wieść o moich zdolnościach dotarła do szefa wydziału, w którym pracowałem, do monsieur Arteaux. Monsieur Arteaux był już dość stary. Miał nieliczne zainteresowania i całym sercem wspierał wizjonerskie projekty Menarda. Niektórzy koledzy uważali mnie za człowieka zimnego i nieprzystępnego, ale nie on, o nie. Rozmawialiśmy ze sobą jak zagorzały kibic piłkarski z kibicem. A mogliśmy rozmawiać godzinami: o zaletach i wadach wewnętrznych rynków kapitałowych, o dochodach z handlu akcjami podwyższonego ryzyka, o strukturze kapitału, o racjonalizowaniu decyzji inwestycyjnych i reinwestycyjnych, o sposobach szacowania ryzyka, o sprawach, które ogłupiłyby chyba każdego. Arteaux, który miał wkrótce odejść na emeryturę, też zaryzykował i chociaż byłem wówczas tylko skromnym urzędnikiem, przedstawił mnie samemu Menardowi. Rozbawiony Menard – musiałem wyglądać bardzo młodo – zadał mi kilka zwięzłych pytań. Odpowiadałem poważnie, dość prowokacyjnie, niemal bezczelnie. Arteaux był przerażony. A Menard zauroczone. Niezwykłe, prawda? I właśnie na tej niezwykłej reakcji polegała jego wielkość. Powiedział mi później, że zuchwalstwo i bezmyślność, jakie wtedy okazałem, przypomniały mu młodość – kiedy zaczynał, był dokładnie taki sam jak ja. Był niesłychanym egotystą, ale miał podstawy, żeby nim być. Moja arogancja - przyklejono mi tę metkę już w dzieciństwie – też nie była bezpodstawna. Pokora jest dobra dla duchownych, natomiast racjonalność to znajomość swoich możliwości. Techniki szacowania kapitału miałem w małym palcu. Logicznie rzecz biorąc, powinienem był umieć też ocenić samego siebie, prawda? Przecież to logiczne. Nieumiejętność samooceny przeszkodziła mojemu ojcu, tak wtedy myślałem. Uważał się za gorszego od innych i wmawiał ludziom, że oni też niesłusznie mają się za lepszych. Postanowiłem, że mnie się to nie przydarzy.

W ciągu zaledwie kilku tygodni zostałem osobistym asystentem Menar-da. Towarzyszyłem mu wszędzie. Nikt nie wiedział, czy jestem jego sekretarzem czy doradcą. Szczerze mówiąc, płynnie przechodziłem z jednej roli w drugą. Wielki Menard traktował mnie bardziej jak syna niż jak pracownika. Uznał, że jestem jego jedynym protegowanym, jedynym uczniem godnym tego, żeby go naśladować. Przedstawiałem mu swoje projekty, czasami bardzo odważne, takie, które oznaczały przekreślenie wielu lat żmudnego planowania. Zaproponowałem na przykład, żeby sprzedał wydział eksploatacji ropy naftowej – wydział, który jego dyrektorzy tworzyli

przez kilka lat. Zasugerowałem, żeby zainwestował olbrzymie kwoty w nowe, niesprawdzone technologie. Mimo to, rezultaty moich rad zawsze go zadowalały. Na początku lat pięćdziesiątych przylgnął do mnie przydomek „Uombre de Menard”, cień Menarda. I nawet kiedy walczył z chorobą, z chłoniakiem, który w końcu go zabił, nie przestawał polegać na moim osądzie. Moje pomysły były odważne, nowatorskie, pozornie szalone, a jednak z czasem wszyscy zaczęli je naśladować. Menard przyglądał mi się równie intensywnie jak ja jemu, chłodno i zarazem z czułością. Chłód i czułość: potrafilismy to ze sobą połączyć.

Mimo wszystkich przywilejów, jakimi mnie obdarzył, czułem, że istnieje sanktuarium, do którego nie mam prawa wstępu. Bywało, że wyjeżdżał, nagle i bez żadnego wyjaśnienia. Bywało, że dokonywał zupełnie niezrozumiałych inwestycji, o których nie chciał ze mną rozmawiać. Aż w końcu nadszedł dzień, kiedy postanowił wprowadzić mnie do stowarzyszenia, o którego istnieniu nie miałem pojęcia. Do organizacji znanej wam jako Sigma.

Wciąż byłem jego *Wunderkind*, cudownym dzieckiem Trianon, wciąż byłem dwudziestokilkuletnim młokosem, zupełnie nieprzygotowanym na to, co miałem ujrzeć na pierwszym spotkaniu. Odkonczyło się w Szwajcarii, w pięknym zamku na olbrzymiej, odizolowanej od świata posiadłości jednego z członków zarządu. Środki bezpieczeństwa były wprost nieprawdopodobne: nawet sam teren, rozmieszczenie każdego drzewa i krzewu ukształtowa-no w taki sposób, żeby goście mogli przyjechać i wyjechać stamtąd niezauważenie. Dlatego podczas tej pierwszej wizyty nie widziałem, jak i kiedy tam przybyli. Ale drzewa i ukształtowanie terenu to jeszcze nie wszystko. Żaden sprzęt inwigilacyjny nie oparłby się niszczącemu działaniu pulsującego pola magnetycznego, wtedy jeszcze zupełnej nowości. Wszystkie metalowe przedmioty musieliśmy włożyć do pojemników z osmu, w przeciwnym razie stanęłyby nam zegarki. Przyjechaliśmy wieczorem i zaprowadzono nas od razu do pokojów, Menarda do wspaniałej komnaty z widokiem na małe jezioro polodowcowe, mnie do apartamentu znacznie skromniejszego, choć bardzo wygodnego.

Spotkanie rozpoczęło się nazajutrz rano. Z tego, o czym mówiono, niewiele pamiętam. Kontynuowano rozmowy z poprzednich narad, o których nic nie wiedziałem, dlatego trudno mi było się w tym połapać. Znałem natomiast twarze zasiadających wokół stołu ludzi i było to przeżycie iście surrealistyczne, coś, co mogłoby zaaranżować tylko najśmielszy fantasta. Bardzo niewielu dorównywało Menardowi pod względem bogactwa, władzy i wizjonerskich zdolności. Jednak wszyscy ci, którzy mu dorównywali, siedzieli w tej sali, w tej komnacie. Szefowie dwóch rywalizujących ze sobą holdingów hutniczych. Największy w Ameryce producent sprzętu elektrycznego. Przemysł ciężki. Petrochemiczny. Technika. Technologia. Ludzie odpowiedzialni za tak zwany amerykański wiek. Ich europejscy odpowiednicy. Najsłynniejsi magnaci prasowi świata. Dyrektorzy naczelni różnych spółek kapitałowych. Wszyscy razem dysponowali aktywami większymi niż dochód narodowy kilkunastu najbogatszych krajów Europy.

Tego dnia mój pogląd na świat legł w gruzach.

Na lekcjach historii dzieci poznają twarze polityków i słynnych generałów. To jest

Winston Churchill, to jest Dwight Eisenhower, to jest Franco, De Gaulle, to Atlee i Macmillan. Ludzie ci nic nie znaczyli. Byli jedynie rzecznikami. No, może sekretarzami prasowymi, w każdym razie zwykłymi pracownikami. Bo tak chciała Sigma. Ci, którzy dzierżyli ster władzy, siedzieli tam, wokół tego długiego, mahoniowego stołu. To oni byli prawdziwymi władcami marionetek.

Mijały godziny. Piliśmy kawę, skubaliśmy ciasto i powoli zacząłem zdawać sobie sprawę, że uczestniczę w czymś niezwykłym: w naradzie dyrektorów potężnej korporacji, zarządzającej wszystkimi innymi korporacjami.

W zebraniu ludzi tworzących współczesną historię Zachodu!

O wiele bardziej niż słowa w pamięć zapadła mi ich postawa, ich poglądy. Byli zawodowcami, nie mieli czasu na bezsensowne emocje i irracjonalne sentymenty. Wierzyli w rozwój produkcyjności, w ład i porządek, w racjonalną koncentrację kapitału. Jaśniej mówiąc, wierzyli, że historia, że los rasy ludzkiej jest zbyt ważny, by powierzać go masom. Nauczyło ich tego piekło dwóch wojen światowych. Historią trzeba kierować, trzeba nią zarządzać. A kluczowe decyzje muszą być podejmowane przez chłodnych, beznamiętnych profesjonalistów. Nadciągający komunizm groził chaosem, niepokojami społecznymi, redystrybucją majątku narodowego, dlatego uznali, że nie ma przedsięwzięcia pilniejszego niż to. Musieli stawić czoło realnemu niebezpieczeństwu, a nie mglistej, utopijnej wizji.

Zgodzili się, że trzeba pokierować światem w taki sposób, żeby zapanował nad nim duch przedsiębiorczości, żeby duch ten na zawsze pozostał wolny od zawiści i skąpstwa mas. Bo czyż świat, w którym nabrzmiewa ropiejący wrzód komunizmu czy faszyzmu, jest światem, który chcielibyśmy przekazać w spadku naszym dzieciom? Drogę wskazuje nam współczesny kapitał, lecz musimy zadbać o rozwój przemysłu, musimy ocalić go przed burzami i zawieruchami: taką mieli wizję. I chociaż jej źródłem był przedwojenny kryzys gospodarczy, dopiero sama wojna, potworne zniszczenia, jakich dokonała, uświadomiły im palącą potrzebę wprowadzenia planu w życie.

Tego dnia mówiłem niewiele, nie dlatego, że jestem z natury nieśmiały, tylko dlatego, że po prostu odebrało mi mowę. Byłem karłem wśród gigantów. Byłem małym chłopcem uczującym z cesarzami. Z podniecenia omal nie wyszedłem z siebie, lecz biorąc przykład z mojego pracodawcy i mecenasa, robiłem wszystko, żeby zachować obojętność. Te pierwsze godziny z twórcami i założycielami Sigmy na zawsze odmieniły moje życie, Codzienna sieczka prasowa – tu strajk, zjazd jakiejś partii, tam z kolei zamach – przestała być zbiorem przypadkowych wiadomości. Teraz każde z tych wydarzeń pasowało do określonego wzoru: było skomplikowanym, niezwykle wyrafinowanym produktem skomplikowanej i niezwykle wyrafinowanej maszynerii.

Założyciele i członkowie zarządu korporacji czerpali z tej działalności niezmiernie wysokie dochody, to oczywiste. Ich firmy kwitły, podczas gdy te, które nie miały szczęścia należeć do Sigmy, szybko bankrutowały. Ale przede wszystkim motywowała ich dalekosiężna wizja: wizja wspólnego frontu w walce ze wspólnym wrogiem. Wiedzieli, że jeśli przegrają, Zachód zmięknie i w końcu ulegnie. Jednak

budowa murów obronnych musiała przebiegać dyskretnie i mądrze. Ruch zbyt szybki, zbyt agresywny, mógł sprowokować groźną ripostę. Zmiany trzeba było dozować. Jeden wydział skoncentrował się na organizowaniu zamachów, na wyciszaniu rozważnych głosów lewicy. Inny powoływał do życia różnego rodzaju lewackie ugrupowania ekstremistyczne – Baader-Meinhofs, Czerwone Brygady i tak dalej – które miały zantagonizować umiarkowanych sympatyków.

Zachód i większa część reszty świata odbierała tę usługę bardzo pozytywnie, bez zastrzeżeń akceptując towarzyszącą jej przykrywkę. We Włoszech stworzyliśmy sieć dwudziestu tysięcy „komitetów obywatelskich”, za których pośrednictwem finansowaliśmy chrześcijańskich demokratów. Plan Marshalla, podobnie jak wiele innych tego typu akcji, też był dziełem Sigmy. Często ingerowaliśmy nawet w sam język ustaw przedkładanych waszemu Kongresowi i przez Kongres zatwierdzanych! Wszystkie europejskie programy naprawy gospodarczej, wszystkie europejskie agencje współpracy gospodarczej – a z biegiem czasu nawet NATO! – stały się organami niewidzialnej, bo wszechobecnej Sigmy. Koła w kołach: oto jak pracowaliśmy. W każdym podręczniku do historii znajdziecie garść frazesów o odbudowie powojennej Europy i zdjęcie generała Marshalla. Tymczasem każdy szczegół tej odbudowy został przez nas ustalony, nakreślony i zatwierdzony na długo przedtem.

Nikommu nawet do głowy by nie przyszło, że całym Zachodem zarządza tajne konsorcjum. Nikt by w to nie uwierzył. Bo gdyby uwierzył, musiałby pogodzić się z myślą, że ponad połowa naszej planety jest filią gigantycznej korporacji.

Sigmy.

Z biegiem lat starsi członkowie zarządu poumierali, by ustąpić miejsca młodym protegowanym. Sigma wciąż trwała. W razie konieczności przechodziła metamorfozę, lecz wciąż trwała. Nie byliśmy ideologami. Byliśmy pragmatykami. Chcieliśmy jedynie przebudować cały współczesny świat. Chcieliśmy zawładnąć historią.

I zawładnęliśmy.

Trevor Griffiths patrzył przez lunetkę celownika termicznego. Dla nieuzbrojonego oka ciężkie, zaciemniające pokój zasłony były zupełnie nieprzezroczyste, natomiast w obiektywie termowizora wyglądały jak cieniuteńka gaza. Sylwetki ludzi zaś, zielonkawe i lekko zamglone, przypominały krople rtęci, zmieniające kształty i przelewające się między kolumnami i meblami. Jeśli któryś z nich odsunie się od okna, myśląc, że za ceglana ścianą nic mu nie grozi, Trevor zlikwiduje go przez ścianę. Pierwszy pocisk utoruje drogę, drugi zniszczy cel. Pozostałe sfinalizują sprawę.

–Jeśli to wszystko prawda... – zaczął Ben.

–Ludzie kłamią głównie po to, żeby zachować twarz. Jak sam pan widzi, mnie to już nie grozi. – Wąska szpara ust Chardina wygięła się do góry w grymasie bólu, a może bolesnego uśmiechu. – Ostrzegałem was, że tego nie pojmiecie. Ale może teraz lepiej zrozumiecie sytuację. Nawet dzisiaj wielu potężnych ludzi na całym świecie ma powody, żeby zataić prawdę. Powiedziałbym nawet, że większe niż kiedykolwiek dotąd. Od kilku lat bowiem Sigma zmierza w zupełnie nowym kierunku. Do pewnego

stopnia jest to rezultat jej dotychczasowych sukcesów. Komunizm przestał nam zagrażać: dalsze finansowanie działalności sił politycznych i społecznych byłoby bezsensownym trwonieniem miliardów dolarów. Nie, Sigma mogła osiągnąć swoje cele zupełnie inaczej.

–Zupełnie inaczej... – powtórzył jak echo Ben.

–Stabilizacja. Dławienie oporu. Usuwanie tych, którzy sprawiają kłopoty i zagrażają państwu przemysłowemu. Kiedy Gorbaczow zaczął być nie wygodny, zdjęliśmy go ze stanowiska. Kiedy państwa Pacyfiku, te Azjatyckie Tygrysy, zaczęły się nam stawiać, doprowadziliśmy do nagłego odpływu kapitału zagranicznego i do gwałtownej recesji. Kiedy meksykańscy przywódcy przestali z nami współpracować, zmieniliśmy im rząd.

–Boże. – Benowi zaschło w ustach. – Co pan mówi...

–Tak, tak. Zwoływaliśmy naradę, podejmowaliśmy decyzję i natychmiast ją wykonywaliśmy. Byliśmy w tym dobrzy. Świat to wielkie organy, a my graliśmy na nich jak prawdziwi artyści. Przy okazji, jako korporacja, weszliśmy w posiadanie niezliczonej ilości przedsiębiorstw, które wykupywaliśmy za pośrednictwem podstawionych firm; nie muszę chyba dodawać, że bogactwo zupełnie nam nie przeszkadzało. Ale ludzie skupieni w małym, wewnętrznym kręgu władzy doszli do wniosku, że w tej nowej dla świata erze nie wystarczy już halsować i lawirować, gasząc cykliczne kryzysy. Trzeba zapewnić sobie stabilną władzę – władzę długotrwałą. Dlatego kilka lat temu powstał projekt wyjątkowego przedsięwzięcia. Jego ewentualny sukces zrewolucjonizowałby sposób sprawowania władzy nad całym światem. Koniec z asygnowaniem kapitału, koniec ze sterowaną dystrybucją zasobów. Wszystko zależeć ma od tego, kim będzie ten jeden, ten „wybrany”. I właśnie temu się sprzeciwiłem.

–Zadarł pan z nimi – powiedział Ben. – Napiętnowali pana i przeznaczyli na odstrzał. Mimo to dochował pan tajemnicy.

–Powtarzam: gdyby prawda wyszła na jaw, gdyby ludzie dowiedzieli się, ile powojennych wydarzeń było rezultatem intryg, knowań i potajemnych manipulacji, wybuchłaby burza, doszłoby do zamieszek.

–Ale skąd to nagle przyspieszenie? Przecież to, o czym pan mówi, trwało dziesiątki lat!

–Tak, tymczasem my mówimy nie o latach, tylko o dniach.

–I pan o tym wie?

–Pewnie zastanawia pana, jakim cudem taki odludek jak ja jest na bieżąco z tym, co się dzieje. Umiem czytać między wierszami, i tyle. Bez tego bym nie przeżył. Poza tym nie mam tu nic do roboty i muszę zabić czymś czas. Lata spędzone w ich towarzystwie nauczyły mnie wychwytywać sygnały, które dla normalnego ucha brzmią jak nic nieznaczący szum. – Wskazał ręką swoją skroń. Chociaż był w kapturze, Ben spostrzegł, że Chardin nie ma małżowiny usznej, że zięje tam tylko dziura, otwór w masie dzikiego mięsa.

–I stąd ta seria zabójstw?

–Jest tak, jak mówię: Sigma przechodzi ostateczną transformację. Zmianę

zarządu, jeśli pan woli.

–Czemu pan się sprzeciwiał.

–Tak, od samego początku. Sigma zawsze zastrzegła sobie prawo do stosowania sankcji wobec członków, którzy stracili zaufanie zarządu. W swojej arogancji nie zdawałem sobie sprawy, że coś mi grozi. Wprost przeciwnie. Ale to „wymiatanie”, to „sprzątanie”, ta czystka wśród rebeliantów zaczęła się na dobre dopiero kilka tygodni temu. Tych, których uważano za przeciwników nowego kierunku rozwoju – oraz tych, którzy dla nas pracu

wali – uznano za ludzi nielojalnych. Nazwano nas *angeli rebelii*, zbuntowanymi aniołami. Jeśli przypomni pan sobie, że biblijni *angeli rebelii* zbuntowali się przeciwko samemu Bogu, zrozumie pan ogrom władzy, jaką dysponują obecni dyrektorzy Sigmy, zrozumie pan, do czego roszczą sobie prawo. Dyrektorzy, a raczej dyrektor, ponieważ korporacją zarządza ostatnio jeden niezwykle groźny człowiek. Sigmie zaczyna brakować czasu...

–Czasu na co? Proszę mi to wytłumaczyć – wtrącił Ben; głowa pękała mu od natłoku myśli.

–To kwestia dni – odrzekł Chardin. – Może nawet godzin. Jacy z was głupcy. Przychodźcie tu, jakby prawda mogła wam pomóc. Nie ma na to czasu! Już za późno!

–O czym pan mówi?

–Dlatego początkowo myślałem, że was nasłali. Oni dobrze wiedzą, że teraz, na chwilę przed ostateczną zmianą władzy, są bezbronni jak nigdy dotąd. Jak już mówiłem, nadeszła pora na wielkie, ostatnie już sprzątanie, na sterylizację, usuwanie dowodów, które mogłyby ich obciążyć.

–Ale dlaczego właśnie teraz?

Chardin wyjął buteleczkę i ponownie zwilżył swoje mętne, szare oczy. Nagle rozległ się rozdzierający uszy huk i Francuz runął z krzesłem na podłogę, Anna i Ben zerwali się na równe nogi i z przerażeniem ujrzeli pięciocentymetrowej średnicy dziurę, która pojawiła się w przeciwległej ścianie, jakby wyborował ją tam wielki świder.

–Na bok! – wrzasnęła Anna.

Skąd padł strzał? I co to za pocisk? Musiał mieć bardzo duży kaliber, znacznie większy niż pocisk z rewolweru, pistoletu czy nawet zwykłego karabinu. Skoczyli, każde w przeciwną stronę. Ben odwrócił się szybko, spojrzał na znieruchomiałe ciało legendarnego finansisty i walcząc z ogarniającym go obrzydzeniem, powiódł wzrokiem po jego twarzy, po strasznych brzdach i rozpadlinach w zabliznionej tkance. Chardin miał wywrócone oczy, widać było tylko białka.

Spod przepalonego na wylot kaptura sączyła się smużka dymu: kula musiała przebić czaszkę. Człowiek bez twarzy – człowiek, który dzięki niezwykłej sile woli przetrwał lata niewyobrażalnego bólu – nie żył.

Co się stało? Jak? Ben wiedział tylko, że jeśli natychmiast się nie ukryją, będą następni. Ale jak mogli się ukryć, jak mogli uciec, nie wiedząc, skąd padają strzały? Zobaczył, że Anna kładzie się na podłozie i poszedł w jej ślady.

Ogłuszający huk: kolejny pocisk przebił warstwę cegieł i tynku. W ścianie powstała dziura, przez którą widać było niebo, i nareszcie stało się jasne, że ktoś strzela do nich z zewnątrz!

Bez względu na to, jakiej używał broni, pociski przebijały ścianę jak zasłonę z koralików. Ostatni utkwiał niebezpiecznie blisko Anny.

Nie było przed nimi ochrony.

–Boże! – krzyknęła Anna. – Musimy stąd wiać!

Ben spojrzał w lewo i w migotliwym rozbłysku słońca, igrającego w oknie domu po drugiej stronie wąskiej ulicy, dostrzegł twarz jakiegoś mężczyzny.

Gładka, napięta skóra, wysokie kości policzkowe.

Zabójca sprzed Willi Lenzów. Zabójca ze szwajcarskiej oberży.

Człowiek, który zamordował Petera.

Wściekłość dodała mu sił i krzyknął, głośno, ostrzegawczo, gniewnie i z niedowierzaniem. Jak na komendę oboje rzucili się do drzwi. Kolejny wystrzał i ścianę przebiła kolejna kula. Przedostali się na klatkę schodową. Tego typu kule nie sadowiły się w ciele ani nie żłobiły w nim nadpalonych bruzd. Te kule przebijały je na wylot jak oszczep przebija pajęczynę. Musiały to być pociski przeciwpancerne, bo zniszczenia, jakie siały w tym starym budynku, były wprost niewiarygodne.

Na złamanie karku pędził za Anną ciemnymi schodami, a tuż za nimi ze ścian tryskały gejzery cegły i tynku. Wreszcie wpadli do małego holu.

–Tędy! – szepnęła, puszczając się biegiem w stronę drzwi, które wychodziły nie na rue des Vignoles, lecz na jedną z bocznych uliczek. Tamten nie mógł ich teraz tak łatwo namierzyć. Wyszli i lękliwie rozejrzeli się wokoło.

Twarze. Wszędzie twarze. Na rogu rue des Orteaux blondynka w dżinsach i sztucznym futrze. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak prostytutka, lecz było w niej coś... coś dziwnego. Na pewno już ją gdzieś widział, tylko gdzie?

I nagle... Bahnhofstrasse. Elegancko ubrana blondynka z torbą od Festinera. Krótkie, zalotne spojrzenia, które wtedy wymienili.

To była ta sama kobieta. Czujka tych z korporacji? Po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko niej, nastolatek w dżinsach i podartym podkoszulku: on też wyglądał znajomo, chociaż Ben nie mógł go sobie z nikim skojarzyć. Boże, jeszcze jeden?

Na przeciwległym rogu: mężczyzna o czerwonych jak burak policzkach i monstrialnie rozrośniętych, krzaczastych brwiach.

Jego też znał.

Trzech strategicznie rozstawionych zabójców? Zawodowców, którzy mieli odciąć im drogę ucieczki?

–Otoczyli nas – rzucił. – Obstawili całą ulicę.

Zamarli, nie wiedząc, co robić. Anna rozejrzała się uważnie i odrzekła:

–Posłuchaj. Mówiłeś, że Chardin nie bez powodu wybrał tę część dzielnicy. Nie wiemy, jakie opracował sobie trasy i którądy chciał uciec, ale wiemy, że na pewno o tym myślał. Był zbyt przebiegły, żeby zapomnieć o planie awaryjnym.

–O planie awaryjnym?

–Chodź.

Puściła się biegiem w stronę kamienicy, z której strzelał snajper! Ben natychmiast zrozumiał, co zamierza zrobić.

–Zwariowałaś! – zaprotestował, mimo to popędził za nią.

–Nie – odparła. – Fronton kamienicy to jedyne miejsce, gdzie nas nie namierzy.

Zaulek z prawej strony domu był ciemny, cuchnący i zaszczurzony. Wszędzie walały się sterty odpadków, których od lat nikt stamtąd nie usuwał. Wyjścia na rue des Halles strzegła wysoka metalowa brama.

–Górá? – spytał niepewnie Ben, spoglądając na spiczaste, długie na prawie cztery metry pręty.

–Jak chcesz, to możesz – odrzekła, wyjmując glocka. Kilka starannie wymierzonych strzałów i łańcuch opadł. – To dwunastka – powiedziała. – Karabin kalibru 12,5 mm. Po Pustynnej Burzy było ich pełno. Pocisk przebija pancerz irackiego czołgu. Bardzo poszukiwany towar. Dla takiego potwora miasto to kilka domków z dykty.

–Niech to szlag. Co teraz?

–Teraz? Teraz nie damy się trafić. – I pobiegła przed siebie. Sześćdziesiąt sekund później znaleźli się na rue de Bagnolet, przed restauracją La Fleche d'Or. Nagle Ben skręcił i wbiegł na jezdnię.

–Chodź – rzucił.

Po drugiej stronie ulicy z Vespy, jednego z tych małych *velocipedes*, które doprowadzały do szału francuskich kierowców, zsiadał wielki, niedźwiedziowaty mężczyzna.

–*Monsieur* - powiedział Ben. – *J'ai besoin de votre velo. Pardonnez moi, s'il vous plait.*

Kierowca spojrzał na niego jak na wariata.

Ben wycelował do niego z pistoletu i zabrał mu kluczyki, a gdy kuląc się ze strachu, niedźwiedź zrobił krok do tyłu, wskoczył na motorynkę i kopnął pedał rozrusznika.

–Wskakuj! – rzucił.

–Zwariowałaś! Na Peripherique dogoni nas każdy samochód. To wy ciągnie najwyżej osiemdziesiątkę. Wystrzelają nas jak kaczki!

–Nie jedziemy na Peripherique – odkrzyknął Ben. – Ani na żadną inną szosę. Wskakuj!

Zdezorientowana usiadła za nim.

Objechali Fleche d'Or i skręcili na wyboistą, betonową skarpe prowadzącą do starych torów. Dopiero teraz Anna zauważyła, że restaurację zbudowano dokładnie nad nimi.

Wpadli między przerdzewiałe szyny. Przemknęli tunelem, wyjechali na otwartą przestrzeń i spod kół buchnęły kłęby kurzu. Czas wgniół podkłady w ziemię i jechało się po nich szybko i bez wstrząsów.

–A jeśli nadjedzie pociąg? – krzyknęła Anna, kurczowo obejmując go w pasie.

–Od pół wieku nic tędy nie jeździ.

–Ciągłe mnie zaskakujesz.

–To moja durna i chmurna młodość – odkrzyknął. – Włóczyłem się tu jako nastolatek. To ślepy tor, tak zwany *petite ceinture*, mały pas. Biegnie wokół całego miasta. Tor-widmo. Fleche to dziewiętnastowieczna stacja kolejowa. Wokół Paryża było ich ze dwadzieścia: Neuilly, Porte Maillot, Clichy, Villette, Charonne, i inne. Pociągi zostały wyparte przez samochody i o *petite ceinture* zapomniano. Został po nim tylko ten pusty pas. Myślałem o Chardinie, o tym, dlaczego zamieszkał właśnie tutaj, i przypomniałem sobie o tej linii. Użyteczny zabytek.

Minęli kolejny tunel, długi i szeroki, i ponownie wyjechali na otwartą przestrzeń.

–Gdzie jesteśmy? – spytała Anna.

–Nie wiem, trudno się zorientować. Nic stąd nie widać. Pewnie w okolicach Ford d'Obervillier. Może koło Simplon. W każdym razie daleko. Paryż centralny nie jest taki duży, ma najwyżej sto cztery kilometry kwadratowe. Jeśli uda nam się dotrzeć do metra i zginąć w tłumie kilkuset tysięcy paryżan, będziemy mogli wyruszyć na kolejne spotkanie.

Flann O'Brien – nazwę baru wyświetlał wężowaty neon, widniała również na szybie okna, gdzie wypisano ją pełnymi zakrętasów literami – mieścił się w pierwszej dzielnicy, przy rue Bailleul, niedaleko przystanku Luwr-Rivoli. Była to mroczna piwiarnia ze starymi stołami o pociętych, zrytych bruzdami blatach, i czarną podłogą, w którą wsiąkły hektolitry rozlanego guinnessa.

–Umówiłeś się z nim w irlandzkim pubie? – spytała Anna. Jak zawsze czujna, odruchowo rozglądała się wokół, wypatrując ewentualnego zagrożenia.

–Cóż mogę powiedzieć. Oscar ma poczucie humoru.

–Przypomnij mi jeszcze, dlaczego tak bardzo mu ufasz.

Ben spowaźniał.

–Liczy się to, co prawdopodobne, a nie to, co możliwe. Tak uzgodniliśmy, prawda? Jak dotąd pogrywał ze mną uczciwie. Sigma jest groźna dlatego, że wymaga bezwzględnej lojalności od wszystkich swoich zwolenników. Oscar jest na to za chciwy. Nasze rachunki zawsze się zgadzały. A to się liczy.

–Honor cynika.

Ben wzruszył ramionami.

–Muszę zawierzyć intuicji. Lubię go. Zawsze go lubiłem. On mnie chyba też.

Nawet o tej godzinie gwar w piwiarni był nie do zniesienia i minęła dobra chwila, zanim ich oczy przywykły do panującego tam półmroku.

Oscar, drobny, siwowłosy człowieczek, siedział przy stole z tyłu sali nad olbrzymim kuflem mocnego portera. Obok kufła leżała starannie złożona gazeta z na wpół rozwiązaną krzyżówką. Miał rozbawiony wyraz twarzy, jakby chciał puścić do kogoś oko – Anna szybko odkryła, że jest to jego normalna mina – i powitał ich krótkim machnięciem ręki.

–Czekam od czterdziestu minut. – Uścisnął Benowi rękę jak zapaśnik, mocno i po przyjacielsku. – A każda minuta to pieniążki, stary druhu, to pieniążki. – Powtarzał to słowo z wyraźną rozkoszą.

–Coś nas zatrzymało – odparł krótko Ben.

–Tak myślałem. – Oscar spojrział na Annę i powitał ją skinieniem głowy. –

Madame, zechce pani spocząć.

Ben usiadł po jego lewej, ona po prawej stronie.

–Madame – rzekł Oscar, skupiając na niej pełną uwagę. – Jest pani o wiele piękniejsza niż na fotografii.

–Słucham? – spytała zaskoczona Anna.

–Moim kolegom z la Sarete przesłano komplet pani zdjęć. Cyfrowych, pierwszorzędnej jakości. Wziąłem sobie kilka. Przydały się.

–Do pracy – wyjaśnił Ben.

–Moim artystom – poprawił go Oscar. – A są to artyści wybitni i bardzo kosztowni. – Poklepał go po ramieniu.

–Niczego innego nie oczekiwałem.

–Ale ty wyszedłeś marnie. Na zdjęciach tych przeklętych paparazzi człowieka zawsze wygląda gorzej niż w rzeczywistości, prawda?

Ben przestał się uśmiechać.

–O czym ty mówisz?

–Jestem bardzo dumny, że potrafię rozwiązywać krzyżówki z „Herald Tribune”. Nie każdy Francuz to potrafi. Tę już prawie skończyłem. Brakuje mi tylko dwóch wyrazów na przestępcę poszukiwanego międzynarodowym listem gończym, ośmio- i siedmioliterowego.

Odwrócił gazetę.

–Benjamin Hartman. Ciekawe, czy będzie pasowało...

Ben spojrział na pierwszą stronę „Heralda” i poczuł się tak, jakby skoczył na głowę do lodowatej wody. Nagłówek krzychał: POLICJA POSZUKUJE WIELOKROTNEGO ZABÓJCY. Poniżej widniało jego niewyraźne, gruboziarniste zdjęcie, najpewniej z kamery telewizyjnej wewnętrznego systemu bezpieczeństwa. Twarz miał w cieniu, lecz nie ulegało wątpliwości, że to on.

–Nie wiedziałem, że mój stary druh jest aż tak wielką znakomitością. – Oscar ponownie odwrócił gazetę i głośno się roześmiał. Ben do niego dołączył. W piwiarni panował wesoły, pijacki gwar i zdawał sobie sprawę, że śmiech to jedyny sposób, aby nie rzucać się w oczy.

Siedzący przy sąsiednim stole Francuz próbował śpiewać *Donny Boy*. Miał niepewny, piskliwy głos i spore trudności z wymową samogłosek.

–*On, Donny Boy, ze peeps ze peeps are calling....*

–To problem – rzucił poważnie Ben z szerokim uśmiechem na twarzy. Znacząco spojrział na gazetę. – Problem wielkości wieży Eiffla.

–Dobijasz mnie. – Oscar klepnął go w plecy, jakby usłyszał przedni kawał. – Wiesz, kto twierdzi, że nie ma złej reklamy? Tylko ci, którym takiej reklamy nie zrobiono. A propos. – Wyjął spod siedzenia jakąś torbę. – Macie.

Była to biała reklamówka ze sklepu z upominkami. Miała plastikowe samozatraskujące się uchwyty i widniał na niej krzykliwy napis: „Kocham Paryż wiosną”. Słowo „kocham” zastąpiono serduszkami.

–To dla nas? – spytała niepewnie Anna.

–Každy turysta powinien taką nosić – odrzekł Oscar. Oczy miał wesole i bardzo poważne zarazem.

–*Teez I'll be here in stmsine or in shadow. Oh, Danny boy, I love sou so much.* - Do pijanego Francuza dołączyło jego trzech równie pijanych kompanów. Každy z nich śpiewał w innej tonacji.

Przytłoczony ciężarem swojego położenia Ben usiadł tak nisko, że omal nie zsunął się z ławy.

Oscar dźgnął go łokciem w ramię, niby żartobliwie, lecz dość boleśnie.

–Siedź prosto – szepnął. – I nie rób takiej załęcznionej miny. Patrz ludziom prosto w oczy i nie próbuj nie zwracać na siebie uwagi. Zachowujesz się jak gwiazda filmowa, która wkłada ciemne okulary, żeby pójść na zakupy do Freda Segala. *Tu comprends?*

–*Oui* – odrzekł cicho Ben.

–A teraz... Jest takie urocze amerykańskie powiedzonko: spierdalajcie stąd.

Odwiedzili kilka małych ulicznych stoisk i udając dwoje zauroczonych miastem turystów, wrócili do metra.

–Co dalej? – szepnął Ben. – Musimy ułożyć jakiś plan.

–Co dalej? – powtórzyła Anna. – Chyba nie mamy wyboru. Jedynym żyjącym członkiem założycielem Sigmy jest Strasser. To nasze jedyne ogniwo. Musimy jakoś do niego dotrzeć.

–Skąd wiesz, że on żyje?

–Nie stać nas na inne założenia.

–Ale wiesz, że będą obserwowali wszystkie lotniska, wszystkie terminale, wszystkie wejścia i wyjścia. Wiesz?

–Owszem, przyszło mi to do głowy. Zaczynasz myśleć jak zawodowiec. Szybko się uczysz.

Podczas długiej podziemnej podróży do *banlieues*, starych, zaniedbanych przedmieść Paryża, rozmawiali półgłosem jak dwoje zakochanych lub wyjętych spod prawa uciekinierów.

Wysiedli w La Courneuve, starej, robotniczej dzielnicy. Od centrum miasta dzieliło ich zaledwie kilkanaście kilometrów, lecz był to zupełnie inny świat – świat jednopiętrowych domów i tanich, bezpretensjonalnych sklepów, gdzie každy towar miał swoją wartość użytkową i był zwykłym towarem, a nie ozdobą witryny. W oknach bistr i do późna otwartych sklepików wisiały plakaty Czerwonej Gwiazdy, drugoligowej drużyny piłkarskiej. Niedaleko stąd znajdowało się lotnisko Charlesa De Gaulle'a, lecz oni się tam nie wybierali.

Ben wskazał jaskrawoczerwone audi po drugiej stronie ulicy.

–Może to?

Anna wzruszyła ramionami.

–Za bardzo rzuca się w oczy.

Kilka minut później znaleźli niebieską renówkę. Samochód był lekko przybrudzony, a na jego podłodze walały się żółte papiery po hamburgerach i plastikowe kubki po kawie.

–Założę się o każde pieniądze, że właściciel jest dzisiaj w domu.

Anna wyjęła krótki wytrych i chwilę później drzwiczki były już otwarte.

Rozmontowanie stacyjki trwało trochę dłużej, lecz wkrótce silnik ożył i ruszyli ulicą, nie przekraczając dozwolonej prędkości.

Dziesięć minut później byli już na szosie A1, w drodze na lotnisko Nord-Pas de Calais w Lille-Lesquin. Czekala ich wielogodzinna i ryzykowna podróż, lecz było to ryzyko wkalkulowane. Wiedzieli, że kradzieże samochodów są w La Courneuve na porządku dziennym, że policja zacznie śledztwo od pobieżnego przesłuchania miejscowych złodziei i prawdopodobnie na tym je zakończy, nie meldując o sprawie Police Nationale, której funkcjonariusze patrolowali główne szosy i autostrady.

Zagubieni w myślach, przez pół godziny jechali w milczeniu.

–Ta opowieść Chardina... – powiedziała w końcu Anna. – To niesamowite, nie do uwierzenia. Ktoś mówi ci, że wszystko, co wiesz o historii ostatniego półwiecza, to jedna wielka bzdura, że wszystko było inaczej. Jak to możliwe? – Patrzyła na drogę. Sądząc po jej głosie, padała z nóg tak samo jak on.

–Nie wiem. Od tej masakry na Bahnhofplatz przestałem cokolwiek rozumieć. – Próbował wziąć się w garść. Radość z powodu udanej ucieczki już dawno ustąpiła miejsca wszechogarniającemu lękowi, a nawet przerażeniu.

–Jeszcze kilka dni temu prowadziłem zwykle śledztwo, które nie miało nic wspólnego z badaniem podwalin historii współczesnego świata. Wyobrażasz sobie?

Ben milczał: cóż mógł odpowiedzieć?

–Te trzy zabójstwa – rzucił po chwili, czując się trochę nieswojo. – Mówiłaś, że zaczęło się od Mailhota w Nowej Szkocji, człowieka, który pracował dla Charlesa Highsmitha, jednego z założycieli Sigmy. Potem był Marcel Prospero, też członek zarządu Sigmy. Podobnie jak Rossignol.

–Trzy punkty wyznaczają płaszczyznę. Szkolna geometria.

I nagle Bena olśniło.

–Kiedy wsiadałaś do samolotu, Rossignol jeszcze żył, tak? A kiedy do niego przyjechałaś, było już po nim, prawda?

–Tak, ale...

–Kto przydzielił ci to zadanie?

Anna lekko się zawahała.

–Alan Bartlett.

–Kiedy namierzyłaś w Zurychu Rossignola, na pewno mu o tym zameldowałaś.

–Natychmiast.

Benowi zaschło w ustach.

–Musiałaś, to oczywiste. Dlatego powierzył ci to śledztwo.

Anna odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

–O czym ty mówisz?

–Nie rozumiesz? Byłaś narzędziem w jego rękach. On cię wykorzystywał.

–Bartlett? Jak?

Ben otrzeźwiał. Wszystkie wydarzenia ułożyły mu się w logiczną całość.

–Pomyśl chwilę, do cholery! To tak jak z psem, którego przygotowujesz do

polowania. Facet wskazuje ci trop. Wie, jak pracujesz. Wie, że zażadasz...

–Wiedział, że zażadam listy – przerwała mu głuchym głosem Anna. – Czy to możliwe? Ten jego kategoriyczny sprzeciw, to przedstawienie, które przede mną odegrał... Wiedział, że jeszcze bardziej się uprę? I ten samochód w Halifaksie. Chciał mnie nastraszyć, żebym się zawzięła?

–W końcu ci tę listę dał, tak? Listę ludzi powiązanych z Sigmą. Ale były to nazwiska starannie wyselekcjonowane, nazwiska tych, którzy się ukrywali. Tych, których Sigma nie mogła znaleźć bez wzbudzania ich czujności. Ani Sigma, ani nikt, kto dla niej pracował. W przeciwnym wypadku ludzie ci już by nie żyli.

–Ponieważ wszyscy oni... – zaczęła powoli Anna. – Ponieważ wszyscy oni byli *angeli rebelii*. Odstępcami. Dysydentami. Buntownikami, którzy stracili ich zaufanie.

–Chardin mówił, że lada chwila Sigma ma rozpocząć delikatną fazę transformacji, że będzie wtedy bezbronna, podatna na ciosy. Oni musieli tych ludzi wyeliminować. Ty mogłaś to zrobić. Mogłaś wytropić kogoś takiego jak Rossignol, ponieważ jesteś tym, kim jesteś. Ty nie udawałaś, ty naprawdę próbowałaś ocalić mu życie. Każdy mógł cię sprawdzać i przeświecać na wszystkie strony i niczego by nie wykrył. Tymczasem w rzeczywistości zostałaś dokładnie zaprogramowana.

–Dlatego Bartlett przydzielił mi to zadanie. – Anna, która zaczynała już wszystko rozumieć, mówiła coraz głośniejszym głosem, z coraz większym ożywieniem. – Żebym namierzyła pozostałych *angeli rebelii!* - Grzmotnęła pięścią w deskę rozdzielczą.

–Których on następnie wykończył. Bo Bartlett też pracuje dla Sigmy. – Słowa te musiały sprawić jej ból. Bardzo tego nie chciał, lecz z każdą chwilą widział wszystko coraz jaśniej, coraz wyraźniej.

–Wynika z tego, że ja też dla nich pracowałam. Niech to szlag! Niech to szlag!

–Nieświadomie – podkreślił Ben. – Byłaś pionkiem, a kiedy zaczęłaś wymykać mu się spod kontroli, próbował odebrać ci sprawę. Rossignol już nie żył, nie byłaś im potrzebna.

–Chryste!

–Oczywiście to tylko teoria – dodał Ben, chociaż był pewien, że ma rację.

–Tak, teoria, ale jak na złą teorię jest za bardzo logiczna.

Ben nie odpowiedział. Logiczna rzeczywistość zdawała się teraz dziwacznym luksusem. W uszach wciąż pobrzmiwały mu słowa Chardina, potworne jak twarz człowieka, który je wypowiadał: Koła w kołach: oto jak pracowaliśmy... Organa niewidzialnej, bo wszechobecnej Sigmy... „Każdy szczegół tej odbudowy został przez nas ustalony, nakreślony i zatwierdzony na długo przedtem... Nikomu do głowy by nie przyszło, że całym Zachodem zarządza tajne konsorcjum. Nikt by w to nie uwierzył. Bo gdyby uwierzył, musiałby pogodzić się z myślą, że ponad połowa naszej planety jest filią gigantycznej korporacji. Sigmy”.

Minęło dziesięć minut, zanim się odezwał.

–Musimy opracować plan podróży.

Anna czytała artykuł w „Herald Tribune”.

–Posłuchaj: „Podejrzany może legitymować się paszportem wystawionym na nazwisko Robert Simon lub John Freedman”. Te dwa są spalone.

Ale jakim cudem? Liesl twierdziła, że konto uzupełniali na bieżąco, że Peter załatwiał wszystko przez jej bliskiego kuzyna, człowieka, któremu bezgranicznie ufała.

–Deschner – syknął. – Musieli go dopaść. Ciekawe, dlaczego nie ujawnili mojego prawdziwego nazwiska. Podali tylko fałszywe...

–Nie, nie, to bardzo sprytne posunięcie. Wiedzą, że podróżujesz pod fałszywym. Ujawnienie prawdziwego mogłoby narobić zamieszania, mogłoby zmać wodę. Twój stary nauczyciel angielskiego powiedziałby prasie, że Benny Hartman nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Poza tym Szwajcarzy zrobili ci testy na obecność śladów prochu i żadnych nie znaleźli, jasne? Jesteś czysty, ale tylko jako Benjamin Hartman. Jeśli zarzucasz sieć, sprawy trzeba maksymalnie uprościć.

Pod Croisilles zobaczyli tablicę z reklamą jakiegoś motelu i wkrótce zajechali przed niski, nowoczesny budynek. Klasyk, pomyślał Ben. Beton. Międzynarodowa brzydota.

–Tylko na jedną noc – powiedział, odliczając sto franków.

–Paszporty poproszę – zażądał z kamienną twarzą recepcjonista.

–Są w walizce. Zniosę je później.

–Tylko na jedną noc?

–Hmm... – Ben posłał Annie lubieżne spojrzenie. – Jesteśmy z żoną w podróży poślubnej, objeżdżamy Francję.

Anna podeszła bliżej i teatralnym gestem złożyła mu głowę na ramieniu.

–To taki piękny kraj. I jaki wspaniały, jaki wyrafinowany. Nie mogę dojść do siebie.

–W podróży poślubnej – powtórzył recepcjonista i po raz pierwszy pozwolił sobie na uśmiech.

–Przepraszamy, ale bardzo się spieszymy – rzucił Ben. – Mamy za sobą kilka godzin jazdy. Musimy odpocząć. – Puścił do niego oko.

Recepcjonista podał mu klucz z ciężkim, gumowym brelokiem.

–Pokój numer 125, na końcu korytarza. W razie potrzeby wystarczy zadzwonić.

Pokój był skromnie umeblowany; na podłodze leżała zielonkawa, cętkowana wykładzina, wszędzie unosił się charakterystyczny zapach pleśni i wiśniowego odświeżacza powietrza.

Zamknąwszy drzwi, wyłożyli na łóżko zawartość plastikowej torby od Oscara i zakupy z ulicznych stoisk. Anna obejrzała swój nowy paszport. Jej zdjęcie zostało poddane cyfrowej obróbce, lecz wciąż było jej zdjęciem. Kilka razy powtórzyła na głos nowe nazwisko, żeby przywyknąć do jego dziwnego brzmienia.

–Ciągle nie wiem, jak to wszystko działa – powiedział Ben.

–Tak jak mówił Oscar: klasyfikują cię, zanim dobrze ci się przyjrzą. Profilowanie, tak to się nazywa. Podejrzani to określony gatunek ludzi. Jeśli do niego nie pasujesz, przechodzisz bez przeszkód. – Wzięła szminkę i starannie nałożyła ją przed lustrem. Kilka razy wycierała usta, zanim uznała, że tak jest dobrze.

Tymczasem Ben był już w łazience, gdzie farbował sobie włosy pianistą, gęstą jak syrop farbą o ostrym zapachu amoniaku. Zamieszczone na naklejce wskazówki mówiły, że trzeba odczekać dwadzieścia minut, a potem dokładnie je spłukać.

Ostrzegaly też przed farbowaniem brwi, gdyż groziło to ślepotą. Mimo to postanowił zaryzykować i nałożył na nie gęstą maź, osłaniając oczy kawałkiem papieru.

Dwadzieścia minut wlokło się jak dwie godziny. W końcu wszedł pod prysznic, puścił silny strumień i otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy był pewien, że syropowate paskudztwo spłynęło wraz z wodą.

Wyszedł z kabiny i przejrzał się w lustrze. Był blondynem. Nawet do przyjęcia. Wrócił do pokoju.

–Przywitaj się z panem Davidem Paine'em.

Anna pokręciła głową.

–Masz za długie włosy. – Sięgnęła po elektryczną maszynkę, całą chromowaną, nie licząc oprawionego w przezroczystą gumę uchwytu. – Ale za raz coś z nimi zrobimy. Tym maleństwem.

Dziesięć minut później, straciwszy wszystkie kędziory, mógł już włożyć czyściutki, starannie wyprasowany mundur oficera armii amerykańskiej, który dostał od Oscara Peyauda. Z krótko ostrzyżonymi blond włosami rzeczywiście wyglądał jak żołnierz, poza tym na zielonej kurtce munduru miał naszyte insygnia, odznaki korpusu i baretki medali za służbę poza granicami kraju. Wiedział, że podróżując samolotem, amerykańscy oficerowie muszą nosić identyfikatory: nie był to może najlepszy sposób na podróżowanie incognito, lecz w pewnych okolicznościach rzucający się w oczy wygląd mógł uratować mu życie.

–Chodźmy już – rzuciła Anna. – Im szybciej wyjedziemy, tym lepiej i bezpieczniej. Czas pracuje dla nich, nie dla nas.

Spakowali rzeczy i drzwiami na końcu korytarza wyszli na parking.

Torbę z ubraniem Anny wrzucili na tylne siedzenie renówki, razem z plastikową reklamówką od Oscara. Była w niej pusta buteleczka po farbie do włosów oraz śmieci, których nie chcieli zostawiać w motelu. W sytuacji, w jakiej się znaleźli, mógł ich zdradzić najmniejszy drobiazg.

–Podsumujmy – powiedziała Anna, gdy wjechawszy na autostradę, skierowali się na północ. – Została nam ostatnia karta, ostatni atut. Strasser to jeden z założycieli Sigmy. Musimy go odnaleźć.

–Pod warunkiem że jeszcze żyje.

–Czy w aktach Sonnenfelda jest coś, co sugerowałoby, że umarł?

–Przejrzałem je dziś rano. Nie, nic takiego tam nie ma. Ale według Sonnenfelda, mógł umrzeć wiele lat temu.

–Mógł, ale nie musiał.

–Może. Jesteś niepoprawną optymistką. Skąd masz pewność, że nas nie aresztują?

–Gdzie? W Buenos Aires? Sam mówiłeś, że wielu nazistów żyło tam przez dziesiątki lat, z niczym się nie kryjąc. Miejscowa policja to nasz najmniejszy kłopot.

–A Interpol?

–Właśnie o tym myślałam. Ci z Interpolu mogą pomóc nam znaleźć Strassera.

–Zwariowałaś? Chcesz wejść do jaskini lwa? Daję głowę, że mają twoje nazwisko na jakiejś liście...

–Od razu widać, że nie wiesz, jak funkcjonuje tamtejsze przedstawicielstwo Interpolu. Nie sprawdzą nawet twoich dokumentów. Będiesz tym, za kogo się podasz. To naprawdę niezbyt skomplikowane. Zresztą masz lepszy pomysł?

–Wdowa po Gerhardzie Lenzu – rzucił w zadumie Ben. – Sonnenfeld powiedział, że może jeszcze żyć. Myślisz, że będzie coś wiedziała?

–Wszystko jest możliwe.

–Postaram się o rym pamiętać. Naprawdę myślisz, że uda nam się prześlizgnąć?

–Z tego lotniska nie ma lotów transatlantyckich. Ale jest dużo europejskich, tamci szukają mężczyzny i kobiety. Musimy się rozdzielić.

–Słusznie. Ja polecę przez Madryt, ty przez Amsterdam.

Znowu zapadło milczenie, lecz tym razem było to milczenie mniej nerwowe, a nawet miłe. Od czasu do czasu Ben nieświadomie zerkał na Annę.

Chociaż mieli za sobą koszmarne dzień, wyglądała prześlicznie. W pewnej chwili ich spojrzenia się spotkały. Anna pokryła zmieszanie krzywym uśmiechem.

–Przepraszam – powiedziała. – Jeszcze nie przywykłam do twojego żołniersko-ariańskiego wyglądu.

Chwilę później wyjęła z torebki swojego kryptograficznego starTaca i wybrała numer.

W słuchawce odezwał się metaliczny, lekko zniekształcony, lecz wyraźny głos Davida Denneena.

–Anna! Wszystko w porządku?

–Posłuchaj, musisz mi pomóc. Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać.

–Wal.

–Josef Strasser. Znajdź o nim wszystko, co możesz. To nazista, starszy, bystrzejszy braciszek Mengelego.

–Jasne – odrzekł ostrożnie Denneen. – Zrobię, co się da. Ale gdzie ci to przysłać?

–Do BA. – David wiedział, że to Buenos Aires.

–Ale chyba nie do ambasady?

–Może do American Express? – podpowiedziała mu Anna.

–Dobra. Tylko nie wychylaj się tam, wie warto.

–Tak słyszałam. Jak tam jest?

–Cudowny kraj, wspaniali ludzie i żywe wspomnienia. Miej oczy z tyłu głowy. Uważaj na siebie. Proszę. Biorę się do roboty. – Cichy trzask i Denneen rozłączył się.

Główna sala odpraw funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa lotniska Lille-Lesquin miała niski, wykładany dźwiękochłonnymi płytami sufit i szare, ślepe ściany. Na jednej ze ścian wisiał ekran, na innej czarno-biała tablica z napisem Defense de fumer. Do tablicy przypięto kolorowe zdjęcia przestępców ściganych międzynarodowymi listami gończymi. Na składanych krzesłach – metalowe rurki i beżowy plastik – siedziało dziewięciu funkcjonariuszy urzędu imigracyjnego i celnego. Ich szef, Brano Pagnol, prowadził popołudniową odprawę. Jednym z funkcjonariuszy był Marc Sully. Siedział i próbował udawać, że się nie nudzi. Nie lubił tej roboty, ale nie chciał też jej stracić.

Pagnol przypomniał im, że nie dalej jak przed tygodniem aresztowali siedem

młodych Turczynek, które przyleciały z Berlina z kontrabandą w kiszkach: były kurierkami, tak zwanymi „mułami”, i każda z nich połknęła prezerwatywę z „chińskim śniegiem”. W tym, że przymknęli całą siódmkę, było trochę fartu, ale najbardziej przyczynił się do tego Jean-Daniel Roux (kiedy szef wymienił jego nazwisko, wąskooki Roux – mile polechtany, chociaż nie chciał tego okazywać – lekko skinął głową), którego czujność umożliwiła schwytanie pierwszej Turczynki. Roux zauważył ją, bo robiła wrażenie zalanej; jak się potem okazało, pękła jedna ze związanych prezerwatyw w jej odbycie, skutkiem czego kobieta omal nie umarła z przedawkowania. W szpitalu wyjęto z niej piętnaście małych kulek: każda była owinięta dwoma kondomami i związana żyłką, każda zawierała kilkanaście gramów niezwykle czystej heroiny.

–Jak to z niej wyjęli? – spytał któryś z funkcjonariuszy. Siedzący z tyłu sali Marc Sully głośno puścił bąka.

–Przez dupę – mruknął. – Zrobili jej ekstrakcję.

Pagnol zmarszczył brwi. Nie widział w tym nic zabawnego.

–Kurierka omal nie umarła. Te kobiety to desperatki. Zrobią wszystko. Jak myślicie, ile za to dostała? Tysiąc franków. Gotowa była umrzeć za tysiąc franków. A teraz grozi jej wieloletni wyrok. One są jak chodzące walizki. Ukrywają towar we własnym gównie. A naszym zadaniem jest wyrzucić to gówno z kraju. Chcecie, żeby wasze dzieci zaczęły ćpać? Chcecie dać zarobić paru azjatyckim grubodupcom? Myślą, że przeparadują tuż pod naszym nosem, a my nic. Pokażecie im, na co was stać?

Marc Sully służył w *police aux frontieres* od czterech lat i zaliczył setki odpraw takich jak ta. Z każdym rokiem twarz Pagnola była coraz bardziej czerwona, z każdym rokiem coraz bardziej uwierał go kołnierzyk. Nie żeby Sully należał do chuderlaków. Miał lekką nadwagę, ale wcale się tego nie wstydził. Poza tym ogryzał paznokcie, i to do krwi. Kilka razy próbował przestać, ale się nie udało. Szef powiedział mu kiedyś, że jest abnegatem, ale gdy Sully spytał go dlaczego, Pagnol tylko wzruszył ramionami. Abnegat. Na plakacie zachęcającym do wstąpienia do służby i tak nie zawiśnie.

Wiedział, że koledzy za nim nie przepadają, zwłaszcza ci młodszy, ci co to codziennie się kąpali i pachnieli jak dezodorant albo kostka mydła, a nie jak prawdziwy człowiek. Chodzili, potrząsając puszystymi, świeżo umyтыми włosami i szczyrzyli zęby do ładniejszych pasażerek, jakby chcieli je wyrwać. Durnie. Co za dno. Podczas rewizji osobistej można co najwyżej strzelić sobie działkę – zwłaszcza gdy trafi się frajer z Trzeciego Świata – ale baby do domu w ten sposób nie sprowadzisz.

–A teraz dwa listy gończe z DCPAF. – Direction Centrale de la Police aux Frontieres: to stamtąd przychodziły wszystkie rozkazy. Pagnol wcisnął kilka guzików, włączając komputerowy rzutnik. – Priorytetowa sprawa, jasne? To Amerykanka. Meksykańskiego pochodzenia. Profesjonalistka. Jak ją namierzycie, bądźcie ostrożni. Traktujcie ją jak skorpion, jasne?

Przez salę przetoczył się cichy pomruk. Jasne.

Sully zmrużył oczy i przyjrzał się zdjęciu. Niezły towar. Posmakowałaby taką jego bagietka, oj, posmakowała.

–I zdjęcie numer dwa – ciągnął Pagnol. – Biały mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat. Kręcone, brązowe włosy, zielone lub brązowe oczy, ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Poszukiwany za wielokrotne zabójstwo. Też Amerykanin. Bardzo niebezpieczny. Są powody, żeby przypuszczać, że przebywał dzisiaj na terenie Francji i że będzie próbował stąd uciec. Te zdjęcia będą wisiały na waszych stanowiskach, ale chcę, żebyście przyjrzeni się im teraz. Jeśli się okaże, że przeszli przez odprawę tu, na Lille-Lesquin, i okaże się, że ich przepuściliście, polecą nie tylko moja głowa. Zrozumiano?

Sully przytaknął wraz z całą resztą. Wkurzało go, że ten kutas Roux miał fart, że złapał tę turecką przemytniczkę, tę głupią, nafaszerowaną śniegiem dziwkę. Ale kto wie? Może teraz jemu się poszczęści. Jeszcze raz uważnie przyjrzał się zdjęciom.

Ben wysadził Annę na przystanku autobusowym i zostawił renówkę na parkingu przed terminalem odlotów. Weszli do sali osobno, by wsiąść do innych samolotów.

Za dziesięć godzin mieli spotkać się w Buenos Aires.

Zakładając, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Anna popatrzyła na blondwłosego, krótko ostrzyżonego amerykańskiego oficera, czując, że mu się uda. Lecz dodając mu otuchy, czuła też, że jej może się nie powieść. Nie ścięła ani nie ufarbowała włosów; zaciesała je tylko do góry. Przebrała się w nową sukienkę, to prawda, lecz poza tym nie zrobiła właściwie nic więcej. Bała się. Strach karmił się samym sobą i wciąż narastał, gdyż wiedziała, że nic nie zdradzi jej tak szybko jak jego objawy. Musiała się skoncentrować. Nadmierna czujność mogła ją teraz zgubić. Musiała wyzbyć się strachu, musiała zostawić go tu, przed wejściem do sali odlotów, dlatego wyobraziła sobie, że idzie przez zieloną łąkę porośniętą żółtymi mleciami. Że idzie, trzymając za rękę kogoś silnego i wiernego. Obojętne kogo – zdawała sobie sprawę, że to tylko zwykłe ćwiczenie – lecz nie wiedzieć czemu osobą, która jej na tej łące towarzyszyła, był Ben.

Sully sondował wzrokiem pasażerów, wypatrując oznak podniecenia czy zdenerwowania, wypatrując ludzi ze zbyt małą czy podejrzanie dużą ilością bagażu, osobników, którzy pasowaliby do zdjęć i rysopisów z DCPAF.

Jego uwagę przykuł mężczyzna. Stał trzeci w kolejce. Miał kędzierzawe, brązowe włosy, wzrost faceta z listu gończego i nerwowo pobrzękiwał drobnymi w kieszeni. Sądząc po ubraniu, niemal na pewno był Amerykaninem. Może miał powody do zdenerwowania.

Odczekał, aż mężczyzna poda urzędnikowi paszport oraz bilet, i wkroczył do akcji.

–Chciałbym zadać panu kilka pytań – powiedział, świdrując go wzrokiem.

–Proszę – odparł tamten. – Oczywiście.

–Pozwoli pan ze mną. – Sully wprowadził go za ladę. – Co pan robił we Francji?

–Byłem na konferencji medycznej.

–Jest pan lekarzem?

Mężczyzna westchnął.

–Nie, handlowcem. Przedstawicielem spółki farmaceutycznej.

–A więc handluje pan prochami! – zażartował Sully, choć oczy wciąż miał czujne.

–W pewnym sensie tak – odrzekł niepewnie tamten i zrobił taką minę, jakby doszedł go nagle jakiś nieprzyjemny zapach.

Ci Amerykanie. Ta ich obsesja na punkcie higieny. Sully nie przestawał się mu przypatrywać. Facet miał kwadratową szczękę, kwadratowy podbródek i kręcone włosy. Tylko rysy twarzy miał inne, jakby drobniejsze. Poza tym odpowiadał spokojnie, bez charakterystycznego napięcia w głosie. Strata czasu.

–Dobra – powiedział. – Dziękuję. Miłego lotu.

Wrócił na stanowisko. Teraz z kolei zwrócił uwagę na blondynkę o śniadej cerze. Podejrzana mogła ufarbować sobie włosy. Rysy twarzy pasowały. Podszedł bliżej.

–Paszport poproszę.

Kobieta spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

–*Votre passeport, s'il vous plait, madame.*

–*Bien sur. Vous me croyez etre anglaise? Je suis italienne, mais tous mes amis pensent que je suis allemande ou anglaise ou n 'importe quoi.*

Według paszportu mieszkała w Mediolanie, poza tym było mało prawdopodobne, żeby Amerykanka mówiła po francusku z tak silnym włoskim akcentem.

Poza nią w kolejce nie zauważył nikogo obiecującego. Za Włoszką stała Hinduska z dwoma rozwrzeszczanymi bachorami i czerwoną kropą pośrodku czoła. Precz z kropami. Oby jak najszybciej stąd wyjechała, ona i jej podobne. Namnożyło się tego tyle, że jeszcze trochę i pikantna potrawka z kurczęcia będzie francuską potrawą narodową. Muzułmanie byli oczywiście jeszcze gorsi, ale Hindusi z tymi swoimi niewymawialnymi nazwiskami też byli straszni. Przed rokiem zwichnął sobie rękę i w szpitalu trafił mu się hinduski konował: nie chciał mu nawet podać środka przeciwbólowego!

Pewnie wziął go za fakira, takiego, co to potrafi odpędzić ból myślą. Gdyby nie ta przeklęta ręka, dałby facetowi w mordę.

Zerknął na paszport i gestem ręki przepuścił ją dalej. Ją i jej zasmarkane bachory. Pachniała szafranem albo czymś takim. Głupia zdzira.

Młoda, dziobata Rosjanka. Nazwisko niemieckie, więc pewnie Żydówka. Mafia? To już nie jego broszka.

Francuski do szpiku kości Francuz z żoną. Pewnie jechali na urlop.

I kolejna kropka w sari. Gayatri coś tam, w każdym razie nie do wymówienia. Trzeci Świat, kurwa, nic tylko curry.

Mężczyźni też nie pasowali. Byli albo za starzy, albo za grubi, albo za młodzi, albo za niscy.

Pech. Koniec nadziei na szczęśliwy dzień.

Anna usiadła w fotelu, poprawiła sari i po raz kolejny powtórzyła w myśli swoje nazwisko: Gayatri Chandragupta. Wolałaby się nie pomylić, gdyby ktoś o nie spytał. Włosy miała zaczesane do góry i gdy zobaczyła w szybie swoje odbicie, prawie siebie nie poznała.

Rozdział 34

Buenos Aires

Anna niecierpliwie spojrzała w okno. Wychodziło na spokojny, wysadzany drzewami Plaza Libertador General San Martin. Kiedyś była tam arena, na której walczono z bykami, potem targ niewolników, a teraz nad placem górował pomnik generała Jose de San Martina na koniu. Na dworze bezlitośnie prażyło słońce, ale w klimatyzowanych wnętrzach przedstawicielstwa American Express było niemal lodowato. Cicho i lodowato.

–Senorita Acampo?

Odwróciła głowę. Stał przed nią szczupły mężczyzna w obcisłej, granatowej kurtce i stylowych okularach w grubej czarnej oprawce.

–Bardzo mi przykro, seniorita, ale nie możemy jej znaleźć.

–Jak to? – Przeszła na hiszpański, żeby uniknąć nieporozumień. – *Esta registrado que lo recibió?*

–Tak, madame, przyszła, ale nie możemy jej znaleźć.

Myślała, że dostanie szалу, ale to już było coś. Ten poprzedni uparcie twierdził, że żadna przesyłka do niej nie przyszła.

–Chce pan powiedzieć, że ją zgubiliście?

Urzędnik nerwowo wzruszył ramionami.

–Przesyłka z Waszyngtonu, sprawdzałem w komputerze. Przyszła wczoraj, ale potem... nie wiem. Proszę wypełnić ten formularz, to zaczniemy jej szukać. Jeśli nie znajdziemy, będzie miała pani prawo do odszkodowania.

Niech to szlag! Posiali ją? Niemożliwe. Bardziej prawdopodobne było to, że ktoś ją ukradł. Ale kto i dlaczego? Kto wiedział, co jest w środku? Kto dostał cynk, żeby to sprawdzić? Denneen? Denneen ją wsypał? Wykluczone. Pewnie założyli mu podsłuch, i tyle. Możliwość było bez liku, lecz fakt pozostawał faktem: jeśli przesyłkę skradziono, ten, kto to zrobił, wiedział już, kim Anna jest. I po co tu przyjechała.

Argentyńska placówka Interpolu mieściła się w kwaterze głównej Policja Federal Argentina przy Suipacha. Jej dyrektorem był niejaki Miguel Antonio Peralta, *Jefe Seccion Operaciones*, a na drzwiach jego gabinetu wisiała tabliczka z napisem: Subcomisario Departamento Interpol. Peralta był gruby. Miał pulchne ramiona i wielką, okrągłą głowę. Nieliczne kosmyki rzadkich, czarnych włosów na jej czubku miały zasłonić łysinę, tymczasem jeszcze bardziej ją podkreślały.

W jego błyszczącym od lakierowanego drewna gabinecie roiło się od dowodów uznania za zasługi dla Interpolu. Na ścianach wisiały dziesiątki plaketek i pamiątkowych tabliczek od wdzięcznych policjantów z całego świata, krucyfiksy, dyplomy, obrazki świętych oraz oprawione w ramki błogosławieństwo dla jego rodziny od samego papieża. W oczy rzucało się również zdjęcie jego ojca, też policjanta. Zdjęcie było w sepii i oprawiono je w antyczne, srebrne ramki.

Przesłonięte idealnie okrągłymi okularami jaszczurcze oczy Peralty były niemal senne. Na lśniącym biurku leżał jego pistolet w skórzanej kaburze, widać, że starej, lecz troskliwie zadbanej.

–Doskonale pani wie, że dla słusznej sprawy zrobimy wszystko, co w naszej

mocy. – Był jowialny i nienagannie uprzejmy.

–Jak już wspominała panu moja asystentka – odrzekła Anna – CBS znalazło się w bardzo kłopotliwej sytuacji. Jeszcze chwila i ci z *Dateline* go namierzą. Jeśli dotrą do niego pierwsi, trudno, ale nie byłabym tym, kim dzisiaj jestem, gdybym robiła za popychadło. Mój argentyński producent uważa, że z pańską pomocą może nam się udać.

–Naszym narodowym sportem jest futbol, po waszemu piłka nożna – odrzekł Peralta. – Rozumiem, że taką samą rolę odgrywa w Stanach telewizja.

–Można tak powiedzieć. – Anna obdarzyła go uśmiechem i założyła nogę na nogę. – I nie chcę bynajmniej zdyskredytować moich kolegów z *Dateline*. Oboje dobrze wiemy, jaką historyjkę nakręca. Stara melodia: Argentyna to zacofany kraj, który udziela schronienia tym złym, potwornym ludziom. Zrobią tanią szmirę i znowu się po was przejadą. My jesteśmy inni. Chcemy stworzyć coś bardziej wysublimowanego i moim zdaniem celniejszego. Chcemy pokazać światu nową Argentynę. Kraj, gdzie ludzie tacy jak pan pilnują, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Kraj nowoczesnych sił policyjnych, ale w pełni demokratyczny. – Zrobiła nieokreślony gest ręką. – I tak dalej. – Posłała mu kolejny uśmiech. – Pańskie wysiłki jako konsultanta zostaną oczywiście odpowiednio wynagrodzone. A więc? Nawiążemy współpracę?

–Naturalnie – odrzekł Peralta, rozciągając w uśmiechu cienkie usta. – Jeśli ma pani dowód, że Josef Strasser mieszka w Buenos Aires, proszę mi tylko go przedstawić. – Żeby podkreślić, jakie to proste, dźgnął powietrze srebrnym piórem Crossa. – To wystarczy.

–Panie komisarzu. My czy oni, ten materiał i tak ktoś nakręci. – Anna przestała się uśmiechać. – Pytanie tylko jak. Czy będzie to opowieść o jednym z pańskich sukcesów czy o jednej z pańskich porażek. Nie wierzę. Przecież musicie mieć jego akta. Musicie mieć coś, co wskazywałoby, że on tu jest. Chyba nie wątpi pan, że ten człowiek mieszka w Buenos Aires?

Peralta odchylił się do tyłu. Fotel zaskrzypiał.

–Panno Reyes. – Powiedział to tak, jakby miał jej zaraz sprzedać smakowitą ploteckę. – Kilka lat temu otrzymaliśmy bardzo wiarygodną informację od mieszkanki Belgrano; to jedno z naszych zamożniejszych przedmieść. Otóż widziała, jak z domu na jej ulicy wychodzi Hauptsturmfuhrer SS Alois Brunner. Natychmiast zarządziłem całodobową obserwację. I rzeczywiście, miała rację: twarz tego starca pasowała do twarzy z akt Brunnera. Zagadaliśmy go, a wówczas on pokazał nam swój stary niemiecki paszport, taki z orłem Trzeciej Rzeszy na okładce. Z orłem i wielką literą J. J jak *Jude*, Żyd. Nazywał się Katz. – Peralta pochylił się do przodu i usiadł prosto. – Jak przeprosić człowieka, który siedział w obozie koncentracyjnym?

–Tak – zgodziła się skwapliwie Anna – to potwornie żenująca sytuacja. Ale nasze informacje na temat Strassera są wiarygodne. Ci z *Dateline* robią już drugi plan, filmują wstawki. Muszą być bardzo pewni siebie.

–*Dateline, 60 Minutes, 20-20*: znam te programy. Ale skoro jesteście tacy pewni, że Josef Strasser żyje i mieszka w Argentynie, dlaczego nie na kręciliście tego filmu

wcześniej? – Przeszył ją spojrzeniem swoich jaszczurczych oczu.

Nie mogła powiedzieć mu prawdy. Nie mogła mu powiedzieć, że interesuje ją nie nazistowska przeszłość Strassera, tylko to, co robił po rozstaniu ze swoim Führerem, gdy przyłączył się do niewidzialnych architektów ery powojennej.

–W takim razie co by pan sugerował? – spytała. – Gdzie go szukać?

–Nie mam pojęcia! Gdybyśmy wiedzieli, że w Buenos Aires mieszka zbrodniarz wojenny, natychmiast byśmy go aresztowali. Ale coś pani powiem: ich już tu nie ma. – I stanowczym gestem rzucił pióro na biurko.

–Doprawdy? – Anna maznęła długopisem w notatniku.

–To już nie te czasy, panno Reyes. Stare, złe czasy, kiedy to Josef Mengele mógł mieszkać tu pod swoim własnym nazwiskiem, odeszły w niepamięć. Skończyły się też czasy Peróna i jego dyktatury. W Argentynie jest teraz demokracja. Ekstradowaliśmy Josefa Schwammbergera, Ericha Priebkego. Nie pamiętam nawet, kiedy aresztowaliśmy tutaj ostatniego nazistę.

Anna spojrzała na bezsensowne bazgroły w notatniku i przekreśliła je szybkim ruchem długopisu.

–A archiwa urzędu imigracyjnego? Nie ma tam list uchodźców, którzy przyjechali tu w latach czterdziestych i pięćdziesiątych?

Peralta zmarszczył czoło.

–Może i są. W archiwum narodowym, w departamencie migracji. Same fiszki, w dodatku ręcznie wypisane. Nasze wybrzeże ma tysiące kilometrów długości. Kto wie, ile holowników; łodzi wiosłowych czy trawlerów rybackich wylądowało tam niezauważenie przed dziesiątkami lat. Kto wie, ilu ludzi znalazło schronienie na setkach tamtejszych *estancias*, wielkich patagońskich rartczach. Wybrzeże w Patagonii to setki kilometrów odludzia. Kto by ich dzisiaj znalazł?

Ponownie dźgnął powietrze, tym razem palcem.

–A potem, w 1949 roku, Peron zarządził amnestię dla wszystkich tych, którzy przybyli do Argentyny pod fałszywym nazwiskiem. Dlatego nie wierzę, żeby znalazła pani jakąś wzmiankę o Strasserze, nawet jeśli ten człowiek tu mieszka. Może popyta pani w Bariloche? To górską miejscowość wypoczynkowa. Niemcy ją uwielbiają, bo przypomina im ukochaną Bawarię. Ale nie miałbym zbyt wielkich nadziei. Strasznie mi przykro, że panią rozczarowałem.

Dwie minuty po jej wyjściu Miguel Antonio Peralta podniósł słuchawkę telefonu.

–Mauricio? Przed chwilą miałem wielce interesującego gościa.

Na dziesiątym piętrze nowoczesnego budynku w Wiedniu wrzała praca. Ekipa remontowa rozbierała gipsowe ściany „repcji” i „sali konferencyjnej” i zwoziła je na dół windą towarową. Po ścianach przyszła kolej na stół konferencyjny, metalowe biurko oraz sprzęt biurowy, łącznie z niepodłączonymi do sieci telefonami i sprawnym komputerem.

Beznamiętnie przypatrywał się temu mile wyglądający mężczyzna w średnim wieku. Był Amerykaninem i od dziesięciu lat świadczył na całym świecie usługi, których sensu i znaczenia nie rozumiał. Nie znał też dyrektora zatrudniającej go firmy, nie wiedział nawet, jak się nazywa. Wiedział jedynie, że człowiek ten jest

wspólnikiem właściciela budynku, który chętnie udostępnił im te pomieszczenia.

To, co robili, przypominało rozbieranie dekoracji w teatrze.

–Hej, panowie! – zawołał – Nie zapomnijcie o godle. Zdejmijcie je i zostawcie.

Może nam się przydać.

Nowy Jork

Dr Walter Reisinger, były sekretarz stanu USA, odebrał telefon w limuzynie sunącej powoli zatłoczonymi ulicami nowojorskiego East Side'u. Był wczesny ranek i na Manhattanie panował duży ruch.

Dr Reisinger nie lubił telefonów, co było prawdziwym utrapieniem, ponieważ ostatnimi czasy musiał nieustannie z nich korzystać. Jako właściciel Reisinger Associates, międzynarodowej firmy konsultingowej, pracował dłużej i znacznie intensywniej niż jako sekretarz stanu.

Przed laty martwił się w duchu, że kiedy przejdzie na emeryturę i spisze już swoje pamiętniki, zostanie zepchnięty na margines. Ludzie powoli o nim zapomną, ot, raz na jakiś czas ci z *Nightline* zaproszą go do programu, a ci z „New York Timesa” zaproponują mu napisanie głupiego eseju czy komentarza.

Tymczasem stał się jeszcze bardziej znany, a już na pewno bogatszy. Podróżował po świecie częściej niż za czasów, kiedy jako dyplomata musiał nieustannie bywać na Bliskim Wschodzie.

Wcisnął guzik.

–Tak?

–Dzień dobry, panie doktorze. Mówi Holland.

–Aaaa, witam pana, witam – odrzekł wylewnie Reisinger. Rozmawiali bardzo krótko. – Nie widzę żadnego problemu – powiedział Reisinger. – Mam dobrych przyjaciół niemal we wszystkich rządach świata, ale najrozsądniej będzie zwrócić się bezpośrednio do Interpolu. Zna pan sekretarza generalnego? Niezwykle interesujący człowiek. Zaraz do niego zadzwonię.

Pacjent numer osiemnaście miał zamknięte oczy, a z jego ramienia sterczała rurka kroplówki. Od rozpoczęcia kuracji nieustannie się trząsał. Miał też silne mdłości i co jakiś czas wymiotował do stojącej przy łóżku miski. Obserwowała go pielęgniarka i technik.

Do sali wszedł lekarz, doktor Lofquist.

–Jak gorączka? – spytał. Rozmawiali po angielsku. Chociaż pracował w klinice od wielu lat, wciąż posługiwał się tym językiem lepiej niż niemieckim.

–Nie spada – odrzekła nerwowo pielęgniarka.

–Wymiotuje?

–Regularnie.

Lofquist spojrzał na pacjenta i spytał:

–Jak się pan czuje?

Pacjent numer osiemnaście cicho jęknął.

–Szlag by to, bolą mnie oczy.

–Tak, to normalne – odrzekł lekarz. – Pański organizm próbuje walczyć. Typowa reakcja.

Pacjent zasłonił ręką usta, pochylił się nad miską i wymiotował. Pielęgniarka otarła mu wilgotną myjką usta i podbródek.

–Pierwszy tydzień jest najtrudniejszy – rzucił wesoło Lofquist. – Znakomicie pan sobie radzi.

Rozdział 35

Nuestra Senora de la Merced, zbudowana na włoską modłę bazylika pod wezwaniem Naszej Litościwej Pani, stała przy wiecznie zatłoczonej Calle Defensa, naprzeciwko denerwująco nowoczesnego i rzucającego się w oczy gmachu Banco de Galicia. Jej granitowa fasada zaczynała się już kruszyć. Za ogrodzeniem z kutego żelaza był dziedziniec, czarno-biała szachownica kamiennych płyt, wytartych już i spękanych. Na dziedzińcu zebrała Cyganka z dziećmi.

Siedziała na schodach, opierając się plecami o roztrzaskaną podstawę kolumny. Była w dżinsach i miała czarne, związane z tyłu włosy. Dzieci wchodziły jej na kolana i kłębili się u jej stóp. W głębi dziedzińca drzemał starzec w kurtce i krawacie. W rękę trzymał kule i miał opaloną łysinę.

Ben obserwował ich przez chwilę, po czym zgodnie z poleceniem, punktualnie kwadrans po pierwszej, wszedł do kruchty, pchnął wahadłowe drzwi i znalazł się w przedsionku, gdzie pachniało woskiem i potem. Gdy oczy przywykły do panującego tam mroku, stwierdził, że bazylika jest olbrzymia, surowa i zapuszczona. Miała wysoki romański sufit i podłogę wyłożoną pięknymi, starymi, enkaustycznymi płytkami. Zewsząd dobiegał monotony, elektronicznie wzmocniony głos zawodzącego po łacinie księdza, któremu skwapliwie odpowiadali uczestniczący w nabożeństwie wierni. Zawołanie i odzew. Zawołanie i odzew. I wstajemy.

Środek tygodnia, środek dnia, a w kościele tłum. Niesamowite. To Argentyna, pomyślał. Katolicki kraj. Tu i ówdzie cicho dzwoniły telefony komórkowe. Ben rozejrzał się i po prawej stronie dostrzegł kaplicę.

Kilka rzędów ław, zakrwawione ciało Chrystusa w przeszklonym tabernakulum i wypisane na szkle słowa: Humilidad y Paciencia. Po lewej stronie kolejna figura Jezusa i napis: Sagrado Corazon en vos Confio. Ben usiadł w pierwszej ławie. Teraz pozostało mu tylko czekać.

Obok młodej blondynki w mini i szpilkach modlił się ksiądz w ornacie. Co chwilę skrzypiały i trzaskały wahadłowe drzwi, wpuszczając do środka gardłowy ryk przejeżdżających przed bazyliką motocykli. Ilekroć trzaskały, Ben odwracał głowę. Który to? Ten? Może tamten? W przedsionku stanął biznesmen z telefonem komórkowym w rękę. Przeżegnał się, wszedł do niszy – może to on? – dotknął stóp drewnianego Jezusa, zamknął oczy i zaczął się modlić. Znowu śpiew, znowu elektronicznie wzmocniona łacina. Ben czekał.

Bał się, lecz robił wszystko, żeby tego po sobie nie okazywać.

Kilka godzin wcześniej zadzwonił pod numer z akt Sonnenfelda – numer, który należał kiedyś do wdowy po Lenzu.

Okazało się, że jest wciąż aktualny.

Wdowa najwyraźniej się nie ukrywała, lecz to nie ona podeszła do telefonu. W słuchawce zabrzmiał szorstki, wrogi baryton jakiegoś mężczyzny. Powiedział, że jest jej synem. Brat Lenza? Może przyrodni?

Ben przedstawił się jako prawnik z nowojorskiej kancelarii – „fundusze powiernicze i nieruchomości” – który przyjechał do Buenos Aires, żeby uregulować sprawę olbrzymiego spadku. Nie, nie mógł ujawnić nazwiska zmarłego. Mógł jedynie

powiedzieć, że nieboszczyk zapisał Verze Lenz bardzo dużo pieniędzy i uprzedzić, że przed ich odbiorem spadkobierczyni musi załatwić szereg formalności, stąd konieczność spotkania.

Syn długo milczał, zastanawiając się, co zrobić. Wówczas Ben dodał rzecz pozornie bez znaczenia, która okazała się jednak decydująca.

–Przyleciałem z Austrii -powiedział. Żadnych nazwisk. Żadnych szczegółów, które można by podważyć, i które mogłyby go zdradzić. I ani słowa o jej synu. Im mniej słów, rym lepiej.

–Nie znam pana – odparł w końcu tamten.

–Ani ja pana. Jeśli to jakiś kłopot, dla pana czy pańskiej matki...

–Nie, nie – odrzekł pospiesznie syn Very Lenz i zgodził się spotkać z nim w bazylice. Ben – „Pan Johnson” – miał przyjść tam o określonej godzinie, odszukać określoną kaplicę i usiąść w określonej ławce.

Więc siedział teraz tyłem do Wejścia, odwracając się za każdym skrzypnięciem drzwi i za każdym dobiegającym z ulicy hałasem.

Minęło pół godziny.

Czyżby to była pułapka? Ksiądz spojrzał na niego i bez słowa podał mu woskową świeczkę.

–Nie, dziękuję – mruknął Ben i ponownie spojrzał za siebie.

Weszła grupa turystów z aparatami fotograficznymi i zielonymi przewodnikami w rękę, Ben popatrzył na Chrystusa za szkłem i stwierdził, że ksiądz przysunął się bliżej. Wysoki, śniady, łysawy i szeroki w barach, mógł mieć pięćdziesiąt kilka lat.

–Proszę za mną, panie Johnson – rzucił przyciszonym barytonem.

Ben wstał, wrócił do nawy, potem skręcił w biegnące wzdłuż kamiennej ściany puste przejście. Dotarli niemal do apsydy.

Małe, prawie niewidoczne drewniane drzwi. Ksiądz otworzył je i weszli do ciemnego pokoju. W środku było wilgotno i załatywało pleśnią. Ksiądz pstryknął włącznikiem i pod sufitem zapłonęła słaba, żółtawa żarówka. Szatnia. Kilka obdrapanych drewnianych krzeseł, wieszak, na wieszaku komże i ornaty.

Duchowny celował do niego z rewolweru.

Ben struchlał.

–Jest pan czysty? – spytał tamten zaskakująco uprzejmym głosem. – Ma pan przy sobie broń? Może magnetofon? Albo mikrofon?

Strach ustąpił miejsca złości.

–Tak, telefon komórkowy. To śmiertelnie niebezpieczne urządzenie.

–Można? Zwrócę go panu po rozmowie.

Ben podał mu telefon. Ksiądz obszukał go wolną ręką. Wszędzie: z przodu, z tyłu, pod pachami, obmacał mu nawet nogi i kostki u nóg. Zrobił to szybko i fachowo.

–Ma pan przy sobie paszport albo jakiś inny dokument?

Ben podał mu paszport na nazwisko Michela Johnsona oraz wizytówkę.

Wczesnym rankiem wstąpił do drukarenki przy Avenue 9 de Julio i złożył ekspresowe zamówienie. Godzinę później miał w kieszeni pięćdziesiąt wizytówek na nazwisko fikcyjnego współlnika fikcyjnej kancelarii prawniczej na Manhattanie.

Ksiądz otworzył paszport.

–Niech pan posłucha – rzucił gniewnie Ben. – Nie mam czasu na głupoty. I niech pan schowa ten cholerny rewolwer.

Nie zwracając na niego uwagi, duchowny wskazał drzwi. – Tędy.

Maleńkie podwórze, oślepiające słońce i rozsuwane drzwi czarnej furgonetki bez okien z tyłu.

–Zapraszam. – Lufa rewolweru wskazała drogę: do furgonetki.

–Przykro mi, ale nic z tego. – Syn wdowy po Lenzu? Mało prawdopodobne.

Zupełnie nie przypominał Jurgena, który musiał być jego przyrodnim bratem.

Ksiądz wściekle błysnął oczami.

–W takim razie proszę, może pan odejść. Ale jeśli chce się pan zobaczyć z moją matką, musi pan zrobić to, co każę. Przyjeżdżają do nas różni ludzie – dodał łagodniejszym tonem. – Najczęściej dziennikarze, ale bywają też łowcy nagród, uzbrojeni szaleńcy, agenci Mossadu. Grożą jej, chcą się dowiedzieć, gdzie jest Lenz. Przez wiele lat ludzie nie wierzyli, że umarł.

Myśleli, że to jakaś sztuczka, że ich nabrał, jak Mengele. Matka widuje się tylko z tymi, których najpierw sprawdzę.

–Powiedział pan „Lenz”? On nie jest pańskim ojcem?

Ksiądz łypnął na niego spode łba.

–Mój ojciec się z nią ożenił. Przeżyła i jednego, i drugiego. To silna kobieta. A ja się nią opiekuję. Proszę wsiąść.

Loteria. Wszystko jest loterią. Nie zaszedł tak daleko, żeby się teraz wycofywać. Ten człowiek mógł doprowadzić go w końcu do prawdy. Przyjrzał mu się jeszcze raz i wsiadł do furgonetki.

Zahurkotały zasuwane drzwi. Jedynym źródłem światła była teraz maleńka, płonąca pod sufitem lampka. Nie licząc dwóch rozkładanych siedzeń, z tyłu furgonetki było zupełnie pusto.

Wszystko jest loterią.

Co ja robię?

Zawarczał silnik, głośno zazgrzytała skrzynia biegów.

Właśnie tak likwidują ludzi. Nie znam go. Nie wiem, czy naprawdę jest księdzem. Może należy do jednej z tych grup, o których wspominał Sonnenfeld. Tych, co to ochraniają starych nazistów.

Dwadzieścia minut później furgonetka zatrzymała się. Ponownie zahurkotały drzwi i zobaczył brukowaną ulicę, pocętkowaną plamami słońca wiszącego nad zielonym baldachimem drzew. Dwadzieścia minut; wciąż byli w Buenos Aires, chociaż ulica wyglądała zupełnie inaczej niż ulice w śródmieściu. Cicha i spokojna, rozbrzmiewała śpiewem ptaków. Z oddali dochodziły ledwo słyszalne dźwięki fortepianu.

Nie, chyba jednak mnie nie zabije.

Zastanawiał się, co by powiedziała na to Anna. Na pewno byłaby przerażona, że tak bardzo ryzykował. I miałaby rację.

Stali przed piętrowym domem z cegły, niezbyt dużym, lecz ładnym. Półokrągła dachówka, drewniane okiennice. Wszystkie były zamknięte. Dźwięki fortepianu –

sonata Mozarta- zdawały się dochodzić właśnie stamtąd, z wnętrza domu. I dom, i maleńkie podwórze otaczało ogrodzenie z kutego w serpentyny żelaza.

Ksiądz pomógł mu wysiąść. Albo schował rewolwer, albo – co mało prawdopodobne – zostawił go w szoferce. Podszedł do furtki, wcisnął guzik domofonu i wprowadził kod. Zabrzęczał elektryczny zamek.

W środku było chłodno i ciemno. Dźwięki fortepianu dochodziły z pokoju naprzeciwko drzwi. Falszywa, szybko poprawiona nuta: to nie płyta. Ktoś tam grał, i to z wielką wprawą. Wdowa?

Weszli. Mały salon. Wypełnione książkami półki, wschodni dywan na podłodze. Przy Steinweyu siedziała maleńka, przygarbiona, podobna do ptaka staruszka. Nie zauważyła ich. Usiedli na brzydkiej, niewygodnej sofie i w milczeniu czekali.

Wreszcie skończyła. Jej ręce zawisły nad klawiaturą i afektowanym gestem koncertmistrza, powoli opadły na kolana. Odwróciła się. Miała zapadnięte oczy i obwisłą skórę na szyi. Jej twarz była pomarszczona jak suszona śliwka. Musiała dobijać dziewięćdziesiątki.

Ben zaklaskał.

–*Quien es este?* – zapytała słabym, drżącym i chrapliwym głosem.

–Mamo, to jest pan Johnson – odrzekł ksiądz. – Panie mecenasie, to jest moja macocha.

Ben podszedł bliżej i uścisnął jej kruchą dłoń.

–A ja mam na imię Francisco – dodał ksiądz.

–*Póngame en una silla cómoda* – powiedziała staruszka.

Francisco pomógł jej usiąść w fotelu.

–Przyjechał pan z Austrii? – spytała całkiem przyzwoitą angielszczyzną.

–Tak, z Wiednia.

–Po co?

Ben już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie zdążył.

–Pan jest z firmy? – spytała lękliwie.

Z firmy? Miała na myśli Sigmę? Jeśli tak, musiał skłonić ją do mówienia.

–Frau... Frau Lenz, boję się, że nie jestem tym, za kogo się podałem...

Rozwścieczony Francisco przeszył go wzrokiem.

–Zabiję!

–Widziałem się z Jurgenem Lenzem – ciągnął Ben, nie zwracając na niego uwagi.

– Prosił mnie, żebym panią odwiedził. – Niczego nie wyjaśniać. Wspomnieć o Austrii i o tym, że zdobył zaufanie Jurgena. Tyle. Jeśli tamci zaczną drażnić, będzie improwizował. Nabierał już wprawy. – Żebym panią odwiedził i ostrzegł, że grozi pani poważne niebezpieczeństwo.

–Nie jestem Frau Lenz – odrzekła wyniośle staruszka. – I to od ponad trzydziestu lat. Nazywam się Acosta. Senora Acosta.

–Przepraszam.

Jej wyniosłość ustąpiła miejsca strachowi.

–Dlaczego Lenz pana przysłał? Czego ode mnie chce?

–Senora, proszono mnie...

–Dlaczego? – powtórzyła podniesionym głosem. – Dlaczego? Pan jest z Semmering? Przecież nie zrobiliśmy nic złego! Nie złamaliśmy umowy! Zostawcie nas w spokoju!

–Nie! – krzyknął ksiądz. – Nic mu nie mów!

Umowy? O co jej chodziło? Umowa... To, na co natknął się Peter?

–Senora Acosta, pani syn prosił mnie.

–Mój syn? – wychrypiała staruszka.

–Tak, pani syn.

–Mój syn z Wiednia?

–Tak. Jurgen Lenz.

Ksiądz wstał.

–Kim pan jest?

–Powiedz mu, Francisco, powiedz – zapiszczała staruszka. – Francisco jest moim pasierbem. Pasierbem z drugiego małżeństwa. Ja nigdy nie miałam dzieci. – Jej twarz wykrzywił grymas strachu. – Nie mam żadnego syna!

Ksiądz nachylił się złowieszczo w jego stronę.

–Łżesz – warknął. – Najpierw zelgałeś, że jesteś prawnikiem od spadków, a teraz znowu kłamiesz!

Benowi zawirowało w głowie, lecz szybko się opanował. – Nie ma pani syna? W takim razie cieszę się, że tu jestem. A już myślałem, że przylatując do Buenos Aires, stracę tylko czas i pieniądze. Ksiądz zerknął na niego spode łba.

–Kto cię tu przysłał?

–On nie jest z firmy! – zaskrzeczała macocha.

–No właśnie! – odrzekł triumfalnie Ben. – Kto? Chciałbym to wreszcie wyjaśnić. A więc Jurgen Lenz z Wiednia, który podaje się za pani syna, nie jest pani synem, tak? W takim razie kim on jest?

Staruszka już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, lecz ksiądz spiorunował ją wzrokiem.

–Nic nie mów! – rozkazał. – Milcz!

–Nie mogę o nim rozmawiać! – wychrypiała Senora Acosta – Francisco, dlaczego on wypytuje mnie o Lenza? Po co go tu zaprosiłeś?

–To kłamca i oszust! – krzyknął Francisco. – Gdyby był posłańcem, Wiedeń by nas uprzedził! – Sięgnął za siebie, wyszarpnął zza pasa rewolwer i wycelował mu w czoło.

–Co z ciebie za ksiądz? – spytał cicho Ben. To nie ksiądz. Żaden ksiądz nie przystawiłby mu do głowy rewolweru.

–Jestem sługą bożym i bronię mojej rodziny. Wyjdź stąd. Natychmiast. W tej samej chwili Bena olśniło. Przecież to oczywiste, pomyślał.

–Pani mąż założył drugą rodzinę, tak? Miał syna z inną kobietą.

–Nie jest pan tu mile widziany. – Francisco machnął rewolwerem. – Proszę wyjść.

–Gerhard Lenz nie miał dzieci! – krzyknęła staruszka.

–Cicho! – zagrmiał Francisco. – Dość! Nic więcej nie mów!

–Podaje się za syna Gerharda Lenza... – powiedział Ben jakby do siebie. – Po co,

u licha, miałyby podawać się za syna... potwora?

–Wstawaj! – warknął Francisco.

–Gerhard Lenz nie umarł w Buenos Aires, prawda?

–Co pan plecie? – spytała staruszka.

–Jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz, zabiję! – syknął Francisco.

Ben posłusznie wstał i spojrzał na skuloną w fotelu starowinkę.

–A więc pogłoski były prawdziwe. Nie pochowano go na cmentarzu Chacarita w sześćdziesiątym pierwszym. Uciekł z Buenos Aires, umknął swoim prześladowcom...

–On umarł! – krzyknęła histerycznie staruszka. – Tutaj! Byłam na jego pogrzebie!

Rzuciłam garść ziemi na jego trumnę!

–Ale zwłok pani nie widziała, prawda?

–Wynoś się! – rozkazał Francisco.

–Dlaczego on to wszystko mówi? – załkała jego macocha. – Dlaczego? W tym samym momencie zadzwonił telefon na kredensie. Nie spuszczając go z muszki, Francisco gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę.

–Si?

Korzystając z jego chwilowej nieuwagi, Ben przesunął się bokiem w stronę kredensu.

–Muszę skontaktować się z Josefem Strasserem – szepnął. – Gdzie go szukać?

–Gdyby przysłali pana ci z Wiednia, wiedziałby pan, jak go znaleźć – fuknęła staruszka. – Pan kłamie!

A więc Strasser żył! Żył!

Nie przestając z nią rozmawiać, Ben sunął powolutku w stronę księdza.

–Mnie też okłamano! Mnie też próbowano zrobić! – Nie było żadnego sensu, żadnych dokładniejszych wyjaśnień, w tym, co mówił, lecz on chciał jedynie zbić ją z tropu, jeszcze bardziej ją zdenerwować.

–No to już wszystko wiemy – powiedział Francisco, odkładając słuchawkę. – Dzwonili z Wiednia. Ten człowiek jest oszustem. – Spojrzał na Bena. – Okłamał nas pan, panie Hartman! – Mówiąc to, zerknął na drzwi i w tej samej chwili Ben zaatakował. Chwytał go za uzbrojoną w rewolwer rękę, ze wszystkich sił ją wykręcił, jednocześnie uderzył go pięścią w gardło. Przerażona staruszka głośno krzyknęła. Zaskoczony Francisco wrzasnął z bólu. Rewolwer zaklekotał na podłodze.

Ben zacisnął palce na szyi przeciwnika i jednym potężnym ruchem pchnął go na dywan, czując, jak pod skórą przesuwają się stercząca chrząstka krtani. Ksiądz zacharczał, zachrypiał. Leżał z nienaturalnie przekrzywioną głową, wierzgając, próbując wstać, wyszarpnąć spod siebie przygniecioną do podłogi rękę. Walczył ze wszystkich sił, walczył o każdy oddech. Jego macocha przytknęła ręce do twarzy i w dziwnym obronnym geście odwróciła je wnętrzem dłoni do nich.

Rewolwer! Weź rewolwer!

Jeszcze mocniej zacisnął palce na gardle szamoczącego się księdza i wbił mu kolano w brzuch. Trafił w splot słoneczny, tam gdzie chciał, i sparaliżowany ciosem Francisco gwałtownie wypuścił powietrze. Ben błyskawicznie chwycił rewolwer, odwrócił się i przytknął mu lufę do głowy.

Odciągnął kurek.

–Jeden ruch i będzie po tobie!

Ksiądz bezwładnie opadł na dywan.

–Nie! – wykrztusił.

–Odpowiadaj na pytania! I jeśli chcesz żyć, mów prawdę!

–Proszę, nie! Jestem sługą bożym.

–Jasne – warknął z pogardą Ben. – Strasser. Gdzie on mieszka?

–On... Nie wiem. Błagam, moje gardło!

Ben rozluźnił palce na tyle, żeby Francisco mógł normalnie oddychać i mówić.

–Gdzie jest Strasser? – zagrzemiał.

Francisco rozpaczliwie chwycił ustami powietrze. – Nie wiem... Nie wiem, jak go znaleźć. Wiem tylko, że mieszka w Buenos Aires! – Spomiędzy jego nóg wypłynął strumyczek moczu.

–Łżesz! – ryknął Ben. – Dasz mi jego namiary albo twoja macocha zostanie bez opieki!

–Nie, proszę!– zapiszczała staruszka, wciąż kuląc się w fotelu.

–Jeśli mnie zabijesz – wycharczał ksiądz – nie ujdiesz z życiem! Znajdą cię, dopadną... Będziesz żałował, że żyjesz!

–Adres Strassera!

–Nie znam jego adresu! Błagam! Nie wiem, jak się z nim skontaktować!

–Nie kłam. Znasz go. Macie tu jakąś siatkę. Gdybyś musiał się z nim zobaczyć, dotarłbyś do niego natychmiast!

–Ja jestem nikim! Nic dla nich nie znaczę! Zabij mnie! I tak cię znajdą! Oni? – pomyślał Ben. Ciekawe. Jacy oni?

–Kim jest Jurgen Lenz? – Przytknął mu lufę do czoła. Pocięło kilka kropel krwi. Metal przebił skórę.

–On... Proszę, on jest potężny, on... To jego dom, jego własność. Człowiek, który podaje się za Jurgena Lenza, jest...

–Kim?

–Odlóż broń i puść go.

Hiszpański akcent, niski, spokojny głos. Dochodził z tyłu, od drzwi. Stał tam wysoki mężczyzna z obrzynem. Był w grubych, zielonych spodniach i roboczej koszuli. Szeroka pierś, atletyczna budowa ciała: wyglądał na trzydzieści, trzydzieści parę lat.

–Roberto, na pomoc! – krzyknęła wdowa. – Ratuju Francisca! Wyrzuć stąd tego człowieka!

–Czy mam go zabić, senora? – spytał Roberto.

Jego postawa i mina mówiły, że zrobiłby to bez mrugnienia okiem. Ben zawahał się. Co teraz? Miał zakładnika – wciąż trzymał go na muszce – mimo to wiedział, że nie byłby w stanie pociągnąć za spust. A nawet gdyby, tamten zabiłby go tak czy inaczej.

Blefuj, pomyślał. Zawsze możesz blefować.

–Roberto! – zaskrzeczała staruszka. – Na co ty czekasz?

–Odlóż broń, bo wystrzelę – rzucił mężczyzna z obrzytnym. – Ta kreatura – ruchem głowy wskazał księdza – nic mnie nie obchodzi.

–Ciebie może nie, ale ją tak – odrzekł Ben. – Opuścimy broń jednocześnie.

–Dobrze. Przestań celować mu w głowę, wstań i wyjdź. Jeśli chcesz żyć. – Opuścił broń. Ben powoli wstał i opuścił swoją.

–A teraz idź do drzwi.

Szedł tyłem, w jednej ręce ściskając rewolwer, drugą macając wokoło jak ślepiec. Roberto szedł za nim aż do korytarza, ani razu nie podnosząc; strzelby.

–Chcę tylko, żebyś stąd wyszedł – powiedział spokojnie. – Jeśli kiedykolwiek zobaczę cię w pobliżu tego domu, będę strzelał bez ostrzeżenia.

Wyczerpany i poniżony Francisco zdążył już usiąść. Ben wyszedł za drzwi – albo nie zamknął ich ksiądz, albo wszedł nimi Roberto – i szybko je zatrzasnął.

Kilka sekund później pędził już ulicą.

Anna zapłaciła taksówkarzowi i weszła do małego hotelu przy cichej, spokojnej ulicy w dzielnicy La Recoleta. Czuła się trochę nieswojo. W miejscach takich jak to podróżująca samotnie kobieta rzucała się w oczy.

Konsjerż powitał ją po nazwisku, co ją zaniepokoiło. Przyjechali tu osobno, on kilka godzin po niej. Pokoje rezerwowali też osobno. Z logistycznego punktu widzenia pobyt w tym samym hotelu miał sens, lecz zwiększał też ryzyko.

Przed pokojem stał wózek sprzątaczkowski. Niedobrze. Chciała zostać sama, przejrzeć akta i zatelefonować; teraz będzie musiała zaczekać. Wchodząc, zobaczyła, że sprzątaczkowska pochyla się nad jej otwartą walizką.

Że otwiera jej skórzaną teczkę z dokumentami!

Stała jak wryta. Sprzątaczkowska poderwała głowę i wrzuciła teczkę do walizki.

–Co pani, do diabła, tu robi? – warknęła Anna, podchodząc bliżej.

Oburzona sprzątaczkowska zaprotestowała po hiszpańsku, buńczucznie się wszystkiego wypierając. Anna ruszyła za nią do korytarza.

–*Eh, que haces - powtarzała. – Ven para aca! Que cuernos haces revisando mi lalija?*

Chciała odczytać jej nazwisko z identyfikatora, lecz kobieta odwróciła się nagle i popędziła jak szalona w głąb korytarza.

Nie była zwykłą złodziejką. Szperała w jej papierach. To, czy знаła angielski czy nie, nie miało żadnego znaczenia: najprawdopodobniej miała tylko ukraść dokumenty, notatki i akta.

Ktoś ją wynajął. Ale kto?

Kto mógł wiedzieć, że Anna tu jest, że przyjechała do Buenos Aires w konkretnej sprawie? Ktoś ją obserwował, tylko kto?

Kto wie, że tu jestem? Denneen. Powiedział komuś? Jakiemuś współpracownikowi?

Peralta, ten z Interpolu? Czyżby domyślił się, kim jestem? Jakim cudem?

Wyciągnęła rękę do telefonu i w tej samej chwili telefon zadzwonił. Kierownik hotelu? Chciał ją przeprosić? A może to Ben?

Podniosła słuchawkę.

–Halo?

Cisza. Nie, nie cisza: znajomy syk przesuwającej się taśmy. I głosy, najpierw ciche, potem donośniejsze i wyraźniejsze.

Poczuła się jak po zastrzyku adrenaliny.

–Kto to?

–„A archiwa urzędu imigracyjnego? Nie ma tam list uchodźców, którzy przyjechali tu w latach czterdziestych i pięćdziesiątych?” – To ona, to jej głos. A potem głos jakiegoś mężczyzny. Peralty.

Ktoś puszczał taśmę z nagraniem ich rozmowy.

Wszystko słyszeli – oni, znowu jacyś oni – dokładnie wiedzieli, kim jest i czego tu szuka.

Oszołomiona i przerażona usiadła na brzegu łóżka. Nie było już wątpliwości, że mimo środków bezpieczeństwa, jakie podjęli, ktoś ją rozgryzł i namierzył. Sprzątaczką nie działała samotnie.

Telefon zadzwonił ponownie.

Dostała gęsiej skórki. Gwałtownie podniosła słuchawkę.

–Tak?

–„Chcemy pokazać światu nową Argentynę. Kraj, gdzie ludzie tacy jak pan pilnują, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Kraj nowoczesnych sił policyjnych, lecz w pełni demokratyczny”. – Jej głos, przepuszczony przez filtry urządzenia podsłuchowego, trochę metaliczny, lecz bardzo wyraźny.

Cichy trzask.

W pośpiechu nie zamknęła drzwi. Zerwała się z łóżka i wyjrzała na korytarz. Pusto. Nikogo. Dwa razy przekręciła klucz w zamku i założyła łańcuch.

Podbiegła do okna. Grube kotary były rozsunięte i nagle zdała sobie sprawę, że może być doskonałym celem dla snajpera czatującego w oknie któregoś z domów po drugiej stronie ulicy. Szybko je zaciągnęła.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

Powoli podeszła do stolika i przytknęła słuchawkę do ucha. Tym razem się nie odezwała.

–„Jeśli dotrą do niego pierwsi, trudno, ale nie byłabym tym, kim dzisiaj jestem, gdybym robiła za popychadło”.

–Dzwońcie dalej – rzuciła, siląc się na spokój. – Właśnie was namierzamy.

Odpowiedział jej tylko monotony syk przesuwającej się taśmy. Wcisnęła widełki i wybrała numer recepcji.

–Wydzwania do mnie jakiś zboczeniec – powiedziała po angielsku.

–Zboczeniec? – nie zrozumiał recepcjonista.

–*Amenazas. Palabrotas.*

–Och, bardzo panią przepraszamy. Mam zawiadomić policję?

–Nie, proszę tylko nie łączyć żadnych rozmów.

–Dobrze, proszę pani, jak pani sobie życzy.

Myślała chwilę, potem wyjęła z torebki kartkę, którą wyrwała z notatnika w poczekalni na lotnisku Schiphol. Zapisała na niej numer telefonu prywatnego

detektywa, którego polecił jej Denneen. Twierdził, że można na nim polegać, że to dobry fachowiec, dobrze ustosunkowany, lecz stuprocentowo uczciwy.

Zadzwoniła. Jeden sygnał, drugi, trzeci...

Włączyła się automatyczna sekretarka. Sergio Machado i jego agencja. Anna powołała się na Denneena, podała swoje nazwisko i numer telefonu. Wcisnęła widełki, ponownie zadzwoniła do recepcji i poprosiła, żeby łączono ją tylko z panem Sergio Machado.

Potrzebowała kogoś zaradnego, obytego, a przede wszystkim zaufanego. Bez kogoś takiego nie można się niczego dowiedzieć, nie można do nikogo dotrzeć, chyba że ma się pewny kontakt wśród urzędników rządowych, a ona go nie miała.

Poszła do łazienki i spryskała sobie twarz wodą, najpierw zimną, potem gorącą. Zadzwonił telefon.

Szła do stolika powoli i niepewnie, jak zamroczona.

Drugi dzwonek, trzeci.

Patrzyła na telefon, nie wiedząc, co robić.

Podniosła słuchawkę.

Nie odezwała się. Czekala.

–Halo? – Głos jakiegoś mężczyzny. – Jest tam kto?

Zaschło jej w ustach.

–Tak? – rzuciła cicho.

–Pani Navarro?

–Kto mówi? – spytała, siląc się na obojętny ton.

–Sergio Machado. To pani do mnie dzwoniła? Wyszedłem na pocztę, no i oddzwaniem.

–O Boże – westchnęła z ulgą. – Przepraszam. Wydzwania do mnie jakiś zboczeniec. Myślałam, że to znowu on.

–Zboczeniec? Taki, co to dyszy do słuchawki i sapie?

–Nie, nie. Nie chcę się w to wdawać, to zbyt skomplikowane.

–Ma pani jakieś kłopoty?

–Nie. Tak. Sama nie wiem. Chyba tak. W każdym razie dziękuję, że pan oddzwonił.

David Denneen mówił, że może mi pan pomóc.

–Jasne. Postawić pani kawę? Taką dobrą, prawdziwą. W Stanach macie świństwo, nie kawę.

–Tak, bardzo chętnie – odrzekła, czując, że napięcie powoli mija.

Umówili się na wieczór, przed restauracją w pobliżu jego agencji.

–Zrobię, co będę mógł – powiedział. – Niczego więcej nie obiecuję.

–Dzięki, to mi wystarczy.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę gapiała się na telefon jak na stwora z innej planety.

Będzie musiała przenieść się z Benem do innego hotelu. Mogli śledzić ją od wyjścia z biura Interpolu. Mogli namierzyć ją już na lotnisku. Tak czy inaczej, wiedzieli, gdzie mieszka i po co tu przyjechała: taka była wymowa tych telefonów. Próbowali ją zastraszyć, to jasne.

Pukanie do drzwi.

Kolejny zastrzyk adrenaliny i momentalnie znalazła się przy ścianie. Łańcuch. Był na miejscu. Jeden koniec tkwił w prowadnicy, drugi we framudze.

Sam klucz tu nie wystarczy.

A jeśli?

Nie było judasza.

–Kto tam? – spytała.

Odpowiedział jej znajomy głos. Nigdy nie myślała, że jego brzmienie tak bardzo ją ucieszy. – To ja, Ben.

–Dzięki Bogu – mruknęła.

Rozdział 36

Ubranie miał wymięte, krawat przekrzywiony, włosy zmierzwiłone.

–Łańcuch? – rzucił. – Ty też mieszkałaś we wschodnim Nowym Jorku?

Wytrzeszczyła oczy.

–Co ci się stało?

Kiedy już zdali sobie relację z ostatnich wydarzeń, zdecydowanie oświadczyła:

–Musimy się stąd wynieść.

–I to szybko. W śródmieściu, w *centro*, jest hotel. Tani, ale podobno czarujący.

Prowadzą go brytyjscy emigranci. Nazywa się Sfinks. – Ben kupił na lotnisku przewodnik po Ameryce Południowej. Otworzył go, przerzucił kilka kartek i znalazł odpowiednią stronę. – Jest. Możemy tam od razu pojechać albo najpierw zatelefonować. Z ulicy, z mojego telefonu. Nie stąd.

Kiwnęła głową.

–Tym razem weźmiemy chyba jeden pokój. Jako małżeństwo.

–Ty tu rządzisz – odrzekł.

Czyżby dostrzegła wyraz rozbawienia w jego oczach?

–Będą szukali dwojga Amerykanów – wyjaśniła. – Amerykanów, którzy podróżują razem, lecz mieszkają osobno. Jak myślisz, długo nas będą namierzać?

–Racja. Posłuchaj, mam coś. – Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął złożoną kartkę papieru.

–Co to?

–Faks.

–Od kogo?

–Od mojego człowieka z Nowego Jorku. Lista dyrektorów Armakonu AG z Wiednia. Właściciele Vorteksu, tej małej firmy biotechnologicznej w Filadelfii, gdzie powstała neurotoksyna, którą otruto tych starców.

Anna przebiegła ją wzrokiem i szepnęła:

–Jurgen Lenz.

–Tak, jest w zarządzie. Myślisz, że to tylko intrygujący zbieg okoliczności?

Arliss Dupree po raz kolejny spojrzął na leżący przed nim dokument i po raz kolejny stwierdził, że nie może się skupić. Był to długi raport, przygotowany przez syndyka masy upadłościowej; zawierał szczegóły domniemanej korupcji wśród pracowników federalnych sądów upadłościowych. Dupree przeczytał to samo zdanie trzy razy, wreszcie odłożył raport na bok, wyszedł na korytarz i nalał sobie kolejną filiżankę niemal kwaśnej kawy z ekspresu.

Miał na głowie inne sprawy, ważniejsze. Denerwowała go ta historia z Anną Navarro. Gorzej niż denerwowała. Maksymalnie go wkurzała. Samą Navarro miał gdzieś, ale jeśli naprawdę zdradziła komuś ich tajemnice służbowe, postawiła w złym świetle jego, jej przełożonego? To było bardzo niesprawiedliwe. Nie mógł też oprzeć się wrażeniu, że całą tę aferę namotał ten przeklęty staruch z Wydziału Dochodzeń Departamentalnych, ten upstrzony starczymi plamami Bartlett. Najgorsze, że nie miał zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Kilka razy występował z oficjalną prośbą o wyjaśnienie i za każdym razem beczelnie go spławiano. Jakby w ogóle nic

nie znaczył, jakby Urząd do Badań Specjalnych nie wart był jednego grzecznego słowa. Ilekroć o tym myślał, musiał poluznić sobie krawat. To było naprawdę irytujące.

Najpierw odbierają mu tę głupią dziwkę i wysyłają, Bóg wie gdzie. Zaraz potem rozchodzi się wieść, że ta suka zdradziła, że sprzedawała informacje na lewo i prawo, wrogom i przyjaciółom, że prawdziwa z niej zaraza. Jeśli tak było – nie mógł przestać o tym myśleć -jak wyglądał w tej sytuacji on, Arliss Dupree, jej bezpośredni szef? Zawsze potrafił wyczuć, skąd wieje wiatr – od tego zależała jego kariera – dlatego wiedział, że lada chwila może wdepnąć w wielkie gówno.

O nie! Jego kariera nie legnie w gruzach ani przez tę głupią Navarro, ani przez Bartletta, którego podejrzewał o bardzo dziwne machlojki, ponieważ zarzut zdrady, jakiej Navarro miała się jakoby dopuścić, był jego zdaniem wyssany z palca. Dupree zawsze należał do tych, którzy dbają przede wszystkim o własną skórę.

Żeby przeżyć, trzeba było chwycić byka za rogi. Miał przyjaciół, którzy mogli dostarczyć mu niezbędnych informacji. Przydałoby się również odwiedzić samego Ducha: może by się wreszcie staruch skupił. Wyglądał jak delikatna smużka pary, ale władzę miał potężną. Drugi Edgar Hoover, cholera. Z takim trzeba ostrożnie. Ostrożnie, lecz stanowczo: niech wie, że z Ar-lissem Dupree się nie zadziera. Bartlett sprawdzał i prześwietlał swoich kolegów. Kiedy ostatni raz ktoś sprawdził i prześwietlił jego?

Dupree rozerwał dwie torebki cukru i wsypał ich zawartość do kawy. Wciąż smakowała paskudnie, mimo to wypił ją kilkoma siorbnięciami. Miał dużo pracy. Przy odrobinie szczęścia Duch zadławi, się dawką swojego własnego leku.

Pokój w Sfinksie był duży i jasny. Stało w nim tylko jedno podwójne łóżko. Spojrzeli na nie ukradkiem i postanowili, że rozmowę o tym, gdzie kto będzie spał, trzeba odłożyć na później.

–Wciąż nie rozumiem, skąd wiedzieli, że tu jestem i po co przyjechałam – powiedziała Anna.

–Ten z Interpolu...

–Tak, ale przesyłkę z Waszyngtonu skradziono przedtem, zanim się z nim zobaczyłam. – Stała przy oknie, poprawiając cienką, przezroczystą firankę. – Kiedy ją ukradli, dowiedzieli się, że szukam Strassera. Pytanie tylko, skąd wiedzieli, że trzeba ją ukraść? Czekał. Chyba nic nikomu nie mówiłeś?

–O tym, że lecimy razem do Buenos Aires? – Nie podobały mu się jej podejrzenia, ale jakoś to przełknął. – Nie. A ty? Dzwoniłaś do kogoś z hotelu?

Zmarszczyła czoło.

–Raz, do Waszyngtonu.

–Jeśli ma się odpowiednie dojścia, założenie podsłuchu to naprawdę nic trudnego.

Wyraźnie jej tym domysłem zaimponował.

–Tak, to by się zgadzało; Stąd wiedział o mnie ten Ostrow. Tak. Czy podczas rozmowy z Lenziem wspomniłeś, że...

–Nie, bo kiedy z nim rozmawiałem, nie wiedziałem jeszcze, że tu będę.

–Szkoda, że nie mamy jego odcisków palców. Przepuścilibyśmy je przez komputer i sprawdzili. Może jest notowany. Dał ci wizytówkę?

–Nie. Ale zaraz. Oglądał zdjęcie tych z Sigmy...

–Komu je pokazywałeś?

–Tobie. Historykowi z Zurychu. Liesl. I Lenzowi. Nikomu więcej.

–Miał je w ręku?

–O tak, obracał je na wszystkie strony. Musiał zostawić mnóstwo odcisków.

–Świetnie. Zrobię kopię, a oryginał wyślę do identyfikacji.

–Jak? Mam nieodparte wrażenie, że ci z Departamentu Sprawiedliwości cofnęli ci wszystkie uprawnienia.

–Mnie tak, ale nie Denneenowi. Jeśli uda mi się dostarczyć mu zdjęcie, przekaże je kumpłowi z innej agencji, najpewniej komuś z FBI. Na pewno coś wymyśli.

–No dobrze – odrzekł z wahaniem Ben. – Jeśli zdobędziemy dzięki temu jakieś informacje na temat Lenza albo znajdziemy morderców Petera...

–Znakomicie. Dzięki. – Zerknęła na zegarek. – Pogadamy przy kolacji. Jedziemy do La Boca. Jestem umówiona z tym detektywem, Sergio... Sergio jakimś tam.

Jechali taksówką. Prowadziła kobieta w średnim wieku. Miała tłuste, sflaczałe ramiona i była w obcisłym topie. Na desce rozdzielczej stało oprawione w ramki kolorowe zdjęcie jakiegoś dziecka, pewnie jej synka. Z lusterka zwiisał malutki mokasyn.

–Książ z rewolwerem – dumiała głośno Anna. – A ja myślałam, że stracha mają tylko dominikańskie zakonnice. – Przebrała się w szarą plisowaną spódnicę i białą bluzkę. Na pięknej, łabędziej szyi miała naszywaną perłami aksamitkę i pachniała świeżo zerwanymi kwiatami. – I powiedział, że właścicielem ich domu jest Jurgen Lenz?

–Nie. Powiedział: „człowiek, który podaje się za Jurgena Lenza”.

Wjechali do zaniedbanej robotniczej dzielnicy na południowych obrzeżach Buenos Aires. Po lewej stronie ciągnął się Riachuelo Canal, pas stojącej wody, w której gniły na wpół zanurzone wraki łodzi, czółen i kutrów. Wzdłuż kanału stały magazyny i rzeźnie.

–Powiedziała, że Gerhard Lenz nie miał dzieci? – Anna zmarszczyła brwi. – Czy ja coś przeoczyłam?

–Nie. Ten facet to Lenz i nie Lenz.

–A więc oszust. Podszywa się pod Jurgena Lenza;

–Na to wygląda.

–Tak, ale mówiłeś, że ta staruszka i jej pasierb wyraźnie się go boją.

–Jak cholera.

–Dlaczego, u licha, Jurgen Lenz miałby podawać się za syna tego nazistowskiego potwora? Przecież to nie ma sensu.

–Za Elvisa się nie podaje, to fakt. Problem w tym, że nie wiemy, jaki w Sigmie mają system, kto po kim obejmuje władzę. Może chciał w ten sposób wzmocnić swoją pozycję. Może jako syn jednego z założycieli miał lepszy start.

–Zakładając, że należy do Sigmy.

–Takie założenie jest chyba bezpieczniejsze. Poza tym, przynajmniej według Chardina, nie chodzi o to, nad czym Sigma ma władzę, tylko o to, nad czym jeszcze tej władzy nie ma.

Zapadła ciemność. Jechali przez zatłoczone, słabo oświetlone i niebezpieczne ulice. Stożące tam domy były z blachy. Ich przerdzewiałe dachy były pomalowane na różowo, czerwono i jasnozielono.

Taksówka zatrzymała się przed restauracją, w której rozbrzmiewał pijacki śmiech i głośne rozmowy gości siedzących przy trzeszczących drewnianych stołach i barowej ladzie. Na honorowym miejscu nad ladą wisiał kolorowy portret Evy Peron. Pod sufitem obracały się ospale wentylatory.

Zamówili *empanadas*, cabernet sauvignon z San Telmo i butelkę wody mineralnej. Kieliszki cuchnęły starą gąbką. Zamiast serwetek, na stoliku leżał pocięty papier śniadaniowy.

–Myślała, że jesteś z Semmering – powiedziała Anna. – Co to jest? Nazwa miejscowości czy firmy?

–Nie wiem. Pewnie miejscowości.

–Ale wspomniała też o firmie.

–Zrozumiałem, że mówi o Sigmie.

–Ale jest jeszcze inna firma. Jurgen Lenz, kimkolwiek ten facet na prawdę jest, zasiada w zarządzie Armakonu.

–Co chcesz powiedzieć temu Machado? Zaufasz mu?

–Nie. Chcę tylko, żeby znalazł dla nas Strassera.

Na deser wzięli kawę i *humitas*, krem ze słodkiej kukurydzy w kukurydzianych łupinkach.

–Ten z Interpolu też nam nie pomógł – rzucił Ben.

–Twierdził, że to niemożliwe, że Strasser nie może tu mieszkać. Mętna sprawa. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej kontrolę nad Inter polem przejęli naziści i niektórzy uważają, że nadal mają tam wielkie wpływy. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby Peralta siedział u nich w kieszeni. A ten twój ksiądz...

–Mój ksiądz uparcie powtarzał, że nie wie, jak się z nim skontaktować, ale ja mu nie wierzę.

–Daję głowę, że kiedy wyszedłeś, natychmiast do niego zadzwonił.

Ben zmrużył oczy.

–Jeśli zadzwonił... Może udałoby się nam zdobyć wykaz jego rozmów telefonicznych?

–Spytamy Machado. Może to załatwi. Sam albo przez znajomków.

–A propos. Wiesz, jak on wygląda?

–Machado? Nie, ale mamy czekać na niego przed restauracją.

Na zatłoczonej ulicy panował elektryzujący gwar i hałas: z ustawionych na chodniku głośników płynęły dźwięki arii operowej, z pobliskiego baru zaś rytmiczne dźwięki tanga. Brukowanym Caminito, szerokim pasażem spacerowym, snuli się *porteños*, przystając przed licznymi stoiskami i straganami. Anna i Ben czekali przy drzwiach. Wchodzący i wychodzący z restauracji ludzie nieustannie ich potrącali.

Nikt nie zwracał na nich uwagi, nikt ich nie przepraszał.

Za to Ben zauważył grupę młodych chłopców, ośmiu czy dziewięciu nastolatków, najwyżej dwudziestolatków: nabuzowani alkoholem i testosteronem zмирzali w ich stronę, śmiejąc się i głośno rozmawiając. Anna wymamrotała kącikim ust coś, czego nie zrozumiał. Tamci patrzyli prosto na nich, patrzyli z czymś więcej niż zwykłą ciekawością i w mgnieniu oka ich otoczyli.

–Uciekaj! – krzyknął Ben i w tym samym momencie oberwał pięścią w brzuch.

Zasłonił się rękami. Goś grzmotnęło go w lewą nerkę i wówczas rzucił się naprzód, żeby odeprzeć atak. Usłyszał krzyk Anny, lecz zdawało się, że dochodzi z dużej odległości. Otoczyli go, zablokowali: nie ulegało wątpliwości, że umieją walczyć. Nie mógł się poruszyć, a oni tłukli go, gdzie popadnie. Kątem oka zobaczył, jak Anna z zadziwiającą siłą odpycha jednego z napastników, ale w tej samej chwili chwyciło ją i przytrzymało kilku innych. Próbował się uwolnić, lecz pod gradem ciosów i kopnięć nie miał żadnych szans.

Dostrzegł błysk ostrza, które ułamek sekundy później rozplatało mu bok. Smuga gorąca, potworny ból – chwycił uzbrojoną w nóż rękę, mocno ją wykręcił i usłyszał głośny krzyk. Kopał, młócił wokoło pięściami – kilka razy zdołał nawet trafić – lecz nagle ktoś grzmotnął go łokciem w żebra, a ktoś inny wbił mu kolano w brzuch. Odebrało mu oddech, dosłownie go sparaliżowało. W tym samym momencie oberwał nogą w krocze i zgiął się wpół.

Usłyszał zawodzenie policyjnej syreny i krzyk Anny:

–Tutaj! Dzięki Bogu!

Silne kopnięcie w twarz: w ustach poczuł smak krwi. Wyrzucił przed siebie obie ręce, żeby się zasłonić, żeby chwycić napastnika za nogę i go powstrzymać. Dobiegł go czyjś krzyk, jakieś głosy i gwałtownie wstał. Zobaczył, jak dwóch policjantów pędzi z wrzaskiem w stronę atakujących go bandziorów.

Jeden z nich chwycił go za rękę.

–*Vamos, vamos por aca, que los vamos a sacar de aca!* – Chodź, chodź tu, wydostaniemy was stąd! – Ten drugi ciągnął do radiowozu Annę. Jakimś cudem zdołał tam dotrzeć. Zobaczył otwarte drzwiczki, poczuł silne pchnięcie w plecy i znalazł się w środku. Drzwiczki się zatrzasnęły i wrzask ulicznego tłumu ucichł.

–Żyje pan? – spytał policjant siedzący za kierownicą.

Ben tylko jęknął.

–*Gracias!* - powiedziała Anna. Napastnicy zerwali jej z szyi perłową aksamitkę i rozerwali bluzkę. – Jesteśmy Amerykanami... – urwała i zmarszczyła czoło. – Moja torebka. Cholera jasna. Miałam tam pieniądze.

–A paszport? – wychrypiał Ben.

–Zostawiłam w pokoju. – Radiowóz ruszył. – Boże, co to było? Ben, co z tobą?

–Nie wiem. – Koszmarny ból w kroczu powoli ustępował. W miejscu, gdzie dźgnięto go nożem, czuł lepkie ciepło. Dotknął boku. Krew. Radiowóz włączył się do ruchu i popędzili ulicą.

–To nie był przypadek – powiedziała Anna. – To był celowy atak. Zaplanowany i skoordynowany.

Ben patrzył na nią tępym wzrokiem.

–Dziękuję – powiedziała. – Gdyby nie panowie.

Tamci nie odpowiedzieli. Ben odwrócił głowę i zobaczył pleksiglasowe przepierzenie między tylnymi i przednimi siedzeniami. Usłyszał głos Anny:

–Co to jest?

Przepierzenie wyrosło jak spod ziemi, przedtem go tam nie było. Ben nie słyszał też komunikatów i trzasków policyjnego radia, a może pleksiglas po prostu je tłumił.

Anna też musiała to zauważyć, gdyż nachyliła się i zaczęła tłuc pięścią w przepierzenie. Tamci nie reagowali.

Trzasnęły zamki tylnych drzwi.

–Boże – jęknęła Anna. – To nie policja.

Szarpali klamkami – nie ustąpiły. Próbowali wyciągnąć bolce blokady -na próżno.

–Gdzie masz broń? – szepnął Ben.

–Nie mam!

Pędzili szeroką czteropasmówką, omiatani światłami nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów. Byli poza granicami miasta. Ben kilka razy grzmotnął pięścią w przepierzenie, lecz ani kierowca, ani pasażer nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi.

Zjechali z autostrady. Kilka minut później znaleźli się na ciemnej, wysadzonej topolami dwupasmówce, z której nagle skręcili w nieoświetlony zaułek wśród kępy wysokich drzew.

Zgasł silnik. Przez chwilę w samochodzie panowała głucha cisza, przerywana jedynie stłumionym warkotem przejeżdżających autostradą samochodów.

Siedzący z przodu mężczyźni zamienili ze sobą kilka słów. Jeden z nich – ten siedzący w fotelu pasażera – wysiadł i obszedł samochód. Szczęknął zamek bagażnika.

Mężczyzna wrócił z czymś, co wyglądało jak kawał płótna albo worek. W prawej ręce trzymał rewolwer. Wtedy wysiadł kierowca i wyjął z kabury broń. Otworzyły się zamki tylnych drzwi.

Kierowca – najwyraźniej on tu dowodził – szarpnął klamką tych od strony Anny i machnięciem rewolweru kazał jej wysiąść. Powoli wysiadła i podniosła ręce do góry. Kierowca cofnął się i wolną ręką zatrzaskał drzwiczki. Ben został w środku.

Opustoszała wiejska droga, broń... To była klasyczna egzekucja.

Fałszywy policjant – a może prawdziwy, co to za różnica? – podszedł do Anny i zaczął ją obszukiwać. Zaczął od pach, długo obmacywał jej piersi, potem boki, krocze -jego ręce zabawiły tam stanowczo za długo – wewnątrz ud i kostki u nóg. Uznawszy, że jest czysta, wyprostował się, włożył jej worek na głowę i związał go mocno na szyi.

Kierowca wydał jakiś rozkaz. Anna uklękła i splotła dłonie na karku.

Przerażony Ben zdał sobie sprawę, że zaraz.

–Nie!

Kierowca wydał kolejny rozkaz i jego podwładny otworzył drzwiczki. Wycelował w Bena i płynną angielszczyzną powiedział:

–Wysiadaj. Powoli.

Chwycić ją za rękę i rzucić się do ucieczki? Nie było żadnych szans. Nie z dwoma uzbrojonymi w rewolwery bandytami. Wysiadł i podniósł ręce do góry. Policjant obszukał go, z wprawą i brutalnie.

–*No esta enfierrado* – rzucił. Jest czysty. – Spojrzał na niego i dodał: – Jeden gwałtowniejszy ruch i was zabijemy. Rozumiesz?

Tak, pomyślał, rozumiem. Zabiją nas oboje.

Tamten włożył mu worek na głowę i świat pograżył się w nieprzeniknionej czerni. Worek śmierdział stajnią, uwierał go w szyję i dusił.

–Hej, nie tak mocno!

–Zamknij mordę, bo zabiję. – To ten drugi, kierowca. – Zabiję i długo nie znajdą twojego ciała, jasne?

–Posłuchaj ich, Ben – szepnęła Anna. – Nie mamy wyboru. Tamten przytknął mu coś do głowy. – Na kolana.

Ben ukląkł i nie czekając na kolejny rozkaz, splótł dłonie na karku.

–Czego chcecie? – spytał.

–Zamknij się! – Silny cios w głowę. Ben jęknął z bólu.

Nie chcieli z nimi rozmawiać. Zastrzelą ich na tej ciemnej, pustej wiejskiej drodze. Zastrzelą ich, i tyle. Wrócił myślana Bahnhofplatz w Zurychu, gdzie się to wszystko zaczęło, gdzie omal nie zginął. A może wszystko zaczęło się dużo wcześniej, od zniknięcia Petera? Przed oczami ponownie stanął mu obraz brata konającego w szwajcarskiej oberży, lecz tym razem wspomnienie – zamiast przygnębić – tylko go wzmocniło. Jeżeli tamci go zabiją, umrze z satysfakcją, że zrobił, co mógł, żeby znaleźć morderców Petera. A że nie zdołał postawić ich przed sądem, że nie udało mu się wyjaśnić, dlaczego go zamordowali? Trudno, przynajmniej próbował. Nie zostawi żony, nie osieroci dzieci, wkrótce zapomną o nim przyjaciele. Cóż nasze życie jest dla świata jak migotliwy lot świetlika w letnią noc, pomyślał. Nie zamierzał się nad sobą litować.

Pomyślał też o swoim ojcu, o tym, że tak nagle zniknął, żałując tylko, że nie do końca go poznał.

W ciemności rozbrzmiał czyjś głos. Głos starszego mężczyzny.

–Mam do was kilka pytań. Czego chcecie od Josefa Strassera?

A jednak. Chcieli z nimi rozmawiać.

Próbowali chronić Strassera. Czekał, lecz Anna wciąż milczała.

–Jestem prawnikiem – powiedział. – Amerykańskim prawnikiem odspadków i nieruchomości. Strasser odziedziczył pieniądze i mam mu je...

Grzmotnęli go czymś w skroń.

–Mów prawdę!

–Mówię prawdę – wychrypiał drżącym głosem. – Zostawcie ją w spokoju. To moja dziewczyna, ona nie ma z tym nic wspólnego. Zabrałem ją ze sobą. Nigdy nie była w Buenos Aires i...

–Zamknij mordę! – Potężny cios w prawą nerkę. Ben upadł na twarz. Ból był tak ostry, że nie był w stanie nawet jęknąć. I kolejny cios w twarz. Znowu oślepiający ból

i smak krwi w ustach. Przed oczyma zatańczyły mu jasne kręgi.

–Przestańcie! – krzyknął. – Czego chcecie? Powiem wszystko!

Ciężko dysząc, ociekając krwią, pochylił się i zasłonił rękami w oczekiwaniu kolejnego ciosu, lecz przez chwilę nie działo się nic.

Potem znowu usłyszał ten głos, cichy, spokojny i konkretny, taki, jakim prowadzi się miłą rozmowę.

–Ta kobieta nie jest pana przyjaciółką. Nazywa się Anna Navarro i pracuje w Departamencie Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. To już wiemy. Teraz chcemy się dowiedzieć czegoś o panu.

–Ja jej pomagam... – Kolejne uderzenie w twarz i przeszywający ból oczu. Był tak silny, tak wszechogarniający, że Ben omal nie zemdłał.

Zapadła cisza. Chwila przerwy w torturach. Tamci czekali, aż coś powie.

Ale jego umysł pracował ociężale, na zwolnionych obrotach. Kim ci ludzie byli? Kto ich nasłał? Człowiek, który podawał się za Jurgena Lenza? Sigma? Jak na Sigmę, mieli zbyt mało wyszukane metody. *Kamaradenwerk*? To bardziej prawdopodobne. Jaka odpowiedź ich zadowoli? Jaka odpowiedź położy kres biciu i odroczy egzekucję?

Odezwała się Anna. Uszy miał zalane krwią i ledwo ją słyszał.

–Jeśli ochraniacie Strassera – zaczęła zdumiewająco opanowanym głosem – wiedzcie, że przyleciałam do Buenos Aires nie po to, żeby domagać się jego ekstradycji, tylko po to, żeby go ostrzec.

Któryś z mężczyzn roześmiał się szyderczo, mimo to Anna mówiła dalej. Jej głos dochodził jak zza grubej ściany.

–Wiecie, ilu jego towarzyszy zamordowano w ciągu ostatnich kilku tygodni? Milczenie.

–Mamy informacje, że jego też chcą zamordować. Gdyby Departament Sprawiedliwości chciał go ekstradować, zrobilibyśmy to już dawno temu. Ten człowiek to potwór, ale nie poszukujemy go za zbrodnie wojenne. Próbuję go ochronić, chcę z nim tylko porozmawiać.

–Łżesz! – Głuche uderzenie i stłumiony krzyk.

–Przestańcie! – Załamał jej się głos. – Mówię prawdę, przecież możecie to sprawdzić! Chcemy go znaleźć i ostrzec! Jeśli nas zabijecie, zrobicie mi krzywdę!

–Anno! – krzyknął Ben. Musiał, po prostu musiał nawiązać z nią jakiś kontakt. – Nic ci nie jest? Powiedz tylko, czy nic ci nie jest!

Od krzyku omal nie pękło mu gardło. Głowa pulsowała koszmarnym bólem.

Cisza. I stłumiony głos:

–Nie, nie, nic.

Była to ostatnia rzecz, jaką usłyszał; sekundę później wszystko rozplynęło się w niebycie.

Rozdział 37

Obudził się w łóżku, w wielkim, wysokim pokoju z dużymi oknami wychodzącymi na ulicę, której nie rozpoznawał. Wieczór, warkot samochodów, mrugające światła. Szczupła, wysoka kobieta o ciemnobrązowych włosach i brązowych oczach. Obserwowała go z fotela. Była w podkoszulku i czarnych szortach z lycry. Anna. Łupało go w głowie.

–Hej – powiedziała cichym, spokojnym głosem.

–Hej – odpowiedział. – Żyję. – Przed oczyma stanął mu koszmar, który przeżyli na wiejskiej drodze, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, kiedy stracił przytomność.

–Jak się czujesz? – spytała z uśmiechem.

Myślał przez chwilę i odrzekł:

–Jak facet, który spada z dachu wieżowca. Ktoś wystawia głowę z okna na dziesiątym piętrze i pyta, jak mu leci, a on na to: Jak dotąd nieźle.

Anna zachichotała:

–Trochę łupie mnie we łbie. – Poruszał głową i oczy przeszył mu ostry ból. – No, może bardziej niż trochę.

–Dali ci niezły wycisk. Przez chwilę myślałam, że masz wstrząs mózgu, ale chyba nie. Przynajmniej nic na to nie wskazuje. – Umilkła, – Mnie też skopali, ale skupili się głównie na tobie.

–Prawdziwi dżentelmeni. – Był wciąż dezorientowany. – Jak się tu znalazłem?

–Pewnie zmęczyli się biciem, a może obleciał ich strach, kiedy straciłeś przytomność. Tak czy inaczej, odwieźli nas do miasta i wyrzucili w La Boca.

W pokoju paliła się tylko lampka przy łóżku. Dotarło do niego, że ma obandażowany bok i głowę.

–Kto to zrobił?

–Pytasz, kim byli czy kto cię opatrzył?

–Nie, kto mnie opatrzył.

–*Moi* – odrzekła, skromnie pochylając głowę. – Środków opatrunkowych, to znaczy wody utlenionej i betadyny, dostarczyła recepcja hotelu Sfinks.

–Dziękuję. – Myślał wolno i ociężale. – A tamci? Kto to był?

–Cóż, żyjemy, dlatego myślę, że to miejscowa banda. Nazywają ich *pistoleros*, rewolwerowcami do wynajęcia.

–Przecież mieli radiowóz.

–Argentyńscy policjanci słyną z korupcji. Wielu z nich należy do *pistoleros*. Ale nie sądzę, żeby mieli coś wspólnego z Sigmą. Raczej z *Kamaradenwerk* albo czymś takim. To zbiry na usługach starych nazistów. Mój przyjaciel z Interpolu: podałam mu fałszywe nazwisko, ale mógł rozpoznać mnie z jakiegoś zdjęcia. Może to przez tę skradzioną przesyłkę, może przez Machado albo twojego księdza z rewolwerem. Nie wiem. Ale dość pytań. Chcę, żebyś odpoczął.

Spróbował usiąść, poczuł silny ból w boku i opadł na poduszkę. Dopiero teraz przypomniało mu się, że kopali go w brzuch, krocze i nerki.

Opadały mu powieki. Widział to wyraźnie, to jak przez mgłę, wreszcie zapadł w sen.

Gdy się obudził, wciąż była noc i w pokoju panował mrok. Przez okna wpadało rozmyte światło z ulicy i w świetle tym zobaczył, że tuż obok śpi Anna. Poczł delikatny zapach jej perfum. Hmm, pomyślał. No proszę. Ja i ona w jednym łóżku.

Kiedy obudził się ponownie, w pokoju było tak jasno, że rozboleły go oczy. Usłyszał szum wody i spróbował usiąść.

Z łazienki wysła Anna w kłębach pary. Była owinięta ręcznikiem.

–Obudziliśmy się – powiedziała. – Jak się czujemy?

–Trochę lepiej.

–To dobrze. Zamówić kawę?

–Mają tu serwis?

–Od razu widać, że ci lepiej – odrzekła ze śmiechem. – Odzyskaliśmy poczucie humoru.

–Jestem głodny.

–No pewnie. Wczoraj nie zdążyliśmy zjeść kolacji. – Zawróciła do łazienki.

Miał na sobie świeży podkoszulek i bokserki.

–Kto mnie przebrał?

–Ja.

–Zmieniłaś mi... szorty?

–Uhm. Były zakrwawione.

Proszę, proszę, pomyślał rozbawiony. Nasz pierwszy intymny moment, a ja go przespałem.

Umyła zęby, umalowała się i kilka minut później wróciła do pokoju w białym podkoszulku i fioletowych szortach gimnastycznych.

–Jak sądzisz, co tak naprawdę się stało? – spytał. Myślał coraz szybciej i trzeźwiej. – Przechwycili twój telefon do tego, jak mu tam, do tego detektywa?

–Możliwe.

–Od tej chwili będziemy dzwonili tylko z mojej komórki. Centrala Sfinksa też może być na podsłuchu.

Podłożyła mu dodatkową poduszkę pod plecy. Zamiast znajomego zapachu perfum, poczuł przyjemny zapach mydła i szamponu.

–A propos. Mogę zadzwonić do naszego ostatniego hotelu? Mój przyjaciel z Waszyngtonu myśli, że wciąż tam mieszkam i pewnie spróbuje się ze mną skontaktować. – Rzuciła mu „International Herald Tribune”. – Odpoczywaj. Poczytaj sobie albo pośpij.

–Sprawdź, czy nie trzeba jej podładować.

Usiadł wygodniej i zaczął przeglądać gazetę. Trzęsienie ziemi w Gujarat w Indiach. Akcjonariusze wytaczają proces kalifornijskiej spółce użyteczności publicznej. Światowi przywódcy przyjeżdżają na Międzynarodowe Forum Zdrowia Dziecka. Odłożył gazetę i zamknął oczy, ale nie chciało mu się spać. Miał dość snu. Słyszał, jak Anna rozmawia z recepcją hotelu w La Recoleta. Miała kojący głos. I wdzięczny, zaraźliwy śmiech.

Straciła całą buńczuczność, całą zadziorność. Wciąż była dumna i pewna siebie, lecz teraz emanowały z niej czułość i ciepło. Może czerpała siłę z jego słabości. Może

lubiła się kimś opiekować. Może odmieniły ją ostatnie przeżycia albo to, że się o nią niepokoił. A może po prostu mu współczuła, może targano ją źle pojęte poczucie winy. A może wszystko to naraz.

Skończyła rozmawiać.

–Bardzo interesujące.

–Hmm? – Otworzył oczy. Stała przy łóżku. Lekko rozczochrane włosy, zarys piersi pod białym bawełnianym podkoszulkiem. Poczł nagły przyplływ pożądania.

–Dostałam wiadomość od naszego detektywa. Sergio bardzo przeprasza, ale coś go wtedy zatrzymało. Brzmi zupełnie niewinnie.

–Pewnie podsłuchał was ktoś z hotelowej centrali.

–Chyba tak. Chcę się z nim spotkać.

–Zwariowałaś? Nie masz tego dość? Zaliczyłaś tyle pułapek, że wystarczy ci na całe życie.

–Na moich warunkach. Według mojego scenariusza.

–Nie idź.

–Wiem, co robię. Mogę zawalić – i czasami zawałam – ale uchodzę za niezłego fachowca.

–Nie wątpię, ale nie za fachowca od zorganizowanej przestępczości, od narkotyków, strzelanin i ulicznych jatek. To przerasta i ciebie, i mnie.

Chociaż była w tym znacznie lepsza od niego, potrafiła się lepiej obronić, nie wiedzieć czemu stał się wobec niej dziwnie opiekuńczy, jednocześnie – co jeszcze bardziej zbijało go z tropu – czuł się bezpieczniej, gdy była blisko.

Usiadła na brzegu łóżka. Odsunęła się trochę, żeby zrobić jej miejsce.

–To miło, że się o mnie troszczysz, ale przeszłam odpowiednie prze szkolenie i swego czasu dużo pracowałam w terenie.

–Przepraszam. Nie chciałem cię...

–Nie uraziłeś mnie, nie musisz przepraszać.

Posłał jej ukradkowe spojrzenie. Miał ochotę powiedzieć: Boże, jakaś ty piękna, ale nie wiedział, jak to przyjmie, czy go nie zwymyśla.

–Robisz to dla brata czy dla ojca?

Zaskoczyła go. Nie spodziewał się tak bezpośredniego pytania. I stwierdził, że odpowiedź wcale nie jest prosta.

–Pewnie dla nich obu, nie wiem. Ale przede wszystkim dla Petera.

–Jak się między wami układało?

–Znasz jakieś bliźnięta?

–Nie.

–To chyba najsilniejszy ze wszystkich związków, silniejszy niż związek między mężem i żoną; nie żebym wiedział o tym z pierwszej ręki. Czytaliśmy sobie w myślach. Po bójce – a wierz mi, biliśmy się często – zamiast gniewu, ogarniało nas poczucie winy. Rywalizowaliśmy ze sobą w sporcie, ale nigdy w życiu. Kiedy był szczęśliwy, szczęśliwy byłem i ja. Kiedy przydarzyło mu się coś złego, czułem się tak, jakby spotkało to i mnie. I odwrotnie.

Ku swojemu zdziwieniu zobaczył, że Anna ma łzy w oczach i nie wiedzieć czemu,

on też poczuł, że wilgotnieją mu oczy.

–Powiedzieć, że byliśmy sobie bliscy, to za mało. Czy do swojej nogi albo ręki, mówisz: jesteś mi bliska? On był częścią mojego ciała.

Wszystko nagle wróciło, mieszanina wspomnień, a raczej obrazów. Śmierć Petera. Jego szokujące zmartwychwstanie. Oni jako dzieci: śmieją się, biegają po domu.

Zażenowany odwrócił głowę i zasłonił sobie twarz ręką, na próżno próbując zdławić szloch.

Usłyszał ciche łkanie i zdał sobie sprawę, że Anna też płacze. Zaskoczyło go to, ale przede wszystkim wzruszyło. Ścisnęła mu dłoń. Z mokrymi od łez policzkami położyła mu rękę na ramieniu, potem drugą, potem delikatnie go objęła i ostrożnie, żeby nie urazić go w bolące miejsca, złożyła mu głowę na piersi. Ten intymny gest początkowo go zaskoczył, lecz już po chwili stał się gestem zupełnie naturalnym, częścią Anny, skomplikowanej, namiętnej kobiety, którą powoli poznawał. On czerpał ukojenie z niej, ona z niego. Czuł, jak bije jej serce, czuł ciepło jej ciała. Podniosła głowę, zamknęła oczy i powoli, niepewnie przytknęła usta do jego ust. Całowali się, początkowo niespiesznie i czule, potem głęboko i z zapamiętaniem. Tulił do siebie jej szczupłe ciało, badał je palcami, wargami i językiem. Oboje przekroczyli niewidzialną i jak dotąd nieprzekraczalną granicę, którą kiedyś sobie wyznaczyli, przekroczyli próg, wysoki mur broniący ich przed naturalnymi odruchami, izolujący i tłumiący potężne ładunki elektryczne, które teraz przechodziły między nimi bez żadnych przeszkód. I wbrew temu, co myślał – ilekroć sobie pozwalał na takie myśli – gdy zaczęli się kochać, nie było w tym nic niezręcznego.

W końcu usnęli, całkowicie wyczerpani, obejmując się ramionami.

Gdy Ben obudził się pół godziny później, Anny już nie było.

Siwowłosy mężczyzna w dobrze skrojonym niebieskim garniturze zaparkował wynajętego mercedesa i kilka ulic dalej znalazł dom, którego szukał. Był w samym centrum Belgrano, jednej z najzamożniejszych dzielnic Buenos Aires. Minął go jakiś młodzieniec z sześcioma psami na smyczy. Siwowłosy mężczyzna posłał mu sąsiedzki uśmiech.

Dom, a raczej piękny, gregoriański pałacyk, był zbudowany z czerwonej cegły. Mężczyzna zwolnił kroku, podziwiając jego architekturę, a potem zawrócił, dostrzegłszy szarawą budkę, w której czuwał strażnik w pomarańczowej kamizelce odblaskowej. Takie budki stały tu prawie na każdej ulicy.

Bardzo spokojna i bardzo bezpieczna okolica, pomyślał Trevor Grif-fiths. Świetnie. Strażnik otaksował go spojrzeniem. Trevor przyjacielsko skinął mu głową i podszedł bliżej, jakby chciał go o coś zapytać.

Anna starannie zapakowała zdjęcie Bena, zaniosiła je do biura DHL i wysłała je ekspresem na domowy adres Denneena. Plan był dość ryzykowny, lecz nie wspomniała o DHL ani Denneenowi, ani nawet Benowi, poza tym upewniła się, czy nikt jej nie śledzi. Była prawie pewna, że zdjęcie dotrze na miejsce bez żadnych przeszkód.

Stała teraz w drzwiach sklepu i spod czerwonego znaku reklamowego lucky

strike'ów obserwowała okna kawiarni na rogu Junin i Viamonte, nieopodal Facultad Medicina. Nazwa kawiarni. – Entre Tiempo – była wymalowana koślawymi literami, co miało zapewne sugerować, że w środku czeka wszystkich szalona zabawa. Chodnikami przechodziły zapatrzone w siebie pary i rozchichotani studenci z plecakami. Jezdnią sunęły stada żółto-czar-nych taksówek.

Tym razem nie będzie żadnych niespodzianek.

Przeprowadziła dokładny rekonesans, umówiła się z Machado punktualnie o wpół do siódmej i przyjechała na spotkanie czterdzieści pięć minut wcześniej. Jasny dzień, miejsce publiczne: to było to. Prosiła go, żeby usiadł przy stoliku stojącym przy oknie, a jeśli stolik będzie zajęty, jak najbliżej okna. I żeby zabrał ze sobą komórkę. Jej żądania bardziej go rozbawiły, niż zdenerwowały.

Dwadzieścia pięć po szóstej do kawiarni wszedł siwowłosa mężczyzna w niebieskiej kurtce i w rozpiętej pod szyją niebieskiej koszuli – wyglądem pasował do rysopisu, który Machado podał jej przez telefon. Chwilę później usiadł przy stoliku w oknie wychodzącym na ulicę. Anna cofnęła się w głąb sklepu, żeby jej nie zauważył, i obserwowała go zza przeszkłonych drzwi; uprzedziła sprzedawcę, że czeka na męża.

O szóstej trzydzieści pięć Machado przywołał kelnera.

Kilka minut później kelner postawił przed nim butelkę coca-coli.

Jeśli detektyw miał jakiś związek z ich nocnym porwaniem, gdzieś w pobliżu krążyliby jego wspólnicy, lecz jak dotąd nie zauważyła nikogo podejrzanego. Nikt nie włączył się po chodniku, udając, że ogląda sklepowe wystawy, nikt nie marudził przy stoisku z gazetami, nikt nie siedział w parkującym przy krawężniku samochodzie. Wiedziała, czego szukać. Machado przyszedł sam.

A w kawiarni? Czy tam też było czysto?

Może i nie, ale była na tę ewentualność przygotowana.

Za kwadrans siódma włączyła komórkę Bena i zadzwoniła.

Machado odebrał już po pierwszym sygnale.

–Si?

–To ja, Anna Navarro.

–Zabłądziła pani?

–Boże, to miasto to prawdziwy labirynt. Trafiłam zupełnie gdzie indziej. Czy mógłby pan tu przyjechać? Czuję, że znowu się zgubię. – Podała mu adres kawiarni kilka ulic dalej.

Widziała, jak Machado wstaje, jak zostawia na stoliku pieniądze i jak nie dając nikomu żadnych podejrzanych znaków ani z nikim nie rozmawiając, wychodzi z kawiarni. Ona go znała – przynajmniej z wyglądu – natomiast on by jej prawdopodobnie nie rozpoznał.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i mogła mu się lepiej przyjrzeć. Łagodne, brązowe oczy, miła twarz – musiał przedwcześnie posiwieć, bo dawała mu najwyżej czterdzieści kilka lat. Nie miał przy sobie ani aktówki, ani żadnej teczki, tylko komórkę.

Odczekała kilka sekund i ruszyła za nim.

Znalazł kawiarnię i wszedł do środka. Ona weszła chwilę później.

–Może mi pani wyjaśnić, o co tu chodzi? – spytał.

Opowiedziała mu o ich nocnej przygodzie. Opowiadając, uważnie obserwowała jego twarz: Machado był wstrząśnięty.

Miał posępną urodę włoskiego gwiazdora filmowego z lat sześćdziesiątych. Był mocno i starannie opalony. Na jego szyi i lewym ręku błyszczał cienki złoty łańcuszek. Oczy miał blisko osadzone i rozdzielone głęboką pionową zmarszczką. Nie nosił obrączki.

–Ma pani absolutną rację – powiedział. – Tutejsza policja jest do cna skorumpowana. Wynajmuję mnie jako konsultanta, bo nie wierzą swoim własnym ludziom!

–Nic dziwnego. – Strach, który towarzyszył jej od chwili uprowadzenia, zmienił się w gniew.

–W Stanach macie policyjne programy telewizyjne. W Argentynie ich nie ma, bo tu policjanci nie są bohaterami. To same szumowiny. Ja wiem. Przez dwadzieścia jeden lat byłem jednym z nich. Wziąłem odprawę i rzuciłem to w cholerę.

Siedzący przy długim stole goście, sądząc po wyglądzie studenci, wybuchnęli głośnym śmiechem.

–Wszyscy się ich tu boją – ciągnął podekscytowany Machado. – Ich brutalności. Tego, że wymuszają pieniądze za ochronę. Że kiedy tylko ze chcą, mogą każdego zabić. Podobają się pani ich mundury?

–Przypominają mundury nowojorskich policjantów.

–Dlatego, że nasi dokładnie je skopiowali, że się na nich wzorowali. Niestety, na mundurach się skończyło. – Posłał jej czarujący uśmiech. – A więc czym mogę pani służyć?

–Szukam Josefa Strassera.

Drgnął i spojrzał na nią rozszerzonymi oczami.

–Ten stary skurwiel mieszka tu pod fałszywym nazwiskiem. Nie wiem gdzie, ale mogę popytać. Niełatwa sprawa. Staracie się o ekstradycję?

–Nie. Chcę z nim tylko pogadać.

Machado zeszywniał.

–Pogadać?

–Znam sposób, żeby go znaleźć, ale musiałby pan mi pomóc. – Streściła mu przebieg wizyty Bena u Vera Lenz. – Jeśli Vera Lenz albo jej pasierb są w kontakcie ze Strasserem i zadzwonili, żeby go ostrzec, dałby pan radę namierzyć faceta po numerze?

–Aaaa, sprytne, bardzo sprytne. Oczywiście, ale tylko pod warunkiem, że zna pani numer telefonu senory Lenz.

Podala mu karteczkę.

–W Argentynie rejestruje się początek i koniec wszystkich rozmów telefonicznych, długość ich trwania oraz numer abonenta. Mają tu specjalny system komputerowy; nazywa się Excalibur. Za odpowiednią cenę moi znajomi z policji sprzedadzą nam, co zechcemy.

I żeby zademonstrować, jakie to proste, zadzwonił gdzieś i przedyktował numer z

kartęłuszka.

–Nie ma sprawy – powiedział. – Zaraz będziemy wiedzieli. Chodźmy. Zapraszam panią na stek.

Jego samochód, biały ford escort, z którego nie wiedzieć czemu, usunięto tylne fotele, parkował kilka ulic dalej. Zawiózł ją do Estilo Munich, staroświeckiej restauracji w pobliżu Cementerio de la Recoleta, na której ścianach wisiały wypchane łby dzików i jeleni. Podłoga była marmurowa, ale wyglądała tak, jakby leżało na niej brązowe linoleum; sufit wyłożono dźwiękochłonnymi płytami. Między stolikami leniwie snuli się kelnerzy.

–Zamówię *bife de chorizo* - powiedział. – Z sosem *chimichurri*. Jugoso, dobrze?

–Dobrze, tylko niedosmażony poproszę. Czy w tym, że przywiózł mnie pan do restauracji o nazwie Munich, jest coś... symbolicznego?

–Dają tu najlepsze steki w Buenos Aires, a my się na stekach znamy. – Posłał jej konspiracyjne spojrzenie. – Kiedyś było tu dużo restauracji o tej nazwie. Bardzo modnych restauracji. Ale teraz nie są już takie modne.

–Macie coraz mniej Niemców.

Wypił łyk carrascula. Zadzwoiła komórka. Machado zamienił z kimś kilka słów i położył ją na stoliku.

–Przepraszam, to moja dziewczyna – wyjaśnił. – Myślałem, że już go znaleźli, ale nie.

–Skoro mieszka tu tak długo, musi mieć dobre papiery.

–Strasser? Ludzie tacy jak on mają najlepsze. Tylko Jakobowi Sonnenfeldowi udało się go namierzyć. Wie pani, przez wiele lat krążyły plotki, że wciąż mieszka tu Martin Bormann. Aż do siedemdziesiątego drugiego, bo w tym właśnie roku znaleźli w Berlinie jego czaszkę. Budowali jakiś most i znaleźli. Zidentyfikowali ją jako czaszkę Bormanna.

–I co? To była naprawdę jego czaszka?

–Tak. Dwa lata temu zrobili w końcu testy DNA.

–A reszta ciała?

–Niczego więcej nie znaleziono. Pewnie pochowali go tutaj, w Bariloche, i ktoś podrzucił tę czaszkę Niemcom, żeby ich zmylić. – Rozbawiony, wesoło błysnął oczami. – Jego syn tu mieszka. Jest katolickim księdzem. Naprawdę. – Sięgnął po kieliszek. – Plotki, plotki i plotki, zwłaszcza o Bor-mannie i Josefie Mengelem. Kiedy go pochowano, wszyscy myśleli, że to podpucha, że sfingował własną śmierć. Tak samo z Lenzem. Przez wiele lat krążyły pogłoski, że facet żyje. Potem znaleziono jego zwłoki.

–Zbadano DNA?

–Chyba nie.

–Ale czaszki nie znaleziono.

–Fakt, nie znaleziono.

–Więc myśli pan, że on żyje?

Machado parsknął śmiechem.

–Musiałby mieć sto dwadzieścia lat!

–Tylko ci dobrzy umierają młodo. Podobno miał wylew.

–To wersja oficjalna. Moim zdaniem zamordowali go agenci Mossadu. Kiedyś mieszkali tu Eichmannowie. On i jego żona mieli lewe papiery, ale ich synowie – mieli aż trzech – występowali pod swoim nazwiskiem! W szkole wszyscy znali ich jako Eichmannów! Mimo to nikt ich nie szukał. Dopiero Sonnenfeld.

Kelner przyniósł steki. Były przepyszne. Anna nie przepadała za mięsem, lecz doszła do wniosku, że mogłaby je chyba polubić.

–Mogę spytać, dlaczego chce pani z nim rozmawiać?

–Przykro mi, ale nie.

Przyjął to spokojnie i bez urazy.

–Strasser był jednym z wynalazców cyklonu B.

–Gazu, którego hitlerowcy używali w Auschwitz.

–Tak, ale to on wpadł na pomysł, żeby zabijać nim ludzi. Sprytny, co?

Wymordować tylu Żydów tak szybko i tak wydajnie.

Po kolacji poszli do La Biela, dużej kawiarni przy Avenue Quintana, w której nawet po jedenastej w nocy było głośno i tłoczno.

–Może mi pan załatwić jakąś broń? – spytała przy kawie.

Posłał jej ukradkowe spojrzenie.

–Da się załatwić.

–Na jutro rano?

–Zobaczę.

Ponownie zadzwoniła komórka.

Tym razem Machado zapisał coś na kwadratowej serwetce.

–Albrecht – powiedział, skończywszy rozmawiać. – Telefon jest zarejestrowany na nazwisko Albrecht. Wiek pasuje. W podaniu wpisał prawdziwą datę urodzenia. To chyba on.

–A więc jednak do niego dzwoniли, ona albo jej pasierb.

–Tak. Kiedy ma się numer telefonu, nazwisko i adres to drobiazg. Musiał gdzieś wyjechać, bo przez ostatnie pięć tygodni nikt od niego nie dzwonił. Pierwszy telefon zarejestrowano dwa dni temu.

To by wyjaśniało, dlaczego jeszcze żyje, pomyślała Anna. Po prostu wyjechał. I dzięki temu ocalał. W przeciwieństwie do tamtych.

–Ten pański znajomy, ten od telefonów. Nie zacznie pana o coś podejrzewać?

–Pewnie pomyśli, że chcę faceta zaszantażować, wymusić pieniądze.

–Nie ostrzeże go?

–Strassera? Moi znajomi z policji są za głupi na takie gierki.

–Miejmy nadzieję. – Mimo tych zapewnień wciąż dręczyły ją silne obawy. – A ci, którzy nas uprowadzili?

Machado zmarszczył czoło.

–Synowie i wnukowie nazistów ze mną nie zadzierają. Mam za dużo przyjaciół w policji. Czasami, kiedy coś takiego robię, nagrywają mi Wagnera na sekretarkę. To takie zawołane ostrzeżenie. Albo idę ulicą i nagle ktoś robi mi zdjęcie. Ale dalej się nie posuwają. Spokojnie, ja się nie martwię. – Zapalił kolejnego papierosa. – Pani

też nie powinna. Nie ma czym.

Jasne, pomyślała. Nie ma czym.

Łatwo powiedzieć.

–Nie jest pan umówiony i obawiam się, że pan dyrektor nie ma teraz czasu – powiedziała recepcjonistka głosem władczym i lodowatym.

–To proszę mnie z nim umówić – odparł Arliss Dupree. – Na teraz. Na pewno mnie przyjmie. To sprawa międzywydziałowa. Dotyczy i jego, i mnie.

–Bardzo mi przykro, ale...

–Niech się pani nie fatyguje. Pójdę tam i zapukam do drzwi. Jeśli pani chce, proszę go uprzedzić. Gabinet jest w korytarzu, prawda? – Na jego rumianej, okrągłej jak księżyc twarzy zagościł szeroki uśmiech. – Na pewno jakoś sobie poradzimy.

Zdenerwowana recepcjonistka powiedziała coś do mikrofonu i wstała.

–Pan dyrektor pana przyjmie. Proszę, tędy.

Dupree rozejrzał się po spartańsko urządzonej gabinecie Bartletta i po raz pierwszy ogarnął go lekki niepokój. Nie było to komfortowe atelier typowego karierowicza, luksusowy salon, zastawiony zdjęciami bliskich i zavalony stertami zaległych dokumentów. Pomieszczenie było niemal zupełnie puste, jakby nikt w nim nigdy nie pracował.

–Pan Dupree. – Alan Bartlett stał za wielkim biurkiem, tak czyściutkim, że można by je natychmiast przenieść na wystawę mebli. – Czy mogę w czymś panu pomóc?

W jego miłym uśmiechu było coś lodowatego, a w szarych, przesłoniętych wielkimi okularami oczach coś nieprzeniknionego.

–Owszem – odparł Dupree i nie czekając na zaproszenie, rozparł się na krześle naprzeciwko biurka. – Może mi pan na przykład wyjaśnić, o co chodzi w tej sprawie z agentką Navarro.

–Ach, ma pan na myśli te ostatnie rewelacje... Bardzo przykra sprawa. Stawia nas w złym świetle. Nas wszystkich.

–Jak pan wie, nie podobało mi się, że pan ją przeniósł.

–Agentkę Navarro? Nie omieszkał pan dać mi tego do zrozumienia. Musiał pan coś przeczuwać.

–Nie, nie o to chodzi. – Dupree z trudem wytrzymał przenikliwe spojrzenie Bartletta. Czuł się tak, jakby rozmawiał z górą lodową. – Raczej o to, że przerzucanie ludzi bez wiedzy i zgody przełożonego podważa jego autorytet. Niektórzy myśleli, że ta Navarro dostała awans.

–Panie Dupree, czyżby chciał pan podzielić się ze mną swoimi trudnościami w zarządzaniu personelem?

–Bynajmniej. Jest tak: Departament Sprawiedliwości zawsze dawał wam dużo luzu. Załatwiacie swoje, a resztę macie gdzieś. Ale tym razem rozkręcił pan coś, co zostawiło brzydkie plamy na moim dywaniku. Rozumie pan? Co postawiło mnie w złym świetle. Nikogo nie oskarżam, mówię tylko, że bardzo mnie to zastanowiło.

–Hmm, widzę, że zaczyna pan myśleć – odrzekł Bartlett z pogardą chińskiego mandaryna. – Wkrótce nabierze pan wprawy, tylko trzeba dużo ćwiczyć.

–Może nie jestem ostry jak brzytwa, ale ciąć jeszcze umiem – odparł Dupree.

–Podnosi mnie pan na duchu.

–Widzi pan, coś mi tu brzydko pachnie.

Bartlett pociągnął nosem.

–Aqua Vela? Czy może Old Spice? To pański płyn po goleniu.

Dupree dobrodusznie pokręcił głową, udając, że nie wie, o co chodzi.

–Dlatego tu i ówdzie poszperałem i dowiedziałem się o panu ciekawych rzeczy.

Nie wiedziałem na przykład, że ma pan olbrzymią posiadłość na wschodnim wybrzeżu. Pracownik federalny i taka posiadłość? Dość nie typowe.

–Ojciec mojej matki był jednym z założycieli Holleran Industries. Matka dostała ją w spadku, to żadna tajemnica. Przyznaję, tak wielki majątek zwraca uwagę, ale nie ma w tym mojej winy. Nie przepadam za wystawnym życiem towarzyskim. Wolę spokojne i zwyczajne; mam dość skromne gusta. Zresztą co miałyby z tego wynikać?

–Zgadza się, pańska matka odziedziczyła Holleran Industries: też to wyszperałem. I muszę przyznać, że byłem trochę zaskoczony. To miło, że multimilioner postanowił pracować razem ze zwykłymi ludźmi.

–Każdy z nas decyduje o sobie.

–Tak, to prawda. Ale z drugiej strony zastanawiam się, czego jeszcze o panu nie wiem. Pewnie mnóstwa rzeczy, co? Nie wiem na przykład, po co jeździ pan tak często do Szwajcarii. Szwajcaria to pralnia brudnych pieniędzy – tam zawsze się coś dzieje – ale brudne pieniądze to nasza działka, Urzędu do Badań Specjalnych. Dlatego zastanawiałem się, skąd te pańskie wyprawy.

Bartlett lekko zmarszczył czoło.

–Że co proszę?

–Bardzo często pan tam jeździ, prawda?

–Skąd przyszło to panu do głowy?

Dupree wyjął z kieszeni kartkę papieru. Była trochę pognieciona, rozłożył ją na blacie biurka i wygładził. Widniało na niej mnóstwo kropek układających się w kolisty wzór.

–Przepraszam za ten rysunek. Jest trochę niezdarny, ale to moje własne dzieło. – Wskazał na kropkę znajdującą się najwyżej. – Tu jest Monachium. Tu niżej, Innsbruck. Jedziemy na południowy wschód: Mediolan i Turyn. Potem odbijamy na północny wschód: Lyon, Dijon i Fryburg.

–Panie Dupree, czy to kurs geografii dla dorosłych?

–Nie. Długo trwało, zanim do tego doszedłem. Musiałem grzebać w komputerach, na kontroli paszportowej i w liniach lotniczych. Koszmar, prawdziwy koszmar. Ale zaznaczyłem tu wszystkie lotniska, które odwiedził pan w ciągu ostatnich piętnastu lat. Najczęściej latał pan z Dulles, czasem przez Frankfurt albo Paryż. Więc siedzę tak sobie nad tymi kropkami, siedzę i myślę: co te przekłete lotniska mają ze sobą wspólnego?

–Czuję, że zaraz mi pan to powie – wtrącił Bartlett z lodowatym rozbawieniem w oczach.

–Chryste, przecież wystarczy spojrzeć na ten rozrzut. Jaki wniosek by pan wyciągnął? Jest tylko jeden, całkiem oczywisty, prawda? Wszystkie kropki leżą w

promieniu trzystu, trzystu dwudziestu kilometrów od Zurychu. O rzut beretem od Szwajcarii i właśnie to je ze sobą łączy. Gdyby na przykład chciał pan odwiedzić Szwajcarię, ale tak, żeby nie odnotowano tego w pańskim paszporcie, wystarczyłoby pojechać do któregoś z tych miejsc. W paszporcie, a raczej w paszportach, bo odkryłem, że ma pan dwa. Bardzo imponujące...

–I dość powszechne w tej pracy. Bredzi pan, panie Dupree, ale dobrze, bawmy się dalej. Powiedzmy, że rzeczywiście jeżdżę czy jeździłem do Szwajcarii. Co z tego?

–Właśnie, co z tego? To żadne przestępstwo, nie zrobił pan nic złego. Tylko dlaczego twierdzi pan, że pan tam nie jeździ?

–Panie Dupree, czy jest pan aż tak tępy czy tylko pan udaje? Jeśli ze chcę porozmawiać z kimś na temat moich wakacyjnych planów, natychmiast dam panu znać. Pańskie dzisiejsze zachowanie podważa pańską zdolność wypełniania obowiązków służbowych. I graniczy z niesubordynacją.

–Nie jesteś moim przełożonym, Bartlett.

–Nie, ponieważ siedem lat temu, kiedy prosił pan o przeniesienie do naszego wydziału, został pan odrzucony. Uznano, że nie nadaje się pan do pracy w WDD. – Bartlett wciąż mówił z chłodnym opanowaniem, choć lekko poczerwieniał na twarzy. Był poruszony, wyraźnie poruszony, czego Dupree nie omieszkał zauważyć. – A teraz pozwoli pan, że go

pożegnam.

–Jeszcze z tobą nie skończyłem, Bartlett. – Dupree wstał.

Na twarzy szefa Wydziału Dochodzeń Departamentalnych zagościł trupi uśmiech.

–Wielkie dzieła nigdy nie są skończone. Są jedynie zarzucone. Tako rzecze Valery.

–Harper?

–Żegnaj pana, panie Dupree – odrzekł pogodnie Bartlett. – Wiem, że mieszka pan w Arlington. To kawałek drogi i na pewno zechce pan zdążyć przed godziną szczytu.

Obudziwszy się, Ben stwierdził, że przez okna pokoju sączy się łagodne światło poranka, a po chwili dobiegł go też cichutki oddech Anny. Spali w jednym łóżku. Powoli usiadł, nie zważając na tępy ból w nogach, rękach i karku. Miała na sobie koszulę nocną i leżała tak blisko, tak bliziotko, że czuł ciepło jej ciała.

Zmagając się z coraz ostrzejszym bólem, poczłapał do łazienki. Przespał cały dzień i całą noc. Wiedział, że jest mocno pokiereszowany, ale wiedział też, że ruch pomoże mu odzyskać sprawność fizyczną znacznie szybciej niż leżenie w łóżku. Zdawał sobie sprawę, że upłynie sporo czasu, zanim w pełni dojdzie do siebie.

Wrócił do sypialni i chwycił komórkę. Fergus O'Connor czekał na jego telefon. Wcisnął guzik, lecz aparat nie zareagował. Anna zapomniała naładować baterię. Anna. Usłyszał, jak poruszyła się na łóżku.

Wetknął kabelek ładowarki i wybrał numer.

–Hartman! – wykrzyknął serdecznie Fergus, jakby od dawna czekał na jego telefon.

–Masz coś? – Ben dokuśtykał do okna i wyjrzał na ulicę.

–Mam dobrą wiadomość i złą. Którą chcesz najpierw?

–Dobłą, zawsze dobrą.

Cichy pisk w słuchawce. Ktoś próbował się do niego dodzwonić, lecz Ben zignorował to.

–Dobra. Pewien szemrany prawnik z Liechtensteinu przyszedł dziś do pracy i stwierdził, że nocą włamano się do jego biura.

–Koszmar.

–Właśnie. Zwłaszcza że zginęły cenne akta: akta *Anstaltu*, spółki, którą zarządzał w imieniu anonimowego właściciela lub właścicieli z Wiednia.

–Z Wiednia – powtórzył ze ściśniętym żołądkiem Ben.

–Niestety, nie ma w nich żadnych nazwisk. Kody identyfikacyjne, kody transferowej i całe to barachło. Ale spółka ma siedzibę w Wiedniu, na sto procent. Właściciel jest bardzo ostrożny: nie ujawnił swojego nazwiska nawet temu facetowi. Nawiasem mówiąc, nasz prawnik nie zamierza iść z tym na policję. Boi się wdepnąć w jeszcze większe gówno.

–Dobra robota, Fergus. A ta zła wiadomość?

–Nabiłeś spory rachunek, przyjacielu. Sama robota w Liechtensteinie kosztowała mnie pięćdziesiąt kawałków. Myślisz, że ci faceci są tani? To są, kurwa, złodzieje! – Pięćdziesiąt tysięcy dolarów było ceną wysoką nawet jak na Fergususa, ale zważywszy, że wygrzebał informacje, do których nie dotarłaby nawet policja, Ben nie miał czego żałować.

–Ale pokwitowania pewnie ci nie wystawili, co?

Komórka zadzwoniła, gdy tylko skończył rozmawiać.

–Tak?

–Z Anną Navarro poproszę! – Głos jakiegoś mężczyzny. Głos, a raczej krzyk. – Muszę z nią porozmawiać!

–Anna... Kto mówi?

–Niech pan jej powie, że Sergio.

–Zaraz, chwileczkę.

Anna już nie spała; obudził ją dzwonek telefonu.

–Machado? – wymamrotała. Ben podał jej komórkę.

–Sergio, przepraszam, pewnie wyłączyłam telefon i... Dobrze, oczywiście, ale... Co? Co takiego? Sergio? Halo! Jest pan tam? Halo?

Wyłączyła aparat.

–Dziwne.

–Co się stało?

Popatrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

–Mówi, że wydzwaniał do mnie przez całą noc. Teraz jest w San Telmo, dzwonił z samochodu. Chce spotkać się ze mną w barze Plaža Dorrego. Ma dla mnie broń.

–Ale dlaczego tak krzyczał?

–Powiedział, że wycofuje się z umowy, że nie chce mieć z tym nic wspólnego.

–Dopadli go.

–Był przerażony. Mówił, że dzwonią do niego, że mu grożą, że nie są to miejscowe zbiry z *Kamaradenwerk*. I urwał w połowie zdania.

Poczuł dym, zanim jeszcze dotarli na Plaża Dorrego. Taksówka zjechała na bok i zobaczyli wielki tłum ludzi, karetki pogotowia, policyjne radiowozy i wozy straży pożarnej.

Taksówkarz powiedział coś półgłosem.

–Co on mówi? – spytał Ben.

–Że dalej nie może jechać – odrzekła Anna. – Był tu jakiś wypadek. Chodź.

Kazali taksówkarzowi poczekać, wysiedli i popędzili w stronę placu. Dymu już prawie nie było, ale wszędzie cuchnęło siarką i benzyną. Handlarze z pobliskiego parku porzucili swoje perfumy i tanią biżuterię, żeby podejść bliżej i popatrzeć. W drzwiach starych kamienic stały grupki przerażonych i zafascynowanych widowiskiem gapiów.

Anna i Ben natychmiast odgadli, co się stało. Ekspłodował zaparkowany naprzeciwko baru samochód. Siła wybuchu była tak wielka, że w barze i domach po obu stronach ulicy wypadły wszystkie szyby. Zanim nadjechały pierwsze wozy straży pożarnej, samochód zdążył się doszczętnie spalić. Od ognia szerniały nawet białe pasy na przejściu dla pieszych.

–*Madre de Dios! Madre de Dios!* – krzyczała siwowłosa staruszka w brązowej bluzce.

Ben ścisnął Annę za rękę. Strażacy rozpruwali wypalony wrak niegdyś białego forda escorta, na próżno próbując wydobyć zwłoki kierowcy.

Anna zadrżała. Jeden ze strażaków zdołał w końcu odgiąć kawał blachy, odsłaniając spaloną rękę ze złotym łańcuszkiem na nadgarstku. Jak w zwęglonych szponach, tkwił w niej mały telefon komórkowy.

Rozdział 38

Wstrząśnięci wrócili do taksówki. Byli tak oszołomieni, że kilka ulic przejechali w zupełnym milczeniu.

–Boże święty. – Anna odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. – Boże święty...

Objął ją bez słowa i przytulił. Cóż miał powiedzieć? Jak miał ją pocieszyć?

–Wczoraj przy kolacji mówił, że przez te wszystkie lata niczego się nie bał. Że ja też nie powinnam.

Ben nie wiedział, co odpowiedzieć. Wciąż nie mógł otrząsnąć się z przerażenia, jakie ogarnęło go na widok zwęglonych zwłok Machado, jego szponiastej ręki, kurczowo zaciskającej telefon. Niektórzy twierdzą, że świat skończy w ogniu. Zadrzał na wspomnienie potwornej twarzy Chardina, jego słów, że horror życia bywa gorszy od horroru śmierci. Wyglądało na to, że Sigma lubi rozstrzygać sprawy za pomocą ognia.

–Anno – powiedział najłagodniej, jak tylko potrafił. – Może zrobię to sam.

–Nie – odparła z żelazną stanowczością. Patrzyła prosto przed siebie ze spiętą twarzą i zaciśniętymi zębami.

Wydawało się, że to, co przed chwilą widzieli, zamiast ją odstraszyć, jeszcze bardziej podsyciło jej determinację. Bez względu na wszystko, chciała pojechać do Strassera, chciała dotrzeć do sedna ich tajnego spisku. Może było to szaleństwo – może oboje oszaleli – ale wiedział, że on też się z tego nie wycofa.

–Myślisz, że po tym, czego się dowiedzieliśmy, będziemy w stanie po wrócić do dawnego życia? Że nam na to pozwolą?

W taksówce ponownie zapadło milczenie.

–Objedziemy całą okolicę – powiedziała po chwili. – Sprawdzimy, czy nikt nie czeka na nas przed domem. Może uznali, że po wyeliminowaniu Machado nic im już nie grozi. – W jej głosie zabrzmiała cicha nutka ulgi, chociaż Ben nie był tego pewien.

Taksówka mknęła przez zatłoczone ulice Buenos Aires, zmierzając do zamożnego Belgrano. Co za straszliwa ironia, pomyślał gorzko Ben. Dziwna i straszliwa. Dobry, poczciwy człowiek oddał swoje życie, żebyśmy mogli uratować je zbrodniarzowi. Zastanawiał się, czy Annie też przyszło to do głowy. Będziemy nadstawiać karku, żeby ocalić potwora światowej historii.

Jakie zbrodnie tak naprawdę popełnił? Czy istniał sposób, żeby się tego dowiedzieć?

W uszach ponownie zabrzmiały mu słowa Chardina: „Koła w kołach: oto jak pracowaliśmy... Nikomu do głowy by nie przyszło, że całym Zachodem zarządza tajne konsorcjum. Nikt by w to nie uwierzył. Bo gdyby uwierzył, musiałby pogodzić się z myślą, że ponad połowa naszej planety jest filią gigantycznej korporacji. Sigmy.

Dlatego kilka lat temu powstał projekt wyjątkowego przedsięwzięcia. Jego ewentualny sukces zrewolucjonizowałby sposób sprawowania władzy nad całym światem. Koniec z asygnowaniem kapitału, koniec ze sterowaną dystrybucją zasobów. Wszystko zależeć ma od tego, kim będzie ten jeden, ten»wybrany«".

Ten "wybrany". Czy był nim Strasser? A może on też już nie żył.

–Rozmawiałem z Fergussem, tym z Kajmanów. Wytropił ich przelew. Wszystkie

nadeszły z Wiednia.

–Z Wiednia – powtórzyła apatycznie Anna.

Nie powiedziała nic więcej. Zastanawiał się, o czym myśli, lecz zanim zdążył ją o to zapytać, taksówka zatrzymała się przed ceglana willą z białymi okiennicami. Na skromnym podejździe parkowało małe kombi.

Anna powiedziała coś po hiszpańsku do kierowcy.

–Kazałam mu zatoczyć koło – wyjaśniła. – Chcę popatrzeć na samochody i na przechodniów. Może zauważymy coś podejrzanego.

Ben wiedział, że nie pora na dyskusje. Musiał jej po prostu zaufać, uwierzyć, że Anna wie, co robi.

–Masz jakiś plan? – spytał.

–Musimy tylko dotrzeć do drzwi. Ostrzec go. Powiedzieć, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Mam legitymację Departamentu Sprawiedliwości, to powinno go przekonać.

–Musimy założyć, że już go ostrzeżono. Że zrobili to ci z *Katnaradenwerk* albo Vera Lenz. Na pewno mają tu jakiś system wczesnego ostrzegania. Posłuchaj: a jeśli żadne niebezpieczeństwo mu nie grozi? A jeśli to on stoi za tymi wszystkimi morderstwami? Pomyślałaś o tym?

Anna zawahała się.

–Tak, to poważne ryzyko.

„Poważne ryzyko”. Chryste, cóż za eufemizm. – Nie masz broni.

–Wystarczy nam dosłownie chwila. Jeżeli zechce, na pewno nas wysłucha.

A jeśli to on zlecał te wszystkie morderstwa? Nie, dyskusja nie miała żadnego sensu. Nie teraz.

Zatoczyli koło, taksówka zatrzymała się i wysiedli.

Mimo ciepłego, słonecznego dnia Bena przeszedł zimny dreszcz, niewątpliwie ze strachu. Był pewien, że Anna też się boi, lecz nie dawała tego po sobie poznać. Podziwiał jej wewnętrzną siłę.

Na chodniku, siedem, osiem metrów przed bramą domu Strassera, stała budka. Czuwał w niej stary, zgarbiony strażnik o rzadkich, białych włosach i długich, opadających wąsach. Na głowie miał komiczną czapkę. Gdyby doszło tu do jakiegoś wypadku, staruszek na nic by się nie przydał, pomyślał Ben. Mimo to lepiej było go nie denerwować, dlatego szli przed siebie stanowczym krokiem, jakby dobrze znali okolicę.

Przystanęli dopiero przed domem Strassera, ogrodzonym – jak większość domów na tej ulicy – płotem. Zamiast z kutego żelaza, ten był z ciemnego, poplamionego drewna i sięgał Benowi ledwie do piersi. Pełniąc czysto ozdobną funkcję, zdawał się mówić, że mieszkańcy willi nie mają nic do ukrycia. Anna otworzyła furtkę i weszli do małego, ładnie utrzymanego ogródka. Na chodniku usłyszeli czyjeś kroki.

Ben nerwowo odwrócił głowę. Zmierzał ku nim stary strażnik. Alibi. Ciekawe, czy Anna przygotowała jakieś alibi, bo on o tym nie pomyślał. Strażnik uśmiechnął się. Miał żółte, źle dopasowane zęby. Powiedział coś po hiszpańsku.

–Chce zobaczyć nasze papiery – mruknęła cicho Anna. – *Como no, señor!*

Oczywiście.

Strażnik sięgnął za pazuchę, jakby chciał okazać im swoje. Dziwne.

W tym samym momencie Ben dostrzegł jakiś ruch po drugiej stronie ulicy i szybko się odwrócił.

Stał tam mężczyzna. Wysoki mężczyzna o czerstwej twarzy, zmierzwionych, szpakowatych włosach i krzaczastych, zrosniętych ze sobą brwiach.

Ben drgnął. Ta koszmarowa gęba. Znał ją. Na pewno ją znał.

Tylko skąd? Gdzie ją widziałem?

Paryż. Rue des Vignoles.

Graben w Wiedniu.

I jeszcze gdzieś.

To jeden z nich, jeden z morderców.

Celował w nich z pistoletu.

–Padnij! – wrzasnął i rzucił się na betonową ścieżkę.

Anna zanurkowała w lewo, schodząc z linii strzału.

W tym samym momencie rozległo się ciche puff!, trysnęła fontanna krwi i wiekowy strażnik runął na chodnik. Mężczyzna o krzaczastych brwiach ruszył pędem w ich stronę.

Płot, podwórze, dom Strassera: utkwili w pułapce.

Tamten zastrzelił strażnika! Zdążyli uskoczyć i biedny staruszek oberwał zamiast nich.

Ale następnym razem pudła nie będzie.

Nawet gdybym mógł biegać, pomyślał Ben, musiałbym biec prosto na niego.

W dodatku nie mieli broni!

–Wszystko w porządku! Wszystko w porządku! – krzyknął po angielsku tamten. – Nie będę strzelał!

Pędził ku nim z opuszczonym pistoletem.

–Hartman! – wrzasnął. – Benjamin Hartman!

–Stój! Mam broń! – krzyknęła Anna.

Mężczyzna o krzaczastych brwiach nie zareagował.

–Już w porządku! – powtórzył. – Wszystko w porządku! – Rzucił pistolet na ziemię i pokazał im puste ręce. – On chciał was zabić. – Podbiegł do zabitego staruszka. – Spójrzcie!

Były to jego ostatnie słowa.

Niczym budzący się do życia manekin, strażnik poruszył ręką, wyszarpnął zza paska mały, płaski pistolet i wycelował w stojącego nad nim mężczyznę. Rozległ się odgłos przypominający splunięcie i miękko zakończony pocisk odstrzelił mu potylicę.

Co się tu, do diabła, działo?

Strażnik próbował usiąść, chociaż z koszuli ściekała mu krew. Był ranny, może nawet śmiertelnie, ale prawą rękę, tę uzbrojoną, miał zupełnie sprawną. Z lewej strony doszedł ich przeraźliwy krzyk:

–Nie! – i dopiero teraz Ben spostrzegł jeszcze jednego strzelca, który stał zaledwie dwadzieścia metrów dalej, za dębem rosnącym po ich stronie ulicy. Ten był

uzbrojony w snajperkę z celownikiem optycznym.

Ubezpieczał tego o krzaczastych brwiach?

Celował w nich, w każdym razie w ich stronę.

Chryste, nie było czasu ani na ucieczkę, ani nawet na unik!

W chwili, gdy lufa karabinu plunęła ogniem, sparaliżowany strachem Ben nawet nie drgnął.

Jeden wystrzał, drugi, trzeci – strażnik runął na chodnik z trzema pociskami w piersi.

Po raz kolejny cudem uniknęli śmierci. Ale dlaczego? Przecież strzelec wyposażony w broń z celownikiem optycznym nie mógł w żaden sposób chybić.

Mężczyzna – miał lśniąco czarne włosy i śniadą cerę – podbiegł do skurczonego strażnika, nie zwracając na nich uwagi.

To było bez sensu. Dlaczego tak bardzo zależało im na zabiciu strażnika? Na kogo tak naprawdę polowali?

Ben powoli wstał i zobaczył, jak snajper sięga do kieszeni starca i wyjmuje z niej kolejną broń: wyposażony w tłumik rewolwer.

–O Boże – szepnęła Anna.

Śniadoskóry mężczyzna chwycił strażnika za siwą czuprynę i mocno pociągnął. Skalp zszedł starcowi z głowy jak skóra z wypatroszonego królika, odsłaniając ukryte pod peruką stalowoszare włosy.

Mężczyzna szarpnął za siwe wąsy, bez trudu je zerwał, po czym chwycił za obwisłą, pokrytą starczymi plamami skórę twarzy.

–Lateks – powiedział. Zerwał mu nos, potem pomarszczone worki pod oczami i wówczas Ben rozpoznał gładką twarz człowieka, który próbował go zabić przed willą Jurgena Lenza w Wiedniu. Człowieka, który próbował zabić ich w Paryżu.

Człowieka, który zabił mu brata. – To Architekt – wykrztusiła Anna.

Ben zamarł.

Z niedowierzania rozdziawił usta.

–Chciał strzelić z bliska – powiedział mężczyzna. Oliwkowa cera, niezwykle długie rzęsy, kwadratowa szczęka – mówił z lekkim, bliskowschodnim akcentem. – Zabiłby was. Daliście się podejść.

Benowi stanął przed oczami dziwny, nieśmiały, niemal przepaszający gest drobnego, kruchego staruszka, który sięgnął za pazuchę, jakby chciał się przed nimi wylegitymować.

–Zaraz – powiedziała Anna. – Ty jesteś Yossi. Z Wiednia. Izraelski agent CIA. Udawałeś agenta CIA...

–Do ciężkiej cholery! – wrzasnął Ben. – Kim ty właściwie jesteś?

–Nieważne. Moje nazwisko nic wam nie powie.

–Może jednak powie. No więc?

–Yehuda Malkin.

Ben nigdy nie słyszał o żadnym Malkinie.

–Śledziliście mnie. W Wiedniu i w Paryżu widziałem twojego kolegę.

–Tak, zawalił i dał się zauważyć. Jeździł za tobą przez cały tydzień. Ja go

ubezpieczałem. Teraz mogę już powiedzieć: wynajął nas twój ojciec.

Mój ojciec. Ale po co?

–Wynajął was mój ojciec...

–Ponad pięćdziesiąt lat temu Max Hartman wykupił od Niemców naszych rodziców. Ten zabity był nie tylko moim partnerem. Był moim kuzynem. – Yehuda zamknął oczy. – Niech to szlag. On miał żyć, to nie jego pora. Niech to szlag. – Pokręcił głową. Śmierć kuzyna jeszcze do niego nie dotarła i najwyraźniej nie zamierzał do tego dopuścić: nie w tym momencie. Hardym wzrokiem spojrzął na zbitego z tropu Bena. – Zawdzięczamy mu wszystko. Musiał mieć z nimi jakiś układ, bo oprócz nas, wykupił i wywiózł kilka innych żydowskich rodzin.

Max Hartman wykupił kilka żydowskich rodzin? Ocalił ich przed zagładą w obozie koncentracyjnym? W takim razie Sonnenfeld mówił prawdę.

–Kto pana szkolił? – wtrąciła Anna. – Bo chyba nie Amerykanie.

–Urodziłem się w Izraelu, w kibucu. Po ucieczce z Niemiec moi rodzice przenieśli się do Palestyny.

–Służył pan w izraelskim wojsku?

–W komandosach. W sześćdziesiątym ósmym, po wojnie sześciodniowej, przeprowadziliśmy się do Ameryki. Moi rodzice mieli dość wojny. Po ogólniaku wstąpiłem do wojska.

–Wiedeń – warknęła Anna. – Ta podpucha z CIA, Co to, do diabła, było?

–Musiałem wciągnąć w to kumpla ze Stanów. Benowi groziło niebezpieczeństwo. Mieliśmy przewieźć go do Ameryki i zapewnić mu bezpośrednią ochronę. Żeby nic mu już nie groziło.

–Ale jak...

–Posłuchajcie, nie ma na to czasu. Jeśli chcecie przesłuchać Strassera, lepiej zróbcie to, zanim zjawi się policja.

–Słusznie – mruknęła Anna.

–Chwila – powstrzymał ich Ben. – Mówiłeś, że mój ojciec... Kiedy was wynajął? Yehuda posłał mu niecierpliwe spojrzenie.

–Mniej więcej tydzień temu. Zadzwoił do nas i powiedział, że grozi ci niebezpieczeństwo. Ze jesteś w Szwajcarii. Podał nam nazwiska, adresy, pod którymi mieliśmy cię szukać. Prosił, żebyśmy cię chronili, ubezpieczali. Nie chciał stracić drugiego syna. – Rozejrzał się szybko. – W Wiedniu omal cię nie zabili. Potem w Paryżu. Tutaj też mało brakowało.

Od natłoku pytań Benowi zakręciło się w głowie.

–Mój ojciec. Dokąd wyjechał?

–Nie wiem. Mówił, że wybiera się do Europy, ale nie powiedział dokąd, a Europa to wielki kontynent. Wspomniał tylko, że przez kilka miesięcy nie będzie z nim kontaktu. Zostawił nam kupę forsy na koszty podróży. – Uśmiechnął się ponuro. – O wiele więcej, niż potrzebowaliśmy.

Anna pochyliła się i wyjęła broń z nylonowej kabury pod pachą Voglera. Odkręciła tłumik, schowała go do kieszeni, a pistolet wetknęła za pasek spódnicy i zasłoniła go połą żakietu.

–I przyjechaliście za nami aż tutaj? – spytała.

–Nie – odrzekł Yehuda. – Nazwisko Strassera było na liście, którą dostaliśmy od Maksa Hartmana. Nazwisko prawdziwe, fałszywe i adres.

–On wie, co się dzieje! – wykrzyknął Ben. – On ich wszystkich zna.

Domyślił się, że prędzej czy później dotrę do Strassera.

–Namierzyliśmy za to Voglera. Facet nie wiedział nawet, że go śledzimy, zresztą miał to chyba gdzieś. Mieliśmy adres Strassera, więc kiedy do wiedzieliśmy się, że leci do Argentyny.

–Obserwowaliście ten dom przez parę dni, tak? – przerwała mu Anna. – Czekaliście na Bena.

Yehuda rozejrzał się nerwowo.

–Powinniście już iść.

–Zaraz. Strasser gdzieś wyjeżdżał. Widzieliście, jak wracał?

–Tak. Wyglądało na to, że był na dłuższych wakacjach, bo miał dużo bagażu.

–Czy od tamtej pory ktoś go odwiedzał?.

Yehuda zmarszczył czoło.

–Nie wiem, chyba nie. Pół godziny temu przyjechała pielęgniarka, ale...

–Pielęgniarka! – Anna spojrzała na kombi przed domem. Na drzwiach samochodu widniał napis: Permanencia en Casa. – Szybko!

–Rany boskie... – mruknął Ben, puszczając się biegiem za nią.

Zadzwoiła do drzwi.

–Niech to szlag – jęknęła. – Za późno. – Yehuda przystanął z boku, krok za nimi.

Minęło kilkanaście sekund i drzwi się wreszcie otworzyły. W progu stał sędziwy starzec, zasuszony, pochylony i mocno opalony. Miał skórzastą, pobrużdżoną zmarszczkami twarz.

Josef Strasser.

–*Quien es este?* - spytał, łypiąc na nich spode łba. – *Se esta metiendo en mis cosas – ya llegó la enfermera que me tiene que revisar.*

–Mówi, że właśnie bada go pielęgniarka – przetłumaczyła Anna. – Nie! Herr Strasser, ostrzegam pana, niech pan trzyma się od niej z daleka!

Za Niemcem ukazała się ubrana na biało kobieta.

–Anno, za nim! – rzucił Ben.

Pielęgniarka podeszła do drzwi, ponaglając Strassera i strofując.

–*Yamos, señor Al brecht, vamos para alla, que estoy apurada! Tengo que ver al próximo paciente todavía!*

–Każe mu się pospieszyć – szepnęła Anna. – Czeka na nią jakiś pacjent. Herr Strasser, ta kobieta nie jest pielęgniarką. Niech pokaże panu dokumenty!

Pielęgniarka chwyciła go za rękę i gwałtownie pociągnęła za sobą.

–*Yamismo* - warknęła – *vamos!*

Wolną ręką chciała zamknąć drzwi, lecz Anna zablokowała je kolanem.

Nagle pielęgniarka odepchnęła Strassera do tyłu, sięgnęła do kieszeni fartucha i jednym płynnym ruchem wyjęła pistolet.

Lecz Anna była szybsza.

–Stój!

Pielęgniarka pociągnęła za spust.

W tym samym momencie Anna wykonała błyskawiczny obrót, powalając Bena na ziemię.

Ben upadł, usłyszał huk wystrzału i zwierzęcy ryk.

Podniósł głowę i dopiero wtedy zrozumiał, co się stało: Anna zdążyła zejść z linii strzału i pocisk ugodził Yehudę.

Pośrodku jego czoła wykwitła czerwona, owalna plamka, z potylicy buchnęła krew.

Anna oddała dwa szybkie strzały. Fałszywa pielęgniarka wygięła się w łuk i runęła na podłogę.

Na króciutką chwilę zapanowała cisza tak głęboka, że słyhać w niej było odległy śpiew ptaka.

–Ben, jesteś cały?

Z trudem potwierdził.

–Chryste. – Anna spojrzała na martwego Yehudę, a potem w stronę drzwi.

Strasser kucnął na podłodze w bladoniebieskim szlafroku i płacząco zawodził, ukrywając twarz w dłoniach.

–Herr Strasser – zawołała.

–*Gott im Himmel* - jęczał Niemiec. – *Gott im Himmel. Sie haben mein Leben gerettet!* - Boże święty. Uratowała mi pani życie.

Obrazy. Bezkształtne, zamazane, pozbawione sensu i wyrazistości. Zamglone kontury o szarych, rozmytych zarysach, rozplywające się w nicość jak smugi kondensacyjne na wietrznym niebie. Najpierw była jedynie świadomość – świadomość samej świadomości. Potem pojawiło się uczucie zimna. Tak, było mu zimno, bardzo zimno. Jedynie na piersi rozlewało się dziwne, promieniujące z wnętrza ciepło.

Ciepło i ból.

To dobrze. Ból to dobry znak.

Ból był jego sprzymierzeńcem. Mógł go poskromić, mógł go w razie potrzeby odpędzić. Ból był też znakiem, że jeszcze nie umarł.

Martwiło go natomiast uczucie zimna. Zimno oznaczało, że stracił bardzo dużo krwi, że organizm uległ silnemu wstrząsowi, który miał powstrzymać jej dalszy wpływ: serce biło wolniej i z mniejszą siłą, naczynia krwionośne w kończynach kurczyły się, żeby zminimalizować napływ krwi do mniej ważnych części ciała.

Musiał zorientować się w sytuacji. Leżał na ziemi. Leżał bez ruchu. Słyszał? Głowę wypełniała mu głucha cisza, której nie zakłócał najśłabszy dźwięk. I nagle - jakby mózg nawiązał kontakt ze światem zewnętrznym - dotarły do niego jakieś głosy, głosy ciche, przytłumione, głosy dochodzące z wnętrza... domu.

Z wnętrza domu.

Czyjego domu?

Musiał stracić mnóstwo krwi. Wytężył umysł, żeby odtworzyć w myśli wydarzenia ostatnich godzin.

Argentyna. Buenos Aires. Strasser.

Dom Strassera. Czekał tu na Benjamina Hartmana i Annę Navarro. Tu spotkał... tamtych. W tym kogoś ze snajperką.

Oberwał w pierś, i to kilka razy. Tego nie da się przeżyć. Nie! Natychmiast wymazał tę myśl z pamięci. Była bezproduktywna. Mogła przyjść do głowy tylko amatorowi.

Nie postrzelono go. Czuł się świetnie. Może był trochę osłabiony, lecz jeszcze nie wypadł z gry. Tamci myśleli, że wypadł i właśnie to będzie jego atutem. Przesuwające się przed oczyma obrazy wciąż falowały, lecz zdołał je na chwilę zatrzymać, oprawić je w ramki jak fotografie, jak paszportowe zdjęcia trzech celów. Benjamina Hartmana. Anny Navarro. Josefa Strassera. Tak, w tej kolejności.

Mózg pracował powoli i ociężale, jakby zanurzono go w starym oleju przekładniowym, ale pracował, i tylko to się liczyło. Reszta była wyłącznie kwestią koncentracji: przypisze swoje rany komuś innemu, swojemu zakrwawionemu sobowtórowi, komuś, kto przeżył silny wstrząs, lecz kto nie był nim. Bo jemu nic nie dolegało. Gdy tylko się otrząśnie, znowu będzie mógł chodzić. Polować. Zabijać. Miał potężną siłę woli, która zawsze triumfowała nad słabością organizmu. Wiedział, że zatriumfuje i tym razem.

Mimo toczących się w jego umyśle zmagania o hart ducha, postronny obserwator, któremu dane by było obserwować Hansa Voglera, dostrzegłby jedynie leciutkie drżenie powiek, nic więcej. Od tej chwili Architekt miał starannie planować i odmierzać każdy ruch, tak jak umierający na pustyni człowiek odmierza każdy łyk wody z manierki. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszą stratę sił.

Żył, żeby zabijać. Zabijał z niedościgłą maestrią, zabijał, gdyż takie było jego powołanie. Tym razem zamierzał zabić choćby tylko po to, by dowieść sobie, że jeszcze żyje.

–Kim jesteście? – zapiszczał chrapliwie Strassner.

Ben zerknął na zakrwawione ciało fałszywej pielęgniarki, na ciało Architekta, który omal ich nie zabił, i na zwłoki tajemniczych opiekunów, Aviego i Yehudy, których wynajął jego ojciec, i którzy leżeli teraz martwi na czerwonej podłodze patio.

–Herr Strasser – powiedziała Anna – zaraz będzie tu policja. Mamy bardzo mało czasu.

Ben zrozumiał, o co jej chodzi: nie mogli im zaufać, nie argentyńskiej policji, dlatego musieli szybko stąd zniknąć.

Na rozmowę z Niemcem zostało im zaledwie kilka minut.

Twarz Strassera była zryta głębokimi zmarszczkami i poprzecinana niezliczonymi prążkami. Jego upstrzone starczymi plamami wargi zaginały się do dołu i wykrzywiały, przypominając pomarszczone, lekko wydłużone śliwki. Po obu stronach mięsistego, rozpląszczonego nosa, niczym rodzyнки w cieście tkwiły ciemne, głęboko osadzone oczy.

–Nie nazywam się Strasser – zaprotestował. – Pomyliliście adres.

–Oboje znamy pańskie prawdziwe i fałszywe nazwisko – odrzekła niecierpliwie Anna. – Ta pielęgniarka. Zawsze do pana przychodziła?

–Nie, moja stała pielęgniarka zachorowała. Mam anemię i biorę zastrzyki...

–Gdzie pan spędził ostatnie dwa miesiące?

Strasser przestąpił z nogi na nogę.

–Muszę usiąść – wysapał i powoli ruszył w głąb korytarza.

Poszli za nim i po chwili znaleźli się w dużym, przesyconym ozdobami pokoju.

Była to biblioteka, piętrowe atrium zastawione półkami z wypolerowanego na błysk mahoniu.

–Ukrywa się pan – rzuciła Anna. – Jest pan zbrodniarzem wojennym.

–Nie jestem żadnym zbrodniarzem! – syknął Strasser. – Jestem niewinny jak dziecko.

–Jeśli nie – odparła z uśmiechem Anna – to dlaczego się pan ukrywa? Niemiec leciutko się zawahał.

–Ekstradycja byłych nazistów weszła tu w modę. Tak, owszem, należałem do narodowych socjalistów. Argentyna podpisała układ z Izraelem, Niemcami i Ameryką, i zależy jej teraz tylko na tym, co pomyśli amerykański prezydent. Wydaliliby mnie choćby po to, żeby sprawić mu przyjemność. Polowanie na nazistów to w Buenos Aires dobry interes! Niektórzy dziennikarze polują na pełny etat, zarabiają w ten sposób na chleb! Ale ja nigdy nie byłem zwolennikiem Hitlera. Hitler był szaleńcem, przekonaliśmy się o tym już na początku wojny. Zgubiłby nas wszystkich. Ludzie tacy jak ja wiedzieli, że trzeba sięgnąć po inne rozwiązania. On niszczył nasz potencjał przemysłowy, dlatego chcieliśmy go zabić. Nasze prognozy

okazały się słuszne. Pod koniec wojny Ameryka władała trzema czwartymi światowego kapitału inwestycyjnego i dwiema trzecimi światowego potencjału przemysłowego. – Zamilkł i z uśmiechem dodał: – Po prostu kiepski był z niego menedżer.

–Skoro zwrócił się pan przeciwko Hitlerowi, dlaczego ochraniają pana ci z *Kamaradenwerk* – spytał Ben.

–Niepiśmienne bandziory – prychnął Strasser. – Znają historię tak samo jak ci z bożej łaski mściciele, którym chcą popsuć szyki...

–Dlaczego wyjechał pan z miasta? – przerwała mu Anna.

–Byłem na ranchu w Patagonii, u rodziny żony. Mojej nieboszczki żony. U stóp Andów, w prowincji Rio Negro. Hodują tam bydło i owce, ale warunki mają luksusowe.

–Często pan tam jeździ?

–Odwiedziłem ich pierwszy raz. Żona odeszła w zeszłym roku, więc... Ale dlaczego mnie o to pytacie?

–Dlatego nie mogli pana znaleźć - odrzekła Anna. – Znaleźć i zabić.

–Zabić? A kto chce mnie zabić?

Ben ponaglił Annę wzrokiem.

–Firma – odrzekła.

–Firma?

–Sigma.

Blefowała, lecz robiła to bardzo przekonująco. Benowi przypomniały się słowa

Chardina: „Zachód i większa część reszty świata odbierała tę posługę bardzo pozytywnie, bez zastrzeżeń akceptując towarzyszącą jej przykrywkę”.

Strasser pogrążył się w zadumie.

–Nowe przywództwo. Tak, na pewno. Na pewno... – Błysnął podobnymi do rodzynek oczami.

–Nowe przywództwo? – drażył Ben.

–Oczywiście – ciągnął Niemiec, jakby go nie usłyszał. – Boją się, że za dużo wiem.

–Ale kto?

Strasser spojrział na niego nieobecny wzrokiem.

–Pomagałem im to założyć. Alford Kittredge, Siebert, Aldridge, Holleran, Conover: koronowane głowy największych imperiów przemysłowych świata. Pogardzali mną, ale mnie potrzebowali. Potrzebowali moich kontaktów w niemieckim rządzie. Gdyby przedsięwzięcie nie było przedsięwzięciem prawdziwie wielonarodowym, nie miałyby najmniejszej szansy na sukces. A mnie ufali ci z samej góry. Wiedzieli, że robiłem dla nich rzeczy, które na zawsze usunęły mnie poza nawias ludzkości. Wiedzieli, że się dla nich poświęciłem, że złożyłem dla nich najwyższą ofiarę. Byłem łącznikiem, któremu ufały wszystkie strony. A teraz zaufanie to zdradzono i maskarada jest już tylko zwykłą maskaradą. Teraz wiem na pewno, że wykorzystywali mnie do swoich własnych celów.

–Wspomniał pan o nowych przywódcach – wtrąciła niecierpliwie Anna.

–Czy należy do nich Jurgen Lenz, syn Gerharda Lenza?

–Nie znam go. Nie wiedziałem, że Lenz miał syna, ale z drugiej strony nigdy się z nim nie przyjaźniłem.

–Obaj byliście naukowcami – powiedział Ben. – To pan wynalazł cyklon B, prawda?

–Nie, nie. Byłem jedynie członkiem zespołu, który wynalazł cyklon B.

–Strasser wygładził poły sfatygowanego, bladoniebieskiego szlafroka i po prawili kołnierz. – Atakują mnie za to wszyscy apologeci, ale żaden z nich nie chce dostrzec faktu, że był to bardzo elegancki gaz.

–Elegancki gaz? – powtórzył Ben. Przez chwilę myślał, że się przesłyszał. Elegancki gaz. Ten człowiek był odrażający.

–Zanim zaczęto go używać, więźniowie byli rozstrzeliwani – wyjaśnił Strasser. – Straszliwa rzeź, krwawa łaźnia. A cyklon B był taki czysty, taki prosty i elegancki. I wiecie co? Zaoszczędził Żydom cierpienia.

–Zaoszczędził Żydom cierpienia – powtórzył jak echo Ben. Strasser wywoływał w nim obrzydzenie.

–Ależ tak! W obozach panoszyło się tyle śmiertelnych chorób, że cierpieliby o wiele dłużej, o wiele boleśniej. Gazowanie było najbardziej huma nitarnym wyjściem.

Najbardziej humanitarne wyjście. Oto oblicze zła, pomyślał Ben. Starzec w szlafroku i jego nabożna wiara w słuszność tego, co kiedyś robił.

–Cudownie.

–Dlatego nazwaliśmy to „kuracją specjalną”.

–Wasz eufemizm na eksterminację.

–Skoro pan woli... – Strasser wzruszył ramionami. – Ale ja nie wybie rąłem ofiar do komór gazowych jak Mengele czy Lenz. Mengelego nazywa ją Aniołem Śmierci, ale tak naprawdę był nim Lenz. To on był prawdziwym Aniołem Śmierci.

–Ale pan nie – wtrącił z sarkazmem Ben. – Pan był naukowcem. Strasser wyczuł ten sarkazm.

–Co pan wie o nauce? – prychnął. – Jest pan naukowcem? Czy wie pan, jak bardzo wyprzedzaliśmy świat, my, nazistowscy naukowcy? Czy ma pan o tym jakiegokolwiek pojęcie? – Mówił drżącym, piskliwym głosem. W kącikach ust zebrała mu się ślina. – Atakują Mengelego za badania nad bliźnięta mi, ale na jego odkrycia powołują się najwięksi genetycy świata! A doświadczenie z zamrażaniem ludzi, które przeprowadzał w Dachau: uzyskane wówczas dane są wykorzystywane do dziś dnia! A to, czego dowiedziano się w Ravensbruck o cyklu menstruacyjnym kobiet w silnym stresie, kobiet, które miały zostać stracone? Przecież to był wielki naukowy przełom! Albo doświadczenia doktora Lenza nad procesem starzenia się. Eksperymenty z głodem na radzieckich jeńcach wojennych, przeszczepy kończyn: mógłbym tak wyliczać w nieskończoność. Może niepolitycznie jest o tym mówić, ale wciąż wykorzystujecie nasze odkrycia. Wolicie nie myśleć, jak do nich doszliśmy, ale nie zdajecie sobie sprawy, że doszliśmy do nich głównie dla tego, że były to doświadczenia na żywych ludziach!

Pomarszczona twarz Strassera zbladła jeszcze bardziej i była teraz kredowobiała. Brakowało mu tchu.

–Nasze badania budzą w was odrazę, mimo to wy, Amerykanie, używacie do przeszczepów tkanek płodów pochodzących z aborcji, prawda? To jest do przyjęcia, a tamto nie?

–Ben, nie dyskutuj z tym potworem – rzuciła Anna, chodząc nerwowo tam i z powrotem.

Ale Strasser jakby jej nie słyszał.

–Oczywiście, były też pomysły zupełnie obłąkane. Ot – prychnął – choćby próby zamiany dziewczynek w chłopców i chłopców w dziewczynki. Albo próby stworzenia syjamskich bliźniąt poprzez łączenie organów wewnętrznych bliźniąt zwykłych. Kompletne fiasko. Straciliśmy przez to dużo materiału...

–Czy po powstaniu Sigmy utrzymywał pan kontakt z Lenzem? – przerwała mu Anna.

To pytanie, wtrącone niespodziewanie, trochę go rozkojarzyło. – Naturalnie. Zależało mu na mojej wiedzy i koneksjach.

–To znaczy? – spytał Ben.

Strasser wzruszył ramionami.

–Prowadził badania nad strukturami molekularnymi, które miały podobno zrewolucjonizować świat.

–Mówił, na czym te badania polegają?

–Nie mnie. Był bardzo tajemniczy, zamknięty w sobie. Ale pamiętam, powiedział kiedyś coś takiego: „Nie pojmujecie, nad czym teraz pracuję, nie jesteście w stanie tego zgłębić”. Chciał, żebym załatwił mu kilka skomplikowanych mikroskopów

elektronowych. W tamtych czasach trudno je było zdobyć, dopiero co je wynaleziono. I różne chemikalia, odczynniki. Na wiele z tych rzeczy obowiązywało embargo, a ja miałem zapakować to wszystko w skrzynie i wysłać do kliniki, którą założył w starym zamku. Zajął go ponoć podczas inwazji na Austrię...

–Ta klinika jest w Austrii? – spytała Anna. – Gdzie?

–Gdzieś w Alpach.

–Ale gdzie? – nie ustępowała Anna. – W jakim mieście? Może na wsi?

–Jak mogę pamiętać takie szczegóły? Po tylu latach? Zresztą nie wiem, może wcale mi tego nie powiedział. Pamiętam tylko, że nazywał ją „zakładem”, bo kiedyś mieściły się tam zakłady zegarmistrzowskie.

Naukowy projekt Lenza.

–To jakieś laboratorium? Po co mu było laboratorium?

Strasser ściągnął usta i westchnął.

–Żeby kontynuować badania – odrzekł z wyrzutem.

–Jakie badania?

Niemiec zamilkł i pogрузzył się w zadumie.

–Szybciej! – syknęła Anna. – Jakie badania?

–Nie wiem. W czasie istnienia Rzeszy rozpoczęto dużo ważnych badań. Pewnie dalej prowadził swoje.

Badania Gerharda Lenza: Sonnenfeld też o nich wspominał. Tylko co to było?

Doświadczenia na ludziach, ale... jakie?

–Ale jakie? Nie pamięta pan?

–Już nie. Nauka i polityka: dla nich to było jedno i to samo. Sigma miała wspierać różne organizacje. Jedne wspierać, inne obalać. Oni o tym dużo mówili, a już wtedy mieli na świecie olbrzymie wpływy. Sigma pokazała im, że jeśli te wpływy zjednoczą, powstanie organizm dysponujący władzą znacznie potężniejszą niż jego poszczególne części. Razem mogli niemal wszystko, mogli wszystkim kierować i manipulować. Ale jak już mówiłem, Sigma to organizm – żywy organizm – i jak każdy taki organizm zaczęła ewoluować.

–Tak – odparła Anna – dzięki funduszom skradzionym z Reichsbanku i tym, które napływały z największych korporacji świata. Wiemy, kto ją założył. Jest pan ostatnim żyjącym członkiem pierwszego zarządu. Ale kim są wasi następcy?

Strasser spojrział w głąb korytarza, lecz zdawało się, że patrzy w pustkę.

–Kto nią dzisiaj kieruje? – krzyknął Ben. – Nazwiska! Niech pan poda jakieś nazwiska!

–Nie znam tych ludzi! – zaskrzeczał Niemiec. – Zamknęli nam usta pieniędzmi, regularnymi datkami! Wykluczyli nas z kręgu władzy, zrobili z nas lokajów. Powinniśmy być miliarderni, ale oni rzucali nam tylko okruszki z pańskiego stołu, okruszki i ochłapy! – Wykrzywił usta w odrażającym uśmiechu. – A teraz nie chcą dawać nawet ochłapów. Jeśli mnie zabiją, nie będą musieli płacić, to proste. Są chciwi i się wstydzą. Tyle dla nich zrobiłem i nagle uznali, że przynoszę im wstyd. I że im zagrażam, bo chociaż wyrzucili mnie za drzwi, i to wiele lat temu, wciąż uważają, że za dużo wiem. Dzięki mnie są tym, kim są, i czym mi za to odpłacają? Pogardą! –

Gniew i wzbierająca latami gorycz nadały jego głosowi twarde, metaliczne brzmienie. – Mają mnie za ubogiego krewnego, za czarną owcę, za śmierdzącego, bezpańskiego psa. Zbierają się tam, zjeżdżają, sam szyk i elegancja! Wiem, czego się najbardziej boją. Boją się, że przyjadę na to ich głupie forum, że wpadnę tam jak skunks na przyjęcie i będzie po maskaradzie. Wiem, co knują i gdzie knują, ale nie jestem głupcem ani ignorantem. Nie pojechałbym do Austrii, nawet gdyby mnie zaprosili.

Do Austrii.

–O czym pan mówi? – spytał Ben. – Gdzie się zbierają? Kto? Proszę mi powiedzieć.

Strasser spojrział na niego czujnie i pogardliwie. Było oczywiste, że nic więcej nie powie.

–Gadaj, do cholery!

–Wszyscy jesteście tacy sami – prychnął. – Człowiekowi w moim wieku należy się odrobina szacunku! Nic wam więcej nie powiem.

Anna zeszywniała.

–Syreny – szepnęła. – Już tu jadą. Idziemy.

Ben stanął dokładnie naprzeciwko Strassera.

–Wie pan, kim jestem?

–Nie – wyjąkał Niemiec. – A... a kim?

–Synem Maksa Hartmana. Na pewno pamięta pan to nazwisko.

Strasser zmrużył oczy.

–Maksa Hartmana? Tego Żyda? Naszego... skarbnika?

–Tak. Podobno należał do SS. – Sonnenfeld twierdził, że była to tylko przykrywka. Strasser mógł to potwierdzić lub temu zaprzeczyć: mógł odsłonić przed nim potworną przeszłość Maksa Hartmana. Ben czekał. Serce waliło mu jak młotem.

Niemiec wybuchnął śmiechem, błyskając żółtymi od nikotyny zębami.

–Max Hartman w SS? A skąd! Daliśmy mu fałszywe papiery, żeby ci z ODESSY mogli przerzucić go z Niemiec do Szwajcarii. Na tym to polegało.

Bena zalała fala ulgi – ulgi niemal fizycznej. W uszach huczała mu krew.

–Bormann go wybrał, i to osobiście. Włączył go do naszej delegacji nie dlatego, że Hartman był dobrym finansistą, ale dlatego, że potrzebowaliśmy... jak to się mówi? Figury...

–Figuranta.

–O właśnie. Przemysłowcy z Ameryki i innych krajów nie czuli się z nami za dobrze. Żydowski delegat nas uwiarygodnił. Był żywym dowodem na to, że my jesteśmy inni, że nie mamy nic wspólnego z fanatycznymi nazistami i wiernymi zwolennikami Hitlera. Pański ojciec dobrze na tym wyszedł: wyciągnął rodzinę z obozu, przy okazji kilka innych żydowskich rodzin i dostał czterdzieści milionów franków na dokładkę. Czterdzieści milionów franków szwajcarskich to prawie milion dolarów. Mnóstwo pieniędzy. – Wyszczrzył zęby w potwornym uśmiechu. – A potem mówił, że doszedł do wszystkiego sam, od pucybuta do milionera. Ha! Pucybut z milionem dolarów na koncie? Dobrze!

–Ben! – krzyknęła Anna. Szybko otworzyła skórzany portfel ze służbową

legitymacją. – A wie pan, kim ja jestem, Herr Strasser? Pracuję w Departamencie Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, w Urzędzie do Badań Specjalnych. Wie pan, czym się zajmujemy?

–Ohoho! – odparł Niemiec. – Przykro mi, że muszę panią rozczarować, ale jestem obywatelem argentyńskim i nie podlegam waszej jurysdykcji.

Syreny wyły coraz głośniej. Policja była zaledwie kilka ulic dalej.

–Nie szkodzi – odparła Anna. – Wkrótce sprawdzimy, czy argentyński rząd podchodzi poważnie do układu o ekstradycji zbrodniarzy wojennych. Tędy, Ben. Szybko!

Strasser poczerwieniał z wściekłości.

–Hartman! – wychrypiał.

–Chodź, Ben!

Niemiec skinął na niego zakrzywionym palcem. Ben nie mógł się oprzeć. Ukląkł, a wówczas starzec szepnął:

–Wiesz, że twój ojciec był małym, słabym człowieczkiem? Człowieczkiem bez kręgosłupa? Że był tchórzem i oszustem, który udawał biedną ofiarę? – Mówił cichym, monotonnym głosem. Jego wargi poruszały się o kilka centymetrów od ucha Bena. – Jesteś synem oszusta, to wszystko. Dla mnie jesteś tylko synem oszusta, nikim więcej.

Ben zamknął oczy i z trudem opanował gniew.

Syn oszusta.

Czy to prawda? Czy Strasser ma rację?

Jego mieszkanie wyraźnie Niemca ucieszyło.

–Hmm, pewnie chciałbyś mnie teraz zabić, co? Ale nie zabijesz. Bo jesteś tchórzem, jak twój ojciec.

Anna ruszyła do wyjścia.

–Nie – odrzekł Ben. – Nie zabiję cię, Strasser, bo wolę, żebyś zgnił w śmierdzącej celi jerozolimskiego więzienia. Żeby twoje ostatnie dni były najpaskudniejsze z paskudnych. Szkoda na ciebie kuli.

Pobiegł za Anną i wyszli z domu tylnymi drzwiami. Syreny wyły coraz głośniej.

Nie wstawaj. Czołgaj się. Wiedział, że jeśli wstanie, wysiłek konieczny do utrzymania ortostatycznego ciśnienia krwi w głowie będzie o wiele większy. Poza rym nie musiał wstawać, przynajmniej na razie. Podjął bardzo racjonalną decyzję i świadomość ta podnosiła go na duchu niemal tak samo jak ucisk rękojeści glocka w kaburze nad kostką u nogi.

Drzwi były otwarte, korytarz pusty. Czołgał się po wojskowemu, nie zważając na szeroką smugę krwi, którą zostawiał na jasnej terakocie. Każdy metr był jak mila, mimo to wiedziały że nic go nie powstrzyma.

„Jesteś najlepszy”. Powiedział mu to sierżant przed frontem całego batalionu. Miał wtedy siedemnaście lat. „Jest najlepszy”. Napisał tak jego dowódca ze Stasi w raporcie, który wkrótce potem oddał przełożonym. Architekt miał wtedy dwadzieścia trzy lata. „Jesteście najlepsi”. Oficjalna pochwała od kierownictwa Stasi: właśnie wrócił z „polowania” w Berlinie Zachodnim, gdzie zlikwidował czterech fizyków,

członków cieszącego się międzynarodowym uznaniem zespołu naukowego z uniwersytetu w Lipsku, którzy zbiegli na Zachód ledwie dzień wcześniej. „Jest pan najlepszy”: wypowiedział te słowa członek najwyższych władz Sigmy, siwowłosy Amerykanin w okularach w cielistej oprawce. Było to zaraz po tym, jak zabił tego Włocha, znanego lewicowego polityka, strzelając do niego z drugiej strony ulicy, podczas gdy ten oddawał się rozkoszy z piętnastoletnią somalijską dziwką. Usłyszy te słowa znowu. I znowu. Bo był najlepszy.

I właśnie dlatego nie zamierzał kapitulować, ulegać obezwładniającej pokusie snu, odpoczynku, rezygnacji.

Z mechaniczną precyzją, powoli przesuwając ręce i nogi, czołgał się w głąb korytarza.

W końcu dotarł do wysokiego, przestronnego atrium o ścianach zabudowanych półkami. Jego jaszczurkowate oczy dokładnie zlustrowały otoczenie. Wszędzie książki. Cel główny? Zniknął. Rozczarowanie? Tak, lecz w sumie się tego spodziewał.

Zamiast celu głównego miał przed sobą tego spoconego, chrapliwie dyszącego cherlaka, zdrajcę, który też zasługiwał na śmierć.

Kiedy straci przytomność? Ile zostało mu czasu? Strasser. Patrzył na niego chciwie, jakby śmierć starca mogła dać mu nowe życie.

Chwiejnie przyklęknął i przyjął pozycję strzelecką. Kurczyły mu się wszystkie mięśnie, ale ręce ani drgnęły. Mały glock zaciążył w dłoni jak wielkie działo, jednak zdołał go dźwignąć i dokładnie wycelować.

I właśnie wtedy – dopiero teraz – Strasser zdał sobie sprawę z jego obecności. Może dotarł do niego znajomy zapach krwi?

Architekt widział jego małe, podobne do rodzynek oczy, które rozszerzyły się i zamknęły. Pociągnięcie za spust kosztowało tyle wysiłku, co podniesienie biurka jednym palcem, mimo to wiedział, że da radę. Pociągnął.

Pociągnął?

Nie słysząc wystrzału, zmartwił się, że nie wypełnił zadania, lecz w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że wszystko jest w najlepszym porządku: po prostu zaczynał tracić słuch.

Pokój szybko pogrążył się w ciemności. Pozbawiony tlenu mózg przestawał funkcjonować: najpierw wyłączał się ośrodek słuchu, potem wzroku, potem cała reszta.

Odczekał, aż Strasser runie na podłogę, i dopiero wtedy zamknął oczy. Zamykając je, przez ułamek sekundy czuł, że już nigdy więcej ich nie otworzy, a potem przestał odczuwać cokolwiek.

Wróciwszy do hotelu, Ben i Anna przejrzeni stertę gazet, które pospiesznie kupili w ulicznym kiosku. „To kwestia dni. Może nawet godzin”- tak mówił Chardin. A maskarada, o której wspominał Strasser, to austriackie forum, pasowało do czegoś, na co się ostatnio natknęli. Tylko gdzie? I do czego?

Odpowiedź była w zasięgu ręki.

Znalazła ją Anna, w „El Pais”, największej argentyńskiej gazecie. Krótki artykuł o Międzynarodowym Forum Zdrowia Dziecka, zjeździe światowych przywódców, którzy

mieli rozmawiać o najbardziej palących sprawach, będących przedmiotem ich troski, a zwłaszcza o sytuacji dzieci w krajach Trzeciego Świata. Jej uwagę przykuła nazwa miasta, które miało być gospodarzem spotkania: Wiedeń.

Autor artykułu zamieścił również listę sponsorów: była wśród nich austriacka fundacja Jurgena Lenza. Tłumacząc z hiszpańskiego, Anna przeczytała Benowi wszystko od początku.

Ben zadrżał.

–Boże. To jest to! To musi być to. Chardin mówił, że pozostało jedynie kilka dni. Mówił o tym zjeździe, na pewno. Lista sponsorów. Przeczytaj jeszcze raz.

Ben wykonał kilka telefonów. Zadzwoił do prezesów fundacji charytatywnych, do ludzi, którzy chętnie rozmawiali ze swoim hojnym darczyńcą. Wchodząc w dawną, dobrze znaną rolę, gawędził z nimi serdecznie i wylewnie, jednak to, czego się dowiedział, wprawiło go w konsternację.

–Ci od Lenza? – mówił ze śpiewnym, nowoorleańskim akcentem Geoffrey Baskin, dyrektor programowy Fundacji Robinsona. – Wspaniali ludzie! To ich oczko w głowie, tylko nie chcą się afiszować. Założyli ją, pokryli większość rachunków: to nie fair, że prawie cała chwała spadła na nas. Moim zdaniem zwrócili się do nas tylko po to, żeby nadać fundacji międzynarodowy charakter. Są zupełnie bezinteresowni.

–To miło – odrzekł Ben; mówił głosem spokojnym i opanowanym, chociaż narastało w nim przerażenie. – Niewykluczone, że będziemy ze sobą współpracować, dlatego chciałem się trochę zorientować. To miło, bardzo miło...

Dygnitarze i przywódcy z całego świata zbiorą się w Wiedniu pod auspicjami Fundacji Lenza.

Musieli lecieć do Wiednia.

Do jedynego miejsca na kuli ziemskiej, w którym nie powinni się pokazywać i jedynego miejsca, w którym pokazać się musieli.

Anna nerwowo krążyła po pokoju. Mogli przedsięwziąć środki ostrożności -weszły im niemal w krew. Przebranie, fałszywe dokumenty, oddzielne samoloty...

Jednak ryzyko było teraz o wiele większe.

–Jeśli nie wpadliśmy w paranoję, musimy założyć, że wszystkie loty do Wiednia będą ściśle kontrolowane- powiedziała. – Tamci postawią na nogi wszystkie służby. I właśnie wtedy Benowi zaświtała w głowie pewna myśl.

–Co powiedziałaś?

–Że postawią na nogi wszystkie służby. Przejście przez kontrolę graniczną nie będzie już spacerkiem przez park, tylko ścieżką zdrowia.

–Nie. Przedtem,

–Że wszystkie loty do Wiednia...

–Właśnie!

–Co właśnie?

–Będę musiał zaryzykować, ale myślę, że to ryzyko dużo mniejsze niż bezpośredni lot do Wiednia.

–Mów.

–Zadzwonię do Freda McCallana. To ten stary dziwak, z którym byłem umówiony

na narty w St. Moritz.

–Aha. Umówiłeś się na narty ze „starym dziwakiem”.

Ben spiekł raka.

–Nie tylko. Z jego wnuczką też.

–No i?

–Rzecz w tym, że ten dziwak ma nie tylko wnuczkę, ale i własny odrzutowiec.

Gulfstreama. Raz nim leciałem. Czerwień. Sama czerwień. Czerwone fotele, czerwona wykładzina, czerwony telewizor. Fred mieszka w hotelu Carlton, a samolot czeka pewnie w Chur. Jest tam małe lotnisko.

–Aha. Zadzwońisz i poprosisz go o kluczyki. Jakbyś pożyczał od kogoś wóz, żeby odebrać zakupy ze sklepu, tak?

No...

Anna pokręciła głową.

–To prawda, co mówią. Bogaci bardzo się od nas różnią. – Łypnęła na niego spoode łba. – To znaczy, ode mnie.

–Anno...

–Wiem, kiepski żart, przepraszam. Boję się jak jasna cholera,; to dlatego.

Posłuchaj, ja nie znam faceta. Jeśli mu ufasz, jeśli tak mówi ci instynkt, pójdę na to choćby zaraz.

–Masz rację: będą mieli oko na pasażerów linii komercyjnych, i tylko linii komercyjnych...

Anna energicznie kiwnęła głową.

–Na prywatne samoloty przymkną oko, chyba że przyleci jakiś z Kolumbii. Gdyby pilot tego faceta mógł podskoczyć na przykład do Brukseli...

–Zrobimy tak: polecimy do Brukseli; zakładam, że papiery Oscara są jeszcze dobre. W Brukseli przesiądziemy się na samolot Freda i weźmiemy kurs na Wiedeń. Tak latają szefowie Sigmy. Prywatny gulfstream z dwójkiem uciekinierów na pokładzie? Są szanse, że się przemkniemy.

–Dobra; Powiedzmy, że to początek planu.

Ben zadzwonił do St. Moritz i poprosił o połączenie z apartamentem Freda McCallana.

Głos Freda dudnił nawet tu, w Brazylii, mimo dzielącej ich odległości.

–Chryste, Benjamin, czy ty wiesz, która jest godzina? Nie szkodzi. Pewnie chcesz mnie przeprosić. Ale to nie mnie powinieneś przeproszać, tylko Louise. Jest zdruzgotana. Zdruz-go-ta-na! A przecież tyle was łączy.

–Fred...

–W sumie to dobrze, że zadzwoniłeś. Wiesz, że wypisują o tobie koszmarne bzdury? Naprawdę kosz-mar-ne! Zadzwonił do mnie taki jeden, to się nasłuchałem. Mówią, że...

–Fred, uwierz mi – przerwał mu z naciskiem Ben. – Nie ma w tym ani odrobiny prawdy. Oskarżają mnie o paskudne rzeczy, ale...

Fred jakby go nie słyszał.

–A ja roześmiałem mu się w twarz! Może Angole są tacy, mówię, zwłaszcza po

tych waszych obleśnych szkołach z internatem, ale ja też skończyłem Deerfield i wiem, że żadna siła nie zmusiłaby...

–Dzięki za zaufanie, Fred. Posłuchaj...

–Mówię mu, Ben Hartman to pierwsza rakieta uniwersytetu! Grałeś w tenisa, prawda?

–No wiesz, właściwie to...

–A lekka atletyka? Ja też biegałem. Pokazywałem ci moje puchary? Louise uważa, że to śmieszne, że od tamtego czasu minęło pięćdziesiąt lat, i ma rację. Ale ja jestem niepoprawny. Nie-po-praw-ny!

–Fred, chcę cię prosić o wielką, bardzo wielką przysługę.

–Dla ciebie, Benny, wszystko! Przecież jesteśmy prawie rodziną, a pewnego dnia, możemy zostać rodziną naprawdę. Powiedz tylko jedno słowo, chłopcze. Wystarczy jedno słowo...

Tak jak mówiła Anna, był to tylko początek planu, nic więcej. Opracowanie wariantu bezpieczniejszego wymagałoby czasu, którego nie mieli. Jedno wiedzieli na pewno: muszą jak najszybciej dotrzeć do Wiednia, zanim będzie za późno.

Chyba że – jak twierdził Chardin – już było.

Rozdział 39

Hotel mieścił się w siódmej dzielnicy Wiednia, a wybrali go dlatego, że był w miarę anonimowy i zatrzymywali się tam głównie Niemiec i Austriacy turyści. Ben, który podróżował w wojskowym mundurze Davida Paine'a, dotarł na miejsce pierwszy; Anna – po raz drugi i ostatni wcieliła się w postać Gayatri Chandragupty – leciała samolotem przez Amsterdam. Pilot Freda McCallana, wylewny Irlandczyk nazwiskiem Harry Hogan, osłupiał, ujrawszy swoich pasażerów, a gdy ci oświadczyli, że cel podróży podadzą mu dopiero po starcie, niemal odebrało mu mowę. Jednak polecenia starego McCallana były absolutnie jednoznaczne: żadnych pytań. Ben może lecieć tam, gdzie zechce.

W porównaniu z luksusem gulfstreama i szczerą jowialnością Harry'ego Hogana, hotel wydał mu się szary i ponury, tym bardziej że nie było z nim Anny: żeby zminimalizować ryzyko, podróżowali oddzielnie, różnymi trasami.

Samotny i zdenerwowany, czuł się w pokoju jak w klatce. Dochodziło południe, lecz pogoda była okropna. W szyby małych okien bębnił deszcz, co jeszcze bardziej go przygnębiało.

Rozmyślał o życiu Chardina, o Sigmie, o tym, w jaki sposób ukształtowała i podporządkowała sobie system zachodnich rządów. Myślał również o swoim ojcu. Max Hartman. Był ofiarą czy zbrodniarzem? A może i ofiarą, i zbrodniarzem?

Ojciec wynajął ludzi, którzy mieli chronić Bena. Dwóch opiekunów, dwie niańki. Jezu. Tak, to dla niego typowe: syn go nie posłuchał, zaczął odgrzebywać stare tajemnice, więc Max próbował kontrolować go inaczej, na swój własny, specyficzny sposób. Doprowadzało to Bena do szału, a jednocześnie wzruszało.

Kiedy przyjechała Anna – wynajęli jeden pokój, jako państwo Paine -objął ją i przytulił, czując, że zdenerwowanie powoli mija.

Po długim locie czuli się nieświeżo, więc wzięli prysznic. Anna długo nie wychodziła z łazienki, a gdy w końcu pojawiła się, miała jasną, rumianą twarz i zaczesane do góry włosy. Była we frotowym szlafroku.

Gdy otworzyła walizkę, Ben powiedział:

–Nie chcę, żebyś do niego szła.

Anna grzebała w ubraniach.

–Coś ty? Naprawdę?

–Posłuchaj – rzucił zirytowany – nie wiemy nawet, kim ten facet jest.

Odwróciła się do niego z granatową spódnicą i bluzką w rękę. Gniewnie błysnęła oczami.

–Teraz to już bez znaczenia. Muszę z nim porozmawiać.

–Anno, ten człowiek jest zamieszany co najmniej w osiem morderstw. Maczał palce w zabójstwie mojego brata. Możemy założyć, że jest jednym z przywódców spisku, który – jeśli wierzyć Chardinowi – ma praktycznie nieograniczony zasięg. Zna mnie, na pewno wie, gdzie byłem. Dlatego wie też, że byłem tam z tobą i może rozpoznać cię ze zdjęć. To po prostu niebezpieczne.

–Ben, nie twierdzą, że jest inaczej, ale nie możemy sobie pozwolić na luksus wyboru między wyjściem bezpiecznym i niebezpiecznym. Niebezpieczeństwo grozi

nam i tak, cokolwiek zrobimy. A nawet jeśli nie zrobimy nic. Poza tym, jeżeli zabiją mnie zaraz po tym, jak przesłucham go w sprawie serii ośmiu morderstw, stanie się podejrzanym numer jeden, a wątpię, czy by tego chciał.

–Myślisz, że zechce się z tobą zobaczyć?

Anna odłożyła ubranie i przysiadła na brzegu łóżka.

–Tak. A wiesz dlaczego? Bo zagram z nim w otwarte karty. To najlepszy sposób.

–Skóra mi cierpnie, jak to słyszę.

–Ten człowiek przywykł do władzy, do manipulowania ludźmi i wydarzeniami.

Nazwij to pychą, ciekawością, ale na pewno zechce mnie przyjąć.

–Anno...

–Ben, potrafię o siebie zadbać, naprawdę.

–Wiem, tylko że... – urwał. Patrzyła na niego tak jakoś... dziwnie, inaczej niż zwykle. – Co?

–Jesteś bardzo opiekuńczy.

–Ja? Nie wiem. Wiem tylko, że...

Wstała i podeszła bliżej, przypatrując mu się, jakby był muzealnym eksponatem.

–Kiedy się poznaliśmy, myślałam, że jesteś bogatym, zepsutym i egocentrycznym lalusem.

–I pewnie taki byłem.

–Nie. Nie sądzę. Hmm, a więc jaką rolę wyznaczono ci w rodzinie? Opiekuna i obrońcy?

Zażenowany Ben nie wiedział, co odpowiedzieć. Może i miała rację, ale z jakiegoś powodu nie chciał tego przyznać. Objął ją i przytulił.

–Nie chcę cię stracić – szepnęła. – Zbyt wielu bliskich straciłem.

Zamknęła oczy i też go objęła. Oboje byli poirytowani, zdenerwowani, wyczerpani, mimo to na chwilę ogarnął ich błogi spokój. Wdychał jej delikatny, kwiatowy zapach i czuł, że coś się w nim roztopia. Łagodnie wyzwoliła się z jego objęć.

–Mamy plan i musimy go zrealizować – powiedziała cicho, lecz stanowczo.

Zaczęła się szybko ubierać. – Idę do DHL, a potem muszę zadzwonić.

–Anno...

–Idę. Pogadamy później.

–Jezu Chryste... – Burt Connelly służył w wirgińskiej drogówce dopiero od pół roku i jeszcze nie przywykł do takich widoków. Czując, że żołądek podchodzi mu do gardła, szybko pobiegł na pobocze i zwymiotował. Zabrudził sobie czyściutki granatowy mundur, więc wytarł go chusteczką. Chusteczkę wyrzucił.

Jatka, prawdziwa masakra. Nawet w słabym wieczornym świetle widział zbryzganą krwią szybę i głowę człowieka na desce rozdzielczej. Była odcięta od ciała i potwornie splaszczona – w chwili wypadku kierowca musiał nią w coś uderzyć albo coś uderzyło w nią: nazywali to „kolizją wtórną”.

Partner Burta, Lamar Graydon, służył w drogówce od ponad roku. Widział wiele koszmarnych wypadków i potrafił zapanować nad żołądkiem.

–Wiem, fatalnie to wygląda. – Podeszedł bliżej i poklepał go po plecach. W jego brązowych oczach znużenie mieszało się z zawadiacką pewnością siebie. – Ale

widywałem już gorsze rzeczy.

–Ta głowa. Widziałeś tę głowę?

–Dobrze, że nie było z nim małych dzieci, zawsze to coś. W zeszłym roku wezwali mnie do rozwalonej impali: dzieciak wyleciał przez otwarte okno. Wyrzuciło go na dziewięć metrów w górę jak szmacianą lalkę. To był dopiero koszmar.

Connelly kilka razy odkaszlnął i wyprostował się.

–Przepraszam. To przez tę obcięta... Już mi lepiej. Wezwałeś karetkę?

–Będzie za dziesięć minut. Nie żeby faceta coś bolało. – Graydon kiwnął głową w stronę rozbitego samochodu.

–Co piszemy? OPZ? – Statystycznie rzecz biorąc, ofiar pojedynczego zderzenia było najwięcej.

–A skąd – odparł Graydon. – To zderzak. Pewnie dwunastokołówki, pełno ich tutaj. To prawdziwe potwory. Tylne zderzak zwisa im z dupy jak ostrze gilotyny. Jak jedziesz za dwunastokołówką, módl się, żeby bydlę nie zahamowało. Jak zahamuje, albo zdąży się pochylić, albo utnie ci łeb. Jemu ucięło.

–A ten drugi? Gdzie ta cholerna ciężarówka? – Connelly powoli wracał do siebie. Co dziwne, zaczął być nawet głodny.

–Wygląda na to, że zwiął – odrzekł Graydon.

–Szukamy go?

–Centrala już wie, meldowałem. Ale między nami mówiąc, wątpię, czy go znajdziemy. Dobra. Trzeba faceta zidentyfikować. Przeszukać mu kieszenie.

Chociaż dach taurusa był mocno wgnieciony, drzwi od strony kierowcy otworzyły się dość łatwo Connelly włożył gumowe rękawiczki; musieli to robić, ilekroć ubranie ofiary było zakrwawione.

–Masz? – rzucił Graydon. – Dawaj, to zamelduję.

–Prawo jazdy na nazwisko Dupree – odrzekł Connelly. – Arliss Dupree. Mieszka przy Glebe Road w Arlington.

–To wystarczy. Chodź. Zaraz odmroziś sobie tyłek. Zaczekamy w radiowozie.

Gmach Fundacji Lenza był cały ze szkła i marmuru. Jak na Bauhaus przystało, w jego jasnym, funkcjonalnie urządzonym holu stało jedynie kilka białych, skórzanych foteli i sof.

Anna poprosiła recepcjonistkę o połączenie z gabinetem prezesa. Dzwoniła tu wcześniej i wiedziała, że Lenz jest u siebie.

–Kogo mam zaanonsować?

–Anna Navarro z amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości.

Długo myślała, czy nie podejść go pod fałszywym nazwiskiem, ale w końcu – tak jak powiedziała Benowi – postanowiła zagrać z nim w otwarte karty. Jeśli ją sprawdził, choćby tylko pobieżnie, wiedział już, że jest poszukiwana. Pytanie: czy większy to jej szansę czy zmniejszy? Jeśli ich teorie na temat Alana Bartletta były prawdziwe, Jurgen Lenz mógł sporo o niej wiedzieć, jednak na pewno nie wiedział – po prostu nie mógł tego wiedzieć – co zdążyła odkryć i przekazać innym. Musiała założyć, że będzie ciekawy, że przeważą w nim arogancja i pycha, a przede wszystkim chęć zapanowania nad sytuacją. Że zechce sprawdzić, czy Anna mu nie

zagraża, a to musiał ocenić sam.

Recepcjonistka zamieniła z kimś kilka słów i podała jej słuchawkę.

–Proszę.

Kobieta po drugiej stronie linii była uprzejma, lecz stanowcza.

–Obawiam się, że doktor Lenz nie zdąży pani przyjąć. Może umówię panią na inny dzień? Mamy na głowie to forum i wszyscy są bardzo zajęci.

Unikał jej, ale czy dlatego, że przedstawiła się jako agentka Departamentu Sprawiedliwości czy dlatego, że znał już jej nazwisko? A może nawet nie zawiadomiono go, że przyszła?

–Nie, nie mogę czekać – odrzekła. – Muszę zobaczyć się z nim jak najszybciej. To bardzo pilne.

–Czy mogę spytać, w jakiej sprawie chce pani z nim rozmawiać?

–Proszę mu powiedzieć – odparła z wahaniem Anna – że w osobistej.

Odłożyła słuchawkę i zaczęła krążyć nerwowo po holu.

Oto legowisko bestii, myślała. Jądro ciemności, przestronne i pełne światła.

Wyłożone marmurem z Carrary ściany były zupełnie nagie, nie licząc rzędu powiększonych fotografii z akcji humanitarnych, w których uczestniczyła Fundacja Lenza.

Było tam zdjęcie wielopokoleniowej rodziny uciekinierów: bezzębnej, zgarbionej staruszki, znużonego męża, przybitej żony oraz ich ubranych w łachmany dzieci. Opatrzono je jednowyrazowym tytułem: KOSOWO.

Co to miało znaczyć? Co Lenz miał wspólnego z uchodźcami?

Był tam również portret straszliwie pomarszczonej dziewczyny o spiczastym nosie. Miała przezroczystą jak pergamin skórę, wyraziste oczy i perukę na głowie. Uśmiechała się, odsłaniając mocno ściśnięte, nierówne zęby. Młoda dziewczyna i staruszka zarazem. Pod portretem widniał napis: ZESPÓŁ HUTCHINSONA-GILFORDA. PROGERIA.

Wisiało tam również słynne, szokujące zdjęcie wycieńczonych głodem więźniów obozu koncentracyjnego, wyglądających ciekawie z piętrowych prycz. HOLOCAUST.

Dziwny wybór. Co te zdjęcia ze sobą łączyło?

Wyczuwając czyjąś obecność, odwróciła głowę. Do holu weszła dostojna matrona z okularami na łańcuszku.

–Pani Navarro? Ma pani szczęście. Doktor Lenz wygospodarował dla pani kilka minut.

Nad pulpitem sterowniczym w centrum nadzoru i bezpieczeństwa wewnętrznego na pierwszym piętrze gmachu pochylał się młody technik. Manipulując dżojstikiem, obrócił jedną z zamontowanych na ścianie kamer i powiększył obraz. Na płaskim, plazmowym ekranie ukazała się śniada twarz kobiety. Technik wcisnął guzik i obraz znieruchomiał. Dzięki czułemu skanerowi, który wychwytywał i przetwarzał trzydzieści siedem punktów ludzkiej fizjonomii, twarz gościa można było porównać z cyfrowymi zdjęciami, przechowywanymi w bogatej bazie danych. Nie wiedzieć czemu, technik podejrzewał, że jest w niej również zdjęcie kobiety z ekranu.

I miał rację. Cichutki elektroniczny pisk powiadomił go, że jej nazwisko figuruje w

komputerowym katalogu osób, na które musieli zwracać szczególną uwagę. Podczas gdy na ekranie przewijały się rzędy danych, podniósł słuchawkę i zadzwonił do gabinetu prezesa Lenza.

Jurgen Lenz wyglądał dokładnie tak, jak opisywał go Ben: szczupły, srebrzystowłosy, elegancki i czarujący, był w doskonale skrojonym ciemnoszarym garniturze, starannie wyprasowanej białej koszuli i fularowym krawacie. Siedział w fotelu chippendale z dłońmi splecionymi na kolanach.

–Połknąłem haczyk – powiedział, zwracając jej legitymację.

–Słucham?

–Zaintrygowała mnie pani. Mówią mi, że w holu czeka agentka amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości i że ma do mnie „prywatną sprawę”. Jak mógłbym oprzeć się takiej pokusie?

Zastanawiała się, co o niej wiedział. Już teraz wyczuła, że jest gładki i twardy jak wypolerowany kamień.

–Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć.

–Cóż, kurtuazja za kurtuazję.

–Prowadzę śledztwo w sprawie serii morderstw, które...

–Morderstw? Na miłość boską, cóż ja mogę o tym wiedzieć?

Miała tylko jedną, jedyną szansę: musiała zaatakować ostro i zdecydowanie. Okaze najmniejszą słabość, wahanie czy niepewność i gra się natychmiast skończy. Postanowiła zawęzić temat i rozmawiać z nim tylko o zabójstwach członków pierwszego zarządu Sigmy.

–Wszystkie ofiary miały coś wspólnego z korporacją o nazwie Sigma, której założycielem był Gerhard Lenz. Ustaliliśmy, że istnieje bezpośredni związek między tymi morderstwami i filią Armakonu, w którego zarządzie pan zasiada...

Ku jej zdziwieniu, Lenz wyraźnie się odprężył. I roześmiał się. Serdecznie, niemal rozkosznie.

–Panno Navarro – odrzekł. – Podczas moich wieloletnich krucjat przeciwko złu, jakie wyrządził mój ojciec, oskarżano mnie o najpotworniejsze rzeczy: o nielojalność względem rodziny, o nielojalność względem ojczyzny, o oportunizm, zakłamanie, o wszystko. Ale jeszcze nikt nie oskarżył mnie o morderstwo!

Anna wiedziała, czego oczekiwać. Wiedziała, że Lenz będzie traktował ją z góry, będzie unikał bezpośredniego starcia i uchylał się od konkretnych odpowiedzi. Przewidując jego reakcję, zastosowała odpowiednią taktykę.

–Panie doktorze – odparła – mam nadzieję, że nie zaprzecza pan, że jest pan członkiem zarządu Armakonu.

–To funkcja czysto honorowa.

Anna zawahała się i powiedziała:

–Nie chcę zabierać panu czasu. Jak pan wie, Armakon jest tajnym właścicielem Yorteksu, małej filadelfijskiej firmy biotechnologicznej.

Obserwowała jego twarz. Przypatrywał się jej obojętnie, lecz uważnie.

–Jestem pewien, że Armakon posiada wiele takich firm na całym świecie. I co z tego?

–W Yorteksie wynaleziono i wyprodukowano syntetyczną substancję, którą wykorzystuje się do znakowania chemoreceptorów w badaniach molekularnych. Jest to również niezwykle silna trucizna. Wstrzyknięta do krwiobiegu człowieka powoduje natychmiastowe zatrzymanie akcji serca i już po chwili jest całkowicie niewykrywalna, przynajmniej we krwi.

–Bardzo interesujące – odrzekł beznamiętnie Lenz.

–Znaleziono ją w płynie ocznym kilku ofiar.

–I bez wątpienia wyciągnęła pani z tego jakiś wniosek.

–Owszem. – Cały czas sondowała go wzrokiem i przeraziło ją to, co przez moment zobaczyła w jego oczach: Lenz patrzył na nią z najwyższą pogardą. – Mam dowody, które łączą pana z tymi morderstwami.

Przez chwilę słyhać było jedynie tykanie zegara. Lenz złożył ręce. Wyglądał jak posępny luterański pastor.

–Pani Navarro, obrzuca mnie pani błotem. Oskarża mnie pani o najstraszniejsze rzeczy. Jestem dzisiaj niezwykle zajęty, mimo to wygospodarowałem trochę czasu – czasu, którego naprawdę mi nie starcza – ponieważ myślałem, że będziemy mogli sobie wzajemnie pomóc. Przyjaciel ma kłopoty. Ktoś potrzebuje mojej pomocy, ja potrzebuję pomocy jego – tak myślałem. Tymczasem okazuje się, że przyszła tu pani na rozpoznanie, na jakiś dziwny rekonesans. – Wstał. – Obawiam się, że będzie pani musiała wyjść.

Nie tak szybko, sukinsynu, pomyślała Anna. Serce waliło jej jak młotem.

–Jeszcze nie skończyłam – odparła ze stanowczością, która wprawiła go chyba w zdumienie.

–Pani Navarro, nie muszę z panią rozmawiać. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale amerykańscy agenci są w tym kraju gośćmi. Jeżeli chce mnie pani przesłuchać w związku z czymś, co zrobił mój ojciec, musi pani uzyskać pozwolenie austriackich władz, prawda? Czy je pani uzyskała?

–Nie – przyznała z zaczerwienionymi policzkami. – Ale postawię sprawę jasno...

–Nie, madame – przerwał jej podniesionym głosem Lenz – to ja postawię sprawę jasno. Nie zrobiła pani tego, ponieważ nie jest już pani agentką Departamentu Sprawiedliwości. Co więcej, jest pani zbiegiem, ściganą uciekinierką. Wyłóżmy karty na stół. Oboje. Prowadząc śledztwo, złamała pani prawo. Sekretarka mówi mi, że chce się ze mną widzieć amerykańska agentka, że bardzo nalega. Na moją prośbę dzwoni do kilku miejsc, żeby potwierdzić pani tożsamość. – Lenz nie odrywał oczu od jej twarzy. – I dowiaduje się, że jest pani poszukiwana. Musiała się pani spodziewać, że podejmę choćby podstawowe środki ostrożności. Mimo to chciała się pani ze mną zobaczyć, co jeszcze bardziej rozbudziło moją ciekawość.

–Przynajmniej się pan trochę rozerwał.

–Proszę postawić się w mojej sytuacji. Interesuje się mną była, obecnie już fałszywa, agentka amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości: takie rzeczy nie zdarzają się codziennie. Zaczynam się zastanawiać, przecież to naturalne. Natknęła się na coś lub na kogoś, kto mógłby mi zagrozić? Wyłamała się z szyku, żeby donieść mi o wrogim spisku w ich wywiadzie? Śledztwo w sprawie operacji „Spinacz”

przysporzyło mi wrogów w niektórych amerykańskich kręgach: może przyszła ostrzec mnie przed jakimś niebezpieczeństwem? Wyobraźnia szaleje. Umysł głupieje. Jak mógłbym oprzeć się takiej pokusie? Od razu wiedziałem, że panią przyjmę.

–Zbaczamy z tematu – wtrąciła Anna. – Nie chodzi...

Ale Lenz nie pozwolił jej dojść do słowa.

–Dlatego rozumie pani, jak bardzo byłem rozczarowany, dowiadując się, że przyszła te pani z absurdalnymi, pozbawionymi podstaw i łatwymi do obalenia oskarżeniami. Wszystko wskazuje na to, że nie tylko przekroczyła pani swoje kompetencje: pani po prostu zwariowała. – Wskazał telefon. – Wystarczy, że podniosę słuchawkę, zadzwonię do jednego z moich przyjaciół w ministerstwie sprawiedliwości i będzie pani skazana na łaskę amerykańskich władz.

Chcesz walki, pomyślała Anna, to będziesz ją miał. Miałaby dać się zastraszyć? Nie. Nie z tym, co o nim wiedziała.

–Ma pan rację – odrzekła spokojnie. – Mógłby pan zadzwonić, ale wątpię, czy posłużyłoby to pańskim interesom.

Lenz ruszył do drzwi.

–Panno Navarro, te dziecinne gierki mnie nie bawią. Zechce pani wyjść, w przeciwnym razie będę zmuszony...

–Tuż przed naszym spotkaniem odebrałam z DHL pewien dokument. Są to wyniki badań porównawczych, które przeprowadzono w moim wydziale. Bo widzi pan, wysłałam do Stanów odciski pańskich palców z prośbą o identyfikację. Długo to trwało, bo musieli głęboko kopać. Ale się dokopali. – Wzięła głęboki oddech. – Panie doktorze, wiem, kim pan jest. Nie rozumiem tego. Szczerze mówiąc, zupełnie tego nie pojmuję. Ale wiem, kim pan naprawdę jest.

Bała się. Była przerażona bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Waliło jej serce, w uszach pulsowała krew. Nie miała żadnego wsparcia.

Lenz zatrzymał się gwałtownie, zamknął drzwi i odwrócił się. Twarz pociemniała mu z wściekłości.

Rozdział 40

Ben wmieszał się w tłum dziennikarzy i fotoreporterów czatujących przed Wiedeńskim Centrum Administracyjnym – wielkim gmachem z beżowego kamienia, gdzie miało się odbyć Międzynarodowe Forum Zdrowia Dziecka. Wkrótce nawiązał kontakt wzrokowy z przemarzniałym, sponiewieranym, brzuchatym mężczyzną w średnim wieku, który miał na sobie wystrzępiony brązowy płaszcz. Podeszedł bliżej i wyciągnął do niego rękę.

–Ron Adams z „American Philanthropy”. Długo tak stoisz?

–O wiele za długo – odparł tamten, zaciągając z angielska cockneyem. – Jim Brown z „Financial Timesa”. Europejski korespondent i żaloszny dupek. – Zerknął na niego z komiczną, pseudonieszczęśliwą miną. – Szef kusił mnie obietnicą sznycła, strucli i tortu od Sachera, więc pomyślałem sobie, dobra, czemu nie? Ale w życiu nie powiem mu, jak to się skończyło, solennie to sobie przyrzekłem. Dwa dni stania na tym uroczym, lodowatym deszczu. Zamiast nosa mam sopel, wypaliłem wszystkie fajki, a wszystko po to, żeby dostać chłam, który dostają faksem wszystkie, cholera, agencje.

–Za to przewija się tu sporo grubych ryb. Widziałem listę gości.

–No właśnie. Ale jeśli gdzieś się przewijają, to na pewno nie tutaj. Może znudził ich program, tak samo jak nas. Pewnie pojechali sobie na narty. Zostały same płotki. Nasz fotograf zaczął chlać. Wie, co robi. Też mam ochotę skoczyć na piwo, tylko że piwo jest tu, cholera, za zimne. Zauważyłeś? I smakuje jak siuśki.

Nie było nikogo znanego? Czy oznaczało to, że członkowie Sigmy zbierali się gdzieś indziej? Ben poczuł, że w żołądku narasta mu wielka gula: czyżby wprowadzono go w błąd? Może Strasser się mylił. A może gdzieś po drodze przyjęli z Anną złe założenie?

–I co? – rzucił lekko. – Nie wiadomo, gdzie przepadli? Nie słyszałeś żadnych plotek?

–Szlag by to – prychnął tamten. – Wiesz, jak tu jest? Jak w jednym z tych pieprzonych nocnych klubów: lepszych gości zapraszają do specjalnej sali bankietowej, a resztę wykopują do chlewa i każą im siedzieć na słomie. – Wyszperał z kieszeni zmiętoszoną, prawie pustą paczkę papierosów. – Niech to szlag.

Ben gorączkowo myślał. Tu karty rozdawał Jurgen Lenz: nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Oczywiście było również i to, że prawdziwe forum odbywa się zupełnie gdzie indziej. Odpowiedzi na pytanie gdzie, należało szukać w Fundacji Lenza, w jej działalności. W tym przypadku musiał zastosować taktykę kontaktu pośredniego, która zapewniała najszybsze rezultaty. Wróciwszy do hotelu, wykonał kilka telefonów. Dzwoniąc, nie odrywał oczu od zegarka. Chciał zebrać jak najwięcej informacji, żeby pod koniec dnia porównać je z tymi zebranymi przez Annę.

–Austriacka Fundacja Onkologiczna.

–Chciałbym mówić z kimś odpowiedzialnym za gromadzenie funduszy. – Cichy trzask, kilka sekund muzyki: *Opowieści z lasku wiedeńskiego*, jakżeby inaczej – wreszcie głos kobiety: – Schimmel, słucham.

–Dzień dobry, Frau Schimmel. Nazywam się Ron Adams. Jestem amerykańskim

dziennikarzem i pisuję dla „American Philanthropy”. Przyjechałem do Wiednia, żeby zebrać materiały do artykułu o Jurgenie Lenzu.

Głos kobiety natychmiast uległ zmianie i z czujnego stał się wylewny.

–Tak, oczywiście! Jak mogłabym panu pomóc?

–Chciałbym – zwłaszcza w świetle Międzynarodowego Forum Zdrowia Dziecka – udokumentować jego hojność, napisać, w jaki sposób was wspiera, w jakiego rodzaju działalność się angażuje i tak dalej.

Ogólne pytanie, jeszcze ogólniejsza odpowiedź: Frau Schimmel mówiła i mówiła, i w końcu sfrustrowany Ben odłożył słuchawkę. Zadzwoił do sekretariatu Fundacji Lenza i poprosił o listę akcji charytatywnych, które wspierała. Nikt go o nic nie pytał: jako instytucja zwolniona z podatku dochodowego, fundacja musiała udostępnić mu wszystkie dane.

Rzecz w tym, że nie wiedział, czego konkretnie szuka. Macał wokoło jak ślepiec. Musiał istnieć jakiś sposób na sprawdzenie, kto kryje się pod maską filantropa Jurgena Lenza. W tym, co robił, nie było żadnej logiki, żadnego punktu wspólnego, żadnej zasady. Rak-Kosowo-progeria-dialog żydowsko-niemiecki? Cztery domeny działalności. Musiał się tylko dowiedzieć, co je ze sobą łączy, lecz chociaż zadzwonił do trzech różnych fundacji, żadna z nich nie potrafiła mu pomóc.

Jeszcze jeden telefon, pomyślał. Jeszcze jeden telefon i trzeba wreszcie coś zrobić. Wstał, wyjął z lodówki butelkę pepsi, wrócił za biurko i wybrał kolejny numer z listy.

–Instytut Progerii, słucham.

–Czy może mnie pani połączyć z kimś odpowiedzialnym za gromadzenie funduszy?

Minęło kilka sekund. – Meitner.

–Frau Meitner, nazywam się Ron Adams... – Bez zbytnich nadziei wyrecytował standardową już formułkę.

Tak samo jak przedstawiciele wszystkich instytucji, z którymi dotychczas rozmawiał, Frau Meitner była gorącą wielbicielką Jurgena Lenza i nie mogła się go nachwalić.

–Pan Lenz jest naszym głównym darczyńcą – mówiła. – Bez niego byśmy nie istnieli. To naprawdę straszna i wyjątkowo rzadka choroba.

–Obawiam się, że nic o niej nie wiem. – Ben zdał sobie sprawę, że traci tylko czas, którego z każdą sekundą ubywało.

–Przedwczesna starość. Nazwa medyczna to zespół Hutchinsona-Gilforda. Dziecko z zespołem Hutchinsona-Gilforda starzeje się siedem, osiem razy szybciej niż normalnie. Chory na progerię dziesięcioletek wygląda jak osiemdziesięcioletni starzec. Ma artretyzm i wszystkie dolegliwości typowe dla tego wieku. Większość z nich umiera, nie dożywając trzynastu lat. Są wzrostu zdrowego pięcioletniego dziecka.

–Boże – szepnął szczerze poruszony Ben.

–Progeria występuje niezmiernie rzadko, dlatego nazywamy ją „sierotką”. Badania nie są dofinansowywane, a firmy farmaceutyczne nie mają żadnego bodźca, żeby

wynaleźć na nią lek. Dlatego każda pomoc jest wprost bezcenna.

Firmy farmaceutyczne. Firmy biotechnologiczne... Vortex.

–Dlaczego pan Lenz tak bardzo się nią interesuje?

–Myślę – odrzekła z wahaniem Frau Meitner – że powinien pan spytać o to doktora Lenza.

W jej głosie zabrzmiała nutka lęku.

–Jeśli chciałaby pani powiedzieć mi coś nieoficjalnie...

Frau Meitner znowu się zawahała.

–Czy wie pan, kim był jego ojciec? A czy ktoś tego nie wiedział?

–Gerhard Lenz? Nazistowskim lekarzem i naukowcem.

–Właśnie. Przeprowadzał potworne eksperymenty na dzieciach chorych na progerię. Myślę, że syn pragnie naprawić zło, które wyrządził ojciec. Ale proszę o tym nie pisać, mówię to nieoficjalnie.

–Oczywiście. – Ale skoro Jurgen nie był synem Gerharda, dlaczego interesowała go progeria? Cóż to za dziwaczna maskarada?

–Doktor Lenz wysyłał nawet dzieci do sanatorium finansowanego przez fundację – ciągnęła Frau Meitner.

–Do sanatorium?

–Tak, dla dzieci chorych na progerię. Mieści się w starym zamku w austriackich Alpach.

Ben zeszywniał. Stary zamek w austriackich Alpach, dawne zakłady zegarmistrzowskie: to właśnie tam Strasser wysyłał Lenzowi mikroskopy elektronowe. Jeśli Jurgen był synem Gerharda, odziedziczył go w spadku.

I założył tam sanatorium?

–Naprawdę? – rzucił lekko. – Gdzie w Alpach?

–Nie wiem, nigdy tam nie byłam. Wiem tylko, że to miejsce bardzo ustronne, ekskluzywne i luksusowe. Azyl, schronienie przed gwarem miasta.

–Chętnie porozmawiałbym z dzieckiem, które tam było. – I spytał je, co się tam naprawdę dzieje, dodał w duchu.

–Niestety – odrzekła posępnie Frau Meitner. – Zapraszane tam dzieci zwykle dobiegają kresu swych krótkich dni. Nie wiem nawet, czy któreś z nich jeszcze żyje. Ale jestem pewna, że ich rodzice chętnie opowiedzą panu o hojności doktora Lenza.

Jego mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze obskurnego bloku w dwunastej dzielnicy Wiednia. Było małe, ciasne, cuchnęło papierosowym dymem i przypalonym tłuszczem.

Ich ukochany syn zmarł w wieku jedenastu lat i po jego śmierci postanowili się rozwieść. Choroba dziecka, jego odejście: małżeństwo nie wytrzymało stresu. Nad sofą wisiało duże, kolorowe zdjęcie Christopa. Trudno było powiedzieć, ile miał na nim lat – równie dobrze mógł mieć osiem jak i osiemdziesiąt. Wielka, zupełnie łysa głowa, mocno cofnięty podbródek, mała twarz, wytrzeszczone oczy – wyglądał jak zasuszony starzec.

–Umarł w sanatorium. – Jego ojciec miał gęstą, szpakowatą brodę i otoczoną rzadkimi włosami łysinę na czubku głowy. Był w okularach i miał w oczach łzy. – I

przynajmniej pod koniec życia zaznał trochę szczęścia. Doktor Lenz to bardzo hojny człowiek. Cieszę się, że Christoph mógł umrzeć szczęśliwy.

–Czy kiedykolwiek go pan odwiedzał? – spytał Ben.

–Nie, rodziców tam nie wpuszczają. To miejsce tylko dla dzieci. Pracują tam najwybitniejsi lekarze. Ale Christoph przysłał mi kartki. – Wyszedł i kilka minut później wrócił z pocztówką. Duże litery, niezdarne, dziecięce pismo. Po drugiej stronie kolorowe zdjęcie alpejskiej góry. I napis: SEMMERING.

Tę samą nazwę wymieniła wdowa po Lenzu.

A Strasser twierdził, że Gerhard Lenz miał w Alpach klinikę.

Czy to możliwe, żeby mówili o tym samym miejscu?

Semmering.

Musiał natychmiast przekazać tę wiadomość Annie.

Podniósł wzrok. Ojciec Christopha cicho łkał. Odezwał się dopiero po chwili.

–Zawsze to sobie powtarzam. Mój synek umarł szczęśliwy.

Umówili się, że spotkają się w hotelu najpóźniej o siódmej wieczorem.

Gdyby nie mogła do tej pory wrócić, obiecała zadzwonić. Gdyby zaś z jakiegoś powodu nie była w stanie lub uważała, że to niebezpieczne, mieli spotkać się o dziewiątej w Schweizerhaus w Prater, na Strasse des Ersten Mai 2.

Minęła ósma. Anna ani nie wróciła, ani nie zadzwoniła.

Nie było jej prawie cały dzień. Gdyby nawet Lenz zgodził się ją przyjąć, mogła z nim rozmawiać godzinę, najwyżej dwie. Tymczasem od momentu jej wyjścia z hotelu upłynęło prawie pół doby.

Pół doby.

Zaczynał się niepokoić.

Wpół do dziewiątej. Telefon wciąż milczał. Ben wyszedł. Był roztrzęsiony. Bał się, że przydarzyło jej się coś złego. Może przesadzam? – myślał. Przecież nie musi mi się ze wszystkiego spowiadać.

Mimo to...

Schweitzerhaus. Gwarna restauracja, znana z pieczonych wieprzowych nóżek z musztardą i chrzanem. Siedział samotnie przy dwuosobowym stoliku, z kuflem czeskiego budweisera w rękę.

Czekał.

Piwo nie ukoilo nerwów. Mógł myśleć tylko o Annie i o tym, co mogło się z nią stać.

Dziesiąta. Zadzwonił do hotelu. Nie wróciła, nie zostawiła żadnej wiadomości. Co chwilę sprawdzał, czy ma włączony telefon, żeby mogła go natychmiast złapać.

Zamówił kolację na dwie osoby, lecz zanim kelnerka przyniosła jedzenie, stracił apetyt.

Koło północy wrócił do pustego pokoju. Próbował czytać, ale nie mógł się skoncentrować.

W uszach wciąż pobrzmiwał mu chrapliwy głos Chardina: „Koła w kołach: oto jak pracowaliśmy...” I Strassera: „Lenz prowadził badania – badania nad strukturami molekularnymi, które miały podobno zrewolucjonizować świat”.

Zasnął w ubraniu, przy zapalonych światłach. Spał niespokojnie.

Przywiązano ich do stojących obok siebie stołów, a wówczas podszedł do nich doktor Gerhard Lenz. Był w chirurgicznym fartuchu i masce, lecz Ben poznał go po oczach.

–Stworzymy z nich jedną całość – mówił do asystenta o ostrej, wąskiej twarzy. – Połączymy ich organy, tak żeby nie mogły bez siebie funkcjonować. Razem albo przeżyją, albo umrą. – Skalpel sunął po ciele jak smyczek po strunach skrzypiec, rozcinając tkankę szybkimi, śmiałymi ruchami. Ból był nie do zniesienia.

Napinając krępujące go pasy, Ben odwrócił głowę i ujrzał twarz brata, na której zastygła maska przerażenia.

–Peter! – krzyknął.

Brat rozdziawił usta i w ostrym świetle wiszącej nad nim lampy Ben zobaczył, że wycięto mu język. Poczł ciężki zapach eteru i na twarz opadła mu czarna maska. Mimo to nie zasnł, nie stracił przytomności, wprost przeciwnie: wyostrzyły mu się wszystkie zmysły i z jeszcze większą wyrazistością zdał sobie sprawę z potworności, którą mu wyrządzano.

Obudził się o trzeciej nad ranem.

Anna nie wróciła.

Spędził długą bezseną noc.

Próbował zasnć, lecz nie mógł. Nie mógł też do nikogo zadzwonić, nie mógł jej w żaden sposób odszukać.

Usiadł, wziął gazetę i zaraz ją odłożył. Nie potrafił się skupić. Cały czas myślał o Annie.

Boże, jak bardzo ją kochał.

O siódmej, rozbity i dezorientowany, po raz piąty tej nocy zadzwonił do recepcji, żeby sprawdzić, czy nie zostawiła dla niego jakiejś wiadomości.

Nie zostawiła.

Wziął prysznic, ogolił się i zamówił śniadanie do pokoju.

Czuł, że przydarzyło jej się coś złego, był tego pewien. To niemożliwe, żeby wyjechała, nie uprzedzając go o tym.

Coś się stało. Coś złego.

Wypił kilka filiżanek mocnej czarnej kawy i zmusił się do zjedzenia twardej bułki.

Był przerażony.

Przy Wahringer Strasse jest kawiarnia internetowa, jedna z kilkunastu podobnych kawiarni, których adresy znalazł w wiedeńskiej książce telefonicznej. Ta nazywała się Internet-Bar-Kaffehaus i mieściła w niewielkiej, jaskrawo oświetlonej sali, gdzie na okrągłych stolikach stało kilka maców i ekspres do kawy. Podłoga była lepka, wszędzie zalatywało piwem. Liczyli sobie pięćdziesiąt szylingów za pół godziny surfowania.

„Semmering”: kilka wyszukiwarek i wciąż te same strony. Ośrodek wypoczynkowy, hotele, komercyjny opis wsi i ośrodka narciarskiego w Alpach Austriackich dziewięćdziesiąt kilometrów od Wiednia.

Zrozpaczony i zdesperowany, wiedząc, że może popełnić straszliwy błąd, wszedł

do budki telefonicznej i zadzwonił do Fundacji Lenza. Tam poszła, tam musiano widzieć ją po raz ostatni. Wypytywać w takim miejscu? To krok bezsensowny, niemal szaleńczy, zdawał sobie z tego sprawę, lecz cóż mu pozostało?

Poprosił o połączenie z sekretariatem prezesa i spytał, czy była u nich Anna Navarro.

Wydawało się, że sekretarka dobrze ją pamięta, lecz zamiast odpowiedzieć, spytała go, z kim ma przyjemność.

Przedstawił się jako attache ambasady amerykańskiej.

–Można prosić o nazwisko?

Podał jej fałszywe.

–Doktor Lenz prosi, żeby zostawił pan numer telefonu. Oddzwoni.

–Wychodzę na cały dzień z biura. Nie mógłbym porozmawiać z nim teraz?

–Doktor Lenz jest zajęty.

–A kiedy będzie wolny? To ważna sprawa.

–Nie ma go w biurze. – Krótko i chłodno.

–Nie szkodzi, spróbuję złapać go w domu.

–Ale pana doktora nie ma w Wiedniu – odrzekła z wahaniem sekretarka.

Nie ma go w Wiedniu.

–Widzi pani – rzucił luźno i swobodnie – dzwonię na osobiste polecenie ambasadora. Jak już wspomniałem, to bardzo pilne.

–Doktor Lenz uczestniczy w Międzynarodowym Forum Zdrowia Dziecka i wraz z grupą prywatnych gości przebywa w jednym z naszych ośrodków. To żadna tajemnica. Pan ambasador chciałby się do nich przyłączyć? Obawiam się, że jest już za późno.

Ben milczał.

–Można się z panem skontaktować przez centralę telefoniczną ambasady, prawda?

Odwiesił słuchawkę.

Rozdział 41

Pociąg do Semmering odjeżdżał z Sudbahnhofu kilka minut po dziewiątej. Ben nie wymeldował się nawet z hotelu.

Miał na sobie dzinsy, adidasy i ciepłą kurtkę narciarską. Wiedział, że dziewięćdziesięciokilometrowa podróż potrwa krótko, znacznie krócej niż jazda wynajętym samochodem krętymi alpejskimi drogami.

Pociąg sunął między lesistymi wzgórzami, wpadał w długie tunele, mknął głębokimi przełęczami, przecinał łagodnie pofałdowane zielone pola i mijał domki o czerwonych dachach, bielące się na tle stalowoszarych gór. Potem wspinał się powoli wąziutkimi wiaduktami, łączącymi brzegi tak głębokich wąwozów, że zapierało dech w piersiach.

W przedziale – o bursztynowych światłach lamp, wysokich fotelach, obitych brzydką, pomarańczową tkaniną – nie było prawie nikogo. Myślał o Annie. Groziło jej niebezpieczeństwo. Był tego pewien.

Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy by tak nie zniknęła. Albo gdzieś nagle wyjechała i nie mogła do niego zadzwonić, albo ją uprowadzono. Tylko dokąd?

Spotkawszy się w Wiedniu, długo rozmawiali o Lenzu. Podczas spotkania w Buenos Aires wdowa po Gerhardzie spytała: „Dlaczego Lenz pana przysłał?” „Pan jest z Semmering?” A Strasser wysyłał mikroskopy elektronowe do starej kliniki w Alpach Austriackich.

Wdowa była przerażona. Czego się tak bała? Czegoś, co mógł zobaczyć w Semmering? A może czegoś, co miało związek z tymi morderstwami?

Anna chciała odnaleźć tę klinikę. Była przekonana, że odpowiedzi na nurtujące ich pytania należy szukać właśnie tam.

Co mogłoby sugerować, że tam pojechała. A nawet jeśli nie, nawet jeśli nie było jej w Semmering, może chociaż posunąłby się o krok w poszukiwaniach.

Dokładnie przestudiował mapę rejonu Semmering-Rax-Sehneeberg, którą kupił przed wyjazdem z Wiednia. Próbował opracować jakiś plan, lecz nie wiedząc, gdzie jest klinika, skąd miał wiedzieć, jak się do niej dostać?

Semmering. Skromny, piętrowy budynek stacji kolejowej, zielona ławka i automat z napojami. Gdy tylko wysiadł, w twarz uderzył go lodowaty wiatr; klimat panujący w Wiedniu i klimat panujący w Alpach Austriackich to dwa zupełnie różne klimaty. Tu było przeraźliwie zimno. Po kilku minutach wspinaczki krętą, stromą drogą do miasteczka, w policzki i uszy zaczął szczypać go mróz.

Miał złe przeczucia. Co ja tu robię? – myślał. A jeśli jej tu nie ma? Co wtedy?

Semmering było małe: przecinała je tylko jedna ulica, Hochstrasse. Wzdłuż ulicy, u stóp południowego zbocza góry, stały rzędy *Gasthauses*, gospod i restauracji, a wysoko nad nimi luksusowe hotele i sanatoria. Nieco dalej na północ rozciągała się Hollental, Diabelska Dolina, głęboki wąwóz, wyrzeźbiony w skale przez rzekę o nazwie Schwarza.

Nad bankiem przy Hochstrasse było małe biuro turystyczne, prowadzone przez młodą, nieładną kobietę,

Ben – przyjechał na narty i chciał zwiedzić okolicę – poprosił ją o dokładniejszą

Wanderkarte. Kobieta, która najwyraźniej nie miała nic lepszego do roboty, podała mu mapę i zaczęła wskazywać najciekawsze i najpiękniejsze szlaki.

–Może pan przejechać wzdłuż Bahnwanderberg, starej, zabytkowej linii kolejowej. Roztacza się stamtąd wspaniały widok na pociągi przejeżdżające tunelem Weinzettlwand. Można się tam zatrzymać i za dwadzieścia kilka szylingów zrobić sobie cudowne zdjęcie. Poza tym widać stamtąd ruiny zamku Klamm.

–Naprawdę? – odrzekł z udawanym zainteresowaniem Ben. – Podobno jest tam również jakaś klinika. W starym zamku, gdzie przed laty były zakłady zegarmistrzowskie...

–Zakłady zegarmistrzowskie? – powtórzyła tępo, – *Uhrwerken?*

–Tak, słynna, prywatna klinika, coś w rodzaju naukowego instytutu badawczego i sanatorium dla dzieci.

Sądząc po dziwnym błysku w jej oczach – a może to tylko wyobraźnia? – chyba coś sobie skojarzyła, mimo to pokręciła głową.

–Przykro mi, ale nie wiem, o czym pan mówi.

–Jej właścicielem jest podobno doktor Jurgen Lenz...

–Przykro mi. – Powtórzyła to zbyt szybko i nagle spoważniała. – Nie ma tu żadnej kliniki.

Szedł Hochstrasse, aż natknął się na *Gasthaus* z piwiarnią na parterze. Przed wejściem stała wysoka czarna tablica z zielonym afiszem reklamowym *Wieninger Bier* i wymalowanymi pod nim słowami: *Herzlich Willkom-men – Serdecznie witamy*. Na tablicy wypisano kredą nazwy dań, specjalności zakładu.

W środku było ciemno i pachniało piwem. Chociaż nie minęło jeszcze południe, przy małym, drewnianym stole siedziało trzech brzuchatych mężczyzn z kuflami w ręku. Ben podszedł bliżej.

–Szukam starego zamku, w którym mieści się klinika badawcza Jurgena Lenza. Były tam kiedyś zakłady zegarmistrzowskie.

Mężczyźni podejrzliwie otaksowali go spojrzeniem. Jeden z nich wymamrotał coś do drugiego, ten z kolei coś mruknął. – Lenz, *Klinik* -Ben nic więcej nie zrozumiał.

–Nie, nic takiego tu nie ma.

Czuł, że są wrogo nastawieni. Był pewien, że coś ukrywają. Wyjął plik banknotów i zaczął się nimi ostentacyjnie bawić. Doszedł do wniosku, że nie pora na subtelności.

–Cóż, dziękuję. – Odwrócił się, żeby odejść i nagle, jakby o czymś sobie przypomniał. – Aha. Gdybyście panowie znali kogoś, kto wiedziałby o tej klinice, powiedzcie mu, że chętnie zapłacę za informację. Jestem amerykańskim przedsiębiorcą i szukam możliwości inwestycyjnych.

Wyszedł na ulicę i przystanął na chodniku. Minęła go grupka młodych mężczyzn w dżinsach i skórzanych kurtkach. Trzymali ręce w kieszeni i rozmawiali po rosyjsku. Nie było sensu ich zaczepiać.

Kilka sekund później ktoś klepnął go w ramię. Jeden z piwoszy z *Gasthaus*.

–A ile by pan zapłacił?

–Za prawdziwą i dokładną informację dałbym dwa tysiące.

Mężczyzna zerknął lękliwie przez ramię.

–Najpierw pieniądze.

Ben przyglądał mu się przez chwilę, po czym wyjął z kieszeni dwa banknoty. Piwosz odprowadził go na bok, kilka metrów dalej przystanął i wskazał ręką. Wysoka, stroma góra. Pod jej ośnieżonym szczytem, wśród gęstwin okrytych białymi czapami świerków stał średniowieczny zamek o barokowej fasadzie, nad którym górowała zegarowa wieża z połączonym dachem.

Semmering.

To właśnie tam naukowy doradca Hitlera, Josef Strasser, wysyłał skomplikowany sprzęt naukowy.

To właśnie tam Jurgen Lenz zorganizował sanatorium dla wybranych szczęśliwców, garstki dotkniętych straszliwą chorobą dzieci.

To właśnie tam – jeśli wierzyć sekretarce Lenza i temu, czego zdążył się już dowiedzieć – przebywała teraz grupa światowych przywódców i dygnitarzy, którzy przyjechali do Wiednia na Międzynarodowe Forum Zdrowia Dziecka.

To właśnie tam mogła być teraz Anna. Tylko czy była?

Tego nie wiedział, lecz cóż mu pozostało?

Zamek stał tam cały czas, ukryty na widoku. Widział go, idąc ze stacji, był największą budowlą w okolicy.

–Wspaniały – rzucił. – Zna pan kogoś, kto tam był?

–Nie. Nikogo nie wpuszczają. Pełno tam strażników. To prywatny teren. Obowiązuje całkowity zakaz wstępu.

–Nie pracuje tam żaden z miejscowych?

–Nie. Robotnicy przylatują helikopterem z Wiednia i śpią w zamku. Jeśli dobrze się przypatrzeć, widać nawet lądowisko.

–Co oni tam właściwie robią?

–Nie wiem. Ludzie różnie gadają.

–Gadają? Na przykład co?

–Dziwne rzeczy. A czasami przejeżdżają tędy dzieci. Bardzo dziwne dzieci.

–Wie pan, do kogo ten zamek należy?

–Tak jak pan mówił, do Lenza. Jego ojciec był nazistą.

–Od dawna go ma?

–Od bardzo dawna. Przed wojną należał podobno do jego ojca. A podczas wojny hitlerowcy urządzili tam swoją kwaterę główną. Kiedyś nazywano go *Schloss Zerwald*; to średniowieczna nazwa Semmering. Zbudował go jeden z książąt Esterhazy, chyba w siedemnastym wieku. Pod koniec dwudziestego był przez jakiś czas... jak to się mówi... opuszczony, a potem, przez dwadzieścia lat, była tam fabryka zegarków. Starsi wciąż nazywają go *Uhrwerken*, po waszemu...

–Zakłady zegarmistrzowskie. – Ben wyjął z kieszeni tysiącszylingowy banknot. – Jeszcze tylko kilka pytań...

Nachylał się nad nią jakiś mężczyzna w białym fartuchu, którego twarz to się rozmazywała, to wyostrzała. Miał siwe włosy. Przemawiał do niej bardzo łagodnie, po przyjacielsku, chyba nawet z uśmiechem, dlatego żałowała, że go nie rozumie.

Zastanawiała się, dlaczego nie może usiąść. Miała jakiś wypadek? Wylew?

Ogarnęła ją panika.

–...że musiałem to zrobić, ale naprawdę nie dała mi pani wyboru.

Dziwny akcent. Niemiecki, może szwajcarski.

Gdzie ja jestem?

–...dysocjacyjny środek uspokajający.

Ktoś mówił do niej po angielsku ze środkowoeuropejskim akcentem.

–...jak najwygodniej. Musimy poczekać, aż organizm wydalą ketaminę.

Zaczęła coś sobie przypominać. Była w strasznym miejscu – miejscu, które kiedyś bardzo ją interesowało, a w którym teraz wolałaby nie być.

Jak przez mgłę pamiętała szarpaninę, kilku silnych mężczyzn, którzy przytrzymali ją i ukłuli czymś ostrym. A potem był już tylko mrok.

Siwowłosa mężczyzna – czuła, że jest bardzo złym człowiekiem – zniknął, więc zamknęła oczy.

Kiedy ponownie je otworzyła, była już sama. I mogła trzeźwo myśleć. Bolały ją wszystkie mięśnie i stwierdziła, że jest przywiązana do łóżka.

Podniosła głowę. Mogła ją podnieść tylko trochę, ponieważ przeszkadzał jej biegnący przez piersi pas.

Mimo to zdołała coś zobaczyć: pasy, kajdanki, szpitalne łóżko. Kajdanki były z poliuretanu, podobne do tych ze skóry, którymi krępowano niebezpiecznych i agresywnych pacjentów w szpitalach dla umysłowo chorych. Nazywano je „pętami” – używała identycznych podczas szkolenia.

Miała skute ręce. Skute i przytroczone długim łańcuchem do zamkniętego na kłódkę pasa na brzuchu. Podobnie kostki u nóg. Bolały ją otarte przedramiona. Musiała się zaciekle bronić.

Kajdanki, na rękach czerwone, na kostkach niebieskie, były nowocześniejsze od tych, które pamiętała z ćwiczeń, ale zamek się chyba nie zmienił. Otwierało się go małym, płaskim kluczykiem bez żadnych nacięć, z jednej strony zupełnie prostym, z drugiej zakończonym ostrym klinem.

Pamiętała też, że łatwo można było otworzyć go wytrychem, a nawet zwykłym spinaczem do papieru lub kawałkiem sztywnego drutu.

Przekrzywiła głowę. Po prawej stronie stała aparatura anestezjologiczna, po lewej, zaledwie metr dalej, metalowy wózek.

Miał osiem szufladek. Na blacie leżały jakieś fiolki, bandaże, szczypczyki, nożyczki i sterylne agrafki.

Tylko w żaden sposób nie mogła ich dosięgnąć.

Spróbowała przesunąć się w lewo, w stronę wózka, z nadzieją, że między pasami i ciałem jest trochę luzu, ale nie było żadnego. Spróbowała jeszcze raz, tym razem gwałtownie: szarpnęła się, lecz jedyną rzeczą, którą zdołała poruszyć, było samo łóżko. Musiało być na kółkach.

Na kółkach.

Wstrzymała oddech, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi, a potem szarpnęła się ponownie. Kółka drgnęły i łóżko przesunęło się trzy, cztery centymetry w stronę wózka.

Zachęcona udaną próbą, szarpnęła się po raz trzeci i łóżko ponownie drgnęło, ponownie przesunęło się minimalnie w lewo.

Mimo to wózek wciąż był odległy i nieosiągalny jak miraż jeziora dla spragnionego pustynnego wędrowca...

Rozbolała ją szyja, więc przez chwilę odpoczywała.

Potem zebrała wszystkie siły i nie zważając na odległość dzielącą łóżko od wózka, spróbowała jeszcze raz. Tym razem zyskała centymetr, może dwa.

Dwa centymetry to tyle co jeden krok w nowojorskim maratonie.

Kroki. Kroki i czyjeś głosy na korytarzu. Zamarła. Czekala, aż ucichną. Wreszcie ucichły.

Kolejne szarpnięcie w lewo, jeszcze jeden obrót kółek.

Co zrobi, gdy dotrze do wózka? Nie chciała o tym myśleć, to był zupełnie inny problem. Najpierw musiała rozwiązać ten. Krok po kroku.

Centymetr po centymetrze.

I kolejny centymetr. I jeszcze jeden. Od wózka dzieliło ją najwyżej trzydzieści szarpnięć. Wtedy – gdy opuściła głowę, żeby odpocząć – do sali wszedł siwowłosy mężczyzna.

Jurgen Lenz. Tak się przedstawiał, jednak ona знаła prawdę. Tę zdumiewającą prawdę.

Był to Jurgen Lenz, który nie był... Jurgenem Lenzem.

Rozdział 42

Na końcu Hochstrasse znalazł sklep sportowy ze sprzętem dla turystów i wyczyńców. Wypożyczył biegówki i spytał, gdzie można wynająć samochód.

Okazało się, że nigdzie.

Przed sklepem stał motocykl BMW, stary i rozklekotany, ale na chodzie. Należał do młodego sprzedawcy i Ben szybko dobił z nim targu.

Z nartami przywiązanymi do tylnego siedzenia dojechał krawędzią przełęczy do wąskiej, bitej drogi, która pięła się w stronę zamku, meandrując dnem głębokiego jaru. Była mocno oblodzona i zryta koleinami: niedawno musiały przejeżdżać tędy ciężarówki albo inne ciężkie pojazdy.

Czterysta metrów dalej natknął się na dużą tablicę z czerwonym napisem: *Betreten verboten-privatbesitz*. Przejście wzbronione, teren prywatny.

Za tablicą był szlaban pomalowany odblaskową farbą w żółto-czarne pasy, chyba zdalnie sterowany. Ben z łatwością go przeskoczył, po czym przechylił motocykl na bok i przeprowadził dołem.

I nic. Cisza. Ani alarmowych syren, ani dzwonek, ani brzęczyków.

Pojechał dalej. Droga wiodła teraz przez gęsty, ośnieżony las i kilka, minut później przegrodził ją wysoki, zakończony blankami mur. Musiał być bardzo stary, lecz niedawno go odrestaurowano.

Jego szczytem biegł niewidoczny z daleka drut. Był pewnie pod napięciem, ale Ben nie miał ochoty wspinać się tam i sprawdzać.

Ruszył wzdłuż muru i kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył bramę. Miała prawie dwa metry szerokości, trzy wysokości i zrobiono ją z ozdobnie powyginanego kutego żelaza. Z żelaza? Przyjrzał się uważniej i stwierdził, że to nie żelazo, tylko pomalowana na żelazo stal, pomalowana i gęsto opleciona siecią kabli. Czujniki wewnętrznego systemu bezpieczeństwa: nie prześlizgnąłby się tędy żaden intruz.

Ciekawe, pomyślał. Mają uniemożliwić wejście czy wyjście?

Anna. Czy to możliwe, że zdołała się tam przedostać? Czy też przywieziono ją tu siłą?

Droga kończyła się kilkaset metrów za bramą. Dalej był już tylko lśniący, dziewiczy śnieg. Zgasił silnik, włożył narty i trzymając się jak najbliżej muru, ruszył przed siebie.

Chciał obejść całą posiadłość – a przynajmniej tyle, ile się da – z nadzieją, że znajdzie jakieś przejście, lukę w systemie bezpieczeństwa, dziurę, przez którą mógłby się tam dostać. Jednakże nie wyglądało to zbyt obiecująco.

Śnieg był miękki i głęboki – Ben zapadał się w puchu aż po kostki, a zaspasy i wydmy jeszcze bardziej utrudniały manewrowanie. Gdy wreszcie złapał rytm i pomyślał, że teraz będzie mu łatwiej, dotarł do stóp wznoszącego się przy murze pagórka: czekała go żmudna wspinaczka.

Pagórek był tak wysoki, że stanąwszy w połowie zbocza, mógł zajrzeć za mur.

Śnieg skrzył się w słońcu tak bardzo, że musiał zmrużyć oczy, mimo to ujrzał wreszcie zamek, wielką, przysadzistą budowlę. Na pierwszy rzut oka mogła uchodzić za kolejną atrakcję turystyczną, lecz już po chwili dostrzegł dwóch strażników w

wojskowych panterkach, którzy patrolowali teren z pistoletami maszynowymi na ramieniu.

Strażnicy. Nie wiedział, co dzieje się za tymi murami, lecz na pewno nie prowadzono tam zwykłych badań naukowych.

To, co zobaczył potem, przyprawiło go o silny wstrząs. Nie potrafił tego zrozumieć, ale zobaczył dzieci, dziesiątki wynędzniałych, obszarpanych dzieci, które kłębiły się na zimnie. Przeszkadzał mu bijący od śniegu blask, więc jeszcze bardziej zmrużył oczy.

Co to za dzieci?

I co tam robiły?

Sanatorium? Bzdura. Wyglądało raczej na to, że ktoś ich w tym zamku... więzi?

Żeby lepiej widzieć, wspiął się jeszcze wyżej i podszedł nieco bliżej muru.

U jego stóp rozciągał się ogrodzony teren wielkości średniego miejskiego osiedla. Stało na nim kilkanaście dużych wojskowych namiotów, wypełnionych dziećmi. Przypominało to dzielnicę biedoty, prowizoryczne miasteczko założone przez młodych mieszkańców jakiegoś wschodnioeuropejskiego kraju. Szczytem stalowego ogrodzenia biegły zwoje drutu kolczastego.

Był to dziwny widok. Ben aż potrząsnął głową, żeby sprawdzić, czy to nie złudzenie, ale gdy spojrział ponownie, znowu zobaczył dzieci: chodzące na czworakach maluchy, nieogolone, obszarpane wyrostki z papierosem w ustach, wrzeszczące na siebie nastolatki, ubrane po wiejsku dziewczyny w porwanych paltach i chustkach na głowie. Dzieci. Wszędzie kłębiły się dzieci.

Wiele razy widział coś takiego w dzienniku. Bez względu na to, kim naprawdę były i skąd pochodziły, na pewno wyгнаła je z domu wojna. Z Bośni, z Kosowa, z Macedonii, z Albanii.

Czyżby Lenz założył w klinice obóz dla uchodźców?

Jurgen Lenz, filantrop udzielający schronienia małym, schorowanym zbiegom?

Mało prawdopodobne.

Bo miejsce to zupełnie nie przypominało ani schroniska, ani sanatorium. Te wiejskie dzieci, upchane w przepelnionych namiotach, marzły na zimnie. Pilnowali ich uzbrojeni strażnicy. Miejsce to przypominało raczej obóz dla internowanych.

Nagle usłyszał krzyk jakiegoś chłopca. Ktoś go zauważył. Wkrótce dołączyli do niego inni, zaczęli wymachiwać do niego rękami, wołać go i przyzywać. Natychmiast zrozumiał, czego chcą.

Chcieli stamtąd wyjść.

Chcieli, żeby im pomógł. Widzieli w nim swojego wybawcę, kogoś z zewnątrz, kogoś, kto mógłby ich uwolnić. Zrobiło mu się niedobrze. Zadrzał, i to bynajmniej nie z zimna.

Co oni tym dzieciom robili?

Raptem dobiegł go krzyk z innej strony obozowiska i zobaczył strażnika, który celował w niego z pistoletu maszynowego. Pozostali strażnicy też krzyczeli, machali rękami, każąc mu odejść.

Groźba była oczywista: *zjeżdżaj stąd, bo będziemy strzelać.*

Suchy trzask i krok dalej w śnieg pacnęło kilka kul.

Ci ludzie nie żartowali. Ci ludzie nie wiedzieli, co znaczy cierpliwość.

Te wynędzniałe dzieci przetrzymywano tu siłą. A Annę?

Czy była wśród nich?

Boże, błagam. Oby tylko nic jej się nie stało. Oby tylko żyła.

Nie wiedział, o co się modlić. Czy o to, żeby jej tam nie było, czy o to, żeby tam była.

Zawrócił i zjechał ze stoku.

–Widzę, że się obudziliśmy – rzekł z promiennym uśmiechem Lenz. Podszedł do stóp łóżka i złożył przed sobą ręce. – Może teraz zechce mi pani zdradzić, komu powiedziała pani, kim naprawdę jestem.

–Pieprz się.

–Tak myślałem – odrzekł nieporuszony Lenz. – Kiedy organizm wydali ketaminę...
– Zerknął na swój złoty zegarek. – To znaczy mniej więcej za pół godziny, podamy pani dożylnie pięć miligramów versedu. To bardzo silny opioid. Zna go pani? Może podawano go pani podczas jakiegoś zabiegu?

Anna patrzyła na niego pustym, obojętnym wzrokiem.

–Pięć miligramów wystarczy, żeby się pani rozluźniła, zachowując całkowitą przytomność umysłu – kontynuował beznamiętnie Lenz. – Poczuje pani gwałtowne uderzenie krwi do głowy, ale już kilka sekund później ogarnie panią spokój, jakiego nigdy dotąd pani nie zaznała. Opuści panią całe napięcie. To cudowne uczucie.

Przekrzywił na bok głowę, jak wielki biały ptak.

–Gdybyśmy podali pani dawkę uderzeniową, przestałaby pani oddychać i najprawdopodobniej umarła. Dlatego musimy robić to stopniowo, powoli, przez osiem, dziesięć minut. Nie chcemy, żeby stało się pani coś złego. Nie teraz.

Anna mruknęła coś, w czym – taką przynajmniej miała nadzieję – zawierał się zarówno sceptycyzm, jak i jadowity sarkazm. Mimo chemicznie wywołanego spokoju była przerażona.

–Wolelibyśmy raczej, żeby znaleziono panią w rozbitym samochodzie. Jeszcze jeden pijany kierowca, jeszcze jedna ofiara wypadku.

–Nie mam samochodu – wymamrotała.

–Już pani ma. Wynajęła go pani, a raczej my wynajęliśmy go w pani imieniu. Nie ma to jak karta kredytowa, prawda? Wczoraj wieczorem aresztowano panią w pobliskim miasteczku. Miała pani sporo alkoholu we krwi. Spędziła pani noc w areszcie, a rano panią wypuszczono. Ach, ci pijani kierowcy. Nigdy się niczego nie nauczą...

Anna nie reagowała, lecz jej umysł pracował na najwyższych obrotach, próbując znaleźć wyjście z tego potwornego labiryntu. W planie Lenza musiała być jakaś luka, tylko gdzie?

–Versed to najlepsze serum prawdy, jakie kiedykolwiek wynaleziono, chociaż początkowo zamierzano je wykorzystać zupełnie inaczej. Środki wypróbowane przez CIA, skopolamina, barbiturany takie jak tiopental, rzadko kiedy działały. Tymczasem odpowiednia dawka versedu odblokuje umysł do tego stopnia, że odpowie pani na

każde pytanie. A teraz magiczna sztuczka: po przesłuchaniu nie będzie pani nic pamiętała. Czyż to nie wspaniałe? Będzie pani mówiła, mówiła i opowiadała, jednak z chwilą, gdy podłączymy panią do kroplówki, przestanie pani cokolwiek pamiętać. Niezwykłe, prawda?

Do sali weszła pielęgniarka, przysadzista kobieta w średnim wieku. Szerokimi biodrami popychała przed sobą wózek, na którym leżały fiołki, strzykawki i aparat do mierzenia ciśnienia. Podeszła bliżej, zerknęła podejrzliwie na Annę i zaczęła napełniać strzykawki płynem z fiolek. Na każdą strzykawkę naklejała jakąś karteczkę.

–To jest Gerta – powiedział Lenz – technik-anestezjolog. Nasza najlepsza specjalistka. – Pomachał Annie na do widzenia i wyszedł.

–Jak się czujesz? – rzuciła Gerta obojętnym, surowym kontraltem, zawieszając na stojaku przezroczysty pojemnik z kroplówką.

–Kręci mi się w... głowie – wymamrotała słabym głosem Anna, trzepocząc powiekami i zamykając oczy. Była spięta, czujna i mocno pobudzona. Opracowała już zarys planu działania.

Gerta podłączyła do kroplówki kilka plastikowych rurek.

–Zaraz wracam – powiedziała. – Pan doktor chce zaczekać, aż organizm wydali ketaminę. Gdybym podała ci teraz versed, mogłabyś przestać oddychać. Muszę iść do magazynu. Ta sonda jest do niczego. – Zamknęła za sobą drzwi.

Anna otworzyła oczy i szarpnęła się potężnie w lewo, wzmacniając siłę impetu szarpnięciem skrępowanych rąk. Zaczęła nabierać w tym wprawę; Łóżko podskoczyło i przetoczyło się kilkanaście centymetrów w stronę wózka. Nie miała czasu na odpoczynek. Jeszcze jedno szarpnięcie i dotarła na miejsce.

Uniosła ramiona na tyle, na ile pozwalały jej pasy, przycisnęła twarz do zimnej krawędzi wózka i kątem lewego oka zobaczyła agrafki do zapinania bandaży. Maleńkie, sterylnie zapakowane, leżały tuż, tuż, zaledwie kilka centymetrów dalej...

Lecz poza zasięgiem jej ust.

Kiedy mocno przekrzywiła głowę, miała je dokładnie przed sobą. Ściągną szyi i mięśnie karku napięła tak mocno, że zaczęły drżeć. Ból był nie do zniesienia.

I wtedy, jak niegrzeczne dziecko, wystawiła język. Zapiekł ją od spodu i zaszczypał aż do nasady.

Powoli, powolutku opuściła go w dół niczym łyżkę koparki. Kiedy dotknął plastikowego pakieciku, ostrożnie odchyliła głowę, przesuwając go na skraj blatu. Gdy już, już miał przechylić się i spaść, zacisnęła na nim zęby.

Czyjeś kroki. I trzask drzwi.

Błyskawicznie opadła na poduszkę. Ostre krawędzie pakieciku dźgały ją w nasadę języka. Przeklęta baba. Widziała ją? Gerta szła w stronę łóżka. Podrażnione gardło, zbyt dużo śliny w ustach: Anna poczuła, że zaraz wymiotuje, mimo to wytrzymała.

–Tak, tak – mruknęła pielęgniarka. – Po ketaminie ma się czasem mdłości. Widzę, że nie śpisz.

Anna jęknęła przez zaciśnięte usta i zamknęła oczy. Śliny wciąż przybywało. Musiała ją jakoś przełknąć. I przełknęła.

Gerta podeszła bliżej i zaczęła robić coś u wezglowia łóżka. Anna spróbowała

opanować oddech. Musiała oddychać jak najwolniej, jak najbardziej regularnie – jak najwolniej, jak najregularniej...

Kilka minut później pielęgniarka wyszła, cicho zamykając drzwi.

Anna czuła, że tym razem wróci znacznie szybciej.

Plastik przeciął śluzówkę i miała w ustach krew. Przesunęła pakiecik do warg i wypluła. Wylądował na wierzchu lewej dłoni. Złączyła ręce i palcem wskazującym wepchnęła agrafkę do zaciśniętej pięści.

Teraz szybko. Umiała to robić, ponieważ nieraz gubiła kluczyk i zbyt zażenowana, żeby prosić kogoś o zapasowy, otwierała kajdanki szpilką lub spinaczem.

Z trudem rozdarła opakowanie, za to z łatwością wygięła agrafkę.

Najpierw lewa ręka. Wetknęła czubek agrafki do zamka, pchnęła w lewo, potem w prawo i zamek się otworzył.

Lewa ręka była wolna!

Uradowana, jeszcze szybciej oswobodziła prawą i otworzyła zamek pasa na brzuchu. Nagle cichutko skrzypnęły drzwi. Wróciła Gerta.

Anna błyskawicznie wsunęła ręce w kajdanki i zamknęła oczy.

Greta podeszła do łóżka.

–Słyszałam, jak się poruszyłaś.

Serce waliło jej jak młotem. Powoli otworzyła oczy, udając, że nie może skupić wzroku.

–Przestań – warknęła groźnie Gerta. – Udajesz. – I cicho dodała: – Trudno, musimy zaryzykować...

Boże, nie.

Owinęła jej przedramię opaską uciskową, wkuła igłę i odwróciła się, żeby wyregulować kranik kroplówki. Wężowatym ruchem Anna wyjęła ręce z otwartych kajdanek i zaczęła zdejmować opaskę. Cicho, cichutko, jak najciszej... Żle, za późno. Pielęgniarka usłyszała trzask gumy, odwróciła się, a wówczas Anna usiadła na łóżku i nie zważając na krępujący ją w talii pas, dziwnym, pozornie czułym gestem objęła ją zgiętą ręką za tłustą, mięsistą szyję i błyskawicznie owinęła ją opaską.

Zdławiony krzyk.

Gerta mlóciła rękami powietrze. Próbowwała zerwać opaskę, wetknąć pod nią zakrzywione palce i szarpiąc się wściekle na wszystkie strony, drapała sobie szyję. Posiniała na twarzy. Szeroko rozdziawionymi ustami z trudem łapała oddech. Ruchy miała coraz powolniejsze, coraz słabsze: zaczynała tracić przytomność.

Kilka minut później odrętwiała ze zmęczenia Anna zakneblowała ją i przykuła do bariery łóżka. Otworzywszy kajdanki u stóp, chwiejnie zeszła na podłogę i, na wszelki wypadek, drugą rękę Gerty przykuła do aparatury anestetycznej – dużej, ciężkiej maszyny, którą niełatwo było przesunąć.

Potem zdjęła jej z pasa kluczę i spojrzała na wózek.

Leżało na nim mnóstwo broni. Zgarnęła garść zaopatrzonych w igły strzykawkę, potem kilkanaście fiolek i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ma na sobie tylko szpitalną koszulę.

Szafa, W szafie dwa lecarskie fartuchy. Szybko się przebrała i wypchawszy sobie

kieszenie strzykawkami i ampułkami, wybiegła z sali.

Rozdział 43

Archiwum okręgu Semmering mieściło się w suterenie gmachu rady miejskiej, który zbudowano w charakterystycznym bawarskim stylu. Były tam rzędy szafek na akta, oznaczonych numerami poszczególnych parceli.

–Zamek Zerwald jest niedostępny dla zwiedzających – oznajmiła bez ogródek siwowłosa archiwistka: - To część prywatnej kliniki. Wstęp wzbroniony.

–Rozumiem – odrzekł Ben – ale chodzi mi tylko o stare mapy. – Kiedy powiedział, że jest historykiem, że interesują go niemieckie i austriackie zamki, spojrzała na niego tak, jakby brzydko pachniał, mimo to przywołała swoją rozdygotaną nastoletnią asystentkę i poleciła jej wyjąć plan działki z szuflady przy ścianie. System rozmieszczenia map i planów był bardzo skomplikowany, jednak siwowłosa doskonale wiedziała, gdzie czego szukać.

Plan pochodził z początku dziewiętnastego wieku. Ówczesnym właścicielem działki, która zajmowała wtedy prawie całe zbocze góry, był niejaki J. Esterhazy. Na papierze roilo się od tajemniczych znaków.

–Co to jest? – spytał.

Siwowłosa spojrzała na niego spod oka.

–Jaskinie. Wapienne jaskinie.

Jaskinie. Zawsze to jakaś możliwość.

–Biegną pod działką?

–Oczywiście – odparła niecierpliwie. Pod działką, czyli pod zamkiem...

–Mogłaby pani to dla mnie skopiować? – poprosił, z trudem ukrywając podniecenie.

Obrzuciła go wrogim spojrzeniem.

–Za dwadzieścia szylingów.

–Świetnie. I jeszcze coś: czy ma pani plany dolnej części zamku?

Młody sprzedawca ze sklepu sportowego patrzył na plan jak na nierozwiązywalny problem algebraiczny. Kiedy Ben podpowiedział mu, że owe tajemnicze znaki to sieć jaskiń, szybko się z nim zgodził.

–Tak, biegną dokładnie pod zamkiem. Przed laty było tam chyba nawet jakieś wejście, z jaskiń do zamku, ale teraz pewnie jest już zasypane.

–Był pan tam kiedyś?

–W tych jaskiniach? – Sprzedawca posłał mu przerażone spojrzenie. – Broń Boże.

–A zna pan kogoś, kto był?

Sprzedawca zmarszczył czoło.

–Ja, chyba tak.

–Myśli pan, że ten ktoś zechciałby mnie tam zaprowadzić?

–Wątpię.

–Mógłby pan go spytać?

–Spytam, ale chyba nic z tego nie będzie.

Nie spodziewał się zobaczyć sześćdziesięciokilkulatka, ale to właśnie mężczyzna w tym wieku wszedł do sklepu pół godziny później. Niski i żyłasty, miał wystrzępione, poprzecinane bliznami uszy, długi, zniekształcony nos, ptasią pierś i krzepkie,

tykowane ręce. Wchodząc, powiedział coś chrapliwie do sprzedawcy i zamilkł na widok Bena.

Ben powiedział mu dzień dobry. Mężczyzna tylko skinął głową.

–Szczerze mówiąc, jest chyba trochę za stary – rzucił Ben do sprzedawcy. – Nie ma tu kogoś młodszego?

–Młodszy są- odrzekł mężczyzna. – Nie ma za to silniejszych. Poza tym nikt nie zna tych jaskiń tak dobrze jak ja. Ale o czym tu gadać. Jeszcze nie wiem, czy chcę tam iść.

–O, mówi pan po angielsku – zauważył zdziwiony Ben.

–Nauczyłem się podczas wojny, jak większość tutejszych.

–Czy z tych jaskiń można przejść do zamku?

–Kiedyś było można. Ale właściwie dlaczego miałbym panu pomagać?

–Bo muszę się tam dostać.

–Nie da rady. Tam jest teraz prywatna klinika.

–Mimo to muszę.

–Dlaczego?

–Powiedzmy, że z powodów osobistych, które warte są dla mnie bardzo dużo pieniędzy. – Powiedział mu, ile jest gotów zapłacić za pomoc.

–Będziemy potrzebowali sprzętu – odrzekł mężczyzna. – Umie się pan wspinać?

Nazywał się Fritz Neumann i łąził po jaskiniach, jeszcze zanim Ben przyszedł na świat. Był nieprawdopodobnie silny, gibki i zwinny.

Pod koniec wojny, opowiadał, kiedy miał osiem lat, jego rodzice wstąpili do ruchu oporu katolickich robotników, prowadzących potajemną walkę z faszystami, którzy najechali tę część Austrii. Hitlerowcy zajęli zamek i urządzili w nim okręgową kwaterę dowództwa.

Pod piwnicami zamku biegł długi przełaz z ukośnym wyjściem do jaskini przecinającej niemal całą parcelę: hitlerowcy nic o nim nie wiedzieli. Zamek zbudowano w tym miejscu celowo; bojąc się ataków wroga, jego pierwsi mieszkańcy chcieli mieć możliwość ucieczki tajnym przejściem. Z biegiem lat zapomniano i o przejściu, i o labiryncie wapiennych jaskiń.

Ale podczas wojny, gdy hitlerowcy zajęli zamek, członkowie ruchu oporu zdali sobie sprawę, że dysponują bezcennymi wprost informacjami, dzięki którym mogli ich szpiegować, podsłuchiwać i organizować akty sabotażu. Doszli też do wniosku, że jeśli tylko zachowają ostrożność, wróg nigdy się nie dowie, kto je zorganizował i w jaki sposób.

Uwolnili i wyprowadzili z zamku dziesiątki więźniów – hitlerowcy ani razu nie wpadli na ich trop.

Jako ośmioletni chłopiec, Fritz Neumann wielokrotnie pomagał rodzicom i ich przyjacielom. Skomplikowany labirynt jaskiń znał na pamięć.

Fritz zszedł z orczyka pierwszy, Ben tuż za nim. Wyciąg znajdował się na północnym stoku góry. Zamek stał na południowym, ale Fritz twierdził, że ta droga jest szybsza i łatwiejsza.

Dzięki specjalnym wiązaniom – mieli oryginalne randonee – mogli zarówno biegać,

jak i zjeżdżać. Co więcej, zamiast butów narciarskich, mogli włożyć buty do wspinaczki. Fritz pomyślał o wszystkim: o elastycznych, dwunastopunktowych rakach, ulubionym sprzęcie austriackich alpinistów, o reflektorach Petzla, o czekanach, o uprzężach, hakach i karabińczykach.

Wszystko bez trudu kupili w miejscowym sklepie.

Natomiast broni szukali znacznie dłużej. Ale cóż, byli w krainie łowów i wielu przyjaciół Fritza miało w domu zarówno strzelby, jak i pistolety. Jeden z nich poszedł z nim na układ.

Założyli wełniane kominiarki, ciepłe spodnie, getry i cienkie, polipropylenowe rękawice, włożyli plecaki, dotarli na szczyt, zapięli wiązania zjazdowe i południowym zboczem ruszyli w dół. Ben uważał się za dobrego narciarza, ale Fritz był prawdziwym fenomenem. Pędził tak szybko, tak wprawnie szusował po dziewiczym śniegu, że trudno było za nim nadążyć. Pęd, lodowaty wiatr- Ben miał częściowo odsłoniętą twarz i wkrótce zaczął szczypać go mróz. Zdumiewało go, że Fritz widzi trasę tam, gdzie on zupełnie jej nie dostrzega i dopiero po dłuższej chwili zobaczył na pniach świerków czerwone paski, którymi ją oznakowano.

Dwadzieścia minut później dotarli do szczeliny na skraju lasu, a zaraz potem do głębokiego jaru. Zatrzymali się trzy metry od jego krawędzi, zdjęli narty i ukryli je w kępie drzew.

–Trudno się tam dostać – powiedział Fritz. – Będziemy musieli zejść po linie. Ale umie się pan wspinać, prawda?

Ben kiwnął głową, przyglądając się skalnej ścianie. Dno jaru znajdowało się dwadzieścia pięć, trzydzieści metrów niżej. Widział też zamek na tle zbocza, z tej wysokości wyglądał jak makieta.

Fritz wyjął z plecaka starannie zwiniętą linę. Ben z ulgą stwierdził, że jest to dynamiczna lina rdzeniowa, spleciona z dziesiątków cieniutkich włókien.

–Jedenastka – powiedział Fritz. – Dobra dla pana?

Ben ponownie skinął głową. Wiedział, że na tego rodzaju zjazd jedenastka w zupełności wystarczy. Wszystko, byle tylko odnaleźć Annę.

Z miejsca, w którym stali, nie widział wejścia do jaskini. Musiało znajdować się gdzieś pod nimi, w licu skały.

Fritz wyjął młotek, ukląkł i zaczął wbijać haki. Im głębiej wchodziły, tym głębszy wydawały dźwięk, co wskazywało, że tkwią w skale mocno i pewnie.

Potem owinął linę wokół wielkiego głazu i przeciągnął ją przez ucha haków.

–Niełatwo się tam dostać – uprzedził. – Trzeba zejść, rozhuścić się trochę i trafić na półkę przed wejściem. Niech pan włoży raki i uprząż.

–A czekany?

–Tu niepotrzebne. Bardzo mało lodu. Dopiero w jaskini.

–Jaskinia jest oblodzona?

Ale Fritz nie odpowiedział: otwierał już plecak.

Ben i Peter chodzili kiedyś po jaskiniach pod Greenbriar, ale tamte były małe i krótkie. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z podziemnym lodem.

Ścisnęło go w żołądku. Do tej chwili napędzała go adrenalina, strach i gniew, do

tej chwili skupiał się wyłącznie na jednym: na wydostaniu Anny z kliniki Lenza. Był pewien, że właśnie tam ją uprowadzono.

Ale teraz zaczął mieć wątpliwości, czy wybrał najlepszy sposób. Jeśli zachowywało się ostrożność, wspinaczka nie była sportem zbyt ryzykownym. Wiedział, że ze ścianą na pewno sobie poradzi, lecz wiedział też, że w jaskiniach zginęło wielu bardzo doświadczonych grotolarzy.

Zastanawiał się nawet, czy nie sforsować głównej bramy zamku. Schwytaliby go strażnicy i zwróciłby uwagę Lenza.

Istniało jednak duże prawdopodobieństwo, że strażnicy po prostu by go zastrzelili. Nie miał wyboru, musiał się z tym pogodzić: jaskinia była jedynym wyjściem.

Włożyli i zapięli raki. Z każdej podeszwy sterczało im teraz dwanaście ostrych kolców, dzięki którym będą mogli pokonać oblodzone stromizny w jaskini. Byli gotowi do drogi.

–*Dulfersitz, ja?* - rzucił Fritz. *Dulfersitz*: zejście bez przyrządów zjazdowych.

A więc czekał ich tzw. zjazd w kluczu, niezbyt przyjemny i według Bena dość niebezpieczny. Z trudem panował nad nerwami. Jego niepokój wyraźnie rozbawił Fritza.

–Ja pierwszy – powiedział. Węzeł – podwójna ósemka – lina wokół ramion i przez krocze: podszedł do krawędzi, szeroko rozstawił nogi, odbił się i zniknął w otchłani.

Zwisał przez chwilę, kołysząc się powoli twarzą do ściany, znalazł oparcie dla stóp, napiął linę i ruszył w dół. Kilkanaście metrów niżej zawisł ponownie, po czym rozkołysał się i z głośnym chrzęstem wylądował na skalnej półce.

–Dobra! – krzyknął. – Teraz pan!

Ben owinął się liną, podszedł do krawędzi, wstrzymał oddech i zaczął zjeżdżać.

Lina natychmiast wpiła mu się w udo i chociaż miał na sobie grube spodnie, czuł, że od silnego tarcia pali go skóra. Dopiero teraz przypomniał sobie, dlaczego nie znosi zjazdów *a la dulfersitz*. Używając prawej ręki jako hamulca, odchylając się mocno do tyłu i wypatrując skalnych występów, powoli opuszczał się w dół. Już kilka sekund później zauważył swój cel: mały, czarny otwór w kształcie elipsy. Wejście do jaskini. Jeszcze tylko kilka metrów i stopy straciły oparcie.

Zawisł dokładnie przed otworem i stwierdził, że będzie o wiele trudniej, niż się spodziewał. Nie chodziło tylko o zwykły zeskok. Sprawa była znacznie bardziej skomplikowana, gdyż wejście do jaskini i skalne lico tworzyły jedną płaszczyznę.

–Bliżej! – krzyknął Fritz. – Trochę bliżej!

Natychmiast zrozumiał w czym rzecz. Tuż przed wejściem ze ściany sterczała wąska półka, na której musiał wylądować.

Nie mógł popełnić błędu. Półka miała nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów szerokości. Fritz kucał na niej, przytrzymując się skały.

Ben przesunął nogi do przodu, ostrożnie się rozhuśtał, poczuł, że przestaje panować nad liną i znieruchomiał.

Znieruchomiał, odczekał chwilę, rozhuśtał się ponownie i kiedy stopy znalazły się nad półką, zwolnił linę i mocno uginając kolana, skoczył w dół. – Dobrze! – krzyknął Fritz.

Ben pochylił się do przodu i zajął w mroczną czeluść jaskini. Światło było słabe – padało pod ostrym kątem – lecz wystarczająco silne, żeby zobaczyć to, co im tam groziło.

Pierwsze trzydzieści metrów biegnącego stromo w dół korytarza było pokryte grubą warstwą lodu. Co gorsze, lód ociekał wodą, był zdradziecko śliski. Ben nigdy dotąd czegoś takiego nie widział.

–No i? – rzucił Fritz, wyczuwając jego obawy. – Będziemy tu stali cały dzień?

Wejść na długie, strome, mocno oblodzone zbocze: ta myśl musiała być straszna dla każdego, nawet dla doświadczonego grotolaza.

–Nie, nie, chodźmy – rzucił, siląc się na entuzjizm.

Włożyli kaski, do kasków przymocowali latarki czołówki. Fritz podał mu dwa zakrzywione na końcach czekany z włókna węglowego. Ben wsunął dłonie w pętelki. Czekany zwisały mu w rękach jak dwa bezużyteczne kikuty.

Fritz kiwnął głową i stanął tyłem do wejścia. Ben poszedł w jego ślady, choć czuł, że w żołądku fruwa mu stadko motyli. Zrobili krok do tyłu, zeszli z wąskiej półki i raki zachręściły na lodzie.

Dały mu w kość już pierwsze metry. Próbował zachować równowagę, wbijając raki jak najgłębiej, po czym zaciskał ręce na uchwycie czekanów i wbijał w lód ich zakrzywione czubki. Od czasu do czasu zerkał na Fritza. Stary Austriak schodził w dół jak po schodach. Był jak kozica.

Ben niepewnie sunął na brzuchu, przytrzymując się czekanów. Chrzęst raków i trzask rozbijanego czekanami lodu: raki, czekany, raki, czekany -kiedy w końcu udało mu się wpaść w rytm, dotarł do miejsca, w którym lód ustępował miejsca wapieniowi.

Fritz odwrócił się, zdjął raki, rzucił na ziemię czekany i nieco łagodniejszym już zboczem ponownie ruszył w dół. Ben szedł tuż za nim.

Korytarz przypominał wykutą w skale krętą klatkę schodową i kiedy szli, w świetle reflektora widział odchodzące na boki przejścia i tunele, w których – gdyby nie Fritz – natychmiast by zablądził. Nie było tam żadnych znaków, żadnych pasków czerwonej farby, niczego, co pozwoliłoby odróżnić dobrą trasę od złej. Fritz znał drogę na pamięć.

Wydawało się, że jest cieplej, lecz Ben wiedział, że to tylko złudzenie. Ściany jaskini pokrywała gruba warstwa lodu, co oznaczało, że panuje tam ujemna temperatura; obniżała ją dodatkowo zbierająca się pod nogami woda. W powietrzu wisiała gęsta wilgoć.

Dno jaskini było usłane skalnymi odłamkami i Ben często się o nie potykał. Niebawem korytarz przeszedł w wielką galerię – Fritz na moment przystanął i powoli obrócił głowę, oświetlając zapierające dech w piersi formacje. Stalaktyty. Niektóre były cieniutkie jak źdźbło słomy, kruche, delikatne i ostre jak igła. Były tam również stalagmity, wielkie i grube, łączące się ze stalaktytami w wysokie kolumny. Ze ścian i ze stalaktytów sączyła się woda: jej cichutkie pokapywanie było jedynym dźwiękiem, który burzył upiorną ciszę podziemi. Odkładający się na dnie jaskini węglan wapnia tworzył rozległe, twarde jak kamień tarasy, a jego zwisające ze stropu płachty

przypominały cienkie, przezrocyste, mocno wystrzępione zasłony. Wszędzie unosił się kwaśny odór guana.

–Niech pan spojrzysz – powiedział Fritz.

Ben odwrócił się w lewo i zobaczył doskonale zachowany szkielet niedźwiedzia. Nagle coś zatrzępotało, zaszeleściło jak papier i w powietrze wzbiło się stadko obudzonych ich nadejściem nietoperzy.

Benowi było coraz zimniej. Mimo zabezpieczeń, do butów dostała się woda i miał mokre skarpetki.

–Chodźmy – rzucił Fritz. – Tędy.

Skręcił w wąski przesmyk, identyczny jak kilkanaście innych przesmyków wychodzących z galerii. Teren zaczął się stopniowo wznosić, a korytarz zwęźać jak szyja butelki. Głową sięgali stropu: gdyby Ben był trochę wyższy, musiałby się pochylić. Ściany były zimne, woda lodowata.

Zdrętwiały mu palce u stóp, ale ponieważ zwinny i giętki Fritz sunął pod górę ze zdumiewającą szybkością, nie pozostawało mu nic innego, jak ostrożnie przyspieszyć. Stąpał między ostrymi głazami i skałami, wiedząc, że jeśli zahaczy o nie choćby czubkiem buta, sturla się w dół i już nie wstanie.

W końcu wyszli na w miarę płaski teren.

–Jesteśmy na poziomie zamku – oznajmił Fritz.

I nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, korytarz się skończył. Stali przed gładką ścianą, u stóp której leżała sterta skalnych odłamków ze starego zawaliska.

–Chryste – szepnął Ben. – Zabłądziliśmy?

Fritz bez słowa odgarnął butem kilka kamieni, odsłaniając zardzewiały łom długości metra, może metra i dwudziestu centymetrów. Płynnym ruchem podniósł go i powiedział:

–Jest. To dobrze. Nie używano go od lat. Nie odkryli przejścia.

Wetknął łom pod głaz i napierał całym ciężarem ciała, dopóki głaz nie odtoczył się na bok. Wtedy Ben zobaczył przełaz, tunel sześćdziesięciocentymetrowej wysokości i najwyżej metrowej szerokości.

–Podczas wojny przesuwaliśmy ten kamień tam i z powrotem. – Wskazał widniejące na nim stare, ledwo widoczne już rysy. – Od tej pory musi pan radzić sobie sam. Tu pana zostawię. Tunel jest bardzo wąski i bardzo niski, ale powinno się panu udać.

Ben pochylił się i z pełnym przerażenia zafascynowaniem zajrzał do środka. Ogarnęła go panika.

–Jezu, tam jest jak w trumnie. Nie dam rady.

–Ma pan do przejścia najwyżej... sześćdziesiąt metrów. Prawie cały czas po płaskim, ale pod sam koniec będzie trochę pod górę. Wyjście jest wąskie, w kształcie dziurki od klucza, ale jakoś się pan przecisnie. Chyba że się już zawaliło...

–Tunel kończy się w zamku?

–W piwnicach. Ale wyjście jest zakratowane, może nawet zamknięte...

–I teraz mi pan o tym mówi?

Fritz sięgnął do kieszeni starej, znoszonej kurtki i wyjął zardzewiały klucz.

–Nie wiem, czy da się przekręcić, ale ostatnim razem jakoś go przekręciłem.

–Ostatnim razem, to znaczy kiedy? Pięćdziesiąt lat temu?

–Ponad. – Fritz wyciągnął do niego rękę. – Do widzenia. – Zabrzmiało to bardzo poważnie. – Życzę dużo szczęścia.

Rozdział 44

Przełaz był potwornie wąski, niski i ciasny. Bojownicy ruchu oporu, którzy przechodzili nim do zamku, musieli być naprawdę odważni i gotowi na wszystko. Nic dziwnego, że tak chętnie zabierali ze sobą młodego Fritza Neumanna, chłopca, który mógł się tędy bez trudu przecisnąć.

Ben bywał już w takich przełazach – choćby w jaskiniach White Sulphur Springs – ale podczas gdy tamte miały najwyżej parę metrów długości, ten zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

Dopiero teraz zrozumiał starych, wytrawnych grotołazów, którzy twierdzili, że tylko w jaskiniach mogą stawić czoło najbardziej pierwotnym lękom: lękowi przed ciemnością, przed upadkiem w bezdenną otchłań, strachowi, że zostaną żywcem pogrzebani.

Ale nie miał wyboru, a już na pewno nie teraz. Pomyślał o Annie i wziął się w garść.

Wszedł do środka, pochylając głowę naprzód i twarz owiał mu zimny prąd powietrza. Przełaz miał zaledwie sześćdziesiąt centymetrów wysokości, przynajmniej tu, na początku, dlatego mógł się poruszać tylko na brzuchu, pełzając jak dżdżownica.

Zapierał się nogami, podciągał rękami, plecak popychał głową. Na dnie tunelu zebrało się kilka centymetrów lodowatej wody i prawie natychmiast przemokły mu spodnie. Przełaz skręcał gwałtownie to w lewo, to w prawo, zmuszając go do ciągłych akrobacji.

W końcu zaczął się nieco rozszerzać. Miał teraz metr, może metr dwadzieścia wysokości, dzięki czemu przemoczony i zdrętwiały z zimna Ben mógł wreszcie wstać, i mocno pochylony ruszyć dalej.

Szedł bardzo długo, a gdy rozboleły go plecy, usiadł na plecaku i przez chwilę odpoczywał z rękami na kolanach.

Następnie pokonał kilkanaście metrów tylko po to, by stwierdzić, że tunel ponownie się zwęża. Nie miał wyboru: opadł na czworaki i popełznął przed siebie jak wielki krab.

Ale nie pełznął zbyt długo. Skaliste podłoże szybko posiniaczyło mu kolana, więc spróbował przenieść ciężar ciała na łokcie i stopy, a kiedy go rozboleły, przez jakiś czas ponownie pełznął na brzuchu. Gdy sklepienie tunelu opadło jeszcze niżej, przekręcił się na bok i sunął naprzód, podciągając się rękami i odpychając nogami.

Przełaz miał teraz nie więcej niż czterdzieści pięć centymetrów wysokości. Ben coraz mocniej szorował po stropie plecami i musiał na chwilę przystanąć, żeby opanować narastającą panikę. Potem znowu czołgał się na brzuchu, tyle tylko, że z coraz mniejszą nadzieją. Ten podobny do trumny i ciasny jak trumna korytarz zdawał się nie mieć końca. Promień czołówki oświetlał go na odległość pięciu, najwyżej sześciu metrów: ile metrów pozostało do wyjścia, jeśli to wyjście w ogóle jeszcze istniało?

Z trudem tłumiąc strach, po jakimś czasie zauważył, że tunel lekko się poszerza, zaczyna piąć się w górę. Podłoże wciąż było wilgotne, lecz woda... Tak, woda

zniknęła. Tylko te skały, te koszarne skały. Ocierały mu nie tylko brzuch, ale i plecy.

Plecak wciąż popychał głową. Korytarz miał teraz najwyżej trzydzieści centymetrów wysokości.

Ben utkwiał w pułapce.

Może jeszcze niezupełnie, ale tak właśnie się czuł. Ogarnęło go przerażenie. Musiał, po prostu musiał precyzyjnie się dalej. Serce waliło mu jak młotem. Opuścił głowę i znieruchomiał.

Wiedział, że najgorszą rzeczą jest panika. Panika usztywniała, paraliżowała mięśnie i ciało. Kilka razy powoli odetchnął i żeby zmniejszyć obwód klatki piersiowej, zrobił głęboki wydech.

Lepki od potu, szarpnął się i popęztał dalej, próbując myśleć o tym, dokąd i po co idzie, o tym, jakie to ważne i co robi, gdy tylko dotrze na miejsce.

Tunel był coraz bardziej stromy. Ben chciał nabrać powietrza, lecz nie mógł: ściany, podłoga i strop ścisnęły mu pierś jak imadło. Wystraszony, czując, że się dusi, zaczął oddychać szybko, płytko i nieregularnie. Musiał odpocząć. Zaraz. Teraz.

Nie myśl.

Odpręż się. Rozluźnij.

Nikt nie wiedział, że tu jest. Umrze, żywcem pogrzebany. Tu, w tym czarnym jak smoła piekle, gdzie nie ma ani nocy, ani dnia.

Wsluchiwał się w siebie z coraz większym sceptycyzmem i powoli, stopniowo jego umysłem zawładnął ten drugi Ben – silniejszy i odważniejszy. Poczuł, że serce bije mu coraz wolniej, że do płuc dociera rozkosznie zimne powietrze, a jego ciało i dusza szybko nasiąka – niczym bibuła atramentem -błogim spokojem.

Wewnętrznie odprężony, zmusił mięśnie do jeszcze jednego wysiłku i popęztał dalej, wijąc się, wyginając, nie zważając na ostre skały, które orały mu plecy.

Nagle strop wystrzelił w górę, ściany uciekły na bok i mógł wstać na czworaki. Dotarł do czegoś w rodzaju groty, gdzie nareszcie – cóż za rozkosz! – mógł się wyprostować.

I wtedy zdał sobie sprawę, że do groty wpada jakieś światło.

Było słabe, słabiutkie i odległe, lecz on powitał je jak radosny wschód słońca, jak jaskrawe światło dnia.

Kilkanaście kroków przed nim było wyjście – wyjście z jaskini – i rzeczywiście przypominało kształtem dziurkę od klucza. Błyskawicznie wspiął się po osypisku, chwycił się skalnej krawędzi, podciągnął na rękach, dźwignął jeszcze wyżej i zamarł na usztywnionych ramionach.

Kraty. Zardzewiałe kraty starej bramy, szczelnie dopasowanej do nieregularnych kształtów wyjścia z jaskini. Nie widział, co jest dalej, widział za to podłużną smugę światła, które sączyło się jakby spod drzwi.

Wstał, wyjął klucz Fritza, włożył go do zamka i przekręcił.

A raczej próbował przekręcić.

Bo klucz ani drgnął.

Zamek przerdzewiał na wskroś. Tak, na pewno. Nie otwierano go ani nie

wymieniano od dziesiątków lat. Dopiero teraz zauważył, że rdza dosłownie się z niego sypie. Spróbował jeszcze raz. Na próżno.

–Boże... – powiedział na głos.

To już koniec.

Nie przewidział tego ani on, ani Fritz.

Innego wyjścia z jaskini nie było. Nawet gdyby miał jakieś narzędzia, nic by nimi nie działał: brama była osadzona w litej skale. Co teraz? Będzie musiał zawrócić? Ponownie wpełznąć do tunelu? Chryste.

A może... Może kraty przerdzewiały do tego stopnia, że da się je wypchnąć? Uderzył w nie ręką, raz, drugi i trzeci. Rozbolała go dłoń. Nie. Trzymały. Zardzewiały tylko na wierzchu.

Zrozpaczony, chwycił je oburącz i zatrząsł, niczym oszalały z wściekłości skazaniec, odsiadujący dożywocie w San Quentin. Iraptem... Metaliczny szczęk.

Pękł jeden z zawiasów.

Ben zatrząsł bramą jeszcze raz, silniej niż przedtem, i usłyszał kolejny szczęk.

Potrząsał kratami i szarpał nimi na wszystkie strony, dopóki nie odpadł trzeci i czwarty zawias.

Wówczas dźwignął bramę, pchnął ją i ostrożnie położył na ziemi.

Był w podziemiach zamku.

Rozdział 45

Wyczuł ręką coś twardego i zakurzonego: żelazne drzwi, zablokowane ciężką sztabą. Podniósł sztabę, pchnął je i usłyszał głośny, piskliwy zgrzyt. Nie otwierano ich od dziesięcioleci. Naparł na nie całym ciałem i z jękiem ustąpiły.

Znalazł się w dużym, choć wciąż ciasnym pomieszczeniu. Kiedy oczy przywykły do ciemności, zaczął rozróżniać jakieś kształty i po chwili, śledząc wąską smugę światła, dotarł do kolejnych drzwi. Pomacał ścianę w poszukiwaniu włącznika.

Pstryk! Pod sufitem zapłonęła żarówka.

Był w małym magazynie. Pod kamiennymi ścianami stały beżowe półki, wypełnione starymi kartonami, drewnianymi skrzynkami i cylindrycznymi metalowymi zbiornikami.

Zdjął kask i wełnianą czapkę, po czym zrzucił plecak, z którego wyjął dwa półautomatyczne pistolety. Kask, czapkę i plecak położył na jednej z półek. Jeden pistolet wetknął za pasek grubych spodni – z tyłu, za plecami -i z drugim w rękę przestudiował plan dolnej części zamku, który skopiowała dla niego siwowłosa archiwistka. Od czasów, kiedy mieściły się tu zakłady zegarmistrzowskie, większą część pomieszczeń musiano odrestaurować i zmodernizować, jednak wątpił, czy przesunięto również potężne ściany nośne.

Przekręcił klamkę. Natychmiast ustąpiła i drzwi się otworzyły.

Wszedł do jasno oświetlonego korytarza o kamiennej posadzce i wysokim sklepieniu. Korytarz był pusty.

Skręcił w prawo. Szedł bardzo cicho, gdyż gumowe podeszwy skutecznie tłumiły odgłos kroków; poskrzypy wała jedynie mokra skóra butów.

Nie uszedł daleko, gdyż na końcu korytarza ktoś się pojawił.

Spokojnie. Tylko spokojnie. Zachowuj się tak, jakbyś tu pracował.

Łatwo powiedzieć. Był mokry i uwalany błotem, a w Buenos Aires posiniaczyli mu i podrapali całą twarz.

Teraz. Szybko.

Po lewej stronie były drzwi. Przystanął, wytężył słuch i otworzył je z nadzieją, że w środku nikogo nie ma.

Ledwie zdążył wejść, gdy przed drzwiami przeszedł mężczyzna w białej kurtce lub kombinezonie. U pasa miał broń. Strażnik.

Pomieszczenie miało sześć metrów długości, cztery, może cztery i pół metra szerokości. W sączącym się z korytarza świetle zobaczył, że i tym razem trafił do zastawionego metalowymi półkami magazynu. Pomacał ręką i pstryknął włącznikiem.

To, co ujrzał, było zbyt straszne, żeby mogło być prawdziwe, dlatego przez chwilę myślał, że ma koszmarnie przywidzenia.

Ale nie, nie miał przywidzeń.

Boże, pomyślał, to niemożliwe.

Nie mógł na to patrzeć, ale nie mógł też odwrócić wzroku.

Półki były zastawione zakurzonymi szklanymi słojami, wielkimi, wysokimi na ponad sześćdziesiąt centymetrów, i małymi, podobnymi do tych, w jakich pani Walsh trzymała przetwory owocowe.

Każdy słój był wypełniony płynem, pewnie formaliną, lekko zmętniała już i zanieczyszczoną.

A w płynie, niczym ogórki w zalewie...

Nie, to niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Dostał gęsiej skórki.

W każdym słoju tkwiło dziecko.

Wszystkie naczynia ustawiono z przerażającą precyzją.

W tych najmniejszych pływały malutkie embriony najwcześniejszego stadium ciąży, maleńkie i różowe jak krewetki, jak przezroczyste owady o groteskowo wielkich głowach i ogonach.

Nieco dalej płody wielkości pudełka zapalek: krótkie, pochylone ramiona i duże głowy zawieszono w resztkach worka owodniowego.

Płody odrobinę większe, bardziej przypominające człowieka, ludzkie miniaturowe o krzywych nóżkach, wygiętych rączkach i kruczoczarnych oczkach, tkwiące w idealnie okrągłych workach owodniowych, otoczonych wystrzępioną aureolą worka kosmówkowego.

Miniaturowe dzieci z zamkniętymi oczami, dzieci ssące kciuk w plątaninie całkowicie uformowanych rączek i nóżek.

Im większy słój, tym większa jego zawartość: w tych ostatnich tkwiły dziewięciomiesięczne płody, dzieci gotowe do przyjścia na świat, mali ludzie z zamkniętymi oczami, szeroko rozłożonymi rękami i nogami, z kurczowo zaciśniętymi piąstkami i obciętą pępownią, unoszącą się wśród przezroczystych resztek worka owodniowego.

Musiało tam być co najmniej sto embrionów, płodów i dzieci.

Każdy słój opatrzone etykietką, każdą etykietkę wykaligrafowaną po niemiecku datą (wydarcia płodu z ciała matki?), wiekiem prenatalnym, wagą w gramach i długością w centymetrach.

Daty: od roku 1940 do 1954.

Gerhard Lenz przeprowadzał eksperymenty na embrionach, płodach, niemowlętach i małych dzieciach.

Koszmar. To nie był człowiek, tylko potwór. Potwór i jego potworne eksponaty. Ale dlaczego ich jeszcze nie zniszczono?

Chciało mu się wyć.

Zawrócił i ruszył chwiejnie do drzwi.

Wzdłuż przeciwległej ściany stały okrągłe szklane zbiorniki wysokości od trzydziestu centymetrów do niemal półtora metra. Miały sześćdziesiąt centymetrów obwodu i zamiast płodów zawierały dzieci.

Małe, pomarszczone dzieci, maleńkie noworodki, niemowlaki, a nawet siedmio- i ośmiolatki.

Dzieci chore na progerię.

Dzieci o twarzach starców i staruszek.

Włosy stanęły mu dęba.

Martwe dzieci.

Pomyślał o biednym ojcu Christophu, z którym rozmawiał w jego ponurym wiedeńskim mieszkaniu.

„Mój synek umarł szczęśliwy”.

„Prywatne sanatorium”.

„Miejsce bardzo ustronne, ekskluzywne i luksusowe. Azyl, schronienie przed gwarem miasta”.

Zakręciło mu się w głowie. Już miał wyjść, gdy nagle... Ktoś szedł korytarzem.

Ostrożnie wyjrzał, zobaczył kolejnego strażnika w białym kombinezonie, cofnął się z powrotem do pokoju, ukrył za drzwiami i głośno odkaszlnął.

Kroki natychmiast ucichły. Strażnik zajrzał do magazynu.

Ben zaatakował z szybkością kobry. Rękojeścią pistoletu grzmotnął go w tył głowy, a gdy mężczyzna osunął się na podłogę, zamknął drzwi i przytknął mu palce do szyi. Strażnik żył, lecz był nieprzytomny i wszystko wskazywało na to, że nieprędko się obudzi.

Rozpiął mu kaburę, wyjął z niej walthera PPK, po czym ściągnął ze strażnika kombinezon i zrzucił z siebie wilgotne ubranie.

Kombinezon był na niego trochę za duży, ale do przyjęcia. Na szczęście buty pasowały. Wcisnął kciukiem przycisk po lewej stronie zamka i wyjął magazynek. Osiem nabojów – broń była nabita.

Miał teraz trzy pistolety, prawdziwy arsenał. Poszperał w kieszeniach kombinezonu, lecz znalazł w nich tylko paczkę papierosów i plastikową kartę elektronicznego klucza.

Sprawdziwszy, czy teren jest czysty, cicho zamknął za sobą drzwi. Korytarz, na końcu korytarza podwójne, stalowe drzwi dużej windy towarowej, bardzo nowoczesnej jak na tak starą budowlę. Wcisnął guzik.

Zadźwięczał dzwonek i sekundę później drzwi się otworzyły, ukazując kabinę wyłożoną szarą wykładziną ochronną. Ben wszedł, popatrzył na tablicę przycisków i stwierdził, że do uruchomienia windy potrzebny jest elektroniczny klucz. Wyjął z kieszeni kartę, wetknął ją do otworu czytnika i wcisnął guzik: parter. Drzwi zamknęły się gwałtownie, kabina szarpnęła, pomknęła do góry i Ben znalazł się w zupełnie innym świecie.

Zobaczył jaskrawo oświetlony, ultranowoczesny korytarz, podobny do tych, jakie widywał w siedzibach bogatych korporacji.

Dyskretna, szara wykładzina, ściany gładkie i bielutkie zamiast starych, kamiennych. Minęło go dwóch mężczyzn w białych kitlach, pewnie lekarzy lub klinicystów. Jeden z nich pchał przed sobą metalowy wózek. Drugi zerknął na Bena, lecz zdawało się, że go nie dostrzega.

Ben ruszył przed siebie sprężystym, zdecydowanym krokiem. Przed otwartymi drzwiami jakiegoś laboratorium stary dwie Azjatki w białych kitlach. Rozmawiały w języku, którego nie rozpoznawał, i pochłonięte rozmową, nie zwracały na niego najmniejszej uwagi.

Wszedł do dużego atrium, które tonęło w miękkim, sztucznym świetle lamp i bursztynowym blasku wieczornego słońca, wpadającego przez wielkie witrażowe

okna. Kiedyś musiał się tu mieścić reprezentacyjny hol wejściowy, który przebudowano ze smakiem w nowoczesny westybul. Jego środkiem biegły piękne, kręte, kamienne schody. Było tam również kilkoro drzwi opatrzonych tabliczką z numerem i literą, otwieranych elektronicznym kluczem. Najprawdopodobniej prowadziły do kolejnych korytarzy.

Naliczył kilkunastu ludzi, przy drzwiach, na schodach i przy windach. Większość miała na sobie białe kitle, luźne białe spodnie i białe tenisówki lub adidasy. Tylko strażnicy nosili ciężkie, czarne buciory. Koło Azjatek przechodził ubrany na biało mężczyzna: powiedział coś do nich i kobiety natychmiast zniknęły za drzwiami laboratorium. Najwyraźniej był kimś ważnym, pewnie ich przełożonym.

Dwóch sanitariuszy dźwigało nosze, na których leżał starzec w błękitnej szpitalnej koszuli.

Inny pacjent – też w rozciętej i związanej z tyłu koszuli – przeszedł przez atrium, zmierzając z korytarza 3 A do korytarza 2B. Wyglądał na dziarskiego pięćdziesięciolatka, mimo to kuśtykał, skrecając się z bólu.. Co się tu, do diabła, dzieje?

Anna. Więzili ją tu? Jeśli tak, to gdzie?

Klinika była znacznie większa i znacznie gwarniejsza, niż przypuszczał. Bez względu na to, co w niej tak naprawdę robili – i po co trzymali w piwnicy te koszmarnie słoje; czy to możliwe, żeby potrzebowali ich do badań? – brało w tym udział mnóstwo ludzi, zarówno lekarzy i laborantów, jak i pacjentów.

Ona na pewno tu jest. Wiem, że tu jest.

Tylko czy nic jej nie grozi? Czy jeszcze żyje? Czy pozwolą jej żyć, jeśli odkryła, czym się zajmują?

Muszę iść. Muszę coś zrobić.

Przybrał surową minę i niczym strażnik wypełniający rozkaz przełożonego, spiesznie przeszedł przez atrium. Zatrzymał się przed drzwiami 3B i wetknął klucz do czytnika z nadzieją, że się otworzą.

Klik i otworzyły się. Wszedł do długiego, białego, typowo szpitalnego korytarza.

Wśród ludzi, którzy go mijali, była kobieta w białym fartuchu, najpewniej pielęgniarka, która prowadziła na smyczy... małego chłopca.

Szedł za nią jak duży posłuszny pies.

Ben przyjrzał mu się dokładniej i po papierowej skórze, po zasuszonej, pomarszczonej twarzy poznał, że jest to dziecko chore na progerię. Było bardzo podobne do Christopha, chłopca z fotografii, którą widział niedawno w Wiedniu. I wyglądało jak jedno z tych w pełni rozwiniętych dzieci z upiornych lochów zamku.

Chłopiec szedł jak schorowany starzec, na chwiejnych, szeroko rozstawionych nogach.

Ben zacisnął zęby. Fascynacja ustąpiła miejsca lodowatemu gniewowi.

Maluch przystanął przed drzwiami, cierpliwie czekając, aż pielęgniarka otworzy je zwisającym z szyi kluczem. Za drzwiami mieściła się duża, podłużna, przeszklona sala, podobna do tych, jakie widuje się w szpitalnych żłobkach, z tym że wszystkie dzieci przebywające w tej chorowały na progerię. Było ich tam siedmioro czy

ośmioro. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że one też są na smyczy, lecz już po chwili Ben stwierdził, że nie są to smycze, tylko przezroczyste plastikowe rurki, które wychodziły im z karku i biegły do błyszczących, metalowych pojemników. Kroplówki? Podawano im kroplówkę? Dzieci nie miały ani brwi, ani rzęs. Miały za to malutkie, skurczone głowy, a ich skóra przypominała karbowaną bibułę. Te, które mogły chodzić, powłóczyły nogami jak starcy.

Dwoje z nich siedziało na podłodze, spokojnie układając jakąś układankę. Dwoje innych bawiło się, nie zważając na splątane rurki. Malutka dziewczynka w długiej blond peruce snuła się bez celu, podśpiewując i mówiąc do siebie coś, czego Ben nie słyszał.

Fundacja Lenza.

Co roku zapraszali tu kilkoro wybranych, chorych na progerię dzieci.

I zakazywali odwiedzin rodzicom.

Nie był to letni obóz, nie był to żaden azyl. Te dzieci traktowano jak zwierzęta.

Były – musiały być – królikami doświadczalnymi Lenza.

Dzieci zakonserwowane w formalinie. Dzieci traktowane jak psy.

Prywatne sanatorium.

Nie, ani sanatorium, ani klinika. Ben nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Jeśli nie klinika i nie sanatorium, to co? Jakiego rodzaju badania tu

przeprowadzano?

Czując narastające mdłości, ruszył dalej i wkrótce doszedł do końca korytarza. Po lewej stronie zobaczył czerwone drzwi z elektronicznym czytnikiem. W przeciwieństwie do pozostałych, te nie miały okienka.

Nie były też w żaden sposób oznaczone. Musiał sprawdzić, co się za nimi kryło.

Wetknął kartę do czytnika, lecz tym razem zamek nie ustąpił. Najwyraźniej

strażnik, którego obezwładnił w piwnicy, nie miał prawa tam wchodzić.

Już chciał zawrócić, gdy wtem drzwi się otworzyły i w progu stanął mężczyzna w białym kitlu. Trzymał podkładkę do pisania, a z szyi zwisał mu stetoskop. Lekarz. Obojętnie zerknął na Bena i przytrzymał drzwi. Ben wszedł do środka.

Nie był przygotowany na to, co tam zobaczył.

A zobaczył wysoką salę wielkości boiska do koszykówki. Wyglądało na to, że z oryginalnego pomieszczenia pozostało jedynie kamienne sklepienie i witraże w dużych, łukowatych oknach. Najprawdopodobniej mieściła się tu kiedyś zamkowa kaplica, bogata i wielka jak kościół. Niewykluczone, że później przekształcono ją w główną halę produkcyjną zakładów zegarmistrzowskich. Miała ponad trzydzieści metrów długości, trzydzieści szerokości i dziewięć wysokości.

Teraz urządzono w niej coś w rodzaju ośrodka medycznego. Ośrodka medycznego i jednocześnie klubu sportowego, spartańsko urządzonego, lecz znakomicie wyposażonego.

W najdalszej części sali stał rząd szpitalnych łóżek, oddzielonych od siebie parawanami. Jedne były puste, w innych leżeli pacjenci podłączeni do monitorów i kroplówek.

W części przeciwległej stał długi rząd ruchomych bieżni, zaopatrzonych w

monitory EKG. Biegało na nich kilku starszych mężczyzn i kobiet z przewodami sterczącymi z ramion, nóg, szyi i głowy.

Było tam również pięć czy sześć stanowisk dla pielęgniarek, kilka respiratorów i sprzęt anestezyjologiczny. Między łózkami i bieżniami kręcili się lekarze i siostry, czuwając, obserwując i pomagając pacjentom. Wokół całej sali, mniej więcej sześć metrów nad podłogą i trzy metry pod sufitem, biegł metalowy pomost.

Ben zdał sobie sprawę, że za długo stoi w drzwiach. Miał na sobie kombinezon strażnika, więc musiał zachowywać się tak, jakby miał do wykonania jakieś zadanie. Dlatego powoli, lecz zdecydowanie wszedł do sali, rozglądając się na lewo i prawo.

W nowoczesnym stalowym wózku obitym czarną skórą siedział zasuszony starzec. Z ramienia sterczała mu plastikowa rurka kroplówki. Rozmawiał przez telefon, a na jego kolanach leżał plik dokumentów. Był pacjentem, lecz najwyraźniej prowadził stąd jakieś interesy.

W kilku miejscach jego głowa była porośnięta niemowlęcym meszkiem. Włosy na skroniach były grubsze, gęstsze, bujniejsze, siwe i szpakowate na końcach, czarne i ciemnobrązowe u nasady.

Ben znał jego twarz. Często widywał ją na okładce „Forbesa” i „Fortune”. Biznesmen, inwestor, w każdym razie ktoś bardzo znany...

Tak! Ross Cameron, „mędrzec z Santa Fe”. Jeden z najbogatszych ludzi świata. Ross Cameron. Nie miał wątpliwości, że to on.

Obok niego siedział mężczyzna dużo młodszy – mógł mieć około czterdziestu lat – mężczyzna, którego Ben natychmiast rozpoznał. Był to Arnold Carr, miliarder komputerowy, założyciel Technocorpu. Uchodził za bliskiego przyjaciela Camerona, którego traktował jak kogoś w rodzaju mentora, guru, czy może nawet ojca. On też był podłączony do kroplówki i też rozmawiał przez telefon, chociaż nie miał na kolanach żadnych dokumentów.

Dwaj legendarni miliarderzy siedzący obok siebie jak klienci u fryzjera.

Podłączeni do kroplówek.

Tu, w tej alpejskiej „klinice”.

Obserwowano ich? Badano? Leczone? Działo się tu coś dziwnego, coś tajemniczego i na tyle ważnego, że Lenz musiał zatrudnić armię uzbrojonych po zęby ochroniarzy.

Do Camerona ktoś podszedł i zamienił z nim kilka słów. Prezes Banku Rezerw Federalnych, mężczyzna starszy już, bo ponad siedemdziesięcioletni, jedna z najbardziej szanowanych postaci w Waszyngtonie.

Nieco dalej pielęgniarka poprawiała komuś opaskę aparatu do mierzenia ciśnienia. Proszę, proszę: sir Edward Downey, tyle tylko, że Downey o trzydzieści lat młodszy, Downey z czasów, kiedy był jeszcze premierem Wielkiej Brytanii,

Ben szedł w stronę ruchomych bieżni, na których ciężko posapując, rozmawiało dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Oboje byli w szarych spodniach od dresów, w podkoszulkach i białych adidasach. Oboje mieli elektrody przyklejone do czoła, potylicy, szyi, ramion i nóg. Od elektrod odchodziły cienkie kable, które zebrano w wiązki za ich plecami i podłączono do monitorów Siemens, rejestrujących pracę

serca.

Ben od razu ich rozpoznał.

Doktor Walter Reisinger, profesor Yale i były sekretarz stanu. Wyglądał znacznie młodziej niż w telewizji, czy na zdjęciach. Miał zdrową, lśniąca skórę – pewnie od biegania – i ciemniejsze – prawdopodobnie farbowane -włosy.

Natomiast kobieta obok przypominała z wyglądu sędzinę Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych Miriam Bateman. Ale przecież Miriam Bateman cierpiała na artretyzm. Ilekroć prezydent miał wygłosić orędzie o stanie państwa i do sali wchodzili sędziowie Sądu Najwyższego, ona zawsze szła najwolniej, w dodatku podpierając się laską.

Tymczasem ta kobieta – ta Miriam Bateman – biegła jak mistrzyni olimpijska!

Kto to jest? Klony światowych sław? Ich sobowtóry? A skoro sobowtóry, to po co te wszystkie kroplówki, ćwiczenia?

Musiało chodzić o coś innego.

Dobiegł go głos Reisingera, który mówił coś o decyzji sądu.

Nie, to nie był sobowtór Miriam Bateman. To była Miriam Bateman we własnej osobie.

Dokąd on trafił? Do ośrodka wypoczynkowego dla bogatych i sławnych?

Słyszał, że takie miejsca istnieją, w Arizonie, Nowym Meksyku, Kalifornii, Szwajcarii i Francji. Miejsca, gdzie elita elit robiła sobie operacje plastyczne, leczyła się z alkoholizmu, uzależnienia od narkotyków i zrzucała nadwagę.

Ale to?

Te elektrody, te kroplówki, te monitory EKG...

Tych starców i staruszki – nie licząc Arnolda Carra – uważnie obserwowano i badano. Tylko przed jaką chorobą próbowano ich ustrzec?

Mijał właśnie rząd StairMasterów. Na jednym z nich ćwiczył sędziwy starzec; Ben go nie znał. Wchodził na schodki i schodził, wchodził i schodził, dokładnie tak jak on na siłowni. Miał na sobie szare spodnie od dresu i podkoszulek przesiąknięty potem.

Ben znał dwudziestoletnich mężczyzn, których tak wyczerpujące tempo dobiłoby już po kilku minutach. Jak, u licha, ten zasuszony starzec o pokrytych starczymi plamami rękach je wytrzymywał?

–Ma dziewięćdziesiąt sześć lat. Niezwykłe, prawda?

Ben rozejrzył się szybko i zadarł głowę. Mówiący do niego mężczyzna stał na pomoście, dokładnie nad nim. Był to Jurgen Lenz.

Rozdział 46

Salę wypełnił cichy dźwięk gongu, miękki, spokojny i melodyjny. Jak zawsze wytwornie ubrany Lenz – ciemny garnitur, niebieska koszula, srebrzysty krawat i starannie wyprasowany lekarski kitel – zszedł żelaznymi schodami i zerknął na rząd bieżników. Miriam Bateman, Walter Reisinger i większość pozostałych powoli kończyło trening. Pielęgniarki zdejmowały z ich ciał elektrody i rozłączały kable.

–To znak, że przyleciał kolejny śmigłowiec z Wiednia – wyjaśnił Lenz. – Pora wracać na obrady Międzynarodowego Forum Zdrowia Dziecka, z których zechcieli się na chwilę wyrwać. Mimo swojego wieku, są to ludzie bardzo zajęci. Mimo, a raczej ze względu na swój wiek. Świat może dzięki nim wiele zyskać. Dlatego ich wybrałem.

Dyskretny gest ręką i Ben poczuł, że ktoś chwyta go z tyłu za ramiona. Dwaj strażnicy przytrzymali go, trzeci wprawnie go przeszukał, odbierając mu wszystkie trzy pistolety.

Lenz niecierpliwie czekał, aż skończą. Przypominał gawędziarza, który opowiada przy stole ciekawą dykteryjkę, i który musi nagle przerwać, ponieważ nadszedł kelner z sałatką.

–Gdzie Anna? – spytał spokojnie Ben.

–O to samo chciałem zapytać pana – odrzekł Lenz. – Pragnęła zwiedzić naszą klinikę i, oczywiście, nie mogłem jej odmówić. Ale gdzieś po drodze zniknęła. Najwyraźniej umie sobie radzić z naszymi zabezpieczeniami.

Ben sondował wzrokiem jego twarz, próbując go rozszyfrować i ustalić, ile jest w tym prawdy. Czy Lenz go zwodził? Prowadził z nim jakąś grę? Ogarnęła go panika.

Kłamie? Zmyśla, ponieważ wie, że w to uwierzę? Że chcę w to uwierzyć?

Ją też zamordowałeś, ty zakłamany skurwysynu?

Z drugiej strony Anna mogła rzeczywiście zniknąć, uciec, żeby bez świadków sprawdzić, co tak naprawdę się tu dzieje.

–Ostrzegam, jeśli coś się jej stanie...

–Ależ nic się jej nie stanie. – Lenz położył mu rękę na ramieniu i lekko pochylił głowę. – Ostatecznie jesteśmy w klinice, która ma ratować życie...

–Za dużo widziałem, żeby w to uwierzyć.

–Być może, ale ile pan z tego zrozumiał, Benjaminie? Jestem przekonany, że kiedy zrozumie pan, na czym polega nasza praca, doceni pan jej wagę. – Kolejny znak. Strażnicy uwolnili Bena i stanęli kilka kroków dalej. – To dzieło mojego życia, to jego uwięźnienie.

Ben milczał. Ucieczka nie wchodziła w rachubę. Poza tym chciał tu pozostać.

Zabiłeś mojego brata.

I Annę. Ją też zabiłeś?

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Lenz mówi dalej.

–To była największa obsesja Hitlera. Tysiącletnia Rzesza i wszystkie te bzdury. Miała przetrwać tysiąc lat, a przetrwała ile? Dwanaście? Uważał, że aryjska krew – krew „rasy panów” -jest zanieczyszczona, skalana, sprofanowana domieszkami. Że kiedy zostanie oczyszczona, Niemcy będą mogli żyć niemal wiecznie. Oczywiście to czysty nonsens, ale przyznaję, że w jednym bardzo się nam przysłużył. Chciał odkryć

sekret długowieczności, na czym skorzystał miał on i najbliżsi mu podwładni, dlatego wybrał garstkę najlepszych naukowców i podarował im prawdziwe królestwo. Nieograniczone fundusze. Prawo do prowadzenia eksperymentów w obozach koncentracyjnych. Wszystko, czego tylko zechcieli.

–Stypendium ufundowane przez największego potwora dwudziestego wieku – zauważył zgryźliwie Ben.

–Powiedzmy, że przez szalonego despotę. Jego marzenia o tysiącletniej Rzeszy były oczywiście śmiechu warte. Rozchwiany umysłowo człowiek, który obiecuje ludziom epokę trwałej stabilizacji. Jednak w tym, że skojarzył ze sobą te dwie kwestie – długowieczność i stabilizację – było dużo sensu.

–Nie rozumiem.

–Widzi pan, my, ludzie, jesteśmy źle zaprojektowani, szczególnie pod jednym względem. W porównaniu z pozostałymi gatunkami zamieszkującymi tę planetę okres ciąży i dzieciństwa, ogólnie mówiąc, okres rozwoju, trwa u nas najdłużej. I mam tu na myśli zarówno rozwój psychiczny, jak i fizyczny. Dwadzieścia lat na dojrzewanie fizyczne, kolejne dziesięć, a nawet więcej, na opanowanie zawodu. Ktoś, kto wybrał zawód wymagający wielkich umiejętności, na przykład chirurg, straci kolejne dziesięć lat, zanim dojdzie do mistrzostwa. Proces uczenia się i doskonalenia trwa nieustannie i co się dzieje, kiedy nasz chirurg osiągnie szczyt formy? Zaczynają zawodzić go oczy, palce tracą precyzję ruchów. Nieubłagany czas odbiera mu to, na zdobycie czego strawił pół życia. Brzmi to jak kiepski dowcip, prawda? Jesteśmy Syzyfami, którzy wiedzą, że gdy tylko dotrą na szczyt góry, głaz ponownie stoczy się do jej stóp. Podobno uczył pan w szkole. Proszę tylko pomyśleć: ile wysiłku poświęcamy na społeczną reprodukcję, na nieustanne powielenie i doskonalenie różnego rodzaju instytucji, na przekazywanie wiedzy i umiejętności przyszłym pokoleniom, na umacnianie podwalin cywilizacji i unowocześnianie jej mechanizmów. Pragniemy pokonać czas i robimy wszystko, żeby tego dokonać: na tym właśnie polega nasz niezwykły wkład. A teraz proszę pomyśleć, jak daleko byśmy zaszli, gdyby nasi przywódcy – zarówno polityczni, jak i duchowi – mogli zapomnieć o społecznej reprodukcji i skupić się wyłącznie na postępie! Gdzie byśmy teraz byli, gdyby niektórzy z nas mogli utrzymać kurs i do końca zgłębić to, co przez tyle lat zgłębiali! Gdzie byśmy byli, gdyby ci najbystrzejsi i najgenialniejsi mogli spokojnie toczyć swój głaz, nie martwiąc się tym, że zanim ujrzą szczyt góry, trafią do domu spokojnej starości albo do grobu!

Smutny uśmiech.

–Bez względu na to, co o nim myślimy, Gerhard Lenz był człowiekiem błyskotliwym...

Ben zmarszczył czoło. Czy to znaczyło, że Jurgen jest naprawdę jego synem?

–Większość jego teorii była niewiele warta – kontynuował Lenz – ale jedna okazała się przełomowa. Uważał, że tajemnica długowieczności tkwi w budowie ludzkiej komórki. Watson i Crick odkryli DNA w pięćdziesiątym trzecim, a on twierdził tak na długo przed nimi! Doprawdy, niezwykły był z niego człowiek. Przewidujący, dalekowzroczny. Wiedział, że faszyci przegrają, że Hitler odejdzie, że fundusze się

wyczerpią. Po prostu pragnął, żeby ktoś kontynuował jego dzieło. Czy wie pan, Benjaminie, dlaczego było to takie ważne? Czy mogę mówić panu po imieniu?

Ale Ben, jak zahipnotyzowany, rozglądał się po olbrzymiej sali i nie odpowiedział. Był tam i jednocześnie nie był.

Oplatał ramionami Annę, jej szczupłe, ciepłe ciało. Opowiadał jej o śmierci brata, widział, jak płacze.

Siedział w szwajcarskiej gospodzie z Peterem. Stał nad jego zakrwawionym ciałem...

–Niezwykle przedsięwzięcie wymaga niezwykle środków i zasobów. Hitler bredził o stabilizacji, podsycając chaos, podobnie jak tyrani w innych częściach świata. Natomiast Sigma mogła spacyfikować całą planetę. Jej założyciele wiedzieli, co trzeba zrobić. Przyświecało im jedno credo: racjonalizm. Niezwykłemu postępowi technologicznemu, którego byliśmy świadkami w minionym stuleciu, musiał towarzyszyć postęp w skuteczności zarządzania naszą rasą: rasą ludzką. Nauki i polityki nie można już było dłużej rozdzielać.

Ben potrząsnął głową, stopniowo wracając do rzeczywistości.

–Bzdura – rzucił. – Okazało się, że technologia sprzyja szaleństwu. Totalitaryzm nie istniałby bez środków masowego przekazu. Gdyby nie naukowcy, nie byłoby holocaustu.

–Właśnie, tym bardziej. Sigma temu szaleństwu zapobiegała. Rozumie pan to, prawda? Jeden szaleniec doprowadził Europę na skraj anarchii. Po drugiej stronie tego wielkiego kontynentu garstka agitatorów zmieniła imperium Piotra Wielkiego w kipiący kocioł. Szaleństwo tłumu wzmagało szaleństwo jednostki. Oto czego nauczyło nas minione stulecie. Przyszłość zachodniej cywilizacji była zbyt cenna, żeby powierzyć ją motłochowi. Wojna pozostawiła po sobie próżnię – próżnię doskonałą. Społeczeństwo było w stanie rozkładu. Obowiązek zaprowadzenia ładu i po rządku spadł na barki małej grupki potężnych, dobrze zorganizowanych ludzi. Postanowili trzymać się zasady rządów pośrednich. Manipulacja? Tak, jak najbardziej, ale manipulacja ostrożna, ukryta za parawanem oficjalnej władzy. Potrzebowali światłych przywódców, którzy rządząliby zza kulis.

–Skąd mieli gwarancję, że będą światli?

–Już panu mówiłem. Lenz był człowiekiem dalekowzrocznym, podobnie jak przemysłowcy, z którymi współpracował. Wszystko sprowadza się do mariażu nauki z polityką: nauka miała leczyć i wzmacniać politykę, a polityka naukę.

Ben pokręcił głową.

–To też nie ma sensu. Wielu z tych biznesmenów było herosami, bohaterami ludowymi. Dlaczego mieliby pójść na współpracę z kimś takim jak Strasser czy Gerhard Lenz?

–Owszem, była to grupa niezwykle hermetyczna. Ale chyba zapomina pan o przełomowej roli, jaką odegrał pański ojciec...

–On był Żydem.

–Tym bardziej, Benjaminie, tym bardziej. Wyprowadzaliśmy z Rzeszy olbrzymie kwoty, oczywiście po kryjomu. Było to zadanie niezwykle skomplikowane, umysłowo

paraliżujące, lecz pański ojciec, mistrz nad mistrzami, dzielnie stawiał mu czoło. Jednocześnie to, że był Żydem, zapewniło nam przychylną zachodnich partnerów. Dowodziło, że nasze przedsięwzięcie nie ma nic wspólnego z faszystowskim obłędem, że chodzi wyłącznie o interesy. O nasze wspólne dobro.

Ben posłał mu sceptyczne spojrzenie.

–Tak, tak, ale czym ich Lenz przekonał?

–Miał im coś do zaoferowania. Wtedy była to tylko obietnica. Widzi pan, rozeszły się pogłoski, że dokonał niezwykle ważnego odkrycia w dziedzinie, którą byli zainteresowani. Opierając się na kilku pierwszych sukcesach, myślał, że jest bliżej przełomu, niż był w rzeczywistości. Cieszył się jak małe dziecko, a radość i optymizm są zaraźliwe. Niestety, założycielom Sigmy nie dane było skorzystać z owoców jego odkrycia: po prostu ich nie doczekali. Ale to właśnie dzięki tym ludziom Gerhard Lenz go dokonał. Przeznaczili na badania miliardy dolarów – kwoty, w porównaniu z którymi pieniądze wydane na „Projekt Manhattan” to grosze. Zbliżyliśmy się do kwestii czysto naukowych, których może pan nie zrozumieć.

–Zobaczymy.

–Pańska ciekawość jest oczywiście zupełnie bezinteresowna, prawda? Podobnie jak ciekawość panny Navarro.

–Gdzie ona jest? – spytał Ben, otrząsając się z odrętwienia. Gniew? Gniew już minął, ustępując miejsca wyciszeniu i spokojowi. Zabić Lenza: myślał o tym chłodno i przytomnie, z satysfakcją stwierdzając, że byłby w sta nie to zrobić.

I myślał o Annie, o tym, jak ją znaleźć. Będę twoim słuchaczem, sukinsynu, będę grzeczny i posłuszny. Pozwolę ci gadać dopóty, dopóki mnie do niej nie zaprowadzisz.

Wtedy cię zabiję.

Lenz popatrzył na niego i nie mrugnawszy okiem, spokojnie kontynuował:

–Myślę, że istoty jego odkrycia już się pan domyślił. Tak, chodziło o badania nad śmiertelnością i długowiecznością. Przy dużym szczęściu człowiek może dożyć stu lat. Myszy umierają już po dwóch. Ale żółwie z Galapagos żyją aż dwieście. Dlaczego, u licha, tak jest? Czy arbitralnie decyduje

o tym natura? Skoro tak, jakimi kieruje się przesłankami?

Lenz zaczął chodzić powoli tam i z powrotem. Kilka kroków dalej czuwali strażnicy.

–Ojciec musiał wyjechać do Ameryki Południowej, mimo to kontynuował badania na odległość. Kilka razy w roku przyjeżdżał tu, żeby prowadzić je osobiście. Pod koniec lat pięćdziesiątych jeden z jego naukowców dokonał intrygującego odkrycia. Stwierdził, że przy każdym podziale komórki jej chromosomy, te maleńkie cząsteczki DNA, ulegają skróceniu. Mikroskopijnemu, ale jednak skróceniu. Problem w tym, że nie wiedział, która dokładnie część chromosomów robiła się krótsza. Na odpowiedź musiał czekać wiele lat. – Lenz uśmiechnął się lekko. – Ojciec miał rację. Tajemnica długowieczności tkwi w budowie ludzkiej komórki.

–W chromosomach... – Ben powoli zaczynał rozumieć.

Ojciec miał rację...

Już się domyślał, dokąd wyjechał Max.

–Konkretnie mówiąc, w jednej z ich części. W samym czubku, który przypomina kształtem plastikową skuwkę na końcu sznurowadła. Istnienie tych „czubków” odkryto już w 1938 roku. Nazwano je telomerami. Nasi pracownicy odkryli, że ilekroć komórka ulega podziałowi, telomery robią się coraz krótsze i krótsze, wreszcie komórka zaczyna umierać. Wypadają nam włosy. Wątleją kości. Wykrzywia się kręgosłup. Skóra marszczy się i wiotczeje. Po prostu się starzejemy.

–Widziałem, co robicie z tymi dziećmi – przerwał mu Ben. – Chorują na progerię, a wy na nich eksperymentujecie. – Ciekawe, na kim jeszcze? – Wszyscy myślą, że zaprasza je pan na wypoczynek, do sanatorium. Ładny mi wypoczynek. – Nie. Musisz zachować spokój. Spokój! Z trudem stłumił gniew i zachował obojętny wyraz twarzy.

Słuchaj go. Podpuszczaj.

–Tak, to prawda – przyznał Lenz. – Nie przyjeżdżają tu na wypoczynek. Ale ci nieszczęśnicy nie potrzebują odpoczynku. Oni potrzebują lekarstwa! Małe, stare dzieci: to naprawdę fascynujące. Rodzą się starcami i staruszkami. Gdyby wziąć komórkę noworodka chorego na progerię i porównać ją pod mikroskopem z komórką pięćdziesięcioletniego starca, wyglądałyby identycznie. Nie rozróżniłby ich nawet specjalista od biologii molekularnej! Telomery dziecka chorego na progerię są po prostu bardzo krótkie. A krótkie telomery to krótkie życie.

–Co z nimi robicie? – Ben zdał sobie sprawę, że od zaciskania zębów rozbolała go szczęka. Przed oczami ponownie mignął mu obraz zakonserwowanych w formalinie dzieci.

Dr Reisinger, Miriam Bateman Stamberg, Arnold Carr i pozostali wychodzili już z sali, spokojnie rozmawiając.

–Telomery są jak mikroskopijne liczniki. Albo jak maleńkie zegarki. W naszym ciele jest około stu bilionów komórek, w każdej komórce pięćdziesiąt dwa telomery, co oznacza, że tyka w nas dziesięć trylionów małych zegarków, które mówią ciału, kiedy ma przestać funkcjonować. Umieraj, bo tak jesteś zaprogramowane! – Lenz nie potrafił ukryć podniecenia. – A gdyby tak te zegarki cofnąć? Gdyby tak powstrzymać proces skracania się telomerów? I właśnie na tym polegała cała sztuczka. Okazuje się, że niektóre komórki – na przykład komórki ludzkiego mózgu – wytwarzają enzym, który telomery odbudowuje. Teoretycznie rzecz biorąc, enzym ten mógłby powstawać we wszystkich komórkach, lecz z jakichś powodów nie powstaje. Jakby ktoś te komórki wyłączył. A gdyby tak udało się je włączyć? Jakie to proste, jakie eleganckie, prawda? Skłamałbym jednak, mówiąc, że przyszło nam to bez żadnego trudu. Chociaż dysponowaliśmy niewyobrażalnymi funduszami i zatrudnialiśmy najwybitniejszych naukowców, prace trwały kilkadziesiąt lat i wymagały zastosowania wielu nowych odkryć, jak choćby łączenia genów.

A więc to dlatego, pomyślał Ben. Dlatego ich zabijano. Cóż za ironia. Jedni umierali po to, żeby inni mogli być długowieczni. Zagaduj go. Niech mówi, niech tłumaczy. Poskrom wściekłość. Pamiętaj, po co tu przyszedłeś.

–Kiedy wam się udało?

–Piętnaście, dwadzieścia lat temu.

–I tylko wam? Nikt inny nad tym nie pracował?

–Owszem, ale my mieliśmy przewagę.

–Pieniądze. Nieograniczone fundusze. – Max Hartman się kłania.

–Tak, pieniądze bardzo nam pomogły. Pieniądze i fakt, że zajmowaliśmy się tym nieustannie już od lat czterdziestych. Ale to nie wszystko. Najważniejsze było to, że mogliśmy eksperymentować na ludziach. Zabroniły tego wszystkie „cywilizowane” kraje świata, ale na miłość boską, czego można się nauczyć, prowadząc badania na szczurach czy muszkach owocowych? Pierwsze znaczące sukcesy odnieśliśmy, eksperymentując na dzieciach do tkniętych progerią, chorobą, która nie występuje u innych przedstawicieli świata zwierzęcego. Wciąż na nich eksperymentujemy, żeby do końca zgłębić tajemnice biologii molekularnej. Pewnego dnia ci nieszczęśnicy nie będą już nam potrzebni. Ale czeka nas jeszcze długa droga.

–Doświadczenia na ludziach – powtórzył Ben, nie ukrywając odrazy. Między Jurgenem i Gerhardem Lenzem nie było żadnej różnicy. Ludzie – chore dzieci, dzieci uchodźcy, dzieci z obozów dla internowanych – byli dla nich zwykłymi szczurami laboratoryjnymi. – Na tych maluchach z namiotów przed zamkiem? Pewnie ściągnął ich pan tu podczas jakiejś akcji humanitarnej. Można je zabić i nikt tego nie zauważy, co? – Przypomniały mu się słowa Georges’a Chardina i powtórzył je na głos: – Rzeź niewinnych.

–Tak mówili *angeli rebelii* - zjeżył się Lenz – ale to określenie podżega do buntu, utrudnia racjonalne myślenie. Tak, niektórzy muszą umrzeć, żeby inni mogli żyć. Wiem, to koncepcja bardzo niepokojąca, ale proszę zapomnieć o sentymentalizmie i choć przez chwilę stawić czoło brutalnej prawdzie. Te nieszczęsne dzieci i tak zginęłyby na tej czy innej wojnie albo umarły na wywołaną ubóstwem chorobę. I po co? Dzięki nam mogą być zbawcami. Mogą odmienić losy świata. Czy bardziej etyczne jest bombardować ich domy, strzelać do nich z karabinów maszynowych, wydawać je na pastwę śmierci według bezsensownych kanonów „cywilizowanego świata”? A może lepiej dać im szansę? Może zmienią bieg historii? Widzi pan, enzym, o którym wspominałem, i którego zastosowania wymaga nasza kuracja, najłatwiej wydzielić z tkanek centralnego systemu nerwowego, z komórek mózgu i mózdzku. Najwięcej enzymu produkują tkanki osobników młodych. Niestety, nie potrafimy go jeszcze syntetyzować: jest to proteina niezwykle skomplikowana, a jej budowa, struktura przestrzenna, odgrywa tu kluczową rolę. Dlatego, podobnie jak w przypadku innych złożonych protein, nie umiemy wytwarzać jej sztucznie. Musimy pobierać ją od innych.

–Rzeź niewinnych – powtórzył Ben.

Lenz wzruszył ramionami.

–Wiem, nie daje to panu spokoju, ale proszę mi wierzyć, że świat nie za bardzo się tym przejmuje.

–Jak to?

–Zapewne zna pan ogólnie dostępne statystyki. Co roku znika bez śladu dwadzieścia tysięcy dzieci. Ludzie o tym wiedzą i tylko wzruszają ramionami. Zdażyli się z tym pogodzić. Może pocieszyłby ich fakt, że część tych dzieci nie znika bez

powodu. Minęły lata, zanim zdołaliśmy dopracować niezbędne techniki i ustalić odpowiednie dawki. Nie było innego sposobu. I nie będzie go w dającej się przewidzieć przyszłości. Tkanka jest po prostu niezbędna, w dodatku tkanka młoda. Mózg siedmiolatka, niecałe półtora litra galaretowatej masy, jest niewiele mniejszy od mózgu dorosłego, ale zawiera dziesięć razy więcej enzymu. To najwspanialszy, najcenniejszy surowiec naturalny, jaki można znaleźć na ziemi. Pańscy rodacy powiedzieliby: „co za marnotrawstwo”.

–I dlatego znikają, tak? Dzięki wam. Tysiące, dziesiątki tysięcy dzieci...

–Zwykle z rejonów objętych wojną, gdzie szacunkowa długość życia jest nieporównywalnie niższa niż gdzie indziej. Przynajmniej nie umierają na próżno.

–Nie, nie na próżno – odparł Ben. – Umierają dla waszej próżności. Umierają, żebyście wy i wasi przyjaciele mogli żyć wiecznie, tak? – Z takim człowiekiem nie warto dyskutować, pomyślał, z coraz większym trudem panując nad gniewem.

–Wiecznie? – prychnął pogardliwie Lenz. – Bez przesady. Nikt nie może żyć wiecznie. Udaje nam się tylko powstrzymać proces starzenia, a w nie których przypadkach nawet go odwrócić. Enzym regeneruje zniszczoną skórę, zewnętrzną powłokę ciała, leczy schorowane serce, mimo to bardzo rzadko potrafimy przywrócić komuś młodość. Ciało czterdziestolatka? Chętnie, wspaniale, ale dla kogoś w moim wieku to proces niezwykle pracochłonny...

–Ci ludzie przyjeżdżają tu, żeby się... odmłodzić?

–Tylko niektórzy. W większości to osoby publiczne, bardzo znane, więc gdyby radykalnie zmieniły swój wygląd, natychmiast by to zauważono. Nie. Przyjeżdżają tu na moje zaproszenie, żeby powstrzymać proces starzenia i naprawić część szkód, jakie wyrządził im wiek.

–Osoby publiczne? – rzucił szyderczo Ben. – Raczej bogate i wpływowe! – Zaczynał rozumieć, co się tu działo.

–Nie, Benjaminie. To są najwybitniejsi przedstawiciele naszego społeczeństwa. Jego przywódcy, czołowe postacie naszej kultury. Ci, którzy przyczyniają się najbardziej do rozwoju cywilizacji. Założyciele Sigmy to rozumieli. Uważali, że cywilizacja jest tworem bardzo kruchym, że istnieje tylko jeden sposób, żeby zapewnić jej ciągłość. Należało dbać o przyszłość państwa przemysłowego, chronić je przed burzami. Należało przesunąć horyzont ludzkiej śmiertelności, gdyż bez tego społeczeństwo nie mogłoby się rozwijać. Sigma wykorzystywała w tym celu wszystkie dostępne środki, ale teraz, Boże, teraz cel ten można osiągnąć inaczej, znacznie szybciej i efektywniej. Nie musimy już wyrzucać miliardów dolarów na organizowanie zamachów stanu i wspieranie nowych ugrupowań politycznych. Przecież wystarczy stworzyć stabilną, trwałą elitę...

–A więc ci ludzie to przywódcy naszej cywilizacji, tak?

–Otóż to.

–A pan jest przywódcą przywódców.

Lenz uśmiechnął się lekko.

–Proszę darować sobie tę ironię, Benjaminie. Nie mam zapędów, żeby być wielkim szefem, ale każda organizacja musi mieć... koordynatora.

–A koordynator może być tylko jeden.

Lenz lekko się zawahał.

–Tak, docelowo tylko jeden.

–A co z tymi, którzy przeciwstawiają się waszemu „światłemu reżimowi”? Pewnie ich usuwacie.

–Jeśli ciało ma przetrwać, trzeba usunąć z niego wszystkie toksyny – odrzekł z zadziwiającą łagodnością Lenz.

–Wie pan co? To, co pan opisuje, to nie utopia. To zwykła rzeźnia.

–Pańska przygana jest tyle gładka, co bezmyślna – odparował Lenz. – Coś za coś: na tym polega życie, Benjaminie. Żyje pan w świecie, gdzie znacznie większe kwoty przeznaczają się na leczenie zaburzeń erekcji niż na leczenie chorób tropikalnych, które co rok zabijają miliony ludzi. A pańskie decyzje osobiste? Za pieniądze, które wydaje pan na butelkę dom perignona, można by zaszczepić wszystkich mieszkańców wioski w Bangladeszu, uchronić ich przed szalejącą zarazą, prawda? Przez to, że ma pan takie, a nie inne priorytety i upodobania, umierają ludzie. Mówię zupełnie poważnie. Butelka dom perignona kosztuje dziewięćdziesiąt dolarów. Czy zaprzeczy pan, że można by za to uratować pięciu, sześciu ludzi? Proszę tylko pomyśleć. W butelce mieści się siedem, osiem kieliszków szampana, zatem każdy kieliszek

to śmierć jednego człowieka. – Oczy błyszczały mu jak naukowcowi, który rozwiązawszy jedno równanie, bierze się za drugie. – Dlatego właśnie mówię: coś za coś, to nieuniknione. Kiedy pan to zrozumie, zacznie pan stawiać pytania znacznie trudniejsze, pytania jakościowe, nie ilościowe. Mamy oto niezwykłą sposobność znacznego przedłużenia życia wielkiemu dobroczyńcy czy myślicielowi, komuś, kto wniósł niepodważalny wkład w dobro ogółu. Czy jego życie i to, co dla nas zrobił, można porównać z życiem serbskie go pasterza? Albo z życiem niepiśmiennego dziecka, które i tak żyłoby życiem biedaka lub kryminalisty? Albo z życiem cygańskiej dziewczynki, która przez cały dzień okrada turystów odwiedzających Florencję, a nocą wybiera sobie wszy z głowy? Uczono pana, że życie jest świętością, mimo to codziennie podejmuje pan decyzje świadczące o tym, że doskonale pan wie, iż życie jednych jest ważniejsze od życia innych. Żal mi tych, którzy oddali je dla wyższego celu. Naprawdę mi ich żal. Wolałbym, żeby ich poświęcenie nie było konieczne, lecz wiem też, że najwspanialsze triumfy w historii naszego gatunku odniesiono kosztem ludzkiego życia. „Wśród największych osiągnięć cywilizacji nie ma dokumentu, który nie byłby jednocześnie świadectwem barbarzyństwa”. Powiedział to wielki myśliciel, Benjaminie, myśliciel, który umarł zbyt młodo.

Ben nieprzytomnie zamrugał. Zabrakło mu słów.

–Chodźmy – powiedział Lenz. – Ktoś chciałby się z panem przywitać. Pański stary znajomy.

Ben rozdziawił usta.

–Profesor... Godwin?

–Witaj, Ben.

Jego mentor z college'u, nauczyciel i mistrz, stary profesor, od dawna już na

emeryturze. Ale trzymał się znacznie prościej niż kiedyś, a jego pomarszczona twarz była teraz gładka i różowa. Miał osiemdziesiąt dwa lata, lecz wyglądał dwadzieścia, może nawet trzydzieści lat młodziej. John Barnes Godwin, specjalista od dwudziestowiecznej historii Europy, tryskał zdrowiem. Uścisk ręki miał krzepki i energiczny.

–Boże... – wyszeptał Ben. Gdyby go nie znał, dałby mu najwyżej pięćdziesiąt parę lat.

Godwin jest jednym z wybranych, pomyślał. Oczywiście: to szara eminencja, ojciec królów, człowiek potężny i ustosunkowany.

Miał przed sobą szokujący dowód osiągnięć Lenza. Stali w przedsionku sali, pomieszczeniu umeblowanym wygodnymi sofami, fotelami, poduchami oraz półkami, na których leżały gazety i czasopisma w różnych językach.

Zdawało się, że zaskoczenie Bena sprawia Godwinowi przyjemność. Lenz promieniał.

–Pewnie nie wiesz, co o tym myśleć – zagadnął profesor.

Upłynęło kilka sekund, zanim Ben zdołał dojść do siebie.

–Powiedzmy.

–Osiągnięcia doktora Lenza są doprawdy niezwykle. Wszyscy jesteśmy mu bardzo wdzięczni. Jednocześnie zdajemy sobie sprawę ze znaczenia, z wagi jego daru. Po prostu zwrócił nam życie. Ale nie, nie chodzi o to, że odzyskaliśmy młodość. Chodzi o to, że zyskaliśmy kolejną szansę, odroczone nam wyrok śmierci.

– W zadumie zmarszczył czoło. – Czy to wbrew naturze? Może. Tak jak wbrew naturze jest leczenie raka. Pamiętasz? Emerson twierdził, że to starość jest jedyną chorobą.

Błyszczały mu oczy. Oszołomiony Ben słuchał. W college'u zawsze zwracał się do niego per „panie profesorze”, ale teraz się od tego powstrzymał. – Dlaczego?

–Dlaczego? Pytasz o powody osobiste? Przecież to oczywiste. Podarowano mi nowe życie. Może nawet dwa życia.

–Panowie wybaczą- wtrącił Lenz, – Za chwilę odlatuje pierwszy śmigłowiec i muszę pożegnać moich gości. – Niemal wybiegł z westybulu.

–Ben, w moim wieku nie snuje się wielkich planów – podjął Godwin. – Nie zaczyna się pisać książek, których już się nie skończy. Pomyśl, ile mogę teraz zrobić. Zanim zadzwonił do mnie doktor Lenz, czułem się tak, jakbym uczył się, studiował i harował przez dziesiątki lat, żeby osiągnąć to, co osiągnąłem i pojąć to, co pojąłem. Ale czułem też, że w każdej chwili mogę to wszystko stracić. „Gdyby tak młody wiedział, a stary mógł”, prawda?

–Nawet jeśli to wszystko prawda...

–Przecież masz oczy. Przecież widzisz. Na miłość boską, spójrz na mnie! Kiedyś nie mogłem wejść po schodach do biblioteki, a teraz po nich wbiegam!

Ben uświadomił sobie, że Godwin jest nie tylko dowodem udanego eksperymentu, ale i jednym z nich: współnikiem Lenza. Czyżby nie wiedział o jego okrucieństwie, o tych potwornych morderstwach?

–Nie widzi pan, co się tu dzieje? Tych dzieci w namiotach przed zamkiem też pan

nie widział? Nie słyszał pan o tysiącach uprowadzonych? I co? Nie przeszkadza to panu?

Godwin wyraźnie się zmieszał.

–Przyznaję, że o pewnych aspektach tego przedsięwzięcia wolałem nie wiedzieć. Nigdy tego nie ukrywałem.

–Przecież mordujecie tu tysiące dzieci! Wymaga tego wasza kuracja! Lenz nazywa to „pobieraniem tkanki”. Czemu nie nazwiecie tego „żniwa mi”? To takie piękne określenie.

–Kwestia jest... – Godwinowi załamał się głos. – Kwestia jest bardzo skomplikowana *moralnie. Honesta turpitude est pro causa bona.*

–„Zło wyrządzone w dobrej sprawie jest cnotą” – przetłumaczył Ben. – Publiliusz Syrus. Uczył mnie pan tego.

A więc Godwin też. Przeszedł na ich stronę, przystał do Lenza. – Najważniejsze, żeby sprawa była naprawdę dobra i ważna. – Podeszedł do skórzanej sofy.

Ben usiadł na sąsiedniej.

–Jest pan z nimi od samego początku?

–Tak, od dziesięcioleci. Dlatego czuję się zaszczycony, mogąc uczestniczyć w tym wielkim przedsięwzięciu. Pod przewodnictwem doktora Len za sprawy przybiorą zupełnie inny obrót.

–Rozumiem, że nie wszyscy pańscy koledzy byli tego zdania.

–*Angeli rebelii.* Tak nazywa ich Lenz. Zbuntowane anioły. Garstka ludzi przeciwnych naszym koncepcjom. Nie wiem, dlaczego nie chcieli ich zaakceptować. Z próżności, może z krótkowzroczności. Albo nie ufali Len-zowi, albo poczuli się zdegradowani tym, że Sigmą przewodzi teraz ktoś inny. Kilku z nich miało wyrzuty sumienia z powodu... nieuniknionych ofiar. Cóż, ilekroć dochodzi do zmiany kierownictwa, należy oczekiwać protestów. Ale kilka lat temu, ogłaszając, że wkrótce rozpoczną się pierwsze próby, Lenz wyraźnie zaznaczył, że Sigma musi wybrać go na przywódcę. Nie kierowała nim bynajmniej interesowność, o nie. Chodziło o podjęcie szeregu trudnych decyzji: kogo zaprosić do uczestnictwa w naszym programie, kogo zakwalifikować do elity? Istniało duże ryzyko, że pojawią się różne frakcje i stronnictwa. Lenz był przywódcą, jakiego potrzebowaliśmy. Większość z nas go poparła. Kilku odmówiło.

–Czy wasz plan zakłada, że kuracja zostanie udostępniona wszystkim chętnym? Masom czy tylko tym, których Lenz nazywa „najwybitniejszymi”?

–Poruszyłeś niezmiernie ważny problem. Czuję się mile połączony, gdy Jurgen powierzył mi rolę kogoś w rodzaju werbownika, człowieka odpowiedzialnego za wybór najdostojniejszych luminarzy naszej planety. Nazywa nas *Wiedergeborenen*, „ponownie narodzonymi”. Sięgam daleko poza ścisły zarząd Sigmy. Zaprosiłem Waltera, wiesz, Reisingera, i moją starą przyjaciółkę Miriam Bateman. Mam prawo wybrać tych, których uważam za najodpowiedniejszych, ludzi z całego świata, z Chin, Rosji, Europy i Afryki, skąd tylko zechcę. Stronniczość? Owszem, jeśli stronniczością nazwać to, że wybieram jedynie najwybitniejszych.

–Przecież Arnold Carr jest niewiele starszy ode mnie...

–Właśnie. To najlepszy wiek na rozpoczęcie kuracji. Jeśli zechce, będzie miał czterdzieści dwa lata do końca swojego długiego, bardzo długiego życia. Może też odmłodzić, w jego przypadku nawet o dziesięć lat! – Zaaferowany Godwin pokręcił głową. – Na razie jest nas czterdzieścioro.

–Rozumiem, ale...

–Posłuchaj mnie, Ben! Oprócz Miriam Bateman, wybraliśmy jeszcze jednego sędziego Sądu Najwyższego. Jest Murzynem, synem biednego poławnika. Przeżył i segregację rasową, i jej zniesienie. Wyobrażasz sobie, jaką wiedzę życiową zgromadził? Któż mógłby go zastąpić? Wybraliśmy również malarza, który już teraz dokonał rewolucji w świecie sztuki: zdajesz sobie sprawę, ile wspaniałych płócien ten człowiek w sobie nosi? Ben, jeśli historię tworzą najwięksi kompozytorzy, pisarze i malarze – weźmy choćby Szekspira, Mozarta czy...

–Przecież to obłąd! – ryknął Ben, pochylając się do przodu. – Najbogatsi i najbardziej wpływowi mają żyć dwa razy dłużej niż biedni i bezradni? Przecież to zwykły spisek elit!

–I co z tego? – odparował Godwin. – Platon pisał o filozofach, którzy byli królami, o władzy mędrców. On rozumiał, że cywilizacja robi krok do przodu, by natychmiast się cofnąć. Tak, tak, krok do przodu, krok do tyłu. Dostajemy naukę tylko po to, żeby szybko o niej zapomnieć. Historia lubi się powtarzać. Holocaust. Ludobójstwo. Wojny światowe. Dyktatury. Fałszywi mesjasze. Dyskryminacja mniejszości narodowych. Ewolucja? Nie. My stoimy w miejscu. Ale teraz, po raz pierwszy w dziejach ludzkości, możemy to wszystko zmienić. Możemy zmodyfikować człowieka, możemy go przekształcić!

–Jak? Jest was bardzo niewielu. – Ben założył ręce. – Ot i problem, jak to z elitami.

Godwin patrzył na niego przez chwilę i nagle zachichotał.

–„Jest nas garstka, szczęśliwa garstka, garstka szczęśliwych braci”, co? Tak, na pierwszy rzut oka wydaje się, że jest nas beznadziejnie mało, że ogrom zadania nas przerasta. Ale motorem rozwoju ludzkości nie jest przecież powszechne oświecenie. Ludzkość rozwija się tylko dlatego, że jeden człowiek lub mała grupa ludzi dokonuje odkrycia, z którego korzysta cała reszta. Cofnijmy się myślą o trzysta lat. W Niemczech, w rejonie, gdzie panuje wysoki wskaźnik analfabetyzmu, pewien człowiek – no, powiedzmy, że dwóch ludzi jednocześnie – wynajduje rachunek różniczkowy i tym samym na zawsze odmienia losy naszego gatunku. Dwieście lat później jeden człowiek odkrywa teorię względności i świat ponownie się zmienia. Powiedz mi, Ben, czy wiesz, jak działa silnik spalinowy? Czy byłbyś w stanie go złożyć, gdybym dał ci wszystkie niezbędne części? Czy potrafiłbyś zwulkanizować oponę? Oczywiście, że nie, mimo to jeździsz samochodem jak wszyscy inni. I właśnie tak to działa. W społeczeństwie prymitywnym – wiem, że to określenie niepolityczne, ale pozwól, że sobie pofolguję – wszyscy współplemieńcy wiedzą mniej więcej tyle samo. Zupełnie inaczej jest w świecie zachodnim. Podział pracy to jedna z najważniejszych cech naszej cywilizacji. Im bardziej skomplikowany podział pracy, tym bardziej rozwinięte społeczeństwo. A najważniejszym elementem podziału pracy

jest podział pracy umysłowej. Nad „Projektem Manhattan”

pracowała garstka, ludzi, a jednak ludzie ci na zawsze odmienili oblicze ziemi. W ubiegłym dziesięcioleciu kilka małych zespołów naukowych rozszyfrowało budowę ludzkiego genomu. Nie szkodzi, że większość z nas nie odróżnia niacyny od nicyny: korzystamy z nich mimo to. Używamy komputerów osobistych. My, ludzie, dla których informatyka to ciemna

magia, dla których obwody scalone to czarna magia. Specjalistów, prawdziwych mistrzów, jest niewielu, lecz z ich osiągnięć korzystają miliony. To nie wysiłkowi zbiorowemu rozwija się nasz gatunek; czasy wielkich piramid i Żydów, którzy je budowali, już dawno minęły. Nasz gatunek rozwija się dzięki elitom, jednostkom, które wynajdując ogień, koło i jednostkę centralną komputera na zawsze odmieniły losy świata. To, co sprawdziło się w nauce, może sprawdzić się i w polityce. Z tym że w polityce proces ten trwa o wiele dłużej, ponieważ zanim zdążymy się czegoś nauczyć, za stępują nas młodszy, którzy popełniają dokładnie te same błędy co my. Po prostu za krótko żyjemy. Założyciele Sigmy dobrze rozumieli te wrodzone

ograniczenia ludzkości. Zdawali sobie sprawę, że jeśli nasz gatunek ma przetrwać, trzeba je w końcu pokonać. A ty, Ben? Czy zaczynasz to rozumieć?

–Nie wiem – odrzekł Ben niczym zalekniony student. – Niech pan mówi dalej.

–Pierwsze wysiłki Sigmy, próby moderowania polityki krajów ery po wojennej, były jedynie nieśmiałyimi początkami. Teraz jesteśmy w stanie odmienić oblicze tej ziemi! Zapewnić jej pokój, dobrobyt i bezpieczeństwo mądrym zarządzaniem i gospodarowaniem surowcami naturalnymi! Jeśli nazywasz to spiskiem elit, czy jest to naprawdę aż taki zły spisek? Jeśli kilku nędznych uchodźców wojennych spotka się ze stwórcą nieco wcześniej, ratując w ten sposób świat: czy to naprawdę aż taka tragedia?

–A więc poddacie kuracji tylko tych, których uznacie za godnych, tak? Reszta nawet się o niej nie dowie. Podzielicie ludzi na dwie klasy.

–Tak, na rządzących i rządzonych. To nieuniknione, Ben. Będą mędracy i rządzone przez mędracy masy. Tylko tak można skutecznie zarządzać społeczeństwem. Świat jest przeludniony. Większa część Afryki nie ma nawet czystej wody pitnej. Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby wszyscy żyli dwa albo trzy razy dłużej! Świat pogrążyłby się w chaosie! Dlatego w swej mądrości Lenz uznał, że kurację powinni przejść jedynie wybrani.

–A co z demokracją? Co z rządami ludu?

Godwin aż poczerwieniał.

–Oszczędź mi tej sentymentalnej retoryki, Ben. Ludzkie barbarzyństwo to historia sama w sobie. Nie pamiętasz, ile razy motłoch niszczył to, co z tak wielkim trudem budowała arystokracja? Chronić ludzi przed nimi samymi: taki jest, i taki zawsze był, główny cel polityki. Moi studenci pewnie by się nastroszyli, ale uważam, że dążenia arystokracji zawsze były jak najbardziej słuszne: *aristos, kratos* - rządy najlepszych. Problem polegał na tym, że arystokracja rzadko kiedy dawała coś innym. Ale wyobraź sobie, że po raz pierwszy w historii udało ci się zracjonalizować cały system, stworzyć arystokrację tajną, złożoną z najwybitniejszych przedstawicieli

nauki i kultury, że arystokracja ta jest strażnikiem cywilizacji, wiernie tej cywilizacji służy...

Ben wstał i zaczął nerwowo krążyć po westybulu. Kręciło mu się w głowie. Gładkie słówka, oślizgłe tłumaczenia. Godwin dał się złapać na lep nieśmiertelności.

–Ben, ile ty masz lat? Trzydzieści sześć? Pewnie myślisz, że będziesz żył wiecznie. Ja tak w twoim wieku myślałem. Ale wyobraź sobie, że masz lat osiemdziesiąt pięć albo dziewięćdziesiąt, że Bóg pozwolił ci tyle przeżyć. Rodzina, dzieci, wnuki: wiodłeś szczęśliwe życie, miałeś sensowną pracę, ale ponieważ dręczą cię starcze przypadłości...

–Chcę umrzeć.

–Właśnie. Starcze przypadłości. Znakomita większość ludzi nigdy przed nimi nie ucieknie. Ale ty możesz! Gdybyś rozpoczął kurację już teraz, byłbyś stale mężczyzną w sile wieku. Boże, ile bym dał, żeby znowu mieć trzydzieści sześć lat! Tylko nie mów mi, że byś tego nie chciał, że nie pozwoliłaby ci na to etyka.

–Nie wiem – odrzekł Ben, uważnie go obserwując. – Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć.

Godwin chyba mu uwierzył.

–Świetnie. Widzę, że mówisz szczerze. Chcę, żebyś do nas przystał. Żebyś został jednym z *Wiedergeborenen*.

Ben ukrył twarz w dłoniach.

–Kusząca propozycja – odparł stłumionym głosem. – Niektóre argumenty są...

–John, jeszcze tu jesteś? – Wesoły, entuzjastyczny głos Lenza. – Za chwilę odlatuje ostatni śmigłowiec!

Godwin szybko wstał.

–Muszę lecieć – rzucił przeproszająco. – Przemyśl to, Ben. Lenz wspierał ramieniem mocno pochylonego starca. Jakoba Sonnenfelda.

–Porozmawialiście sobie? – spytał.

Boże, nie. Tylko nie on.

–Pan... – Ben zaniemówił, gapiąc się z odrazą na słynnego tropiciela nazistów.

–Niewykluczone, że będziemy mieli nowego rekruta – powiedział poważnie Godwin, zerkając znacząco na Lenza.

Ben potrząsnął głową i spojrzał na Sonnenfelda.

–Wiedzieli, dokąd pojedę w Buenos Aires, bo wszystko im pan powiedział, tak?

Sonnenfeld miał zbolalą twarz. Odwrócił wzrok.

–W życiu są takie chwile, kiedy człowiek musi wybierać. Gdy rozpocznę kurację...

–Chodźmy, panowie – przerwał mu Lenz. – Musimy się pospieszyć. Godwin i Sonnenfeld ruszyli do wyjścia. Zza drzwi dochodził ryk silnika helikoptera.

–Niech pan tu zaczeka, Benjaminie – rzucił przez ramię Lenz. – Bardzo się cieszę, że zainteresowało pana nasze przedsięwzięcie. Będziemy musieli uciąć sobie krótką pogawędkę.

Ben poczuł silne szarpnięcie i na jego rękach zatrzasnęły się dwie stalowe obręcze. Kajdanki. Koniec marzeń.

Strażnicy powlekli go przez salę, za rzędy urządzeń do ćwiczeń i aparatury

medycznej.

Krzycząc ze wszystkich sił, Ben rozluźnił mięśnie i zwiotczał im w rękach. Gdyby w sali pozostał któryś z *Wiedergeborenen*, widziałby, że go uprowadzają i na pewno jakoś by zareagował. Ostatecznie nie byli złymi ludźmi.

Niestety, nie pozostał nikt, a przynajmniej on nikogo nie widział.

Trzeci strażnik chwycił go za przedramię. Dalej, szybciej. Kamienna podłoga poharatała mu nogi i kolana, ból był nie do zniesienia. Ben szarpał się i wierzgał. Nadbiegł czwarty strażnik i teraz mogli unieruchomić mu wszystkie kończyny, chociaż wrzeszcząc wniebogłosy, robił wszystko, żeby im to utrudnić.

Zawlekli go do windy i jeden ze strażników wcisnął guzik. Pierwsze piętro. Kilka sekund później byli już na jaskrawobiałym korytarzu. Ben przestał stawiać opór; wiedział, że to bez sensu. Przechodząca obok pielęgniarka posłała mu przerażone spojrzenie i szybko odwróciła wzrok.

Wtasczyli go do pomieszczenia, które wyglądało na zmodernizowaną salę operacyjną i rzucili na stół. Czekał już na nich pielęgniarz – dali mu znać przez radio? – który przywiązawszy go do stołu kolorowymi pasami, zdjął mu z rąk kajdanki.

Leżał na plecach, wyczerpany i unieruchomiony. Strażnicy wyszli na korytarz. Został tylko jeden: czuwał przy drzwiach z pistoletem maszynowym uzi przewieszonym przez pierś.

Otworzyły się drzwi i do sali wszedł Jurgen Lenz.

–Podziwiam pańską przebiegłość – powiedział. – Zapewniano mnie, że te stare jaskinie są zasypane, a nawet jeśli nie, to na pewno nikomu nie uda się nimi przejść, dlatego dziękuję, że znalazł pan lukę w naszym systemie bezpieczeństwa. Przed chwilą wydałem rozkaz, żeby zaminowano wejście.

Czy Godwin naprawdę zaprosił go do udziału w obłąkanym przedsięwzięciu Lenza czy tylko próbował uśpić jego czujność? Co za różnica. Lenz i tak mu nie zaufa – był na to zbyt podejrzliwy.

A może jednak?

–Profesor zaproponował mi kurację.

Lenz przytoczył do łóżka metalowy stolik i wziął z niego strzykawkę.

–Godwin panu ufa, ja nie.

Ben uważnie obserwował jego twarz.

–Godwin mi ufa?

–Tak. Wierzy, że zachowa pan dyskrecję. Że ani pan, ani pańska przyjaciółka nic nikomu nie powiedzieliście i nie powiecie.

A więc to tak! Oto twoja pięta achillesowa.

–Jeśli nie zrobi jej pan krzywdy, jeśli ją pan wypuści, dobijemy targu. Każdy z nas wyjdzie na swoje.

–I oczywiście dotrzyma pan słowa.

–To leży w moim interesie.

–Ludzie nie zawsze kierują się wyrachowaniem. Wie pan, kto mi to uświadomił?

Nasi *angeli rebelii*.

–Po co to komplikować? Mnie zależy na tym, żeby uwolnił pan Annę Navarro.

Panu na zachowaniu tajemnicy. Obaj mamy powód, żeby się dogadać.

–Cóż – odrzekł niepewnie Lenz. – Może i tak. Ale najpierw odrobina chemicznie wymuszonej szczerości, na wypadek gdyby nie stać pana było na szczerość naturalną.

Ben spróbował opanować narastającą panikę.

–To znaczy?

–Nic groźnego. Wprost przeciwnie, to bardzo miłe przeżycie.

–Nie mamy na to czasu, Lenz. Lada chwila może tu wpaść policja. To nasza ostatnia szansa.

–Panna Navarro przyjechała do nas sama. Nikogo o tym nie zawiadomiła. Działa na własną rękę. – Podniósł strzykawkę. – A zapewniam pana, że mówiła prawdę.

Rozmawiaj z nim, odwróć jego uwagę!

–Skąd pan wie, że pańscy naukowcy są godni zaufania?

–Nie wiem. Dlatego wszystkie materiały, komputery, sekwensery, slajdy i formuły chemiczne są tutaj, w zamku.

–To za mało – drążył Ben. – Jakiś haker może dostać się do materiałów, które przechowujecie w bazach zewnętrznych. Nie ma absolutnie pewnych zabezpieczeń.

–I właśnie dlatego żadnych materiałów na zewnątrz nie przechowujemy – odrzekł Lenz z wyraźną satysfakcją, że udało mu się wytknąć błędy w rozumowaniu Bena. – Nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko. Szczerze mówiąc, gdybym bezgranicznie ufał podwładnym, nie zaszedłbym tak daleko, jak zaszedłem.

–Skoro już rozmawiamy szczerze, chciałbym pana o coś zapytać.

–Tak? – Lenz postukał go palcami w przedramię, żeby uwypuklić żyłę.

–Dlaczego kazał pan zabić mojego brata?

Lenz wbił igłę. Zrobił to chyba odrobinę za mocno.

–Nie powinno było do tego dojść. Wszystko przez tych z ochrony. Przekłęci fanatycy. To był błąd, straszliwy błąd. Bali się, że odkrycie listy założycieli Sigmy zagrozi naszej pracy.

Ben z trudem opanował gniew. Serce waliło mu jak młotem.

–A mojego ojca? Też zabili go ci „przekłęci fanatycy”?

–Maksa? – Lenz był wyraźnie zaskoczony. – Max to geniusz. Szczerze go podziwiam. Nie pozwoliłbym, żeby spadł mu włos z głowy.

–W takim razie gdzie on jest?

–A co? – spytał niewinnie Lenz. – Czyżby gdzieś wyjechał?

Mów! Mów coś!

–Po co zabiliście tych starców?

Lenzowi nerwowo drgnęła lewa powieka.

–Musieliśmy posprzątać. Chodziło o członków założycieli, którzy próbowali stawić opór nieuniknionemu. Narzekali, że przejąłem władzę, czuli się zdegradowani. A przecież byliśmy dla nich tacy hojni...

–Chce pan powiedzieć, że trzymaliście ich na smyczy, że płaciliście im za milczenie.

–Jak pan woli. Ale to nie wystarczyło. Ci ludzie nie doceniali mojej wizji, nie chcieli

się podporządkować. Było też kilku natrętów, bardzo niedyskretnych, którzy nie mieli już nic do zaoferowania. Byli jak nici, jak wystrzępione nici. Nadeszła pora, żeby je wyrwać. Powie pan, że to okrutne, ale kiedy gra się o tak wysoką stawkę, nie czas na wymówki, na bicie po łapach czy odstawianie na boczny tor. Trzeba zastosować środki bardziej radykalne.

Spytaj go o coś. Niech mówi. Niech mówi!

–Nie uważa pan, że to głupie i ryzykowne? Ich śmierć ściągnie na was podejrzenia.

–Niech pan sobie daruje, Benjaminie. Policja myśli, że umarli ze starości, a nawet jeśli wykryją w ich ciele toksynę... Cóż, ci ludzie mieli bardzo wielu wrogów.

Usłyszeli ten odgłos jednocześnie, on i Lenz.

Krótką serią z pistoletu maszynowego. Gdzieś blisko.

Potem kolejna, jeszcze bliżej.

Czyjś krzyk.

Lenz odwrócił się ze strzykawką w rękę i powiedział coś do strażnika.

Huk, trzask drzwi, grad kul.

Przeraźliwy wrzask i strażnik runął na podłogę w kałuży krwi.

Lenz upadł.

Anna!

Chryste, jakże mu ulżyło. Ona żyje!

–Ben! – Szybko zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. – Co z tobą?

–Dobrze, w porządku.

Spojrzała na Lenza.

–Wstawaj, sukinsynu! – krzyknęła. – Ale już!

Nie spuszczając go z muszki, podeszła bliżej. Była w lekarskim fartuchu.

Lenz wstał. Miał zaczerwienioną twarz i zmierzwiłone włosy.

–Zaraz tu będą strażnicy – wychrypiął trzęsącym się głosem.

–Nie licz na to – odparła Anna. – Odcięłam całe skrzydło, zablokowałam wszystkie drzwi.

–Zabiła pani strażnika – rzucił z dawną buńczucznością w głosie. –

O ile wiem, agenci Stanów Zjednoczonych mogą strzelać tylko w obronie własnej.

–Jak to? To ty nic nie wiesz? Przecież wywalili mnie z roboty. Podnieś łapy. Gdzie masz broń?

–Nie mam broni – mruknął rozsierdzony Lenz.

Anna podeszła jeszcze bliżej.

–Obszukam cię. Chyba nie masz nic przeciwko temu, co? Łapy do góry, powiedziałam!

Odchyliła mu marynarkę.

–Zobaczmy... Mam nadzieję, że to nie wypali. – Postukała palcem w zamek uzi. –

Nie znam się na tych zabaweczkach...

Lenz pobladł.

Niczym sztukmistrz, który wyjmuje królika z kapelusza, wyjęła mu z kieszeni malutki pistolet.

–Proszę, proszę. Sprytny jesteś, Jurgen. Jak na kogoś w twoim wieku, bardzo sprytny. Jurgen? A może starzy kumple wciąż mówią ci Gerhard?

Rozdział 47

Ben rozdziawił usta. – O Boże...

Lenz zacisnął zęby i – co dziwne – lekko się uśmiechnął. Anna schowała pistolet do kieszeni.

–Cholernie mnie to gryzło. FBI sprawdziło odciski palców, i nic. Przeszukali wszystkie bazy danych, poprosili o pomoc wywiad wojskowy, i też nic. Wreszcie zajrzeli do starych kart identyfikacyjnych, tych wojennych i powojennych. Nawet ich nie zeskanowali, bo i po co, prawda? Pobrano ci odciski, kiedy byłeś w SS. Uciekłeś i pewnie dlatego nasi chłopcy dołączyli je do akt.

Lenz przyglądał jej się z rozbawieniem.

–Technicy zbadali odciski ze zdjęcia, które im wysłałam, i stwierdzili, że są stare. Ale zaraz potem doszczętnie zgłupieli, bo tak zwany osad potny był zupełnie świeży. Nie mogli się w tym połapać.

Ben spojrzał na Lenza. Tak, był podobny do Gerharda, który stał na zdjęciu tuż obok Maksa Hartmana. Zdjęcie założycieli Sigmy zrobiono w czterdziestym piątym i miał wtedy czterdzieści cztery, czterdzieści sześć lat. Chryste. Oznaczałoby to, że teraz ma ponad sto.

Niemożliwe.

–Byłem pierwszym dowodem na to, że moja kuracja jest skuteczna – powiedział cicho Lenz. – Dwadzieścia lat temu udało mi się najpierw powstrzymać, a potem odwrócić proces starzenia się. Tak, eksperymentowałem na sobie, i tylko na sobie. Dopiero kilka lat temu zdołaliśmy opracować formułę stuprocentowo pewną i uniwersalną. – Patrzył w dal, miał zamglony wzrok. – Nasze marzenia mogły się wreszcie spełnić.

–Dobra, dobra – przerwała mu Anna. – Dawaj klucze od pasów.

–Nie mam. Sanitariusz...

–Nieważne. – Przerzuciła uzi do prawej ręki, wyjęła z kieszeni spinacz, uwolniła Bena i podała mu długi, plastikowy przedmiot. Ben zerknął w dół i skinął głową.

–Ani kroku! – krzyknęła, biorąc Lenza na muszkę. – Ben, zdejmij pasy i przywiąż sukinsyna do czegoś ciężkiego. – Rozejrzała się po sali. – Musi my wiać, i to szybko...

–Nie – odparł stanowczo Ben.

Zmarszczyła brwi.

–Co ty...

–On więzi tu ludzi. W namiotach przed zamkiem jest pełno dzieciaków. Ma tu co najmniej jeden oddział pełen dzieci chorych na progerię. Musimy je uwolnić!

Anna kiwnęła głową.

–Trzeba wyłączyć system alarmowy, to najszybszy sposób. Odciąć prąd, otworzyć... – Odwróciła się do Lenza i zacisnęła rękę na kolbie uzi. – W gabinecie masz włącznik. Ruszaj. Idziemy na spacer.

Lenz posłał jej flegmatyczne spojrzenie.

–O czym pani mówi? Wszystkie włączniki znajdują się w centrali bezpieczeństwa na parterze.

–Przykro mi, ale przesłuchałam już jednego z pańskich goryli. – Wskazała lufą drzwi w przeciwległej ścianie sali. – Idziemy. Tędy.

Gabinet Lenza był ciemny i wielki jak katedra.

Przez wąskie okna, wykute w kamiennym murze wysoko pod sufitem, sączyło się blade światło. Pokój tonął w mroku, nie licząc małego kręgu światła pod osłoniętą zielonym abażurem lampą na wielkim biurku z orzechowego drewna.

–Chyba nie przeszkodzi państwu, że zapalę światło – powiedział Lenz.

–Inaczej nie będę widział, co robię.

–To niekonieczne – odparła Anna. – Niech pan stanie za biurkiem i wciśnie guzik podnoszący konsolę. Tak będzie najprościej.

Lenz jakby się zawahał.

–Bezsensowna zabawa – rzucił z pogardą, idąc w stronę biurka. Anna ruszyła za nim z bronią gotową do strzału.

Ben szedł tuż za Anną. Druga para oczu na wypadek, gdyby Niemiec coś knuł.

Lenz wcisnął przycisk na brzegu biurka. Usłyszeli mechaniczny hurkot i środkowa część blatu powoli uniosła się do góry niczym płaska, podłużna płyta nagrobna, odsłaniając błyszczącą od chromu konsolę. Stare gotyckie biurko i ultranowoczesna aparatura – dziwny to był kontrast.

Na osadzonym w stali plazmowym ekranie połyskiwały trzy rzędy błękitnych jak lód okienek. W sumie było ich dziewięć, a każde pokazywało inną część zamku i jego otoczenia. Z obudowy sterczał rząd srebrzystych gałek i przełączników.

W jednym z okienek widać było chore na progerię dzieci, bawiące się w pobliżu metalowych zbiorników. W innym tłum dzieci kłębiących się wokół rozstawionych na śniegu namiotów. Strażników przy bramach. Strażników patrolujących teren wokół ogrodzenia. Na murze, tuż pod zwojami drutu kolczastego, co kilka metrów mrugały czerwone światełka – znak, że drut jest pod napięciem i że system alarmowy działa bez zarzutu.

–Szybko! – rzuciła Anna.

Lenz pobłażliwie skinął głową i, od lewej strony do prawej, zaczął pstrykać przełącznikami. Pozornie nie działało się nic, nic nie wskazywałoby na to, że system został wyłączony.

–Znajdziemy inne – mówił Niemiec, spoglądając na ekran pokazujący dzieci chore na progerię. – Młodych uchodźców i niechcianych przez świat wysiedleńców też jest mnóstwo. Wojny nigdy się nie kończą... – Ta myśl zdawała się go bawić.

Czerwone światełka zgasły. Przy żelaznej bramie bawiła się grupka dzieci. Jedno z nich pokazało coś ręką: zauważyło, że lampka przestała mrugać.

Drugie dziecko podbiegło do bramy i szarpnęło za kraty.

Brama powoli się otworzyła.

Dziecko wyszło ostrożnie za ogrodzenie, obejrzało się i ruchem głowy przywołało kolegę. Ten przebiegł przez bramę i... znalazł się na wolności. Chyba coś wykrzykiwali, choć nie było słyhać ani słowa.

Dołączyły do nich inne dzieci. Obszarpana dziewczyna o skołtunionych włosach. Młody chłopak.

Ciągle ich przybywało.

Tłoczyły się przy parkanie, popychały i rozpychały.

Lenz obserwował je z kamienną twarzą. Anna nie spuszczała go z oka. Cały czas miała go na muszce.

Inne okienko pokazywało szeroko otwarte drzwi do przeszklonego pomieszczenia dla dzieci chorych na progerię. Pielęgniarka pomagała im wyjść, lękliwie rozglądając się wokoło.

–No dobrze – powiedział Lenz – oni uciekną. Ale wy nie. Jest tam czterdziestu ośmiu strażników. Każdy z nich ma rozkaz strzelać bez ostrzeżenia do każdego intruza. Nie uda wam się. – Wyciągnął rękę do dużej, bogato zdobionej brązowej lampy, żeby ją zapalić, i Ben zeszywniał, myśląc, że Lenz zechce nią rzucić, lecz ten wyszarpnął z jej podstawy coś małego i podłużnego, i błyskawicznie w niego wycelował. Był to maleńki, wykładany brązem pistolet.

–Rzuć to! – krzyknęła Anna.

Ben stał nieco z boku, dwa kroki od niej, i Lenz nie mógł wziąć na muszkę ich obojga.

–Proponuję, żeby natychmiast odłożyła pani broń. Jeśli pani to zrobi, nikomu nie stanie się krzywda.

–Chyba jednak nie odłożę. Mam niewielką przewagę.

–Nie sądzę – odparł nieporuszony Lenz. – Jeśli pociągnie pani za spust, pani przyjaciel też zginie. Musi pani zadać sobie pytanie, czy warto mnie zabijać, czy to dla pani ważne.

–Rzuć tę głupią zabawkę – warknęła Anna, chociaż była to bardzo groźna zabawka.

–Nawet jeśli zginę, to niczego nie zmieni. Moją pracę będą kontynuowali inni. Ale pani przyjaciel Benjamin po prostu umrze.

–Nie! – Chrapliwy krzyk.

Głos starca.

Lenz odwrócił głowę.

–*Lassen Sie ihn los! Lassen Sie meinen Sohn los! Zostaw go!*

Głos dochodził z ciemnego kąta gabinetu. Lenz wycelował w tamtą stronę, zawahał się, zmienił zdanie i ponownie wziął na muszkę Bena.

–Zostaw go! Zostaw mojego syna!

W głębokim mroku majaczyła czyjaś sylwetka. Max. Jego ojciec. Siedział w fotelu z pistoletem w ręku. Benowi odebrało mowę.

Pomyślał, że to złudzenie, gra światła, ale wyteżywszy wzrok, stwierdził, że nie ma żadnych majaków.

–Wypuść ich – powtórzył łagodniej Max. – Niech idą.

–Max, stary druhu! – zawołał Lenz głośno i serdecznie. – Może ty prze mówisz im do rozsądku.

–Dość tego zabijania – odrzekł Max. – Dość rozlewu krwi. To koniec.

Lenz znieruchomiał.

–Jesteś starym głupcem.

–Masz rację – odrzekł Max. Wciąż siedział, lecz ani na sekundę nie spuszczał go z muszki. – Jako młody człowiek też byłem głupi. Dałem ci się omamić, i wtedy, i teraz. Całe życie żyłem w strachu przed tobą i twoimi ludźmi. Przed waszymi groźbami. Przed szantażem. – Mówił coraz głośniejszym, coraz bardziej dławionym gniewem. – Bez względu na to, co zbudowałem, kim się stałem, szliście za mną jak cień.

–Opuść broń, przyjacielu – rzekł łagodnie Lenz. Wciąż celował w Bena, choć przez ułamek sekundy patrzył na Maksa.

Rzucę się na niego i powalę, pomyślał Ben. Kiedy tylko odwróci głowę.

Max mówił dalej, jakby w gabinecie nie było nikogo oprócz Lenza.

–Nie widzisz, że już się ciebie nie boję? – Jego głos odbił się echem od kamiennych ścian. – Nigdy nie wybaczę sobie tego, co zrobiłem, tego, że pomogłem tobie i twoim siepaczom. Zawarłem pakt z diabłem. Kiedyś myślałem, że postępuję słusznie, że tak trzeba, dla rodziny, dla mojej przyszłości, dla przyszłości świata. Ale tylko się okłamywałem. To,, co zrobiłeś Pete-rowi... – Załamał mu się głos.

–Przecież wiesz, że to była pomyłka! – krzyknął Lenz. – Że ci obłąkani fanatycy przekroczyli swoje uprawnienia!

–Milcz! – ryknął Max. – Dość tego! Dość tych kłamstw!

–Max, tu chodzi o nasz projekt! Chryste, ty chyba nie rozumiesz...

–Nie, to ty nie rozumiesz! Marzysz o zabawie w Boga, ale czy myślisz, że mnie to obchodzi? Że kiedykolwiek obchodziło?

–Zaproponowałem ci kurację, żeby zrobić ci przysługę, żeby naprawić krzywdę, którą ci wyrządziłem. Co ci się stało? – Lenz z trudem panował nad głosem.

–Naprawić krzywdę? Przecież to horror, a ty ten horror dalej podsycasz!

Wszystko i wszyscy są dla ciebie narzędziem, środkiem do zrealizowania marzeń o wiecznym życiu. – Max z trudem łapał oddech. – Odebrałeś mi wszystko, a teraz chcesz odebrać mi ostatnie dziecko!

–Zatem twoje awanse były zwykłą grą. Grałeś, Max, cały czas grałeś. Już wszystko rozumiem. Przystąpiłeś do nas tylko po to, żeby nas zdradzić.

–To był jedyny sposób, żeby dostać się do twojej fortecy. Jedyny sposób, żeby móc kontrolować was od wewnątrz.

–Ciągłe popełniam ten sam błąd. – Lenz mówił jakby do siebie. – Uważam, że inni są takimi samymi filantropami jak ja, że innym też zależy na wyższej sprawie. Bardzo mnie rozczarowałeś, Max. I to po tym, przez co razem przeszliśmy...

–Łżesz! – krzyknął Max. – Udajesz, że zależy ci na postępie! Nazywasz mnie starym głupcem! Traktujesz nas jak podludzi, chociaż sam nie jesteś człowiekiem!

Lenz lekko odwrócił głowę, żeby na niego spojrzeć i w chwili, gdy Ben sprężył się do skoku, dobiegł ich suchy trzask małowadziowego pistoletu. Zaskoczony, lecz wciąż przytomny Lenz spojrzął na swoje ramię, by na kieszeni fartucha ujrzeć małą, rozlewającą się plamę czerwieni. Drgnął, podniósł wzrok, wycelował w Maksa i trzy razy nacisnął spust.

W tym samym momencie na jego piersi wykwitła druga plamka. Zwiśla mu prawa ręka, pistolet zaklekołał na posadzce.

Anna opuściła broń.

Nagle Lenz runął na nią jak żbik i przewrócił na podłogę. Uzi upadło z trzaskiem na kamienną podłogę.

Zdrową ręką chwycił ją za szyję, ścisnął jej gardło jak żelaznymi kleszczami. Anna szarpnęła się, wierzgnęła, próbowała wstać, lecz on pchnął ją i uderzyła głową w posadzkę.

Lenz pchnął ją jeszcze raz, i jeszcze raz, i wówczas rozwścieczony Ben wskoczył mu na plecy z plastikową strzykawką w rękę – ze strzykawką, którą Anna dała mu w sali operacyjnej. Rycząc z wysiłku i furii, wziął zamach i wbił mu igłę w szyję.

Lenz zawył z bólu. Igła musiała trafić w tętnicę, a jeśli nawet nie, to na pewno gdzieś w pobliżu, i Ben wcisnął tłoczek.

Na twarzy Lenza zastygła maska przerażenia. Chwycił się za szyję, wymacał strzykawkę, wyszarpnął ją i spojrzał na naklejkę.

–Verdammt nochmal! Scheiss Jesus Christus!

Na ustach miał bąbel śliny. Nagle runął na plecy jak przewrócona rzeźba. Leżąc, poruszył wargami, jakby chciał krzyknąć, lecz zamiast tego tylko ciężko sapnął.

Raptem drgnął i zesztyniał.

Wciąż na nich patrzył, z gniewem i nienawiścią, lecz źrenice miał nieruchome i rozszerzone.

–Chyba nie żyje – wydyszał Ben.

–Nie chyba, tylko na pewno – odrzekła Anna. – To najsilniejszy opiat, jaki istnieje. Mają tu w szafkach masę różnych prochów. Dobra, musimy wiać. – Zerknęła na Hartmana. – Wszyscy.

–Idźcie – wyszeptał z fotela Max. – Zostawcie mnie. Ale wy idźcie, szybko. Strażnicy...

–Nie – przerwał mu Ben. – Pójdiesz z nami.

–Cholera jasna – syknęła Anna. – Śmigłowiec już odleciał... Ben, jak się tu dostałeś?

–Pod zamkiem jest jaskinia; kończy się w podziemiach. Ale już ją znaleźli.

–Lenz miał rację. Nie uciekniemy. Stąd nie ma wyjścia.

–Jest – szepnął cicho Max.

Ben podbiegł do niego i zmartwiał.

Ojciec miał na sobie bladoniebieską szpitalną koszulę i kurczowo przyciskał ręce do szyi. Spomiędzy jego trzęsących się palców płynęła krew. Na koszuli widniał czarny numer: 18.

–Nie! – krzyknął Ben.

Boże, Max. Chciał zabić Lenza, chciał ochronić swojego jedyne pozostałego przy życiu syna i oberwał.

–Prywatny śmigłowiec Lenza – wycharczał. – Stoi na lądowisku siódmym. Dojdziecie tam schodami. Z korytarza skręćcie w lewo, potem... – Podał im dokładne wskazówki, wziął głęboki oddech i spojrzał mu w oczy. Prosząco. Błagalnie. – Powiedz, że mnie rozumiesz. – Mówił tak cicho, że prawie niesłyszalnie. – Powiedz, że rozumiesz...

–Tak – odrzekł łamiącym się głosem Ben. – Rozumiem. – „Powiedz, że mnie

rozumiesz". Ojciec chciał się upewnić, czy zrozumiał jego wskazówki, ale on nie mógł oprzeć się wrażeniu, że chodziło mu również o coś innego. Powiedz, czy rozumiesz. Powiedz, że rozumiesz, dlaczego podjąłem te wszystkie decyzje, nawet te złe, dlaczego żyłem tak, jak żyłem.

„Powiedz, że mnie rozumiesz”.

Tak, rozumiem cię, tato. Rozumiem. I przynajmniej w tej chwili naprawdę go rozumiał.

Max osunął się bezwładnie w fotelu i znieruchomiał.

Chociaż już nie żył, wyglądał jak okaz zdrowia. Przez napływające do oczu łzy Ben widział jego gładką, jędrną i elastyczną skórę, odrastające włosy, ciemne i lśniące. Ojciec odmłodził o dziesiątki lat.

Wyglądał tak, jakby miał w sobie więcej życia niż kiedykolwiek wcześniej.

Rozdział 48

Biegli korytarzem wśród huku wystrzałów. Ładownica uderzała w uzi z głuchym, rytmicznym stukotem. W każdej chwili ktoś mógł ich zaatakować, lecz byli teraz dobrze uzbrojeni i strażnicy zachowywali ostrożność. Anna wiedziała, że żaden najemnik, bez względu na to jak bardzo lojalny, nie zechce niepotrzebnie ryzykować.

Wskazówki Maksa były jasne i dokładne.

Kolejny skręt i zobaczyli wyjście na klatkę Schodową.

Ben otworzył ciężkie, stalowe drzwi, Anna pociągnęła za spust: jeśli na półpiętrze ktoś był, musiał odruchowo paść na podłogę lub gdzie się skryć. Jeden krok, drugi, nagle ogłuszający huk. Czatujący kilkadziesiąt stopni niżej strażnik strzelał między schodami, na szczęście pod bardzo ostrym kątem, więc niecelnie, ale rykoszety mogły być groźne.

–Biegnij na górę – szepnęła Anna.

–Ojciec mówił, że śmigłowiec jest na dole – odszepnął Ben.

–Rób, co mówię. Biegnij. I głośno tup!

Natychmiast zrozumiał, o co jej chodzi i popędził na górę, dudniąc butami.

Anna przywarła do ściany, żeby zejść z linii strzału i już chwilę później dobiegł ją jakiś hałas. Słyszac tupot nóg, strażnik ruszył na górę, żeby dopędzić swoją ofiarę.

Sekundy wlokły się jak godziny. Wyobraziła sobie, co tamten robi. Chciała wyczuć, gdzie jest, ocenić dzielącą ich odległość i przewidzieć jego ruchy. Gdyby ją zobaczył, straciłaby całą przewagę i musiałaby polegać tylko na swojej zwinności i szybkości. Postanowiła zaczekać do ostatniej chwili i zdać się na refleks.

Z obrazem strażnika przed oczami, wyskoczyła wysoko do góry i pociągnęła za spust, zanim jeszcze zlokalizowała go wzrokowo.

Celował w nią z pistoletu maszynowego. Miarą zwycięstwa lub klęski były ułamki sekundy. Gdyby nie otworzyła ognia, już by nie żyła.

Z jego ciała trysnęła fontanna krwi. Pistolet wypalił, wypadł mu z ręki i zsunął się z trzaskiem ze schodów.

–Anna? – zawołał Ben.

–Szybko! – krzyknęła.

Popędził w dół. Schody, zakręt, schody, zakręt i szare, stalowe drzwi.

Łądowisko numer 7. Podmuch zimnego wiatru i... W bladym świetle dnia lśniło czarne poszycie śmigłowca. Była to duża, aerodynamiczna augusta 109. Zamiast płóz miała koła.

–Naprawdę umiesz tym latać? – rzuciła Anna, gdy wdrapali się do środka.

Ben niepewnie odchrząknął. Za sterami śmigłowca, w dodatku śmigłowca szkoleniowego, siedział tylko raz: z licencjonowanym pilotem w fotelu obok. Samolotami latał wielokrotnie, ale latanie helikopterem to zupełnie co innego. Powiódł wzrokiem po mrocznej kabinie, szukając znajomych przyrządów.

Skomplikowana konsola rozmyła się na chwilę i rozmazała. Ujrzał przed sobą skurczone zwłoki ojca. Max odmłodził na tyle, że widać było, jak wyglądał kiedyś, jako dwudziesto-, dwudziestopięciolatek. Jako genialny finansista, wokół którego rozgorzał płomień faszystowskiej nienawiści, który dwoił się i troił, wchodził w

ohydne układy z ohydnyim reżimem, żeby uratować jak najwięcej żydowskich rodzin.

Ujrzał młodego mężczyznę – emigranta, udręczonego człowieka, pełnego tajemnic – którego poznała i w którym zakochała się matka. Ujrzał Maksa Hartmana. Swojego ojca.

Potrząsnął głową. Musiał się skupić.

Wiedział, że jeśli się nie skupi, oboje zginą. I wszystko pójdzie na marne.

Lądowisko było nieosłonięte. Huk wystrzałów przybierał na sile.

–Uważaj na strażników – rzucił Ben. – Jakby co, wal do wszystkiego, co się rusza.

–Nie będą do nas strzelali. – Miało to zabrzmieć pewnie i stanowczo, lecz nie zabrzmiało. – Wiedzą, że to śmigłowiec Lenza.

–Właśnie, panno Navarro. – Spokojny, kulturalny głos, doskonała wymowa. –

Sądziła pani, że doktor Lenz poleci sam?

W śmigłowcu ktoś był!

–To twój kumpel? – mruknął cicho Ben.

Odwrócili się i w tylnej części kabiny zobaczyli przycupniętego mężczyznę.

Siwowłosey, lecz nader dziarski i żwawy, był w dużych okularach w cielistej oprawce, nienagannie skrojonym, angielskim garniturze w stylu Edwarda VIII, białej, starannie wyprasowanej koszuli i mocno zawiązanym krawacie z oliwkowego jedwabiu.

Jedynym elementem, który nie pasował do tego eleganckiego stroju, był automatyczny pistolet maszynowy w jego rękach.

–Bartlett!

–Uzi, panno Navarro. Proszę mi je oddać. Trzymam panią na muszce, a pani ma je na kolanach. Jeśli nie odda pani broni, będę musiał pociągnąć za spust, a bardzo bym tego nie chciał. Pocisk roztrzaskałby przednią szybę, możliwe, że uszkodziłby również poszycie, a śmigłowiec będzie nam bardzo potrzebny.

Anna powoli położyła uzi na podłodze i pchnęła je w jego stronę. Nie schylił się, żeby je podnieść, zadowolając się tym, że broń jest już poza zasięgiem jej rąk.

–Bardzo dziękuję. Mam u pani coraz większy dług wdzięczności. Nie pamiętam, czy złożyłem pani stosowne podziękowania za szybkie odszukanie Gastona Rossignola. Ten stary urwis mógł narobić nam poważnych kłopotów...

–Ty sukinsynu – powiedziała cicho Anna. – Ty podły, podstępny skurwysynu.

–Proszę mi wybaczyć, zdaję sobie sprawę, że nie jest to czas ani miejsce na oceny, ale muszę powiedzieć, że zdarzyło się coś doprawdy niefortunnego: oddała nam pani wprost bezcenne usługi tylko po to, żeby zaraz wszystko zepsuć. No dobrze. Gdzie doktor Lenz?

–Nie żyje – odrzekł Ben.

Bartlett zamilkł. W jego szarych, beznamiętnych oczach pojawił się dziwny błysk.

–Nie żyje? – Trawiąc tę informację, zacisnął rękę na kolbie pistoletu. – Idioci! – wybuchnął. – Skończeni idioci! Jesteście jak prymitywne, wredne dzieci, które niszczą niezrozumiałe dla nich piękno! Kto dał wam prawo? Za kogo wy się uważacie? – Ponownie zamilkł, by trzęsąc się z gniewu, dodać: – Niech was piekło pochłonie! Oboje!

–Najpierw ty tam trafisz – warknął Ben.

–Pan Benjamin Hartman, prawda? Oczywiście. Bardzo mi przykro, że spotykamy się w takich okolicznościach, ale to wyłącznie moja wina. Powinniśmy byli zabić was jednocześnie, pańskiego brata i pana. Dalibyśmy radę, i to bez żadnego wysiłku. Na starość robię się chyba sentymentalny. Cóż, moje młode, zakochane ptaszki. Muszę podjąć kilka trudnych decyzji...

W przedniej szybie śmigłowca odbijała się lufa jego pistoletu. Ben nie spuszczał jej z oczu.

–Wszystko po kolei – kontynuował po namyśle Bartlett. – Muszę zawierzyć pańskim umiejętnościom. Pod Wiedniem jest lądowisko. Wskażę panu drogę.

Ben zerknął w szybę i włączył zasilanie.

Zaiskrzyły świece, jęknął rozrusznik. Układ sterowania był w pełni automatyczny, co powinno ułatwić lot.

Dziesięć sekund później odpalił z rykiem silnik. Drgnęły łopaty wirników.

–Mocno zapnij pas – wymamrotał cicho Ben. Pchnął dźwignię sterowania skoku ogólnego i wirniki gwałtownie wyhamowały.

Nagle coś zabuczało i obroty silnika wyraźnie spadły.

–Szlag by to – mruknął Ben.

–Na pewno umie pan tym latać? – spytał Bartlett. – Bo jeśli nie, nie będę miał z pana pożytku. Nie muszę chyba tłumaczyć, co to znaczy.

–Wyszedłem z wprawy – odparł Ben. Położył rękę na dźwigni przepustnicy i pchnął ją do przodu.

Ryknął silnik, ożyły wirniki. Śmigłowiec szarpnął się do przodu i zakołysał na boki.

Ben natychmiast ściągnął przepustnicę i koła maszyny huknęły w beton lądowiska. Rzuciło nimi do przodu tak mocno, że niemal zawiśli na pasach. Zgodnie z przewidywaniami – i oczekiwaniami Bena – Bartlett runął na metalową siatkę za fotelami pilotów.

Słyszając klekot pistoletu, który trzasnąwszy w przepierzenie, upadł na podłogę, Ben błyskawicznie rozpiął pas.

Z nosa oszołomionego uderzeniem Bartletta spływała krew. Ben wyskoczył z fotela, pchnął go obiema rękami i przygniół do stalowego poszycia podłogi. Bartlett nie stawiał oporu.

Stracił przytomność? Nie żył?

–Mam kajdanki! – krzyknęła Anna. – Przytrzymaj go...

W kilka sekund skuliła mu ręce i nogi. Jej dawny szef przypominał teraz ciasno zwinięty dywan.

–Chryste! – zawołała. – Nie mamy czasu. Musimy wiać. Tamci zaraz tu będą.

Ben ponownie pchnął dźwignię przepustnicy i zacisnąwszy palce na uchwycie drążka, zwiększył skok łopat. Pysk maszyny przesunął się w prawo, ogon w lewo i zjechali z lądowiska na ośnieżony, zalany blaskiem księżycy trawnik.

–Cholera jasna! – Ben zmniejszył ciąg, żeby śmigłowiec odzyskał równowagę, ponownie zwiększył skok łopat wirnika głównego i maszyna wy raźnie ożyła.

Lekko pchnął drążek i kiedy dziób śmigłowca powędrował do dołu, pchnął dźwignię sterowania skoku ogólnego.

Kołowali coraz szybciej.

Śmigłowiec sunął przez płytki śnieg.

Ben zerknął do góry. Połowa maksymalnego skoku łopat wirnika.

I raptem, przy prędkości dwudziestu pięciu węzłów, maszyna oderwała się od ziemi.

Wystartowali.

Ben ściągnął drążek na siebie i gdy silnik zwiększył moc, maszyna skręciła w prawo. Nabierali wysokości.

O poszycie kabiny zagrzechotały kule.

Na lądowisko wybiegło kilku strażników z pistoletami maszynowymi wycelowanymi w ich stronę.

–Mówiłaś, że nie będą strzelać! – krzyknął Ben.

–Pewnie znaleźli swojego doktora. Niechaj żywi nie tracą nadziei! – Odsunęła boczną szybę, wystawiła lufę uzi i posłała im krótką serię. Jeden ze strażników upadł.

Druga seria, tym razem dłuższa. Na ziemię runął drugi strażnik.

–Dobra – rzuciła. – Teraz dadzą nam spokój, przynajmniej na chwilę.

Ben zmniejszył skok łopat wirników i dziób maszyny skręcił w lewo. Wzbijali się coraz wyżej i wyżej.

Kilkanaście sekund później byli już dokładnie nad zamkiem. Śmigłowiec odzyskał stabilność i prowadziło się go teraz niemal jak samolot.

Ben wyczuł za sobą jakiś ruch i odwracając głowę, poczuł ostry, przeszywający ból u nasady szyi. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś nerw, uciśnięty lub pęknięty, ale nie, ból był o stokroć silniejszy.

Anna przeraźliwie krzyknęła.

Twarz owionął mu czyjś wilgotny oddech i dopiero wtedy zrozumiał, co się stało. Skuty kajdankami Bartlett zaatakował go jedyną bronią, jaka mu jeszcze pozostała: własnymi szczękami. Coraz mocniej zaciskał zęby, z jego gardła dobywało się głuche charczenie, przypominające warkot dzikiej bestii.

Gdy Ben wypuścił drążek, żeby go odepchnąć, śmigłowiec przechylił się niebezpiecznie na lewą burtę.

Chryste! Anna – z tej pozycji nie mogła strzelać, bo trafiłaby Bena -chwyciła Bartletta za włosy i szarpnęła tak gwałtownie, że wyrwała mu garść siwych kłaków, odsłaniając różowy, zakrwawiony skalp.

Mimo to Bartlett nie rozwarł szczęk.

Wszystkie siły, i witalne, i fizyczne, skupił na jednym: na wbijaniu zębów w ciało, na metodycznym ich zagłębianiu. Nie pozostało mu nic innego. Był niczym ranne zwierzę, które mając jedyną szansę na przeżycie, robi wszystko, żeby obezwładnić przeciwnika.

Skręcając się z bólu, Ben tłukł go pięściami po głowie. Na próżno.

Czy to możliwe? Czy to możliwe, żebym tak daleko zaszedł, tyle przeżył tylko po to, żeby dać się zabić podczas ucieczki?

Bartlett dostał szału, wydawał się niewrażliwy na ból. Nieokiełznana furia

wydobyła z niego najprymitywniejsze instynkty, odruchy typowe dla każdego kręgowca. Ten wyrafinowany elegant, ten ambitny gracz był teraz zwykłą hieną z równin Serengeti, która wbija kły w gardło ofiary, wiedząc, że tylko jedno z nich doczeka następnego dnia.

Wił się przy tym jak piskorz, wierzgał, kopał, rzucał się na wszystkie strony: skutymi nogami trafił Annę, która runęła na prawą burtę, omal nie odrywając rąk od jego zakrwawionej głowy. I raptem... Silny podmuch zimnego wiatru. Otworzyły się drzwi.

Jeszcze jeden dziki, wężowaty ruch i Bartlett trafił butem w jeden z pedałów sterujących tylnym wirnikiem. Śmigłowiec natychmiast obrócił się w lewo. Zrobił jeden obrót, potem drugi, trzeci – obracał się coraz szybciej, coraz płynniej i wzrastająca siła odśrodkowa zaczęła spychać Annę w stronę otwartych drzwi.

Rozorała Bartlettowi twarz. Mdlilo ją z odrazy, ale nie miała wyboru: jej palce, paznokcie, były teraz jedynym punktem zaczepienia, więc wbiła mu je w oczy najgłębiej, jak tylko mogła.

–Otwórz ślepie, skurwysynu! – wrzasnęła, jeszcze bardziej wzmagając ucisk. I wtedy, ze ścinającym krew w żyłach krzykiem, Bartlett rozwarł szczęki.

Wszystko to, co zdarzyło się potem, trwało zaledwie kilka sekund: Anna i Bartlett runęli prosto w otwarte drzwi, w ziejącą za nimi otchłań.

Nagle... Ręka, żelazne kleszcze na jej nadgarstku. To Ben. Trzymał ją, przytrzymał, chociaż śmigłowiec wirował pod kątem czterdziestu pięciu stopni względem ziemi. Bartlett, którego nie przytrzymał nikt, uległ sile grawitacji i zsunął się za burtę maszyny.

Spadając na majaczący w dole zamek, głośno krzyczał, lecz krzyk szybko ucichł.

Śmigłowiec! Go ze śmigłowcem? W przeciwieństwie do samolotu, każdy helikopter, który przekroczył krytyczne nachylenie katowe, zachowuje się w powietrzu jak kamień. Ten natomiast przekroczył je na pewno i z każdą sekundą tracił siłę nośną.

Odzyskanie prawidłowego położenia wymagało zgrania rąk i nóg. Ben rozpaczliwie poruszał drążkiem i manipulował dźwignią sterowania skoku ogólnego, a stopami wciskał pedały koordynujące obroty obu wirników.

–Ben! – krzyknęła Anna, zatrzaskując drzwi. – Zrób coś!

–Chryste! – ryknął. – Nie wiem, czy dam radę!

Śmigłowiec runął w dół. Żołądek podjechał Annie do gardła, lecz kątem oka zauważyła, że maszyna zaczyna się powoli prostować.

Gdyby zdążyła wyrównać, odzyskała siłę nośną, mieliby szansę.

Maksymalnie skupiony Ben walczył. Oboje wiedzieli – może to instynkt? – że jeszcze sekunda, jeszcze dwie i prędkość opadania wzrośnie na tyle, że już z tego nie wyjdą. Jeden zły ruch mógł ich kosztować życie.

Najpierw to poczuła, dopiero potem zobaczyła. Śmigłowiec dźwignął się i powoli wyprostował. Linia horyzontu znieruchomiła.

Po raz pierwszy od dłuższej chwili ogarnęła ją lekka, lecz narastająca panika. Zręcznym ruchem oderwała spód bluzki i przycisnęła materiał do szyi Bena. Na jego

skórze widniały głębokie ślady po zębach, na szczęście nie krwawiły. Tętnica i żyły główne były całe. Jego życiu nic już nie zagrażało.

Spojrzała w okno.

–Spójrz! – zawołała.

Dokładnie pod nimi był zamek, maleńki jak kartonowy model i otoczony serpentyną parkanu. U stóp góry kłębił się gęsty tłum ludzi.

–To oni! – krzyknęła Anna. – Wydostali się!

Dobiegł ich stłumiony grzmot i tuż obok zamku wyrósł wielki krater. Przylegająca do niego część kamiennej twierdzy zawaliła się jak konstrukcja z kruchego lukru.

–Dynamit – powiedział Ben.

Lecieli na wysokości trzystu metrów, z prędkością stu czterdziestu węzłów.

–Ci idioci zaminowali wejście do jaskini. Za blisko zamku. Spójrz tylko, co się dzieje. Jezu!

Ze szczytu góry spływał wielki biały obłok, sunąc z boczem niczym tuman gęstej mgły. Chmura śniegu, olbrzymia, zwalista fala: lawina. Zjawisko okrutne, lecz w tych okolicach dość częste.

Był to dziwnie piękny widok.

Oprócz dzieci, które zdołały uciec z zamku, nie ocalał nikt.

Trzydzieścioro siedmioro ludzi z całego świata, słynnych, wpływowych kobiet i mężczyzn, przywódców i liderów w swoich branżach, z zaszokowaniem przeczytało nekrolog Jurgena Lenza, znanego wiedeńskiego filantropa. Doktor Lenz zginął w lawinie, która zasypała piękny alpejski zamek -niegdyś zamek jego ojca.

Trzydzieścioro siedmioro ludzi, a wszyscy zadziwiająco zdrowi.

Rozdział 49

Świetliste wspomnienie, przeblysłk elegantszych czasów: Metropolis Club na rogu Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej na Manhattanie. Wspaniały dziewiętnastowieczny gmach – McKim, Mead White – ozdobiony kamiennymi balustradami i wyrafinowanymi modylionami. Hol, strojnie wygięte poręcze podwójnych schodów, marmurowe pilastry, gipsowe medaliony, wreszcie przestronny Schuyler Hall. Na podłodze wyłożonej czar-no-białymi płytkami ustawiono trzysta krzeseł. Mimo początkowych obaw Ben musiał przyznać, że jest to odpowiednia oprawa dla uroczystości poświęconej pamięci ojca. Na jej zorganizowanie nalegała Marguerite – przez dwadzieścia lat była jego asystentką- i jak zwykle zapięła wszystko na ostatni guzik. Ben ogarnął wzrokiem siedzący przed nim tłum i patrzył nań dopóty, dopóki z morza ludzkich twarzy nie zaczęły wyłaniać się twarze poszczególnych gości.

Była to dziwna galeria żałobników. Widział zasępione twarze starych nowojorskich bankierów, posiwiałych, przygarbionych mężczyzn o wydatnych szczękach, którzy wiedzieli, że bankowość – profesja, której poświęcili całe życie – coraz bardziej się ostatnio zmienia, że zamiast znajomości, osobistych kontaktów i przyjaźni, liczy się w niej teraz biegłość techniczna. Ludzie ci zrobili swoje najlepsze interesy na polu golfowym. Byli dżentelmenami zielonych niw i wytrawnymi graczami, którzy zdawali sobie sprawę, że przyszłość ich branży należy do nieopierzonych, źle ostrzyżonych żółtodziobów z doktoratami z elektrotechniki, do smarkaczy nieodróżniających puttera od żelaznej dziewiątki.

Ben widział też elegancko ubranych prezesów największych fundacji charytatywnych. Nawiązał przelotny kontakt wzrokowy z dyrektorem Nowojorskiego Stowarzyszenia Historycznego – kobietą z włosami upiętymi w wysoki kok, której skóra twarzy była lekko napięta, jakby ktoś uchwycił ją tuż nad kącikami ust i pociągnął w stronę uszu – dzieło brutalnej ręki chirurga, znak, że ostatnio robiła sobie lifting. W rządzie za nią siedział siwowłosy mężczyzna w granatowym garniturze: prezes Grolier Society. Nieco dalej jak zwykle elegancki kustosz Metropolitan Museum, hipisująca prezes Stowarzyszenia na Rzecz Bezdomnych, rektorzy i dziekani kilku uniwersytetów. Wszyscy przypatrywali się sobie z chłodnym dystansem, wszyscy też spoglądali poważnie na Bena. W pierwszym rządzie zasiadł charyzmatyczny dyrektor krajowej organizacji charytatywnej United Way. Miał lekko zmierzwiłone włosy, a z jego brązowych, bassekich oczu biło szczere wzruszenie.

Morze twarzy, to wyraźnych, to rozmywających się. Zamożne pary, zadbane żony o jędrnym ciele, ich brzuchaci mężowie. Ludzie, którzy trafili do nowojorskiej śmietanki towarzyskiej dzięki temu, że Max Hartman wspierał ich niezliczone akcje charytatywne na rzecz walki z analfabetyzmem i AIDS, walki o wolność słowa i ochronę dzikich zwierząt. Sąsiedzi z Bedford: słynny magnat prasowy w charakterystycznej koszuli w grube pasy, wydawca najpoczytniejszego czasopisma poświęconego grze w soft-ball. Pretensjonalnie ubrany potomek starego, arystokratycznego rodu, który kierował niegdyś programem studiów egiptologicznych na jednym z uniwersytetów Ivy League. Młody dorobkiewicz, który założył i po jakimś czasie sprzedał wielką firmę wytwarzającą dziesiątki rodzajów

herbaty ziołowej, opatrzonej kultowymi nazwami w stylu New Age i postępowymi kazaniem na pudełku.

Twarze zniszczone, świeże, znane i obce. Pracownicy Funduszu Kapitałowego Hartmana. Cenni klienci, jak choćby Fred McCallan, który kilka razy otarł oczy chusteczką. Nauczyciele, starzy koledzy z czasów, kiedy pracował w szkole. Nowi koledzy, z równie biednej szkoły w Mount Vernon, w której obecnie pracował. Ludzie, którzy w najcięższych chwilach pomogli jemu i Annie. I przede wszystkim ona, Anna, jego narzeczona, przyjaciółka i kochanka.

Stał teraz przed nimi na mównicy pod ścianą i próbował powiedzieć coś o swoim ojcu. Przed nim występował znakomity kwartet smyczkowy, sponsorowany przez Maksa Hartmana; zagrali adagietto Mahlera, fragment jego *Piątej Symfonii*. Po występie głos zabrali koledzy i współpracownicy ojca, a teraz przemawiał on i przemawiając, zastanawiał się, czy mówi do nich, czy do siebie.

Miał opowiedzieć im o Maksie Hartmanie, jakiego znał on, jego własny syn, chociaż nie wiedział, czy naprawdę go znał, czy w ogóle mógł go poznać. Wiedział jedynie, że musi im o tym opowiedzieć, że to jego obowiązek.

–Każde dziecko uważa, że jego ojciec jest wszechpotężny. Widzi jego dumę, jego szerokie ramiona, doświadcza jego potężnej władzy, dlatego myśli, że siła i moc ojca są bezgraniczne. Dojrzałość przychodzi wówczas, gdy zrozumiemy ten błąd. – Ścisnęło go w gardle i musiał chwilę odczekać.

–Mój ojciec był człowiekiem bardzo silnym, najsilniejszym, jakiego znałem. Jednakże nasz świat jest jeszcze potężniejszy, potężniejszy od ludzi najodważniejszych i najbardziej nawet zdeterminowanych. Max Hartman żył w najczarniejszych latach dwudziestego wieku. Żył w czasach, kiedy ludzkość odstąpiła swoje najstraszliwsze oblicze. Uważał, jak myślę, że ta świadomość, ta wiedza go plugawi. Musiał z nią żyć, pracować, musiał założyć rodzinę, modląc się, żeby mroczna przeszłość nie przesłoniła nam życia, tak jak przesłoniła życie jemu. Przebaczenie? Po tym, co przeżył?

Ojciec był człowiekiem skomplikowanym, najbardziej skomplikowanym, jakiego kiedykolwiek znałem. I żył w niezwykle skomplikowanych czasach. Poeta napisał:

Pomyśl

*Historia to zmyślne korytarze, pokrętne przejścia
I problemy; zwodzi nas szeptanymi ambicjami,
kusi próżnością.*

Mój ojciec twierdził, że spogląda jedynie przed siebie, nigdy wstecz. To kłamstwo, odważne, prowokujące kłamstwo. To właśnie historia go ukształtowała i to właśnie z historią musiał nieustannie walczyć. Z historią bynajmniej nie czarno-białą. Dzieci mają bardzo dobry wzrok; pogarsza się on z wiekiem. Ale jednego zbyt dobrze nie dostrzegają: barw pośrednich. Odcieni szarości. Młodzi mają czyste serca, prawda? Młodzi są bezkompromisowi, rezolutni i gorliwi. To przywilej niedoświadczonych. To przywilej moralnej czystości, nietkniętej, nieskalanej brudami otaczającego nas świata.

Go byśmy zrobili, gdyby okazało się, że sprzyjanie złu jest jedynym sposobem na

to, żeby zło zwalczyć? Czy ratowalibyśmy najbliższych, tych, których moglibyśmy uratować, czy próbowalibyśmy zachować moralną czystość? Ja przed takim wyborem nigdy nie stanąłem. I wiem coś jeszcze. Wiem, że ręce bohatera są podrapane, posiniaczone, zgrubiałe i stwardniałe, lecz rzadko kiedy czyste. Mój ojciec nie miał czystych rąk. Żył w poczuciu, że walcząc z wrogiem, wrogowi temu pomagał. Dlatego jego szerokie ramiona przygniatało brzemień wyrzutów sumienia, przekonanie, że czyny dobre nigdy nie zmażą tych złych. Nie mógł sobie darować, że on przeżył, podczas gdy tylu innych – tych, których kochał – przeżyć nie zdołało. Spytałem ponownie: przebaczenie? Po tym wszystkim? Dlatego podwoił wysiłki, dlatego tak bardzo pragnął czynić dobro. Dopiero niedawno zrozumiałem, że buntując się przeciwko niemu i jego ojcowskim oczekiwaniom, okazałem mu największą lojalność i wierność, jaką mogłem okazać. Bo każdy ojciec pragnie zapewnić dziecku bezpieczeństwo. I żaden ojciec zapewnić go nie jest w stanie.

Odszukał wzrokiem Annę, jej przejrzyste, brązowe oczy, i w ich spokojnym spojrzeniu odnalazł ukojenie.

–Jak Bóg da, pewnego dnia też zostanę ojcem i wiem, że nauczka ta pójdzie w las, przypomną mi o niej moje własne dzieci. Max Hartman był filantropem – i w dosłownym tego słowa znaczeniu, bardzo kochał ludzi – mimo to nie należał do tych, którzy dają się kochać. Codziennie my, jego dzieci, zadawaliśmy sobie pytanie: czy jest z nas dumny, czy się nas wstydzi? Teraz widzę, że jego też to gnębiło: czy my, jego synowie, byliśmy z niego dumni, czy się go wstydziliśmy?

Peter, tak bardzo bym chciał, żebyś tu teraz był. Tu, ze mną, żebyś nas wysłuchał, żebyś przemówił. – Oczy zaszły mu łzami. – Coś ci powiem, braciszku, i będziesz musiał zapisać to pod „dziwne, ale prawdziwe”, jak kiedyś mawiałeś: tato bał się naszego osądu.

Zamilkł i pochylił głowę.

–Tak, mój ojciec żył w strachu, że kiedyś go osądzą. Nieprawdopodobne. Bał się, że wychowany w luksusie, zbytku i lenistwie syn osądzi ojca, który przeżył zagładę wszystkiego, co ukochał.

Wyprostował ramiona.

–Bał się, że go osądzą – ciągnął głosem chrapliwym, smutnym, lecz donośnym. – I osądzam go! Był zwykłym śmiertelnikiem. Był niedoskonały. Uparty, skomplikowany i trudno go było kochać. Miał wiele blizn. Najpierw naznaczyła go historia, a potem on naznaczał dobrem wszystko to, czego dotknął.

I był bohaterem. Był dobrym człowiekiem.

I ponieważ tak trudno go było kochać, kochałem go po stokroć bardziej...

Urwał. Słowa uwięzły mu w gardle. Nie mógł mówić, ale chyba już nie musiał.

Popatrzył na Annę, zobaczył jej mokre od łez policzki, zobaczył, że płacze za nich oboje i powoli zszedł z podium. Niebawem stanęła u jego boku, patrząc, jak wychodzący z sali goście ściskają mu rękę, jak przystają w holu, by pograżyć się w rozmowie. Składali mu kondolencje, snuli czule wspomnienia. Życzliwi starcy obejmowali go i poklepywali po ramieniu: najwyraźniej pamiętali go jeszcze z czasów, kiedy był jednym z uroczych bliźniaków Maksa Hartmana. Ben powoli dochodził do

siebie. Czuł się tak, jakby przepuszczono go przez wyżymaczkę, lecz czuł też, że zrzucił z siebie brzemię smutku.

Dziesięć minut później, kiedy dyrektor wydziału podatkowego HCM opowiedział zabawną anegdotkę o jego ojcu, wybuchnął głośnym śmiechem. Od tygodni, może nawet od lat nie czuł się tak lekko. Gdy tłum się przerzedził, podszedł do nich wysoki, jasnowłosy mężczyzna o kwadratowej szczęce.

–Znamy się tylko ze słyszenia... – rzekł, zerkając na Annę.

–Ben – powiedziała ciepło Anna – przedstawiam ci nowego dyrektora Wydziału Dochodzeń Departamentalnych, Davida Denneena.

Ben energicznie uścisnął mu rękę.

–Dużo o panu słyszałem. I wielkie dzięki za uratowanie nam tyłka! A może należy to do pana obowiązków? – Wiedział, że to właśnie dzięki niemu Annę oczyszczono ze wszystkich postawionych jej zarzutów. Denneen był autorem zmyślnego „przecieku”, że wykonywała zadanie specjalne, że doniesienia o przestępstwach, których jakoby się dopuściła, miały wywabić z ukrycia prawdziwych winowajców. Anna otrzymała nawet oficjalny list pochwalny za „męstwo i pełną poświęcenia służbę”, chociaż dyskretnie pominięto szczegóły. Tak czy inaczej, wsparcie Denneena pomogło jej do stać pracę w Knapp Incorporated, gdzie została wicedyrektorką wydziału unikania ryzyka.

Denneen pocałował ją w policzek i spojrzał na Bena.

–Ja też mam u was dług, dobrze wiecie. A moja nowa praca... Cóż, ostatnio zajmuję się głównie redukcją personelu. Któregoś dnia, kiedy matka spyta mnie, jak zarabiam na życie, chciałbym powiedzieć jej coś konkretnego.

–Ben. – Anna wzięła za rękę drobnego mężczyznę o jasnobrązowej skórze, który towarzyszył Denneenowi. – A to jest mój przyjaciel Ramon. Ramon Perez.

Kolejny uścisk dłoni. Ramon uśmiechnął się, odsłaniając białe jak śnieg zęby.

–Jestem zaszczycony – powiedział, lekko pochylając głowę.

Anna odciągnęła go na bok, żeby trochę pogadać.

–Co? – spytała. – Wyglądasz jak kot, który zjadł kanarka. Co cię tak śmieszy? – Jej wilgotne oczy promieniały wesołością.

Ramon pokręcił głową, zerknął na Bena i nie przestając się uśmiechać, ponownie spojrzał na nią.

–Aaaa... Już wiem. Myślisz sobie: szkoda.

Ramon wzruszył ramionami, lecz nie zaprzeczył. Anna popatrzyła na Bena i ich spojrzenia się spotkały.

–Ale wiesz co? Ja nie żałuję.

Przed gmachem czekał na nich wielki lincoln. Widząc, że już wychodzą, kierowca wyprostował się sztywno, żeby otworzyć im drzwiczki. Szli, trzymając się za ręce. Mżyło i jezdnia lśniła w wieczornym mroku.

Nagle Ben drgnął, poczuł, że w żyłach znowu zaczęła krążyć mu adrenalina. Kierowca był dziwnie młody. Choć krępy i potężnie zbudowany, wyglądał jak nastolatek. Przed oczami przewinął mu się kalejdoskop koszmarnych obrazów z niedalekiej przeszłości. Kurczowo splótł palce z palcami Anny.

Mężczyzna odwrócił głowę i światło bijące z łukowatych okien gmachu padło na jego twarz. To był Gianni, kierowca Maksy – ojciec zatrudnił go przed dwoma laty – wesoły, szczerbaty chłopak. Pomachał im brązową czapką i zawołał:

–Dobry wieczór!

Wsiedli. Trzasnęły drzwi, Gianni usiadł za kierownicą.

–Dokąd jedziemy? – spytał.

Ben zerknął na zegarek. Noc była jeszcze wczesna, a nazajutrz nie miał lekcji.

Spojrzał na Annę.

–Dokąd, panno Navarro?

–Dokądkolwiek, byle z tobą. – Jej ręka ponownie odnalazła jego dłoń, głowa spoczęła na ramieniu.

Ben wziął głęboki oddech i czując ciepło jej twarzy, poczuł, że ogarnia go dziwny spokój. Spokój, jakiego nigdy dotąd nie zaznał.

–Jedź, Gianni – odrzekł. – Po prostu jedź. Dokądkolwiek. Gdziekolwiek. Albo nigdzie. Po prostu jedź.

Rozdział 50

„USA TODAY”

NOWI KANDYDACI NA SĘDZIEGO SĄDU NAJWYŻSZEGO REZYGNACJE, NOMINACJE, SPEKULACJE

Oświadczając, że odejście Miriam Bateman, która z końcem kadencji wiosennej postanowiła zrezygnować ze stanowiska sędziny Sądu Najwyższego, jest decyzją „nieodżałowaną, lecz w pełni zrozumiałą”, prezydent Maxwell zapewnił, że on i jego współpracownicy dołożą wszelkich starań, żeby dokonać „rozwąznego i dojrzałego” wyboru godnego następcy. „Dorównanie jej uczciwością i mądrością będzie dla każdego kandydata ciężkim brzemieniem, dlatego podchodzimy do tego zadania z pokorą i otwartym umysłem” – powiedział prezydent na konferencji prasowej. Jednakże z dobrze poinformowanych źródeł wiemy, że istnieje krótka lista kandydatów, z którymi Biały Dom prowadzi już intensywne rozmowy...

„FINANCIAL TIMES”

FUZJA ARMAKON – TECHNOCORP

Mariaż dwóch potężnych gigantów i lokomotyw światowej przedsiębiorczości, agronomiczno-biotechnologicznego Armakonu z siedzibą w Wiedniu i komputerowego Technocorpu z siedzibą w Seattle, byłby mariażem doprawdy niezwykłym, jednak wszystko wskazuje na to, że do niego dojdzie: przedstawiciele obu korporacji przyznali, że rozpoczęto już rozmowy wstępne. „Biotechnologia jest coraz silniej związana z informatyką, a oprogramowanie komputerowe to przede wszystkim nowe aplikacje” – powiedział dziennikarzom Arnold Carr, szef Technocorpu. „W przeszłości wielokrotnie bywaliśmy partnerami strategicznymi, jednak doszliśmy do wniosku, że tylko oficjalna i trwała konsolidacja może stworzyć warunki dla rozwoju naszych firm”. Członek zarządu Technocorpu, były sekretarz stanu dr Walter Reisinger, oświadczył, że zarządy obu korporacji w pełni tę decyzję poparą. Według Reinharda Wolffa, dyrektora naczelnego Armakonu, fuzja zapobiegnie wielu kosztownym wydatkom na oprogramowanie, dzięki czemu firmy będą mogły zaoszczędzić miliardy dolarów. Podziękował również „znakomitym i mądrym dyrektorom” obu korporacji za sprawne prowadzenie negocjacji.

Większość udziałowców popiera decyzję o fuzji. „W jedności siła – powiedział w swoim oświadczeniu Ross Cameron, »mędrzec z Santa Fe«, którego grupa posiada 12,5% akcji serii A. Wierzymy, że po zjednoczeniu obie firmy będą mogły ofiarować światu bez porównania więcej”.

We wspólnie wydanym oświadczeniu Armakon i Technocorp stwierdziły, że nowo powstała korporacja zostanie światowym liderem w dziedzinie biologii, medycyny i ochrony zdrowia.

„Zważywszy zasięg badań biotechnologicznych Armakonu i olbrzymie zasoby Technocorpu – oświadczył Wolff, nowa korporacja będzie w stanie przekroczyć nieprzekraczalne dotąd granice biologii i medycyny, poszerzyć naszą wiedzę w niedający się przewidzieć sposób”.

Analitycy z Wall Street zaobserwowali, że fuzja wzbudza mocno zróżnicowane reakcje...

**This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-06**

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/